

ROBERT LIJDLIJM

Przesyłka Z Salonik

Przełożył Juliusz P. Szeniawski

SCAN-dal

Panu Richardowi Markowi, Wydawcy, Inteligencji odzianej w płaszczyk błyskotliwego humoru; wyobraźni bijącej na głowę fantazję każdego pisarza. Krótko mówiąc — najlepszemu ze wszystkich. I pięknej Margot, która życie zmienia w bajkę.

OD WYDAWCY

PRZESYŁKA Z SALONIK jest książką należącą do mało u nas znanego gatunku fantastyki politycznej, osadzonej w realiach historii najnowszej. Akcja fantastyczna i rzeczywiste zdarzenia wzajemnie się tu przeplatają. Nie znający tej konwencji czytelnik może mieć wrażenie, że ma do czynienia z opisem prawdziwych wydarzeń, zwłaszcza gdy autor napisał rzecz sugestywnie i z talentem...

Uprzedzamy więc, że ukazana w realiach historii najnowszej walka o zawartość tajemniczej urny z Salonik jest fikcyjna i wszystkie osoby występujące w powieści powołała do życia wyobraźnia autora, a ewentualne szukanie ich odpowiedników w rzeczywistości jest działaniem czytelnika na ryzyko własne.

CZĘŚĆ PIERWSZA

PROLOG

9 grudnia 1939

Saloniki, Grecja

Jedna za drugą, ciężarówki pięły się z trudem stromą drogą rozjaśnianą jedynie nielicznymi światłami pogrążonych jeszcze we śnie Salonik. Na szczycie wszystkie nieco przyspieszyły; kierowcom wyraźnie zależało, żeby jak najszybciej wrócić pod osłonę ciemności zalegających wiejską drogę wiodącą w dół przez okoliczne lasy.

A jednak każdy kierowca każdej z pięciu ciężarówek musiał powściągać swą niecierpliwość. *Żaden* nie mógł pozwolić, żeby noga ześliznęła mu się z hamulca, żaden nie mógł zbyt mocno nacisnąć gazu; musieli dobrze wyteżać wzrok, by dojrzeć w ciemnościach niespodziewaną przeszkodę czy nagły zakręt.

Bo i były to ciemności. Nie włączono ani jednego reflektora, cała kolumna posuwała się jedynie w szarawym świetle greckiej nocy i nikłej poświacie skrawka greckiego księżyca, tłumionej warstwą niskich chmur.

Wyprawa była sprawdzianem karność i zdyscyplinowania. Zdyscyplinowania nieobcego tym kierowcom i siedzącym obok nich pasażerom.

Wszyscy byli duchownymi — mnichami. Z zakonu Ksenopy, bractwa monastycznego o najsurowszej regule ze wszystkich podległych patriarsze Konstantyny. Ślepe posłuszeństwo połączone z wiarą we własne siły, absolutne zdyscyplinowanie aż do chwili śmierci.

Pasażer pierwszej ciężarówki, młody brodaty mnich, zdjął habit, zwinął go i wepchnął za wysokie oparcie siedzenia pod stertę pokrowców i szmat. Ubrany był teraz w strój zwykłego robotnika, w grubą koszulę i spodnie ze zgrzebnego materiału.

— Zostało nam już nie więcej niż osiemset metrów — powiedział do odzianego w strój zakonny kierowcy, potężnie zbudowanego mnicha w średnim wieku. — Na tym odcinku przez jakieś sto metrów tory będą równoległe do drogi. Na otwartej przestrzeni. To wystarczy.

— Pociąg będzie tam na nas czekał? — spytał kierowca, mrużąc oczy, żeby przebić wzrokiem ciemności.

— Tak, cztery wagony towarowe, jeden maszynista. Żadnych ładowaczy, nikogo więcej.

— Tak więc to ty weźmiesz się do łopaty — powiedział starszy mnich z uśmiechem, ale jego oczy pozostały smutne.

— Ja wezmę się do łopaty — odparł z prostotą jego pasażer. — Gdzie jest broń?

— W schowku pod deską rozdzielczą.

Przebrany za robotnika zakonnik sięgnął przed siebie i zwolnił zatrask schowka. Drzwiczki odskoczyły w dół. Wsunął rękę do środka i wydobył ciężki rewolwer dużego kalibru. Wprawnym ruchem wytrząsnął zeń magazynek, sprawdził, czy zawiera kule, zatrzasnął z powrotem ciężki stalowy cylinder. W metalicznym trzasku było coś nieodwołalnego.

— Ależ armata. Włoski, prawda?

— Tak — odparł starszy zakonnik bez komentarza, tylko ze smutkiem w głosie.

— To stosowne. Może jest w tym palec Boży. — Młody mężczyzna wepchnął rewolwer za pasek. — Zadzwonisz do jego rodziny?

— Tak mi polecono... — Widać było wyraźnie, że kierowca chciał powiedzieć coś więcej, ale się powstrzymał. W milczeniu zacisnął ręce na kierownicy mocniej, niż było trzeba.

Promienie księżyca przedarły się na chwilę przez chmury oświetlając leśną przecinkę.

— Bawiłem się tutaj jako dziecko — odezwał się ponownie młody mnich. — Biegałem po tych lasach i moczyłem sobie ubranie w strumieniach... Potem suszyłem je w górskich pieczarach i wyobrażałem sobie, że mam objawienia. Byłem bardzo szczęśliwy tu, wśród tych wzgórz. Z woli Pana dane mi było ujrzeć je jeszcze raz. Pan nasz jest miłosierny. I łaskawy.

Księżyc zniknął i znów zapanowały nieprzeniknione ciemności.

Ciężarówka wjechała w szeroki zakręt. Las zaczął rzednąć, w przodzie zamajaczyły ledwie widoczne zarysy słupów telegraficznych — czarne kolumny odcinające się od tła szarzejącego nieba.

Droga wyprostowała się, poszerzyła i przeistoczyła w polanę ciągnącą się między dwoma plamami lasu na przestrzeni jakichś stu metrów. Płaska, naga przestrzeń wciśnięta między nie kończące się wzgórzami i drzewa. Na środku polany, ledwie widoczny na tle czarnej ściany lasu po przeciwnej stronie, stał pociąg.

Nieruchomy, lecz nie pozbawiony życia. Z lokomotywy biły w nocne niebo kłęby wirującego dymu.

— Za dawnych dni — przerwał ciągnące się milczenie młody mnich — chłopcy spędzali tutaj owce i zwozili furmankami płody ze swych gospodarstw. Ojciec mówił, że zawsze towarzyszyło temu ogromne zamieszanie. Nieustannie wybuchały kłótnie o to, co należy do kogo. Bardzo zabawne były te opowieści... O, jest!

Ze smolistych ciemności wystrzelił snop światła latarki. Zatoczył dwa koła, po czym zastygł w bezruchu skierowany na ostatni wagon. Mnich w ubraniu robotnika sięgnął do

kieszeni koszuli, odpiął z niej małą latarkę i wycelowawszy ją wprost przed siebie, przesunął wyłącznik dokładnie na dwie sekundy. Odblask w przedniej szybie ciężarówki oświetlił na chwilę małą kabinę. Wzrok mnicha przyciągnęła przelotnie twarzy kierowcy. Ujrzał, że jego zakonny brat z całych sił zagryza wargi. Strużka krwi ściekała mu na podbródek, wplatając się w krótko przystrzyżoną siwą brodę.

Komentowanie tego nie miało sensu.

— Podjedź do trzeciego wagonu. Reszta wykręci i zacznie wyładunek.

— Wiem — odrzekł po prostu kierowca. Skręcił łagodnie w prawo i skierował ciężarówkę ku trzeciemu wagonowi.

Kiedy młody mnich otworzył drzwiczki i zeskoczył na ziemię, do samochodu podszedł maszynista w kombinezonie i czapce z koźlej skóry. Popatrzyli na siebie, po czym chwycili się w objęcia.

! — Brak habitu bardzo cię zmienia, Petridasie. Zapomniałem już, jak bez niego wyglądasz...

— Och, daj spokój. Cztery lata z dwudziestu siedmiu to nie taki temat czasu.

' — Za rzadko cię widzujemy. Cała rodzina tak uważa. — Maszynista zdjął duże, pokryte odciskami dłonie z ramion mnicha. Księżyc znów przedarł się przez chmury i wydobył z mroku jego warz. Była to wyrazista twarz mężczyzny bliższego pięćdziesiątki JHż czterdziestki, poorana zmarszczkami od słońca i wiatru. \$' • — Jak tam matka, Annaksasie?

— Dobrze. Z każdym miesiącem odrobinę słabsza, ale wciąż jeszcze żwawa.

— A twoja żona?

— Znów w ciąży, tylko tym razem już się nie śmieje. Łaje mnie.

— I słusznie. Lubieźny z ciebie cap, mój bracie. A ja wyznam ci z prawdziwą radością, że lepiej spełniać posługę wobec Kościoła — roześmiał się zakonnik.

— Powtórzę jej to — powiedział z uśmiechem maszynista. Chwilę trwało, nim Petridas odparł: — Tak, powtórz jej to.

Odwrócił się w kierunku krzątający przy wagonach towarowych. Otwarto już drzwi załadunkowe i zawieszono wewnątrz latarnie, niemal zupełnie niewidoczne z zewnątrz, a jednocześnie dające dość przyćmionego światła, by można było przy nich pracować. Postacie w czarnych habitach zaczęły kursować spiesznie między ciężarówkami a drzwiami wagonów, przenosząc paki i pudła z grubej tektury, obite drewnianymi listwami. Każde z nich nosiło widoczny z daleka znak — krucyfik i ciernie, emblemat zakonu Ksenopy.

— Żywność? — spytał maszynista.

— Tak — odparł jego brat. — Owoce, warzywa, suszone mięso, zboże. Posterunki

graniczne powinny być usatysfakcjonowane.

— A gdzie...? — Nie było potrzeby precyzować tego pytania.

— W tym wagonie. W środkowej części, pod siatkami z tytoniem. Wystawiłeś czujki?

— Na torach i na drodze, w obu kierunkach na przestrzeni ponad kilometra. Nie masz się o co martwić. Przed brzaskiem niedzielnego poranka tylko wy, mnisi i nowicjusze, macie co robić i dokąd jechać.

Petridas rzucił okiem na czwarty wagon. Robota postępowała w błyskawicznym tempie, rozlokowywano już paki w jego wnętrzu. Te wszystkie godziny treningów na coś się przydały. W smudze przyćmionego światła padającego z drzwi wagonu dostrzegł mnicha, z którym jechał. Przystanął na chwilę z paką w rękach i patrzył w jego kierunku. Kiedy ich spojrzenia się napotkały, kierowca siłą oderwał od niego wzrok i zmusił się do skoncentrowania z powrotem na pacy. Podrzucił ją i ustawił na podłodze wagonu.

Petridas odwrócił się do swego brata.

— Czy rozmawiałeś z kimś, kiedy zabierałeś pociąg?

— Tylko z dyspozytorem, naturalnie. Wypiliśmy razem herbatę.

— Co mówił?

— W większości słowa, którymi nie będę obrażał twoich uszu. Z dokumentów wynikało, że pociąg ma zostać załadowany przez ojców z zakonu Ksenopy na pewnej ustronnej bocznicy. Nie zadawał żadnych pytań.

Ojciec Petridas przeniósł spojrzenie na drugi wagon, stojący po jego prawej ręce. Załadowanie go było już tylko kwestią minut i wtedy nadejdzie pora na wagon trzeci.

— Kto przygotował lokomotywę?

— Węglarze i mechanicy. Wczoraj po południu. Z poleceń, które otrzymali, wynikało, że to rezerwa. Najnormalniejsza rzecz w świecie. Nasz tabor ciągle się sypie. We Włoszech naśmiewają się z nas... Oczywiście sam sprawdziłem wszystko jeszcze raz kilka godzin temu.

— Czy dyspozytor może mieć jakiś powód, żeby zatelefonować na tamtą bocznice? Gdzie rzekomo ładujemy wagony?

— Kiedy wychodziłem z jego wieży, zasypiał albo już w ogóle spał. Poranny ruch rozpocznie się... — maszynista popatrzył na zachmurzone niebo — nie wcześniej niż za godzinę. Nie ma żadnego powodu dzwonić dokądkolwiek, chyba żeby telegraf zawiadomił go o jakimś wypadku, — Było zwarcie na linii, woda w stacji przekaźnikowej — powiedział szybko zakonnik, jakby sam to sobie powtarzał.

— Po co?

— Na wypadek gdybyś jednak miał jakieś trudności. Nie rozmawiałeś z nikim

więcej?

— Z nikim. Nawet z zestawiaczem. Sprawdziłem też wagony, żeby się upewnić, czy nie ma nikogo w środku.

— Zdążyłeś już przestudiować naszą trasę. Co o niej sądzisz? Kolejarz zagwizdał cicho, kręcąc głową z podziwem.

— Czuję się oszołomiony, mój bracie. Czy taką wyprawę da się w ogóle szczegółowo zorganizować?

— Organizacją zajął się już kto inny. Mnie chodzi o czas. Czas jest tu najważniejszym czynnikiem.

— Jeśli nie będziemy mieli żadnych awarii, to szybkość damy ^fadę utrzymać. Jugosławińska policja graniczna w Bitoli jest chciwa na łapówki, a i w Banja Luce grecka przesyłka to łakomy Kąsek. W Sarajewie i Zagrzebiu nie będzie żadnych kłopotów — oni Polują na zwierzynę grubszą niż żywność dla wiernych.

— Mniejsza o łapówki. Co z czasem?

— Łapówki to także czas. Trzeba się targować.

— Tylko wtedy, jeśli brak targowania mógłby wzbudzić czyjeś podejrzenia. Czy uda nam się dotrzeć do Monfalcone w trzy noce?

— Jeśli zorganizowaliście wszystko jak należy, owszem. Gdybyśmy stracili gdzieś trochę czasu, zawsze możemy to nadrobić w ciągu dnia.

— Tylko w ostateczności. Podróżujemy wyłącznie nocą.

— Jesteś uparty jak kozioł.

— Jestem ostrożny. — Petridas znów przeniósł wzrok na wagony. Pierwszy i drugi zostały już załadowane, praca przy czwartym powinna dobiec końca w ciągu minuty. Spojrzał z powrotem na brata. — Czy twoja rodzina myśli, że prowadzisz towarowy do Koryntu?

— Tak, do Naupaktos. Do stoczni nad cieśniną Patraikós. Nie spodziewają się mnie z powrotem wcześniej niż pod koniec tygodnia.

— W Patrai trwają strajki. W związkach zawodowych aż wrze. Gdyby nie było cię kilka dni dłużej, domyśla się dlaczego.

Annaksas przyjrzał się uważniej swemu bratu. Wydawał się zaskoczony tym, skąd u mnicha taka znajomość wieści ze świata. W jego odpowiedzi dało się słyszeć wahanie.

— Domyśla się dlaczego. Twoja bratowa się domyśli.

— To dobrze — mruknął Petridas. Wszyscy mnisi zebrali się w pobliżu jego ciężarówki i nie spuszczać zeń wzroku czekali na dalsze instrukcje. — Zaraz przyjdę do ciebie do parowozu.

— Jasne — odparł kolejarz i odszedł, obrzucając dyskretnym spojrzeniem zakonników.

Ojciec Petridas wyjął z kieszeni na piersi latareczkę i postąpił o krok ku towarzyszom. Wyszukał światłem potężnie zbudowanego kierowcę swej ciężarówki. Mnich zrozumiał, odłączył od pozostałych i podszedł do samochodu, do Petridasa.

— To nasz ostatnia rozmowa — powiedział Petridas.

— Niechaj Bóg ci bło...

— Proszę cię — przerwał mu Petridas. — Nie ma chwili do stracenia. Wyrj tylko sobie w pamięci każdy ruch uczyniony dzisiejszej nocy. Każdy. Wszystko musi zostać absolutnie wiernie skopiowane.

— Zostanie skopiowane. Ta sama droga, ta sama kolejność ciężarówek, ci sami kierowcy, identyczne dokumenty przy przekraczaniu granic na trasie do Monfalcone. Nic się nie zmieni, poza tym, że jednego z nas będzie brakowało.

— Z woli Pana. Na Jego chwałę. To zaszczyt, którego nie jestem godzien dostąpić.

Na drzwiach ciężarówki wisały dwie wielkie kłódki. Petridas wyjął jeden klucz, jego kierowca drugi. Wspólnie podeszli do zamków, włożyli w nie swe klucze. Kłódki odskoczyły. Wysunęli je ze stalowych obejm, odbili skoble i rozwarli drzwi na całą szerokość. Wysoko pod samym dachem zawiesili latarnię.

Wnętrze wypełniały paki oznaczone krucyfiksem i cierniami odmalowanymi na bokach między drewnianymi listwami. Mnisi zaczęli je wyładowywać. Powiewając w niesamowitym świetle latarni habitami i wymijając się niczym tancerze, przenosili paki do drzwi trzeciego wagonu. Dwóch z nich wyskoczyło na żebrowaną grubymi belkami podłogę wagonu i zaczęło ustawiać skrzynie pod południową ścianą.

W kilka minut opróżniono pół ciężarówki. Dokładnie na środku wielkiego samochodu ukazała się w pewnym oddaleniu od wszystkich innych otaczających ją pak pojedyncza skrzynia przybrana czarnym materiałem. Była nieco większa od pudeł z żywnością i nie miała kształtu prostopadłościanu, lecz idealnego sześcianu: dziewięćdziesiąt centymetrów szerokości, dziewięćdziesiąt długości i tyleż wysokości.

Mnisi zastygli półkolem przed otwartymi drzwiami ciężarówki. Snop przezierającej zza chmur księżycowej poświaty zmieszał się z żółtymi odblaskami latarni. Efekt tej przedziwnej mieszaniny: światła, jaskiniowe wnętrza ciężarówki i odziane w habitury postaci, wszystko to przywiodło ojcu Petridasowi na myśl katakumby, gdzieś głęboko pod ziemią, kryjące prawdziwe relikwie Krzyża.

Rzeczywistość niewiele od tego odbiegała. Tyle tylko, że to, co spoczywało zapieczętowane wewnątrz żelaznej urny — bo tym właśnie była skrzynia — miało

nieskończenie większe znaczenie niż zasuszone drewno Krzyża.

Kilku mnichów zamknęło oczy i pograżyło się w modlitwie. Pozostali wpatrywali się przed siebie szeroko otwartymi oczami, porażeni bliskością świętego przedmiotu, i wstrzymawszy wszelkie myśli, krzepili swą wiarę tym, co według nich kryła przywodząca na myśl grobowiec skrzynia.

Petridas obserwował ich, ale bez poczucia więzi, jak ktoś zupełnie postronny, i tak właśnie powinno być. Powrócił myślami do wydarzeń sprzed, zdawałoby się, kilku godzin, które w rzeczywistości miały miejsce równie sześć tygodni wcześniej. Polecono mu wtedy zostawić pracę na polach, zaprowadzono na białe pokoje przełożonego zakonu Ksenopy i postawiono przed oblicze tego najświętobliwszego starca. Oprócz nich w komnacie znajdował się tylko jeszcze jeden mnich, nikt więcej.

— Petridasie Dakakos — przemówił doń zza masywnego drewnianego stołu sędziwy kapłan — zostałeś wybrany spośród wszystkich ksenopitów do wykonania najdonioślejszego zadania całego swego życia. Na chwałę Pana i dla ratowania rozsądku całego chrześcijańskiego świata.

Przedstawił mu drugiego z obecnych. Był to ascetyczny mnich o przenikliwym spojrzeniu szeroko otwartych oczu. Mówił powoli, precyzyjnie dobierając słowa.

— Jesteśmy powiernikami urny, sarkofagu, jeśli wolisz, która spoczywała zapieczętowana w grobowcu w głębi ziemi przez ponad półtora tysiąca lat. Chroni ona dokumenty o tak niszczycielskiej mocy, że zagrażają całemu chrześcijaństwu. Stanowią niepodważalny dowód naszych najświętszych wierzeń, ale ujawnienie ich treści rzuciłoby religię przeciw religii, wyznanie przeciw wyznaniu, całe narody jedne przeciw drugim. Do świętej wojny... Konflikt niemiecki zatacza coraz szersze kręgi, a ponieważ od dziesiątków lat krążą pogłoski o istnieniu tych dokumentów, urna musi zostać wywieziona z Grecji. Szukano by jej tutaj zacieklej i wytrwalej niż największego skarbu. Poczyniliśmy zatem przygotowania, by wywieźć ją w miejsce, w którym nikt jej nie znajdzie. Powinienem raczej powiedzieć — większość przygotowań. Ty stanowisz ich ostatnie ogniwo.

Zapoznano go z trasą podróży i planem świętego przedsięwzięcia. Z całą glorią i chwałą, jaką mu ono niosło. I strachem.

— Skontaktujesz się tylko z jednym jedynym człowiekiem. Jest nim Savarone Fontini-Cristi, wielki *padrone* północnych Włoch, mieszkający w posiadłości Campo di Fiori. Odwiedziłem go osobiście i sam przeprowadziłem z nim rozmowy. To zupełnie niezwykły człowiek — nieposzlakowanej uczciwości i absolutnie oddany idei wolności ludzi.

— Należy do Kościoła rzymskiego? — spytał z niedowierzaniem Petridas.

— On nie należy do żadnego kościoła... i jednocześnie należy do wszystkich. Jest potężnym sprzymierzeńcem tych, którzy chcą myśleć samodzielnie. I jest przyjacielem naszego zakonu. To właśnie on ukryje urnę. On i ty, tylko wy dwaj. A potem ty... Ale do tego jeszcze dojdziemy. Przypadł ci w udziale zaszczyt, jakiego nie dostał jeszcze żaden człowiek.

— Dziękuję memu Bogu.

— Bo i jest za co, mój synu — odezwał się świątobliwy starzec, wpatrując się w niego nieruchomym spojrzeniem.

— Jak nam wiadomo, masz brata, maszynistę na kolei.

— Tak jest.

— Ufasz mu?

— Jak nikomu na świecie. To najwspanialszy człowiek, jakiego znam.

— Spojrzysz w oczy Pana — powiedział sędziwy kapłan — i nie zawahasz się. W Jego oczach znajdziesz pełnię łaski.

— Dziękuję memu Bogu.

Potrząsnął głową i zamrugał oczami, żeby zmusić się do wyrwania z tych wspomnień. Mnisi przy ciężarówce wciąż trwali w bezruchu; ciemność pulsowała pomrukiem modlitw dobiegających z szybko poruszających się warg.

Nie było czasu na medytacje ani na modlitwy. Nie było czasu na nic poza sprawnym działaniem — wypełnieniem rozkazów zakonu. Petridas delikatnie rozsunął stojących przed nim mnichów i wskoczył do ciężarówki. Wiedział, dlaczego jego właśnie wybrano. Dlatego, że potrafił zdobyć się na taką bezwzględność. Święty starzec postawił tę sprawę jasno.

Przyszedeł czas dla takich jak on.

Boże, przebacz.

— Chodźcie — polecił stojącym na ziemi. — Musicie mi pomóc. Najbliżsi popatrzeli niepewnie po sobie, a potem, jeden za drugim, do środka wspięło się pięciu mężczyzn.

Petridas zdjął czarną draperię okrywającą urnę. Święte naczynie opakowane było w grubą tekturę z symbolami zakonu i obite drewnianymi listwami. Poza kształtem i wielkością niczym nie różniło się od pozostałych skrzyń. Ale na tym podobieństwo się kończyło. Trzeba było sześciu par krzepkich ramion, by ciągnąc i popychając przesunąć ją na krawędź ciężarówki i przemieścić do wagonu towarowego.

W chwili, w której znalazła się na swym miejscu, wszyscy mnisi wznowili taneczną krzątanie. Petridas pozostał wewnątrz wagonu, ustawiając paki tak, by zasłoniły świętą urnę i ukryły między sobą, jako jedną spośród wielu takich samych. Nic niezwykłego, nic co mogłoby przyciągnąć czyjś wzrok.

Kiedy wagon został załadowany, Petridas zasunął drzwi i założył żelazną kłódkę. Spojrzał na fosforyzujący cyferblat swojego zegarka. Wszystko razem trwało osiem minut i trzydzieści sekund.

Chyba musiało to w tym momencie nastąpić, lecz mimo to poczuł irytację — jego zakonni bracia uklękli na ziemi. Jeden z najmłodszych — młodszy od Petridasa potężny Chorwat tuż po nowicjacie — nie zdołał zapanować nad sobą. Po policzkach potoczyły mu się łzy i zaczął odmawiać nicejskie wyznanie wiary. Pozostali podchwycili je, toteż Petridas także ukląkł, w swym ubraniu robotnika, i słuchał świętych słów.

Ale ich nie odmawiał. Nie było na to czasu! Czy oni tego nie rozumieli?!

Co się z nim działo? Żeby oderwać myśli od świętego szeptu, sięgnął pod koszulę i namacał skórzaną sakwę przywiązaną rzemieniami na piersi. Wewnątrz tej płaskiej, niewygodnej teczki kurierskiej znajdowały się rozkazy, które miały go wieść przez setki kilometrów niepewności. Dwadzieścia siedem oddzielnych kartek papieru. Sakwa była dobrze zabezpieczona — rzemienie wrzynały się głęboko w ciało.

Modlitwa dobiegała końca, zakonnicy w milczeniu powstali z kolan. Petridas stanął przed nimi i każdy po kolei podchodził do niego, obejmował go i ścisnął z miłością. Ostatni podszedł jego kierowca, najbliższy przyjaciel w klasztorze. Łzy, które zakreśliły mu się w oczach, wyraziły wszystko, co było do powiedzenia.

Mniśi pospieszyli z powrotem do ciężarówek, a Petridas pobiegł na przód pociągu i wspinał się do kabiny parowozu. Skinął swemu bratu, który natychmiast zaczął przesuwając dźwignie i puszczać w ruch koła. Ciemność nocy przeszył przejmujący zgrzyt metalu o metal.

Kilka minut później pociąg mknął przed siebie z pełną szybkością. Wyprawa rozpoczęła się. Wyprawa na chwałę Jedynego.

Petridas zacisnął ręce na żelaznej sztabie wystającej z żelaznej ściany parowozu. Zamknął oczy, wsłuchując się w wibrujący stukot 1 pęd powietrza, pomagający uśmierzyć strach.

A potem otworzył je — na jedną chwilę — i spojrział na brata, wychylonego przez okno, dzierżącego potężną prawą dłońią korbę przepustnicy, wpatzonego wprost przed siebie w pędzące im naprzeciw tory.

Annaksas Siłacz — tak go wszyscy nazywali. Ale Annaksas był nie tylko silny, był dobry. To on po śmierci ojca poszedł do pracy na stacji towarowej — wyrosnięty trzynastolatek — i harował na długie zmiany, które wykańczały dorosłych mężczyzn. Dzięki pieniądзом, które przynosił do domu, zdołali przetrwać razem jako rodzina, a jego bracia i siostry mogli pójść do szkoły, by zdobyć tyle wiedzy, ile się dało. A jeden z braci zdobył jej nawet więcej.

Nie dla rodziny, lecz na chwałę Boga.

Pan Bóg wystawiał ludzi na próby. Teraz wystawiał na próbę i jego.

Petridas pochylił głowę, w myślach rozbrzmiały mu żarliwe słowa i spłynęły z jego warg niesłyszalnym szeptem: “Wierzę w jednego Boga, Ojca Wszechmogącego, Stworzyciela wszystkich rzeczy widzialnych i niewidzialnych... I w jednego Pana, Jezusa Chrystusa, Nauczyciela, Syna Bożego... Boga prawdziwego z Boga prawdziwego poczętego, lecz nie stworzonego...” Dotarli do rozjazdu w Edessie. Tam niewidzialne ręce przerzuciły bez niczyjej wiedzy zwrotnicę i skład z Salonik pomknął na północ, rozplywając się w ciemności. Jugosłowiańska straż graniczna w Bitoli była równie ciekawa nowin z Grecji, co łasa na greckie łapówki. Konflikt na północy zataczał coraz szersze kręgi, a wojska Hitlera składały się z szaleńców; powszechnie uważano, że następne padną Bałkany. A i niestali Włosi gromadzili się na swoich *piazza*, coraz częściej dając posłuch obłąkańczym wrzaskom nawołującego do wojny Mussoliniego i jego puszącym się jak pawie *fascisti*. Wszyscy mówili tylko o inwazji.

Jugosłowianie przyjęli kilka skrzyń owoców — owoce z przy-klasztornych sadów ksenopitów uchodziły za najlepsze w całej Grecji — i życzyli Annaksasowi więcej szczęścia, niż ich zdaniem miało go spotkać, zwłaszcza że kierował się na północ.

Drugiej nocy popędzili do Mitrovicy. Zakon Ksenopy zrobił, co do niego należało; wpuszczono ich na tor, na którym rozkład nie przewidywał żadnego ruchu, i przesyłka z Salonik pojechała dalej, tym razem na wschód, do Sarajewa, gdzie z mroku wyłonił się jakiś człowiek i powiedział do Petridasa: — Za dwanaście minut przerzucę zwrotnicę. Pojedziecie na północ do Banja Luki. Dzień spędzicie na stacji rozrządowej. Panuje tam ogromny ruch. Przed zapadnięciem nocy ktoś się do was zgłosi. Na zatłoczonej stacji w Banja Luce dokładnie kwadrans po szóstej wieczorem podszedł do nich mężczyzna w roboczym kombinezonie.

— Dobrze się spisaliście — powiedział do Petridasa. — Według rozkładu sygnalizacyjnego dyspozytora w ogóle nie istniejecie.

A jednak dwadzieścia minut później otrzymali swój sygnał; przestawiono następną zwrotnicę i pociąg z Salonik wjechał na tory do Zagrzebia.

O północy na cichej bocznicy w Zagrzebiu z ciemności wyłonił się kolejny mężczyzna i wręczył Petridasowi podłużną szarą kopertę.

— To dokumenty podpisane przez *Ministro di Yiaggio* w rządzie samego // *Duce*. Stwierdzają, że wasz skład jest częścią weneckiego ekspresu “Ferrovia”. To oczko w głowie Mussoliniego. Choćby nie wiem co, nikt nie ośmielił się go zatrzymać. Zaczekacie na dworcu w Sezanie i dołączycie do “Ferrovia” za Triestem. Nie będziecie mieli żadnych kłopotów z kontrolą graniczną w Monfalcone.

Trzy godziny później przystanęli w oczekiwaniu na torze w Sezanie, trzymając wielką lokomotywę pod pełną parą. Petridas usiadł na jej stopniach, obserwując, jak Annaksas manipuluje zaworami i dźwigniami.

— Robisz to genialnie — powiedział, traktując komplement zupełnie szczerze.

— To żadna umiejętność — odparł Annaksas. — Nie potrzeba do tego nauki, wystarczy tylko wciąż to samo powtarzać.

— Według mnie to wymaga wielkiego talentu. Ja nigdy bym tego nie potrafił.

Brat spojrzał na niego w dół, z miejsca gdzie stał; odbłask paleniska załśnił na jego dużej twarzy o szeroko rozstawionych oczach, tak stanowczej i silnej, a zarazem tak łagodnej. Kawał chłopa był z tego jego brata. Poczciwego z kośćcami.

— Ty byś wszystko potrafił — odparł nieporadnie Annaksas. — To ty masz głowę nie od parady. Gdzie mojej do twojej.

— Bzdura — roześmiał się Petridas. — Był czas, kiedy dawałeś mi klapsy w tyłek i mówiłeś, żebym myślał przy tym, co robię.

— Byłeś młody, to było dawno temu. Przykładałeś się do nauki, solidnie się przykładałeś. Wyrosłeś poza rampy stacji kolejowych. Wyrwałeś się z nich.

— Tylko dzięki tobie, mój bracie.

— Odpoczywaj, Petridasie. Obaj musimy odpocząć.

Nic ich już ze sobą nie łączyło, a przyczyną tego była dobroć i szlachetność Annaksasa. Starszy brat dostarczył środków, dzięki którym młodszy mógł się wyrwać, przerosnąć swego dobroczyńcę, aż przestało ich cokolwiek łączyć. A prawdę tę czynił zupełnie nieznośną fakt, że Annaksas Siłacz zdawał sobie sprawę z dzielącej ich teraz przepaści, dlatego też w Bitoli i Banja Luce nalegał, żeby odpoczywali, nie rozmawiali. Po przekroczeniu granicy w Monfalcone nie znajdą wiele czasu na sen. We Włoszech nie będą spać już w ogóle.

Pan Bóg wystawiał ich na próbę.

W milczeniu, które zapadło między nimi, w otwartej kabinie zawieszonyj między czarnym niebem a uciekającą ciemną ziemią, przy palenisku maszyny przepelniającym hukiem nieustannego wysiłku otaczającą noc, Petridas doświadczał przedziwnego zawieszenia myśli i uczuć. Miał wrażenie, że czuje i myśli z wielkiego oddalenia, jakby badał doznania kogoś zupełnie innego, spoglądając przez ogromną lunetę z jakiejś podniebnej grani. Zaczął też rozmyślać o człowieku, z którym miał się spotkać we włoskich Alpach. Człowieku, który dostarczył zakonowi skomplikowaną marszrutę przejazdów przez północne Włochy, zbudowaną z wielu coraz szerszych kręgów, prowadzących ostatecznie na drugą stronę szwajcarskiej granicy trasą nie do wyśledzenia.

Nazywał się Savarone Fontini-Cristi, a jego rodowa posiadłość Campo di Fiori. Starsi zakonu twierdzili, że Fontini-Cristi są najpotężniejszą włoską rodziną na północ od Wenecji. Zupełnie możliwe, że najbogatszą na północ od Rzymu. Dwadzieścia siedem oddzielnych dokumentów spoczywających w skórzanej sakwie tak solidnie przytwierdzonej do jego piersi bez wątpienia świadczyło o bogactwie i potędze. Bo któż mógłby się o nie wyścarać, jeśli nie człowiek o nieograniczonych wprost wpływach? I w jaki sposób Starsi do niego dotarli? Jakimi drogami? I dlaczego ktoś o nazwisku Fontini-Cristi, kto swe pochodzenie musiał wywodzić od Kościoła rzymskiego, miałby udzielać tak niesłychanej pomocy zakonowi Ksenopy?

Zdawał sobie sprawę, że nigdy nie uzyska odpowiedzi na te pytania, lecz mimo to nie dawały mu one spokoju. Bo Petridas wiedział, co spoczywa w zapieczętowanej żelaznej urnie w trzecim wagonie. Wiedział, że to coś więcej niż sądzili jego zakonni bracia.

Znacznie więcej.

Starsi zdradzili mu te tajemnicę, żeby w pełni pojął doniosłość swojej misji. To ona właśnie stanowiła najświętszy z nieodparty ch motywów, które miały mu pozwolić spojrzeć w oczy Pana bez cienia wątpliwości i wahania. A ta niezachwiana pewność miała mu być potrzebna.

Podświadomie sięgnął pod zgrzebną koszulę i namacał sakwę. Skóra, w którą wrzynały mu się rzemienie, zaogniła się; czuł pod palcami jej szorstką, spękana powierzchnię i powiększającą się opuchliznę. Już wkrótce wywiąże się ostre zapalenie. Lecz nie wcześniej, niż dwadzieścia siedem dokumentów dokona swego dzieła. A potem nie będzie to już miało żadnego znaczenia.

Nagle osiemset metrów dalej pojawiła się na północnym torze pędząca z Triestu "Ferrovia". Ich sezański kontakt wybiegł z dyżurki i krzyknął, by ruszali bez chwili zwłoki.

Annaksas puścił w ruch koła stojącej na jałowym biegu lokomotywy, otworzył przepustnicę najszerzej jak się dało i maszyna pomknęła w ślad za "Ferrovią" ku Monfalcone.

Strażnicy na granicy odebrali od nich szarą kopertę i przekazali ją swemu dowódcy. Oficer ryknął co sił w płucach na milczącego Annaksasa, by natychmiast ruszał. Ruszać, ruszać! Ten skład to część "Ferrovii"! Nie mają prawa nawet do chwili zwłoki!

Szaleństwo rozpoczęło się w Legnano, gdy Petridas podał dyspozytorowi pierwszy z dokumentów Savarone Fontini-Cristiego. Dyspozytor zbladł i zmienił się w najbardziej służalczego urzędnika państwowego, jakiego można sobie wyobrazić. Młody mnich ujrzał, jak zagląda mu strachliwie w oczy, próbując odkryć, jaki to szczebel władzy Petridas reprezentuje.

Bo strategia opracowana przez Savarone Fontini-Cristiego była wręcz genialna. Jej siła tkwiła w prostocie; a skuteczność oddziaływania na ludzi oparta była na strachu — groźbie

natychmiastowego odwetu ze strony państwa.

Przesyłka z Grecji nie była w ogóle przesyłką z Grecji. Przeistoczyła się w jeden ze ściśle tajnych składów wysyłanych przez rzymskie Ministerstwo Transportu, generalnego inspektora włoskich kolei. Pociągi takie przemierzały tory całego kraju, kierowane przez urzędników mających rozkaz sprawdzać i oceniać wszystkie działania kolei, a następnie składać odnośne raporty, z których wiele trafiało na biurko samego Mussoliniego.

Świat naigrawał się z obsesji // *Duce* na punkcie kolei, ale spoza żartów przezierał respekt. Włoskie koleje były najlepsze w Europie. Osiągnięto ten stan i utrzymywano go sprawdzoną metodą faszystowskiego państwa — sekretnymi sprawdzianami efektywności działania prowadzonymi przez nie ujawniających się kontrolerów, tajnych *esaminatori*. Od wystawionej przez nich opinii zależały często środki egzystencji niejednego człowieka — lub ich brak. Kilka krótkich chwil obserwacji owocowało decyzjami o zachowaniu stanowiska, awansie lub zwolnieniu z pracy. Rozumiało się samo przez się, że jeśli jakiś *esaminatore* się ujawnia, należy mu okazać wszelką pomoc i zachować absolutną dyskrecję.

Skład z Salonik zmienił się teraz we włoski pociąg ochroniany tarczą tajnego przyzwolenia Rzymu. Jego przejazdami kierowały wyłącznie upoważnienia płynące z przedkładanych dyspozytorom dokumentów. A rozkazy zawarte w tych dokumentach były wystarczająco dziwne, by stanowić element jakiejś zawilej machinacji samego // *Duce*.

Spiralna marszruta rozpoczęła się. Miasteczka i wsie — San Giorgio, Latisana, Motta di Levenza — przemykały jedno za drugim, gdy pociąg z Salonik pędził torami za włoskimi składami towarowymi i osobowymi. Treviso, Montebelluna i Yałdagno, na zachód do Malcesine nad jeziorem Garda; rozchybotanym promem towarowym na drugi brzeg i natychmiast na północ do Breno i Passo delia Presolana.

Napotykali wyłącznie podszytą strachem, jak najdalej idącą współpracę. Wyłącznie i wszędzie.

Po dotarciu do Como skończyli z kluczeniem i zaczęli wyścig z czasem. Pomknęli na północ wzdłuż brzegów jeziora, zawrócili na południe w kierunku na Lugano, potem szlakiem wzdłuż szwajcarskiej granicy, znów na południe i zachód, dotarli do Santa Maria Maggiore i wreszcie w Saas Fee wjechali na terytorium Szwajcarii, gdzie pociąg z Salonik odzyskał swą tożsamość — z jedną małą zmianą.

Wynikała ona z dwudziestego drugiego dokumentu z sakwy Petridasa. Fontini-Cristi jeszcze raz dostarczył niezwykle prostego wyjaśnienia celu ich podróży. Szwajcarska Międzynarodowa Komisja Pomocy w Genewie udzieliła kościołom wschodnim zezwolenia na przekraczanie granicy i zaopatrywanie swych uchodźców w Val de Gressoney. Wynikał z tego

wniosek, że wkrótce granica zostanie zamknięta dla tego rodzaju pociągów. Wojna nabierała straszliwego impetu; już niebawem miało w ogóle nie być żadnych pociągów z Bałkanów i Grecji.

Z Saas Fee skład skierował się na południe i wjechał na stację w Zermacie. Była noc; czekali, aż praca na górcie rozrządowej *zamrze* i pojawi się następny łącznik z potwierdzeniem, że kolejna zwrotnica została przestawiona. Mieli teraz przed sobą ostrą wspinaczkę — na południe, w Alpy Pennińskie, w okolicy Cham-poluc.

Za dziesięć dziewiąta dostrzegli z dala jakiegoś kolejarza wyłaniającego się z ciemności zalegających dworzec w Zermacie. Ostatnie kilkaset kroków pokonał biegiem i zawołał podniesionym głosem: — Szybko! Tor do Champoluc wolny! Zwrotnica podłączona jest do głównej nastawni — ktoś może zauważyć! Zmiatajcie stąd!

Annaksas raz jeszcze uwolnił potworne ciśnienie nagromadzone w kotłach stalowego kadłuba maszyny i raz jeszcze pociąg pomknął w mrok nocy.

Umówiony sygnał mieli otrzymać gdzieś wysoko w górach, w okolicach jednej z alpejskich przełęczy. Ale tylko jeden człowiek wiedział, gdzie dokładnie.

Savarone Fontini-Cristi.

Prószył drobny śnieg, kładąc się kolejną cieniutką warstewką na alabastrowej pokrywie zalanej poświatą księżyca ziemi. Przejechali wykutymi w skale tunelami zataczającymi wokół górskich zboczy szeroki łuk na zachód, zostawiając po prawej stronie urwiska zdradliwych przepaści. Robiło się coraz mroźniej. Tego Petridas nie przewidział. Nie przyszło mu do głowy zastanawiać się nad temperaturami, jakie będą tu panowały. Śnieg i lód; szyny pokrywała cienka warstewka lodu.

Każdy kilometr, który pokonywali, ciągnął się jak dziesięć, każda minuta wydawała się godziną. Młody mnich próbował przebić wzrokiem ciemności za przednią szybą parowozu, nie widział jednak nic poza snopem światła z reflektora i skrzącymi się w nim płatkami syjącego śniegu. Wychylił się na zewnątrz przez boczne okienko, ale nadal widział tylko wyłaniające się z mroku gigantyczne drzewa.

Gdzie się znajdowali? Gdzie ten włoski *padrone*, Fontini-Cristi? Może się rozmyślił? O miłosierny Boże, wszystko tylko nie to! Nie, nie, nie powinien dopuszczać do siebie takich myśli. Zawartość świętej urny, którą przewozili, pograżyłaby cały świat w kompletnym chaosie. Włoch o tym wiedział. Patriarchat obdarzał go pełnym zaufaniem...

Coraz bardziej bolała go głowa, zaczynało mu walić w skroniach. Usiadł na stopniach tendra — musiał się opanować. Spojrzał na fosforyzującą tarczę swego zegarka. Boże miłosierny! Zajechali za daleko! Za pół godziny wyjadą w ogóle z gór!

— Masz ten swój sygnał! — zawołał Annaksas.

Petridas zerwał się na równe nogi i wychylił głęboko w bok, przytrzymując się drabinki prowadzącej na dach tendra. Puls walił mu opętańczo, ręce zaciśnięte na szczeblu drabinki drżały. Na torach przed pociągiem, nie więcej niż czterysta metrów w przodzie ktoś podnosił i opuszczał latarnię, której światło migotało spoza rzadkiej przesłony śniegu.

Annaksas zaczął wyhamowywać lokomotywę. Buchająca parą maszyna wydała z siebie przeciągły ryk stygnącego pieca, którym w *rzeczy* samej była. Nieco dalej przed nimi w poświacie księżycy odbijającej się od śniegu i wzmocnionej słupem światła pojedynczego reflektora parowozu Petridas ujrzał małą polanę przy torach i stojącego na niej mężczyznę, a obok niego pojazd o dziwacznych kształtach. Mężczyzna miał na sobie ciepłe ubranie z futrzanym kołnierzem i czapką. Pojazd był i zarazem nie był czymś w rodzaju ciężarówki. Tylne koła miał znacznie większe od przednich, jak u traktora. A jednak kabina za czołową szybą nie była ani kabiną ciężarówki, ani traktora. Przywodziła na myśli coś jeszcze innego.

Co to było?

Nagle zrozumiał i nie mógł powstrzymać uśmiechu. W ciągu ostatnich czterech dni widział setki takich pojazdów. Przed jego dziwną maską dostrzegał przesuwny w pionie podnośnik.

Fontini-Cristi okazał się równie zaradny jak mnisi z zakonu Ksenopy. Ale tego dowiodła już przecież sakwa przytwierdzona rzemieniami na piersi.

— Ty jesteś tym mnichem z Konstantyny? — Savarone Fontini--Cristi miał głos niski, arystokratyczny, wyraźnie nawykły do rozkazywania. Był wysokim mężczyzną i pod grubym alpejskim ubiorem dość szczupłym; jego duże oczy, osadzone głęboko w orlej twarzy, patrzyły niezwykle przenikliwie. Był znacznie starszy, niż sądził Petridas.

— Tak, proszę pana — odparł schodząc na zasypaną śniegiem ziemię.

— Jesteś bardzo młody. Świątobliwi mężowie obdarzyli cię niesłychaną odpowiedzialnością.

— Znam włoski. I wierzę w słuszność tego, co robię. *Padrone* popatrzył na niego przeciągle.

— Nie wątpię. Co innego ci pozostało?

— Pan w to nie wierzy?

— Ja wierzę tylko w jedno, mój młody ojcie — odparł Fontini-Cristi. — Jest tylko jedna wojna, którą należy toczyć. Między tymi, którzy walczą z faszystami, nie może być żadnych podziałów. Do tego właśnie sprowadza się wszystko, w co wierzę. — Przeniósł spojrzenie na pociąg. — Chodźmy, nie ma chwili do stracenia. Przed świtem musimy być z

powrotem. W traktorze znajdziesz jakieś ubranie. Narzuć je szybko na siebie. Ja tymczasem powiem maszyniście, co ma robić.

— On nie zna włoskiego.

— Ale ja mówię po grecku. Pospiesz się!

Annaksas ustawił wagon towarowy dokładnie na wprost traktora. Świętą urnę opasano nawijanymi na poziome bębny łańcuchami, które napiąwszy się do ostatnich granic, przesunęły z głuchym pojękiwaniem opakowany w tekturę i drewniane listwy ciężki metalowy pojemnik na podnośnik traktora. Łańcuch zabezpieczał go od przodu i z boków, od góry przypięto go grubymi pasami.

Savarone Fontini-Cristi obszedł urnę dokoła, sprawdzając dokładnie całe umocowanie. Zadowolilo go chyba, bo odstąpił krok do tyłu i skierował swą latarkę na symbole zakonu wymalowane na opakowaniu urny.

— Tak więc po piętnastu wiekach spędzonych pod ziemią ujrzała światło dzienne — powiedział cicho. — Tylko po to, by powrócić pod ziemię. Ziemia, ogień i morska głębina. Powinienem był wybrać któreś z tych ostanich, mój młody ojcze. Ogień lub morską głębinę.

— Nie taka była wola Pana.

— Cieszy mnie, że komunikuje On ją w tak bezpośredni sposób. Wy, świątobliwi mężowie, wciąż na nowo zaskakujecie mnie swym poczuciem absolutu. — Odwrócił się do Annaksasa i powiedział płynnie po grecku: — Podciągnij do przodu, żebym mógł przejechać przez tory. Tu po drugiej stronie jest w lesie wąska przecinka. Wrócimy przed nastaniem świtu.

— Tak jest, ekscelencjo. — Annaksas skinął głową. Czuł się skrepowany w obecności kogoś takiego jak Fontini-Cristi.

— Nie jestem ekscelencją. Ty za to jesteś wspaniałym maszynistą.

— Dziękuję — odparł Annaksas z zakłopotaniem i ruszył do parowozu.

— Ten człowiek jest twoim rodzonym bratem? — spytał cicho Fontini-Cristi Petridasa.

— Tak.

— I o niczym nie wie?

Młody mnich potrząsnął przecząco głową.

— To ten twój Bóg będzie ci rzeczywiście potrzebny. — Odwrócił się na pięcie i podszedł do traktora od strony kierowcy. — Chodźmy, ojcze. Czeka nas mnóstwo roboty. Tę maszynę zbudowano na wypadek lawiny. Dostarczy nasz ładunek tam, gdzie nie dałby rady wnieść go żaden człowiek.

Petridas wspiął się do kabiny i zajął swoje siedzenie. Fontini--Cristi uruchomił potężny silnik, wprawnie wrzucił bieg i opuścił podnośnik przed kabiną, by odsłonić sobie widoczność.

Pojazd ruszył, zadygotał pokonując tory kolejowe i zagłębił się w alpejski las.

Petridas odchylił się w fotelu, zamknął oczy i pogrążył w modlitwie. Fontini-Cristi manewrował pewnie potężną maszyną, prowadząc ją przez wznoszące się lasy ku wyższym szlakom górskim w rejonie Champoluc.

— Mam dwóch synów starszych od ciebie — odezwał się po jakimś czasie. A po chwili dodał: — Wiozę cię do grobu pewnego Żyda. Wydaje mi się, że to stosowne miejsce.

\Vrocili na polankę, gdy czerń nieba zaczynała z wolna ustępować miejsca szarości. Kiedy młody mnich wysiadł z dziwnego pojazdu, Fontini-Cristi spojrział na niego przenikliwie.

— Wiesz, gdzie mieszkam — powiedział. — Mój dom jest twoim domem.

— Wszyscy mieszkamy w domu Pana, *signore*.

— Niech i tak będzie. Do widzenia, mój młody przyjacielu.

— Do widzenia. Z Bogiem.

— Jeśli będzie chciał.

Włączył bieg i odjechał szybko ledwie widoczną drogą poniżej torów. Petridas go rozumiał. Włoch nie mógł teraz tracić ani minuty. Każda dalsza godzina jego nieobecności w Campo di Fiori powiększała listę pytań, które ktoś mógł zechcieć mu zadać. We Włoszech nie brakowało takich, którzy uważali rodzinę Fontini--Cristi za wrogów państwa.

Wszyscy jej członkowie byli pod stałą obserwacją. Wszyscy co do jednego.

Petridas pobiegł w syjącym śniegu do parowozu. I swego brata.

Świt zastał ich na Lago di Maggiore. Płynęli promem kolejowym ze Stressy; dwudziestym szóstym dokumentem z sakwy był ich paszport. Petridas zastanawiał się, jakie powitanie czeka ich w Mediolanie, choć zdawał sobie sprawę, że nie ma to już żadnego znaczenia.

Teraz nic już nie miało znaczenia. Ich podróż dobiegała końca.

Święty przedmiot dotarł do miejsca swego spoczynku, by pozostać tam na lata — a może tysiąclecia. Tego nikt nie mógł wiedzieć.

Pomknęli na południowy wschód główną trasą przez Varese aż do Castiglione. Nie czekali już na zapadnięcie nocy... Teraz już nic nie miało znaczenia. Na przedmieściach Varese Petridas ujrzał w jaskrawym włoskim słońcu drogowskaz: CAMPO DI FIORI — 20 KM Bóg wybrał człowieka z Campo di Fiori. Świętą tajemnicę posiadała teraz rodzina Fontini-Cristi.

Wsie i pola przemykały w pełnym pędzie, powietrze było czyste, chłodne i upajające. Daleko w przedzie pojawiły się dachy Mediolanu. Obłok fabrycznych dymów zakłócał błękit bożego nieba i wisiał płasko nad horyzontem niczym szara płachta brezentu. Pociąg zwolnił i

wjechał na boczną stację rozrządową. Tu po chwili oczekiwania jakiś apatyczny *spedizioniere* w mundurze kolei państwowych wskazał im skręcający tor, gdzie przed czerwoną tarczą wyskoczyła nagle zielona. Sygnał zezwalający im na wjazd na stację w Mediolanie.

— Jesteśmy na miejscu! — zawołał Annaksas. — Jeden dzień odpoczynku i do domu! Muszę powiedzieć, że jesteście zupełnie niezwykli.

— Tak — odparł po prostu Petridas. — Jesteśmy niezwykli. Spojrzał na brata. Odgłosy stacji kolejowej były muzyką dla uszu Annaksasa; zaczął nucić jakąś grecką pieśń, kołysząc rytmicznie górną połową ciała w takt ostrych, szybkich dźwięków melodii.

Dziwna była ta pieśń śpiewana przez Annaksasa. Nie była to pieśń kolei, ale morza. Ulubiona przez rybaków z Thermaikós. “Jakże bardzo pasuje — pomyślał Petridas — ta właśnie pieśń do takiej chwili”.

Morze było boskim źródłem życia. To przecież z morza Bóg stworzył ziemię.

“Wierzę w jednego Boga... Stworzyciela wszystkich rzeczy...” Wyjął spod koszuli wielki włoski rewolwer. Podszedł dwa kroki do swego ukochanego brata i uniósł lufę broni. *Znalazła* się o centymetr zaledwie od podstawy czaszki Annaksasa.

“...widzialnych i niewidzialnych... I w jednego Pana, Jezusa Chrystusa...” Pociągnął za spust.

Huk wystrzału wypełnił całą kabinę. Krew, ciało i jeszcze coś straszego rozprysnęło się w powietrzu i zbryzgało metal i szkło.

“...Światłości ze światłości, Boga prawdziwego z Boga prawdziwego...” Przymknął oczy i podnosząc broń do swej własnej skroni wykrzyknął w pełnej ekstazie: — ...poczętego, lecz nie stworzonego! Spojrzę w oczy Pana i nie zawaham się!

Ponownie pociągnął za spust.

ROZDZIAŁ 1

1

29 grudnia 1939

Mediolan, Włochy

Savarone minął sekretarkę swego syna, wszedł do jego gabinetu i podszedł do okna, które wychodziło na ogromny kompleks fabryczny, stanowiący Zakłady Przemysłowe Fontini-Cristi. Syna oczywiście nie było. Jego syn, najstarszy syn, rzadko bywał w swoim biurze; prawdę mówiąc, rzadko bywał w ogóle w Mediolanie. Jego pierworodny, prawowity dziedzic wszystkich tych fabryk, był zupełnie niepoprawny. I zadufany w sobie, i o wiele zanadto zaprzątnięty uciechami życia.

A Vittorio był wszak błyskotliwy. Znacznie bardziej niż ojciec, od którego pobierał nauki. Co tylko jeszcze więcej rozwścieczało Savarone; na człowieku obdarzonym takimi zdolnościami spoczywały większe obowiązki niż na innych. On sam nie zadowalał się powszednimi sukcesami, które przychodziły zupełnie od niechcienia. Nie hulał, nie łajdaczył się, nie grywał w ruletkę ani w bakarata. Nie trwonił nieprzespanych nocy z nagimi dziećmi Morza Śródziemnego. I nie zamykał oczu na wydarzenia, które wstrząsały całym krajem, popychając go na skraj przepaści.

Usłyszał za plecami delikatne pokastywanie i odwrócił się. W drzwiach stała sekretarka Vittoria.

— Zostawiłam wiadomość dla pańskiego syna w Borsa Yalori. Wydaje mi się, że miał dzisiaj po południu spotkać się ze swoim maklerem.

— Może się tak pani wydawać, ale wątpię, czy znajdzie się taka pozycja w jego rozkładzie dnia. — Spozrzegł, że dziewczyna się czerwieni. — Proszę mi wybaczyć. Pani nie odpowiada za mojego syna. Choć pewnie już to pani zrobiła, sugeruję, żeby spróbowała pani wszystkich prywatnych numerów, jakie kiedykolwiek pani podała. Ten gabinet jest mi dobrze znany. Zaczekam. — Zdjął jasny płaszcz z wielbłądziej wełny i tyrolski kapelusz z zielonego filcu. Rzucił je na fotel obok biurka.

— Oczywiście, proszę pana. — Dziewczyna wyszła szybko, zamykając za sobą drzwi.

Gabinet syna rzeczywiście dobrze znał, choć musiał o tym dziewczynie przypomnieć. Jeszcze dwa lata temu należał do niego. Teraz niewiele już nosił śladów jego obecności; pozostała po nim tylko ciemna boazeria. Całe umeblowanie zastąpiono zupełnie innym. Vittorio zaakceptował tylko te cztery ściany. Nic więcej.

Usiadł za biurkiem w obszernym obrotowym fotelu. Nie lubił takich foteli; był już za

stary na to, żeby dawać się gwałtownie obracać i podrzucać jakimś niewidocznym sprężonym i ukrytym łożyskom. Sięgnął do kieszeni i wyjął z niej telegram, który sprowadził go do Mediolanu z Campo di Fiori, telegram z Rzymu z wiadomością, że los Fontini-Cristich został przesądzony.

Ale przez kogo? Na czyj rozkaz? Co to znaczy “przesądzony”?

Pytania, których nie wolno było zadać przez telefon, bo telefon był narzędziem w ręku państwa. Państwo. Zawsze państwo. Widoczne i niewidzialne. Obserwujące, śledzące, podsłuchujące, węszące. Nie można było skorzystać z żadnego telefonu, nie można było uzyskać żadnej odpowiedzi od rzymskiego informatora, który użył prostego szyfru.

Z powodu braku jakiegokolwiek potwierdzenia ze strony Mediolanu, pozwalamy sobie telegrafować bezpośrednio do pana. Pięć przesyłek samolotowych młotów tłokowych wadliwe. Rzym nalega na ich natychmiastową wymianę. Powtarzam: natychmiastową. Proszę potwierdzić telefonicznie przed końcem dnia.

Cyfra “pięć” odnosiła się do Fontini-Cristich, bo w skład rodziny wchodziło pięciu mężczyzn — ojciec i czterech synów. Wszystko, co w jakikolwiek sposób wiązało się ze słowem “młot”, oznaczało nagłe i niezwykle poważne zagrożenie. Powtórzenie słowa “natychmiastową” tłumaczyło się samo: nie było chwili do stracenia — telegram należało potwierdzić w ciągu kilku minut od jego nadejścia do Mediolanu. Wtedy byłoby jeszcze dość czasu na skontaktowanie się z innymi, omówienie strategii działania, poczynienie planów. Teraz było już za późno.

Savarone otrzymał swój telegram po południu. Vittorio musiał otrzymać swój przed jedenastą. A jednak nie tylko nie skontaktował się z Rzymem, ale także nie ostrzegł swego ojca w Campo di Fiori. Do końca dnia pozostało już niewiele czasu. Za późno.

To niewybaczalne. Tylu ludzi codziennie ryzykowało życie swoje i swoich rodzin w walce przeciwko Mussoliniemu.

Savarone, wpatrując się w drzwi gabinetu z nadzieją, że lada chwila pojawi się w nich sekretarka, by poinformować go o miejscu pobytu Vittoria, rozmyślał, że nie zawsze tak było. Kiedyś wszystko wyglądało zupełnie inaczej. Z początku rodzina Fontini-Cristich poparła // *Duce*. Chwiejny Emmanuel skazywał Włochy na powolną śmierć. Benito Mussolini stanowił alternatywę. Sam osobiście pofatygował się do Campo di Fiori na spotkanie z patriarchą rodu Fontini-Cristich. Zabiegał o poparcie — jak niegdyś Machiavelli, gdy szukał sojuszu z książętami — był obietnicą, oddaniem i życiem dla całych Włoch. To było przed szesnastu laty; od tego czasu Mussolini karmił się własną retoryką. Ograbił naród z prawa do myślenia, prawa do wolnego wyboru. Oszukał arystokrację — wykorzystał ją, po czym wyparł się

jakichkolwiek wspólnych celów. Wpłatał kraj w zupełnie bezsensowną wojnę w Afryce. A wszystko dla osobistej chwały tego Cezara Maximusa. Rozszabrował duszę Włoch i Savarone przysiągł sobie, że położy temu kres. Fontini-Cristi zwołał zebranie "książąt" północnych Włoch i po cichu rozpoczęli przygotowania do wzniesienia buntu.

Mussolini nie mógł sobie pozwolić na otwarte zerwanie z rodem Fontini-Cristich. Chyba że udałoby się dowieść im zdradę stanu, i to z taką oczywistością, by nawet najzagorzalsi zwolennicy rodu musieli wyciągnąć wniosek, że Fontini-Cristi byli — niezależnie od innych spraw — po prostu głupi. Włochy zmierzały do włączenia się w niemiecką wojnę. Mussolini musiał być ostrożny. Ta wojna była mało popularna, a sami Niemcy jeszcze mniej.

Campo di Fiori stało się miejscem spotkań wszystkich niezadowolonych. Hektary trawników, rozległe lasy, wzgórza i strumienie doskonale nadawały się na odbywające się zazwyczaj nocą potajemne konferencje. Ale nie tylko: prowadzono i inne spotkania, wymagające światła dnia, podczas których młodzi mężczyźni byli szkoleni przez równie młodych, lecz już doświadczonych mężczyzn w sztuce prowadzenia nowej, dziwnej wojny. Nóż, lina, łańcuch, hak. Ukuli nawet dla siebie nazwę: *partigiani*.

Takie to były te "zabawy Włochów".

Tym ironicznym określeniem skwitował je jego syn, wyniosły, egoistyczny arystokrata, który poważnie traktował tylko własne uciechy... Nie, niezupełnie tak było. Vittorio traktował poważnie także kierowanie zakładami, jeśli tylko wymogi rynku nie kolidowały z jego prywatnym rozkładem zajęć. A umiał sprawić, żeby nie kolidowały. Swą finansową potęgę wykorzystywał bezlitośnie, a doskonałą znajomość rzeczy — znajomość, której nabrał u boku ojca — z pełną arogancją.

Rozległ się dzwonek telefonu; Savarone bardzo chciałby odebrać, ale tego nie zrobił. Gabinet, telefon należały do syna. Wstał więc z okropnego fotela, podszedł do drzwi i otworzył je. Sekretarka powtarzała czyjeś nazwisko.

— ...pan Tesca?

— Czy to Alfredo Tesca? — Savarone przerwał jej gwałtownie. Dziewczyna skinęła głową.

— Proszę mu powiedzieć, żeby się nie rozłączał. Będę z nim mówił. Wrócił spieszenie do biurka swego syna i stojącego na nim aparatu. Alfredo Tesca był brygadzystą w jednej z jego fabryk; był także *partigiano*.

— Fontini-Cristi — rzucił do słuchawki.

— *Padrone?* Cieszę się, że to pan. Ta linia jest czysta; sprawdzamy ją codziennie.

— Nic się nie zmienia. Tylko ulega przyspieszeniu.

— Tak, *padrone*. Jest pewna niezwykle pilna sprawa. Przyleciał człowiek z Rzymu. Musi się spotkać z członkiem pańskiej rodziny.

— Gdzie?

— W domu nad Oloną.

— Kiedy?

— Jak najszybciej.

Savarone spojrzał na swój płaszcz i zielony filcowy kapelusz, rzucone na fotel.

— Tesca? Czy pamiętasz spotkanie w mieszkaniu przy Duomo? Dwa lata temu?

— Tak, *padrone*. Dochodzi szósta. Będę na pana czekał. Fontini-Cristi odłożył słuchawkę, sięgnął po płaszcz i kapelusz.

Nałożył je i spojrzał na zegarek. Była piąta czterdzieści pięć; musiał kilka minut zaczekać. Przejście wybetonowanym podjazdem do fabryki zajmowało tylko chwilę. Musiał to tak wyliczyć w czasie, żeby wejść w największym tłoku; kiedy dzienna zmiana wychodziła do domu, a nocna spieszyła do pracy.

Vittorio w pełni wykorzystał rozkręcanie przez *IL Duce* maszyny wojennej. Zakłady Fontini-Cristi pracowały dwadzieścia cztery godziny na dobę. Kiedy ojciec zganiał za to syna, syn odparł: "Nie interesuje nas uzbrojenie, ojcze. Nie jesteśmy do tego przystosowani, a zmiana profilu produkcji byłaby zbyt kosztowna. Jedyne, co nas interesuje, to zyski".

Jego własny syn. Najzdolniejszy z jego synów wydawał się pusty w środku.

Wzrok Savarone padł na fotografię w srebrnej ramce stojącej na biurku Vittoria. Już sama jej obecność była okrutnym żartem spletanym samemu sobie. Twarz na zdjęciu należała do młodej kobiety, ładnej w potocznym rozumieniu tego słowa, o zuchwałych i bezczelnych rysach rozpieszczonego dziecka wkraczającego w rozpieszczony wiek dojrzały. Kobieta, która była żoną Vittoria. Przed dziesięciu laty.

Nie było to udane małżeństwo. Przypominało raczej ekonomiczny alians dwóch niezmiernie bogatych rodów. I panna młoda niewiele wniosła do tego związku; była nadąsaną, folgującą sobie we wszystkim gęsią, dla której miernikiem świata i życia było bogactwo.

Zginęła w wypadku samochodowym w Monte Carlo wczesnym świtem po zamknięciu kasyn. Vittorio nigdy nawet jednym słowem nie wspominał o tamtym ranku. To nie z nim jechała wtedy samochodem. Była z innym mężczyzną.

Vittorio męczył się nieznośnie cztery lata u boku żony, której nie mógł ścierpieć, a jednak trzymał na biurku jej fotografię. Kiedyś, dziesięć lat po jej śmierci, Savarone zapytał go dlaczego.

— Status wdowca przydaje mi pewnej szacowności.

Za siedem szósta. Pora ruszać. Savarone wyszedł z gabinetu syna.

— Proszę zadzwonić na dół — polecił sekretarce — i kazać podstawić mój samochód z drugiej strony, pod zachodnią bramie. Proszę powiedzieć kierowcy, że mam spotkanie na Duomo.

— Tak jest, proszę pana... Czy zechce pan zostawić numer, pod którym będzie mógł znaleźć pana pański syn?

— Niech mnie szuka w Campo di Fiori. Tylko że nim on zadzwoni, ja bez wątpienia zdążę już położyć się spać.

Zjechał prywatną windą na parter i wyjściem dla zarządu wy dostał się na wybetonowany plac. W odległości trzydziestu metrów dostrzegł swego kierowcę podchodzącego do limuzyny z herbem Fontini-Cristich na drzwiczkach. Wymienili spojrzenia. Szofer skinął ledwo dostrzegalnie głową; wiedział, co ma robić. On też był *partigiano*.

Savarone przeciął podwórze, czując na sobie bardzo wiele spojrzeń. To dobrze, że był obserwowany; tak właśnie się to odbywało dwa lata wcześniej, kiedy tajna policja // *Duce* śledziła jego każdy krok, próbując wpaść na trop antyfaszystowskiej komórki. Zawyla syrena fabryczna; dzienna zmiana kończyła pracę i za kilka minut podwórze i wszystkie korytarze wypełnił zbity tłum. Przez zachodnią bramę napływała fala robotników zmiany nocnej, mających objąć stanowiska pracy o szóstej piętnaście.

Wszedł wejściem dla pracowników i znalazł się w zatłoczonym i gwałtownym korytarzu; pośród panującego tu zamieszania zdjął płaszcz i zielony kapelusz. Tesca stał przy ścianie w połowie drogi do drzwi szatni pracowniczych. Był wysoki i szczupły, mieli bardzo podobną figurę; wziął od Savarone płaszcz i kapelusz i pomógł mu nałożyć swój własny podniesczony deszczowiec do pół łydki ze sterczącą z kieszeni gazetą. Potem wręczył mu czapkę z dużym daszkiem. Zamiana odbyła się bez jednego słowa, pośród kłębiącego się tłumy. Tesca przyjął pomoc Savarone przy nakładaniu płaszcza z wielbłądziej wełny; pracodawca ujrzał, że jego pracownik zadał sobie trud — dokładnie tak jak dwa lata wcześniej — by przebrać się w świeżo wyprasowane spodnie, wygłansowane do połysku buty, białą koszulę i krawat.

Partigiano wmieszał się w ludzką falę płynącą do drzwi wyjściowych. Savarone trzymał się dziesięć metrów za nim, po czym już na dworze przystanął na podwyższeniu przed wejściem, udając, że czyta gazetę.

Zobaczył to, co chciał zobaczyć. Płaszcz z wielbłądziej wełny i tyrolski kapelusz wyraźnie odbijały od znoszonych skórzanych kurtek i wytartych ubrań robotników. Dwóch mężczyzn stojących po drugiej stronie ciżby dało sobie znak i rozpoczęło pościg, przepychając

się na łeb na szyję przez tłum, by za wszelką cenę je dogonić. Savarone wtopił się w strumień robotników i znalazł się przy bramie w samą porę, żeby zobaczyć, jak zatrząskują się drzwiczki limuzyny Fontini-Cristich i ogromny samochód włącza się w ruch uliczny na Via di Sempione. Mężczyźni przystanęli na brzegu chodnika, natychmiast podjechał do nich szary fiat i obaj wskoczyli do środka.

Fiat podjął pościg. Savarone skręcił na północ i przeszedł szybkim krokiem na przystanek autobusowy na najbliższym rogu ulicy.

Dom przy nabrzeżu był rudera, pomalowaną niegdyś, pewnie z dziesięć lat wcześniej, na biało. Choć z zewnątrz sprawiał wrażenie kompletnej ruiny, w środku był schludny i przyzwoicie urządzone; stanowił miejsce pracy, siedzibę komórki antyfaszystowskiej.

Savarone wszedł do pokoju z oknami wychodzącymi na mroczny nurt Olony, zaciemnionymi teraz przez noc. Ze zwykłych krzeseł przy stole powstało trzech mężczyzn i przywitało go ze wzruszeniem i szacunkiem. Dwóch z nich znał; trzeci, jak wywnioskował, musiał być tym człowiekiem z Rzymu.

— Dziś rano wysłano wiadomość z hasłem "młot" — powiedział Savarone. — Co ona oznacza?

— Dostał pan telegram?! — spytał z niedowierzaniem człowiek z Rzymu. — Wszystkie telegramy do Fontini-Cristich w Mediolanie zostały przechwycone. Dlatego właśnie tu jestem. Przerwano całą łączność z waszymi fabrykami.

— Otrzymałem go w Campo di Fiori. Pewnie przez urząd telegraficzny w Yeresse, a nie w Mediolanie. — Świadomość, że Vittorio nie złamał jednak jego rozkazu, przyniosła odrobinę ulgi. — Czy wie pan dokładnie, o co chodzi?

— Niezupełnie, *padrone* — odparł wysłaniec z Rzymu. — Ale to, co wiemy, wystarczy, żeby potraktować sprawę bardzo poważnie. I zareagować bez chwili zwłoki. Wojsko zaczęło nagle przejawiać niezwykle zainteresowanie ruchem oporu na północy kraju. Generałowie zażądali jego rozbicia; chcą postawić pańską rodzinę w stan oskarżenia.

— O co?

— O działania wywrotowe przeciw włoskiemu państwu.

— Na jakiej podstawie?

— Organizowania w Campo di Fiori zebrań o charakterze zdrady stanu. Rozpowszechniania antypaństwowych kłamstw; próby szkodzenia polityce Rzymu i dezorganizacji przemysłu.

— Słowa.

— Wyraźnie chodzi im o danie odstrasżającego przykładu. Podobno tego żądają.

— Bzdura. Rzym nie odważy się wystąpić przeciwko nam na podstawie tak wątpliwych poszlak.

— W tym właśnie cały problem, proszę pana — odparł mężczyzna z wahaniem. — To nie Rzym, to Berlin.

— Co?

— Niemcy panoszą się dosłownie wszędzie, wszystkim rozkazują. Mówi się, że to Berlin żąda pozbawienia rodziny Fontini--Cristich wszelkich wpływów.

— Myślą perspektywicznie — powiedział podchodząc do okna starszy z pozostałych dwóch *partigiani*.

— A w jaki sposób chcą to osiągnąć? — spytał Savarone.

— Rozbić jedno z zebrań w Campo di Fiori. Zmusić tych, których tam zastaną, do złożenia zeznań obciążających rodzinę Fontini-Cristich zdradą stanu. Myślę, że to może się okazać łatwiejsze, niż pan sądzi.

— Zgadzam się. Dlatego właśnie byliśmy bardzo ostrożni... Kiedy ma to nastąpić według was?

— Wyjechałem z Rzymu w południe. Mogę tylko zakładać, że hasła "młot" użyto poprawnie.

— Najbliższe zebranie mamy dziś wieczorem.

— Stąd i "młot". Niech je pan odwoła, *padrone*. Najwidoczniej był przeciek.

— Będzie mi potrzebna wasza pomoc. Podam wam nazwiska... Naszych telefonów nie można być pewnym. — Fontini-Cristi *zaczai* szybko pisać w notatniku na stole ołówkiem podanym mu przez trzeciego z *partigiani*.

— Na którą wyznaczone jest zebranie?

— Na dziesiątą trzydzieści — odparł Savarone. — Zdażymy.

— Mam nadzieję. Niemcy uderzają niezwykle precyzyjnie. Fontini-Cristi przerwał pisanie i spojrzał na posłańca.

— Mówi pan dziwne rzeczy. Niemcy mogą sobie wyrzaskiwać swoje rozkazy w Campidoglio, ale nie tu, w Mediolanie.

Trzej partyzanci spojrzeli po sobie. Savarone zrozumiał, że mają jakieś dalsze wiadomości, których mu jeszcze nie przekazali. W końcu posłaniec z Rzymu powiedział: — Jak wspomniałem, nasze informacje nie są kompletne, ale pewne rzeczy wiemy. Na przykład to, jak bardzo zainteresowany jest tą sprawą Berlin. Niemieckie naczelne dowództwo żąda, żeby Włochy otwarcie się zadeklarowały. Mussolini jeszcze się ociąga; z wielu powodów, z których dość istotnym jest opór ludzi tak potężnych jak pan... — Mężczyzna urwał; w jego

głosie zabrzmiała nuta niepewności. Najwyraźniej jednak nie co do posiadanych informacji, lecz co do tego, w jaki sposób je przekazać.

— Do czego pan zmierza?

— Mówi się, że zainteresowanie Berlina rodziną Fontini-Cristich inspirowane jest przez gestapo. To naziści domagają się pokazówki. To oni szykują się do zmiżdżenia opozycji wobec Mussoliniego.

— Jasne. Ale co z tego wynika?

— Ponieważ nie mają zbyt dużego zaufania do Rzymu, a tutejszym władzom nie ufają wcale, grupę uderzeniową poprowadzą Niemcy.

— Niemiecka grupa uderzeniowa z Mediolanu?! Wyśłannik z Rzymu skinął głową.

Savarone odłożył ołówek i popatrzył na niego. Ale nie o nim teraz myślał; myślami odbiegł daleko, do greckiego pociągu z Salonik, 7. którym spotkał się wysoko w górach koło Champoluc. Do ładunku, jaki wioził ten pociąg. Urny spoczywającej teraz w wiecznej zmarzlinie wyższych partii Alp.

Wydawało się to niepodobieństwem, ale w tych czasach powszechnego obłędu niepodobieństwa stały się czymś zupełnie powszednim. Czy Berlin dowiedział się o przesyłce z Salonik? Boże wszechmogący, za wszelką cenę należało ją przed nimi uchronić! I przed wszystkimi — wszystkimi takimi jak oni!

— Jesteście pewni swoich informacji?

— Jesteśmy pewni.

Fontini-Cristi pomyślał, że z Rzymem można sobie poradzić. Włochy bardzo potrzebowały zakładów koncernu Fontini-Cristi. Ale jeśli niemieckie naciski miały cokolwiek wspólnego z urną, to Berlin ani przez chwilę nie będzie się oglądał na potrzeby Rzymu. Nic nie mogło się równać z posiadaniem tej urny.

I dlatego też należało ją chronić za wszelką cenę, nawet za cenę życia. A przede wszystkim nie można było dopuścić, by jej tajemnica wpadła w niepowołane ręce. Zwłaszcza teraz. Nigdy nie powinna, ale teraz zwłaszcza.

Kluczem był Vittorio. Zawsze Vittorio, najzdolniejszy z nich wszystkich. Bo cokolwiek by o nim powiedzieć, Vittorio był Fontinim-Cristim. Dotrzyma zobowiązań rodziny, to godny przeciw- nik dla Berlina. Nadszedł czas, żeby powiedzieć mu o przesyłce z Salonik, wprowadzić go w szczegóły porozumienia z monastycznym zgromadzeniem ksenopitów. Pora była po temu odpowiednia, plan opracowany.

Data wykuta w skale, wryta na wieki, była tylko naprowadzeniem, wskazówką na wypadek, gdyby serce odmówiło posłuszeństwa, na wypadek nagłej śmierci z przyczyn czy to

naturalnych, czy też nie. To nie wystarczyło.

Vittorio musiał się o wszystkim dowiedzieć, przyjąć na siebie odpowiedzialność większą, niż był to w stanie sobie wyobrazić. Bo przy dokumentach z Konstantyny wszystko inne blakło i stawało się nieistotne.

Savarone podniósł wzrok na trzech mężczyzn.

— Dzisiejsze zebranie zostaje odwołane. Obława zastanie tylko wielkie zgromadzenie rodzinne. Wielki świąteczny obiad. Wszystkie moje dzieci z ich dziećmi. Żeby jednak było ono kompletne, także mój najstarszy syn musi się zjawić w Campo di Fiori. Próbowałem złapać go telefonicznie przez całe popołudnie. Teraz spada to na was. Siadajcie do telefonów. Obdzwońcie cały Mediolan, jeśli zajdzie taka potrzeba, ale go znajdźcie! Gdyby się zrobiło późno, powiedzcie mu, żeby przyjechał drogą przez stajnie. Nie byłoby dobrze, gdyby zjawił się równocześnie z obławą.

29 grudnia 1939

Jezioro Como, Włochy

Biała dwunastocylindrowa hispano-suiza z opuszczonym do połowy jasnokremowym dachem, odsłaniającym obite czerwoną skórą przednie siedzenia, weszła z ogromną szybkością w długi zakręt. W dole na lewo błyskały zimowym błękitem wody jeziora Como, po prawej wnosiły się góry Lombardii.

— Vittorio! — zapiszczała dziewczyna siedząca obok kierowcy, przytrzymując jedną ręką wzburzone pędem powietrza jasne włosy, a drugą zaciskając pod szyją kołnierz z rosyjskich kuców. — Zniszczysz mi fryzurę, skarbie.

Kierowca uśmiechnął się, nie odrywając spojrzenia zmrużonych od słońca szarych oczu od pędzącej mu na spotkanie drogi, z mistrzowskim wycuciem, niemal pieśczośliwie trzymając kierownicę z kości słoniowej. — Suiza jest o niebo lepsza od alfy-romeo. Brytyjski rolls w ogóle nie może się z nią równać.

— Mnie nie musisz tego udowadniać, kochanie. Wielki Boże, wolę nie patrzeć na licznik! Będę wyglądała jak czupiradło!

— I dobrze. Gdybyśmy na Bellagio natknęli się na twego męża, to cię nie pozna. Przedstawię cię jako absolutnie uroczą kuzyneczkę z Verony.

Dziewczyna roześmiała się.

— Jeśli mój mąż jest na Bellagio, to na pewno z jakąś absolutnie uroczą kuzyneczką, którą przedstawi nam.

Oboje wy buchnęli śmiechem. Zakręt się skończył, dalej droga biegła już prosto. Dziewczyna przytuliła się do kierowcy. Wsunęła rękę pod ramię jego brązowej kurtki z zamssu wypchanej grubym wełnianym golfem, który miał pod spodem. Musnęła policzkiem jego ramię.

— Jesteś kochany, że zadzwoniłeś. Tak bardzo właśnie chciałam się gdzieś wyrwać.

— Wiedziałem o tym. Wyczytałem to w twoich oczach wczoraj wieczorem. Nudziłaś się jak mops.

— Mój Boże, a ty nie? Co za koszmarny obiad! Nic, tylko gadanie, gadanie, gadanie. Wojna tamto, wojna siamto, Rzym tak, Rzym siak, w kółko tylko Benito. Mam już tego po dziurki w nosie. Gstaad nieczynne! St. Moritz pełne Żydów ciskających w każdego garściami pieniędzy. W Monte Carlo kompletna klapa. Wszyscy mówią, że kasyna szykują się do

zamknięcia. Można skonać z nudy!

Kierowca puścił prawą ręką kierownicę i sięgnął do kolan dziewczyny. Rozchylił delikatnie poły jej futra i powiódł pieszczotliwie palcami po wewnętrznej stronie uda, robiąc to z tą samą wprawą, z jaką przesuwiał nimi po kierownicy z kości słoniowej. Dziewczyna jęknęła rozkosznie i wyciągnąwszy szyję dotknęła wargami jego ucha, wsuwając w nie trzepoczący język.

— Jeśli nie przestaniesz, wylądujemy w wodzie. Podejrzewam, że jest piekielnie zimna.

— To ty zacząłeś, mój piękny Vittorio.

— I ja przerwę — odparł z uśmiechem, przenosząc dłoń z powrotem na kierownicę. — Teraz już długo nie będzie mnie stać na drugi taki samochód. Dziś wszystko idzie na czołgi. Tylko że zyski z tych czołgów są znacznie mniejsze.

— Och, proszę cię, nie rozmawiaj ze mną o wojnie!

— To ci mogę obiecać — powiedział Fontini-Cristi, roześmiewszy się ponownie. — Chyba że chcesz negocjować jakieś dostawy dla Rzymu. Wyślę ci wszystko, poczynając od pasów transmisyjnych i motocykli, a na mundurach kończąc.

— Wy nie szyjecie mundurów.

— Jesteśmy właścicielami spółki, która to robi.

— Zapomniałam. Fontini-Cristi są właścicielami wszystkiego na północ od Parmy i na zachód od Padwy. Tak przynajmniej mówi mój mąż. Oczywiście z dziką zazdrością.

— Twój mąż, ospałe hrabiątko, ma dwie lewe ręce do interesów.

— A chciałby mieć dwie prawe.

Vittorio Fontini-Cristi uśmiechnął się, przyhamowując długą białą limuzynę przed łukowatym zjazdem w kierunku jeziora. W połowie drogi, na cyplu Bellagio, stała elegancka willa Lario, nazwana tak na cześć starożytnego piewcy Como. Był to wypoczynkowy pensjonat, słynny zarówno ze swego niezwyklego piękna, jak i wyjątkowej ekskluzywności.

Kiedy śmietanka towarzyska ruszała na północ, zabawiała się w willi Lario. Za wizytówkę służyły tu nazwiska i pieniądze. Służba nie była natrętna, mówiła przyciszonym głosem, doskonale знаła każde najmniejsze upodobanie klientów i wykazywała niezwykle wyczucie w kwestii dokonywania rezerwacji. Nie było czymś niezwykłym, gdy mąż czy żona, kochanek czy kochanka, otrzymali cichy ostrzegawczy telefon z sugestią przełożenia terminu przyjazdu. Lub natychmiastowego wyjazdu.

Hispano-suiza skręciła na parking z błękitnej cegły; z ogrzewanej budki dwaj boye w liberiach podbiegli z obu stron do limuzyny i z ukłonem otworzyli drzwiczki.

— Witamy w willi Lario, proszę pana — powiedział ten po stronie Vittoria.

Nigdy nie padało: "Miło nam znów pana widzieć". Nigdy.

— Dziękuję. Nie mamy żadnego bagażu. Przyjechaliśmy tylko na jeden dzień. Proszę sprawdzić benzynę i olej. Czy mechanik jest gdzieś pod ręką?

— Tak, proszę pana.

— Niech sprawdzi kierownicę. Ma za dużo luzu.

— Oczywiście, proszę pana.

Fontini-Cristi wysiadł z samochodu. Był wysokim mężczyzną, miał ponad metr osiemdziesiąt wzrostu. Proste ciemnokasztanowe włosy opadały mu na czoło, ostrymi orlimi rysami twarzy przypominał ojca, a jego oczy, wciąż zmrużone od jaskrawego słońca, wydawały się zarazem bierne i czujne. Przeszedł wokół białej maski auta, bezwiednie muskając ręką korek chłodnicy, i uśmiechnął się do swej towarzyszki, hrabiny d'Avenzo. Razem podeszli do kamiennych schodów przed głównym wejściem willi Lario.

— Co powiedziałaś służbie? — spytał Fontini-Cristi. — Że dokąd jedziesz?

— Do Treviglio. Jesteś ujeżdżaczem koni, który chce mi sprzedać jakiegoś araba.

— Przypomnij mi, żebym ci go kupił.

— A ty? Co ty powiedziałaś w biurze?

— Prawdę mówiąc, nic. Tylko moi bracia mogliby o mnie pytać; wszyscy inni cierpliwie czekają.

— Ale nie twoi bracia. — Hrabina d'Avenzo uśmiechnęła się. — To mi się podoba. Ważny Vittorio ścigany w interesach przez braci.

— Gdzie tam! Moi kochani młodszy braciszczkowie mają razem trzy żony i jedenaścioro dzieci. Jedyne, co ich wciąż *zaprząta*, to nieustanne problemy natury domowej. Czasami mi się zdaje, że mają we mnie rozjemcę. Co mi odpowiada; nie starcza im czasu na nic innego i nie wtrącają mi się do interesów.

Przystanęli na tarasie przed oszklonymi drzwiami prowadzącymi do hallu willi Lario, wodząc wzrokiem po wodach leżącego w dole ogromnego jeziora i szczytach wznoszących się za nim gór.

— Pięknie tutaj — powiedziała hrabina. — Zamówiłeś pokój?

— Apartament. Ten na dachu. Widok z jego okien jest zupełnie nieprawdopodobny.

— Słyszałam o tym. Nigdy tam, na górze, nie byłam.

— Niewielu ludzi było.

— Pewnie wynajmujesz go na całe miesiące.

— To nie jest konieczne — odparł Fontini-Cristi, odwracając się ku wielkim

oszklonym drzwiom. — Widzisz, tak się składa, że to ja jestem właścicielem willi Lario.

Hrabina wybuchnęła śmiechem. Weszła do hallu, przepuszczona przodem przez Vittoria.

— Jesteś zupełnie niemożliwy i amoralny. Bogacisz się na ludziach swojej sfery. Mój Boże, mógłbyś szantażować pół Włoch!

— Tylko naszych Włoch, kochanie.

— To wystarczy!

— Nie powiedziałbym. Ale nigdy nie musiałem tego robić, jeśli to cię uspokoi. Jestem tu wyłącznie gościem. Zaczekaj chwilę.

Vittorio podszedł do recepcji.

Zza marmurowego kontuaru przywitał go ubrany w smoking recepcjonista.

— Jakże to miło z *pana* strony, panie Fontini-Cristi, że raczył pan nas odwiedzić.

— Wszystko dobrze?

— Jak najlepiej. Może zechciałby pan...?

— Nie, nie zechciałbym — przerwał mu Vittorio. — Wnioskuje, że pokoje dla mnie są już przygotowane?

— Oczywiście, proszę pana. Tak jak pan sobie życzył, przygotowujemy także wczesną kolację. Irański kawior, prasowana kaczka na zimno, *veuve cliquot* rocznik 28.

— Naturalnie kwiaty. Masażysta w każdej chwili może odwołać innych klientów.

— I?

— Nie ma żadnych komplikacji dla hrabiny d'Avenzo — ciągnął jednym tchem recepcjonista. — Nie mamy dzisiaj u siebie nikogo z jej kręgu.

— Dziękuję. — Fontini-Cristi odwrócił się, żeby odejść, ale powstrzymał go głos recepcjonisty.

— Proszę pana?

— Tak?

— Zdaję sobie sprawę, że pan nie lubi, żeby zakłócano mu spokój poza zupełnie pilnymi sprawami, ale dzwoniło z pańskiego biura.

— Czy moja sekretarka powiedziała, że to pilna sprawa?

— Powiedziała, że pański ojciec usilnie próbuje pana znaleźć.

— To nie jest pilna sprawa. To fanaberia.

J. ak sobie myślę, kotku, że może mimo wszystko znalazłam jednak tego araba — powiedziała z rozmarzeniem hrabina, leżąc u boku Vittoria. Puchowa kołdra niewinnie zsunęła się z jej nagich piersi. — Jesteś cudowny. Taki wytrwały.

— Chyba jednak nie dość wytrwały — odparł Fontini-Cristi. Usiadł, podkładając sobie poduszkę pod plecy, i spojrzął na dziewczynę; w rękę trzymał zapalonego papierosa.

— Nie dość wytrwały — zgodziła się hrabina d'Avenzo, odwracając do niego twarz i uśmiechając się. — Może zgasiłbyś tego papierosa?

— Zaraz to zrobię. Możesz być pewna. Chcesz trochę wina? — Wskazał na srebrny kubek stojący na trójnogu w zasięgu ręki; z topniejącego kruszonego lodu sterczała otwarta butelka owinięta w lnianą serwetkę.

Hrabina nie oderwała od niego wzroku; jej oddech stał się krótki i urywany.

— Ty nalej sobie tego wina — powiedziała. — Ja wolę własne. Płynnym, delikatnym ruchem obróciła się i sięgnęła obiema rękami pod kołdrę, ku jego pachwinom. Uniosła puchową narzutę i wsunęła pod nią głowę, przytulając się do Vittoria. Kołdra opadła z powrotem, zupełnie ja przesłaniając, spod spodu zaczęły dobiegać coraz głośniejsze gardłowe jęki i przez ciało hrabiny przebiegł pierwszy spazm.

Jvelnerzy sprząтали nakrycia i wytoczyli stolik na kółkach, *commesso* rozpałił ogień na kominku i nalał koniaku.

— To był cudowny dzień — powiedziała hrabina d'Avenzo. — Czy możemy mieć takie dni częściej?

— Myślę, że powinniśmy ustalić harmonogram spotkań. Oczywiście według twojego kalendarza.

— Oczywiście. — Dziewczyna roześmiała się gardłowo. — Jesteś bardzo praktyczny.

— Dlaczego nie? Tak jest łatwiej.

Zabrzęczał dzwonek telefonu. Vittorio spojrzął z irytacją na aparat, po czym wstał z fotela przed kominkiem i z rozdrażnieniem podszedł do stolika przy łóżku. Podniósł słuchawkę i rzucił do niej szorstko: — Tak.

Głos z drugiej strony wydał mu się mgliście znajomy.

— Mówi Tesca. Alfredo Tesca.

— Kto?!

— Brygadzysta z zakładów w Mediolanie.

— Brygadzysta?! Jak pan śmie tu do mnie dzwonić?! Kto panu podał ten numer?

Tesca zamilkł na chwilę.

— Zagroziłem śmiercią pańskiej sekretarce, młody *padrone*. I zabiłbym ją, gdyby mi go nie podała. Może mnie pan wyrzucić choćby jutro. Jestem brygadystą w pańskiej fabryce, ale przede wszystkim jestem *partigiano*.

— Wyrzucam pana już dzisiaj. Jest pan zwolniony! Już! Od tej chwili!

— Niech i tak będzie, proszę pana...

— Nie życzę sobie...

— Basta! — ryknął Tesca. — Nie ma chwili do stracenia! Wszyscy pana szukają. *Padrone* jest w niebezpieczeństwie! Całej waszej rodzinie grozi niebezpieczeństwo. Niech pan jedzie do Campo di Fiori! Natychmiast! Pański ojciec kazał panu jechać przez stajnie!

Połączenie zostało przerwane.

Savarone przeszedł przez główny hali do ogromnej jadalni Campo di Fiori. Wszystko było tak, jak być powinno. Salę wypełniali synowie i córki, ich mężowie i żony i nieznośnie hałaśliwy tłum wnucząt. Służba rozstawiła na marmurowych stołach srebrne tace z przystawkami. Wysoka sosna sięgająca belkowanego sufitu stanowiła wspaniałą świąteczną choinkę; jej niezliczone światełka i błyszczące ozdoby rozjarzyły całą jadalnię kolorowymi blaskami pełgającymi po obiciach ściennych i bogatych w zdobienia mebli.

Na dworze, na kolistym podejździe przed marmurowymi schodami drzwi wejściowych, stały cztery auta oświetlone snopami światła reflektorów umieszczonych pod okapem dachu. Z wyglądu sądząc, samochody te mogły należeć do kogokolwiek, o co właśnie chodziło, bo kiedy grupa szturmowa się zjawi, zastanie tylko niewinne, świąteczne zgromadzenie rodzinne. Nic więcej.

Nic ponad władczy gniew głowy rodziny jednego z najpotężniejszych klanów włoskich, rodziny Fontini-Cristi, żądającego informacji, kto odpowiada za to barbarzyńskie najście.

Brakowało tylko Vittoria; a jego obecność była niesłychanie ważna. Żeby nie prowokować pytań wiodących do innych pytań. Niechętnie nastawiony do konspiracji Vittorio, drwiący z niej ile wlezie, mógłby niezasłużenie stać się obiektem podejrzeń. Bo co to za rodzinny obiad bez pierworodnego syna, głównego dziedzica? Co więcej, gdyby Vittorio pojawił się w trakcie najazdu, arogancko nieskory — jak to on — do zdawania komukolwiek relacji ze swych poczynań, mógłby narobić sporo kłopotów. Choć jego syn nie chciał tego przyjąć do wiadomości, to *przecież* Rzym rzeczywiście robił wszystko pod dyktando Berlina.

Savarone przywołał skinieniem drugiego syna, poważnego Antonia, który stał obok swej żony karcącej jedno z ich dzieci.

— Tak, ojcze?

— Idź do stajni. Odszukaj Barziniego. Przekaż mu, że jeśli Vittorio zjawi się podczas najazdu faszystów, ma powiedzieć, że zatrzymało go coś w jednym z zakładów.

— Mogę zadzwonić do stajni wewnętrznym telefonem.

— Nie. Barzini bardzo się posunął. Udaje, że tak nie jest, ale zaczyna głuchnąć. Upewnij się, czy wszystko dobrze rozumiał.

Drugi syn skinął posłusznie głową.

— Oczywiście, ojciec. Jak sobie życzysz.

Jaka miłość boską, co takiego ten jego ojciec zrobił? Cóż takiego mógł zrobić, co dałoby Rzymowi śmiałość, pretekst do jawnego wystąpienia przeciwko domowi Fontini-Cristich?

“Całej waszej rodzinie grozi niebezpieczeństwo”.

Co za absurd!

Mussolini hołubił przemysłowców północy — potrzebował ich. Wiedział, że większość ma już swoje lata i skostniałe z wiekiem nawyki i że więcej z nimi osiągnie marchewką niż kijem. Jakie znaczenie mogły mieć zabawy kilku starców takich jak Savarone? Ich czas już minął.

Ale też istniał tylko jeden Savarone. Trzymał się z dala i wyróżniał spośród wszystkich innych ludzi. I stał się być może czymś okropnym — symbolem. Z tymi swymi idiotycznymi, przekłętymi *partigiani*. Obląkaną hołotą ganiającą po lasach i polach Campo di Fiori, udającą wojowników jakiegoś prymitywnego szczepu, łowców tygrysów i lwów.

Jezu! Co za dzieci!

No, teraz będzie się to musiało skończyć. *Padrone* czy nie, jeśli ojciec posunął się za daleko i ściągnął na nich jakieś kłopoty, to czekało go ostre starcie. Dwa lata temu w rozmowie z ojcem postawił sprawę jasno: przejmie kierowanie koncernem Fontini-Cristi, ale tylko pod warunkiem, że wszystkie wodze znajdą się w jego rękach.

Nagle przypomniał sobie. Dwa tygodnie temu Savarone pojechał na kilka dni do Zurychu. W każdym razie tak mu powiedział. Vittorio nie bardzo orientował się po co, nie słuchał go wtedy zbyt uważnie. Ale w trakcie tych kilku dni nieobecności ojca okazało się nagle konieczne uzyskanie jego podpisu na pewnym kontrakcie. Sprawa była na tyle ważna, że obdzwonił wszystkie hotele w Zurychu, próbując go znaleźć. Bez skutku. Nikt go nigdzie nie widział, a Savarone nie należał do osób, które łatwo uchodzą czyjejs uwagi.

A po powrocie do Campo di Fiori nie chciał wyjawić, gdzie był. Omal nie doprowadził Vittoria do szału, mówiąc, że wyjaśni mu wszystko za kilka dni. Że w Monfalcone wydarzy się jakiś wypadek i kiedy to nastąpi, Vittorio dowie się wszystkiego. Musi się dowiedzieć.

O czym, u diabła, jego ojciec mówił? Jaki znowu wypadek w Monfalcone? W jaki sposób coś, co działo się w Monfalcone, mogło ich w ogóle dotyczyć?

Co za absurd!

Ale Zurych to już nie był absurd. W Zurychu były banki. Czy Savarone dokonał tam jakichś finansowych operacji? Wycofał z Włoch do Szwajcarii jakieś poważne sumy? Obecne prawa surowo tego zabraniały. Mussoliniemu potrzebny był każdy lir, który zdołał zatrzymać

w kraju. I przecież, na Boga, rodzina miała absolutnie wystarczające rezerwy ulokowane w Bernie i Genewie; w Szwajcarii nie brakowało kapitałów Fontini-Cristich.

Cokolwiek Savarone zrobił, będzie to jego ostatnie posunięcie. Jeśli ojciec był aż tak bardzo zaangażowany politycznie, to niech sobie jedzie głosić swoje posłannictwo gdzie indziej. Choćby do Ameryki.

Kierując swoją hispano-suizę na drogę wyjazdową z Yarese pokręcił powoli głową w poczuciu porażki. Co też mu przyszło do głowy? Savarone to... Sayarone. Głowa rodu Fontini-Cristich. Bez względu na wszystkie talenty i uzdolnienia syna, syn to nie *padrone*.

“Jedź drogą przez stajnie”.

O co mu mogło chodzić? Droga przez stajnie zaczynała się u północnego krańca posiadłości, pięć kilometrów za wschodnią bramą. Jednak pojedzie tamtędy; ojciec musiał mieć jakiś powód, by wydać mu to polecenie. Z pewnością równie absurdalny, jak te bezsensowne zabawy, w jakie się wdawał, bez względu jednak na to, wymagał okazania synowskiego posłuszeństwa, przynajmniej na zewnątrz. Jeszcze raz postanowił, że będzie bardzo stanowczy wobec ojca.

Co takiego wydarzyło się w Zurychu?

Minął główną bramę przy szosie z Yarese i przejechał jeszcze pięć kilometrów do skrzyżowania z drogą na zachód. Skręcił w lewo i po dalszych trzech kilometrach dotarł do północnej bramy Campo di Fiori. Skręciwszy w lewo raz jeszcze, znalazł się na terenie majątku. Stajnie stały jakiś kilometr od bramy; prowadziła do nich zwykła, nie utwardzona droga. Łatwiej było pokonać ją konno, bo też z tej właśnie drogi korzystali jeźdźcy wyprawiający się na przejażdżkę ścieżkami i polami ciągnącymi się na północ i zachód od lasu w centrum Campo di Fiori. Lasu rosnącego za wielkim domem, przeciętego na dwie części szerokim strumieniem spływającym z północnych gór.

W smugach reflektorów ujrzał sylwetkę starego Guido Barziniego, wymachującego rękami, żeby się zatrzymał. Pokręcony reumatyzmem Barzini był niezwykłą postacią — nieodłącznym elementem Campo di Fiori, człowiekiem, który całe życie poświęcił służbie rodzinie.

— Szybko, panie Vittorio! — zawołał Barzini do wnętrza samochodu przez opuszczoną szybę. — Niech pan zostawi auto tutaj. Nie ma już ani chwili.

— Na co?

— *Padrone* rozmawiał ze mną niecałe pięć minut temu. Powiedział, że jeśli teraz pan przyjedzie, to przed przyjsciem do domu ma pan zadzwonić do niego przez telefon ze stajni. Jest już prawie pół godziny po wyznaczonym czasie.

Vittorio spojrzął na zegar na tablicy rozdzielczej. Było dwadzieścia osiem po dziesiątej.

— Co tu się dzieje?

— Szybciej, proszę! Faszyci!

— Jacy znowu faszyci?

— *Padrone* wszystko panu powie.

Fontini-Cristi wysiadł z samochodu i ruszył za Barzinim wyłożoną płaskimi kamieniami ścieżką do przedsionka stajen. Był to magazynek uprząży; wokół mnóstwa plaketek i wstążek, dowodu wyższości barw stajni Fontini-Cristi, na ścianach wisały równiutko rozwieszone wędzidła i uździennice, kantary i strzemiona. Wisiał tam także telefon łączący stajnie z wielkim domem.

— Co się dzieje, ojcze? Czy nie wiesz przypadkiem, co to za człowiek dzwonił do mnie na Ballagio?

— Basta! — ryknął przez telefon Savarone. — Będą tu lada chwila. Niemiecka grupa szturmowa.

— Niemiecka?!

— Tak. Rzym spodziewa się zastać tutaj zebranie *partigiani*. Oczywiście nic takiego nie zostanie. Zakłóca tylko rodziny obiad. Pamiętaj! Od dawna miałeś wziąć dzisiaj udział w rodzinnym obiedzie. Interesy zatrzymały cię nieco dłużej w Mediolanie.

— Ale co Niemcy mają do Rzymu?

— Wyjaśnię ci to później. Teraz zapamiętaj tylko...

Nagle Vittorio usłyszał w słuchawce telefonu pisk opon i ryk potężnych motorów. Od wschodniej bramy nadjeżdżała ku domowi pełnym pędem kolumna pojazdów.

— Ojcze! — zawołał na cały głos Vittorio. — Czy to ma cokolwiek wspólnego z twoim wyjazdem do Zurychu?

W słuchawce zaległo milczenie. W końcu Savarone powiedział: — To możliwe. Musisz pozostać tam, gdzie jesteś...

— Co się stało? Co się stało w Zurychu?

— Nie w Zurychu. W Champoluc.

— Co takiego?

— Później. Muszę wracać do pozostałych. Nie ruszaj się stamtąd! Nie pokazuj się! Porozmawiamy, kiedy odjadą.

Vittorio usłyszał stuknięcie słuchawki o widełki. Odwrócił się do Barziniego. Stary stajenny grzebał w szufladach niskiej komody pełnych zdekompletowanych munsztuków i wędzideł; znalazł to, czego szukał — rewolwer i lornetkę. Wyciągnął je z szuflady i wręczył

Vittorio.

— Chodźmy! — powiedział, a w jego starych oczach rozpalila się iskierka gniewu. — Popatrzymy sobie. Już *padrone* da im nauczkę.

Pobiegli drogą ku domowi i otaczającym go z obu stron ogrodom. Kiedy rozbitą kopytami ziemię zastąpiły kamienne płyty, skręcili w lewo i wspięli się od tyłu na skarpe, która spadała w stronę kolistego podjazdu. W tym miejscu panowały zupełne ciemności. Cały teren pod nimi zalewało jasne światło.

Drogą od wschodniej bramy podjechały pełnym pędem trzy samochody, długie, czarne, potężne maszyny. Ich światła rozbłysły na chwilę w ciemności, po czym zbladły, roztapiając się w rzęsistej iluminacji całego terenu. Limuzyny wpadły na kolisty podjazd, z przechyłem minęły z lewej strony stojące tam auta, po czym z piskiem hamulców zatrzymały się w równych odległościach od siebie, dokładnie na wprost kamiennych schodów prowadzących do masywnych dębowych drzwi frontowego wejścia.

Z samochodów wysypali się jacyś ludzie. Wszyscy w jednakowych czarnych ubraniach i takich samych czarnych płaszczach; wszyscy z bronią gotową do strzału.

Z bronią gotową do strzału!!!

Vittorio patrzył osłupiałym wzrokiem, jak wbiegają — siedmiu, ośmiu, dziewięciu — po schodach do wejścia. Najwyższy z nich objął dowództwo. Podniósł rękę, nakazując tym, którzy wbiegli za nim, by rozstawili się przy drzwiach, po czterech z każdej strony. Pociągnął lewą ręką za łańcuch dzwonka, w prawej trzymając przy boku rewolwer.

Vittorio przyłożył do oczu lornetkę. Mężczyzna odwrócony był twarzą do drzwi, ale rewolwer w jego ręku widać było zupełnie wyraźnie. Był to niemiecki luger. Fontini-Cristi przesunął szybko lornetkę na tych, którzy stali po obu stronach drzwi. Cała broń była niemieckiej produkcji. Cztery lugery, cztery pistolety maszynowe bergmann MP 38.

Vittorio poczuł nagły skurcz żołądka; w głowie mu wirowało, choć nadal nie mógł uwierzyć własnym oczom. Na co ten Rzym zezwolił? To po prostu nie do uwierzenia.

Wycelował lornetkę w trzy samochody i nastawił ostrość. W każdym z nich siedział jakiś mężczyzna, wszyscy w głębokim cieniu. Przez tylne szyby mógł dostrzec tylko zarysy ich głów. Skoncentrował się na najbliższej limuzynie i siedzącym tam człowieku.

Mężczyzna poruszył się na siedzeniu i obejrzał przez prawe ramię. Na włosy padło mu światło reflektorów iluminujących podjazd. Były to krótko przycięte siwiejące włosy, ale od czoła połyskiwało wśród nich jedno zupełnie białe pasmo. Ten człowiek wydał mu się mgliście znajomy — kształt głowy, pasmo białych włosów — ale zupełnie nie potrafił go umiejscowić.

Drzwi domu otworzyły się i stanęła w nich służąca, wyraźnie wystraszona widokiem

wysokiego mężczyzny z bronią. Vittorio przyglądał się z wściekłością rozgrywającej się scenie. Rzym zapłacił za tę obrazę. Wysoki mężczyzna odepchnął służącą na bok i wpadł do środka, a za nim jego ośmiu podkomendnych, wszyscy z wyciągniętą bronią. Służąca zupełnie zniknęła w tej falandze ciał.

O, drogo zapłaci!

Z wnętrza domu dobiegły jakieś krzyki. Vittorio rozróżnił wśród nich ryk ojca i następujące po nim protesty braci.

Rozległ się głośny trzask i brzęk, jakby łamanego drewna i tłuczonego szkła. Vittorio sięgnął do kieszeni po rewolwer. W tej samej chwili jakiś silny chwyt unieruchomił mu dłoń. Barzini. Stary koniuszy przytrzymał go za rękę, ale głowę miał zwróconą do tyłu, nie odrywał wzroku od tego, co się rozgrywało na dole.

— Za dużo karabinów — powiedział po prostu. — Niczego pan nie zdoła.

W dole rozległ się trzeci huk, tym razem znacznie bliżej wejścia. Lewa strona wielkich podwójnych drzwi rozwarła z trzaskiem i ukazały się w nich jakieś postacie. Najpierw dzieci, oszołomione, niektóre zanoszące się ze strachu płaczem. Dalej kobiety, siostry Vittoria i żony jego braci. Potem matka z wysoko, niepokornie uniesioną głową, z najmłodszym dzieckiem na rękach. Wreszcie ojciec i bracia, poganiani przez ubranych na czarno mężczyzn brutalnymi uderzeniami kolb i luf.

Spędzono ich w gromadkę na płytach podjazdu. Ponad wszystkie pozostałe głosy wzbijał się ryk ojca, który żądał ujawnienia, kto ponosi odpowiedzialność za tę bestialską napaść.

Ale bestialstwo jeszcze się nie rozpoczęło.

Kiedy to nastąpiło, Vittorio Fontini-Cristi doznał pełnego porażenia myśli. Ogłuszył go huk grzmotów, oślepił ogień błyskawic.

Szarpnął się do przodu, ze wszystkich sił próbując wyrwać rękę z uścisku Baraniego; wijąc się i tarzając, walczył rozpaczliwie, by wyswobodzić szyję i szczękę z obezwładniającego uścisku starego stajennego.

Gdyż ubrani na czarno mężczyźni otworzyli ogień. Kobiety rzuciły się, by własnymi ciałami zasłonić dzieci, jego bracia skoczyli do przodu wprost pod lufy broni zionącej w nocy ogniem i śmiercią. Przez zalany oślepiającym światłem teren egzekucji przetoczył się krzyk przerażenia, bólu i wściekłości. Zasnęły go kłęby dymu; w powietrzu zastygły ciała w zbryzganych krwią ubraniach. Dzieci przecięte na pół seriami z pistoletów maszynowych, bez oczu i ust, wydartych eksplodującymi pociskami. W kłębiących się smugach dymu rozpryskiwały się mięśnie, czaszki i wnętrzości. Ciało dziecka rozszarpane w ramionach matki.

A Vittorio Fontini-Cristi nadal nie mógł się wyswobodzić, nadal nie mógł pobiec do swoich.

Do ziemi przytłoczył go jakiś ogromny ciężar, stare ręce zacisnęły się z potężną siłą na jego szczęce, szarpiąc go i dusząc, blokując dźwięki dobywające się z jego ust.

I wtedy przez kakofonię kanonady i ludzkich krzyków w dole przedarło się czyjeś wołanie. Huk broni maszynowej tłumił ten potężny głos, lecz nie zdołał go zagłuszyć.

Był to głos jego ojca, wołającego do Vittoria spoza otchłani śmierci.

— Champoluc... Zurych to Champoluc... Zurych to rzeka... Champoluc...

Vittorio wbił zęby w palce wciśnięte w jego usta, wrywające mu szczękę ze stawów. Na jedną chwilę udało mu się oswobodzić dłoń, tę, w której trzymał broń. Szarpnął się, próbując unieść rewolwer i strzelić w dół.

Lecz nagle nie mógł tego zrobić. Znów przygniótł go przepotężny ciężar, poczuł nieznośny ból w wykręcanym nadgarstku i broń wypadła mu z ręki. Ogromna dłoń, która zaciskała mu usta, wtłoczyła mu twarz w zimną ziemię. W ustach i na wargach poczuł własną krew, zmieszaną z piachem i gliną.

Jeszcze raz dobiegi jego uszu przerażający krzyk spoza otchłani śmierci.

— Champoluc!!!

I stracił przytomność.

30 grudnia 1939

“C-hampoluc... Zurych to Champoluc... Zurych to rzeka...” Słowa wykrzyczne resztką sił, zniekształcone rżeniem agonii. Myśli przepełniało mu jaskrawe światło, eksplozje i strugi tryskającej krwi; w uszach dudniły wstrząsające okrzyki przerażenia, szoku, bestialsko zadawanego bólu i śmierci.

Stało się. Był naocznym świadkiem dramatu egzekucji, zagłady silnych mężczyzn, drżących dzieci, żon i matek. Całej jego rodziny.

O Boże!

Przekręcił głowę i wtulił zalaną łzami twarz w szorstki materiał prymitywnej pryczy. To była tkanina, nie zimna, twarda ziemia. Przeniesiono go. Ostatnią *rzeczą*, jaką pamiętał, była ogromna siła wciskająca mu twarz w twarde zbocze skarpy. Leżał przygnieciony do ziemi, bliski obłędu z powodu swej bezsilności, czując w ustach smak ciepłej krwi i zimnej ziemi.

Tylko jego uszy były świadkiem agonii.

“Champoluc!” Matko Chrystusowa, to się stało naprawdę!

Fontini-Cristi zostali zmasakrowani w zalewie świateł Campo di Fiori. Wszyscy oprócz jednego. I ten jeden każe drogo Rzymowi za to zapłacić. Ostatni Fontini-Cristi będzie powoli ciął mięsistą twarz // *Duce*, warstwa po warstwie; oczy zostawi na koniec, ostrze noża długo będzie się w nie zagłębiać.

— Vittorio. Vittorio.

Słyszał swoje imię, a jednocześnie jakby go nie słyszał. Wymówiono je szeptem, natarczywym szeptem, a szepty były koszmarnym snem o agonii.

— Vittorio.

Na ramionach znów poczuł ten sam ciężar; szept dobiegał skądś sponad niego, z ciemności. Twarz Guido Barziniego unosiła się ledwie kilka centymetrów od jego własnej; w smutnych, stanowczych oczach starego służącego odbijał się promień przyćmionego światła.

— Barzini? — To było wszystko, na co mógł się zdobyć.

— Niech mi pan wybaczy. Nie miałem wyboru, nie było innego wyjścia. Zabiliby pana tak jak całą resztę.

— Tak, wiem. Zastrzelili. Ale dlaczego? Na miłość boską, dlaczego?

— Niemcy. To wszystko co w tej chwili wiemy. To Niemcy żądali śmierci wszystkich Fontini-Cristich. Żądają także pana śmierci. Obstawili wszystkie porty, lotniska, zamknęli wszystkie drogi. Całe północne Włochy są odcięte od świata.

— Rzym na to przyzwolił. — Vittorio nadal czuł w ustach smak krwi, rwący ból w szczęce.

— Rzym kryje się za znową milczenia. Tylko nieliczni coś mówią.

— Co?

— Tylko to, co Niemcy im każą. Że Fontini-Cristi byli zdrajcami, że zostali zamordowani przez swych rodaków. Że rodzina pomagała Francuzom, wysyłała za granicę broń i wielkie sumy pieniędzy.

— Absurd.

— Rzym jest absurdalny. I pełen tchórzy. Donosiciel został już znaleziony. Wisi nagi głową w dół na Piazza del Duomo, podziurawiony jak rzeszoto, z językiem przybitym gwoździami do głowy. *Partigiani* umieścili pod nim napis: "Ta świnia zdradziła Włochy, jego krew płynie za Fontini-Cristich".

Vittorio odwrócił głowę. Obrazy paliły żywym ogniem; biały dym w białym świetle reflektorów, ciała zawisłe w powietrzu, znieruchomiałe raptownie w objęciach śmierci, nagły rozprysk tysięcznych cętek gęstej czerwieni; egzekucja dzieci.

— Champoluc — wyszeptał Fontini-Cristi.

— Słucham?

— Mój ojciec. Umierając, szarpany kulami z pistoletów maszynowych, wykrzyknął tę nazwę — Champoluc. Coś się wydarzyło w Champoluc.

— Co to znaczy?

— Nie wiem. Champluc to wioska w Alpach, wysoko w górach. "Zurych to Champoluc. Zurych to rzeka". Tak powiedział. Krzyczał to w momencie śmierci. A przecież w Champoluc nie ma żadnej rzeki.

— Nie mogę panu pomóc — odparł Barzini, siadając. Czujne spojrzenie jego oczu i nieporadne zacieranie wielkich rąk znamionowały niepokój. — Nie mamy zbyt wiele czasu, żeby się o tym rozvodzić albo rozmyślać. Nie teraz.

Vittorio podniósł wzrok na potężnego, zakłopotanego stajennego, siedzącego obok niego na brzegu prymitywnej pryczy. Znajdowali się w pomieszczeniu zbudowanym z surowego drewna. Po lewej stronie, trzy czy cztery metry dalej widział drzwi, lekko uchylone, ale nie mógł wypatrzeć żadnego okna. Stało tu za to jeszcze kilka innych łóżek. Nie potrafił powiedzieć ile. Był to barak dla robotników.

— Gdzie jesteśmy?

— Po drugiej stronie Maggiore, na południe od Baveno. Na koziej fermie.

— Jak się tu dostaliśmy?

— To była szaleńcza podróż. Wywieźli nas ludzie z domu na nabrzeżu. Zabrali nas szybkim samochodem z drogi na zachód od Campo di Fiori. *Partigiano* z Rzymu zna się na lekarstwach; dał panu zastrzyk.

— Sam przeniosłeś mnie ze skarpy do zachodniej drogi?

— Tak.

— To prawie dwa kilometry.

— Może. Jest pan wysoki, ale niezbyt ciężki. — Barzini wstał z łóżka.

— Uratowałeś mi życie. — Vittorio wbił obie ręce w szorstki materac, dźwignął się do pozycji siedzącej i oparł plecami o ścianę.

— Człowiek nie dokona zemsty, jeśli się da zabić.

— Rozummiem.

— Obaj musimy ruszać w drogę. Pan poza granice Włoch, ja do Campo di Fiori.

— Wracasz?

— Tam mogę się najbardziej przydać. Najwięcej im szkodzić. Fontini-Cristi popatrzył w zamyśleniu na Barzinięgo. Jak szybko to, co niewyobrażalne, stawało się praktyczną rzeczywistością. Jak błyskawicznie zaczynało się reagować okrucieństwem na okrucieństwo; jak bardzo taka reakcja była potrzebna. Ale czas uciekał. Barzini miał rację — myślenie trzeba było odłożyć na później.

— Czy istnieje jakiś sposób, żebym mógł się wydostać z kraju? Powiedziałeś, że całe północne Włochy zostały odcięte od świata.

— Zamknięto wszystkie normalne drogi. To polowanie urządził Rzym kierowany przez Niemców. Ale są jeszcze inne metody. Podobno Anglicy chcą panu pomóc.

— Anglicy?

— Tak powiadają. *Partigiani* przez całą noc rozmawiali z nimi przez swoją radiostację.

— Anglicy? Nic nie rozumiem.

Pojazd był starą ciężarówką z jakiegoś gospodarstwa rolnego, miał słabe hamulce i wyszlizgane sprzęgło, ale dobrze sobie radził z kiepską nawierzchnią bocznych dróg. Nie mógł stawać w szranki z motocyklami czy samochodami służb państwowych, za to doskonale nadawał się do odbycia podróży przez wiejskie okolice — jeszcze jedna z wielu ciężarówek przewożących żywy inwentarz, zwierzęta stojące chwiejnie na szeroko rozstawionych nogach w odkrytej, zbitej z drewnianych listw skrzyni.

Vittorio miał na sobie, tak jak i jego kierowca, nędzne utyłane gnojem i ciemne od przepocenia łachy wiejskiego parobka. Zaopatrzono go w podniszczony, brudny dowód osobisty, który zmienił go w Aldo Ravenę, byłego *soldato semplice* z włoskiej armii. Powinien

wyglądać na kogoś bez wykształcenia; gdyby zdarzyło mu się mówić z policją, miał się wyrażać prosto, wręcz prostacko, a nawet wrogo.

Od świtu jechali na południowy zachód, aż do Turynu, gdzie skręcili na wschód, w kierunku na Albę. Założywszy, że nie natkną się po drodze na jakieś poważniejsze przeszkody, powinni dotrzeć do Alby o zmroku.

W małym barku kawowym przy San Giorno, głównym placu Alby, mieli nawiązać kontakt z Anglikami — dwoma agentami przysłanymi przez brytyjski wywiad wojskowy — MI-6. Dalej to już ich zadaniem było przemycenie Vittoria nad morze i przez linię posterunków patrolujących wybrzeże od Genui do San Remo. Włoskich posterunków, lecz działających z niemiecką sprawnością.

Tę część wybrzeża Zatoki Genueńskiej uważano za najdogodniejszą dla infiltracji. Przez całe lata tu zaczynał się i kończył główny szlak korsykańskich przemytników. *Unio Corso* uważało wręcz tutejsze plaże i skaliste nadmorskie urwiska za swą własność. Nazywali to wybrzeże słabizną Europy; znali tu każdy centymetr.

Co jak najbardziej odpowiadało Brytyjczykom. Zatrudniali Korsykan, którzy oferowali swe usługi temu, kto najwięcej płacił. *Unio Corso* miało pomóc Londynowi przerzucić Fontini-Cristiego przez linię nadbrzeżnych posterunków i poza pas wód terytorialnych, aż do pewnego punktu na morzu, na północ od Rogliano na Korsyce, gdzie z góry wyznaczono im spotkanie z łodzią podwodną Królewskiej Marynarki Wojennej. Tam miała się wynurzyć i go odebrać.

Takie informacje otrzymał Vittorio — od tych oberwanych fanatyków, którymi tak pogardzał, uważając ich za dzieci oddające się prymitywnym zabawom. Niechlujni głupcy, patrzący spode łba, wchodzący w przymierze nie do pojęcia z ludźmi takimi jak jego ojciec, uratowali mu życie. Nadal to robili. Kościste wiejskie osiłki, utrzymujące bezpośrednią łączność z daleką Anglią. Daleką, lecz wcale nie tak odległą, nie bardziej niż Alba.

Jak? Dlaczego? Co ci Anglicy robili? I na miłość boską, dlaczego? Kim byli ludzie, których istnienie do tej pory ledwie zauważał, z którymi w całym życiu zamienił może kilka słów? Co oni robili? Dlaczego? Przecież nie był ich przyjacielem; może nie był też wrogiem, ale z pewnością nie przyjacielem.

Te pytania zatrwały go. Po sennym koszmarze, który eksplodował śmiercią w zalewie świateł Campo di Fiori, sam Vittorio nie był w stanie myśleć o swoim ocaleniu, nie miał w sobie nawet chęci przeżycia.

Znajdowali się trzynaście kilometrów od Alby, na krętej wiejskiej drodze biegnącej równoległe do głównej szosy z Turynu. *Partigiano* był zmęczony, miał przekrwione oczy od

długiej jazdy w ostrym słońcu. Cienie zapadającego zmierzchu zaczynały oczom płatać figle; od ciągłego wysiłku wyraźnie bolały go plecy. Poza nielicznymi postojami na zatankowanie benzyny ani na chwilę nie opuszczał swego fotela. Czas był teraz najważniejszy.

— Zmienię cię na chwilę przy kierownicy.

— Już prawie dojeżdżamy, proszę pana. Ja znam tę drogę, pan nie. Wjedziemy do Alby od wschodu, przez Via Canelli. Na granicy miasta możemy się natknąć na wartowników. Niech pan pamięta, co ma pan mówić.

— Na pewno jak najmniej.

Ciężarówka włączyła się w niewielki ruch uliczny na Via Canelli i ciągnęła dalej, zachowując tę samą szybkość co pozostałe samochody. Tak jak przewidział kierowca, na rogatkach miasta stało dwóch żołnierzy.

Mogło być sto powodów, dla których zasygnalizowano im, żeby się zatrzymali. Zjechali na piaszczyste pobocze i czekali. Sierżant podszedł do drzwiczek od strony kierowcy, szeregowy stanął bez słowa po stronie Fontini-Cristiego.

— Skąd jedziecie? — spytał sierżant.

— Z fermy na południe od Baveno — odparł *partigiano*.

— Przejechaliście szmat drogi jak na taki mały ładunek. Naliczyłem wszystkiego pięć kóz.

— Stado rozplodowe. To lepsze zwierzęta niż się zdaje. Dziesięć tysięcy lirów za samca, po osiem za samice.

Sierżant uniósł brwi.

— Mnie się zdaje, że ty sam nie jesteś tyle wart, wsioku — powiedział bez uśmiechu.
— Dokumenty.

Partyzant sięgnął do tylnej kieszeni i wyciągnął z niej zniszczony portfel. Wyjął z niego dowód osobisty i podał sierżantowi.

— Tu jest napisane, że pochodzisz z Yarallo.

— Bo mieszkam w Yarallo. Ale pracuję w Vaveno.

— Na fermie na południe od Baveno — poprawił go sucho sierżant. — Ty — powiedział, zwracając się do Vittorio. — Twoje dokumenty.

Fontini-Cristi wsunął rękę pod kurtkę ocierając nią o kolbę rewolweru, wyjął swój dowód. Podał kierowcy, który wręczył go sierżantowi.

— Byłeś w Afryce?

— Tak, panie sierżancie — odparł Vittorio z miną tępaka.

— W którym korpusie?

Fontini-Cristi zaniemówił. Nie znał odpowiedzi. Przebiegł gorączkowo w myślach wszystkie wieści z wojny, jakie pamiętał, próbując przypomnieć sobie jakiś numer albo nazwę.

— W siódmym — powiedział.

— Ach tak. — Sierżant oddał mu dowód; Vittorio odetchnął z ulgą. Ale nie na długo. Sierżant sięgnął do klamki, szarpnął ją w dół i jednym ruchem otworzył szeroko drzwiczki. — Wysiadać! Obaj!

— Co? Dlaczego?! — zaprotestował partyzant z głośnym jękiem. — Musimy dowieźć te kozy na miejsce przed nocą. I tak nie wiem, czy zdążymy.

— Wysiadać! — Sierżant wyrwał z czarnej skórzanej kabury służbowy rewolwer i wycelował go w obu mężczyzn. — Wyciągnij go z samochodu! Trzymaj na muszce! — rzucił ponad maską ciężarówki rozkaz swemu podwładnemu.

Vittorio spojrział na kierowcę. Z jego wzroku wyczytał, że ma robić, co mu każą. Ale zachować pełną czujność, być w każdej chwili gotowym do działania.

Kiedy zeskoczyli z samochodu na piaszczyste pobocze, sierżant rozkazał im ruszać w kierunku budki wartowniczej stojącej obok słupa telegraficznego. Z umieszczonej na nim skrzynki rozdzielczej zwisał przewód telefoniczny przyczepiony drugim końcem do dachu małej wartowni; prowadzące do niej wąskie drzwi były otwarte.

Z zapadaniem zmierzchu ruch samochodowy na Yia Canelli przybrał na sile lub tak przynajmniej wydawało się Fontini-Cris-tiemu. Tworzyły go głównie samochody osobowe, lecz co jakiś czas mijały ich także ciężarówki, zupełnie podobne do tej, którą jechali oni sami. Część kierowców wyraźnie zwalniała na widok żołnierzy prowadzących pod bronią do wartowni dwóch cywilów, po czym niemal natychmiast dodawała gazu, by jak najspieszniej oddalić się z tego miejsca.

— Nie macie prawa nas zatrzymywać! — zawołał partyzant. — Nie robimy niczego nielegalnego. To nie przestępstwo zarabiać na życie!

— Ale podawanie fałszywych informacji to przestępstwo, wsioku.

— My nie podajemy żadnych fałszywych informacji! Jesteśmy robotnikami z Baveno! Na rany Chrystusa, to prawda!

— Uważaj — powiedział żołnierz z sarkazmem — bo dołożymy ci jeszcze i bluźnierstwo. Właź do środka.

Przydrożna budka wartownicza okazała się nawet mniejsza, niż to się wydawało z Yia Canelli. Miała nie więcej niż półtora metra szerokości i niecałe dwa długości. Ledwie się w niej we czterech pomieścili. Błysk w oku partyzanta powiedział Vittorio, że ciasnota pomieszczenia działa na ich korzyść.

— Przeszukaj ich — rozkazał sierżant.

Żołnierz postawił swój karabin na podłodze, lufą do góry. W tej samej chwili partyzant zrobił coś dziwnego. Przycisnął ręce do piersi, broniąc dostępu do swej kurtki, jakby w geście świadomego oporu. A przecież nie był uzbrojony; powiedział to Fontini-Cristiemu zupełnie jasno.

— Chcecie mnie okraść! — zawołał znacznie głośniejszym głosem, niż to było potrzebne, aż drewniana szopa zadrżała od jego krzyku. — Żołnierze kradną!

— Nic nas nie obchodzą twoje nędzne grosze, wsioku — powiedział sierżant. — Tą szosą jeżdżą znacznie bardziej okazałe pojazdy. Zabieraj ręce od kurtki.

— Nawet w Rzymie podają powody! Sam // *Duce* mówi, że robotników nie można tak traktować! Ja chodzę w faszystowskiej gwardii. Mój kolega służył w Afryce!

“Co on wyprawia? — pomyślał Vittorio. — Dlaczego zachowuje się tak dziwnie? To może tylko rozzłościć żołnierzy”.

— Wystawiasz na próbę moją cierpliwość, świnio. Szukamy pewnego człowieka z Maggiore. Polują na niego wszystkie posterunki drogowe. Zostaliście zatrzymani, bo papiery tej ciężarówki wystawiono w okręgu Maggiore... Podnieś ręce!

— W Baveno, nie Maggiore! Jedziemy z Baveno. Gdzie tu kłamstwo?

Sierżant spojrzał na Vittoria.

— Żaden żołnierz, który walczył w Afryce, nie powie, że był w Siódmym Korpusie. Ten korpus okrył się sromotną hańbą.

Nie zdążył jeszcze skończyć, kiedy partyzant ryknął na cały głos swój rozkaz: — Teraz, proszę pana! Pan tego drugiego! — Opuścił błyskawicznie rękę, bijąc w rewolwer trzymany przez sierżanta zaledwie milimetry od jego brzucha. Nagłość ataku i ogłuszający ryk głosu partyzanta w maleńkim pomieszczeniu wywarły efekt niespodziewanego zderzenia. Vittorio nie miał czasu się przyglądać; mógł tylko liczyć, że jego towarzysz wie, co robi. Szeregowy schylił się po swój karabin, chwytając lewą ręką za lufę, a prawą sięgając do kolby. Fontini-Cristi runął na niego całym ciężarem, rzucając go o ścianę i zaczął tłuc jego głową o twarde deski. Furażerka żołnierza spadła na podłogę; krew trysnęła mu spomiędzy włosów i zalała całą twarz. Mężczyzna osunął się na ziemię.

Vittorio odwrócił się. Sierżant kulił się wklonowany w róg małej wartowni, a partyzant napierał na niego całym ciałem, bijąc go lufą jego własnej broni. Twarz sierżanta zmieniała się w masę żywego mięsa; krew i strzępy skóry przyprawiały o mdłości.

— Szybko! — zawołał partyzant, kiedy sierżant upadł. — Ciężarówkę przed wartownię! Dokładnie przed wejście. Niech pan się wciśnie między drogę a tę budę i trzyma

silnik na chodzie.

— Oczywiście — odparł Fontini-Cristi, oszołomiony zarówno brutalnością, jak i zdecydowaniem działania ostatnich trzydziestu sekund.

— I proszę pana! — zawołał za nim partyzant, gdy Vittorio był już jedną nogą za drzwiami.

— Tak?

— Pański pistolet. Niech mi go pan pożyczy. Te wojskowe robią tyle huku, co armaty. Fontini-Cristi zawahał się, po czym wyjął broń i podał mu ją. Partyzant złapał telefon na korbę i wyrwał go ze ściany.

Vittorio podprowadził ciężarówkę przed wejście do wartowni, zostawiając z konieczności lewe koła na twardej nawierzchni szosy; na poboczu nie było dość miejsca, by mógł zupełnie zjechać z drogi. Miał nadzieję, że tylne światła okażą się dostatecznie jasne, by kierowcy nadjeżdżających pojazdów — których tymczasem znacznie przybyło — dostrzegli je i ominęli.

Partyzant wyszedł z wartowni i rzucił przez okienko do Vittoria: — Niech pan przegazuje silnik. Na najwyższych obrotach i najgłośniej, jak się da.

Fontini-Cristi zrobił, co mu polecono. Partyzant wbiegł z powrotem do wartowni. W prawej ręce zaciskał pistolet Vittoria.

Oba strzały zabrzmiały jak głuche trzaski — stłumione, nagłe wybuchy, które w hałasie wyjącego silnika i pędzących szosą samochodów można było wziąć za strzelanie gaźnika. Vittorio wpatrywał się szeroko otwartymi oczami w drzwi wartowni, czując mieszaninę strachu, zdumienia i zupełnie niewytłumaczonego smutku. Wkroczył w świat brutalnej przemocy, świat, którego zupełnie nie pojmował.

W drzwiach wartowni pojawił się partyzant, zamykając je dokładnie za sobą. Wskoczył do samochodu, zatrzasnął drzwiczki i skinął na Vittoria. Fontini-Cristi czekał jeszcze chwilę na lukę w strumieniu pojazdów, po czym puścił sprzęgło. Stara ciężarówka ruszyła z dygotem przed siebie.

— Przy Via Monte jest pewien warsztat, gdzie ukryją samochód, przemalują go i zmienią tablice rejestracyjne. To tylko kilometr od Piazza San Giorno. Dojdziemy tam z warsztatu na piechotę. Powiem panu, gdzie skręcić. — Podał Vittorio jego rewolwer.

— Dziękuję — powiedział nieporadnie Fontini-Cristi, wkładając broń do kieszeni kurtki. — Zabiłeś ich?

— Oczywiście — padła prosta odpowiedź.

— Przypuszczam, że musiałeś.

— Naturalnie. Pan będzie w Anglii, proszę pana. Ja zostanę tutaj, we Włoszech. Mogliby mnie rozpoznać.

— Rozumiem — powiedział niepewnie Vittorio.

— Z całym szacunkiem, panie Fontini-Cristi, ale nie wydaje mi się, żeby pan rzeczywiście rozumiał. Dla was, ludzi z Campo di Fiori, to wszystko zupełna nowość. Dla nas nie. My toczymy wojnę już od dwudziestu lat; ja sam od dziesięciu.

— Wojnę?

— Wojnę. Jak się panu zdaje, kto szkoli waszych *partigiani*?

— Jak to?

— Jestem komunistą, proszę pana. To komuniści uczą potężnych kapitalistów Fontini-Cristich, jak prowadzić wojnę.

Cieżarówka pędziła przed siebie; Vittorio pewnie trzymał kierownicę, zdumiony, lecz dziwnie nieporuszony słowami swego towarzysza.

— Nie wiedziałem o tym — odparł.

— To zadziwiające, prawda? — powiedział partyzant. — Nikt nigdy o to nie pytał.

30 grudnia 1939

Alba, Włochy

Barek kawowy był zatłoczony, wszystkie stoliki zajęte, rozmowy głośne. Vittorio ruszył za partyzantem przez gąszcz gestykulujących z ożywieniem rąk i niechętnie ustępujących z drogi ciał. Przepchnęli się do kontuaru i zamówili kawę ze stregą.

— Tam — powiedział partyzant, wskazując stolik w rogu z trzema robotnikami, o których statusie społecznym świadczyły ubrania i kilkudniowa szczecina na brodach. Jedno krzesło było wolne.

— Skąd wiesz? Wydawało mi się, że mamy się spotkać z dwoma ludźmi, nie z trzema. I w dodatku Anglikami. A poza tym nie ma tam dla nas miejsca. Jest tylko jedno wolne krzesło.

— Niech pan spojrzy na tego krępego po prawej. Znak rozpoznawczy ma na butach. Kilka plamek pomarańczowej farby. Nie za wiele, ale dość. To ten jest Korsykaninem. Pozostali dwaj są Anglikami. Niech pan podejdzie i powie: "Nasza podróż przebiegła bez zakłóceń". To wszystko. Mężczyzna z farbą na butach ustąpi panu krzesła; niech pan je zajmie.

— A co z tobą?

— Dołączę do was za chwilę. Muszę porozmawiać z *Corso*. Vittorio zrobił, co mu kazano. Krępy mężczyzna w butach zachlapanych pomarańczową farbą wstał z ciężkim westchnieniem człowieka, któremu utrudniają życie. Fontini-Cristi zajął jego miejsce. Siedzący naprzeciwko niego Anglik odezwał się pierwszy. Jego włoski był gramatycznie poprawny, lecz niepewny; ten człowiek nauczył się języka, ale nie opanował idiomów.

— Wyrazy szczerego współczucia. To po prostu straszne. Wydostaniemy pana stąd.

— Dziękuję. Może wolałby pan rozmawiać po angielsku? Mówię płynnie w waszym języku.

— To dobrze — odezwał się drugi z mężczyzn. — Nie byliśmy tego pewni. Czas był zbyt cenny, mieliśmy go za mało, żeby zebrać o panu jakieś dokładniejsze informacje. Dziś rano przerzucono nas samolotem z Lakenheath. Korsykanie odebrali nas w Celle Ligure.

— Wszystko wydarzyło się tak szybko — powiedział Vittorio. — Jeszcze nie otrząsnąłem się z szoku.

— Doskonale to rozumiemy — powiedział pierwszy mężczyzna. — Ale jeszcze nie wszystko za nami. Musi pan wykazywać pełną przytomność umysłu. Dostaliśmy rozkaz

dostarczyć pana do Londynu — za wszelką cenę; prawdę mówiąc, bez pana możemy w ogóle nie wracać.

Vittorio powiódł spojrzeniem od jednego do drugiego.

— Czy wolno mi spytać dlaczego? Proszę mnie dobrze zrozumieć — jestem bardzo wdzięczny, ale wasza troska wydaje mi się zupełnie niezwykła. Może nie jestem najmądrzejszy, ale głupcem także nie jestem. Dlaczego nagle stałem się taki ważny dla Anglików?

— Pojęcia nie mam — odparł drugi agent. — Ale mogę panu powiedzieć, że wczoraj w nocy rozpętało się istne piekło. Od północy do czwartej rano przesiedzieliśmy w Ministerstwie Lotnictwa. Wszystkie dzwonki wszystkich radiostacji w pokojach łączności terkotały jak oszalałe. Widzi pan, współpracujemy z Korsykanami.

— Tak, mówiono mi o tym.

Partyzant precyzyjnie przeszedł przez tłum do stolika. Odsunął wolne krzesło i usiadł ze szklanką stregi w ręku. Rozmowa potoczyła się dalej po włosku.

— Mieliśmy kłopoty na drodze z Canelli. Na punkcie kontrolnym. Trzeba było zdjąć dwóch strażników.

— Ile mamy luzu? — spytał agent siedzący po prawej ręce Fontini-Cristiego. Był to szczupły mężczyzna, nieco bardziej spięty niż jego kolega. Widząc wyraz niezrozumienia malujący się na twarzy Vittoria, wysłowił się jaśniej. — Ile czasu upłynie do wszczęcia alarmu?

— Mamy czas do północy. Do kiedy nie zjawi się nocna zmiana. To, że nikt nie odbiera telefonu, nie wzbudzi niczyich podejrzeń. One ciągle się psują.

— Dobra robota — powiedział agent siedzący naprzeciwko. Był bardziej krągły na twarzy niż jego rodak; mówił wolniej, jakby nieustannie dobierał słów. — Pan zapewne jest bolszewikiem.

— Jakby pan zgadł — odparł partyzant, z ledwie skrywaną wrogością.

— Och nie, nie, proszę — dodał szybko agent. — Ja bardzo lubię z wami pracować. Zawsze działacie bez zarzutu.

— MI-6 jest bardzo uprzejma.

— A propos — powiedział Brytyjczyk siedzący po prawej ręce Vittoria — ja jestem Jabłko; a to jest Gruszka.

— Kim pan jest, już wiemy — dodał Gruszka.

— A moje nazwisko nie ma żadnego znaczenia — powiedział partyzant z lekkim uśmiechem. — Ja nie zabieram się z wami.

— Przelećmy szybko wszystko, dobrze? — Jabłko chciał mieć to już za sobą, lecz tak

kontrolował swą niecierpliwość, że jego opanowanie można było wziąć wręcz za chłodną rezerwę. — Zaczniemy od drogi. Poza tym Londyn chciałby ustanowić solidniejsze kanały łączności.

— Spodziewaliśmy się tego.

Trzej mężczyźni pograżyli się w rozmowie o sprawach zawodowych, które dla Fontini-Cristiego były czymś zupełnie niezwykłym. Mówili o szlakach, szyfrach i częstotliwościach fal, tak jakby dyskutowali o cenach na giełdzie. Omówili konieczność "zdjęcia", "wyeliminowania" różnych osób zajmujących konkretne stanowiska — to nie byli ludzie, istoty ludzkie, które należało zabić, lecz czynniki do usunięcia.

Kim byli ci trzej mężczyźni? "Jabłko", "Gruszka" i ten bolszewik bez nazwiska, z fałszywym dowodem osobistym? Kim byli ci ludzie, którzy zabijali bez litości, bez skrupułów?

Pomyślał o Campo di Fiori. O jaskrawym świetle reflektorów, seriach z pistoletów maszynowych i śmierci. On, Vittorio, potrafiłby już teraz zabijać — zionąc nienawiścią, bezlitośnie. Ale nie potrafiłby rozmawiać o zabijaniu w taki sposób, w jaki robili to ci trzej mężczyźni.

— ...przemycić nas na kuter znany straży przybrzeżnej. Rozumie pan? — Jabłko mówił do niego, ale Vittorio go nie słyszał.

— Przepraszam. Byłem myślami gdzie indziej.

— Mamy przed sobą długą drogę — powiedział Gruszka. — Ponad osiemdziesiąt kilometrów do wybrzeża i potem co najmniej trzy godziny łodzią. Niejedno może się nam przydarzyć.

— Spróbuję się skupić.

— "Spróbuję" to za mało. Pan się musi skoncentrować — odparł Jabłko, z powściąganą irytacją. — Nie wiem, czym pan się tak zasłużył dla Foreign Office, ale tak się składa, że uznano pana za obiekt o pierwszorzędnym znaczeniu. To nam dobrać się do dupy, jeśli pana stąd nie wywieziemy. Więc niech się pan skupi i słucha! Korsykanie przetransportują nas na wybrzeże. Będziemy cztery razy zmieniać pojazd...

— Chwileczkę! — Partyzant pochylił się nad stołem i chwycił Jabłko za ramię. — Ten człowiek, który tu z wami siedział, ten w wymazanych farbą butach. Gdzie się z nim spotkaliście? Szybko!

— Tutaj, w Albie. Jakies dwadzieścia minut temu.

— Kto nawiązał kontakt?

Anglicy spojrzeli po sobie z nagłym zaniepokojeniem.

— On — odparł Jabłko.

— Pyskajcie stąd! Natychmiast! Kuchennym wyjściem.

— Co?! — Gruszka spojrział przez ramię w kierunku kontuaru.

— On właśnie wychodzi — powiedział partyzant. — A miał na mnie zaczekać.

Krępy Korsykanin przesuwiał się przez tłum do drzwi. Starał się jak najmniej zwracać na siebie uwagę — można by go było wziąć za jednego z gości, który zmierza do toalety po wypiciu kilku szklaneczek wina.

— Co to może znaczyć? — spytał Jabłko.

— Że po Albie chodzi dziś wielu ludzi w butach ochlapanych farbą. Czekają na nieznajomych, którzy błędzą wzrokiem po ziemi. — Komunista wstał od stolika. — Szyfr kontaktowy został złamany. To się *zdarza*. Korsykanie będą musieli go zmienić. No już, uciekajcie!

Anglicy podnieśli się z krzeseł, ale bez jakichkolwiek objawów pośpiechu. Vittorio pojął wskazówkę i wstał także. Wyciągnął rękę i dotknął rękawa kurtki partyzanta. Komunista drgnął wystraszony; przez cały czas nie odrywał wzroku od krępego Korsykanina, który zbierał się właśnie, by dać nura w tłum.

— Chciałbym panu podziękować. Partyzant spojrział zaskoczony.

— Marnuje pan czas.

Obaj Anglicy doskonale orientowali się, gdzie jest kuchnia, a co za tym idzie kuchenne wyjście. Zaułek, w którym się znaleźli, przypominał rynsztok; z ustawionych rzędem pod brudnymi ścianami kubłów wysypywały się śmieci. Łączył bezpośrednio Piazza San Giorno z leżącą za nim ulicą, był jednak tak źle oświetlony i zasypany takimi górami odpadków, że nieczęsto korzystano z tego skrótu.

— Tędy — powiedział Jabłko, skręcając w lewo, w stronę przeciwną do placu. — Teraz już szybko!

Wybiegli z zaułka na ulicę. Była wystarczająco zatłoczona przechodniami i przekupkami, by dostarczyć im dostatecznej osłony. Jabłko i Gruszka zmienili natychmiast krok na niespieszny, spacerowy. Vittorio poszedł za ich przykładem. Zorientował się, że obaj agenci cały czas tak manewrowali, żeby trzymać go między sobą.

— Nie jestem pewien, czy czerwony miał rację — powiedział Gruszka. — Nasz Korsykanin mógł po prostu wypatrzeć jakiegoś znajomego. Był piekielnie przekonujący.

— Korsykanie mają własny język — wtrącił się Vittorio, przepaszając jakiegoś przechodnia, na którego o mało nie wpadł.

— Nie mógł się zorientować, kiedy z nim rozmawiał?

— Niech pan tego nie robi — napomniał go ostro Jabłko.

— Czego?

— Niech pan nie będzie taki cholernie uprzejmy. Nie bardzo to pasuje do pana łachów. A co do pańskiego pytania: Korsykanie wszędzie gdzie mogą, korzystają z miejscowych łączników. Wszyscy tak robią. To najniższy szczebel, zwykli posłańcy.

— Ach tak. — Fontini-Cristi spojrział na człowieka, który nazywał siebie Jabłkiem. Szedł niedbałym spacerowym krokiem, ale oczy biegały mu na wszystkie strony, przeszukując zasnutą cieniami nocy ulicę. Odwrócił głowę i przeniósł spojrzenie na Gruszkę. Robił dokładnie to samo co jego rodak: omiatał wzrokiem twarze w tłumie, pojazdy, wnętrza w budynkach po obu stronach ulicy.

— Dokąd idziemy? — spytał Fontini-Cristi.

— Do skrzyżowania naprzeciwko miejsca spotkania, które wyznaczył nam nasz Korsykanin — odparł Jabłko.

— Sądziłem, że nie jesteście go pewni.

— Oni nas nie wypatrzą — odparł Gruszka — bo nie wiedzą, za kim się rozglądać. Bolszewik dogoni Korsykanina na placu. Jeśli upewni się, że wszystko w porządku, zjawią się razem. Jeśli zaś nie, a pański przyjaciel rzeczywiście jest fachowcem, to zjawi się sam.

Ciąg sklepów zataczał łuk w lewo ku południowemu wylotowi na Piazza San Giorno. Przy wlocie tryskała fontanna, otoczona okrągłą sadzawką, zaśmieconą papierami i pustymi butelkami. Jej murek obsiedli mężczyźni i kobiety, mocząc ręce w brudnej wodzie; czereda dzieci robiła nieznośny harmider i szalała po bruku pod czujnym okiem rodziców.

— Ta ulica po przeciwnej stronie — powiedział Jabłko, zapalając papierosa i wskazując gestem ręki szeroki chodnik widoczny przez rozbity pył wodny z fontanny — to Via Ligata. Łączy się z szosą prowadzącą na wybrzeże. Dwieście metrów stąd odchodzi od niej boczna uliczka, gdzie według Korsykanina ma czekać na nas taksówka.

— I ta boczna uliczka zupełnie przypadkiem okaże się ślepa? — Gruszka zadał to pytanie takim tonem, jakby właściwie nie warto go było zadawać. Nie oczekiwał odpowiedzi.

— Czy to nie zbieg okoliczności? Dokładnie nad tym samym się właśnie zastanawiałem. Nie ma co, trzeba to sprawdzić. Pan — powiedział Jabłko do Vittoria — zostanie tu z moim kolegą i będzie robił dokładnie to, co on panu powie, co do joty. — Rzucił zapalną zapałkę na ziemię, zaciągnął się głęboko papierosem i ruszył szybko po kocich łbach w kierunku fontanny. Kiedy znalazł się ledwie kilka kroków od niej, zwolnił, po czym, ku absolutnemu zdziwieniu Vittoria, zniknął — dosłownie rozpułnął się w tłumie.

— Robi to w najlepszym stylu, prawda? — powiedział Gruszka.

— Pojęcia nie mam, gdzie się podział. Zupełnie go nie widzę.

— Bo i o to właśnie chodzi. Dobra podbieżka z wyparowaniem, wykonana w odpowiednim świetle, potrafi być bardzo skuteczna. — Wzruszył ramionami. — Idziemy razem. Niech pan nie zostaje w tyle i rozmawia ze mną. I gestykuluje. Wy, Włosi, młóćcie rękami jak wariaci.

Vittorio uśmiechnął się, słysząc z ust Anglika ten frazes. Ale kiedy znaleźli się w tłumie, i on zaczął dostrzegać ruchy dłoni, wymachiwanie rękami i nagłe okrzyki. Brytyjczyk dobrze znał Włochów. Vittorio szedł obok niego, starając się dotrzymać mu kroku, zafascynowany brakiem jakichkolwiek oznak wahania z jego strony. Nagle Gruszka chwycił go za rękaw i szarpnął w lewo, rzucając ich obu w kierunku właśnie zwolnionego miejsca na murku fontanny. Fontini-Cristi zamrugał w zaskoczeniu oczami; cały czas sądził, że ich głównym celem jest dotarcie do Via Ligata najszybciej jak to możliwe i bez zwracania na siebie uwagi.

Chwilę później zrozumiał, co się stało; doświadczony oczy zawodowca dostrzegły to, czego amator nie zdołał zauważyć — sygnał.

Vittorio usiadł ze spuszczoną głową po prawej ręce agenta. Pierwszą rzeczą, na jaką padł jego wzrok, była para schodzonych butów z plamami pomarańczowej farby na zniszczonej skórze. Pojedyncza para zupełnie nieruchomych butów wśród ruchliwych cieni ruchliwych ciał. Przesunął spojrzenie w górę i zamarł. Jego kierowca partyzant przytrzymał w objęciach krępe ciało korsykańskiego łącznika, jakby wspierał ramieniem kolegę, który za dużo wypił. Ale łącznik nie był pijany. Oczy w opadającej bezwładnie głowie były szeroko otwarte, wpatrywały się niewidzącym spojrzeniem w pulsującą ruchem ciemność. Był martwy.

Vittorio wyprostował się, zahipnotyzowany tym widokiem. Z koszuli na plecach Korsykanina sączyła się równa, cienka strużka krwi, spływała po kamiennej obmurówce do fontanny i mieszała się z brudną wodą, tworząc w docierających tu momentami odblaskach latarni ulicznej koła i wirujące półkole.

Partyzant zaciskał w garści materiał koszuli, marszcząc ją wokół miejsca, gdzie przesiąkła krwią; spomiędzy zakrwawionych palców i nadgarstka sterczał koniec rękojeści noża.

Fontini-Cristi próbował opanować szok, jakiego doznał.

— Tak właśnie liczyłem, że się zatrzymacie — powiedział komunista do Anglika.

— Bylibyśmy tego omal nie uczynili — odparł Gruszka po włosku, jak zwykle przesadnie gramatycznie. — Dobrze, że zauważyłem tę uciekającą stąd parę. — Wskazał na miejsce, które zajęli z Fontini-Cristim. — Wnioskuje, że to wasi ludzie.

— Nie. Kiedy byliście tuż obok mnie, powiedziałem im, że mój przyjaciel będzie

rzygał. Wracając do sprawy, to rzeczywiście zasadzka. Zarzucili sieć w ciemno; sami nie bardzo wiedzą, co im się złapie. Udało im się złamać szyfr — wczoraj w nocy. W okolicy kręci się pewnie z dziesięciu prowokatorów, próbujących wypłoszyć wszystko, co się da. Coś w rodzaju łapanki.

— Powiemy o tym Korsykanom.

— To już nic nie da. A jutro i tak szyfr się zmienia.

— A zatem taksówka to pułapka?

— Nie, druga przynęta. Nie chcą ryzykować. Taksówka zawiezie im zwierzynę prosto w sieci. Tylko kierowca wie gdzie; on to wyższy szczebel.

— Oprócz niego gdzieś obok muszą być jeszcze inni. — Gruszka uniósł rękę do ust; był to gest namysłu.

— Jasne.

— Ale jak ich rozpoznać?

— Jest na to metoda. Gdzie Jabłko?

— Do tej pory zdążyli już na pewno dojść na Via Ligata. Woleliśmy się rozdzielić, na wypadek gdyby pan miał kłopoty.

— Dołączcie do niego; kłopoty miał ten tutaj, nie ja.

— Tak, widzę...

— Matko Boska! — zawołał Vittorio półgłosem, nie będąc w stanie dłużej zachować milczenia. — Siedzicie na samym środku placu z trupem między sobą i paplacie jak baby!

— Mamy o czym, proszę pana. Niech pan siedzi cicho i słucha. — Partyzant przeniósł wzrok z powrotem na Anglika, który jakby w ogóle nie zauważył wybuchu Fontini-Cristiego. — Dam wam dwie minuty na dotarcie do Jabłka. Potem pozwolę naszemu korsykańskiemu przyjacielowi osunąć się do fontanny, plecami do góry, tak żeby widać było nóż. Wybuchnie zamieszanie. Ja pierwszy podniosę krzyk. Tłum bez wątpienia go podchwyci. To wystarczy.

— A my nie spuszczaemy z oczu taksówki — wtrącił Gruszka.

— Tak. Kiedy dobiegnie do was wrzawa, zwracajcie uwagę na to, kto z kim rozmawia. Kto podchodzi sprawdzić, co się dzieje.

— A wtedy wsiadajcie w tę cholerną taksówkę i jazda — dodał Gruszka tonem zakończenia. — Dobrze pomyślane! Chciałbym znów kiedyś z wami współpracować. — Wstał, a Vittorio uczynił to samo, czując na ramieniu jego rękę.

— Coś panu powiem — odezwał się partyzant do Vittoria, tuląc oburącz bezwładne, krępe ciało w zgiełku, potrącając się z ruchliwymi cieniami mroku. — Coś na przyszłość. Czasami najbezpieczniej jest rozmawiać w tłumie. A nóż w tłumie najtrudniej wysledzić. Niech

pan to sobie zapamięta.

Vittorio spojrział na niego, nie bardzo pewien, czy to, co powiedział, miało być obraźliwe, czy też nie.

— Zapamiętam — powiedział.

Ruszyli szybkim krokiem w stronę Via Ligata. Jabłko szedł przeciwną stroną ulicy, zbliżając się powoli do zaułka, w którym według korsykańskiego łącznika miała czekać na nich taksówka. Ulica była znacznie słabiej oświetlona niż plac.

— Teraz szybko. Widzę go — powiedział Gruszka po angielsku. — Niech pan wydłuży krok, ale nie biegnie.

— Czy nie powinniśmy do niego podejść? — spytał Vittorio.

— Jedna osoba przechodząca na drugą stronę ulicy mniej się rzuca w oczy niż dwie... W porządku. Teraz niech pan stanie.

Gruszka wyjął z kieszeni pudełko zapalek. Potarł jedną z nich o draskę i w tej samej chwili, w której się zapaliła, zamachał gwałtownie ręką, jakby się sparzył w palec, rzucając zgasłą zapalną na chodnik, po czym natychmiast zapalił następną i przyłożył ją do papierosa, który wcześniej włożył do ust.

Nim upłynęła minuta, Jabłko zjawił się pod ścianą budynku i zatrzymał obok nich. Gruszka przedstawił mu strategię partyzanta. Trzymając się tłumu przechodniów, ruszyli wszyscy trzej chodnikiem do końca kamienicy stojącej po przeciwnej stronie ulicy niż zaułek, na wprost jego wylotu. W mętym świetle latarni ulicznej ujrzeli w nim taksówkę zaparkowaną trzydzieści metrów od rogu.

— Czy to nie dzwiny zbieg okoliczności? — spytał Jabłko, stawiając nogę na niskiej obmurówce budynku i podciągając skarpetkę. — Zaułek jest rzeczywiście ślepy.

— Nagonka musi być gdzieś niedaleko. Założyłeś poduszkę? Bo ja nie.

— Tak, ty też załóż.

Gruszka odwrócił się do ściany i wyjął zza pazuchy automatyczny pistolet. Drugą ręką sięgnął do kieszeni, wy dobył z niej cylinder długości około dziesięciu centymetrów, z perforacją na metalowej powierzchni, i nakręcił go na lufę swej broni. Wsunął ją z powrotem pod połę kurtki dokładnie w tej samej chwili, w której od strony placu dobiegły pierwsze krzyki.

Najpierw było ich tylko kilka, niemal zupełnie niezrozumiałych. Lecz już w następnej chwili ulica wybuchła istną kakofonią głosów.

— *Polizia! A quale punto polizia! Assassinio! Omicidio!* — Z placu zaczęły wybiegać w popłochu kobiety i dzieci, a za nimi mężczyźni, wykrzykujący polecenia i informacje, do

nikogo konkretnie i do wszystkich naraz. Wśród wrzawy podniesionych głosów wyraźnie dało się słyszeć: „*Uomo con arancia scarpe!*” — człowiek w pomarańczowych butach. Partyzant doskonale się spisał.

I nagle on sam pojawił się wśród tłumu biegnącego chodnikiem. Przystanął trzy metry od Fontini-Cristiego i obu Anglików i ryknął na cały głos do wszystkich, którzy chcieli słuchać: — Ja go widziałem! Tamtych też widziałem! Stałem tuż obok niego! I wtedy tamci wbili mu, temu z farbą na butach, nóż w plecy!

Z ciemnej wnęki budynku po przeciwnej stronie ulicy wyłoniła się jakaś postać i szybko podbiegła do partyzanta.

— Ty! Chodź no tutaj!

— O co chodzi?

— Jestem z policji. Mów, co widziałeś.

— Policja. Dzięki Bogu! Niech pan idzie ze mną! Było ich dwóch. W swetrach...

Zanim tajniak zdążył ochłonąć, partyzant rzucił się z powrotem przez tłum w kierunku placu. Policjant zawahał się, po czym spojrzał na drugą stronę słabo oświetlonej ulicy. Kilka metrów przed taksówką rozmawiało ze sobą trzech mężczyzn. Policjant skinął na nich ręką: dwóch z nich odłączyło od trzeciego i ruszyło za oficerem, który pędził już za znikającym partyzantem na San Giorno.

— Ten, który został przy samochodzie. To on jest kierowcą — powiedział Jabłko. — Idziemy.

To, co nastąpiło później, dotarło do Vittoria jak przez mgłę. Przeszedł za dwoma agentami na drugą stronę Via Ligata i ruszył w głąb zaułka. Człowiek stojący przedtem przed taksówką zdążył już usiąść za kierownicą. Jabłko podszedł do samochodu, otworzył drzwiczki i bez słowa podniósł pistolet. Lufa jego broni bluznęła stłumionym hukiem. Mężczyzna opadł do przodu; Jabłko przetoczył go na siedzenie obok kierowcy. Gruszka chwycił Vittoria za ramię i zawołał: — Na tylne siedzenie! Szybko!

Jabłko przekręcił kluczyk w stacyjce; taksówka była stara, ale silnik miała nowy i potężny. “To tylko z wyglądu zwykły fiat — pomyślał Vittorio. — Silnik jest od lamborgini”.

Samochód skoczył do przodu, na rogu Via Ligata skręcił w prawo i nabrał szybkości.

— *Zajrzyj do schowka pod deską!* — rzucił przez ramię Jabłko do Gruszki. — Ten gruchot należy do jakichś ważniaków. Zaryzykowałbym, że i w Le Mans nieźle dawałby sobie radę.

Gruszka pochylił się na tylnym siedzeniu pędzącego samochodu, sięgnął przez złożone oparcie przedniego fotela, ponad trupem Włocha. Szarpnięciem otworzył drzwiczki schowka,

zgarwał leżące tam papiery i zebrał je w jedną dłoń. Kiedy odpychał się od tablicy rozdzielczej, Jabłko skręcił gwałtownie kierownicą, by wyprzedzić dwa auta, i samochodem rzuciło w bok. Ciało zabitego Włocha osunęło się na wyciągniętą rękę Gruszki. Gruszka chwycił trupa za pozbawioną życia szyję i odepchnął brutalnie z powrotem w kąt siedzenia.

Vittorio przyglądał się tej całej scenie nie pojmującym spojrzeniem, czując wzbierające mdłości. Tam za sobą zostawili trupa krępego Korsykanina, pływającego w fontannie na placu z rękojeścią noża sterczącą z przesiąkniętej krwią koszuli. Tutaj, w pędzącym na łeb na szyję nie oznakowanym samochodem policyjnym udającym taksówkę, inny człowiek leżał bez życia na przednim siedzeniu z kulą w ciele. Kilka kilometrów dalej, na Via Canelli w małej budce wartowniczej leżeli martwi dwaj kolejni ludzie, zabici przez komunistę, który uratował mu życie. Ten nieustanny koszmar odbierał mu rozum. Wstrzymał oddech, rozpaczliwie próbując choć na jedną chwilę odzyskać zdrowe zmysły.

— No proszę! — krzyknął Gruszka, machając prostokątną kartką grubego papieru, którą z trudem przeczytał w o wiele za słabym świetle. — Wielki Boże, manna z nieba!

— Pewnie zezwolenie na swobodne poruszanie się po kraju — powiedział Jabłko, zwalniając przed zakrętem.

— Jakbyś zgadł. Ten cholerny wehikuł należy do tajnej policji — chłopców z *ufficiale segreto*! Ta banda ma dostęp do samego Mussoliniego.

— Podejrzywałem coś w tym rodzaju — powiedział Jabłko, kiwając głową. — Silnik w tym odrapanym pudle to istne чудо.

— Lamborgini — odezwał się cicho Vittorio.

— Co? — Jabłko podniósł głos, by można go było usłyszeć przez ryk maszyny, pędzącej teraz prosto jak strzełił autostradą. Zbliżali się do przedmieść Alby.

— Powiedziałem, że to silnik z lamborgini.

— Ach, tak — mruknął Jabłko, któremu najwyraźniej nic to nie mówiło. — Niech pan tak trzyma dalej. To znaczy, niech pan nadal wyjeżdża z czymś typowo włoskim. Zanim dotrzemy do wybrzeża, potrzebna nam będzie pana gadka.

Gruszka odwrócił się do Fontini-Cristiego. Sympatyczna twarz Anglika ledwie majaczyła w panujących ciemnościach. Odezwał się cicho, ale nie sposób było nie wyczytać z jego głosu, że mówi coś niezwykle ważnego: — To wszystko wydaje się pewnie panu bardzo dziwne i bez wątpienia równie nieprzyjemne. Ale ten bolszewik miał rację. Niech pan zapamiętuje wszystko, co się tylko da. Najtrudniejsze w tej robocie wcale nie jest jej wykonywanie, najtrudniej jest przywyknąć do tego wykonywania. Nie wiem, czy jasno to wyraziłem. Zaakceptować fakt, że to wszystko się dzieje naprawdę. Każdy z nas musiał przez

to przejść, prawdę mówiąc, wciąż to przechodzimy. Bo to koszmarna robota. Ale ktoś ją musi robić — tak nam przynajmniej w kółko powtarzają. A ja panu powiem jedno: odbywa pan niezwykle praktyczny fachowy trening. Czy nie tak?

— Owszem — odparł Vittorio cicho, odwracając głowę. Nie mógł oderwać zhipnotyzowanego wzroku od wyłuskiwanej z mroku snopami światła reflektorów pędzącej mu naprzeciw drogi, a myśli od mrozącego pytania, które zaświtało mu nagle w głowie i którego nie sposób było zignorować.

Trening do czego?

31 grudnia 1939

Celle Ligure, Włochy

To o były dwie godziny czystego szaleństwa. Skręcili z autostrady w stronę wybrzeża, wynieśli zwłoki zabitego kierowcy na pole i rozebrali je do naga, pozbawiając wszystkiego, co mogłoby pozwolić na ich identyfikację.

Zawrócili na autostradę i popędzili na południe w kierunku Savony. Posterunki drogowe nie różniły się od tamtego na Via Canelli — pojedyncza budka wartownicza obok słupków telefonicznych z dwoma żołnierzami na służbie. Były cztery punktu kontrolne; trzy minęli bez żadnych przeszkód. Gruby urzędowy dokument zaświadczający, że pojazd należy do *ufficiale segreto*, czytano z respektem i niemałym strachem. Prowadzenie rozmów na wszystkich trzech posterunkach wziął na siebie Fontini-Cristi.

— Cholernie szybko to panu idzie — rzucił Jabłko zza kierownicy, kręcąc głową z przyjemnym zdziwieniem. — I miał pan rację, pozostając na tylnym siedzeniu. Opuszcza pan tę szybę jak jaki maharadża Pendżabu.

W światłach reflektorów mignął drogowy znak: MONTENOTTE SUD. Vittorio przypomniał sobie tę nazwę. Było to jedno ze średniej wielkości miasteczek rozsianych wzdłuż Zatoki Genueskiej. Przypomniał ją sobie sprzed dziesięciu lat, kiedy to wraz z żoną jechał drogą wzdłuż wybrzeża na ostania wycieczkę do Monte Carlo. Wycieczkę, która tydzień później zakończyła się jej śmiercią. W nocy, w rozpędzonym samochodzie.

— Do wybrzeża jest stąd chyba jeszcze jakieś dwadzieścia pięć kilometrów — odezwał się niepewnie Jabłko, przerywając mu te rozmyślenia.

— Raczej dwadzieścia — poprawił go Vittorio.

— Zna pan ten teren? — spytał Gruszka.

— Jeździłem kilka razy do Cap Ferrat i Yillefranche. — “Dlaczego nie powiedziałem, że do Monte Carlo? Czy ta nazwa była za bardzo symbolem?” — Zwykle przez Turyn, ale czasami także nadbrzeżną szosą z Genui. Montenotte Sud jest znane ze swych zajazdów.

— To może zna pan lokalną drogę, chyba przez jakieś wzgórza na północ od Savony, do Celle Ligure?

— Niestety. Tutaj wszędzie są wzgórza... Ale znam Celle Ligure. To nad samym morzem, zaraz za Albisollą. Czy tam właśnie jedziemy?

— Zgadza się. To nasze awaryjne miejsce spotkania z Korsykanami. Ustaliliśmy, że

gdyby się coś porobiło, mamy dotrzeć do Celle Ligure, na moło rybackie tuż poniżej przystani jachtowej. Będzie oznakowane wiatronierzem z zielonym rękawem.

— No i rzeczywiście coś tam się porobiło — dodał Gruszka. — Jestem pewien, że po Albie kręci się jakiś Korsykanin i zachodzi w głowę, gdzieśmy się podziali.

Kilkaset metrów w przodzie w smugach reflektorów pojawiło się na środku drogi dwóch żołnierzy. Jeden trzymał karabin jak przy "prezentuj broń", drugi podniósł rękę, sygnalizując, żeby się zatrzymali. Jabłko zwolnił, podmieniony silnik zadudnił głęboko nadwyżką mocy.

— Niech pan odstawia ten swój numer ważniaka — powiedział do Vittoria. — Im więcej arogancji, tym lepiej. — Podjechał do posterunku samym środkiem drogi, dając do zrozumienia, że pasażerowie nie spodziewają się żadnych zakłóceń w podróży; zjeżdżanie na pobocze nie było potrzebne.

Dowódca patrolu był porucznikiem, jego podkomendny kapralem. Dowódca podszedł do opuszczonej szyby po stronie Jabłka i służbiście zaszalutował niechlujnemu cywilowi.

"Zbyt służbiście" — pomyślał Vittorio.

— Dokumenty, proszę pana — powiedział grzecznie. Za grzecznie.

Jabłko podał mu grube, urzędowe pismo i wskazał ręką na tylne siedzenie. Nastąpiła kolej na partię Vittoria.

— *Ufficiale segreto* z garnizonu w Genui. Bardzo nam się spieszy. Mamy do załatwienia pewną sprawę w Savonie. Zrobiliście już, co do was należy; proszę nas natychmiast przepuścić.

— Pan zechce wybaczyć. — Oficer wziął z ręki Jabłka dokument i podsunął do oczu. W niemal zupełnych ciemnościach przebiegł wzrokiem treść pisma i złożył je z powrotem. — Muszę zobaczyć pańskie dokumenty — podjął równie uprzejmie jak przedtem. — O tej porze panuje to bardzo mały ruch. Mamy rozkaz sprawdzać wszystkie pojazdy.

Fontini-Cristi rąbnął pięścią w oparcie przedniego siedzenia w nagłym przypiływie irytacji.

— Naruszacie regulamin? Nasz wygląd nie ma tu nic do rzeczy. Jedziemy w sprawie służbowej i spóźnimy się do Savony.

— Tak, no cóż, muszę to dokładnie przeczytać...

"Tylko że on wcale nie czyta — pomyślał Vittorio. W marnym świetle człowiek nie zgina kartki do siebie; jeśli już ją w ogóle przechyla, to od siebie, żeby padło na nią więcej światła. Ten oficer po prostu gra na zwłokę. A tymczasem kapral stanął obok przedniego prawego siedzenia fiata, nadal trzymając karabin na piersi, ale lewą rękę opuścił teraz znacznie

niżej, na przedni uchwyt broni. Każdy myśliwy zna tę pozycję — gotów do strzału".

Fontini-Cristi opadł w głąb siedzenia, klnąc na czym świat stoi.

— Wasze nazwisko i nazwisko waszego dowódcy! — ryknął. Siedzący za kierownicą Jabłko przesunął ramiona w prawo, próbując zajrzeć we wsteczne lusterko, czego nie mógł zrobić otwarcie bez zwracania na siebie uwagi. W swym udanym gniewie Fontini-Cristi nie miał jednak takich trudności. Trzasnął pięścią w oparcie za plecami Gruszki, jakby jego irytacja doszła szczytu.

— Może mnie nie usłyszeliście, żołnierzu! Wasze nazwisko i nazwisko waszego dowódcy!

We wstecznym lusterku zobaczył to, czego się obawiał. Daleko w tyle, poza zasięgiem czystego odbicia lusterka, ledwie widoczny przez tylną szybę stał jakiś samochód. Zjechał na pobocze drogi, zjechał tak daleko, że znajdował się niemal w połowie pola okalającego autostradę. Przez przednie drzwiczki wysiadło z niego dwóch ludzi. Ich sylwetki, ledwie majaczące w mroku nocy, poruszały się jak w zwolnionym tempie.

— ...Marchetti, proszę pana. Moim dowódcą jest pułkownik Balbo. Z garnizonu w Genui, proszę pana.

Vittorio podchwycił we wstecznym lusterku spojrzenie Jabłka. Skinął nieznacznie głową, przesunął ją powolnym łukiem w stronę swoich drzwiczek i jednocześnie, korzystając z osłony ciemności, zabębnił szybko palcami w kark Gruszki. Agent zrozumiał.

Bez słowa ostrzeżenia Vittorio otworzył drzwiczki. Kapral jednym ruchem wycelował w niego swój karabin.

— Radzę wam to opuścić, kapralu. Skoro wasz dowódca uważa za stosowne marnować mój czas, spróbuję go wykorzystać. Jestem major Aldo Ravena, *ufficiale segreto* z Rzymu. Przeprowadzę inspekcję waszych pomieszczeń. A także załatwię się.

— Proszę pana! — krzyknął oficer poprzez maskę samochodu.

— Zwracacie się do mnie? — spytał wyniośle Fontini-Cristi.

— Proszę wybaczyć, panie majorze. — Oficer nie mógł się powstrzymać; zerknął szybko w prawo, na drogę z tyłu za fiatem. — W wartowni nie ma toalety.

— Chyba i wy się wypróżniacie. A korzystanie z bruzdy na polu musi być dość niedogodne. Może Rzym zainstaluje odpowiednie urządzenie. Zobaczymy.

Vittorio ruszył szybkim krokiem ku drzwiom małej budki; były otwarte. Tak jak się spodziewał, kapral podążał krok w krok za nim. Vittorio szybko wszedł do środka. W tej samej chwili, w której kapral przekroczył próg, Fontini-Cristi odwrócił się na pięcie i wepchnął mu pod brodę lufę swego pistoletu.

— Jedno chrząknięcie i będę musiał cię zabić! — szepnął, przyciskając ją żołnierzowi mocniej do gardła, a lewą ręką chwytając za lufę jego karabinu. — A wcale nie chcę tego robić.

Kapral wytrzeszczył oczy w pełnym szoku; nie miał zamiaru strugać bohatera. Fontini-Cristi odebrał mu karabin i wydał spokojny, precyzyjny rozkaz: — Zawołaj oficera. Powiedz, że dzwonię z waszego telefonu i że nie wiesz co robić. Powiedz mu, że dzwonię do garnizonu w Genui. Do tego pułkownika Balbo. No już!

Kapral wykrzyczał, co mu kazano, głosem zdradzającym i dezorientację, i przerażenie. Vittorio przycisnął go plecami do ściany za drzwiami. Odpowiedź oficera zdradzała, że on także jest mocno wystraszony — a nuż popełnił jednak jakąś straszliwą pomyłkę.

— Ja wykonuję tylko rozkazy! Otrzymałem rozkazy z Alby!

— Powiedz mu, że pułkownik Balbo podchodzi do telefonu — szepnął Fontini-Cristi.
— No!

Kapral uczynił, co mu kazano. Vittorio usłyszał tupot nóg oficera biegnącego od fiata do wartowni.

— Jeśli chce pan żyć, poruczniku, niech pan zdejmie pas, po prostu odepnie obie kalmerki, i stanie obok kaprała pod ścianą.

Porucznik kompletnie osłupiał. Szczęka mu opadła, rozdziawił usta ze strachu. Fontini-Cristi ponaglił go, dźgając w brzuch lufą karabinu. Oszołomiony oficer stęknął, wykrzywił się z bólu i zrobił, co mu polecono.

— Rozbroiłem ich — zawołał Vittorio po angielsku do samochodu. — Nie bardzo wiem co dalej.

— Co dalej?! — dobiegła go stłumiona odpowiedź Gruszki. — Wielki Boże, jest pan istne чудо! Niech pan każe oficerowi wyjść z powrotem na dwór i dobrze mu uświadomi, że trzymamy go na muszce. Ma natychmiast podejść do drzwiczek od strony Jabłka. Dalej my się już wszystkim zajmujemy.

Fontini-Cristi przetłumaczył polecenie. Oficer ponaglany lufą pistoletu Vittoria wyskoczył przez drzwi i przeciął szybko smugę światła reflektorów, przechodząc na drugą stronę samochodu do okienka kierowcy.

Dziesięć sekund później na drodze rozległo się jego głośnie wołanie.

— Hej, wy tam z Alby! To nie ten samochód! To jakaś pomyłka! Minęła chwila, nim z ciemności dobiegła odpowiedź. Dwa głosy, podniesione i pełne złości.

— Co się stało? Kto to jest?

Vittorio ujrzał sylwetki dwóch mężczyzn wyłaniających się z mroku zalegającego pola. Byli to żołnierze, karabiny trzymali u boku.

— To *ufficiale segreti* z Genui. Oni także szukają samochodu z Alby.

— Matko Boska! Kto jeszcze go szuka?!

Nagle oficer odskoczył od okienka i dał nura przed maskę samochodu, krzyząc na cały głos: — Strzelajcie! Ognia! To są...

Przerwały mu stłumione huki strzałów z pistoletów Anglików. Gruszka wyskoczył z prawego tylnego siedzenia i kryjąc się za samochodem, otworzył ogień do nadchodzących żołnierzy. Odpowiedział mu pojedynczy wystrzał z karabinu — na oślep, posłany ręką umierającego człowieka. Kula ugrzęzła w asfaltowej nawierzchni drogi. Porucznik z posterunku zerwał się na równe nogi i *zaczai* uciekać w pole po przeciwnej stronie drogi. Jabłko złożył się, trzem jaskrawym błyskiem z lufy jego broni towarzyszyły trzy stłumione odgłosy eksplozji. Oficer krzyknął przeraźliwie i wygiął się w kabłąk, po czym powoli osunął się na piach pobocza.

— Fontini! — ryknął Jabłko. — Zabij tego swojego i chodź tutaj.

Kapralowi zadrżały usta, oczy zasłyły mu łzami. Słyszał stłumione strzały i krzyki i zrozumiał rozkaz Jabłka.

— Nie — odparł Fontini-Crosti.

— Psiakrew! — wrzasnął Jabłko. — Niech pan robi, co każe! Ja tu rozkazuję! Nie mamy ani chwili do stracenia i nie możemy niczym ryzykować.

— Jest pan w błędzie. Stracimy znacznie więcej czasu i narazimy się na na znacznie większe ryzyko, jeśli nie znajdziemy tej drogi do Celle Ligure. Ten żołnierz na pewno ją zna.

Złnał. Vittorio siadł za kierownicą, żołnierz na przednim siedzeniu obok niego. Fontini-Cristi orientował się w okolicy, a gdyby natknęli się na jakąś nieprzewidzianą przeszkodę, umiałby sobie z nią poradzić. Już tego dowiódł.

— Uspokój się — rzekł Vittorio po włosku do przerażonego kaprala. — Pomagaj nam tylko dalej, a nic ci się nie stanie.

— Co ze mną będzie? Powiedzą, że zdezerterowałem z posterunku.

— Bzdura. Wpadłeś w zasadzkę, zostałeś pod bronią zmuszony pojechać z nami w roli tarczy. Nie miałeś wyboru.

Do Celle Ligure wjechali o dziesiątej czterdzieści. Na ulicach nie było żywego ducha. Większość mieszkańców zaczynała dzień O czwartej rano, dziesiąta wieczorem była dla nich bardzo późną godziną. Fontini-Cristi zaparkował na piaszczystym parkingu za targiem rybnym rozłożonym frontem do szerokiego nadbrzeżnego bulwaru. Dokładnie na wprost głównej części przystani jachtowej.

— Gdzie są wartownicy? Gdzie się spotykają? — spytał Jabłko. W pierwszej chwili

kapral zdawał się nie rozumieć, o co chodzi. Gdzie zawracacie — wyjaśnił Vittorio — kiedy macie tutaj wartę?

— Aha. — Kapral odetchnął z ulgą. Najwyraźniej starał się okazać pomocnym. — Nie tutaj, nie w tej części. Trochę dalej w tę stronę... To znaczy w tamtą.

— Psiakrew! — Jabłko rzucił się do przodu z tylnego siedzenia i chwycił Włocha za włosy.

— Niczego pan w ten sposób nie osiągnie — powiedział Vittorio po angielsku. — Ten człowiek jest śmiertelnie przerażony.

— Ja też! — odparował agent. — Gdzieś tam po przeciwnej stronie jest cumowisko z zielonym wiatromierzem a przy nim łódź, którą musimy znaleźć! Nie mam pojęcia, co się dzieje za nami; na nabrzeżu są żołnierze pod bronią — jeden strzał postawi na nogi wszystkich w całej okolicy. Nie wiem także, jakie rozkazy przekazano przez radio łodziom patrolowym. To ja się boję! Jak jasna cholera!

— Przypomniałem sobie! — zawołał kapral. — Po lewej. Na ulicy po lewej. Ciężarówka się zatrzymywała, szliśmy piechotą na nabrzeże i tam czekaliśmy na tych, co schodzili z posterunku. Dawali nam kartkę z raportem i ich zmienialiśmy.

— Gdzie? Gdzie dokładnie, kapralu? — naciskał Gruszka.

— Na tej ulicy, na pewno.

— Na oko to jakieś sto metrów, prawda? — powiedział Gruszka spoglądając na Fontini-Cristiego. — A do następnej jeszcze ze sto, kilka w tę czy w tę.

— Co ci chodzi po głowie? — Jabłko puścił żołnierza, ale zatrzymał ręce złowieszczo na oparciu fotela.

— To samo co tobie — odparł Gruszka. — Zdjąć wartownika w połowie drogi; większe szansę, że tam nikt go nie ma na widoku. A kiedy już go zdejmujemy, szybko w lewo, w stronę wiatromierza. I trzymamy kciuki, że Korsykanie sami nam się ujawnią.

Przecięli bulwar i zapuścili się w zaułek prowadzący do kompleksu portowego. Ciemność przesycił zapach ryb i odgłosy pół setki łodzi poskrzypujących w rytmicznym odpoczynku w swoich basenach. Wszędzie majaczyły rozwieszane sieci. Spoza zbitego z desek pomostu łączącego pirsy dobiegł szum morza. Kilka latarni huśtało się na linach ponad pokładami, gdzieś w oddali ktoś grał na harmonii prostą melodię.

Vittorio i Gruszka wyszli swobodnie z zaułka. Wilgotne deski tłumiły odgłos kroków. Jabłko pozostał z kapralem w głębokim cieniu. Wzdłuż całego pomostu biegła poręcz z metalowej rurki przewieszona nad chlupoczącą wodą.

— Widzi pan wartownika? — spytał przyciszonym głosem Fontini-Cristi.

— Nie. Ale go słyszę — odparł agent. — Idzie i stuka w poręcz. Niech pan słucha.

Potrwało kilka chwil, nim z rytmicznego poskrzypywania drewna na wodzie Vittorio zdołał wyłować ledwie słyszalne metaliczne odgłosy. Niemniej jednak rzeczywiście było je słychać. Mechaniczne, nieregularne bębnienie palcami kogoś, kto wykonuje nudne zadanie i przykrzy mu się jego monotonia.

Kilkaset kroków w prawo od pomostu, w kręgu światła latarni na pirsie, pojawiła się sylwetka żołnierza z karabinem zwisającym pod kątem do kładki z jego lewego ramienia. Szedł tuż obok poręczy, bez celu wystukując na niej prawą ręką rytm swych kroków.

— Kiedy dojedzie tutaj, niech pan go poprosi o papierosa — powiedział spokojnie Gruszka. — Niech pan udaje pijanego. Ja też będę udawał.

Wartownik zbliżył się. Na ich widok zerwał karabin z ramienia, z trzaskiem zarepetował i zatrzymał się w odległości pięciu metrów.

— *Haiti* Kto idzie?

— Dwaj rybacy bez papierosów — odparł bełkotliwie Fontini--Cristi. — Bądź równy kumpel i kopsnij dwa. Choćby i jednego. Wypalimy na spółkę.

— Jesteście pijani — powiedział żołnierz. — Dzisiaj w porcie obowiązuje godzina policyjna. Skądście się tu wzięli? Przez cały dzień ogłaszali przez megafony.

— Byliśmy z dwiema kurwami w Albisolli — odparł Vittorio, zataczając się i przytrzymując poręczy. — Jedyne co słyszeliśmy, to muzyka z fonografu i skrzypienie łóżek.

— A jak one skrzypiały! — wymamrotał Gruszka. Wartownik pokręcił głową z dezaprobatą. Opuścił karabin, podszedł bliżej i sięgnął do kieszeni bluzy po papierosy.

— Wy, liguryjczycy jesteście gorsi niż ci z Neapolu. Odbywałem tam służbę.

Za plecami żołnierza Vittorio ujrzał wyłaniającego się z ciemności Jabłko, który zmusił kaprała do położenia się na plecach w zakamarku zaułka; kaprał nie śmiał nawet drgnąć. Jabłko trzymał w rękach dwie szpule.

Nim Vittorio zorientował się, co się dzieje, Jabłko wyskoczył z uliczki z rękami wyciągniętymi w górę pod kątem do siebie. Zatoczył nimi dwa płynne koła wokół głowy wartownika i wbijając mu kolano w krzyż, szarpnął gwałtownie rękami do siebie. Całe ciało strażnika wyprężyło się w rozpaczliwym łuku, po czym natychmiast zwiotczało.

Jedynymi przy tym odgłosami był potworny, nagły świst powietrza uchodzącego z jego płuc i cichy stuk upadku ciała na miękkie, wilgotne deski pomostu.

W tej samej chwili Gruszka dopadł kilkoma susami miejsca, gdzie leżał kaprał, i przyłożył mu do skroni lufę pistoletu.

— Ani mru-mru. Jasne? — Ten rozkaz nie zostawiał miejsca na dyskusje. Kaprał

podniósł się bez słowa.

Fontini-Cristi spojrział w nikłym świetle na deski pomostu i leżące ciało żołnierza. Wolałby nie widzieć tego, co zobaczył. Głowa mężczyzny została na wpół odcięta od jego ciała; z miejsca, w którym przedtem znajdowało się gardło, buchał ciemnoczerwony strumień krwi. Jabłko przeturlał ciało i zepchnął między słupkami poręczy do wody. Wpadło do niej ze stłumionym pluskiem. Gruszka podniósł karabin zabitego i rzucił po angielsku: — Już nas tu nie ma. Tędy.

— Chodź — powiedział Fontini-Cristi, kładąc rękę na ramieniu drżącego kaprała. — Nie masz wyboru.

Zielony rękaw wiatromierza zwisał bezwładnie, nie wzdymało go nawet najłżejsze tchnienie wiatru. Ten pomost zdawał się wybiegać dalej w wodę niż pozostałe, tylko połowa stanowisk dla łodzi była zajęta. Zeszli we czterech po schodach, Jabłko i Gruszka pierwsi, z rękami w kieszeniach. Obaj wyraźnie nie byli pewni siebie. Vittorio bez słów widział, że są zaniepokojeni.

Nagle, bez jednego ostrzegawczego dźwięku, na pokładach łodzi z obu stron pojawili się jacyś ludzie z bronią gotową do strzału. Pięciu, nie — sześciu mężczyzn w strojach rybaków.

— Czy może jesteś Jerzym V? — spytał ochryplym głosem mężczyzna stojący najbliżej Anglików, na pokładzie małego kutra.

— Bogu dzięki! — odetchnął z ulgą Gruszka. — Już się zaczynałem pocić.

Na dźwięk angielskiego broń zniknęła z powrotem za pasami i w kieszeniach. Mężczyźni zbili się w gromadkę, niemal wszyscy próbując mówić naraz. Po korsykańsku.

— Idźcie na koniec pirsu — zwrócił się do Jabłka jeden z nich, najwyraźniej dowódca. — Mamy jeden z najszybszych kutrów w całej Bastii. My się zajmiemy Włochem. Nie znajdą go przez miesiąc.

— Nie! — zaprotestował Fontini-Cristi, stojąc między nimi. Spojrzął na Gruszkę. — Daliśmy mu słowo, że jeśli będzie współpracował, będzie żył.

Zamiast Gruszki odezwał się Jabłko, przeciągając z irytacją wypowiedane szeptem słowa: — Słuchaj no pan. Pomógł nam pan, nie będę *zaprzeczał*, ale to nie pan kieruje tą imprezą. Niech pan się ładuje na ten pieprzony kuter.

— Dopiero jak zobaczę tego człowieka z powrotem na pomoście. Daliśmy mu słowo! — Odwrócił się do kaprała. — Wracaj. Nic ci się nie stanie. Zapal zapałkę, kiedy dojdiesz do pasażu przed bulwarem.

— A jeśli powiem nie? — Jabłko nie puszczał bluzy żołnierza.

— To nie ruszę się z miejsca.

— Psiakrew! — Jabłko puścił kaprała.

— Proszę odprowadzić go kawałek i dopilnować, żeby wasi ludzie go przepuścili — polecił Fontini-Cristi Korsykaninowi.

Korsykanin splunął na deski pomostu.

Kaprał pognał co sił w nogach w stronę nabrzeża. Fontini-Cristi spojrział na Anglików.

— Przepraszam — powiedział po prostu. — Było już dość zabijania.

— Jest pan skończonym głupcem — odparł Jabłko.

— Pospieszcie się — powiedział dowódca Korsykanów. — Chcę już ruszać. Za skałami jest dziś wysoka fala. A wy macie popieprzone we łbie.

Przeszli na koniec długiego molo i jeden za drugim przeskoczyli przez burtę na pokład dużego kutra. Dwaj Korsykanie pozostali przy słupkach cumowniczych i zabrali się za odwijanie grubych, natłuszczonych lin, gdy tymczasem gburowaty kapitan zaczął zapuszczać silnik.

To, co nastąpiło, spadło na nich bez jednego ostrzeżenia.

Od strony pomostu wybuchła kanonada serii z pistoletów maszynowych, a potem z ciemności wystrzelił oślepiający słup światła reflektora, któremu zawtórował harmider żołnierskich krzyków u wejścia na molo.

— Tam, tam! Na samym końcu! Kuter rybacki! Ogłosić alarm! Jeden z Korsykanów został trafiony. Padł na deski pomostu, zsuwając w ostatniej chwili cumę ze słupka.

— Reflektor! Strzelajcie w reflektor! — ryknął Korsykanin z otwartej sterówki, pobudzając silnik do życia i kierując się na otwarte wody. Jabłko i Gruszka odkręcili tłumiki ze swych rewolwerów, by uzyskać większą celność. Jabłko pierwszy wychylił się zza ochronnej tarczy nadburcia; kilkakrotnie nacisnął spust, raz za razem, korzystając z podparcia drewnianej poręczy. Z oddali dobiegł huk eksplodującego reflektora, lecz w tej samej chwili w powietrzu wokół Jabłka zawirowały odłamki drewna; agent zatoczył się do tyłu, krzycząc z bólu.

Kula zdruzgotała mu dłoń.

Korsykanie zdążyli jednak tymczasem wyprowadzić szybki kuter na otwarte morze i w zalegające je bezpieczne ciemności. Celle Ligure została za nimi w tyle.

— Nasza cena idzie w górę, Angole! — krzyknął mężczyzna przy kole sterowym. — Ty skurwysynu! Zapłacisz za to szaleństwo! — Spojrział na Fontini-Cristiego skulonego pod prawym nadburciem. Napotkawszy jego wzrok, splunął z wściekłością.

Jabłko usiadł, opierając się plecami o zwój liny. W nocnej poświacie odbijającej się od

morskiej piany Vittorio ujrzał, że Anglik wpatruje się w krwawiącą masę, w którą zmieniła się jego dłoń, zaciskając ją kurczowo drugą ręką w nadgarstku.

Wstał z pokładu i podszedł do niego, oddzierając kawałek swojej koszuli.

— Niech pan da, zawinę to panu. Trzeba powstrzymać krwawienie...

Jabłko poderwał głowę i syknął z wściekłością: — Trzymaj się pan ode mnie z daleka. Pańskie pieprzone zasady za drogo kosztują.

Wiał porwisty wiatr, morze było coraz bardziej wzburzone, statkiem kołysało i rzucało na wszystkie strony. Przebijali się przez zalewające ich fale otwartego morza równo trzydzieści osiem minut; Korsykanie tak to załatwili, że blokadę łodzi patrolowych dało się sforsować bez najmniejszego trudu. Silniki kutra pracowały teraz na jałowym biegu. Ponad grzywami fal Vittorio mógł dojrzeć małą niebieską tarczę pulsującą światłem: rozbłysk — ciemność, rozbłysk — ciemność. Sygnał z łodzi podwodnej. Korsykanin z latarnią na dziobie zaczął nadawać odpowiedź. Unosił i opuszczał latarnię, wykorzystując nadburcie jako przesłonę i naśladując dokładnie długość trwania rozbłysków i zaciemniania niebieskiej tarczy migającej spoza fal pół mili od kutra.

— Nie możecie się z nim porozumieć przez radio? — spytał Gruszka, starając się przekrzyczeć ryk morza.

— Mają nasłuch na naszych częstotliwościach — odparł Korsykanin. — Ściągnęlibyśmy tu inne łodzie patrolowe. Wszystkich nie da się przekupić.

Obie łodzie rozpoczęły swą ostrożną pawanę na wzburzonych falach; większość kroków w tym tańcu wykonywał kuter, aż ogromny okręt podwodny znalazł się dokładnie za jego prawą burtą. Fontini-Cristi nie mógł oderwać od niego wzroku, zahipnotyzowany jego ogromem i czarnym majestatem.

Oba statki legły w dryf o piętnaście metrów od siebie; łódź podwodna górowała teraz znacznie nad kutrem na grzbietach fal. Na jej pokładzie rozróżnić można było sylwetki czterech mężczyzn. Stali uczeplieni kurczowo metalowej poręczy, dwaj środkowi próbowali uruchomić jakieś urządzenie.

Nagle w powietrze wystrzeliła gruba lina i uderzyła z trzaskiem w nadbudówkę kutra. Dwaj Korsykanie rzucili się, ze wszystkich sił próbując ją pochwycić, jakby była wrogą istotą obdarzoną własną wolą. Przymocowali linę do żelaznego kołowrotu na śród-pokładzie i dali znak tym z łodzi podwodnej.

Cała czynność została powtórzona. Ale tym razem z łodzi podwodnej wystrzelono nie tylko linę. Towarzyszył jej brezentowy worek z metalowymi kółkami na brzegach. Do jednego z tych kółek przymocowana była spirala z grubego drutu, której drugi koniec sięgał aż na

pokład łodzi podwodnej.

Korsykanie jednym szarpnięciem rozpięli worek i wyjęli z niego komplet mocnych skórzanych pasów. Fontini-Cristi natychmiast rozpoznał, co to jest — rodzaj szelek znajdujących się w ekwipunku każdego alpinisty, służących do pokonywania górskich przepaści.

Zataczając się na szeroko rozstawionych nogach, podszedł do niego Gruszka.

— Włos się trochę jeży, ale to zupełnie bezpieczne! — zawołał do Vittoria.

— Pierwszego wyślijcie Jabłko! — odkrzyknął Vittorio. — Jego ręką trzeba się zająć jak najszybciej.

— Pan jest obiektem o bezwzględny pierwszeństwie przejazdu. A szczerze mówiąc, gdyby to cholera miało się urwać, to lepiej, żeby pod panem!

Fontini-Cristi siedział na metalowej pryczy w ciasnym pomieszczeniu o stalowych ścianach i sączył powoli kawę z grubego fajansowego kubka. Narzucił na ramiona koc, czując pod spodem mokre ubranie. Ale to nieprzyjemne uczucie nic nie znaczyło; uszczęśliwiała go samotność.

Drzwi małego pomieszczenia otworzyły się i stanął w nich Gruszka z naręczem ubrań. Rzucił je na koję.

— Ma pan tu suchą zmianę bielizny. Kiepsko by było, gdyby po tym wszystkim przekręcił się pan na zapalenie płuc. To jakby człowiek przeszedł przez pole minowe, a jaja mu urwało od przeciągu, nie?

— Dziękuję — powiedział Vittorio wstając. — Jak się czuje pański przyjaciel?

— Lekarz pokładowy obawia się, że tę rękę trzeba będzie spisać na straty. Nie powiedział mu tego jeszcze, ale on sam wie.

— Tak mi przykro. Byłem naiwny.

— Tak — przyznał po prostu Anglik. — Był pan naiwny. — Wyszedł zostawiając drzwi otwarte.

W wąskim metalowym korytarzu przed ciasną kajutą wybuchł nagle potworny hałas. Zaroilo się w nim od biegnących mężczyzn; wszyscy pędzili w tę samą stronę — dziobu czy rufy, Fontini-Cristi nie był w stanie odgadnąć. Z głośników łodzi zaczął dobiegać świdrujący, ogłuszający gwizd, nie ustający ani na chwilę. Gdzieś trzasnęły jakieś metalowe drzwi, krzyki przybrały na sile.

Vittorio wyskoczył z otwartej kajuty czując, że serce podchodzi mu do gardła. Na myśl o zanurzeniu ogarnęła go panika i poczucie bezsilności.

Zderzył się z jakimś angielskim marynarzem. Ale na twarzy Anglika nie widać było

paniki ani strachu, tylko beztroski uśmiech.

— Szczęśliwego Nowego Roku, stary! — zawołał marynarz. — Pólnoc, chłopie. Weszliśmy w rok 1940. W nową, kurde, dekadę!

Marynarz pognał do następnych drzwi i otworzył je z głośnym trzaskiem. Ponad jego ramieniem Fontini-Cristi zobaczył mesę. Pośrodku niej stał tłum mężczyzn wyciągających kubki, w które dwóch oficerów nalewało whisky. Krzyki utonęły w głośnym śmiechu. W metalowych pomieszczeniach zaczęła rozbrzmiewać pieśń — *Auld Lang Syne*.

Nowa dekada.

Poprzednią zakończyła śmierć, śmierć na każdym kroku, naj-straszniejsza jednak w oślepiającym świetle reflektorów Campo di Fiori. Ojciec, matka, bracia, siostry... dzieci. Zabici. Zamordowani w ciągu minuty potwornej masakry, która wyryła się w jego myślach jak wypalona rozżarzoną żelazem. Minuty, której wspomnienie miało mu towarzyszyć już do końca życia.

Dlaczego? Dlaczego?! To nie miało żadnego sensu!

I nagle przypomniał sobie. Savarone powiedział, że jedzie do Zurychu. Ale nie pojechał do Zurychu; pojechał gdzieś indziej.

Odpowiedź tkwiła właśnie w tym "gdzieś indziej". Ale gdzie?

Wrócił przez małe metalowe drzwi do kajuty i usiadł na brzegu wąskiej metalowej pryczy.

Rozpoczęła się nowa dekada.

ROZDZIAŁ 2

I

2 stycznia 1940

Londyn, Anglia

Worki z piaskiem.

Londyn zmienił się w miasto worków z piaskiem. Leżały wszędzie. W bramach domów, w oknach, na wystawach sklepowych, w stertach na rogach ulic. Worki z piaskiem stały się symbolem. Po drugiej stronie kanału La Manche Adolf Hitler poprzysiągł, że zniszczy Anglię. Anglicy po cichu wierzyli w tę groźbę i równie po cichu, twardo, zbroili się w oczekiwaniu na jej spełnienie.

Vittorio dotarł do wojskowego lotniska Lakenheath późno poprzedniej nocy, pierwszej w nowym dziesięcioleciu. Odebrano go z nie oznakowanego samolotu, którym został przerzucony z Majoriki, i natychmiast poddano procedurze, której celem było potwierdzenie jego tożsamości dla Ministerstwa Marynarki. Teraz, kiedy znalazł się już bezpiecznie na terenie Anglii, w głosach swoich rozmówców usłyszał nagle opanowanie i troskę: Czy może chciałby odpocząć po tak wyczerpującej podróży? Może w Savoyu? Rozumiało się samo przez się, że jeśli któryś z Fontini-Cristich przybywał do Londynu, to zatrzymywał się w Savoyu. Czy termin spotkania jutro po południu o czternastej mu odpowiada? W Admiralicji, w Sekcji Piątej Wywiadu. Operacji zagranicznych.

Oczywiście. Tak, na litość boską! Dlaczego wy, Anglicy, zrobiliście to, co zrobiliście? Muszę to wiedzieć, ale zachowam milczenie, póki sami mi nie powiecie.

Recepcja w Savoyu zaopatrzyła go w przybory toaletowe i strój do spania, w tym także w swój firmowy szlafrok. Zrobił sobie gorącą kąpiel w olbrzymiej wannie i moczył się tak długo, że pomarszczyła mu się skóra opuszków palców. Potem wypił chyba zbyt wiele kieliszków brandy i padł na łóżko.

Zostawił informację, by obudzono go o dziesiątej, ale okazało się to, oczywiście, niepotrzebne. O ósmej trzydzieści był już zupełnie rozbudzony, o dziewiątej — ogolony i po prysznicu. Zamówił angielskie śniadanie u kelnera na piętrze i czekając na jego podanie, zadzwonił do firmy Norcross przy Savile Rów. Ubrania potrzebne mu były natychmiast. Nie mógł chodzić po Londynie w pożyczonym płaszczu przeciwdeszczowym, swetrze i obwisłych spodniach dostarczonych przez pewnego agenta o kryptonimie Gruszka na pokładzie łodzi podwodnej w głębinach Morza Śródziemnego.

Kiedy odkładał słuchawkę, dotarło do niego, że nie ma ani grosza poza dziesięcioma funtami, które zawdzięczał uprzejmości lotników z Lakenheath. Przypuszczał jednak, że zdolności kredytowe ma nadal. Trzeba będzie tylko załatwić przesłanie odpowiednich funduszy ze Szwajcarii. Do tej pory nie miał czasu zająć się logistyką życia; był za bardzo zajęty jego ratowaniem.

Uzmysłowił sobie, że czeka go mnóstwo roboty. Choćby tylko po to, by opanować straszliwe wspomnienia — bezgraniczny ból — Campo di Fiori, musiał zachować aktywność. Zmusić umysł do koncentracji przede wszystkim na najprostszych rzeczach, rzeczach codziennych. Bo czuł, że jeśli da się ponieść rozważaniom spraw wielkich, to popadnie w obłąd.

Wielki Boże, drobne sprawy — proszę! Podaruj mi trochę czasu na odzyskanie zdrowych zmysłów.

Pierwszy raz zobaczył ją po przeciwnej stronie hallu w Savoyu, kiedy czekał, aż kierownik dziennej zmiany załatwi mu pieniądze na najpilniejsze wydatki. Siedziała w fotelu, czytając "Timesa", ubrana w surowy mundur którejś ze służb kobiecych, jakiej — nie miał pojęcia. Spod oficerskiej czapki z daszkiem spływały jej na ramiona falami ciemne włosy, uwydatniające kontur twarzy. Była to twarz, którą już kiedyś widział; twarz, której się nie zapomina. Jednak ta zapamiętana była jej młodszą wersją. Kobieta musiała mieć koło trzydziestu pięciu lat; twarz, którą zapamiętał, miała nie więcej niż dwadzieścia dwa, dwadzieścia trzy lata. Wysokie kości policzkowe, nos bardziej celtycki niż angielski — spiczasty, leciutko zadarty i bardzo delikatny ponad pełnymi ustami. Oczu nie widział wyraźnie, ale i bez tego dokładnie wiedział, że są intensywnie niebieskie. Tak błękitnych oczu nie widział jeszcze u żadnej innej kobiety.

To one właśnie tak utkwiły mu w pamięci. Wpatrzona w niego gniewnie, błękitne oczy. Gniewne i pełne pogardy. W całym swoim życiu ledwie kilka razy zetknął się z taką reakcją; bardzo go zirytowała.

Dlaczego aż tak mu to zaszło za skórę?

— Panie Fontini-Cristi — powiedział kierownik zmiany w Sa-voyu, wychodząc spiesznym krokiem z kantorka z kopertą w rękę. — Tak jak pan sobie życzył, tysiąc funtów.

— Dziękuję. — Vittorio wziął od niego kopertę i wsadził ją do kieszeni płaszcza.

— Załatwiliśmy panu także limuzynę, proszę pana. Wkrótce tu będzie. Gdyby miał pan ochotę zaczekać w swoim apartamencie, to zadzwonimy do pana natychmiast, jak tylko nadjedzie.

— Zaczekam tutaj. Jeśli pan może ścierpieć moje ubranie, to ja też je zniosę.

— Ależ co pan mówi, proszę pana. To zawsze wielka przyjemność móc powitać u nas członka rodziny Fontini-Cristi. Czy pański ojciec dołączy do pana w czasie tego pobytu? Mamy nadzieję, że czuje się jak najlepiej.

Cała Anglia maszerowała w takt natarczywych werbli wojny, a w Savoyu dopytywali się o zdrowie rodziny.

— Nie dołączy. — Vittorio nie widział sensu w udzielaniu dalszych wyjaśnień. Wieści o tragedii w Campo di Fiori nie dotarły tu jeszcze lub, jeśli dotarły, to komunikaty wojenne pozbawiły je wszelkiego znaczenia. — A przy okazji, czy nie zna pan tamtej pani? Tej siedzącej w fotelu. W mundurze.

Kierownik zerknął dyskretnie na drugi koniec niezbyt zatłoczonego hallu.

— Owszem, proszę pana. To pani Spane. Powinienem chyba powiedzieć: była pani Spane. Jest rozwiedziona. Zdaje mi się, że wyszła powtórnie za męża. W każdym razie pan Spane na pewno ożenił się po raz drugi. Nie widzimy jej tu u nas często.

— Spane?

— Tak, proszę pana. Widzę, że wstąpiła do Obrony Powietrznej. Oni tam, w tej formacji, poważnie podchodzą do *rzeczy*.

— Dziękuję — powiedział Vittorio, delikatnie odprawiając kierownika. — Zaczekam na samochód.

— Ależ oczywiście. Gdybyśmy mogli zrobić coś jeszcze, żeby uprzyjemnić panu pobyt, proszę bez wahania się do nas zwrócić.

Kierownik skinął głową i odszedł. Fontini-Cristi ponownie spojrzał na kobietę siedzącą w klubowym fotelu. Rzuciła okiem na zegarek i podjęła czytanie gazety.

Zapamiętał nazwisko Spane ze względu na jego pisownię * i przy tej okazji zapamiętał noszącego je człowieka. Było to przed jedenastu, nie, dwunastu laty: towarzyszył ojcu w ramach przygotowania do zawodu w wyjeździe do Londynu na negocjacje z Havillandem. Podczas jakiegoś wieczoru w Les Ambassadeurs poznał Spane'a, młodego człowieka, dwa czy trzy lata starszego od niego samego. Anglik wydał mu się dość zabawny, lecz znacznie bardziej męczący. Był typowym produktem Mayfair, zupełnie zadowalało go korzystanie z owoców mozołu pokoleń przodków, a swój własny wkład w dzieło ograniczał do demonstrowania znanstwa w dziedzinie koni, gonitw i torów wyścigowych. Savarone krytycznie ocenił Spane'a i nie krył tego przed najstarszym synem, co, dość naturalną koleją *rzeczy*, spowodowało Vittoria do nawiązania przelotnej znajomości.

Była ona jednak rzeczywiście przelotna i nagle Vittorio przypomniał sobie dlaczego. Fakt, że nie skojarzył tego od razu, był tylko następnym dowodem na potwierdzenie tego, jak

skutecznie wymazał z pamięci jej istnienie. Nie kobiety siedzącej po drugiej stronie hallu — ale swej żony.

Przyjechała wówczas z nimi do Anglii, przed dwunastu laty, gdyż *padrone* sądził, że może jej obecność powściągnie zatwardziałego lekkoducha, jego syna. Ale Savarone niezbyt dobrze znał synową; później poznał ją, ale wtedy jeszcze nie. Atmosfera Mayfair w samym szczycie sezonu uderzyła jej do głowy.

Poczuła pociąg do Spane'a, uwiodła go albo może on ją. Vittorio nie bardzo się tym interesował — sam był wówczas mocno zajęty.

I gdzieś po drodze nastąpiło bardzo nieprzyjemne starcie. Posypały się wzajemnie oskarżenia i napotkał gniewne spojrzenie błękitnych oczu.

Vittorio przeciął hali i podszedł do fotela. Kiedy się zbliżał, pani Spane podniosła wzrok znad gazety. W jej oczach ujrzał przelotne wahanie, jakby nie miała całkowitej pewności. W następnej chwili jednak już ją miała i po wahaniu nie zostało śladu; zastąpiła je ta sama wzgarda, którą tak wyraziście pamiętał. Ich spojrzenia * Po angielsku "Spane" wymawia się tak samo jak "Spain" — Hiszpania.

spotkały się na sekundę — nie więcej — po czym powróciła do czytania gazety.

— Pani Spane? Podniosła wzrok.

— Nazywam się Holcroft.

— My się znamy.

— Owszem. Fontini... — urwała.

— Cristi. Vittorio Fontini-Cristi.

— No właśnie. To było dawno temu. Zechce pan wybaczyć, ale mam bardzo pracowity dzień. Czekam na kogoś, a potem nie będę już miała okazji przejrzeć gazety. — Zajęła się z powrotem czytaniem.

Vittorio uśmiechnął się.

— Daje mi pani skuteczną odpawę.

— Przychodzi mi to z największą łatwością — odparła, nie podnosząc oczu znad gazety.

— Pani Holcroft, to rzeczywiście było bardzo dawno temu. Angielski poeta powiada, że nic tak nie przystoi zmianom jak lata.

— Angielski poeta mawia także, że lampart nie może zmienić swoich plam. Naprawdę jestem bardzo zajęta. Do widzenia panu.

Vittorio zbierał się właśnie, żeby skinąć jej głową na pożegnanie, kiedy dostrzegł delikatnie drżenie jej rąk. Pani Holcroft nie była wcale taka pewna siebie, jakby wskazywało na

to jej zachowanie. Ale dlaczego on nie odchodził, nie bardzo wiedział; to był czas na samotność. Straszne wspomnienia oślepiającego światła i śmierci paliły żywym ogniem i nie miał ochoty z kimkolwiek się nimi dzielić. Ale z drugiej strony potrzebował rozmowy. Wszystko jedno z kim. Wszystko jedno o czym.

— Czy przeprosiny za dziecinne zachowanie przed dwunastu laty byłyby o dziesięć lat spóźnione?

Pani porucznik oderwała wzrok od gazety.

— Jakże się miewa pańska żona?

— Zginęła w wypadku samochodowym dziesięć lat temu.

Jej spojrzenie spoważniało, stało się mniej wrogie. Zamrugła w poczuciu zakłopotania, lekko zmieszana.

— Przepraszam.

— To ja powinienem panią przeprosić. Dwanaście lat temu szukała pani wyjaśnienia. Albo pociechy. Ja nie miałem dla pani ani jednego, ani drugiego.

Kobieta pozwoliła sobie na cień uśmiechu. W jej głębokich oczach pojawiła się odrobina, choć tylko odrobina, ciepła.

— Był pan bardzo aroganckim młodym człowiekiem. Ja natomiast okazałam w krytycznej chwili za mało godności. Dopiero z biegiem czasu jej nabrałam.

— Była pani więcej warta niż te gierki, w które się zabawialiśmy. Powinienem był to zrozumieć.

— To rozbijające, co pan mówi... Myślę, że powiedzieliśmy już sobie dość na ten temat.

— Czy zechce pani, pani Holcroft, wraz ze swym mężem zjeść dziś wieczorem obiad w moim towarzystwie? — Usłyszał padające ze swych ust słowa, niepewny, czy to on je wypowiada. Był to odruch chwili.

Przyglądała mu się przez chwilę badawczo, nim powiedziała: — Pan nie mówi tego zdawkowo, prawda?

— Oczywiście, że nie. Opuściłem Włochy w pewnym pośpiechu, dzięki uprzejmości waszego rządu, tak jak uprzejmości pani rodaków zawdzięczam to ubranie. W Londynie nie byłem już kilka lat. Mam tu bardzo niewielu znajomych.

— To prowokujące, co pan mówi.

— Słucham?

— Że opuścił pan Włochy w pośpiechu i że ma pan na sobie nie swoje ubranie. To prowokuje do zadawania pytań.

Vittorio zawahał się, po czym powiedział spokojnie: — Byłbym niezmiernie rad, gdyby wykazała pani zrozumienie, którego mnie tak bardzo brakowało dziesięć lat temu. Wołałbym, żeby te pytania nie padły. Ale chciałbym zjeść z panią obiad. I oczywiście z pani mężem.

Wytrzymała spojrzenie jego oczu, przyglądając mu się z zaciekawieniem. Po chwili usta wygięły jej się w łagodnym uśmiechu, podjęła decyzję.

— Spane nazywałam się po mężu. Holcroft to moje nazwisko panięskie. Jane Holcroft. Zjem z panem obiad.

— Pański samochód zajechał, proszę pana — przerwał im portier.

— Dziękuję — odparł Vittorio, nie spuszczać wzroku z Jane Holcroft. — Już idę.

— Tak jest, proszę pana. — Portier skinął głową i odszedł.

— Czy mogę gdzieś po panią wieczorem podjechać? Albo wysłać swój samochód?

— Zaczynają być kłopoty z benzyną. Spotkamy się tutaj. O ósmej?

— Proszę bardzo. *Arrivederd.*

— Do zobaczenia.

Szedł długim korytarzem Admiralicji, eskortowany przez niejakiego komandora Neylanda, który czekał na niego w portierni przy wejściu. Neyland był w średnim wieku, stosownie służbisty i przejęty własną osobą. Chociaż Włosi chyba nie robili na nim żadnego wrażenia. Pomimo swobody, z jaką Vittorio posługiwał się angielskim, Neyland upierał się przy używaniu najprostszych zwrotów, przy czym podnosił głos, jakby zwracał się do opóźnionego w rozwoju dziecka. Fontini-Cristi był przekonany, że komandor w ogóle nie słucha jego odpowiedzi; to niemożliwe, żeby człowiek słuchał opowieści o pościgu, mordowaniu, śmierci i ucieczce i reagował na nią banałami typu: "Co pan powie", "Dziwne, nieprawdaż", "No tak, Zatoka Genueńska potrafi w grudniu pohańcać".

W czasie tego przejścia Vittorio przeciwstawiał rosnącej niechęci do komandora wdzięczność dla starego Narcrossa z Savile Rów.

Podczas gdy komandor pławił się w swym blasku, Narcross bez słowa działał. Stary krawiec ubrał go od stóp do głów w ciągu ledwie kilku godzin.

Drobne sprawy, koncentrować się na drobnych sprawach codziennych.

A przede wszystkim zachować panowanie nad sobą, wręcz kamienną niewzruszoność, podczas konferencji z tym, co stanowiło, czy też z tymi, którzy stanowili Piątą Sekcję Wywiadu. Tyle rzeczy musiał się dowiedzieć, tyle zrozumieć. Tak wiele przekraczało jego zdolność pojmwania. Nie wolno było dopuścić, by w czasie relacji z wydarzeń, które stanowiły tragedię Campo di Fiori, ból odebrał mu zdolność jasnego myślenia; dlatego też

postanowił, że relacja ta musi być chłodna i nie dopowiedziana.

— Tam, chłopie — powiedział Neyland, wskazując na katedralne sklepienie wejście, znacznie bardziej przywodzące na myśl renomowany męski klub niż instytucję wojskową. Komandor otworzył masywne drzwi połyskujące polerowanymi mosiężnymi okuciami i Vittorio wszedł do środka.

W wielkiej sali nic nie zadawało kłamu wyobrażeniu o stonowanym, lecz bogato urządzonym klubie. Dwa duże okna wychodziły na dziedziniec, wszystko było ciężkie i mocno zdobione: zasłony, meble, lampy, a w pewnym stopniu także trzej mężczyźni siedzący pośrodku przy masywnym mahoniowym stole. Dwaj z nich mieli na sobie mundury — ich epolety i rzędy baretek należycie obwieszczały wysokie stopnie, których Fontini-Cristi nie potrafił rozpoznać. Trzeci mężczyzna, ubrany po cywilnemu, miał wygląd stuprocentowego dyplomaty, włącznie z wypomadowanym wąsikiem. Tacy łudźcie często przewijali się przez Campo di Fiori. Mówili stonowanym głosem, używali wieloznacznych słów, byli łowcami kompromisów. Cywil siedział u szczytu stołu, oficerowie po jego bokach. Pozostawiono jedno wolne krzesło, najwyraźniej dla niego.

— Panowie — powiedział komandor Neyland, jakby anonsował petenta w pałacu Buckingham. — Pan Savarone Fontini-Cristi z Mediolanu.

Vittorio spojrzał osłupiałym wzrokiem na zaabsorbowanego sobą tępaka; do tego człowieka nie dotarło nawet jedno słowo z tego, co do niego mówił.

Trzej panowie wstali zza stołu jak jeden mąż. Cywil odezwał się pierwszy.

— Pozwoli pan, że się przedstawię. Jestem Anthony Brevourt. Przez wiele lat byłem ambasadorem naszego królestwa w Atenach, na dworze króla Grecji Jerzego II. Ten pan po mojej lewej ręce to wiceadmirał Hackett z Marynarki Wojennej; po prawej brygadier Teague z Wywiadu Wojskowego.

Podczas prezentacji wymieniono oficjalne ukłony, po czym Teague odstąpił od formy, opuścił miejsce za stołem i odezwał do Vittoria wyciągając rękę: — Cieszę się, że pan do nas dotarł. Otrzymałem wstępne raporty. Wiem, co to było za piekło.

— Dziękuję — odparł Vittorio, ściskając mu dłoń.

— Proszę, zechce pan usiąść — powiedział Brevourt, wskazując mu krzesło, które tak jak przypuszczał, przeznaczono dla niego, i zajmując swoje własne. Obaj wojskowi poszli jego śladem. Hackett bardzo oficjalny, wręcz nadęty; Teague zupełnie swobodny. Brygadier wyjął z kieszeni papierośnicę i podsunął ją Fontini-Cristiemu.

— Nie, dziękuję — odparł Vittorio. Papieros sugerowałby, że czuje się w tym towarzystwie swobodnie, gdy tymczasem wcale tak nie było i wołał, żeby oni zdawali sobie z

tego sprawę. Lekcja od Savarone.

— Chyba lepiej jak najszybciej mieć to za sobą — podjął spieszenie Brevourt. — Jestem pewien, że wie pan, co jest przedmiotem naszej troski. Przesyłka z Grecji.

Vittorio spojrział na ambasadora. Potem przeniósł wzrok kolejno na obu wojskowych. Wpatrywali się w niego, najwyraźniej pewni, że usłyszą potwierdzenie.

— Przesyłka z Grecji? Nic nie wiem o żadnej przesyłce z Grecji. Wiem natomiast, jak bardzo jestem wam wdzięczny. Ani w moim, ani w waszym języku nie ma słów, by tę wdzięczność wyrazić. Uratowaliście mi życie; inni oddali za nie swoje. Cóż więcej mogę powiedzieć?

— Wydaje mi się — odparł powoli Brevourt — że mógłby nam pan powiedzieć coś na temat pewnej niezwyklej przesyłki, jaką rodzina Fontini-Cristi otrzymała od wschodniego bractwa ksenopitów.

— Słucham? — Zaskoczenie Vittoria było zupełne. Nie miał pojęcia, co te słowa miały znaczyć. Ktoś popełnił jakąś ogromną pomyłkę.

— Jak już mówiłem, byłem ambasadorem Korony w Atenach. Podczas pełnienia przeze mnie tego urzędu nawiązaliśmy w kraju kontakty dyplomatyczne obejmujące także, rzecz jasna, duchowieństwo. Pomimo wstrząsów, jakich doznaje Grecja, hierarchia kościelna pozostaje nadal potężną siłą.

— Ani przez chwilę w to nie wątpię — odparł Vittorio — tylko zupełnie nie rozumiem, co ja z tym mogę mieć wspólnego.

Teague pochylił się do przodu świdrując go wzrokiem przez kłęby dymu z papierosa.

— Bardzo pana proszę — powiedział. — My już wnieśliśmy swój udział. Jak pan to sam zauważył, najzupełniej zresztą moim zdaniem trafnie, ocaliliśmy panu życie. Wysłaliśmy naszych najlepszych ludzi, zapłaciliśmy tysiące Korsykanom; posłaliśmy na niebezpieczne wody jedną z naszych łodzi podwodnych — tym cenniejszą, że mamy ich tak niewiele — narażając ją na bardzo poważne ryzyko; uruchomiliśmy awaryjną linię ewakuacyjną, którą ledwie zdążyliśmy utworzyć. A wszystko tylko po to, żeby wydostać pana z Włoch. — Teague urwał, odłożył papierosa i na jego twarzy zaigrał cień uśmiechu. — Może to i prawda, że życie każdego człowieka jest święte, ale istnieją granice kosztów, jakie można ponieść, by je komuś przedłużyć.

— Jeśli chodzi o marynarkę — odezwał się z powściąganą irytacją Hackett — to podporządkowała się ona wszystkiemu na ślepo, otrzymawszy tylko najogólniejsze dane, ponaglana rozkazami najbardziej wpływowych osobistości w rządzie. Stworzyliśmy zagrożenie dla niezwykle ważnego teatru działań. Decyzja ta w najbliższej przyszłości może

kosztować życie bardzo wielu ludzi. Poniesione przez nas koszty także nie należą do błahych. A wciąż jeszcze nie znamy pełnej ich wysokości.

— Ci panowie, sam rząd, działali na skutek moich najusilniej-szych zabiegów — powiedział ambasador Anthony Brevourt, precyzyjnie odmierzając słowa. — Byłem pewien ponad wszelką wątpliwość, że wydostanie pana z Włoch jest dla nas nakazem chwili, bez względu na koszty, jakie mogłoby to za sobą pociągnąć. Mówiąc po prostu, panie Fontini-Cristi, nie chodziło o pańskie życie. Chodziło o informację znajdującą się w pana posiadaniu, a dotyczącą Patriarchatu Konstantyny. Taki był tok mego rozumowania. A więc, jeśli pan tak miły — gdzie znajduje się przesyłka? Gdzie jest urna?

Vittorio wytrzymał spojrzenie Brevourta aż do klucia w oczach. Nikt nie odezwał się słowem; cisza pulsowała ogromnym napięciem. Czyniono tu aluzje do jakichś spraw, które poruszyły najwyższe szczeble rządowe, i Fontini-Cristi wiedział, że w jakiś dziwny sposób sprawy te koncentrują się wokół niego. Ale też i na tym jego wiedza się kończyła.

— Nie mogę panu powiedzieć czegoś, czego nie wiem.

— Przesyłka z Salonik. — Głos Brevourta ciął jak nożem. Uderzył lekko na płask dłonią w blat stołu, a miękkie plaśnięcie jego ręki o drewno było równie nagłe, co szokujące. — Dwaj zabici na boczniczy kolejowej w Mediolanie. Jeden z nich był zakonnikiem. Gdzieś powyżej Banja Luki, na północ od Triestu, za Monfalcone, gdzieś we Włoszech czy w Szwajcarii wyszedł pan na spotkanie tego pociągu. A więc gdzie?

— Nie wychodziłem na spotkanie żadnego pociągu, sir. Nie wiem nic o żadnej Banja Luce ani Trieście. O Monfalcone słyszałem, owszem, ale było to tylko jedno zdanie i nic dla mnie nie znaczące. W Monfalcone miał nastąpić jakiś "wypadek". To wszystko. Mój ojciec nie rozwodził się nad tym. Stał na stanowisku, że udzieli mi wszystkich informacji po tym zdarzeniu. Nie przedtem.

— A co z dwoma zabitymi na dworcu w Mediolanie? — nie dawał za wygraną Brevourt; napięcie stało się wręcz elektryzujące.

— Czytałem o tych dwóch ludziach, o których pan mówi, zastrzelonych na dworcu towarowym w Mediolanie. Pisano o tym w gazetach. Nie wydawało mi się, żeby w jakikolwiek sposób dotyczyło to mnie osobiście.

— Oni byli Grekami.

— To już zrozumiałem.

— Pan się z nimi widział. To właśnie oni dostarczyli panu przesyłkę.

— Nie widziałem się z żadnymi Grekami. Nikt nie dostarczył mi żadnej przesyłki.

— O mój Boże! — Brevourt wypowiedział te słowa pełnym bólu szeptem. Zebrani

przy stole nie mieli wątpliwości, że ogarnął go nagle jakiś wewnętrzny, osobisty strach: że nie była to próba wpłynięcia na przebieg negocjacji.

— Spokojnie — rzucił bez przekonania wiceadmirał Hackett. Dyplomata zaczął mówić dalej, powoli i starannie, jakby porządkował swoje myśli.

— Starszyzna zakonu Ksenopy zawarła umowę z włoskim rodem Fontini-Cristich. Chodziło o sprawę niesłychanej wagi. Gdzieś pomiędzy dziewiątym a szesnastym grudnia — datą wyjazdu pociągu z Salonik i jego przybyciem do Mediolanu — odbyło się spotkanie i z trzeciego wagonu odebrano skrzynię. Ładunek ten był tak cenny, że trasę pociągu przygotowano w odrębnych etapach. Był tylko jeden zbiorczy plan, wynikający wyłącznie z kolejności ułożenia poszczególnych dokumentów podróży, i dostęp do nich miała tylko jedna osoba — mnich ksenopita. One także zostały zniszczone, nim zakonnik pozbawił życia maszynistę i odebrał je sobie. Tylko on jeden wiedział, gdzie miało nastąpić spotkanie, dokąd skrzynia ma zostać przeniesiona. On i ci, którzy mieli ją przenieść. Fontini-Cristi. — Brevourt urwał, wbijając spojrzenie głęboko osadzonych oczu w Vittoria. — Takie są fakty, sir. Otrzymałem je od kuriera z Patriarchatu. W połączeniu z krokami, jakie podjął mój rząd, bez wątpienia wystarczą, by przekonać pana, że powinien pan udzielić nam tej informacji.

Fontini-Cristi poruszył się w krześle i oderwał wzrok od pełnej powściąganego napięcia twarzy ambasadora. Nie miał wątpliwości, że wszyscy trzej posądzają go o udawanie; musiał ich jakoś przekonać, że tak nie jest. Ale najpierw musiał pomyśleć. A więc to o to chodziło. Tajemniczy pociąg z Salonik skłonił rząd brytyjski do podjęcia kroków mających na celu... jak to powiedział Teague? ...Przedłużenie mu życia. A jednak wcale nie chodziło o jego życie — Brevourt postaowił sprawę zupełnie jasno. Chodziło o informację, którą, jak sądzili, otrzymał.

A której on, oczywiście, nie zna.

Pomiędzy dziewiątym a szesnastym grudnia. Ojciec wyjechał do Zurychu dwunastego. Jednak wcale nie był w Zurychu. I nie chciał powiedzieć synowi, gdzie był... Brevourt rzeczywiście może mieć jakieś powody do niepokoju. Lecz przecież nasuwało się także wiele innych pytań — cała sprawa była mocno niejasna. Vittorio spojrzął z powrotem na dyplomate.

— Niech pan śledzi tok mego rozumowania. Mówi pan: ród Fontini-Cristich. Chodzi panu o nas wszystkich. Ojca i czterech synów. Mój ojciec miał na imię Savarone. Komandor Neyland błędnie przedstawił mnie tym imieniem.

— Tak — odparł ledwie słyszalnie Brevourt, jakby zmuszano go do pogodzenia się z wnioskiem, którego za wszelką cenę próbował nie wyciągnąć. — Zdawałem sobie sprawę z tej pomyłki.

— A zatem właśnie imię Savarone podali panu Grecy? Zgadza się?

— On nie był w stanie zrobić tego sam — odparł Brevourt głosem nadal tylko o ton głośniejszym od szeptu. — Pan jest jego najstarszym synem; pan kieruje koncernem. Musiał pana wtajemniczyć. Potrzebował pańskiej pomocy. Musiał przygotować ponad dwadzieścia oddzielnych dokumentów, o których wiemy. Nie mógł się bez pana obejść!

— To jest coś, w co pan wyraźnie i chyba rozpaczliwie chce wierzyć. I na skutek tej pańskiej wiary podjęliście niesłychane kroki, żeby ocalić mi życie, wydostać mnie z Włoch. Pan oczywiście wie, co zdarzyło się w Campo di Fiori.

— Pierwsze wieści dotarły do nas przez partyzantów — odezwał się Teague. — Grecy nie pozostali daleko w tyle; grecka ambasada w Rzymie pilnie zbierała wszystkie informacje o Fontini-Cristich, choć najwyraźniej nie wyjaśniono jej, po co to robi. Ateńskie źródła skontaktowały się z ambasadorem Brevourtem, a on z kolei skontaktował się z nami.

— A pan teraz daje nam do zrozumienia, że to wszystko na marne — powiedział lodowato Brevourt.

— Ja nie daję panu niczego do zrozumienia. Ja to stanowczo twierdzę. W okresie, o którym pan mówi, mój ojciec zawiadomił mnie, że jedzie do Zurychu. Obawiam się, że nie zwróciłem wówczas na to szczególnej uwagi, ale kilka dni później zaistniał powód, by poprosić go o natychmiastowy powrót do Mediolanu. Próbowałem się z nim skontaktować, obdzwoniłem wszystkie hotele w Zurychu, ale w żadnym z nich go nie zastałem. Nigdy nie powiedział mi, gdzie był w tym czasie ani dokąd tak naprawdę wyjechał. Taka jest prawda, panowie. Obaj wojskowi spojrzeli na dyplomatę. Brevourt osunął się z wolna na oparcie krzesła w geście rezygnacji i wyczerpania. Przez długą chwilę wpatrywał się w blat stołu, po czym powiedział: — Zachował pan życie, panie Fontini-Cristi. Przez wzgląd na nas wszystkich mam nadzieję, że koszt tego nie okaże się zbyt wielki.

— Na to oczywiście nie mam odpowiedzi. Dlaczego w ogóle zawarto tę umowę z moim ojcem?

— Na to pytanie z kolei ja nie mogę odpowiedzieć — mruknął Brevourt, nie odrywając wzroku od stołu. — Najwyraźniej ktoś, gdzieś wierzył, że jest on człowiekiem dość pomysłowym lub dość potężnym, by wykonać to zadanie. Jedno czy drugie, czy też jedno i drugie, dowiódł, że mieli rację. Może nigdy się tego nie dowiemy...

— Co wiózł pociąg z Salonik? Co takiego było w tej urnie, że skłoniło was do zrobienia tego, co zrobiliście?

Anthony Brevourt podniósł wzrok, spojrzął Cristiemu prosto w oczy i skłamał: — Nie wiem.

— To absurdalne.

— Bez wątpienia tak właśnie musi to wyglądać. Ale ja znam tylko... doniosłość znaczenia tej przesyłki. Na takie *rzeczy* nie ma ceny. Ich wartość jest zupełnie abstrakcyjna.

— I na tej podstawie sam pan podjął decyzje i przekonał o konieczności ich podjęcia swych najwyższych przełożonych? Skłonił do działania cały rząd?

— Tak właśnie, sir. I dziś postąpiłbym jeszcze raz tak samo. To wszystko, co mam do powiedzenia w tej sprawie. — Brevourt wstał od stołu. — Dalsze przedłużanie tej rozmowy jest zupełnie bezcelowe. Może inni będą chcieli się z panem jeszcze skontaktować. Do widzenia, panie Fontini-Cristi.

Słowa ambasadora wyraźnie zaskoczyły obu oficerów, ale nic nie powiedzieli. Vittorio wstał z krzesła, skinął głową i bez słowa podszedł do drzwi. Przed wyjściem odwrócił się jeszcze i spojrzał na Brevourta; ambasador patrzył w ślad za nim wzrokiem bez wyrazu.

Znalazłszy się na zewnątrz, ujrzał zaskoczony komandora Neylanda stojącego na baczność między dwoma żołnierzami. Sekcja Piąta Wywiadu Operacji Zagranicznych wołała chuchać na zimne. Drzwi sali konferencyjnej były dobrze strzeżone.

Neyland odwrócił się, na jego twarzy pojawił się wyraz zdumienia. Bez wątpienia spodziewał się, że spotkanie potrwa znacznie dłużej.

— Już pana puścili, jak widzę.

— Nie wydaje mi się, żebym był zatrzymany — odparł Vittorio.

— Taka figura słowna.

— Nigdy nie zdawałem sobie sprawy, jak mało sympatyczna. Czy to pan ma mnie eskortować do wyjścia?

— Tak, wyprowadzę pana.

Kiedy podeszli do wielkiego biura wartowni Admiralicji, Neyland sprawdził na zegarku godzinę i podał strażnikowi nazwisko Vittoria. Fontini-Cristi został poproszony o podpisanie godziny wyjścia; kiedy to zrobił i wyprostował się, komandor zaszalutował mu służbiście na pożegnanie. Vittorio skinął mu głową, równie oficjalnie, odwrócił się i przeszedł po marmurowej posadzce do wielkich podwójnych drzwi wiodących na ulicę.

Stawiał nogę na czwartym stopniu schodów, gdy nagle zadźwięczały mu w uszach tamte słowa. Przebiły się przez wirującą mgłę jaskrawego światła i rozdzierające staccato serii z pistoletów maszynowych.

“Champoluc... Zurych to Champoluc... Zurych to rzeka!” I nic więcej. Tylko przejmujące krzyki, jaskrawe światło i ciała zastygłe w chwili śmierci.

Przystanął na marmurowym stopniu, nie widząc nic poza straszliwym obrazem podsuwanym przez własną pamięć.

“Zurych to rzeka! Champoluc...” Opanował się. Stał bez ruchu i oddychał głęboko, czując mgliście, że ludzie na ulicy i na schodach dziwnie mu się przyglądają. Zastanawiał się, czy nie powinien wrócić przez ogromne drzwi Admiralicji i pójść długim korytarzem do katedralnie sklepionej sali, stanowiącej pokój narad Piątej Sekcji Wywiadu.

Już na chłodno podjął decyzję. “Może inni będą chcieli się z panem kontaktować”. Niechaj więc ci inni przyjdą do niego. Z Brevourtem, łowcą kompromisów, który kłamał patrząc mu prosto w oczy, nie chciał mieć nic wspólnego.

Jeśli pan pozwoli, sir Anthony — odezwał się wiceadmirał Hackett. — Moim zdaniem należało znacznie gruntowniej zabrać się za tę sprawę...

— Właśnie — przerwał mu Teague z wyraźną irytacją. — Różnimy się z admirałem w tym i owym, ale tu jesteśmy zgodni. To było ledwie skrobnięcie po powierzchni. Poczyniliśmy niesłychane inwestycje, a w zamian nie otrzymaliśmy zupełnie nic. Mogliśmy wyciągnąć znacznie więcej.

— To nie miało sensu — odparł Brevourt ze zmęczeniem, podchodząc powoli do okna z widokiem na dziedziniec. — Wyczytałem to z jego oczu. Fontini-Cristi powiedział nam prawdę. Był kompletnie zaskoczony tą informacją. On nic nie wie.

Hackett odchrząknął, co było u niego wstępem do wygłoszenia własnego zdania.

— Nie wydawało mi się, żeby się zapienił. Powiedziałbym raczej, że przełknął to nader łatwo.

— Gdyby się zapienił — odparł dyplomata wodząc roztargnionym spojrzeniem po dziedzińcu — trzymałbym go w tym krześle przez cały tydzień. Zareagował dokładnie tak, jak człowiek jego pokroju reaguje na głęboko wstrząsające wieści. To za duży szok na teatralne gesty.

— Przyjęcie pańskiego stanowiska — odezwał się chłodno Teague — nie wyklucza przyjęcia mojego. On może nie zdawać sobie sprawy z tego, co wie. Wtórne informacje prowadzą często do pierwotnego źródła. W moim fachu to niemal reguła. Dlatego muszę zgłosić swój sprzeciw, sir Anthony.

— Przyjmuję go do wiadomości. Ma pan absolutnie wolną rękę w kwestii dalszych kontaktów; postawiłem tę sprawę zupełnie jasno. Ale zaręczam panu, że nie dowie się pan niczego ponad to, co usłyszeliśmy dziś po południu.

— Skąd pan może być tego tak absolutnie pewien? — zaripos-tował błyskawicznie oficer wywiadu; jego rozdrażnienie zaczęło szybko przeradzać się w złość.

Brevourt odwrócił się od okna; rysy twarzy ściągał mu głęboki smutek, a oczy wyrażały bolesną refleksję.

— Stąd, że znałem jego ojca. Spotkaliśmy się osiem lat temu w Atenach. Savarone Fontini-Cristi był wówczas neutralnym emisariuszem — tak to się chyba określa — Rzymu. Jedynym człowiekiem, którego Ateny darzyły zaufaniem. Okoliczności tam- tego spotkania nie mają tu żadnego znaczenia; ważne są tylko metody jego działania. Fontini-Cristi był człowiekiem opętanym poczuciem dyskrecji. Potrafił usuwać ekonomiczne przeszkody i negocjować najtrudniejsze porozumienia międzynarodowe, ponieważ wszystkie strony wiedziały, że jego słowo znaczy więcej niż spisane kontrakty. Paradoksem było, że z tego właśnie powodu tak się go bano — strzeż się ludzi nieposzlakowanej prawości. Naszą jedyną nadzieją było to, że włączył w tę sprawę syna. Że potrzebował jego pomocy.

Teague wysłuchał uważnie słów ambasadora, po czym pochylił się do przodu, opierając łokciami na stole.

— Co wiozł ten pociąg z Salonik? Co zawiera ta przeklęta urna? Brevourt zawahał się na chwilę. Obaj oficerowie zrozumieli, że cokolwiek ambasador im powie, będą musieli się tym zadowolić, bo żadnych innych informacji z niego nie wydobędą.

— Dokumenty ukrywane starannie od czternastu wieków. Dokumenty, które doprowadziłyby do rozdarcia chrześcijańskiego świata, rzuciły przeciw sobie kościoły wszystkich wyznań — może nawet całe narody i państwa — zmuszając miliony do opowiedzenia się po jednej ze stron w wojnie równie straszliwej jak ta, którą tocymy z Hitlerem.

— I tym samym — wtrącił Teague w formie pytania — rozbiłyby jedność tych, którzy wspólnie walczą z Niemcami?

— Tak, nieuchronnie.

— W takim razie, módlmy się lepiej, żeby nikt ich nie odnalazł — podsumował Teague.

— Módlmy się żarliwie. To dziwne. Przez całe wieki ludzie ochoczo oddawali życie, by chronić nienaruszalną świętość tych dokumentów. Teraz te dokumenty zniknęły. I znów wszyscy, którzy wiedzieli gdzie, nie żyją.

ROZDZIAŁ 3

I

Styczeń 1940 — wrzesień 1945

Europa

Zadzwoił telefon na zabytkowym stoliku w apartamencie w Sa-voyu. Vittorio stał w oknie wychodzącym na Tamizę i przyglądał się barkom sunącym powoli w górę i w dół rzeki w popołudniowym deszczu. Spojrzał na zegarek — dokładnie czwarta trzydzieści. Nie było wątpliwości, że musi to być Alec Teague z MI-6.

W ciągu minionych trzech tygodni Fontini-Cristi poznał wiele cech brygadiera; jedną z nich była granicząca z manią punktualność. Jeśli mówił, że zadzwoni około czwartej trzydzieści, wiadomo było, że zrobi to dokładnie o czwartej trzydzieści, co do sekundy. Alec Teague żył według wskazówek zegara; sprzyjało to prowadzeniu zwięzłych rozmów.

Vittorio podniósł słuchawkę.

— Tak?

— Fontini? — Brygadier był zwolennikiem zwięzłości także wówczas, gdy chodziło o nazwiska. Najwyraźniej nie widział powodu, żeby dodawać "Cristi", skoro samo "Fontini" w zupełności wystarczało.

— Dzień dobry, Alec, spodziewałem się, że to ty.

— Mam wszystkie papiery — odparł nie tracąc czasu Teague. — I rozkazy dla ciebie. Foreign Office było dość niechętne. Na dwoje babka wróżyła: albo mieli na względzie twoje dobro, albo też obawiali się, że przedłożysz Koronie rachunek.

— Zapewniam cię, że to drugie. Mój ojciec potrafił się twardo targować, bo tak to się chyba mówi po angielsku. Szczerze mówiąc, nigdy nie mogłem pojąć tego zwrotu. Czy można się targować miękko?

— Zabij mnie, nie wiem. — Teague słuchał go jednym uchem. — Chyba powinniśmy się spotkać, i to zaraz. Jakie masz plany na wieczór?

— Umówiłem się na obiad z panną Holcroft. W zaistniałej sytuacji mogę go, oczywiście, odwołać.

— Holcroft? Ach, z tą Spane.

— Chyba woli, żeby ją nazywać Holcroft.

— No tak, nie dziwię jej się. To straszny dureń. Mimo to nie sposób wyprzeć się aktu ceremonii ślubu.

— Według mnie robi, co może, żeby dowieść, że jest jednak jakiś sposób.

Teague roześmiał się.

— Ma dziewczyna charakter. Zdaje się, że przypadłaby mi do gustu.

— Co znaczy, że jej nie znasz i chcesz mi dać do zrozumienia, że kazałeś mnie śledzić.

Nigdy ci nie mówiłem, jak brzmiało nazwisko jej męża.

Teague znów się roześmiał.

— Wyłącznie dla twego własnego dobra.

— Mam odwołać?

— Nie zwracaj sobie głowy. O której to skończysz?

— Co skończę?

— No, ten obiad. Do diabła, zapomniałem; przecież ty jesteś Włochem.

Vittorio uśmiechnął się. Szczerść Aleca była zupełnie rozbijająca.

— Mogę odprowadzić damę do domu o dziesiątej trzydzieści — powiedzmy, o dziesiątej. Rozumiem, że chcesz się ze mną widzieć jeszcze dziś.

— Chyba nawet muszę. Zgodnie z rozkazem masz wyjechać już jutro. Do Szkocji. Z samego rana.

Restauracja w Holborn nosiła szyld Pod Jelonkiem. Czarne story zasunięto szczelnie, rozpięto i przymocowano pinezkami, by na ulicę nie przedostała się nawet smuzka światła. Vittorio usiadł na stołku w samym kącie baru, skąd dobrze widział całą salę i ciężką kotarę u wejścia. Teraz powinna nadejść już lada chwila. Uśmiechnął się do siebie, stwierdziwszy, jak bardzo pragnie ją zobaczyć.

Doskonale wiedział, kiedy to się zaczęło — ta szybko rozwijająca się znajomość, która miała wkrótce zaprowadzić do słodkich rozkoszy łóżka. Nie podczas ich pierwszego spotkania w hallu Savoyu ani pierwszego spędzonego wspólnie wieczoru. Wówczas był to tylko przyjemny sposób oderwania się od wszystkiego; niczego więcej nie oczekiwał, niczego więcej nie chciał.

Zacząło się to pięć dni później, kiedy siedział samotnie w swoim apartamencie. Usłyszał pukanie do drzwi wejściowych. Otworzył. Na korytarzu przed drzwiami stała Jane. W ręku trzymała trochę zaczytany egzemplarz "Timesa". Vittorio nie przeglądał tego numeru.

— Na miłość boską, co się stało? — spytała.

Wpuścił ją bez słowa do środka, nie bardzo pewien, o czym mówi. Wręczyła mu gazetę. Na pierwszej stronie, w lewym dolnym rogu ujrzał zakreśloną czerwonym ołówkiem krótką notatkę.

MEDIOLAN, 2 stycznia (Reuter). W związku z przejściem przez rząd zarządu Zakładów

Przemysłowych Fontini-Cristi uchylono nieco embargo na wiadomości dotyczące tego koncernu. Nikt nie widział żadnego członka rodziny Fontini-Cristi, a władze opieczętowały rodową posiadłość, Campo di Fiori. Roi się od najróżniejszych pogłosek na temat losu tej potężnej dynastii, której głowami byli finansista Savarone Fontini-Cristi oraz jego najstarszy syn, Vittorio. Dobrze poinformowane źródła utrzymują, że mogli oni zostać zamordowani przez patriotów rozwścieczonych ostatnimi decyzjami koncernu, które w odczuciu wielu osób były sprzeczne z interesami Włoch. Podobno na Piazza del Duomo znaleziono powieszzonego „donosiciela” (autor niniejszej notatki tego nie widział), którego okaleczone ciało opatrzone kartką z napisem potwierdzającym jakoby pogłoski o egzekucji. Rzym opublikował jedynie oświadczenie, że wszyscy członkowie rodziny Fontini-Cristi byli wrogami państwa.

Vittorio odłożył gazetę i przeszedł na drugi koniec pokoju, jak najdalej od dziewczyny. Wiedział, że chciała jak najlepiej, nie mógł mieć do niej pretensji o troskę, jaką okazała. A jednak czuł głębokie rozdrażnienie. To było wyłącznie jego własne cierpienie i nie miał ochoty z nikim się nim dzielić. Jane wtrącała się w nie swoje sprawy.

— Przepraszam — powiedziała cicho. — Pozwoliłam sobie na zbyt wiele. Nie miałam prawa tego robić.

— Kiedy to przeczytałaś?

— Niecałe pół godziny temu. Ktoś położył mi to na biurku. Wspomniałam o tobie kilku przyjaciółom. Nie widziałam powodu, dla którego miałabym tego nie robić.

— I przyszłaś prosto tutaj?

— Tak.

— Dlaczego?

— Bo bardzo się tym przejęłam — odpowiedziała z prostotą. Szczerść tego wyznania wrzuciła go. — Ale teraz już sobie pójdę.

— Proszę cię...

— Chcesz, żebym została?

— Tak, chyba tak.

I wtedy właśnie opowiedział jej o wszystkim. Starannie z początku odmierzane słowa nabierały coraz większego impetu wraz z tym, jak zbliżał się do nocnego koszmaru jaskrawego światła i śmierci, w jaki zmienilo się Campo di Fiori. W gardle mu zaschło. Nie miał ochoty ciągnąć dalej.

A Jane zrobiła wtedy coś dziwnego. Odgradzona od niego niewielką przestrzenią, między stojącymi naprzeciw siebie krzesłami, nie uczyniła najmniejszego ruchu, by to oddalenie zmniejszyć, lecz zmusiła go, żeby mówił dalej.

— Na miłość boską, wypowiedz to wreszcie! Wszystko! Powiedziała to szeptem, ale szept ten był rozkazem, a on w całym swym zagubieniu i udręce podporządkował się.

Kiedy skończył, wezbrała w nim fala ulgi. Po raz pierwszy od nie wiadomo ilu dni zrzucił z siebie nieznośny ciężar. Nie na długo; brzemień miało powrócić. Ale na krótką chwilę odzyskał normalność, prawdziwą normalność, a nie narzucaną sobie dotychczas namiastkę, kiedy to oddech nigdy nie uspokajał się naprawdę.

Jane doskonale wiedziała to, czego on nie rozumiał, i powiedziała mu o tym.

— Czy ty naprawdę myślałeś, że dasz radę dusić to w sobie? Nigdy nie wypowiedzieć tego słowami? Nigdy nie usłyszeć tych słów? Za kogo ty się właściwie uważasz?

Za kogo się uważał? Prawdę mówiąc, nie bardzo wiedział. Nigdy się nad tym nie zastanawiał; był to problem, który interesował go tylko do pewnego stopnia. Był Vittorio Fontini-Cristim, synem Savarone. Teraz miał się dowiedzieć, kim był jeszcze. Zastanawiał się, czy Jane stanie się częścią jego nowego świata, czy może nienawiść i wojna pochłoną go bez reszty. Wiedział tylko, że wojna i nienawiść były trampoliną, od której mógł się odbić, by powrócić do życia.

I dlatego właśnie tak życzliwie potraktował Aleca Teague, kiedy brygadier z Oddziału Szóstego skontaktował się z nim po zakończonej katastrofą rozmowie z Brevourtem w Piątej Sekcji Wywiadu. Teague chciał zebrać materiał wtórny — na pozór nieistotne rozmowy, luźne uwagi, dziwne powtarzające się słowa — wszystko, co mogło mieć jakikolwiek związek z pociągami z Salonik. Ale i Vittorio czegoś chciał. Właśnie od niego. Toteż porcjował oderwane strzępy informacji: rzeka, która mogła mieć coś wspólnego z Zurychem, ale nie musiała; okręg we włoskich Alpach noszący nazwę Champoluc, przez który jednak nie przepływała żadna rzeka. Cokolwiek miała przedstawiać ta łamigłówka, jej elementy pozostawały niespójne. Mimo to Teague nie dawał za wygraną.

A w tym czasie Fontini-Cristiemu zarysowały się ogólne kierunki działań, w których MI-6 mogłyby wykorzystać jego umiejętności. Mówił płynnie po włosku i angielsku, lepiej niż zadowalająco po francusku i niemiecku; miał dogłębną znajomość funkcjonowania ważniejszych gałęzi europejskiego przemysłu, prowadził rozmowy z czołowymi finansistami kontynentu. A to chyba było coś.

Teague obiecał, że się rozejrzy. Wczoraj powiedział, że zadzwoni o czwartej trzydzieści; że może będzie miał coś dla niego. Tego popołudnia dokładnie o czwartej trzydzieści Teague zadzwonił; dostał rozkazy dla Vittoria. A więc jednak miał to coś. Fontini-Cristi zastanawiał się, co to takiego, a zwłaszcza skąd ten pośpiech z wyjazdem do Szkocji.

— Długo czekasz? — spytała Jane Holcroft, stając nagle obok niego w skąpo oświetlonym barze.

— Och, przepraszam. — Vittorio rzeczywiście czuł się winny. Nie widział, jak przechodziła przez salę, a przecież nie odrywał wzroku od drzwi. — Nie, nie, dopiero co przyszedłem.

— Bujalesz myślami Bóg wie gdzie. Patrzyłeś prosto na mnie, a kiedy się uśmiechnęłam, skrzywiłeś się niemiłosiernie. Mam nadzieję, że nie chciałeś dać mi w ten sposób niczego do zrozumienia.

— Wielki Boże, nie. Masz rację, byłem myślami daleko stąd. W Szkocji.

— Słucham?

— Opowiem ci wszystko przy stole. To znaczy to, co wiem, a jest tego bardzo mało. Zostali poproszeni do swego stolika, zamówili drinki.

— Opowiadałem ci o Teague'u — zaczął, przypalając jej, a potem sobie papierosa.

— Tak. To ten z wywiadu. "Opowiadałem" to może za mocno powiedziane. Wspomniałeś tylko, że to porządny facet, ale zadaje mnóstwo pytań.

— Musiał to robić. Przez wzgląd na moją rodzinę. — Fontini--Cristi nie mówił Jane o przesyłce z Salonik; nie było po co. — Męczyłem go kilka tygodni, żeby znalazł mi jakąś pracę.

— W wywiadzie?

— Wszystko jedno gdzie. Zwrócenie się z tym właśnie do niego wydawało mi się logiczne; on wszędzie kogoś zna. Zgodził się ze mną, że mam kwalifikacje, które mogą się komuś przydać.

— Co będziesz robił?

— Nie wiem, ale cokolwiek by to było, *zaczyna* się w Szkocji. Zjawił się kelner z drinkami. Vittorio podziękował mu skinieniem głowy, czując na twarzy spojrzenie Jane.

— W Szkocji jest wiele obozów szkoleniowych — powiedziała cicho. — Kilka z nich zaliczono do ściśle tajnych. Są dobrze ukryte i jeszcze lepiej strzeżone.

Vittorio uśmiechnął się.

— Widzę, że nie są aż tak zupełnie tajne.

Dziewczyna odpowiedziała uśmiechem, pełnego wyjaśnienia udzielając oczami, a częściowo tylko słownie.

— Na tym terenie działa niezwykle skomplikowany system retransmisji sygnałów alarmów przeciwlotniczych. Obejmuje na zakładkę wszystkie sąsiadujące sektory. Jest wręcz niemożliwy do sforsowania przez samolot, zwłaszcza lekki, jednosilnikowy.

— Zapomniałem. Kierownik w Savoyu mówił mi, że poważnie podchodzicie do

rzeczy.

— Przechodzimy także solidne szkolenie w dziedzinie wszystkich istniejących systemów. Także tych, które się dopiero opracowuje. Systemy w poszczególnych sektorach bardzo się od siebie różnią. Kiedy wyjeżdżasz?

— Jutro.

— Ach tak. Na jak długo?

— Nie wiem.

— Oczywiście, przecież już to mówiłeś.

— Dziś wieczorem mam się spotkać z Teague'em. Po naszym obiedzie, ale nie ma pośpiechu. Umówiłem się z nim dopiero na dziesiątą trzydzieści. Wtedy będę pewnie wiedział już coś więcej.

Jane zamilkła na kilka chwil, po czym spojrzała mu w oczy i zapytała: — Czy przyjdiesz do mnie po rozmowie z Teague'em? Do mnie do domu. Powiedzieć mi, co wiesz.

— Przyjdę.

— Wszystko jedno o której. — Nakryła dłonią jego rękę. — Chciałabym być z tobą.

— Ja też.

Brygadier Alec Teague zdjął pogniecioną czapkę oficerską i wojskowy płaszcz i rzucił je na krzesło w Savoyu. Rozpiął kołnierz i mundur, poluzował krawat. Osunął wielkie, potężne ciało na miękką kanapę i westchnął z ulgą. Uśmiechnął się do Fontini--Cristiego stojącego przed najbliższym fotelem i wyciągnął błagalnie dłonie.

— Ponieważ od siódmej rano nie miałem ani chwili wytchnienia, uważam, że powinieś poczęstować mnie drinkiem. Czysta whisky byłaby w sam raz.

— Jasne. — Vittorio podszedł do małego barku pod ścianą, napełnił dwie niskie szklaneczki i wrócił do brygadiera.

— Pani Spane jest niezwykle atrakcyjną kobietą — powiedział Teague. — I wiesz, rzeczywiście masz rację, woli panieńskie nazwisko. W Ministerstwie Lotnictwa "Spane" podano w nawiasie. Figuruje tam jako porucznik lotnictwa Holcroft.

— Porucznik lotnictwa? — Vittorio nie potrafił powiedzieć dlaczego, ale wydało mu się to nieco zabawne. — Nigdy nie myślałem o niej w tak wojskowych kategoriach.

— Tak, rozumiem, co masz na myśli. — Teague dopił szybko drinka i odstawił szklaneczkę na podręczny stolik. Vittorio zaproponował gestem powtórkę. — Nie. więcej nie, dziękuję. Pora poważnie porozmawiać. — Spojrzał na zegarek. Vittorio Fontini--Cristi zastanawiał się, czy Teague rzeczywiście planuje rozmowy towarzyskie co do pół minuty.

— Co takiego jest w Szkocji?

— Twoje miejsce pobytu przez następny miesiąc czy coś koło tego. Jeśli oczywiście zaakceptujesz warunki zatrudnienia. Obawiam się, że płaca będzie znacznie odbiegać od tego, do czego przywykłeś. — Teague znów się uśmiechnął. — Konkretnie rzecz biorąc, ustaliliśmy ją dość arbitralnie na poziomie gaży kapitana. Dokładna suma uciekła mi z głowy.

— Ta suma nic mnie nie obchodzi. Mówisz, że mogę się zgodzić lub nie, ale przedtem powiedziałaś, że nadeszły już moje rozkazy. Więc jak to jest?

— Nie mamy nad tobą żadnej władzy. Możesz odrzucić ofertę i wtedy ja “rozkazy” skreślę — po prostu. Jednak dla zaoszczędzenia czasu na wszelki wypadek z góry kupiłem, co proponowali. Szczerze mówiąc, żeby mieć pewność, że się nie rozmyślą.

— No dobrze. Co to za robota?

— Nie bardzo da się to wyjaśnić w kilku słowach, a i w wielu nie bardzo, prawdę mówiąc. Widzisz, dużo będzie zależało od ciebie.

— Ode mnie?

— Tak. Okoliczności, w jakich opuściłeś Włochy, były zupełnie niezwykle, wszyscy to rozumiemy. Ale nie jesteś jedynym człowiekiem, który uciekł z kontynentu. Mamy takich ludzi dziesiątki, a może i setki. I nie chodzi mi tu o Żydów i bolszewików; tych mamy tysiące. Mówię o ludziach takich jak ty. Biznesmenach, naukowcach, fachowcach, inżynierach, uniwersyteckich uczonych, którzy z tego czy innego powodu — lubimy sądzić, że kierowani moralną odrazą — nie byli w stanie funkcjonować tam, gdzie do tej pory mieszkali. I mniej więcej w tym właśnie miejscu się znajdujemy.

— Nie rozumiem. Gdzie się znajdujecie?

— W Szkocji. Z czterdziestoma czy pięćdziesięcioma wygnańcami z kontynentu — wybitnymi ludźmi sukcesu w swych poprzednich profesjach — poszukujących przywódcy.

— I uważasz, że ten przywódca to ja?

— Im dłużej o tym myślę, tym bardziej jestem o tym przekonany. Powiedziałbym, że masz po temu zupełnie naturalne kwalifikacje. Przede wszystkim jesteś biznesmenem, penetrowałeś rynki całej Europy. Wielki Boże, człowieku, koncern Fontini-Cristi to gigant! Ty byłeś jego naczelnym dyrektorem! Przystosuj się do warunków. Rób to samo, co robiłeś tak wspaniale przez ostatnie kilka czy kilkanaście lat. Tylko dokładnie na odwrót. Antyzarządzanie.

— O czym ty mówisz?

Brygadier ciągnął dalej, wyrzucając z siebie słowa z szybkością karabinu maszynowego: — Mamy w Szkocji ludzi, którzy pracowali w całym wachlarzu zawodów we wszystkich większych miastach Europy. Jeden krok zawsze prowadzi do następnego, prawda?

— Na to właśnie liczysz, zgadza się? Obaj zadajemy pytania.

Teague pochylił się przed siebie w nagłej zadumie.

— To czasy szalone i bardzo skomplikowane. Mamy więcej pytań niż odpowiedzi. Ale jedna z tych odpowiedzi znajdowała się tuż przed naszymi oczami, tylko myśmy jej nie widzieli. Szkoliliśmy tych ludzi wcale nie do tego, do czego trzeba! To znaczy, nie bardzo wiedzieliśmy, do czego ich właściwie szkolimy; majaczyło nam mgliście nawiązywanie jakichś podziemnych kontaktów, rutynowe zbieranie informacji — wszystko bardzo ogólnie, bardzo mało konkretnie. Wpadłem na lepszy pomysł, zupełnie genialny — choć może nieskromnie samemu to mówić. Cała strategia i koncepcja polega na wysłaniu ich z powrotem, żeby niszczyli rynki, wprowadzali chaos. Biurokratyczny chaos, bo do prowadzenia fizycznego sabotażu mamy dość innych. Niech działają tam gdzie dotąd. Komórki księgowości uparcie nie mogące niczego zbilansować, systematycznie źle wystawiane konosamenty, harmonogramy dostaw ni w pięć, ni w dziewięć, kompletny bałagan w fabrykach — przykładowe antyzarządzanie za wszelką cenę!

Teague był podekscytowany, a jego entuzjazm zaraźliwy. Vittorio z trudem zdołał skupić się ponownie na istocie swego pierwotnego pytania.

— Ale dlaczego mam wyjechać już jutro rano?

— Mówiąc prosto z mostu, zagroziłem, że w przypadku jakiejś dalszej zwłoki mogę cię stracić.

— Dalszej? Jak to dalszej? Jestem tutaj niecałe...

— W całej Anglii nie więcej niż pięć osób wie, po co naprawdę wydostaliśmy cię z Włoch. Twój kompletny brak jakichkolwiek informacji na temat przesyłki z Salonik był dla nich jak cios obuchem w głowę. Postawili na twoje kartę ogromną stawkę i przegrali. To, co mi powiedziałaś, nie prowadzi donikąd; nasi agenci w Zurychu, Bernie, Trieście, Monfalcone i gdzie tam jeszcze, nie trafili na żaden trop. Toteż wystąpiłem z nieco inną wersją przyczyn, dla których cię wydostaliśmy, i przy okazji uratowałem parę głów. Powiedziałem, że ta nowa operacja to właśnie twój pomysł. Żebyś wiedział, jak skwapliwie na to przystali! W końcu nazywasz się Fontini-Cristi. No więc jak, przyjmujesz?

Vittorio uśmiechnął się.

— “Antyzarządzanie za wszelką cenę”. Jestem pewien, że to hasło bez precedensu. Owszem, widzę tu pewne możliwości. To, czy są one rzeczywiście tak ogromne, czy też tylko teoretyczne, jeszcze się okaże. Zgadzam się.

Teague uśmiechnął się chytrze.

— Pozostaje zatem tylko jeszcze jedna sprawa. Twojego nazwiska...

Victor Fontine? — roześmiała się Jane. Siedziała obok niego na kanapie w swoim mieszkaniu w Kensington, w przyjemnym ciepłe bijącym od płonących na kominku kłód. — To się nazywa brytyjski tupet. Oni cię skolonizowali!

— I przy okazji zrobili oficerem — zawtórował jej śmiechem kapitan Victor Fontine, wyciągając kopertę i rzucając ją na stół. — Teague był taki zabawny. Zabrał się do sprawy w sposób jak z jakiegoś filmu. “Musimy ci znaleźć nazwisko. Coś do rozpoznania natychmiast. Łatwe do szyfrowania”. Byłem zaintrygowany. Nadawano mi kryptonim, wyobrażałem sobie, że musi to być coś dramatycznego. Może nazwa drogocennego kamienia, powiedzmy z cyferką. Albo jakiegoś zwierzęcia. A on po prostu przerobił na angielski moje własne nazwisko i skrócił je o połowę. — Victor roześmiał się. — Przyzwyczaję się. To nie na całe życie.

— Ja nie wiem, czy mi się to uda, ale spróbuję. Prawdę mówiąc, czuję się zawiedziona.

— Wszyscy jesteśmy skazani na wyrzeczenia. Czy nie myślę się sądząc, że *capitano* jest wyższy rangą od porucznika lotnictwa?

— Porucznik lotnictwa nie ma najmniejszego zamiaru wydawać rozkazów. Nie wydaje mi się, żeby któreś z nas miało w sobie wiele z żołnierza. Tak jak Kensington nie ma w sobie nic z koszar. A co z tą Szkocją?

Opowiedział jej pobieżnie, unikając precyzowania tych kilku szczegółów, które znał. W trakcie opowiadania widział i niemal czuł, jak tymi niespotykane niebieskimi oczami sonduje go, zagląda poza te naprędce klecone zdania, domyślając się za nimi czegoś więcej. Była ubrana w wygodną podomkę w kolorze bladożółtym, co podkreślało ciemny brąz jej włosów i błękit oczu. Między szerokimi klapami podomki mógł dostrzec miękką biel nocnej koszuli, którą miała pod spodem, i wiedział, że właśnie o to jej chodziło — żeby widział tę biel i chciał jej dotknąć.

“Ileż w tym wszystkim ciepłego spokoju” — pomyślał. Żadnego pośpiechu, żadnych gier. W którymś momencie swego monologu dotknął jej ramienia; Jane powoli i delikatnie uniosła swą rękę, nakryła dłonią jego dłoń i przesunęła pieszczotliwie po jego palcach. Poprowadziła jego dłoń ku wycięciu szlafroka, a kiedy skończył, objęła ją obiema rękami.

— Mamy więc “antyzarządzanie za wszelką cenę”, wszędzie tam, gdzie tylko da się je wprowadzić. — Milczała przez chwilę, nadal sondując go spojrzeniem, a potem uśmiechnęła się. — To wspaniały pomysł. Teague ma rację. Otwiera ogromne możliwości. Jak długo będziesz w Szkocji? Nie mówił tego?

— Nic konkretnego. Kilka tygodni. — Wysunął rękę z jej dłoni, niewymuszonym, naturalnym ruchem objął ją za ramiona i przyciągnął do siebie. Głowa Jane spoczęła mu na piersi; pocałował jej puszyste włosy. Odchyliła się do tyłu i zajrzała mu w oczy, wciąż równie

badawczo jak przedtem.

Rozchyliła usta, przysunęła się do niego i ujawszy jego dłoń, lekko, zupełnie naturalnie wsunęła ją pomiędzy kłapy podomki i położyła sobie na piersiach. Kiedy ich usta się spotkały, Jane westchnęła i rozchyliła je szerzej, lgnąc do wilgoci jego warg.

— Tak długo czekałam — szepnęła w końcu.

— Jesteś piękna — odparł, głaszcząc jej miękkie włosy, całując jej oczy.

— Jaka szkoda, że musisz wyjechać. Nie chcę, żebyś wyjeżdżał. Wstali z niskiej kanapy. Pomogła mu zdjąć marynarkę, przystając na moment, by przytulić głowę do jego piersi. Znow się pocałowali, obejmując się z początku delikatnie, a potem z narastającą siłą. Na jedną króciutką chwilę Victor położył ręce na jej ramionach i odsunął ją od siebie; jej piękna twarz spoglądała na niego z dołu.

— Strasznie będę za tobą tęsknił — powiedział patrząc w te tak błękitne oczy. — Tak dużo mi dałaś.

— A ty mi dałeś to, co tak bardzo bałam się znaleźć —• odparła, a jej usta ułożyły się w łagodny, spokojny uśmiech. — Prawdę mówiąc, to, czego bałam się nawet szukać. Wielki Boże, byłam kompletnie przerażona!

Wzięła go za rękę i poprowadziła przez pokój do uchylonych drzwi. Za drzwiami była sypialnia. Na nocnym stoliku paliła się tylko jedna kremowa lampka, rzucając złocistobiałe refleksy na ściany w kolorze bladego błękitu i proste kremowe meble. Jedwabna narzuta na łóżku także była białobłękitna, z bogatym kwiecistym deseniem. Wszystko tchnęło atmosferą spokoju, oderwania od świata, wszystko było piękne, tak piękne jak Jane.

— To pokój niezwykle intymny. I pełen ciepła — powiedział Fontine, zachwycony jego piękną prostotą. — To niezwykły pokój, bo należy do ciebie i widać, że włożyłaś w niego dużo serca. Czy zabrzmiało to bardzo głupio?

— Zabrzmiało to bardzo po włosku — odparła z uśmiechem, wpatrując się w niego spojrzeniem przepełnionym miłością i pożądaniem. — Jego intymność i ciepło należą do ciebie. Chcę je z tobą dzielić.

Stała z jednej strony łóżka, Victor z drugiej. Wspólnie odwinęli jedwabną narzutę; ich ręce zetknęły się, spojrzeli sobie w oczy. Jane podeszła do niego wokół łóżka. Podchodząc, odpięła u góry szlafrok i odwiązała tasiemki nocnej koszuli. Tkanina spływała w dół, spod fałd jedwabiu ukazały się jej pełne piersi o różowych, nabrzmiiałych sutkach.

Wziął ją w ramiona, szukając z czułością i podnieceniem wilgoci jej ust. Przytuliła się do niego całym ciałem. Nigdy w życiu nie czuł się tak absolutnie, tak bez reszty podniecony. Nogi jej zadrżały i znow przywarła do niego. Rozchyliła wargi, pokrywając szczelnie jego usta,

wydając niskie, gardłowe jęki.

— O Boże, weź mnie, Vittorio! Szybko, kochanie, szybko!

I telefon na biurku Aleca Teague zadzwonił natarczywie. Brygadier spojrział na zegar ścienny w swoim gabinecie, po czym sprawdził jego wskazanie na własnym zegarku. Była za dwie pierwsza w nocy. Podniósł słuchawkę.

— Teague, słucham.

— Reynolds z inwigilacji. Mamy już raport. Nadal przebywa w mieszkaniu tej Holcroft w Kensington. Naszym zdaniem pozostanie tam do rana.

— To świetnie! Trzymamy się harmonogramu. Wszystko idzie zgodnie z planem.

— Szkoda, że nie wiemy, o czym mówili. Moglibyśmy to załatwić, sir.

— To zupełnie zbędne, Reynolds. Dopisz do porannych rozkazów, co następuje: skontaktować się z Parkhurstem z Ministerstwa Lotnictwa. Należy okazać względy porucznikowi lotnictwa, Jane Holcroft, w tym skierować ją na wizytację systemów alarmów przeciwlotniczych w Loch Torridon w Szkocji, jeśli da się to załatwić bez wzbudzania podejrzeń. No, dobrze, idę się trochę przespać. Dobranoc.

Loch Torridon leży na zachód od schodzących do samej wody północno-zachodnich wyżyn, biorąc swój początek w morzu prowadzącym na Hebrydy. Łąd w głębi poprzecinany był głębokimi rozpadlinami, którymi z wyższych partii gór płynęły strumienie o lodowatej, krystalicznej wodzie, tworzącej w nieckach bagna i mokradła. Obóz rozlokowano między wybrzeżem a wzgórzami. Były to tereny bardzo surowe, odcięte od świata, niedostępne, pilnie strzeżone przez uzbrojonych wartowników i psy. Do najbliższej małej wioski z jedną główną ulicą, która wiła się pomiędzy kilkoma sklepami i po obu stronach zabudowań zmieniała się w szeroką, nie utwardzoną wiejską drogę, było około dziesięciu kilometrów.

Same wzgórza były strome, ich urwiste zbocza gęsto porastały wysokie drzewa o zbitym poszyciu. Właśnie wśród tych wzgórz uchodźcy z kontynentalnej Europy poddawani byli rygorom fizycznej zaprawy. Szło to jednak powoli i jak po grudzie. Rekruci nie byli żołnierzami, lecz biznesmenami, naukowcami i inżynierami, niezdolnymi podołać trudom wytężonego wysiłku fizycznego.

Wspólnym mianownikiem łączącym wszystkich uczestników szkolenia była nienawiść do Niemców. Dwudziestu dwóch z nich pochodziło z Niemiec i Austrii, ośmiu z Polski, dziewięciu z Holandii, siedmiu z Belgii, czterech z Włoch i trzech z Grecji. Pięćdziesięciu trzech szanowanych niegdyś obywateli, którzy dokonali własnych kalkulacji przed kilkoma miesiącami.

Rozumieli, że pewnego dnia zostaną wysłani z powrotem do ojczyzny. Ale w celu, któremu, jak to zauważył Teague, brakowało jakiegoś konkretnego kształtu. Taki nie sprecyzowany udział, przypuszczalnie na bardzo niskim szczeblu, był dla nich nie do przyjęcia, toteż w czterech barakach stojących pośrodku obozu szemrano z niezadowoleniem. W miarę jak przez radio z coraz bardziej alarmującą szybkością zaczęły nadchodzić wieści o zwycięstwach Niemców, frustracja przybierała na sile.

Na litość Boga! Kiedy wreszcie? Gdzie? Jak? Marnujemy się tutaj!

Dowódca obozu powitał Victora Fontine wyraźnie znużony. Był nim obcesowy żołnierz zawodowy, który skończył wiele różnych kursów tajnych operacji, prowadzonych przez Wywiad.

— Nie będę udawał, że wiele z tego rozumiem — powiedział przy pierwszym spotkaniu. — Rozkazy, które otrzymałem, są mocno niejasne i odnoszę wrażenie, że takie właśnie miały być. Spędzi pan mniej więcej trzy tygodnie — do otrzymania przez nas rozkazu

od generała Teague'a — na treningach z resztą naszej grupy, jako jeden z nich. Będzie pan robił dokładnie to samo co oni, nic ekstra.

— Oczywiście.

W ten sposób Victor wkroczył w świat Loch Torridon. Dziwny, spaczony świat, który miał bardzo niewiele wspólnego z czymkolwiek, czego doświadczył w całym swoim dotychczasowym życiu. Rozumiał jednak, choć nie potrafiłby powiedzieć dlaczego, że lekcje Loch Torridon będą w jakiś sposób stanowić dopełnienie nauk udzielonych mu przez ojca i ukształtują go na resztę życia.

Wydano mu przepisowy kombinezon ćwiczebny oraz całe wyposażenie włącznie z karabinem i rewolwerem (bez amunicji), bagnetem, służącym także za nóż, chlebakiem z podręcznym kompletem sztućców i zrolowanym kocem. Wprowadził się do baraku, gdzie powitano go zdawkowo, oszczędzając słowa i bez cienia zainteresowania. Szybko nauczył się, że w Loch Torridon nie zawiera się zbyt wielu znajomości; jego mieszkańcy żyli bezpośrednio przeszłością i nie kwapili się do nawiązywania przyjaźni.

Dni były długie i wyczerpujące; noce trawiło się na spamiętywa-niu szyfrów, map i głębokim śnie, którego domagało się obolałe ciało. Loch Torridon stało się dla niego czymś w rodzaju przedłużenia innych doskonale pamiętanych zajęć. Czuł się tak, jakby wrócił do czasów uniwersyteckich: koledzy w większości byli starsi od niego i żaden nie miał najmniejszego pojęcia, jak to jest, kiedy nosi się nazwisko Fontini-Cristi. Victor zrozumiał to już po kilku krótkich rozmowach. Tym łatwiej było mu zadowolić się własnym towarzystwem i skoncentrować się na współzawodnictwie z samym sobą. To była najsurowsza rywalizacja.

— Cześć, nazywam się Mihailović — zaczepił go pewnego dnia z uśmiechem jakiś mężczyzna. Dysząc ciężko osunął się na ziemię obok Victora. Odpiął pasy plecaka, pozwalając, by mocno wypakowany brezentowy worek zsunął mu się z ramion. Była połowa dziesięciominutowej przerwy pomiędzy forsownym marszem a ćwiczeniem z taktyki.

— A ja Fontine — odparł Victor. Mężczyzna był jednym z dwóch nowych, którzy przybyli do Loch Torridon niecały tydzień wcześniej. Mógł mieć dwadzieścia pięć, sześć lat, był najmłodszym rekrutem w całym obozie.

— Jesteś Włochem, prawda? Mieszkasz w trzecim baraku?

— Tak.

— Ja jestem Chorwatem. Barak pierwszy.

— Mówisz świetnie po angielsku.

— Mój ojciec zajmuje się eksportem — to znaczy, zajmował. A prawdziwe pieniądze robi się tylko w krajach anglojęzycznych. — Mihailović wyjął z kieszeni munduru polowego

paczkę papierosów i podsunął ją Victorowi.

— Nie, dziękuję, dopiero skończyłem palić.

— Wszystko mnie boli — powiedział Słowianin, wykrzywiając się w uśmiechu i zapalając papierosa. — Zupełnie nie wiem, jak ci starsi faceci dają sobie radę.

— Jesteśmy tu dłużej.

— Nie miałem na myśli ciebie. Chodziło mi o innych.

— Dziękuję. — Victor zastanowił się, dlaczego Mihailović narzeka. Był krępy, potężnie zbudowanym mężczyzną o byczej szyi i karku. Do tego zauważył jeszcze coś dziwnego: na czole Mihailowicia nie było nawet śladu potu, podczas gdy on sam czuł, że aż się od niego lepi.

— Prysnałeś z Włoch, nim Mussolini zdążył zrobić z ciebie lokaja Niemców, co?

— Coś w tym rodzaju.

— Macek idzie tą samą drogą. Już niedługo będzie rządził całą Jugosławią, wspomnisz moje słowa.

— Nie wiedziałem o tym.

— Bo niewielu o tym wie. Mój ojciec wiedział. — Mihailović zaciągnął się dymem, wodząc wzrokiem po terenie ćwiczeń. — Rozstrzelali go — dodał cicho.

Fontine spojrział ze współczuciem na młodszego kolegę.

— Bardzo mi przykro. To bolesne, ja to wiem.

— Naprawdę? — Słowianin zwrócił ku niemu twarz; w jego oczach czaiło się niedowierzanie.

— Naprawdę. Porozmawiamy później. Teraz musimy się skoncentrować na zadaniu. Chodzi o to, żeby zdobyć lasem tamto *wzgórze* i nie dać się złapać. — Victor wstał i wyciągnął rękę. — Mam na imię Vitt... Victor. A ty?

Chorwat mocno uściśnął wyciągniętą dłoń.

— Petridas. To greckie imię. Moja matka była Greczynką.

— Witaj w Loch Torridon, Petridasie Mihailowiciu.

Z upływem dni Victorowi i Petridasowi coraz lepiej się współpracowało. Nawet tak dobrze, że obozowi sierżanci wystawiali ich razem tylko we dwóch przeciwko większej liczbie przeciwników w ćwiczeniach infiltracyjnych. Petridasowi pozwolono przeprowadzić się do baraku Victora.

Dla Victora było to tak, jakby do życia powrócił nagle jeden z jego młodszych braci — ciekawy, często zdezorientowany, ale silny i posłuszny. Petridas w pewien sposób wypełnił lukę, uśmierzył ból wspomnień. Jeśli łączącemu ich stosunkowi coś zagrażało, to wyłącznie

nadmiar entuzjazmu ze strony Petridasa, który z trudem powstrzymywał się od mówienia, bez końca zadawał pytania, stale samorzutnie udzielał informacji na temat swego życia, oczekując w zamian tego samego ze strony Victora.

Tymczasem Victor odwzajemniał się, lecz tylko do pewnej granicy, której nie potrafił przekroczyć. Po prostu nie leżało to w jego naturze. Podzielił się udręką wspomnień z Campo di Fiori z Jane; nie miał zamiaru dzielić się nią z nikim więcej. Co jakiś czas uznawał za konieczne upomnieć Petridasa Mihailovicia.

— Jesteś moim przyjacielem, a nie spowiednikiem.

— Miałeś kiedyś spowiednika?

— Prawdę mówiąc, nie. To taka przenośnia.

— Twoja rodzina była bardzo religijna. Musiała być.

— Dlaczego?

— No bo twoje prawdziwe nazwisko, Fontini-Cristi, oznacza Zdrój Chrystusowy, prawda?

— W języku sprzed kilkuset lat. Nie jesteśmy religijni w przyjętym znaczeniu tego słowa. Już od wielu lat.

— Ja jestem bardzo, bardzo religijny.

— To twoje prawo.

Nastał i minął piąty tydzień, i w dalszym ciągu nie było ani słowa od Teague'a. Fontine zaczął się zastanawiać, czy przypadkiem o nim nie zapomniano, czy Wywiad nie odstąpił po namyśle od koncepcji "antyzarządzania za wszelką cenę". Mimo to życie w Loch Torridon oderwało go do wspomnień wiodących do samodestrukcji; właściwie znów poczuł się silny i zdolny do działania.

Na ten dzień porucznicy zaplanowali ćwiczenie nazywane przez nich "długi pościg". Każdy z czterech baraków działał osobno, otrzymując czterdziestopięciostopniowy wycinek koła o promieniu szesnastu kilometrów od Loch Torridon. Dwóch ludzi z każdego baraku dostawało piętnastominutowe fory, po czym reszta rekrutów ruszała w pościg za nimi; chodziło o to, żeby uciekający pozostali jak najdłużej nie schwytani.

Naturalną kolejną *rzeczy* sierżanci wyznaczyli na pierwszych uciekających najlepszych dwóch z każdego baraku. Wictor i Petridas zostali pierwszymi uciekinierami w baraku numer trzy.

Pognali w dół skalistego urwiska w kierunku lasów Loch Torridon.

— Teraz szybko! — rozkazał Fontine, kiedy znaleźli się wśród gęstego poszycia lasu.

— Idziemy w lewo. Błoto! Depcz po błocie! Łam tyle gałęzi, ile się da.

Przebyli nie więcej niż pięćdziesiąt metrów, obrywając gałązki, wydeptując głębokie ślady w wilgotnym korytarzu miękkiej ziemi, który biegł ukośnie przez las.

— Stop! — zawołał Victor, wydając następny rozkaz. — Wystarczy. Teraz ostrożnie. Odcisniemy ślady stóp aż do tego suchego miejsca... Dość. Dobrze, a teraz idź tyłem, dokładnie po śladach. Na drugą stronę tego błota... Dobrze. I z powrotem.

— Z powrotem? — spytał zdezorientowany Petridas. — Z powrotem dokąd?

— Z powrotem na skraj lasu. Do miejsca, gdzie weszliśmy między drzewa. Zostało nam jeszcze całe osiem minut. To wystarczy.

— Ale po co? — spytał Petridas, spoglądając na Fontine'a jak na nieszkodliwego wariata.

— Żeby wleźć na drzewo i się schować.

Victor wybrał wysoką szkocką sosnę rosnącą pośród kępy niższych drzew i zaczął się drapać do pierwszych gałęzi obejmując pień rękami i nogami. Petridas poszedł w jego ślady z wyrazem uszczęśliwienia na swej chłopięcej twarzy. Wspięli się obaj do trzech czwartych wysokości drzewa i rozsiedli okrakiem po przeciwnych stronach pnia. Rosnące wokół gałęzie doskonale ich maskowały, sami natomiast dobrze widzieli cały teren pod sobą.

— Mamy jeszcze prawie całe dwie minuty luzu — powiedział Fontine, spoglądając na zegarek. — Skop na dół wszystkie niepewne gałęzie i usadów się porządnie.

Dwie minuty i trzydzieści sekund później pogoń przebiegła daleko w dole pod nimi. Fontine nachylił się do młodego towarzysza.

— Damy im jeszcze trzydzieści sekund i złazimy. Pobiegniemy na drugą stronę wzgórza. Fragment zbocza wychodzi tam wprost na urwisko. To dobra kryjówka.

— O rzut kamieniem od linii startu! — Petridas wyszczerzył zęby w uśmiechu. — Jak na to wpadłeś?

— Nigdy nie miałeś młodszych braci, z którymi trzeba się było bawić. Najbardziej lubią podchody.

Uśmiech zniknął z twarzy Petridasa.

— Mam wielu braci — powiedział enigmatycznie i odwrócił wzrok.

Nie było czasu, by ciągnąć temat poruszony przez Petridasa. Ale też Victor wcale nie miał na to ochoty. Od mniej więcej ośmiu dni młody Chorwat zachowywał się dość dziwnie. To popadał w przygnębienie, to znów w następnej chwili zaczynał błaznować, a przez cały czas zasypywał Victora pytaniami, do których nie upoważniała sześciotygodniowa zażyłość.

Fontine spojrział na zegarek.

— Złazę pierwszy. Jeśli nie zobaczę nikogo, szarpnę za gałęzie; to będzie sygnał dla

ciebie, żebyś złąził za mną.

Znalazłszy się na ziemi, Victor i Petridas przygięli się wpół i pobiegli brzegiem lasu na wschód do podnóża pagórka startowego. Trzysta metrów dalej część zbocza przypominającego w tym miejscu raczej skalne rumowisko wychodziła wprost na głęboki parów. Wyżłobiony w powierzchni wzgórza przed milionami lat przez odłamek lodowca, stanowił naturalne miejsce schronienia. Przedarli się dosłownie w poprzek całego wąwozu. Dysząc ciężko, Fontine zsunął się do pozycji siedzącej, opierając plecami o ścianę kamiennej półki. Odpiął kieszeń połowej kurtki i wyciągnął paczkę papierosów. Petridas usiadł naprzeciwko niego z nogami zwieszonymi przez krawędź urwiska. Odosobniona półka, którą sobie wybrali, miała nie więcej niż dwa metry długości i półtora szerokości. Victor ponownie spojrzął na zegarek. Teraz nie musiał już mówić szeptem.

— Za pół godziny przejdziemy na drugą stronę wzgórza i zaskoczmy poruczników. Papierosa?

— Nie, dziękuję — odparł szorstko Mihailović, odwrócony plecami do Victora.

Nie sposób było nie zauważyć nuty gniewu brzmiącej w jego głosie.

— O co chodzi? Zrobiłeś sobie jakąś krzywdę? Coś ci się stało? Petridas odwrócił głowę.

— W pewnym sensie tak — odparł świdrując spojrzeniem Fontine'a. — W pewnym sensie tak.

— Nie będę nawet próbował tego zrozumieć. Albo coś sobie zrobiłeś, albo nie, nie interesują mnie żadne "pewne sensory". — Fontine uznał, że skoro Mihailović musi właśnie teraz mieć jedną ze swoich depresji, to obejdą się bez rozmawiania. Zaczynał dochodzić do wniosku, że pod niewinnym spojrzeniem szeroko rozwartych oczu krył się w Petridasie Mihailoviću mocno niezrównoważony młody człowiek.

— Ty sam decydujesz, co cię interesuje, a co nie, prawda, Victorze? Odbierasz świat wedle własnej woli. Jeden pstryczek w twojej głowie i wszystko przestaje istnieć. Absolutnie wszystko. — Chorwat ani na ułamek sekundy nie odrywał wzroku od Fontine'a.

— Przestań gadać. Podziwiaj pejzaż, pal papierosa, daj mi spokój. Zaczynasz mnie nudzić.

Mihailović powoli podciągnął nogi ponad krawędź przepaści, nadal nie spuszczać oczu z Victora.

— Nie wolno ci tak mnie odprawić. Nie możesz tego zrobić. Podzieliłem się z tobą swoimi tajemnicami. Otwarcie, z własnej woli. Teraz ty musisz zrobić to samo.

Fontine spojrzął na Chorwata z błyskiem nagłego zrozumienia w oczach.

— Chyba błędnie pojmujesz łączący nas stosunek. Albo może ja nie domyśliłem się twoich upodobań.

— Nie obrażaj mnie.

— Po prostu wyjaśniam...

— Nie mam już czasu! — Petridas podniósł głos; jego słowa przeszły w krzyk, lecz oczy pozostały szeroko otwarte, wpatrzone w Victora bez jednego mrugnięcia. — Nie jesteś ślepy! Nie jesteś głuchy! A jednak właśnie to udajesz!

— Zabieraj się stąd! — rozkazał spokojnie Fontine. — Wracaj na linię startu. Do sierżantów. Ćwiczenie skończone.

— Moje imię — wyszeptał Mihailović, podciągając jedną nogę pod swoje potężne, przykucnięte ciało. — Od samego początku nie chciałeś przyjąć go do wiadomości! Petridas!

— To twoje imię. Przyjmuję to do wiadomości.

— Nigdy przedtem go nie słyszałeś? To właśnie chcesz powiedzieć?

— Jeśli słyszałem, to nie zrobiło na mnie aż takiego wrażenia, żeby je zapamiętać.

— To kłamstwo! To imię pewnego mnicha! I ty znałeś tego mnicha! — Jego głos znów poszybował w górę, wzbił się krzykiem desperacji.

— Znałem kiedyś wielu księży, ale żadnego o takim imieniu.

— Mnich z pociągu! Człowiek oddany bez reszty dziełu chwały Bożej! Człowiek, który kroczył drogą łaski Jego świętych zrządeń! Nie możesz, nie wolno ci się go wypierać!

— Matko Chrystusowa! — zawołał bezgłośnie Fontine; szok był zupełnie paralizujący. — Saloniki. Przesyłka z Salonik.

— Tak! Ten najświętszy z pociągów; dokumenty, które są krwią, duszą jedyne niesprzedajnego, nieskazitelnego Kościoła! Ty je nam zabrałeś!

— Jesteś mnichem z zakonu Ksenopy! — powiedział Fontine, uświadamiając to sobie z niedowierzaniem. — Wielki Boże, ty jesteś ksenopitą!

— Całym sercem! Całym umysłem, duszą i ciałem!

— Skąd się tu wziąłeś? Jak się dostałeś do Loch Torridon? Mihailović podciągnął drugą nogę; przyczał się, napiął wszystkie mięśnie, jak oszalałe zwierzę gotujące się do skoku.

— To nie ma żadnego znaczenia. Muszę wiedzieć, dokąd zabrano urnę, gdzie została ukryta. I ty mi to powiesz, Vittorio Fontini-Cristi! Nie masz wyboru!

— Powiem ci dokładnie to samo, co powiedziałem Anglikom. Ja nic nie wiem! Anglicy uratowali mi życie; dlaczego miałbym im kłamać?

— Bo dałeś słowo. Komu innemu.

— Komu?

— Swemu ojcu.

— Nie! Został zabity, nim zdążył mi cokolwiek powiedzieć. Jeśli w ogóle wiesz cokolwiek na ten temat, musisz to wiedzieć na pewno!

Spojrzenie mnicha znieruchomiało nagle. Oczy zaszyły mu mgłą.

wytrzeszczył je szeroko jak przy chorobie Basedowa. Sięgnął pod połowę kurtkę i wyciągnął mały rewolwer o pękatej lufie. Odciągnął kciukiem bezpiecznik.

— Ty się nie liczysz. Obaj się nie liczymy — szepnął. — Jesteśmy niczym.

Victor wstrzymał oddech. Podciągnął kolana. Czekał na ten jeden ułamek sekundy, który dałby mu szansę uratowania życia przez powalenie nagłym wyrzutem nóg obłąkanego mnicha. Cios jedną stopą w rewolwer, drugą w obciążoną nogę Mihailowicia, posyłający go w przepaść. Tylko to mu pozostało. Choć może i na to było już za późno.

Mnich przymknął oczy i odezwał się znowu, tak nagle, że Victor aż się wzdrygnął. Przeszywającym tonem modlitewnego zaklęcia zaczął powtarzać hipnotyzująco: — Mówisz prawdę, mówisz prawdę, mówisz prawdę...

— Tak. — Fontine wziął głęboki, bardzo głęboki oddech. Wypuszczając powietrze wiedział, że lada chwila zada cios nogami. Jego szansa jednak się nadarzyła.

Petridas wstał, rozsadzając potężną klatką piersiową kurtkę polowego munduru. Ale nie celował już w Victora. Rozłożył szeroko ramiona w pozie ukrzyżowania, uniósł głowę do nieba i zawołał na cały głos: — Wierzę w jednego Boga, Ojca Wszechmogącego! Spojrzę w oczy Pana i nie zawaham się!

Przyłożył lufę rewolweru do swej skroni. Pociągnął za spust.

JVlasz swego pierwszego zabitego — powiedział Teague tonem towarzyskiej pogawędki, siadając na krześle przed biurkiem Fontine^ w pokoiku bez okien.

— Ja go nie zabiłem!

— Nie ma znaczenia, jak to się stało i kto pociągnął za ten cholerny cyngiel... Skutek jest dokładnie taki sam.

— Ale przyczyna błędna! Ten pociąg, ten przeklęty, piekielny, a nie święty pociąg! Kiedy to się skończy? Kiedy to się wreszcie skończy?

— On był twoim wrogiem. Tylko to chcę powiedzieć.

— Jeśli tak, to powinienesz być o tym wiedzieć, Alec. Zorientować się. Jesteś głupcem, Alec.

Teague z irytacją założył nogę na nogę.

— Dość ostro sobie poczynasz, jak na kapitana mówiącego z brygadierem.

— Z przyjemnością odkupiłbym od ciebie tę twoją działkę i doprowadził ją do ładu —

odparł Victor, zajmując się na powrót dokumentami z szarej teczki leżącej na jego biurku.

— W wojsku nie kupuje się stanowisk.

— I tylko dzięki temu je zachowujesz. Gdybyś był dyrektorem w którejś z moich fabryk, wyleciałbyś z roboty po tygodniu.

— Nie do wiary — powiedział z oszołomieniem Teague. — Siedzę tutaj i daję się wyrzucać z roboty jakiemuś bubkowi, który jedyne co potrafi, to dobrze się nazywać.

Fontine roześmiał się.

— Nie przesadzaj. Robię tylko to, co sam mi kazałeś. — Wskazał ręką tekturowe teczki na swym biurku. — Staram się udoskonalić Loch Torridon. A przy okazji próbowałem odkryć, w jaki sposób ten ksenopita Mihailović się tu dostał.

— I udało ci się?

— Chyba tak. To podstawowa słabość tych wszystkich *dossier*. Nie ma w nich żadnych konkretnych szacunków finansowych; jest mnóstwo słów, życiorysów, ocen, ale bardzo mało liczb. Nim podejmiemy ostateczne decyzje personalne, trzeba to będzie naprawić wszędzie, gdzie się tylko da.

— O czym ty, u licha, mówisz?

— O pieniądzach. To coś, z czego ludzie są dumni; symbol ich produktywności. Łatwo natrafić na ich ślad, potwierdzić je na wiele różnych sposobów. Źródła danych jest pod dostatkiem. Wszędzie tam, gdzie to możliwe, chcę uzyskać od każdego rekruta w Loch Torridon oświadczenie o jego stanie majątkowym.

— Stanie majątkowym?!

— Owszem — ciągnął dalej Fontine. — Oświadczenie majątkowe daje najbardziej kompleksowy wgląd w charakter człowieka. Większość tych ludzi to przemysłowcy, handlowcy, finansiści. Z ochotą zastosują się do tego polecenia. A tych, którzy tej ochoty nie wykażą, weźmiemy pod lupę.

Teague spojrział na Fontine'a z szacunkiem.

— Weźmiemy się za to. Mamy nawet specjalne formularze do takich rzeczy.

— Gdyby się okazało, że nie — powiedział Victor, podnosząc wzrok — to dostarczy ich każdy bank czy dom maklerski. Im bardziej rozbudowane, tym lepiej.

— Tak, oczywiście. A poza tym, jak się wszystko posuwa? Fontine wzruszył ramionami i machnął ręką w stronę sterty teczek na biurku.

— Powoli. Przeczytałem kilka razy wszystkie akta, porobiłem notatki, pogrupowałem je według zawodów i grup zawodowych. Rozpracowałem szczegółowo schematy geograficzne i zgodności językowe. Ale nie bardzo wiem, dokąd mnie to zaprowadziło. Na to potrzeba czasu.

— I mnóstwo roboty — wtrącił Teague. — Nie zapominaj, że ci to mówiłem.

— Tak. Mówiłeś także, że to gra warta świeczki. Mam nadzieję, że i to okaże się prawdą.

— Dam ci do pomocy jednego z najlepszych ludzi, jakich mamy w całej firmie — powiedział Teague, pochylając się ku niemu. — Będzie twoim łącznikiem w całym tym przedsięwzięciu. To kapitalny facet; zna więcej kodów i szyfrów niż dziesięciu naszych najlepszych szyfrantów razem wziętych. Jest piekielnie stanowczy, diabelnie szybko podejmuje decyzje. Co oczywiście bardzo ci się przyda.

— Jeszcze nieprędko.

— Nim się obejrzysz.

— Kiedy mi go przedstawisz? Jak się nazywa?

— Geoffrey Stone. Przywiozłem go ze sobą.

— Jest tutaj, w Loch Torridon?

— Tak. Bez wątplenia sprawdza komórkę szyfrów. Chcę, żeby od razu wszedł w całą robotę.

Victor nie bardzo wiedział, dlaczego informacja Teague'a zmała mu spokój. Chciał pracować sam, żeby nikt go nie rozpraszał.

— Dobra. Pewnie zobaczę go przy obiedzie w kasynie. Teague znów się uśmiechnął i spojrzał na zegarek.

— Nie jestem pewien, czy będziesz chciał jadać w kasynie Torridon.

— W kasynie się nie jada, Alec. Tam się po prostu je.

— No tak, nie mówiąc już o kuchni. Mam dla ciebie pewną wiadomość. Ktoś ci znajomy znajduje się w tym sektorze.

— Sektorze? Czy Loch Torridon jest sektorem?

— Sektorze systemu ostrzegania przeciwlotniczego.

— Matko Boska! Jane jest tutaj?

— Dowiedziałem się o tym przedwczoraj wieczorem. Prowadzi wizytację z ramienia Ministerstwa Lotnictwa. Oczywiście nie miała pojęcia, że znajdujesz się w tej okolicy, dopóki się z nią nie skontaktowałem. Jest w Moray Firth na wybrzeżu.

— Jesteś koszmarnym intrygantem! — zaśmiał się Fontine. — I tak łatwo cię rozszyfrować. Do diabła, gdzie ona jest?

— Prисяgam, że nic nie wiedziałem — obstawał przekonująco przy swej niewinności Teague. — Sam ją zapytaj. Na przedmieściu jest taka jedna gospoda. Będzie tam o piątej trzydzieści.

“Mój Boże, jak ja się za nią stęskniłem! Naprawdę się stęskniłem”. To było zupełnie niezwykle; aż do tej chwili nie uświadamiał sobie głębi swego uczucia. Jej twarz o wyrazistych i jednocześnie delikatnych rysach, ciemne jedwabiste włosy, które tak pięknie spływały jej na ramiona, te tak intensywnie błękitne oczy — wszystko to na trwałe wyryło mu się w pamięci. — Wnioskuje, że dasz mi przepustkę na opuszczenie obozu.

Teague skinął głową.

— I załatwię ci jakiś środek lokomocji. Ale do wyjazdu masz jeszcze chwilę. Poświęćmy ją na omówienie konkretów naszego przedsięwzięcia. Zdaję sobie sprawę z tego, że dopiero się do tego zabrałeś, ale musiałeś dojść już do jakichś wniosków.

— Owszem. Mamy tu pięćdziesięciu trzech ludzi. Wątpię, czy Loch Torridon przetrzyma dwudziestu pięciu, bo uważam, że powinniśmy...

Rozmawiali niemal całą godzinę. Im szerzej Victor rozwijał swój punkt widzenia, tym widoczniej Teague go akceptował. Victor chciał zgłosić wiele różnych prośb, w tym o ciągłe poszukiwanie nowych talentów dla Loch Torridon. Ale teraz jego myśli zaprzętała Jane.

— Odprowadzę cię do baraków — powiedział Teague, wyczuwając jego niecierpliwość. — Moglibyśmy wpaść na minutkę do klubu oficerskiego — obiecuję, że tylko na chwilę. Kapitan Stone powinien już tam być; chciałbym ci go przedstawić.

Okazało się jednak, że wcale nie muszą zachodzić do kantyny, żeby znaleźć kapitana Stone'a. Kiedy schodzili po stopniach połowego kompleksu, Fontine ujrzał sylwetkę wysokiego mężczyzny w wojskowym płaszczu. Stał dziewięć metrów od nich w głębi obozu, zwrócony tyłem, pogrążony w rozmowie ze starszym sierżantem. Było coś znajomego w budowie jego ciała, w mało żołnierskim zgarbieniu ramion. A najbardziej przykuwała uwagę jego prawa ręka — w czarnej rękawicy, o wiele za dużej jak na zwykłą rękawiczkę. Była to rękawica medyczna — pod czarną skórą rękę spowijały bandaże.

Mężczyzna odwrócił się; Fontine stanął jak wryty, czując, że zatyka mu dech w piersiach.

Kapitanem Geoffreyem Stone'em był agent Jabłko, postrzelony na nabrzeżu portowym w Celle Ligure.

Objęli się mocno. Żadne nie odezwało się ani słowem, bo słowa nie miały najmniejszego znaczenia. Minęło dziesięć tygodni od czasu, kiedy byli razem. Dziesięć tygodni od wspaniałych, upojnych miłosnych chwil.

W zajeździe przywitała go stara kobieta siedząca w bujanym fotelu za ladą recepcji.

— Porucznik lotnictwa Holcroft przyjechała pół godziny temu. Mam nadzieję, że to pan jest tym kapitanem, choć po ubraniu tego nie widać. Powiedziała, żeby pan wszedł na górę,

jeśli ma pan ochotę. Bezpośrednia dziewczucha. Nie bawiła się w chytre słówka. Po schodach na piętro, potem w lewo, pokój numer cztery.

Zapukał cichutko w drzwi, czując, że serce łomocze mu śmiesznie w piersi, jakby był nastolatkiem. Był ciekaw, czy i ona odczuwa takie samo napięcie.

Stała wewnątrz z ręką na klamce, wpatrując się w niego swymi błękitnymi oczami. Były jeszcze bardziej błękitne, niż to pamiętał, i wpatrywały się w niego jeszcze bardziej badawczo. W ich spojrzeniu dostrzegł napięcie, ale także pewność.

Przestąpił próg i ujął jej dłoń. Zamknął za sobą drzwi; zbliżyli się do siebie i powoli wyciągnęli ku sobie ręce. Kiedy ich usta się zetknęły w ciszy niosącej wszystkie odpowiedzi, wszystkie pytania straciły swą aktualność.

— Wiesz, że się bałam? — spytała szeptem Jane, trzymając jego twarz w swych dłoniach, całując delikatnie jego usta, raz za razem.

— Wiem, bo ja też się bałem.

— Zupełnie nie wiedziałam, co powiedzieć.

— Ja też. I oto rozmawiamy o naszej niepewności. To chyba zdrowo.

— Chyba raczej dziecinnie — odparła przesuwając palcami po jego czole i policzku.

— Myślę, że nie. Chcieć... potrzebować z taką siłą to coś zupełnie niepowtarzalnego. Człowiek boi się, że to uczucie nie zostanie odwzajemnione. — Odjął jej rękę od swej twarzy i pocałował ją, potem pocałował jej usta, jedwabiste włosy, które opadając w dół tworzyły wspaniałą oprawę dla pięknej twarzy o delikatnej, gładkiej skórze. Objął ją, przycisnął do siebie i mocno przytulił. — Strasznie się za tobą stęskniłem.

— Kochany jesteś, że to mówisz, ale nie musisz tego robić. Nie żądam tego, nie będę o to prosić.

Victor ostrożnie się odchylił, ujął jej twarz w obie dłonie i spojrzał w oczy, patrzące na niego z tak bliska.

— Czy ty nie czujesz tego samego?

— Zupełnie to samo. — Pochyliła się ku niemu, przesuwając wargami po jego policzkach. — Myślę o tobie o wiele za często. Jestem bardzo zapracowaną dziewczyną.

Wiedział, że Jane pragnie go równie mocno i bezgranicznie, jak on jej. Napięcie, które oboje odczuwali, udzieliło się ich ciałom, a odprężenie mózgu im przynieść tylko akty miłosny. A jednak wzbierająca w nich aż do bólu potrzeba nie żądała pośpiechu. Zamiast tego tulili się do siebie w podniecającym cieple łóżka, odkrywali na nowo swe ciała z czułością i wzmagającą się natarczywością. I przemawiali do siebie cichym szeptem, w miarę jak podniecenie narastało.

“O Boże, jakże ja ją kocham”.

Jeżeli nago pod prześcieradłem, zupełnie wyczerpani. Jane uniosła się na łokciu, pochyliła nad nim, dotknęła jego ramienia i przesunęła palcami po skórze aż do biodra. Jej ciemne włosy osypały się na jego klatkę piersiową. Przysłoniły jej delikatną twarz, przenikliwe błękitne oczy i kołyszące się nad nim piersi. Poruszył prawą ręką i dotknął jej, co było sygnałem, że miłosny akt znowu się rozpocznie. I kiedy tak leżeli nadzy obok siebie, uświadomił sobie nagle, że nie chciałby nigdy utracić tej kobiety.

— Jak długo możesz zostać w Loch Torridon? — spytał, przyciągając jej twarz do swojej.

— Jesteś okropnie przebiegłym uwodzicielem nie takich znowu młodych dziewcząt — szepnęła mu do ucha, roześmiewszy się cicho. — Znajduję się właśnie w stanie erotycznego pobudzenia, rozpamiętując pioruny i błyskawice rozkoszy przeszywające moją najgłębszą intymność... a ty mnie pytasz, jak długo mogę zostać! Bez końca i na zawsze, oczywiście. Aż do powrotu do Londynu za trzy dni.

— Trzy dni! Lepsze to niż dwa albo dwadzieścia cztery godziny.

— W jakim sensie lepsze? Bo łatwiej się zmienimy w parkę gruchających idiotów?

— Pobierzmy się.

Jane uniosła głowę i spojrzała mu w oczy. Wpatrywała się w nie bardzo długo, nim przerwała milczenie, które zapadło po jego słowach.

— Przeżyłeś okres ogromnego smutku. I straszliwego chaosu.

— Nie chcesz za mnie wyjść?

— Ponad życie, kochany. Mój Boże, oddałabym za to cały świat...

— Ale nie mówisz “tak”.

— Jestem twoja. Nie musisz się ze mną żenić.

— Ale ja chcę się z tobą ożenić. Co w tym złego?

— Nic złego, to najlepsza rzecz, jaką mogę sobie wyobrazić. Ale musisz być pewien.

— A ty nie jesteś pewna? Przywarła policzkiem do jego policzka.

— Jestem. Tu chodzi o ciebie. To ty musisz być pewien. Odsunął z jej twarzy puszyste ciemne włosy i odpowiedział spojrzeniem.

Ambasador Brevourt siedział za ogromnym biurkiem w swoim wiktoriańskim gabinecie. Dochodziła północ. Wszyscy domownicy już spali. Londyn spowijały ciemności. Na rzece, na dachach domów, we wszystkich parkach czuwali mężczyźni i kobiety, obserwujący niebo i rozmawiający cicho przez małe nadajniki radiowe. Czekali na oblężenie, które teraz miało nastąpić już lada chwila, ale jeszcze się nie rozpoczęło.

Była to kwestia najwyżej kilku tygodni. Brevourt był o tym przekonany, a obserwacje to potwierdzały. Ale nie potrafił skupić się na okropnościach, które nieuchronną koleją *rzeczy* miały zmienić bieg historii. Pochłaniała go całkowicie wizja innej katastrofy. Katastrofy nie zagrażającej bezpośrednio w czasie, lecz której skutki pod wieloma względami mogły być równie dramatyczne. Wszystkie szczegóły znajdowały się w leżącym przed nim segregatorze. Ambasador wpatrywał się w wypisany odręcznie kryptonim, który wymyślił sam dla siebie. I dla kilku — bardzo niewielu — innych osób.

PRZESYŁKA Z SALONIK Tak łatwy do przeczytania, a kryjący tak złożoną treść.

“Jakże, na miłość boską, mogli tego dokonać? Co zamierzali? Jakże to możliwe, żeby nie sposób było wyśledzić ruchów całego pociągu przekraczającego kilka państwowych granic? Kluczem do wszystkiego musi być obserwowany”.

W dolnej, zamkniętej na klucz szufladzie biurka zabrzączał telefon. Brevourt otworzył zamek i wyciągnął szufladę. Podniósł słuchawkę.

— Tak?

— Loch Torridon — padła zwięzła odpowiedź.

— Słucham cię, Loch Torridon. Jestem sam.

— Obserwowany wziął wczoraj ślub. Z kandydatką. Ambasadorowi zabrakło tchu w piersiach. Przemagając się wziął głęboki oddech. Głos po drugiej stronie słuchawki odezwał się ponownie: — Jesteś tam, Londyn? Słyszysz mnie?

— Tak, Torridon. Słyszę cię. To więcej niż wszystko, na co mogliśmy liczyć, nieprawdaż? Czy Teague zadowolony?

— Prawdę mówiąc, nie bardzo. Sądzę, że wolałby zażył znajomość. Nie małżeństwo. Nie sądzę, żeby był przygotowany na coś takiego.

— Pewnie nie był. Kandydatka może zostać uznana za przeszkodę. Teague będzie musiał się z tym pogodzić. Przesyłka ma bezwzględne pierwszeństwo.

— Tylko żebyś nigdy nie powiedział tego w MI-6, Londyn.

— Mam nadzieję, że w zaistniałych okolicznościach wszystkie akta dotyczące przesyłki z Salonik zostały usunięte z Oddziału Szóstego. Takie było nasze uzgodnienie, Torridon.

— Zgadza się. Nie został tam po nich nawet ślad.

— To dobrze. Wyjeżdżam z Churchillem do Paryża. Możesz się ze mną łączyć oficjalnym kanałem Foreign Office, hasło: Maginot. Musimy pozostać w kontakcie. Churchill chce być na bieżąco o wszystkim informowany.

Londyn Fontine włączył się w strumień przechodniów płynący w kierunku dworca Paddington. Ulica wydawała się jakby odrętwiała, oszołomienie i niedowierzanie zasnuły ją wyspami milczenia. Oczy szukały spojrzeń innych oczu, nieznajomi dostrzegali w tłumie innych nieznajomych.

Francja skapitulowała.

Victor skręcił ku Marylebone; widział ludzi kupujących w milczeniu gazety. A więc stało się; teraz już naprawdę. Wróg stał po drugiej stronie kanału La Manche — zwycięski i niezwyciężony.

Promy w Dover nie przywoziły już Calais tłumy roześmianych świątecznych turystów. Odbywały teraz inne podróże; wszyscy o nich słyszeli. Płynęły pod osłoną nocy, wioząc pod pokładami, maskującymi sieciami i brezentowymi płachtami stłoczonych uciekinierów, przynoszących wieści o tragediach i klęskach, którym na imię było Normandia, Rouen, Strasburg i Paryż.

Fontine przypomniał sobie słowa Aleca Teague'a: "Cała koncepcja polega na tym, by wysłać ich z powrotem i niszczyć rynek... wprowadzać kompletny chaos! Antyzarządzanie za wszelką cenę!" Teraz tym rynkiem stała się już cała zachodnia Europa. A kapitan Victor Fontine był gotów z wysyłką swoich dyrektorów po szkole antyzarządzania w Loch Torridon.

Z początkowej liczby pięćdziesięciu trzech uchodźców z kontynentu pozostało dwudziestu czterech; gdyby były straty, miano do nich dodawać, powoli, niezwykle rozważnie, innych. Ci, którzy się ostali, byli równie wszechstronni co utalentowani, równie pomysłowi co przebiegli. Znajdowali się wśród nich Niemcy, Austriacy, Belgowie, Polacy, Holendrzy i Grecy, ale ich narodowość miała drugorzędne znaczenie. Niemcy każdego dnia przerzucali całe masy siły roboczej przez wszystkie granice. Bo Ministerstwo Przemysłu w Berlinie wcielało do pracy mieszkańców wszystkich okupowanych terytoriów, a polityka ta, nie uznająca żadnych wyjątków, miała osiągnąć coraz większą skalę, w miarę jak podporządkowywano sobie coraz nowe terytoria. Holender pracujący w fabryce w Stuttgarcie nie był niczym niezwykłym. Już teraz, ledwie kilka dni po upadku Paryża, do zdobytych fabryk Lyonu przerzucano transporty Belgów.

Wiedząc o tym, przywódcy podziemia przetrząsali wykazy transferu siły roboczej. Cel: *znaleźć* konkretne czasowe "zatrudnienie" dla dwudziestu czterech wysoko kwalifikowanych specjalistów.

W zamieszaniu, które wynikało z niemieckiej obsesji na punkcie maksymalnej efektywności, niemal wszędzie udało się *znaleźć* jakieś odpowiednie stanowiska. Krupp i IG Farben musiały wysłać tylu swoich ekspertów w celu uruchomienia fabryk i laboratoriów w podbitych krajach, że niemieccy przemysłowcy zasypywali Berlin gorzkimi skargami. Prowadziło to do pełnej prowizorki organizacji i niedbalstwa w zarządzaniu, zmniejszało efektywność pracy niemieckich zakładów i urzędów.

To właśnie grzęzawisko poddało infiltracji podziemie niemieckie, francuskie, holenderskie, belgijskie i polskie. Dyrektywy dotyczące naboru do pracy wysłano kurierami do Londynu, do rozpatrzenia przez kapitana Victora Fontine'a.

Pozycja 1: Frankfurt, Niemcy. Poddostawca Messerschmitta. Potrzebni trzej kierownicy zakładów.

Pozycja 2: Kraków, Polska. Oddział Axla, fabryka samochodów. Potrzebni kreślarze.

Pozycja 3: Antwerpia, Belgia. Kolejowa stacja przetokowa. Wydział frachtów towarowych i rozkładów jazdy. Brak kierownictwa.

Pozycja 4: Turyn, Włochy. Turyńska Fabryka Samolotów. Źródło — *partigiani*. Odczuwalny brak inżynierów mechaników.

Pozycja 6: Linz, Austria. Berlin stwierdza stałe zawyżanie płac w fabryce tekstylnej. Potrzebni księgowi do analizy kosztów.

Pozycja 7: Dijon, Francja. Komórka prawna Wehrmachtu. Potrzebni prawnicy do obsługi sił okupacyjnych...

“Jakie to francuskie — pomyślał Victor. — Pośród klęski kapitulacji galijski umysł chce się wdawać w dysputy prawnicze”.

I tak dalej, i tak dalej. Dziesiątki “zapotrzebowań”, dziesiątki możliwości, a ich liczba miała się powiększać wraz ze wzrostem nacisku Berlina na podnoszenie wydajności pracy.

Mała brygada uchodźców z Europy przeszkolonych w Loch Torridon znalazła zajęcie, czekał ją nawał pracy. Teraz pozostała już tylko kwestia odpowiedniego rozlokowania i Fontine miał zamiar osobiście dopatrzeć wszystkich szczegółów. Nosił w teczce niewielki pasek samoprzylepnej taśmy wielokrotnego użytku. Miała wytrzymałość stali i można ją było przykleić do dowolnej części ciała, a do jej usunięcia wystarczył zwykły roztwór wody, cukru i soku z cytrusa.

Na taśmie znajdowały się dwadzieścia cztery plamki, a w każdej mikrofilm. Każdy z mikrofilmów zawierał pomniejszoną do mikroskopijnych wymiarów fotografię oraz krótkie resume uzdolnień i umiejętności każdego z nich. Mieli być wykorzystani zgodnie z zaleceniami przywódców podziemia. Wyznaczą wspólnie dwadzieścia cztery stanowiska pracy... czasowe,

tylko, bo przecież tak wysoko kwalifikowany personel będzie w ciągu najbliższych miesięcy potrzebowany w wielu miejscach.

Ale po kolei. Pierwszą pozycją w kalendarzu Fontine'a była służbowa podróż o trudnej do przewidzenia długości trwania. Miał zostać zrzucony nad Francją, a dokładnie nad Lotaryngią, tuż obok granicy francusko-szwajcarskiej. Jego pierwsza konferencja została zaplanowana w małym miasteczku Montbéliard, gdzie powinien spędzić kilka dni. Miasteczko leżało w strategicznym punkcie geograficznym, maksymalnie ułatwiając wzięcie udziału w naradzie przywódców podziemia z północnej i środkowej Francji oraz południowych Niemiec.

Z Montbéliard uda się Renem na północ aż do Wiesbaden, dokąd zjadą się na spotkanie przedstawiciele antynazistowskich ugrupowań z Bremy, Hamburga, Berlina oraz terenów na północy i zachodzie. Z Wiesbaden ruszy podziemnym szlakiem na wschód, do Pragi, potem na północny wschód do Polski i Warszawy. Ustali harmonogramy, udoskonali szyfry, zbierze próbki urzędowych dokumentów wymaganych przy uzyskiwaniu zatrudnienia, by w razie potrzeby można je było podrabiać w Londynie.

Z Warszawy wróci do Lotaryngii. Tam zapadnie decyzja, czy pojedzie na południe do swych ukochanych Włoch. Kapitan Geoffrey Stone był temu stanowczo przeciwny. Agent, którego Fontine znał pod pseudonimem Jabłko, postawił tę sprawę zupełnie jasno. Wszystko co włoskie budziło w nim zapiekłą nienawiść, odrazę, sięgającą początkami pobytu u nabrzeża Celle Ligure i ręki roztrzaskanej z powodu włoskiej naiwności i przewrotności. Stone nie widział żadnego powodu, by marnować zasoby Loch Torridon we Włoszech; było wiele innych miejsc, gdzie mogły się one przydać znacznie bardziej. Naród nieudaczników sam sobie był najgorszym wrogiem.

Fontine doszedł do Paddington i stanął na przystanku, czekając na autobus do Kensington. Właśnie odkrył londyńskie autobusy. Nigdy dotąd nie korzystał ze środków transportu publicznego. Odkrył je po części z potrzeby samoobrony. Kiedy używano służbowych samochodów, korzystało z nich zawsze kilku pasażerów, co wymagało prowadzenia konwersacji. W autobusie nikt tego nie oczekiwał.

Zdarzało się, oczywiście, że zabierał do przeczytania w domu jakieś ściśle tajne materiały i wówczas Alec Teague po prostu kategorycznie odmawiał pobłażania tej jego nowej słabostce, uważając to za zbyt niebezpieczne. Dziś właśnie zaistniała taka sytuacja, ale tym razem Victor postawił się swemu zwierzchnikowi — służbowy samochód zabierał jeszcze dwóch innych pasażerów, a on chciał spokojnie pomyśleć. To była jego ostatnia noc w Anglii; musiał powiedzieć o tym Jane.

— Na miłość boską, Alec! Mam przed sobą kilka tysięcy kilometrów na terytorium

wroga. Gdybym aktówkę przypiętą łańcuchem do mojej ręki i zamykaną na szyfrowy zamek zgubił w londyńskim autobusie, to mam przecież świadomość, że wszystkich wpakowałbym w nielichą kabałę.

Teague skapitulował, sprawdził tylko osobiście łańcuszek i zamek.

Autobus podjechał, Fontine wsiadł i przecisnął się zatłoczonym przejściem do wolnego miejsca w przedzie, przy oknie. Odwrócił się twarzą do szyby i odpłynął myślami, najpierw do Loch Torridon.

Wszystko oczywiście było zapięte na ostani guzik. Koncepcja nie straciła ani trochę na aktualności. Byli w stanie umieścić swój personel na kolejnych kierowniczych stanowiskach. Pozostało tylko wprowadzić strategię w życie. Ta podróż miała mu w tym ogromnie pomóc. Znajdzie odpowiednie stanowiska dla odpowiednich osób... I wkrótce potem zapanuje chaos i spustoszenie.

Do wyjazdu był w pełni gotów. Nie był natomiast jeszcze gotów do ostatniej *rzeczy*, która go właśnie czekała — powiedzenia Jane, że ten moment w końcu nastąpił.

Po powrocie ze Szkocji wprowadził się do jej mieszkania w Kensington. Jane odrzuciła jego ofertę przeprowadzki do wspanialszych apartamentów. I te ostatnie tygodnie były najszcześniejszym okresem w jego życiu.

A teraz nadszedł moment, gdy komfort codziennej egzystencji we dwoje miał zastąpić strach. To, że tysiące i setki tysięcy innych ludzi doświadczało tego samego, nic nie znaczyło. Matematyka nie stanowiła tu pociechy.

Ostatni przystanek. Czerwony zmierzch obmył drzewa i wyszorował domy. Kensington tchnęło spokojem, wojna była tu czymś odległym. Wsiadł z autobusu i ruszył cichą uliczką. Nagle coś odwróciło jego uwagę od furtki. W ciągu ostatnich miesięcy nauczył się nie zdradzać niepokoju, toteż udając, że macha do niewidocznego sąsiada w oknie naprzeciwko, zmrużył oczy przed zachodzącym słońcem i zdołał wyraźniej dojrzeć małego czterodrzwiowego austina zaparkowanego po drugiej stronie ulicy, pięćdziesiąt metrów po przekątnej od niego. Samochód był szary. Widział już tego szarego austina. Doskonale to sobie przypominał. Jechał ze Stonem do Chelmsford na rozmowę z pewną Żydówką, która pracowała w urzędzie miejskim Krakowa niemal do samej napaści Niemiec na Polskę. Zatrzymali się na stacji benzynowej tuż za Brentwood.

Szary czterodrzwiowy austin podjechał za nimi do pompy obok.

Victor zwrócił na niego uwagę tylko z powodu uszczypliwej uwagi obsługującego ją mężczyzny, który, kiedy licznik pompy pokazał niecałe dwa galony, a bak austina okazał się już pełny, powiedział: — To się chyba nazywa zachłanność.

Kierowca wydał się zmieszany tą uwagą, przekręcił kluczyk w stacyjce i natychmiast odjechał.

Fontine zauważył, że kierowca był księdzem. Kierowca szarego austina po przeciwnej stronie ulicy też był księdzem. Wyraźnie widział białą koloratkę.

I czuł, że kierowca nie spuszcza z niego wzroku. Podszedł do furtki, starając się zachowywać jak najbardziej naturalnie. Nacisnął klamkę, wszedł, odwrócił się i zamknął furkę za sobą; duchowny w szarym austinie siedział bez ruchu, nadal wpatrując się w niego spoza, jak się wydawało, grubych okularów. Victor podszedł do drzwi wejściowych i otworzył je swoim kluczem. Kiedy znalazł się w środku, zamknął je za sobą i błyskawicznie podskoczył do rzędu wąskich okalających je z obu stron okienek. Szyby przesłonięte były zaciemniającymi storami; odchylił delikatnie brzeg materiału i wyjrzał na dwór.

Ksiądz przesunął się kilkanaście centymetrów w prawo, bliżej okienka, i wodził wzrokiem w górę i w dół po fasadzie kamienicy. Wyglądał według Fontine'a zupełnie groteskowo. Błady, chudy i z tymi soczewkami na nosie.

Opuścił storę i podszedł szybko do schodów; wbiegł na górę po dwa stopnie naraz, na trzecie piętro, ich piętro. Zza drzwi dobiegły go dźwięki muzyki; radio grało, Jane była w domu. Zamykając za sobą drzwi usłyszał, jak nuci półgłosem w sypialni. Nie miał czasu na przywitanie; chciał jak najszybciej dostać się do okna. I wolałby jej nie straszyć, gdyby dało się tego uniknąć.

Lornetka leżała na półce nad kominkiem. Wyciągnął futerał z wnęki między książkami, wyjął lornetkę, podszedł do okna i nastawił ostrość.

Ksiądz rozmawiał z kimś na tylnym siedzeniu małego samochodu. Do tej pory Victorowi wydawało się, że duchowny jest sam. Tylnie siedzenie niknęło w cieniu, a on koncentrował się wyłącznie na kierowcy. Dostroił lornetkę.

I zamarł. Krew uderzyła mu do głowy.

To był ten sam koszmar! Koszmar, który znów się powtórzył! Odradzając się sam z siebie!

Białe pasmo w krótko obciętych włosach. Widział ten biały kosmyk ze skarpy... wewnątrz samochodu... w jaskrawym świetle reflektorów... na krótko przed eksplozją dymu i śmierci!

Campo di Fiori!

Mężczyzna siedzący w głębi szarego austina siedział w środku innego samochodu! Fontine widział go z ciemności, tak jak widzi go teraz tysiące kilometrów stamtąd, na ulicy w Kensington. Jeden z niemieckich dowódców! Jeden z niemieckich oprawców!

— O Boże! Ale mnie wystraszyłeś — powiedziała Jane, wchodząc do pokoju. — Co ty...

— Połącz mnie z Teague'em! Natychmiast! — krzyknął Victor. Rzucił lornetkę i zaczął mocować się z szyfrowym zamkiem swojego nesesera.

— Co się stało, kochanie?

— Rób, co mówię! — Z trudem panował nad sobą. Cyferki ustawiły się; zamek odskoczył.

Jane wpatrywała się z oszołomieniem na męża; nakręciła szybko numer telefonu, nie zadając żadnych dalszych pytań.

Fontine rzucił się do sypialni. Spomiędzy starty koszul wyciągnął rewolwer, wyszarpnął go z kabury i pobiegł znów do salonu i drzwi wyjściowych.

— Victor! Dokąd pędzisz? Na miłość boską!

— Powiedz Teague'owi, żeby natychmiast tu przyjechali! Powiedz mu, że na dole jest Niemiec z Campo di Fiori!

Wpadł na korytarz i zbiegł po wąskich schodach, manipulując kciukiem pod lufą broni, odciągając bezpiecznik. Kiedy dotarł do podestu pierwszego pietra, usłyszał zapalenie silnika. Wydał z siebie ryk, skoczył na łeb, na szyję w dół, do frontowych drzwi i szarpnął za gałkę, otwierając je z taką siłą, że trzasnęły potężnie o ścianę. Wyskoczył na dwór i popędził do furtki.

Szary austin odjeżdżał ulicą, nabierając prędkości; chodniki zatłoczone były przechodniami. Fontine wyskoczył na ulicę i rzucił się w pościg za autem, uskakując w ostatniej chwili przed dwoma samochodami nadjeżdżającymi z przeciwka i słysząc przeraźliwy pisk opon, z jakim hamowały. Ze wszystkich stron dobiegały go krzyki mężczyzn i kobiet: Victor doskonale ich rozumiał. Człowiek pędzący środkiem ulicy o siódmej wieczorem z pistoletem w rękę mógł każdego porządnie wystraszyć. Ale nie miał czasu na rozważania; liczył się tylko szary austin i człowiek z pasmem białych włosów.

Oprawca.

Na skrzyżowaniu austin skręcił w prawo! O Boże! Ruch na tej przecznicy był bardzo niewielki — kilka taksówek i prywatnych samochodów. Austin przyspieszył, przekraczając dozwoloną szybkość i lawirując między pojazdami. Przeskoczył przez skrzyżowanie na czerwonym świetle przed samym nosem dostawczej ciężarówki, która wyhamowała gwałtownie blokując całą widoczność.

Stracił ich z oczu. Zatrzymał się i opuścił broń, serce waliło mu jak młotem, po twarzy spływały strużki potu. Ale nie wszystko było jeszcze stracone. Szary austin miał sześcicyfrowy numer rejestracyjny. Cztery z nich udało mu się odczytać.

Pojazd, o który chodzi, należy do ambasady Grecji. Dysponujący nim attache twierdzi, że ktoś musiał go zabrać z terenu ambasady dzisiaj, późnym popołudniem. — Teague mówił szybko, zirytowany nie tylko ewidentnie fałszywą informacją, lecz w ogóle całym incydentem. To było zakłócenie, poważnie zakłócenie, a na tym etapie operacji "Loch Torridon" nie można już było tolerować żadnych przeszkód.

— Skąd ten Niemiec? Kim on jest? Bo czym jest, to ja wiem. — Victor mówił cicho, z ogromnym przejęciem.

— Sprawdzamy wszystkie ślady, na jakie udało nam się wpaść. Kilkunastu doświadczonych sztabowców przekopuje archiwa. Cofają się całe lata wstecz, wyciągają wszystko. Opis, jaki dałeś rysownikowi, był bardzo dobry; jego portret okazał się, jak twierdzisz, bardzo podobny do oryginału. Jeśli w ogóle gdzieś u nas figuruje, to go znajdziemy.

Fontine wstał z krzesła, wykonał ruch, jakby chciał podejść do okna, lecz zauważył, że ciężkie czarne story zostały zaciągnięte, odcinając światło. Odwrócił się i popatrzył z roztargnieniem na wielką ścienną mapę Europy w gabinecie Teague'a. Z grubej karty sterczały dziesiątki czerwonych znaczków.

— Znów ten pociąg z Salonik, prawda? — Zadał to pytanie cicho, nie czekając odpowiedzi.

— To w żaden sposób nie tłumaczy tego, skąd wziął się Niemiec. Jeżeli to rzeczywiście Niemiec.

— Przecież ci mówiłem — odparł Victor, odwracając się do generała. — On tam był. W Campo di Fiori. Przyszło mi wtedy do głowy, że chyba już go gdzieś widziałem.

— I nigdy nie przypomniałeś sobie gdzie?

— Nie. Czasami doprowadza mnie to do obłędu. Po prostu nie wiem!

— Nie masz jakichś skojarzeń? Cofnij się wstecz pamięcią. Myśl kategoriami miast, hoteli; zacznij od kontaktów handlowych, negocjacji, kontraktów. Fontini-Cristi lokowali kapitały w Niemczech.

— Już wszystkiego próbowałem. I nic. Tylko ta twarz i też niezbyt wyraźnie. Lecz jedno utkwilo mi w pamięci — kosmyk białych włosów. — Victor powrócił ze znużeniem do swego krzesła i usiadł. Odchylił się na oparcie, zasłaniając obiema rękami zamknięte oczy. — O Boże, Alec, jestem śmiertelnie przerażony.

— Nie masz po temu powodów.

— Nie ty byłeś tamtej nocy w Campo di Fiori.

— Campo di Fiori nie powtórzy się w Londynie. Ani nigdzie indziej. Jutro rano twoja żona dostanie obstawę, pojedzie do Ministerstwa Lotnictwa, gdzie przekaże swoje

obowiązki — dokumenty, akta, korespondencję, wszystko — innemu oficerowi. Ministerstwo zapewniło mnie, że nie powinno to potrwać dłużej niż do wczesnego popołudnia. Następnie zostanie przewieziona do pewnego komfortowego domku na wsi. W miejscu odosobnionym i całkowicie bezpiecznym. Pozostanie tam aż do twego powrotu lub do momentu złapania przez nas tego człowieka. I wyduszenia z niego wszystkiego, co wie.

Fontine odjął ręce od twarzy. Spojrzał pytająco na Teague'a.

— Kiedy to załatwiłeś? Przecież nie miałeś na to dość czasu. Teague uśmiechnął się, ale nie był to ów denerwujący uśmiech, do którego przywykł Fontine.

— Plan na taką okoliczność powstał w dniu waszego ślubu. Konkretnie w niecałe kilka godzin po uroczystości.

— Będzie tam bezpieczna?

— Jak nikt w Anglii. Szczerze mówiąc, kierowały mną dwa motywy. Bezpieczeństwo twojej żony ma bezpośredni wpływ na stan twego umysłu. Tym masz zrobić swoje, więc i ja dopilnuję swego.

Teague spojrział na zegar ścienny, a potem na własny zegarek. Od czasu kiedy regulował go po raz ostatni, zegar spóźnił się niemal całą minutę. Kiedy to było? Chyba jakieś osiem, dziesięć dni temu; będzie musiał zanieść go z powrotem do zegarmistrza przy Leicester Square.

“To głupi nawyk — pomyślał — obsesja na punkcie czasu”. Słyszał przezwiska, jakimi go obdarzano: Alec Budzik, Stoper Teague. Koledzy często łajali go: nie miałbyś takiego bzika na punkcie czasu, gdyby po domu kręciła ci się żona i kilkoro dzieci. Ale tę decyzję Teague podjął już wiele lat temu; w jego zawodzie lepiej było nie mieć takich więzów. Nie był mnichem. Miewał, oczywiście, kobiety. Ale małżeństwo — nie, jako przeszkoda, zawada nie wchodziło w rachubę.

Te jałowe rozważania pobudziły go do czynnego zajęcia się aktualnym problemem — Fontine i jego małżeństwo. Włoch był idealnym koordynatorem operacji “Loch Torridon”. I oto pojawia się przeszkoda — jego żona.

Żeby to szlag jasny trafił! Poszedł na współpracę z Brevourtem, bo naprawdę chciał wykoszystać Fontini-Cristiego. Jeśli zażyła znajomość z pewną Angielką miała przysłużyć się realizacji obu celów, jemu w to graj — ale nie aż tak.

A nawiasem mówiąc, gdzie się cholerny Brevourt podział? Nagle dał za wygraną. Postawił rządowi niesłychane wręcz żądania w imię jakiejś nieznaney przesyłki z Salonik, po czym po prostu się rozpląnął.

Czy też może tylko udał, że się rozpląwa?

Wyglądało na to, że Brevourt wie, kiedy wycofać się z gry, kiedy umyć ręce od

kłopotliwej porażki. Nie było żadnych dalszych instrukcji dotyczących Fontine'a; stał się teraz wyłączną własnością MI-6. Ot tak, po prostu. Można było pomyśleć, że Brevourt chce jak najbardziej odciąć się od tego Włocha i przekłętego pociągu. Kiedy poinformowano go o przeniknięciu do Loch Torridon mnicha z zakonu Ksenopy, udał niewielkie zainteresowanie i przypisał ten epizod działalności odosobnionego fanatyka.

U człowieka, który postawił na nogi cały rząd i wymusił na nim to, co wymusił, takie zachowanie nie było naturalne. Bo ksenopita nie działał wcale w pojedynkę. Teague o tym wiedział; wiedział o tym także Brevourt. Ambasador zareagował zbyt naiwnie, jego nagły brak zainteresowania za bardzo raził.

I ta dziewczyna, żona Fontine'a. Kiedy się pojawiła na horyzoncie, Brevourt rzucił się na tę szansę jak urodzony pracownik MI-6. Był to krótkotrwały punkt zaczepienia. Można się było do niej zwrócić, wykorzystać jej istnienie. Gdyby zachowanie Fontine'a stało się nagle dziwne, gdyby poszukiwał podejrzanych kontaktów lub nawiązał jakieś, mogące doprowadzić do wytopienia przesyłki z Salonik, należało ją wezwać i nakazać donoszenie o każdym najdrobniejszym szczególe. Dziewczyna jako angielska patriotka posłuchałaby.

Ale nikomu nie przyszło do głowy, że to się skończy ślubem. To było prawdziwe "antyzarządzanie za wszelką cenę"! Instruować można wygodną kochankę, ale nie żonę!

I tę wiadomość Brevourt przyjął ze spokojem, który nie wydawał się naturalny.

Działo się coś, czego Teague nie rozumiał. Miał nieprzyjemne przeczucie, że rząd wykorzystuje Oddział Szósty — a to znaczyło, że i jego, Teague'a — i toleruje operację "Loch Torridon" głównie dlatego, iż może on pomóc Brevourtowi w osiągnięciu ważniejszego celu niż wprowadzenie chaosu w gospodarce wroga.

To oznaczało powrót do punktu wyjścia, do pociągu z Salonik.

A więc realizowane są równoległe dwa plany strategiczne: "Loch Torridon" i poszukiwanie dokumentów z Konstantyny. Do pierwszego go dopuszczano; z drugiego wykluczono.

Wykluczono i pozostawiono z żonatym nagle oficerem wywiadu — przypadek najgorszy z możliwych.

Była za dziesięć trzecia rano. Za sześć godzin pojedzie odprowadzić Fontine'a do Lakenheath.

Człowiek z pasmem białych włosów. Szkic, który nie pasował do żadnej z tysięcy fotografii i rysopisów, poszukiwania, które prowadziły donikąd. Kilkunastu analityków wciąż jeszcze przekopywało archiwa. Wiadomo było, że agent, który rozszyfruje jego tożsamość, nie zostanie pominięty przy najbliższych awansach.

Telefon na biurku zadzwonił tak niespodziewanie, że Teague aż się wzdrygnął.

— Słucham?

— Tu Stone, sir. Chyba coś mamy.

— Zaraz zejdę.

— Jeśli to nie robi panu różnicy, wolałbym wejść na górę. To dość zwariowana historia. Chciałbym pomówić z panem w cztery oczy.

— Doskonale.

“Co ten Stone znalazł? Co aż tak niezwykłego, żeby wymagało przedsięwzięcia wewnętrznych środków bezpieczeństwa?” — To jest rysunek pamięciowy, zaaprobowany przez Fontine'a, panie brygadierze — powiedział kapitan Geoffrey Stone stając przed biurkiem Teague'a i kładąc na nim wykonany węglem portret. Przedramieniem prawej ręki przyciskał niezdarnie do piersi jakąś kopertę; dłoń, ukryta w czarnej rękawicy, była zupełnie niewładna. — Nie odpowiadał niczemu z archiwów Himmlera ani z żadnych innych niemieckich, czy powiązanych z Niemcami, źródeł, w tym także środowisk kolaborantów w Polsce, Czechosłowacji, Francji, na Bałkanach i w Grecji.

— A we Włoszech? Co z Włochami?

— Na to najpierw zwróciliśmy uwagę. Wbrew temu, przy czym upiera się Fontine na temat tamtej nocy w Campo di Fiori, ten człowiek jednak jest Włochem. Rodzina Fontini-Cristi miała wśród faszystów wielu wrogów. Ale nie udało nam się nic *znaleźć*, nikogo, kto by choć odrobinę przypominał poszukiwaną przez nas osobę. I wtedy, powiem zupełnie szczerze, zacząłem się zastanawiać nad nim samym, sir. Nad jego ślubem. Nie spodziewaliśmy się tego, prawda?

— Nie, kapitanie, nie spodziewaliśmy się.

— Mały kościółek w Szkocji. Zaślubiny według obrządku anglikańskiego. Nie tego można by się spodziewać.

— W jakim sensie?

— Pracowałem w sekcji włoskiej. Wpływy katolicyzmu są tam niezwykle silne.

— Fontine nie jest człowiekiem religijnym. Do czego pan, u diabła, zmierza?

— No właśnie. Wszystko jest kwestią gradacji, prawda? Człowiek nigdy nie jest po prostu tym czy tamtym. Zwłaszcza człowiek, który posiadał taką władzę. Wróciłem zatem do jego akt; mamy u siebie fotostaty wszystkiego, co nam wpadło w ręce. W tym także wniosku o ślub i aktu małżeństwa. W rubryce “wyznanie” wpisał jedno słowo: “chrześcijanin”.

— Do rzeczy.

— Właśnie to robię. Po nitce do kłębka. Niezwykle bogata i potężna rodzina z tak

katolickiego kraju i jej jedyny pozostały przy życiu członek świadomie wypiera się jakiegokolwiek związku z Kościołem.

Teague zmrużył oczy.

— Niech pan mówi dalej, kapitanie.

— Bo przecież on się wypierał. Może nieświadomie, tego nie wiemy. “Chrześcijanin” to nie jest wyznanie. Szukaliśmy nie tych Włochów, co trzeba, kopaliśmy w nieodpowiednich archiwach. — Stone podniósł kopertę lewą ręką, odwinął małą tasiemkę i otworzył ją. Wyjął ze środka wycinek z gazety, fotografię mężczyzny z odkrytą głową i białym kosmykiem w ciemnych włosach. Mężczyzna ubrany był w czarne szaty duchownego; zdjęcie zrobiono przed ołtarzem w Bazylice Świętego Piotra. Mężczyzna klęczał twarzą do krzyża. Nad jego głową widać było dwie wyciągnięte dłonie. Trzymały kapelusz kardynalski.

— Wielki Boże! — Teague oderwał wzrok od zdjęcia i podniósł go na Stone'a.

— Archiwa watykańskie. Prowadzimy rejestry nominacji wszystkich ważniejszych dostojników kościelnych.

— Ale to...

— Tak, sir. Poszukiwany nosi nazwisko Guillamo Donatti. Jest jednym z najpotężniejszych kardynałów Kurii.

Montbeliard Samolot zaczął wchodzić w dziewięćdziesięciostopniowy zakręt.

Znajdowali się na wysokości dziewięciuset metrów, noc była pogodna, strumień powietrza rwał obok otwartego luku z taką siłą, że Fontine obawiał się, czy nie zostanie wyssany na zewnątrz, jeszcze nim zgaśnie czerwona lampka nad jego głową, a na jej miejsce pojawi się nagły biały błysk stanowiący sygnał do skoku. Chwytał mocno poręcze po obu stronach luku i zaparł się z całych sił grubymi, żołnierskimi butami o stalowy pokład havillanda; czekał na skok.

Myślał o Jane. Z początku zawzięcie buntowała się przeciwko odosobnieniu. Z takim trudem zdobyta pozycja w Ministerstwie Lotnictwa, tygodnie i miesiące "żmudnej, cholernie ciężkiej roboty" obrócone wniwecz w ciągu kilku godzin. I nagle dostrzegła cierpienie w jego oczach i umilkła. Chciała, żeby wrócił cały i zdrowy. Jeśli jej wyjazd na wieś ma w tym pomóc, to wyjedzie.

Myślał także o Teague'u. Częściowo o tym, co mu brygadier powiedział, głównie zaś o tym, co przemilczał. Wpadł na trop niemieckiego oprawcy, potwora z pasmem białych włosów, który z zimną krwią przyglądał się bestialskiej masakrze w Campo di Fiori. Przypuszczano, że jest jednym z wyższych rangą oficerów tajnej policji Himmlera, człowiekiem, który trzymał się zawsze w cieniu i nie podejrzewał, by mógł zostać kiedykolwiek zidentyfikowany. Być może działał na terenie niemieckiego konsulatu w Atenach.

"Przypuszczano". "Być może". Słowa wykrętów. Teague ukrywał jakieś informacje. Mimo całego doświadczenia nie potrafił zakamuflować niedopowiedzeń. Nie był też zbyt przekonywający, gdy mimochodem poruszył temat, który miał niewiele wspólnego z czymkolwiek: — ...to rutynowy wymóg, Fontine. Wysyłając kogoś na wykonanie zadania, wpisujemy do akt, jakiego jest wyznania. Tak samo jak załączamy do nich jego metrykę czy paszport.

Nie, nie należał do żadnego kościoła. Nie, nie był katolikiem, co wcale nie było aż takie niezwykle. Nawet we Włoszech *zdarzali* się niekatolicy. Tak, połączenie Fontini-Cristi można tłumaczyć jako Zdrój Chrystusowy; tak, przez całe wieki rodzina była mocno *związana* z Watykanem, ale przed kilkudziesięciu laty zupełnie z nim zerwała. Nie, nie przywiązywał do tego zerwania specjalnego znaczenia; bardzo rzadko w ogóle o tym myślał. O co mu mogło chodzić?

Czerwone światło zgasło. Victor ugiął kolana, jak go nauczono, i nabrał powietrza w

płuca.

Rozbłysła biała lampka. Poczuł na ramieniu klepnięcie — ostre, pewne, stanowcze. Przerzucił ręce na drugą stronę poręczy, zmieniając chwyt na odwrotny, odchylił się do tyłu i wypchnął ciało przez otwarty luk we właściwy zaśmigłowy strumień powietrza. Pęd uderzył w niego z siłą potężnej fali, odrywając go z ogromną szybkością i ciśnieniem od wielkiego kadłuba samolotu.

Rozpoczął swobodne spadanie. Zmusił nogi do rozwarcia się w literę "V", czując jak uprząż spadochronu wpija mu się w pachwiny. Wyrzucił ręce przed siebie i w bok. Przybranie pozycji "na orła" zrobiło swoje — ustabilizowało spadek w dół na tyle, że mógł się skoncentrować na biegnącej mu na spotkanie od dołu ziemi. Są! Dwa małe migocące światełka nieco po lewej stronie. Przyciągnął do siebie prawą rękę i szarpnął za małe kółko tuż obok rączki zwalniającej spadochron. Niebo nad jego głową rozjaśnił krótki błysk, niby gasnąca szybko flara z raketnicy. Wystarczy tym w dole, żeby go spostrzegli. W tej samej chwili, w której na powrót zapadła nieprzenikniona ciemność, pociągnął za gumową rączkę spadochronu. Z plecaka wystrzeliły wzdymające się zwoje materiału, nastąpiło potężne szarpnięcie, od którego uszło mu z płuc całe powietrze, a wszystkie mięśnie naprężyły się w reakcji obronnej.

Zataczając na nocnym niebie wahadłowe ćwierćkola, opadł powoli na ziemię.

.Konferencje w Montbeliard poszły bardzo dobrze. To dziwne, ale pomimo surowego, wręcz prymitywnego otoczenia — opuszczony magazyn, stodoła, kamieniste pastwisko — konferencje niewiele różniły się od gładko prowadzonych zebrań kierownictwa fabryk, z nim w roli wizytującego konsultanta z zarządu firmy. Cel spotkań z każdą grupą przywódców podziemia, którzy sobie tylko znanymi drogami dotarli do Lotaryngii, był dokładnie taki sam: opracowanie planu rekrutacji wysoko kwalifikowanych fachowców dla zasilania grupy przebywającej na wygnaniu w Anglii.

Personelu kierowniczego poszukiwano dosłownie wszędzie, bo wszędzie na terenach rozrastającej się Trzeciej Rzeszy przejmowano i przeprofilowywano zakłady produkcyjne, tak by zmaksymalizować ich produkcję. Ale niemiecka obsesja na punkcie natychmiastowego wzrostu wydajności miała jedną poważną wadę — kontrolę nad całością operacji zachował Berlin. Wszystkie zapotrzebowania przechodziły przez Ministerstwo Przemysłu i Uzbrojenia Rzeszy; zamówienia akceptowano i wystawiano setki kilometrów od miejsca ich pochodzenia. Zamówienia można było przejąć w drodze; zapotrzebowania zmienić już u źródła, w ministerstwach; przez swoich ludzi na szczeblu urzędniczym.

Stanowiska można było stworzyć; zajmujących je ludzi zastąpić innymi. W

zamieszaniu wynikłym z rozgorączkowania Berlina, by natychmiast, bezzwłocznie uzyskać totalną efektywność, niemałą rolę grał strach. Rozkazy rzadko bywały kwestionowane.

Rozbudowana biurokracja dojrzała wszędzie do rozpoczęcia akcji "Loch Torridon".

— Zostanie pan zabrany nad Ren i umieszczony na pokładzie barki w Neuf-Brisach — powiedział Francuz, podchodząc do małego okna w pensjonacie przy rue de Bać w Montbeliard. — Pańska obstawa dostarczy odpowiednich dokumentów. Zdaje się, że został pan "rzecznym śmieciem", o krzepkich barach i małym móźdżku. Sztauerem, który wszystkie wolne chwile spędza albo na spaniu, albo na upijaniu się najtańszym sikaczem.

— To może być interesujące.

Ren

Ale nie było. Była ciężka, wykańczająca fizycznie harówka, którą fetor panujący pod pokładem czynił niemal nie do zniesienia. Niemieckie patrole bezustannie przeczesywały rzekę, bez końca zatrzymując wszystkie statki i poddając ich załogi brutalnym przesłuchaniom. Ren był głównym szlakiem kurierskim podziemia; nie trzeba było wielkiej inteligencji, żeby się tego domyślić. A ponieważ "rzeczny śmieć" nie zasługiwał na żadne specjalne względy, członkowie patroli uwielbiali chwytac za pałki i kolby karabinów, aby trenować ciosy na żywym obiekcie. Fontine w nowym wcieleniu, choć tak odrażający, zdawał egzamin. Wypił dostateczną ilość skwaśniałego wina i wystarczająco często zmuszał się do wymiotów, by jego oddech nabrał cuchnącego smrodu jak u zatwardziałego, niechlujnego alkoholika.

Jeśli zupełnie nie stracił ludzkich uczuć, to tylko dzięki człowiekowi, którego dano mu za obstawę. Nazywał się Lubok i Victor wiedział, że wszystko, czyni sam ryzykuje, jest niczym w porównaniu z ryzykiem, jakie podejmował Lubok.

Lubok był Żydem i homoseksualistą. Jasnowłosym, błękitno-okim baletmistrem, którego rodzice wyemigrowali z Czechosłowacji do Berlina trzydzieści lat przed wojną. Mówił płynnie po czesku i słowacku, a także, oczywiście, po niemiecku, i legitymował się dokumentami stwierdzającymi, że pracuje dla Wehrmachtu jako tłumacz. Wśród tych dokumentów znajdowało się kilka pism na papierze z nadrukiem Naczelnego Dowództwa poświadczających pełną lojalność Luboka względem Rzeszy.

Dokumenty i papier firmowy były prawdziwe, lojalność — nie. Lubok działał jako kurier podziemia wszędzie tam, gdzie trzeba było przekraczać granice Czechosłowacji i Polski. W takich wypadkach otwarcie manifestował swe homoseksualne skłonności gwiazdą na rękawie; było tajemnicą poliszynela, że spora część korpusu oficerskiego dzieliła te upodobania. Posterunki kontrolne nigdy nie wiedziały, kogo faworyzują potężni wojskowi dostojnicy, którzy woleli dzielić łóżko z innym mężczyzną. A trzydziestokilkuletni baletmistrz

był chodzącą encyklopedią prawd, półprawd i plotek dotyczących seksualnych praktyk niemieckiego dowództwa każdego sektora i każdej strefy, w jakiej się znalazł. To były jego aktywa, jego broń.

Lubok zgłosił się na ochotnika do pomocy w wykonaniu zadania związanego z operacją "Loch Torridon", miał eskortować wysłannika MI-6 z Montbeliard przez Wiesbaden do Pragi i na północ do Warszawy. I w miarę upływu dni i kilometrów ich podróży Fontine był mu za to coraz bardziej wdzięczny. Nie mógł mu się trafić nikt lepszy niż Lubok. Dobrze skrojone garnitury kryły potężnego człowieka, którego cięty język i miazdzące spojrzenie zapewniały nie tylko o wielkim temperamencie, ale i o równinie wielkiej inteligencji.

Warszawa, Polska

Victor w mundurze pułkownika Wehrmachtu jechał w przyczepie motocykla prowadzonego przez Luboka. Opuścili Łódź i jadąc pełną szybkością dotarli do ostatniego posterunku drogowego nieco przed północą.

Lubok zachowywał się wyzywająco i zupełnie ostantacyjnie, strzelał kąśliwie całymi seriami nazwisk *Kommandanten* i *Ober-fuhreren*, rysując wizję wszelkiego rodzaju represji, jakie spotkają tego, kto ośmieli się ich zatrzymać. Zmieszani strażnicy nie mieli najmniejszej ochoty sprawdzać, czy mówi prawdę. Machnięciem ręki przepuszczali motocykl. Lubok z Victorem wjechali do miasta.

Przedstawiało straszny widok. W panujących ciemnościach wszędzie majaczyły sterty gruzów. Na ulicach, którymi jechali, nie było żywego ducha, a w oknach domów migotały nikłe odbłaski świateł, gdyż niemal całe miasto pozbawione zostało dopływu prądu. Zwisające do ziemi przewody, unieruchomione pojazdy — wiele z nich przewróconych, leżących jak ogromne stalowe insekty czekające na przyszpilenie do stołu w jakimś laboratorium.

Warszawa była martwa, a uzbrojeni mordercy sami bojąc się tego trupa, trzymali się w grupkach.

— Jedziemy do Kazimierzowskiego — powiedział półgłosem Lubok. — Ludzie z podziemia już tam na pana czekają. To nie więcej niż dziesięć ulic stąd.

— Co to jest "Kazimierzowski"?

— Stary pałac przy Krakowskim Przedmieściu. W samym centrum miasta. Przez całe lata mieścił się tam uniwersytet; teraz Niemcy zajęli go na koszary i biura.

— I my tam jedziemy? Lubok uśmiechnął się w mroku.

— Można wpuścić faszystów do uniwersytetu, ale to nie znaczy, że przybędzie im od tego rozumu. Wszystkie służby administracyjne zabudowań i terenu należą do tworzącego się podziemia.

Lubok wcisnął motocykl pomiędzy dwa samochody sztabowe stojące w połowie ciągu kamienic dokładnie na wprost głównej bramy pałacu Kazimierzowskiego. Poza wartownikami przy bramie ulica była zupełnie pusta. Paliły się tylko dwie latarnie uliczne, ale reflektory rozstawione na trawnikach na terenie pałacu rzeświście oświetlały ozdobne fasady.

Z cienia wyłonił się jakiś niemiecki żołnierz. Zbliżając się do Luboka, mruknął coś ściszym głosem po polsku. Lubok skinął głową. Niemiec nie przystając przeciął na ukos szeroką ulicę i podszedł prosto do bramy pałacu.

— On jest z podziemia — rzekł Lubok. — Znał hasło. Powiedział, że pan ma wejść pierwszy. Ma pan spytać o kapitana Hansa Neumanna z bloku siódmego.

— Kapitan Hans Neumann — powtórzył Victor — blok siódmy. I co potem?

— To nasz dzisiejszy kontakt w pałacu. Zaprowadzi pana do reszty.

— A co z panem?

— Ja mam odczekać dziesięć minut i wejść za panem. Mam spytać o niejakiego Schneidera z bloku piątego.

Lubok wyglądał na zafrasowanego. Victor rozumiał, co go gnębi. Nigdy dotąd w kontaktach z władzami podziemia oni obaj się nie rozłączali.

— To dość nietypowy sposób postępowania, prawda? Wygląda pan na zaniepokojonego.

— Muszą mieć swoje powody.

— Ale pan ich nie zna. A ten facet ich panu nie podał.

— Podejrzewa pan pułapkę? Lubok spojrzał Victorowi w oczy.

— Nie, to raczej niemożliwe — powiedział, ale widać było, że cały czas intensywnie myśli. — Komendant tego sektora jest skompromitowany. Nie będę pana nudził szczegółami, ale jego upodobanie do dzieci zostało w swoim czasie uwiecznione ze wszystkimi detalami. Na zdjęciach. Pokazano mu je i poinformowano, że istnieją jeszcze, oczywiście, negatywy. Facet żyje w ciągłym strachu, przez co daje żyć nam... To pupilek Berlina, bliski przyjaciel Göringa. Nie, to nie jest pułapka.

— Ale coś panu nie daje spokoju.

— Niepotrzebnie. Ten żołnierz znał przecież hasło: jest bardzo złożone i precyzyjne. No, do zobaczenia.

Fontine wygramolił się z ciasnego kosza przyczepy i ruszył na drugą stronę ulicy, ku bramie pałacu. Trzymał się wyniośle, pozując na uosobienie arogancji, gotów równie arogancko okazać fałszywe dokumenty, które miały mu zapewnić wstęp.

Kiedy przecinał iluminowany reflektorami teren przed pałacem, tu i tam widział

niemieckich żołnierzy przechadzających się bez celu dwójkami i trójkami. Rok temu ci mężczyźni mogliby być studentami i profesorami, omawiającymi wydarzenia akademickiego dnia. Teraz byli zdobywcami, którzy spokojnie wycofali się w zacisze pałacu pomiędzy ruin i zgliszczy, w jakie obrócili wszystko za murem. Ryk ich rozkazów znaczył śmierć, głód i masakrę, a oni prowadzili stonowane rozmowy spacerując wysprzątanymi ścieżkami, nieczuli na skutki swoich czynów.

Campo di Fiori. Campo di Fiori było tak samo rzęsiście oświetlone reflektorami. I tak samo czaiła się tam masakra i śmierć.

Wysiłkiem woli usunął z myśli te obrazy; nie mógł sobie pozwolić na osłabienie koncentracji. Znajdował się dokładnie na wprost wejścia z filigranowym portalem okalającym masywne podwójne drzwi pod tabliczką z numerem siedem. Na pojedynczym marmurowym stopniu stał na baczność wartownik w mundurze Wehrmachtu.

Fontine natychmiast go rozpoznał; był to ten sam żołnierz, który rozmawiał po polsku z Lubokiem na Krakowskim Przedmieściu.

— Działacie bardzo sprawnie — powiedział do niego cicho po niemiecku.

Wartownik skinął głową, sięgnął za klamkę i otworzył drzwi.

— Niechajże się pan pospieszy. Zechce pan skorzystać z klatki schodowej po lewej stronie. Ktoś zejdzie po pana na pierwszy podest.

Fontine wszedł szybko przez drzwi do wielkiego marmurowego hallu, skręcił ku schodom i zaczął wchodzić na górę. W połowie drogi na półpiętro zwolnił kroku. W głowie zabręczał mu cicho dzwonek alarmowy.

Głos tego strażnika, jego niemiecki. Używał niestosownych tu zwrotów. “Niechajże”, “zechce pan”, “po lewej stronie”...

“Zwracaj uwagę na brak idiomów, nadmierną poprawność gramatyczną lub wręcz przeciwnie — błędne użycie końcówek”. — “Loch Torridon”.

Wartownik nie był Niemcem. A niby dlaczego miałby być? Należał do ruchu oporu. Z drugiej jednak strony podziemie nie posługiwałoby się przecież kimś narażonym na wpadkę językową...

Na podejście półpiętra wyrosło dwóch niemieckich oficerów z rewolwerami w rękach, wycelowanymi w Victora.

— Witamy w pałacu Kazmierzowskim, panie Fontini-Cristi.

— Proszę się nie zatrzymywać, *padrone*. Musimy się pospieszyć — dodał drugi.

Mówili po włosku, ale nie był to ich ojczysty język. Akcent zdradził Victorowi ich narodowość. Ci dwaj mieli tyle wspólnego z Niemcami, co wartownik przy wejściu. To byli

Grecy! Pociąg z Salonik!

Zza pleców dobiegł go trzask bezpiecznika pistoletu, któremu zawtórował odgłos szybkich kroków. Sekundę później poczuł szturchnięcie lufą w krzyż, ponaglące go do szybkiego wspinania się po schodach.

Nie miał żadnej możliwości ruchu, nie był w stanie w żaden sposób odwrócić uwagi napastników. Celowały w niego lufy trzech rewolwerów o magazynkach pełnych kul, sześcioro oczu patrzyło mu na ręce.

Z góry, z głębi jakiegoś korytarza dobiegł go wybuch śmiechu. Może gdyby krzyknął, podniósł alarm przed jednym wrogiem w obozie innego wroga; analiza błędnego koła paraliżowała.

— Kim jesteście? — Słowa. Zaczynaj od słów. Gdyby tylko udało mu się stopniowo podnieść głos, z naturalną gradacją, która zminimalizowałaby prawdopodobieństwo pociągnięcia za spust. — Nie jesteście Niemcami!

Głośniej. Teraz coraz głośniej!

— Co tu robicie?!

Lufa pistoletu przesunęła się błyskawicznie w górę jego pleców i dźgnęła go w potylicę. Cios był tak nagły, że Victor stanął jak wryty. W tej samej chwili zaciśnięta pięść rąbnęła go w lewą nerkę; zatoczył się do przodu wprost na stojących przed nim w milczeniu i ani na chwilę nie spuszczaających z niego wzroku Greków.

Zaczął krzyczeć; nie było innego wyjścia. Dobiegający z góry śmiech zbliżał się, był coraz donośniejszy. Jacyś ludzie schodzili po schodach.

— Ostrzegam was!...

W jednej chwili obie ręce wyszarpięto mu do tyłu, wygięto i wykręcono na plecy. Na twarzy poczuł duży kłęb szorstkiego materiału, nasączonego drażniącym, cuchnącym płynem.

Przestał cokolwiek widzieć; odcinano mu oddech, narzucano próżnię bez światła, bez powietrza. Zdarto z niego kurtkę munduru, zerwano pasek biegnący na ukos przez pierś. Ze wszystkich sił próbował wyrwać ręce.

W trakcie tej szamotaniny poczuł ukłucie długiej igły zagłębiającej się w jego ciało; nawet nie bardzo wiedział, w którym miejscu. Instynktownie poderwał ręce w geście protestu. Były wolne! Lecz równie nieporadne jak bezcelowy był jego opór.

Znów usłyszał tamten śmiech; tym razem huczał zupełnie ogłuszająco. Poczuł, że ktoś popycha go do przodu i spycha w dół.

I to wszystko.

Odradzasz tych, którzy uratowali ci życie.

Otworzył oczy; niewyraźny obraz powoli nabierał ostrości. Gdzieś w lewym barku, a może ramieniu, poczuł palące rozognienie. Sięgnął drugą ręką; zapiekło boleśnie pod dotknięciem.

— To antidotum — odezwała się rozmazana postać falująca o krok, a może kilka kroków przed nim. — Wywołuje opuchliznę, ale jest nieszkodliwe.

Odzyskał ostrość widzenia. Siedział na betonowej posadzce, oparty plecami o ścianę z kamieni. Na wprost niego, pod przeciwległą ścianą w odległości może sześciu metrów, stał jakiś człowiek. Znajdowali się na czymś w rodzaju podwyższonej platformy wewnątrz wielkiego tunelu. Tunel był wykuty w skale, zdawał się ciągnąć głęboko pod ziemią, oba jego końce nikały w ciemnościach. Dnem tunelu biegły stare wąskie tory, spękane i pokryte grubą warstwą rdzy. Jedyne światło pochodziło od kilku grubych świec, wetkniętych w równie zardzewiałe obejmy na ścianach.

Odzyskawszy pełną ostrość widzenia, Fontine skoncentrował się na stojącym naprzeciwko mężczyźnie. Miał na sobie czarne ubranie, pod brodą jaśniała mu biała koloratka duchownego. Był zupełnie łysy, ale nie z powodu wieku — nie mógł mieć więcej niż czterdzieści pięć, pięćdziesiąt lat. Miał gładko wygoloną głowę, szczupłe ciało i twarz ascety.

Obok niego stał tamten wartownik w mundurze Wehrmachtu. Dwaj Grecy przebrani za niemieckich oficerów trzymali straż przy żelaznej furcie w lewej ścianie, zwróceni twarzami do tunelu. Milczenie przerwał duchowny.

— Jechaliśmy pańskim śladem od Montbeliard. Jesteśmy tysiące kilometrów od Londynu. Tutaj Anglicy pana nie ochronią. Mamy szlaki przerzutowe na południe, o których oni nie mają pojęcia.

— Anglicy? — Fontine wpatrywał się w mnicha, próbując się w tym wszystkim połapać. — Przecież wy jesteście z zakonu Ksenopy.

— Owszem.

— To dlaczego walczyacie z Anglikami?

— Bo Brevourt jest kłamcą! Złamał dane nam słowo!

— Brevourt? — powtórzył Victor w zupełnym oszołomieniu. To nie miało najmniejszego sensu. — Chyba oszaleliście! Wszystko, absolutnie wszystko, co robił, robił w waszym imieniu! Dla was!

— Nie dla nas. Dla Anglii. On chce odnaleźć urnę dla Anglii! Churchill tego żąda. To broń potężniejsza niż setka armii, i oni dobrze o tym wiedzą! Nigdy więcej byśmy jej nie ujrzeli! — Mnich mówił z nieskrywaną furią, jego oczy ciskały błyskawice.

— Naprawdę tak sądzicie?

— Niech pan nie będzie durniem! — prychnął pogardliwie ksenopita. — Tak jak Brevourt złamał, swoje słowo, tak my złamaliśmy kod Maginot. Przejęliśmy wiele depeš, rozmów pomiędzy... powiedzmy, zainteresowanymi stronami.

— To szaleństwo! — Fontine próbował zebrać myśli. Anthony Brevourt rozplynał się w cieniu; od miesiący nie było żadnych wieści ani od niego, ani o nim. — Mówi pan, że śledziliście mnie od Montbeliard. Po co? Ja nie mam tego, czego szukacie! Nigdy nie miałem! Nic nie wiem o tym przeklętym pociągu!

— Mihailović panu uwierzył — powiedział cicho zakonnik. — Ja nie.

— Petridas... — Victorowi stanął przed oczami widok młodego mnicha, nieledwie dziecka, odbierającego sobie życie na skalnej półce w Loch Torridon.

— On nie miał na imię Petridas...

— To wy go zabiliście! — zawołał Fontine. — Jesteście nie mniej winni, niż gdybyście sami pociągnęli za spust! Jesteście obłąkani! Wszyscy, co do jednego!

— Nie wykonał swego zadania. Wiedział, jak w takiej sytuacji należy postąpić. To było zrozumiałe samo przez się.

— Jesteście chorzy! Zarażacie każdego, kogo dotkniecie. Możecie mi wierzyć albo nie, ale mówię wam po raz ostatni: nie otrzymałem informacji, o którą wam chodzi!

— Kłamie pan!

— Jesteście obłąkani!

— To dlaczego wybrał się pan w tę podróż z Lubokiem? No, niech mi pan odpowie na to pytanie, panie Fontini-Cristi! Dlaczego z Lubokiem?

Victor skulił się w sobie; szok wywołany wymówieniem nazwiska Luboka kazał mu się mocniej wtulić w kamienną ścianę.

— Lubok? — szepnął z niedowierzaniem. — Jeśli wiecie, jakie ma zadanie, to musicie znać odpowiedź.

— “Loch Torridon”? — spytał z sarkazmem mnich.

— Do wyjazdu z Montbeliard nigdy w życiu nie słyszałem jego nazwiska. Wiem tylko, że robi, co do niego należy. Jest Żydem i... i podejmuje ogromne ryzyko.

— On pracuje dla Rzymu! — ryknął ksenopita. — Przekazuje im propozycje! Pańskie propozycje!

Victor zaniemówił; jego osłupienie było tak kompletne, że zbrakło mu słów.

— Przedziwny zbieg okoliczności, prawda? — ciągnął dalej mnich niskim świdrującym tonem. — Ze wszystkich przewodników w całej okupowanej Europie wybór padł właśnie na Luboka, który nagle zjawia się w Montbeliard przez najczystszy przypadek. I pan

chce, żebym w to uwierzył?

— Niech pan wierzy w to, co pan chce. To czyste szaleństwo.

— To zdrada! — ryknął znów pełnym głosem mnich, odrywając się o kilka kroków od ściany. — Zboczeniec, który może złapać za słuchawkę i zaszantażować pół Berlina! A co najbardziej odrażające — dla pana — łajdak pracujący dla tego potwora...

— Fontine! Padnij! — dobiegł z czarnej czeluści tunelu świdrujący rozkaz. Wysoki, afektowny krzyk Luboka odbił się po wielokroć od wykutych w skale ścian, zagłuszając zupełnie resztę krzykliwych słów mnicha.

Victor odwrócił się błyskawicznie w bok, skoczył przed siebie, przeturlał się wzdłuż kamiennej ściany i zwałił ciężko z platformy na twarde pobocze zardzewiałych torów. Nad głową usłyszał świst pocisków tnących powietrze, a ułamek chwili później dwa ogłuszające strzały z pozbawionych tłumików lugerów.

W migotliwym świetle świec ujrzał sylwetki Luboka i kilku innych ludzi, wypadających z ciemności, unoszących broń, mierzących szybko i dokładnie, strzelających, obracających się na pięcie i znikających za ochronną tarczą skały.

W kilka sekund było po wszystkim. Ksenopita runął na ziemię trafiony w szyję i z odstrzelonym lewym uchem. Konając, doczołgał się na brzeg platformy i wbił gasnące spojrzenie w Victora. W obliczu nadciągającej śmierci jego szept przechodził coraz szybciej w rżenie.

— My... nie jesteśmy twoimi wrogami. Na miłosierdzie boskie... oddaj te dokumenty nam...

W tym momencie rozległ się stłumiony trzask — czoło mnicha zostało rozerwane tuż ponad znieruchomiałymi oczami.

Victor poczuł, że ktoś chwyta go za lewe ramię; cały bark i piersi przeszywał mu ból. Czyjeś ręce podrywały go na nogi.

— Wstawaj! — rozległ się rozkaz Luboka. — Mogli usłyszeć strzały. Biegiem!

Popędzili w głąb tunelu. Snop światła latarki, trzymanej przez jednego z ludzi Luboka wysoko nad głową, penetrował smolistą ciemność. Mężczyzna rzucał szeptem po polsku kolejne wskazówki. Lubok tłumaczył je Victorowi, który biegł obok niego.

— Jakieś dwieście metrów dalej jest mnisia grota. Tam będziemy już bezpieczni.

— Co takiego?

— Mnisia grota — odparł Lubok, dysząc ciężko. — Pałac Kazimierzowski ma długą historię. Tajne przejścia bywały potrzebne.

Przezołgali się ciasnym, ciemnym chodnikiem wyrąbanym w litej skale, kończącym

się w głębi jakiejś jaskini. Natychmiast poczuli, że powietrze jest tu zupełnie inne, świeższe; gdzieś poza zalegającymi jaskinię ciemnościami musiał istnieć jego dopływ.

— Muszę z panem pomówić — powiedział szybko Victor.

— Aby odpowiedzieć na pańskie pytanie, kapitan Hans Neu-mann jest oficerem absolutnie oddanym Trzeciej Rzeszy, ma także kuzyna w gestapo. Zrozumieliśmy, że to pułapka. Mówiąc z ręką na sercu, wcale nie spodziewaliśmy się znaleźć pana w tym tunelu. Zwykły hit szczęścia. My próbowaliśmy tylko przedostać się do bloku siódmego. — Lubok zwrócił się do swych towarzyszy, najpierw po polsku, a potem tłumacząc na użytek Victora. — Oczekamy tu piętnaście minut. To powinno wystarczyć. A potem pójdziemy na nasze spotkanie do siódemki. Poprowadzi pan swoją naradę zgodnie z planem.

Fontine chwycił Luboka za ramię i odprowadził go na bok, kilka kroków od ludzi z podziemia. Dwóch z nich włączyło własne latarki, dające dość światła, żeby mógł widzieć twarz Luboka. Victor był im za to wdzięczny.

— To nie Niemcy zastawili tę pułapkę! Ci faceci byli Grekami. Jeden z nich był mnichem! — Fontine powiedział to szeptem, ale napięcie w jego głosie było wyraźnie czytelne.

— Pan zwariował — powiedział spokojnie Lubok, nie mrugnawszy nawet okiem.

— Oni byli z zakonu Ksenopy.

— Skąd?!

— Nie udawaj. Dobrze słyszałeś.

— Słyszałem, ale nie mam najmniejszego pojęcia, o czym pan mówi.

— Do jasnej cholery, Lubok! Kim pan właściwie jest?

— Dzięki Bogu niejednym dla niejednego.

Victor chwycił jasnowłosego Czecha za kłapy munduru. Spojrzenie Luboka nabrało natychmiast chłodnego dystansu, błysnęły w nim iskierki gniewu.

— Powiedzieli, że pracuje pan dla Rzymu, że przekazuje pan Rzymowi propozycje! Jakie propozycje? Co to miało znaczyć?

— Nie wiem — wycedził powoli Czech.

— Dla kogo pan pracuje?

— Dla wielu ludzi. Przeciwko faszystom. Nic więcej nie powinno pana obchodzić. Dzięki mnie żyje pan nadal i dokończy pan swoich negocjacji. W jaki sposób tego dokonam, to wyłącznie moja sprawa.

— I nigdy pan nie słyszał o Salonikach?

— Jest takie miasto w Grecji, nad Morzem Egejskim... A teraz niech pan zabiera te ręce.

Fontine poluźnił chwyt, ale nie zwolnił go całkowicie.

— Na wypadek, tak na wszelki wypadek, gdyby wśród tych wielu ludzi, o których pan mówił, znajdował się ktoś zainteresowany pociągiem z Salonik — ja nic o nim nie wiem. Nigdy nie wiedziałem.

— Gdyby ktoś kiedyś poruszył ten temat, choć nie mam zielonego pojęcia, dlaczego miałby to robić, przekażę tę informację. Czy teraz możemy już skoncentrować się na pańskich warszawskich rozmowach? Musimy je zakończyć jeszcze dzisiaj. Na jutro udało mi się załatwić dwa miejsca w niemieckim wojskowym samolocie kurierskim. Przed świtem sam sprawdzę wszystko na lotnisku. Wsiądziemy w Mullheim. Tuż obok granicy francusko-szwajcarskiej. Dotarcie do Montbeliard nie zajmie nam więcej niż jedną noc. Pańska misja w Europie zostanie zakończona.

— Mamy lecieć samolotem? — spytał Victor, odrywając ręce od klap kurtki Luboka.
— Niemieckim? Wojskowym?

— To grzeczność ze strony pewnego bardzo nierozważnego komendanta warszawskiego garnizonu. Naoglądał się za wiele filmów ze sobą w roli głównej. Czysto pornograficznych.

**Korytarz powietrzny
na zachód od Monachium**

Trzymotorowy fokker trwał bez ruchu, obsługa naziemna sprawdzała silniki i uzupełniała z cysterny zapas paliwa. Stali na lotnisku w Monachium; z Warszawy wylecieli wczesnym rankiem, po drodze mieli krótki postój w Pardze. Większość pasażerów wysiadła właśnie tu, w Monachium.

Mullheim było następnym, ostatnim etapem ich podróży. Victor siedział jak na szpilkach obok na pozór zrelaksowanego Luboka w opustoszałej kabinie samolotu. Poza nimi znajdował się w niej tylko jeszcze jeden pasażer, podstarzały kapral jadący na przepustkę do Stuttgartu.

— Czułbym się znacznie pewniej, gdyby było jeszcze kilka osób do podwiezienia — szepnął Lubok. — Jeżeli będzie nas tak mało, pilot może się uprzeć, żeby w Mullheim wszyscy zostali na pokładzie. Zatankuje raz-dwa i szybko dalej. Większość pasażerów wysiada w Stuttgarcie.

Przerwał mu hałaśliwy tupot nóg po metalowych schodkach na zewnątrz. Odgłosom chwiejnych kroków towarzyszył rubaszny, nieskrępowany śmiech, który przybierał na sile, w miarę jak nowi pasażerowie zbliżali się do drzwi kabiny. Lubok rzucił Victorowi porozumiewawcze spojrzenie i uśmiechnął się z wyraźną ulgą. Powrócił do czytania gazety dostarczonej przez stewarda i rozsiadł się wygodnie w fotelu. Fontine obejrzał się przez ramię; grupa pasażerów z Monachium stanęła w drzwiach.

Stanowiło ją trzech oficerów Wehrmachtu i jakaś młoda kobieta. Wszyscy byli pijani. Dziewczyna miała na sobie jasny, cienki płaszcz; dwóch oficerów silnymi szturchańcami przepychnęło ją przez drzwi, trzeci popchnął ją na fotel. Dziewczyna nie protestowała; wręcz przeciwnie, śmiała się i stroiła pocieszne miny. Uległa, chętna zabawka.

Nie przekroczyła jeszcze trzydziestu lat, miała miłą, ale niezbyt atrakcyjną powierzchowność. W jej twarzy czaiło się jakieś dziwne rozgorączkowanie, napięcie przywodzące na myśl poczucie osaczenia. Jasnobrązowe włosy były nieco za sztywne; wiatr nie rozwiał ich, tylko zbił ciasno wokół głowy, warstwa tuszu na rzęsach za gruba, szminka nadto czerwona, róż na policzkach zbyt jaskrawy.

— Czego się gapisz? — Ryczący ton pytania zdołał się przebić przez hałas uruchamianych silników. Pytającym był trzeci oficer Wehrmachtu, trzydziestokilkuletni

muskularny mężczyzna o szerokich barach. Minął dwóch kolegów i zwracał się do Victora.

— Przepraszam — powiedział z cieniem uśmiechu Victor. — Nie chciałem być nigrzeczny.

Oficer zmrużył oczy; nie było wątpliwości, że szuka zaczepki.

— Patrzcie go, frajera, jaki wyszczekany!

— Nie chciałem nikogo obrazić.

Oficer odwrócił się do swych towarzyszy. Jeden posadził sobie na kolanach dziewczynę, nie bez jej ochoczego przyzwolenia, drugi stał w przejściu między fotelami.

— Nasz frajerek nie chciał nikogo obrazić! Czy to nie jest ładnie z jego strony?

Jego dwaj koledzy prychnęli pogardliwym śmiechem. Dziewczyna zachichotała; trochę zbyt histerycznie, według Victora. Odwrócił się, mając nadzieję, że żołdak zostawi go w spokoju.

Zamiast tego poczuł na ramieniu wielką łapę, chwytającą go ponad oparciem fotela.

— To nie wystarczy. — Oficer spojrzął na Luboka. — Zabierajcie się obaj na sam przód.

Victor napotkał spojrzenie Luboka. Wyczytał z niego jasno: rób, co facet każe.

— Oczywiście. — Fontine i Lubok wstali, przeszli szybko między fotelami i zajęli nowe miejsca. Żaden nie odezwał się ani słowem. Z tyłu dobiegł odgłos odkorkowywanych butelek. Wehr-macht wydawał przyjęcie.

Fokker nabrał szybkości i oderwał się od pasa. Lubok wybrał miejsce przy przejściu, zostawiając Victorowi fotel przy oknie. Fontine zaczął wodzić wzrokiem po niebie, zamykając się w sobie z nadzieją, że uda mu się zapaść w pustkę, dzięki której podróż do Mullheim szybciej zejdzie. Już teraz nie mógł się doczekać końca.

Pustka nie nadchodziła. Jego myśli mimowolnie pobiegły ku tunelowi w podziemiach pałacu Kazimierzowskiego i mnichowi z zakonu Ksenopy.

“Podróżuje pan z Lubokiem. Lubok pracuje dla Rzymu”.

Lubok.

“My nie jesteśmy pańskimi wrogami. Na miłosierdzie boskie, niech pan nam odda te dokumenty”.

Przesyłka z Salonik. Nie opuszczała go ani na chwilę. Urna, która mogła śmiertelnie skłócić ludzi walczących ze wspólnym wrogiem.

Z tyłu dobiegł wybuch śmiechu, a za plecami usłyszał cichy szept.

— Nie! Niech się pan nie odwraca. Proszę! — To był steward, którego ledwie słyszał przez wąską przerwę między fotelami. — Niech pan nie wstaje. To komandosi. Rozładowują

się, nie zwracajcie uwagi. Udawajcie, że w ogóle nic się nie dzieje.

— Komandosi? — spytał szeptem Lubok. — W Monachium? Oni stacjonują na północy, nad Bałtykiem.

— Ci nie. Ci działają po tamtej stronie gór, w sektorach włoskich. Głównie wykonują egzekucje. Mają wiele...

Słowa stewarda uderzyły w Victora jak cichy grom. Zaczerpnął głęboko powietrza; mięśnie brzucha stwardniały mu na kamień.

...egzekucje...

Chwycił poręczę fotela i z całych sił wcisnął się w oparcie, a potem wygiąwszy się w kabłąk, wyciągnął szyję i odwrócił twarz do tyłu ponad metalową krawędzią zagłówka. W pierwszej chwili nie mógł uwierzyć własnym oczom.

Dziewczyna leżała na podłodze w rozpiętym płaszczu; poza resztkami podartej bielizny była zupełnie naga, nogi miała szeroko rozkraczone, pośladki drgały jej rytmicznie. Jeden z oficerów Wehrmachtu ze spodniami i gaciami spuszczoneymi do kolan wisiał nad nią na czworakach, dźgając ją prąciem. Drugi bez spodni, klęczał za głową dziewczyny, z wzwiedzionym członkiem sterczącym z rozporka kalesonów. Trzymał dziewczynę za włosy i bił ją po twarzy sztywnym penisem; dziewczyna otworzyła usta i przyjęła go, krztusząc się i wydając z siebie głośny jęk. Trzeci siedział na poręczy fotela, pochylony nad sceną gwałtu. Chwytał powietrze ze świstem przez rozchylone wargi, wyciągniętą lewą ręką miętosił nagie piersi dziewczyny w takt onanistycznych ruchów prawej garści. — Bydlęta! — Fontine zerwał się z fotela, wrywając rękę Lubokowi, który próbował go przytrzymać, i rzucił się przed siebie. Niemcy do tego stopnia osłupieli, że zamarli w bezruchu. Oficer siedzący na poręczy rozdziawił szeroko usta. Victor chwycił go otwartą dłonią za włosy i rąbnął z całej siły jego głowa o stalową ramę fotela. Rozległ się chrzęst pękającej czaszki. Gejzer krwi trysnął w twarz żołdaka leżącego między rozkraczonymi nogami dziewczyny; zaplątał się w spodnie i runął całym ciężarem na dziewczynę, wyrzucając ręce w bok, by znaleźć jakieś oparcie. Przeturlał się na plecy, miażdżąc dziewczynę w wąskim przejściu. Fontine poderwał prawe nogę i nadepnął obcasem swego twardego buciora na jego nie osłonięte niczym gardło. Cios był druzgocący; żyły na szyi Niemca zsiniały i nabrzmiały jak powrósła, rozsadzając niemal skórę. Oczy uciekły mu w tył, pod powiekami załśniła ślepa i upiorna galareta białek.

Krzyk leżącej na podłodze dziewczyny zmieszał się z potwornym rykiem trzeciego oficera, który zerwał się na równe nogi i rzucił z kabiny fokkera w kierunku tylnej grodzi. Bieliznę czerwieniła mu rosnąca szybko plama krwi.

Fontine skoczył za nim; Niemiec przetoczył się rozpaczliwie w bok. Zakrwawioną,

trzęsącą się ręką sięgnął pod kurtkę munduru; Victor wiedział po co — po czterocalowy nóż komandoski, noszony bezpośrednio na ciele pod lewą pachą. Niemiec wyszarpnął sztylet — krótki, ostry jak brzytwa — i ciął nim powietrze tuż przed nosem Victora. Fontine przeszedł z klęczek do przysiadu, gotując się do skoku.

Nagle poczuł na gardle stalowy chwyt czyjegoś ramienia. Uderzył z całych sił za siebie łokciami, ale chwyt był nie do rozerwania. Ktoś szarpnął go za szyję do tyłu i w tej samej chwili powietrze przeciął ze świstem długi nóż, zagłębiając się w piersi Niemca. Trzeci oficer skonał, zanim jego ciało zdążyło osunąć się na podłogę kabiny.

W następnej chwili szyja Victora został uwolniona z miażdżącego chwytu. Lubok wymierzył mu zamaszysty, siarczysty policzek, piekący żywym ogniem.

— Dość tego!!! Spokój! Nie mam zamiaru dać się dla pana zabić!

Victor obejrzał się, zupełnie oszołomiony. Obaj pozostali oficerowie mieli poderżnięte gardła. Dziewczyna odpełzła na czworakach jak najdalej od nich, wymiotowała i szlochała wciśnięta między dwa fotele. W przejściu leżał rozciągnięty steward — martwy czy nieprzytomny, nie sposób było powiedzieć.

A stary kapral, który jeszcze kilka minut wcześniej ze strachu nic nie widział ani niczego nie słyszał, stał przy drzwiach kabiny pilota z pistoletem w ręku.

Nagle dziewczyna zaczęła niezdarnie wstawać i zaniósła się histerycznym krzykiem: — Zabijają nas, zabijają! O Boże, dlaczego pan to zrobił? Victor zaniemówił; wpatrywał się w nią przez chwilę bez słowa, po czym powiedział cicho, resztką tchu: — Pani? Pani mnie o to pyta?

— Tak, ja! O Boże! — Otuliła się swym poplamionym płaszczem najszczelniej, jak mogła. — Zabija mnie! Zabijają! A ja nie chcę umierać!

— A żyć w taki sposób pani chce?

Nie spuściła wzroku; oczy błyszczały jej szaleństwem, głowa trzęsła się nieopanowanie.

— Zabrali mnie z obozu — szepnęła. — Domyśliłam się po co. Dawali mi narkotyki, kiedy chciałam, kiedy musiałam je brać. — Podciągnęła luźny prawy rękaw; cała ręka, od nadgarstka po ramię, usiana była śladami ukłuć. — Ale ja to rozumiałam. I żyłam!

— Basta! — ryknął Victor podchodząc do niej o krok i podnosząc rękę. — Czy pani żyje czy nie — nie ma dla mnie najmniejszego znaczenia. Nie zrobiłem tego dla pani!

— Co się stało, to się nie odstanie, kapitanie — wtrącił szybko Lubok, dotykając jego ramienia. — Ale teraz już dosyć! Już pan postawił na swoim, na dalsze awantury nie pozwolę. Jasne?

Fontine dostrzegł w spojrzeniu Luboka niezłomną stanowczość. Dysząc ciężko,

wskazał ze zdumieniem na czterdziestokilkuletniego kaprala, stojącego z bronią gotową do strzału przy drzwiach kabiny pilota.

— Czy to wasz człowiek?

— Nie — odparł Lubok. — To jest Niemiec, w którym nie zabito jeszcze sumienia. Nie wie, kim ani czym jesteśmy. W Mullheim znajdują go nieprzytomnego — przypadkowego, niewinnego widza, który może im powiedzieć, co zechce. Podejrzewam, że nie powie nic. Niech pan pilnuje dziewczyny.

Lubok wziął sprawę w swoje ręce. Wrócił do zabitych żołnierzy, zabrał im dokumenty i broń. W kieszeni jednego z mundurów znalazł zestaw do zastrzyków i sześć ampulek narkotyków. Podał je dziewczynie, która tymczasem usiadła w fotelu przy oknie obok Fontine'a. Przyjęła je z wdzięcznością i zerknąwszy z ukosa na Victora, odłamała czubek jednej, napełniła strzykawkę i wbiła sobie igłę w lewe ramię.

Starannie zapakowała zestaw i wsunęła go do kieszeni zakrwawionego płaszcza. Położyła głowę na oparciu fotela i odetchnęła głęboko.

— Czuje się pani lepiej? — spytał Fontine.

Odwróciła głowę i spojrzała na niego. Oczy miała teraz spokojniejsze, malowała się w nich jedynie pogarda.

— Widzi pan, kapitanie, ja w ogóle nic nie czuję. Nie mam żadnych uczuć. Po prostu żyję.

— Co pani teraz zrobi?

Oderwała od niego wzrok i spojrzała z powrotem przez okno. Odpowiedziała cicho, sennie, tracąc kontakt z rzeczywistością: — Będę żyła, jeśli się da. To nie zależy ode mnie. To zależy od was.

Steward poruszył się w przejściu. Potrząsnął głową i podniósł się na czworaka. Nim odzyskał zdolność widzenia, Lubok stanął przed nim i przyłożył mu pistolet do głowy.

— Jeśli chcesz żyć, masz w Mullheim robić dokładnie to, co ci każę.

W oczach stewarda malowało się pełne posłuszeństwo. Fontine wstał.

— Co z dziewczyną? — spytał szeptem.

— Jak to co?

— Chciałbym ją zabrać z nami.

Czech przeczesał palcami włosy w geście skrajnej rozpacz.

— Rany boskie! Choć prawdę mówiąc, nie mamy właściwie wyboru. Albo ją zabierzemy ze sobą, albo musimy ją zabić. Sypnęłaby mnie za jedną kroplę morfiny. — Spojrzał na dziewczynę. — Niech pan jej każe doprowadzić się do porządku. Z tyłu wisi jakiś

płaszcz przeciwdeszczowy. Może się w niego ubrać.

— Dzięki — powiedział Victor.

— Niech pan nie dziękuje — odparł Lubok. — Zabiłbym ją bez chwili namysłu, gdybym uznał to za lepsze wyjście. Ale ona może się okazać bardzo cenna; przebywała w obozie komandosów, o którego istnieniu nie mieliśmy zielonego pojęcia.

Spotkanie z partyzantami z Resistance nastąpiło na bocznej drodze z Lórrach, niedaleko granicy francusko-szwajcarskiej. W miejsce niemieckiego munduru Victor otrzymał mocno znoszone, ale czyste ubranie. Z zapadnięciem nocy przekroczyli Ren. Dziewczynę zabrano na zachód do obozu Resistance w górach; była zbyt silnie uzależniona od narkotyków, zbyt gwałtownie popadała w zmienne nastroje, żeby można było ryzykować przewiezienie jej na południe do Montbeliard.

Stewarda po prostu zabrano. Fontine nie pytał dokąd. Pamiętał dobrze pewnego innego kaprała z innej armii na nabrzeżu w Celle Ligure.

— Tu się rozstaniemy — powiedział Lubok na brzegu rzeki podchodząc do niego z wyciągniętą dłonią.

Zaskoczył tym Victora. Według planu miał mu towarzyszyć aż do Montbeliard; Londyn mógł mieć dla niego jakieś następne zlecenia.

— Jakże to tak? — zaprotestował ujmując dłoń Czecha. — Myślałem, że...

— Wiem, ale wiele się zmieniło. Mamy pewne kłopoty w Wies-baden.

Victor uściskał mocno jego rękę ujmując ją w obie dłonie.

— Nie bardzo wiem, co powiedzieć. Uratował mi pan życie.

— Cokolwiek robiłem dla pana, miałem pełną świadomość, że pan zrobiłby to samo dla mnie. Ani przez chwilę w to nie wątpiłem.

— Jest pan równie szlachetny, jak odważny.

— Ten grecki mnich nazwał mnie zbrojcem, który mógłby szantażować pół Berlina.

— A mógłby pan?

— Może — odparł szybko Lubok, oglądając się przez ramię na Francuza, który przywoływał go machaniem ręki do łodzi. Kiwnął mu w odpowiedzi głową i zwrócił się do Victora. — Niech pan posłucha — ciągnął cicho, cofając rękę. — Ten mnich powiedział panu coś jeszcze — że pracuję dla Rzymu. Mówił mi pan, że nie rozumie pan, co miał na myśli.

— Bo prawdę mówiąc, nie rozumiem. Ale nie jestem ślepy, to musi się wiązać z tamtym pociągiem z Salonik.

— Wszystko wiąże się z tym pociągiem.

— A więc jednak pracuje pan dla Rzymu? Dla Kościoła?

— Kościół nie jest pańskim wrogiem. Powinien pan w to uwierzyć.

— Kseonopici także twierdzą, że nie są moimi wrogami. A najwyraźniej jakiegoś wroga mam. Ale nie odpowiedział pan na moje pytanie. Pracuje pan dla Rzymu?

— Owszem. Ale nie tak jak pan myśli.

— Lubok! — Fontine chwycił Czecha za ramiona. — Ja nic nie myślę. Ja nic nie wiem! Nie może pan tego zrozumieć?

Lubok wpatrywał się intensywnie w Victora; w nikłym świetle nocy widać było, że próbuje przemknąć jego myśli.

— Wierzę panu — powiedział. — Stworzyłem panu kilkanaście okazji. Nie skorzystał pan z żadnej z nich.

— Okazji? Jakich znowu okazji?

Francuz znów zawołał Luboka, tym razem ze zniecierpliwieniem: — Hej ty tam, eleganciku! Spadamy stąd!

— Już idę — odparł Lubok, nie spuszczać wzroku z Fontine. — Powiem panu coś na pożegnanie. Są ludzie — po obu stronach — którzy uważają, że cała ta wojna nie ma żadnego znaczenia w porównaniu z informacjami, znajdującymi się, według nich, w pana posiadaniu. I na swój sposób mają rację. Tylko że pan nie otrzymał tych informacji i nigdy nic nie wiedział. A tę wojnę trzeba toczyć. I wygrać. Pański ojciec był mądrzejszy niż oni wszyscy razem.

— Savarone? Co pan...

— Muszę już iść. — Lubok stanowczo, lecz bez wrogości zdjął z ramion ręce Victora. — Dlatego właśnie zrobiłem to, co zrobiłem. Dowie się pan już wkrótce. Ten mnich w pałacu Kazimierzowskim miał rację — zdarzają się potwory. On był jednym z nich. Są jeszcze i inne. Ale niech pan nie obarcza za to odpowiedzialnością kościołów; one są niewinne. Dają schronienie fanatykom, ale są niewinne.

— Elegancik! Nie czekam ani chwili dłużej!

— Idę! — zawołał Lubok stłumionym głosem. — Do widzenia, Fontine. Gdyby choć przez chwilę powstała mi w głowie myśl, że nie jest tak, jak pan mówi, sam osobiście zrobiłbym z pana miazgę, żeby zdobyć tę informację. Albo bym pana zabił. Ale pan rzeczywiście nic nie wie i wciąż wisi między młotem a kowadłem. Teraz zostawią pana w spokoju. Na jakiś czas.

Musnął dłonią twarz Victora, krótko, delikatnie, i pobiegł do łodzi.

Niebieskie światła zabłyśły nad polem w Montbeliard dokładnie pięć minut po północy. Natychmiast zapalono dwa rzędy małych flar znakujących lądowisko. Samolot zatoczył koło i

zaczął podchodzić do lądowania.

Fontine rzucił się biegiem przez pole, ściskając w ręku swój neseser. Nim dopadł toczącego się samolotu, luk wjazdu został otwarty i pojawiło się w nim dwóch żołnierzy. Trzymali się jedną ręką metalowej ramy, a drugie wyciągnęli do niego. Victor wrzucił do środka neseser, sięgnął w górę i zdołał chwycić rękę z prawej.

Przyspieszył, odbił się od ziemi i został wciągnięty do wnętrza maszyny; leżał na podłodze, twarzą do pokładu. Wjazd został na powrót zatrzaśnięty, ktoś krzyknął głośno rozkaz do pilota i silniki ryknęły ze zdwojoną mocą. Samolot szarpnął do przodu, kilka sekund później ogon kadłuba oderwał się od ziemi, następne kilka sekund i byli w powietrzu.

Fontine uniósł głowę i podczołgał się do żebrowanej ściany obok luku. Przyciągnął do siebie neseser i odetchnął głęboko, odchylając głowę do tyłu i opierając ją o stal kadłuba.

— Ó Boże! — dobiegły z ciemności słowa kogoś wyraźnie zszokowanego. — To pan!

Victor odwrócił błyskawicznie głowę w lewo, w kierunku ledwie majaczącej postaci, tak wstrząśniętej jego widokiem. Z okien nie oddzielonej niczym kabiny pilota strzeliły pierwsze smugi księżycowej poświaty. Wzrok Fontine'a przykuła prawa ręka mówiącego — zamiast dłoni z rękawa wystawała gruba czarna rękawiczka.

— Stone? Co pan tu robi?

Ale Geoffrey Stone nie był w stanie wykrztusić z siebie odpowiedzi. Księżyc zalśnił jaśniej, oświetlając wydrażoną skorupę kadłuba samolotu. Stone wpatrywał się w niego wytrzeszczonymi oczami, z rozdziawionymi ustami, zastygły w bezruchu.

— Stone? To pan?

— O Boże! Wykiwali nas. Udało im się!

— O czym pan mówi?

Anglik ciągnął dalej tym samym monotonnym głosem: — Doniesiono nam, że został pan zabity. Schwytany i rozstrzelany w pałacu Kazimierzowskim. Że tylko jednemu człowiekowi udało się uciec. Z pańskimi papierami...

— Komu?

— Kurierowi. Lubokowi.

Victor wstał niepewnie, przytrzymując się metalowej klamry sterczącej ze ściany rozedrganego samolotu. Fragmenty łamigłówek zaczęły się układać w logiczną całość.

— Skąd dostaliście tę informację?

— Przekazano ją nam dziś rano.

— Kto ją wam przesłał? Kto ją odebrał? Kto przekazał?

— Ambasada Grecji — odparł Stone ledwie słyszalnym szeptem. Fontine osunął się z

powrotem na podłogę samolotu. W uszach zadźwięczały mu słowa Luboka: "Stworzyłem panu wiele okazji; nie skorzystał pan z żadnej. Są ludzie, którzy uważają, że cała ta wojna nie ma żadnego znaczenia... Dlatego też zrobiłem to, co zrobiłem. Dowie się pan już wkrótce... Teraz zostawię pana w spokoju. Na jakiś czas".

Lubok wykonał swój ruch. Osobiście sprawdził przed świtem lotnisko w Warszawie i wysłał do Londynu fałszywą wiadomość.

Nie trzeba było wielkiej wyobraźni, żeby się domyślić, jakie to niesło skutki.

Jesteśmy unieruchomieni. Ujawniliśmy się i zostaliśmy rozpoznani. Teraz patrzymy sobie wzajemnie na ręce, ale nikt nie może sobie pozwolić na ruch ani nawet przyznać się do tego, czego szuka. — Brevourt mówił to stojąc w oknie Sekcji Operacji Zagranicznych i wyglądając przez oprawną w ołów szybkę na dziedziniec. — Pat. Po drugiej stronie sali, przy długim konferencyjnym stole stał wściekły Alec Teague. Poza nimi dwoma w pokoju nie było nikogo.

— I nic mnie to nie obchodzi! Obchodzi mnie jedynie to, że w absolutnie niedopuszczalny sposób manipulował pan wywiadem wojskowym! Wystawił pan na niebezpieczeństwo całą naszą siatkę! Cała operacja "Loch Torridon" może wziąć w łeb!

— To niech pan wymyśli nowy plan działania — odparł Brevourt z roztargnieniem. — Na tym przecież polega pańska praca, nieprawdaż? , — Żeby to szlag jasny trafił!

— Na miłość boską, Teague, niechże pan przestanie! — Brevourt odwrócił się na pięcie od okna. — Czy pan choć przez chwilę myślał, że to do mnie należało ostatnie słowo w tej sprawie?

— Ja myślę, że pan skompromitował tego, do kogo ono należało. Trzeba było skonsultować się ze mną!

Brevourt otworzył usta, żeby mu odpowiedzieć, ale zawahał się i umilkł. Kiwając głową, przeszedł powoli przez pokój i stanął przy stole obok Teague'a.

— Chyba ma pan rację. Pan jest fachowcem, niech pan mi powie, na czym polegał nasz błąd?

— Na wybraniu Luboka — odparł chłodno brygadier. — Przechytrzył nas. Wziął od was pieniądze i zwrócił się do Rzymu, po czym zaczął działać na własną rękę. To był nieodpowiedni człowiek.

— Przecież wasz własny. Z waszej kartoteki.

— Ale nie do tego zadania. Namieszał pan.

— Mógł się swobodnie poruszać po całej Europie — ciągnął Brevourt, niemal tonem

skargi, zupełnie jakby Teague nic nie powiedział. — Jest nietykalny. Gdyby Fontini-Cristi próbował uciec, Lubok mógłby ruszyć za nim dosłownie wszędzie, nawet do Szwajcarii.

— Spodziewał się pan tego, prawda?

— Szczerze mówiąc, tak. Pan jest zbyt przekonującym sprzedawcą, panie brygadierze. Uwierzyłem panu. Myślałem, że operacja "Loch Torridon" naprawdę była jego dzieckiem. Jakże logiczne wydawało się to wszystko. Włoch wraca pod idealną przykrywką załatwiać swoje własne sprawy. — Brevourt usiadł ze znużeniem, splatając przed sobą ręce na stole.

— Czy nie przyszło panu do głowy, że gdyby tak było, zwróciłby się do nas? Do pana?

— Nie. My nie możemy mu zwrócić ziemi i fabryk.

— Pan go w ogóle nie zna — zawyrokował Teague z niezachwianą pewnością. — Nigdy nie zadał pan sobie trudu, żeby go poznać. To był pierwszy błąd.

— Tak, zapewne tak. Większość swego życia spędziłem wśród kłamców. W korytarzach obłudy. Zwykła prawda jest taka nieuchwytna. — Brevourt podniósł nagle wzrok na szefa wywiadu. Wyglądał żałośnie — skóra napięta na wyblakłej twarzy, zapadnięte z wyczerpania oczy. — Pan w to nie wierzył, prawda? Nie uwierzył pan, że on zginął?

— Nie wierzyłem.

— Widzi pan, nie mogłem podjąć tego ryzyka. Przyjąłem to, co pan powiedział, że Niemcy nic mu nie zrobią, że każą go śledzić, odkryją, kim jest naprawdę i wykorzystają go. Ale raport mówił co innego. Jeśli więc rzeczywiście zginął, oznaczało to, że zabili go fanatycy z Rzymu czy też z zakonu Ksenopy. Ale nie zrobiliby tego, gdyby... gdyby nie wydobyli z niego tajemnicy.

— A gdyby ją wydobyli, to urna należałaby do nich. Nie do pana. Nie do Anglii. Zacząć trzeba od tego, że ona nigdy nie była pańska.

Ambasador spuścił wzrok z Teague'a, zapadł się głębiej w fotelu i zamknął oczy.

— Ale też nie wolno było dopuścić, żeby wpadła w ręce maniaków. W każdym razie właśnie teraz. Wiemy, kto jest maniakiem w Rzymie. Watykan przypilnuje teraz Donattiego. Patriarchat zawiesi działania; otrzymaliśmy od nich takie zapewnienie.

— O co właśnie, oczywiście, chodziło Lubokowi. Brevourt otworzył oczy.

— Tak pan sądzi?

— Moim zdaniem, tak. Lubok jest Żydem. Brevourt podniósł głowę i popatrzył na Teague'a.

— Nie będzie już więcej żadnego mieszania się w wasze sprawy. Niech pan wraca prowadzić swoją wojnę. Moja utknęła w martwym punkcie.

Anton Lubok przeszedł przez plac Waclawa w Pradze i wspiął się po schodach

zbombardowanej katedry. Późnopołudniowe słońce wpadało snopami do jej wnętrza przez wielkie wyrwy w kamieniu, w miejscach gdzie eksplodowały ładunki Luftwaffe. Całe fragmenty lewej ściany leżały w gruzach; wszędzie stały prymitywne rusztowania podtrzymujące wałący się dach.

Zatrzymał się w kącie prawej bocznej nawy i spojrzał na zegarek.

Z zasłoniętej kotarą absydy wyłonił się jakiś stary ksiądz i przeszedł wzdłuż ciągu konfesjonatów. Przystanął przed czwartym z rzędu. To był sygnał, na jaki Lubok czekał.

Ruszył ostrożnie nawą, bacznie obserwując kilkunastu modlących się wiernych. Nikt nie zwracał na niego uwagi. Rozsunął kotarę i wszedł do konfesjonatu. Ukląkł przed małym krucyfiksem w migotliwym świetle modlitewnej świecy, rzucającej pełgające odbłaski na zasłony bocznych ścianek.

— Wybacz mi, ojcze, bo bardzo zgrzeszyłem — powiedział przyciszonym głosem. — Zgrzeszyłem nieumiarkowaniem. Pohańbiłem ciało i krew Chrystusową.

— Człowiek nie może pohańbić Syna Bożego — padła zza zasłony właściwa odpowiedź. — Człowiek może pohańbić tylko samego siebie.

— Ale jesteśmy stworzeni na wyobrażenie Boga. Tak jak On.

— Nędzne i niedoskonałe to wyobrażenie.

Lubok odetchnął głęboko, sprawdzian został zakończony.

— Ty jesteś Rzym?

— Jestem drogą do niego — odparł z cichą arogancją ksiądz.

— Chyba nie sądzisz, że miałem cię za miasto, ty przeklęty głupcze.

— Znajdujemy się w domu bożym. Powściągnij swój język.

— To ty ten dom kalasz — szepnął Lubok. — Kala go każdy, kto pracuje dla Donattiego.

— Milcz. Jesteśmy narzędziem w ręku Boga.

— Jesteście zwykłym plugastwem. Wasz Chrystus plunąłby wam w twarz.

Oddech za zasłoną zionął powściąganą nienawiścią.

— Będę się modlił za twą duszę — padły wymuszone słowa. — Co z Fontini-Cristim?

— Nie miał żadnego innego celu poza "Loch Torridon". Wasze podejrzenia okazały się błędne.

— To niemożliwe! — zawołał ksiądz piskliwym szeptem. — Musiał mieć inne cele! To absolutnie pewne!

— Ani na chwilę nie straciłem go z oczu od momentu wyjazdu z Montbeliard. Nie próbował nawet nawiązać żadnych dodatkowych kontaktów poza tymi, o których

wiedzieliśmy.

— Nie! Nie sądzisz chyba, że w to uwierzemy!

— Już za kilka dni nie będzie miało żadnego znaczenia to, w co wierzycie, a w co nie. Jesteście skończeni. Wszyscy. Dobrzy ludzie tego dopilnują.

— Coś ty takiego zrobił, Żydzie? — Głos za zasłoną opadł teraz do najniższych rejestrów, nie próbując nawet kontrolować bezgranicznej nienawiści.

— To co było trzeba, klecho. — Lubok podniósł się z kolan, wsuwając lewą rękę do kieszeni; i nagle jednym szarpnięciem drugiej ręki odsunął wiszącą przed nim zasłonę, dekonspirując swego rozmówcę.

Był potężnie zbudowany, czarna sutanna sprawiała, że wydawał się wręcz zwały. Jego twarz była twarzą człowieka nienawidzącego z głębi duszy; oczy były oczami groźnego drapieżcy.

Lubok wyciągnął z kieszeni kopertę i rzucił ją na klęcznik przed zaskoczonym kapłanem.

— Masz tu wasze pieniądze. Oddaj je Donattiemu. Chciałem zobaczyć, jak wyglądasz.

— To dopowiem ci także resztę — wycodził przez zęby ksiądz. — Nazywam się Gaetamo. Enrici Gaetamo. Przyda ci się.

— Wątpię.

— A nie powinienes.

Lubok stał przez chwilę bez ruchu, wpatrując się w księdza. Kiedy ich spojrzenia się spotkały, jasnowłosy Czech poślinił palce, sięgnął ręką do modlitewnej świecy i zgasił ją. Zapadła zupełna ciemność. Lubok rozsunał kotarę i wyszedł z konfesjonau.

ROZDZIAŁ 4

I

Domek znajdował się na terenie wielkiej posiadłości na zachód od Aylesbury w Oxfordshire. Otaczały ją wysokie metalowe słupy z naciągniętym między nimi drutem kolczastym, podłączonym dodatkowo do prądu, a cały teren patrolowały specjalnie tresowane psy.

Było tylko jedno wejście, brama, za którą rozpoczynała się długa prosta aleja otoczona z obu stron szerokimi trawnikami. Przed głównym budynkiem oddalonym czterysta metrów od bramy aleja rozwidlała się na prawo i lewo, by nieco dalej rozgałęzić się ponownie na wiele węższych ścieżek prowadzących do poszczególnych wolno stojących domków.

Wszystkich domków było razem czternaście, rozsianych po lesie roznącym na terenie posiadłości i po jego obrzeżach. Zamieszkiwali je mężczyźni i kobiety, którym należało zapewnić szczególne bezpieczeństwo: kilku zbiegów z rodzinami, kilku podwójnych agentów wywiadu, kilku zdekonspirowanych kurierów — ludzie stanowiący cel dla kuł nastanych morderców.

Domek Jane stał się ich wspólnym domem i Victor dziękował Bogu za jego odludne położenie. Bo co noc niebo przecinały eskadry Luftwaffe, Londyn ogarniała coraz większa fala pożarów — rozpoczęła się bitwa o Anglię.

Rozpoczęła się także operacja "Loch Torridon".

Victor na całe tygodnie wyjeżdżał z ich miniaturowego domku w Oxfordshire, zostawiając w nim Jane zupełnie spokojny o jej bezpieczeństwo. Teague przeniósł sztab operacji do podziemi MI-6. Dzień i noc nie różniły się teraz niczym. Praca wrzała dwadzieścia cztery godziny na dobę. Jedni wertowali i uzupełniali kartoteki, obsługiwali radiostacje krótkofalowe i skomplikowaną aparaturę do idealnego podrabiania dokumentów wymaganych na terytoriach okupowanych przez Niemcy: pozwoleń na pracę i podróżowanie, zaświadczeń Ministerstwa Uzbrojenia i Przemysłu Rzeszy. Inni w podziemiach otrzymywali instrukcje od kapitanów Fontine'a i Stone'a. Po czym wysyłano ich do Lakenheath i dalej.

I coraz częściej się zdarzało, że wysyłanym był sam Victor. W takich wypadkach za każdym razem na nowo docierała do niego prawda słów Teague'a: "Bezpieczeństwo twojej żony ma bezpośredni wpływ na stan twojego umysłu. Ty masz zrobić swoje; ja też zrobię swoje".

Jane była poza zasięgiem maniaków z Rzymu czy zakonu Ksenopy. Tylko to miało

znaczenie. Przesyłka z Salonik stała się dziwnym, bolesnym wspomnieniem. A wojna trwała.

24 sierpnia 1940

Antwerpia, Belgia

(Przechwycony duplikat depeszy dowódcy sił okupacyjnych Antwerpii do ministra uzbrojenia Rzeszy, Speera.) *W całym węzle kolejowym Antwerpii panuje jeden wielki chaos. Na skutek niedbalstwa w wystawianiu dokumentów spedycyjnych pociągi dostawcze przejeżdżające przez Skaldę są notorycznie przetadowane, co spowodowało już kilka pęknięć konstrukcji mostu. Rozkłady jazdy i kody sygnalizacyjne zmienia się bez należytego uprzedzenia. A wszystko z winy urzędów zatrudniających wyłącznie niemiecki personel! Sugestie sabotażu są zupełnie niedorzeczne. Nie ma w tym żadnego udziału wroga. Pociągi z przeciwnych kierunków spotykają się na tym samym torze! Zestawy towarowe podstawia się do załadunku na bocznicę, gdzie nie ma żadnych ciężarówek! Żadnych ładunków! Nie można już dłużej tolerować tej sytuacji, toteż zmuszony jestem nalegać, aby Ministerstwo nieco staranniej koordynowało...*

19 września 1940

Francja

(Wyjątki z listu otrzymanego przez biuro prawne II Dowództwa *Gesetzbuch Besitzergreifung* od niejakiego pułkownika Grepschedita z Yerdun nad Mozą.) *Uzgodniono, że przygotujemy szczegółowe prawo okupacyjne do rozstrzygnięcia sporów pomiędzy nami i pokonanymi, którzy złożyli broń. Rozesłaliśmy odpowiednie zarządzenia. Tymczasem natrafiliśmy wiośnie na jakieś dodatkowe zarządzenia — wydane przez wasze biuro — sprzeczne z całymi paragrafami zarządzeń wydanych przez nas. Toczmy nieustanne spory nawet z tymi, którzy przywitani nas z otwartymi ramionami! Całe dni marnotrawimy na procesowanie się z okupowanymi. Nasi oficerowie muszą łamać głowę nad sprzecznymi rozkazami przywożonymi przez waszych kurierów, a wszystkie one noszą odpowiednie podpisy i są uprawomocnione waszymi pieczęciami. W całym biurze aż wrze z powodu tych sprzeczności. Zaczynamy odchodzić od zmysłów...*

20 marca 1940

Berlin, Niemcy

(Fragmenty stenogramu spotkania rachmistrzów bilansowych Ministerstwa Finansów z wyższymi urzędnikami *Reichsordnung*. Zapis usunięty — zastąpiony innym.) *...Przyczyn nie*

kończących się kłopotów wojsk artyleryjskich należy doszukiwać się w uporczywie błędnych alokacjach funduszy Ministerstwa. Rachunki pozostają całymi miesiącami nie uregulowane, sumy wypłat są błędnie naliczane, fundusze przekazywane do niewłaściwych składów wojskowego zaplecza — często do niewłaściwych sektorów geograficznych! Całe bataliony zalegają z wypłatą żołdu, ponieważ pieniądze na to przeznaczone wysłano do jakiegoś miasteczka w Jugosławii zamiast do Amsterdamu!...

23 czerwca 1941

Brześć Litewski, Front Rosyjski

(Depesza kurierska od generała Guderiana do jego dowódcy, generała Boćka w jego kwaterze nad rzeką Prypeć w Polsce. Depesza przejęta w Białymstoku. Nie dostarczona.) ...Po dwóch dniach ofensywy znajdujemy się w odległości czterdziestu ośmiu godzin od Mińska! Przekroczenie Dniepru jest kwestią tygodnia, Don i Moskwa leżą niewiele dalej! Tempo naszego natarcia wymaga środków błyskawicznej łączności, głównie radiowej, a tymczasem mamy coraz więcej kłopotów z naszymi radiostacjami. Zwłaszcza, jak podpowiadają mi inżynierowie, ze skalowaniem częstotliwości. Ponad połowa naszych dywizyjnych radiostacji jest nieprecyzyjnie wyskalowana. Trzeba podejmować niezwykle środki ostrożności, by nie wysyłać informacji na niezamierzonych częstotliwościach, nierzadko częstotliwościach wykorzystywanych przez wroga! Jest to wada fabryczna. Cały problem w tym, że nie sposób stwierdzić, które urządzenie zostało błędnie wyskalowane. Ja sam próbowałem nawiązać łączność z Kleistem na południowym skrzydle Rundstedta, a połączyłem się z naszymi siłami we wschodniej Litwie...

2 lutego 1942

Berlin, Niemcy

(Nota usunięta z teki korespondencyjnej Manfrida Probst, wyższego urzędnika Reichsindustrie, wysłana przez Hiru Kayanakę, attache ambasady Cesarstwa Japonii w Berlinie.) Szanowny Reichsoffizier Probst.

Skoro łączą nas teraz nie tylko wspólne przekonania, lecz także walka ze wspólnym wrogiem, powinniśmy zrobić wszystko co w naszej mocy, by osiągnąć perfekcję, jakiej oczekują od nas nasi przywódcy. Przejdę jednak do spraw konkretnych. Jak Panu wiadomo, Szanowny Panie, nasze rządy podjęły prowadzenie wspólnych doświadczeń nad udoskonaleniem techniki radarowej.

Przewieźliśmy samolotem do Berlina — podejmując ogromne ryzyko — naszych

najwybitniejszych elektroników, by umożliwić im spotkanie z waszymi fachowcami w tej dziedzinie. To było sześć tygodni temu, a do dzisiejszego dnia do żadnego spotkania w ogóle nie doszło. Poinformowano mnie właśnie, że naszych uczonych przewieziono przez pomyłkę do Greifswaldu nad Bałtykiem. Oni nie interesują się eksperymentami z napędem raketowym, tylko radarami! Niestety, żaden z nich nie mówi po niemiecku, a o tłumaczach, których im przydzieliliście, trudno byłoby powiedzieć, że władają japońskim płynnie. Przed godziną otrzymałem informację, że nasi wybitni naukowcy znajdują się w drodze do Wiirzburga, gdzie jest zlokalizowana wielka radiowa stacja nadawcza. Nikt z nas nie wie, gdzie jest ten Wurzburg! A naszych wybitnych naukowców nie interesują stacje radiowe, tylko radary!

Czy nie mógłby pan ustalić miejsca pobytu naszych naukowców? Kiedy odbędzie się konferencja na temat techniki radarowej? W jakim celu nasi naukowcy przerzucani są z jednego krańca Rzeszy w drugi?...

25 maja 1942

St. Valery-en-Caux, Francja

(Raport złożony przez kapitana Victora Fontine'a zrzuconego na obszarze dystryktu Hericourt. Powrót kutrem rybackim przez wyspę Wight.) ...Uzbrojenie dostarczane wzdłuż całej linii wybrzeża ma głównie charakter ofensywny, do uzbrojenia o charakterze obronnym nie przywiązuje się tutaj w chwili obecnej większej wagi. Szlak transportowy wiedzie z Essen przez Diüsseldorf, przez granicę do Rubaix i następnie na francuskie wybrzeże. Kluczem do wszystkiego jest paliwo. Umieściliśmy swoich ludzi w składach paliwowych. Otrzymują nieustannie "polecenia" Ministerstwa Przemysłu Rzeszy, by natychmiast kierować transporty paliwa z Brukseli do Rotterdamu, skąd składki cystern zostaną wysiane na front wschodni. Według ostatnich doniesień drogi między Brukselą a Lowain blokują na dwudziestu dwóch kilometrach standardowe pojazdy wojskowe z pustymi bakami. I oczywiście żadnych represji. Szacujemy, że operację tę da się prowadzić jeszcze cztery dni, po którym to okresie Berlin będzie zmuszony podjąć akcję, a nasi ludzie swoją zakończą. Skoordinować odpowiednio naloty bombowe, by nastąpiły w tym wiosnie terminie...

(Dopisek: Dowództwo operacji "Loch Torridon". Włączyć do akt. Wykonać zalecenia kapitana Victora Fontine'a. Po powrocie z wyspy Wight udzielam mu urlopu. Rekomendacja awansu na majora zaaprobowana.

Brygadier Teague) Fontine wypadł z Londynu drogą przez Hampstead do Oxford-shire. Już myślał, że to zdawanie relacji Teague'owi i Stone'owi nigdy się nie skończy. Wielki Boże! Ileż razy można powtarzać to samo! Współzarządzający operacją Stone był zawsze wściekły,

kiedy Victor wracał z któregoś ze swych wypadów poza linię wroga. To była robota, do której Stone został wyszkolony, a o której teraz nie miał nawet co marzyć. Zdruzgotana ręka wykluczała udział w takich akcjach i Stone całą wściekłość wyładowywał na Victorze. Poddawał go błyskawicznemu, ostremu przesłuchaniu, każąc po wielokroć powtarzać to samo, doszukując się pomyłek w każdym zdaniu na temat wypełnionej misji. Całe współczucie, jakie Fontine czuł niegdyś dla niego, z biegiem miesięcy zupełnie go opuściło. Miesiące? Matko Chrystusowa, to już prawie dwa i pół roku!

Ale dzisiaj taktyka Stone'a tak bardzo opóźniająca jego wyjazd z Londynu była absolutnie niewybaczalna. Naloty Luftwaffe zdarzały się teraz rzadziej, co nie znaczy, że zupełnie ustały. Gdyby rozległy się syreny alarmu przeciwlotniczego, wyjazd z Londynu mógłby się okazać w ogóle niemożliwy.

A Jane miała urodzić już lada chwila. Lekarze twierdzili, że jest to kwestia najbliższych dwóch tygodni. Mówili tak tydzień temu, kiedy wyleciał z Lakenheath do Francji i został zrzucony na pastwiskach Hericourt.

Dotarłszy do przedmieść Aylesbury, spojrzął na zegarek, odczytując godzinę w nikłym świetle tablicy rozdzielczej. Było dwadzieścia po drugiej w nocy. Znów będą mieli powód do śmiechu; zawsze wracał do niej o najbardziej nieprawdopodobnych godzinach.

Ale w końcu już jechał. Jeszcze dziesięć minut i znajdzie się na terenie obozu.

Daleko w tyle rozległo się zawroźnienie syren, wznosząc się i opadając płaczliwymi fugami. Ten straszny dźwięk nie budził już porażającej, zatykającej dech w piersiach paniki towarzyszącej pierwszym alarmom lotniczym. Sam w sobie zaczął pobrzmiwać nutą znużenia — nieustanne powtórki przytępiły strach.

Skreślił w prawo, w boczną drogę prowadzącą do oxfordshirskiej posiadłości. Teraz już tylko kilka kilometrów i będzie z żoną. Nacisnął mocniej pedał gazu. Na drodze nie było żadnych pojazdów; mógł się nie liczyć z ograniczeniami szybkości.

Instynktownie nastawił uszu na odległe dudnienie bombardowania. Ale z oddali nie dobiegał żaden huk, tylko nieustające wycie syren. Nagle gdzieś blisko rozległ się dźwięk, który nie powinien zakłócać tutejszej ciszy. Victor wstrzymał oddech, czując raptowny przypływ zapomnianego strachu. Przez głowę przebiegła mu myśl, że to może słuch płata mu ze zmęczenia jakieś figle.

To nie było zmęczenie. Wcale się nie przesłyszał! Dźwięk dobiegał teraz wprost z nad głowy i nie sposób było go z czymś pomylić. Zbyt często słyszał je zarówno nad Londynem, jak i po drugiej stronie kanału w wielu różnych miejscach, gdzie stacjonowały.

Heinkle. Dwumotorowe niemieckie bombowce dalekiego zasięgu. Ominęły Londyn. A

jeśli ominęły Londyn, to można było iść O zakład, że skierują się na północny zachód nad Birmingham i położone w jego okolicy fabryki zbrojeniowe.

Wielki Boże! Heinkle zniżały pułap. Zniżały pułap lotu! Schodziły w dół niemal pionowym ślizgiem.

Dokładnie nad jego głową!

O kilometr przed nim!

Nalot bombowy! Nalot bombowy na wiejskie tereny Osfordshire! Na miłość boską, co to miało znaczyć?!

O Chryste! O Chryste Panie!

Obóz!!!

To jedyne miejsce w Anglii nie mające sobie równych pod względem zabezpieczenia! Ale przed atakiem z ziemi, a nie z powietrza!

Obóz w Oxfordshire zaatakowano bombardowaniem z małej wysokości!

Fontine wcisnął gaz do deski; drżał na całym ciele, chwycił powietrze krótkimi, świszczącymi haustami, nie odrywając wytężonego do bólu wzroku od pędzącej mu z przeciwka drogi.

Niebo eksplodowało. Ryk pikujących maszyn zmieszał się z hukami gromów ciskanych ludzką ręką — kolejne wybuchy zlewały się w jeden dudniący łoskot. Potężne rozbłyski białego i żółtego światła — postrzępione, bezkształtne i upiorne — wypełniły otwartą przestrzeń ponad i pomiędzy drzewami lasów Oxfordshire. Dopadł bramy obozu, z piskiem opon wyhamowując maszynę przed rzuceniem jej w zakręt. *Żelazne* skrzydła bramy były szeroko otwarte.

Ewakuacja!

Znów docisnął pedał do deski i pomknął długą, prostą aleją dojazdową. Dalej w przodzie wszystko stało w ogniu, wszędzie padały bomby, ogarnięci paniką ludzie biegali na wszystkie strony.

Jeden z ładunków trafił bezpośrednio w budynek główny. Wybuch oderwał całą lewą część fasady; dach walił się z przedziwnie bezkształtnym dostojnością, cegły i kamienie sypały się na ziemię pylistą kaskadą. Dym wzbił się w niebo pionowymi słupami czerni i szarości na tle szalejących w tyle pożarów, strzelających w górę postrzępionym płomieniem, żółtych, strasznych.

Ogłuszający huk; ziemia zakołysała się, samochodem targnęło potężnie w bok, kawałki szkła z roztrzaskanych szyb zasypały całe wnętrze. Fontine poczuł, że po twarzy spływa mu strużka krwi, ale nadal widział na oczy i tylko to miało znaczenie.

Bomba wybuchła niecałe pięćdziesiąt metrów w prawo od niego; w łunie pożaru dostrzegł zwały wyrwanej z trawnika ziemi. Rzucił samochód w prawo, ocierając się o krawędź leja, popędził na przełaj przez to, co pozostało z trawnika, i wypadł na nie utwardzoną alejkę prowadzącą do ich domku. Pomyślał, że bomby nie trafiają dwa razy w to samo miejsce.

Droga była zablokowana; na całej długości tarasowały ją przewrócone drzewa trawione przez ogień.

Wyskoczył z samochodu i pobiegł przed siebie, lawirując między płonącymi zaporami. Zobaczył ich domek. Wielki dąb wyrwany z korzeniami z ziemi zmiażdżył potężnym pniem dach z półokrągłych dachówek.

Jane! Jane!

Boże nienawiści, nie rób mi tego! Nie rób mi tego po raz drugi!

Runął całym ciężarem ciała na drzwi, wrywając je z zawiasów. Wnętrze domku przedstawiało rozpaczliwy obraz: wszędzie wałały się stoły, lampy, krzesła, przewrócone, porzucane w nieładzie, połamane na tysiące kawałków. Płomienie ognia lizały kanapę i krawędzie wyrwy w dachu, wybitej przez padający dąb.

— Jane!

— Tutaj...

Jej głos dobiegł z kuchni. Rzucił się przez wąskie drzwi przewyciężając nagłą chęć, by paść dziękczynnie na kolana. Jane stała zwrócona do niego plecami i trzymała się kurczowo blatu szafek drżąc na całym ciele, kiwała miarowo głową w górę i w dół. Podbiegł do niej, chwycił ją w ramiona i przytulił twarz do jej policzka, ale spastyczny rytm ruchu jej ciała nie uległ zmianie.

— Moje szczęście!

— Vittorio... — Jane skuliła się od gwałtownego skurczu, chwytając rozpaczliwie powietrze. — Prześcieradła... prześcieradła i koce, kochany. Wydaje mi się... Nie jestem pewna, ale...

— Nic nie mów. — Pomógł jej się wyprostować i dostrzegł w ciemności grymas bólu wykrzywający jej twarz. — Zawiozę cię do szpitala. Przecież jest tu jakiś szpital, lekarze, pielęgniarki...

— Nie zdążymy! — zawołała z desperacją w głosie. — Rób to, co ci mówię. — Zakrztusiła się od przyływu nowej fali bólów. — Pokażę ci jak. Zanieś mnie.

W rękę trzymała nóż. Jeszcze gorący od wody, którą wyparzała jego ostrze; przygotowała się do samotnego porodu.

Przez huk nieustających eksplozji przebił się ryk samolotów wychodzących z lotu

nurkowego, wspinających się na większą wysokość. Nalot zbliżał się ku końcowi; dobiegające z oddali wściekle wycie silników spitfire'ów ściągających do tego sektora było sygnałem, którego żaden pilot Luftwaffe nie ważył się przegapić.

Zrobił tak, jak mu powiedziała, trzymając ją w ramionach, niezdarnie zabrał z kuchni wszystko, co mu kazała.

Kopnięciem utorował sobie drogę przez sterty rozbitych sprzętów i rozprzestrzeniający się pożar i wyniósł żonę na dwór. Jak zwierzę ciągnące do matecznika popędził w głąb lasu i wyszukał legowisko, do którego nikt poza nimi nie miał prawa.

Byli razem. Szalejąca kilkaset metrów od nich śmierć nie mogła powstrzymać biegu życia. Odebrał poród żony — dwa noworodki płci męskiej.

Ród Fontini-Cristi miał potomków.

Dym snuł się w górę leniwą spiralą, pionowe sploty pełnych dostojęstwa oparów śmierci stawały na drodze pierwszych promieni wschodzącego słońca. Cały teren obozu usłany był noszami. Twarze zmarłych zakryto kocami, żywi wpatrywali się w niebo szeroko otwartymi zszokowanymi oczami. Wszędzie stały karetki pogotowia, wozy strażackie i samochody policyjne.

Jane z synkami została umieszczona w jednej z karetek, w tak zwanym przenośnym oddziale medycznym.

Z brezentowego namiotu-przybudówki dziwaczного pojazdu wyłonił się lekarz i podszedł przez niewielki trawnik do Victora. Twarz miał wymizerowaną, sam uniknął śmierci, ale żył wśród umierających.

— Nie wiem, jak ona to zniosła, Fontine. Powiedziałem jej, że w normalnych okolicznościach...

— Czy wygrzebie się z tego? — przerwał mu Victor.

— Owszem, wygrzebie się. Ale będzie jej potrzebny długi, mam tu na myśli naprawdę długi, odpoczynek. Kilka miesięcy temu powiedziałem jej, że wygląda mi to na ciężę mnogą. Ona nie jest, jeśli wolno mi tak to określić, odpowiednio zbudowana do takiego porodu. Szczerze mówiąc, to zupełnie zdumiewające, że jej się udało.

Fontine spojrzał badawczo na lekarza.

— Nigdy nie powiedziała mi o tym ani słowa.

— Tak myślałem. Pan ma dość niebezpieczny zawód. Nie może pan zaprzętać sobie głowy zbyt wieloma rzeczami naraz.

— Czy mógłbym ją zobaczyć?

— Jeszcze nie teraz. Śpi jak kamień, maleństwa spokojne. Niech pan da jej odpocząć.

Doktor położył mu delikatnie dłoń na ramieniu i odprowadził w kierunku tego, co pozostało w głównego budynku. Tu podszedł do nich jakiś oficer i odciągnął Victora na bok.

— Znaleźliśmy to, czego szukaliśmy. Wiedzieliśmy, że gdzieś tutaj musi znajdować się albo to, albo coś w tym rodzaju. Nalot był o wiele za precyzyjny. Nawet niemieckie urządzenia nie podołałyby temu, a zwykłe nocne naprowadzenie nie wchodziło w rachubę — już to sprawdziliśmy. Nie było żadnego oznakowania terenu, żadnej sygnalizacji.

— Dokąd mnie pan prowadzi? O czym pan mówi? — Victor słyszał słowa wypowiedane przez oficera, ale ich treść zupełnie mu się wymykała.

— ...nadajnik wysokiej częstotliwości.

Słowa nadal do niego nie docierały.

— Przepraszam, co pan powiedział?

— Powiedziałem, że to pomieszczenie nadal stoi. Na zapleczu prawego skrzydła. Drań używał zwykłego nadajnika wysokiej częstotliwości.

— Nadajnika?

— Tak. To w ten właśnie sposób Szkopy trafiły prosto w dziesiątkę. Prowadziła ich wiązka fal radiowych. Faceci z MI-5 i MI-6 nie mają nic przeciwko temu, żebym panu to pokazał. Prawdę mówiąc, będą nawet chyba zadowoleni. Powiedzieli, że przy całym panującym tu zmieszaniu ktoś mógłby nieopatrznie pozacierać ślady. Pan będzie mógł zaświadczyć, że niczego nie ruszaliśmy.

Przecisnęli się między stertami gruzu i dymiącymi jeszcze tu i tam resztkami pogorzeliska do końca prawego skrzydła obszernego domostwa. Major otworzył jakieś drzwi i skręcili w prawo, w korytarz prowadzący do niedawno wydzielonych ściankami działowymi pomieszczeń, których przeznaczeniem miały być chyba biura.

— Wiazka radiowa mogła naprowadzić eskadrę bombowców na sektor — powiedział Fontine, idąc obok oficera. — Ale tylko na cały sektor, nie na konkretny cel. To były bombowce. Jechałem drogą, widziałem, że zeszyły do najniższego możliwego pułapu. Do tego potrzeba znacznie bardziej wymyślnej aparatury niż zwykłego nadajnika...

— Kiedy powiedziałem, że nie było żadnego oznakowania terenu, żadnej sygnalizacji — przerwał mu major — miałem na myśli rutynowe oznakowanie: od punktu A do B i C. Kiedy znaleźli się nad terenem bombardowania, drań po prostu otworzył okno i urządził pokaz ogni sztucznych. Wtedy użył flar sygnalizacyjnych; ze śladów na podłodze wynika, że zużył ich, skurwysyn, całą skrzynię.

Przy końcu korytarza znajdowały się drzwi strzeżone przez dwóch umundurowanych wartowników. Major otworzył je i wszedł do środka; Victor podążył za nim.

Pokój pozostał jakimś cudem nietknięty, uniknął szerzącego się wszędzie wokół zniszczenia. Na stoliku pod ścianą stała otwarta walizeczka, z której sterczała w górę kolista antena podłączona do znajdującej się pod nią aparatury radiowej zabezpieczonej twardym pokrowcem.

Oficer wskazał ręką w lewo, na łóżko, na pierwszy rzut oka niewidoczne od drzwi.

Fontine skamieniał, nie mogąc oderwać wzroku od widoku, który miał przed sobą.

Na łóżku leżały zwłoki mężczyzny z odstrzeloną połową głowy, z pistoletem obok prawej ręki. W lewej ręce trzymał zaciśnięty kurczowo duży krucyfiks.

Mężczyzna w czarnym habicie był mnichem.

— Piekielnie dziwna historia — powiedział major. — Z jego dokumentów wynika, że był członkiem jakiegoś greckiego bractwa monastycznego. Zakonu Ksenopy.

Poprzysiągł sobie — koniec!

Jane i oba niemowlęta zostały wywiezione po kryjomu do Szkocji, na północ od Glasgow, do odosobnionego domu w wiejskiej okolicy Dunblande. Victor nie miał zamiaru polegać już więcej na obozach "zabezpieczonych jak żadne inne w całej Anglii" ani na żadnych innych gwarancjach Oddziału Szóstego czy też całego brytyjskiego rządu. Zamiast tego uruchomił własne fundusze, zatrudnił byłych żołnierzy, z których każdego osobiście i drobiazgowo sprawdził, i zmienił dom w fortecę, niewielką, ale nie do zdobycia. Nic go nie obchodziły wszystkie sugestie, obiekcje czy też wymówki Teague'a. Prześladowały go siły, których nie rozumiał, wróg, nad którym nie sposób było zapanować, nie biorący udziału w tej wojnie, jednak stanowiący jej element.

Zastanawiał się, czy tak już będzie do końca życia. Matko Chrystusowa, dlaczego oni nie chcieli mu uwierzyć? Jakże miał dotrzeć do tych fanatyków i morderców i wykrzyzczyć im w twarz, że nic nie wie?! Nic! Nic! Kompletnie nic! Jakiś pociąg wyjechał z Salonik trzy lata temu, o świcie dziewiątego grudnia 1939 roku, ale on nic o nim nie wiedział. Jedynie to, że taki pociąg w ogóle istniał! Nic więcej!

— Masz zamiar siedzieć tutaj do końca wojny? — Teague wpadł na jeden dzień do Dunblane; przechadzali się po ogrodzie na tyłach domu. W zasięgu wzroku mieli wysoki ceglany mur i wartowników. Od ich ostatniego spotkania minęło pięć miesięcy, choć Victor pozwolił do siebie telefonować przez skomplikowaną sieć połączeń i z zastosowaniem szyfrowych sygnałów. Zbyt głęboko siedział w operacji "Loch Torridon"; jego wiedza była zbyt cenna.

— Nie masz nade mną żadnej władzy, Alec. Nie jestem Anglikiem. Nie przysięgałem ci posłuszeństwa.

— Nigdy nie wydawało mi się to potrzebne — uśmiechnął się Teague. — Niemniej jednak to ja zrobiłem cię majorem.

Victor roześmiał się.

— Nawet bez formalnego przyjęcia mnie do służby? Przynosisz hańbę tradycji wojskowej.

— Okropną. Jak się do czegoś wezmę, to załatwiam. — Brygadier przystanął, schylił się i podniósł długie źdźbło trawy. Wyprostował się i patrząc na Fontine'a powiedział: — Stone nie może tego robić sam.

— Dlaczego? Ty i ja kontaktujemy się telefonicznie ze sobą kilka razy w tygodniu. Mówię ci wszystko, co wiem. Stone podejmuje decyzje. To sensowny układ.

— To nie to samo i dobrze o tym wiesz.

— Musi ci wystarczyć. Nie mogę prowadzić dwóch wojen naraz. — Fontine urwał, cofając się myślami w przeszłość. — Savarone miał rację.

— Kto?

— Mój ojciec. Musiał wiedzieć, że to, co przewoził ten pociąg, cokolwiek to było, mogło zmienić w śmiertelnych wrogów nawet tych, którzy wspólnie walczą o przetrwanie.

Doszli do końca ścieżki. Strażnik stał trzydzieści metrów od nich, po drugiej stronie trawnika, pod wysokim murem; uśmiechnął się i pogłaskał wielkiego doga, który na widok i zapach obcego zaczął warczeć na napiętej jak struna smyczy.

— Pewnego dnia trzeba będzie jednak znaleźć rozwiązanie — powiedział Teague. — Ty, Jane i dzieci nie możecie się tak mordować do końca życia.

— Sam to sobie mówiłem częściej, niż da się policzyć. Ale wcale nie wiem, jak miałoby ono wyglądać.

— Może mógłbym ci w tym pomóc. A przynajmniej byłbym skłonny spróbować. A mam do swojej dyspozycji najlepszy wywiad wojskowy na świecie.

Victor spojrzał na niego z zainteresowaniem.

— Od czego byś zaczął?

— Rzecz nie w tym od czego, ale kiedy.

— No więc kiedy?

— Po zakończeniu wojny.

— Och, proszę cię, Alec! Mam już dość gadania, planów i wszelkiego rodzaju sztuczek.

— Żadnych sztuczek. Prosta, jasna umowa. Jesteś mi potrzebny. Wojna przybrała nowy obrót; operacja "Loch Torridon" wkracza w najważniejszą fazę. *Zamierzam* dopilnować, żeby się powiodła.

— Masz rację.

— Tak jak i ty. Zresztą zupełnie uzasadnioną. Ale nie dowiesz się niczego o przesyłce z Salonik — nawiasem mówiąc, "Saloniki" to kryptonim Brevourta — dopóki nie wygramy tej wojny. Możesz mi wierzyć na słowo. A my tę wojnę przecież w końcu wygramy.

Fontine wytrzymał spojrzenie Teague'a.

— Chcę faktów, nie retoryki.

— Proszę bardzo. Posiadam pewne dane personalne, których ty nie znasz ani których,

ze względu na twe własne bezpieczeństwo i bezpieczeństwo twojej rodziny, nie mam zamiaru ci ujawnić.

— Człowieka z samochodu? W Kensington i Campo di Fiori? Z pasmem białych włosów? Tego oprawcy?

— Tak.

Victor wstrzymał oddech, dla opanowania impulsu, by chwycić Anglika za kłapy i wymusić z niego tę informację.

— Nauczyłeś mnie zabijać; za to mógłbym cię zabić.

— I co by ci to dało? Chroniłbym cię nawet własnym życiem, i dobrze o tym wiesz. Rzecz w tym, że on nic nie może zrobić. Mamy go w garści. Jeśli rzeczywiście to był on.

Victor wypuścił powoli powietrze z płuc. Mięśnie szczęk rozboleły go od zaciskania.

— Czyje jeszcze?

— Dwóch starszych Patriarchatu. Poprzez Brevourta. Oni *rządzą* zakonem Ksenopy.

— W takim razie to właśnie oni ponoszą odpowiedzialność za Oxfordshire! Na miły Bóg, jak możesz...

— To nie oni — przerwał mu spieszenie Teague. — Jeśli to w ogóle możliwe, byli tym bardziej wstrząśnięci niż my. Jak wyraźnie podkreślano, twoja śmierć była ostatnią rzeczą, jakiej by sobie życzyli.

— Facet, który naprowadził ten nalot, był mnichem! Ksenopita!

— Albo komuś zależało na tym, żeby tak to wyglądało.

— On popełnił samobójstwo — powiedział cicho Fontine. — Dokładnie w przepisany sposób.

— Nikt nie ma wyłączności na fanatyków.

— Mów dalej. — Victor ruszył z powrotem ścieżką, oddalając się od strażnika i psa.

— Ci ludzie to fanatycy najgorszego rodzaju. To mistycy; wierzą, że biorą udział w świętej wojnie. Ich wojna uznaje tylko przemoc — żadnych negocjacji. Ale teraz znamy już punkty nacisku, czyli tych, wobec których muszą być bezwzględnie posłuszni. Jeśli będzie trzeba, możemy użyć wpływów rządowych, by doprowadzić do spotkania z nimi i *zaządać* rozwiązania sprawy. Przynajmniej takiego, które usunęłoby ciebie z kręgu ich zainteresowania — raz i na zawsze. Ty nie zdołasz tego osiągnąć. My tak. No więc jak, wracasz?

— Czy jeśli wrócę, wprawisz to wszystko w ruch? I włączysz mnie osobiście do konstruowania planu tej akcji?

— Zabierzemy się do tego z precyzją, z jaką przygotowaliśmy "Loch Torridon".

— Czy absolutnie nikt w Londynie nie wie, gdzie jestem?

— Absolutnie. Przebywasz gdzieś w Walii. Wszystkie nasze rozmowy kierowane są do Swansea i stamtąd przełączane na północ. Korespondencja adresowana jest regularnie na skrytkę pocztową we wsi Gwynliffen, gdzie po cichu przekłada ją się do innych kopert i wysyła tylko mnie, do rąk własnych. W tej chwili, gdyby zaszła taka potrzeba, Stone będzie mnie szukał pod pewnym numerem telefonu w Swansea.

— Nikt nie wie, gdzie jesteśmy? Naprawdę nikt?

— Nawet Churchill.

— Porozmawiam z Jane.

— Jeszcze jedno — powiedział Teague, kładąc rękę na ramieniu Fontine'a. — Dałem słowo Brevourtowi. Koniec z twoimi wycieczkami na drugą stronę kanału La Manche.

— To jej się spodoba.

Operacja "Loch Torridon" osiągnęła pełne obroty. Zasada "anty-zarządzania za wszelką cenę" stała się wrzodem na ciele niemieckiej maszyny wojennej.

Zakłady graficzne w Mannheim wypuściły sto trzydzieści tysięcy egzemplarzy "Podręcznika dla dowódców stref okupacyjnych", w których we wszystkich ustępach dotyczących ważniejszych zakazów brakowało słówka "nie". Dostawy dla fabryk Messerschmitta we Frankfurcie kierowano do hal montażowych sztukasów w Lipsku. W Kałaczu na froncie rosyjskim odkryto, że już trzy czwarte aparaty radiowej pracuje na błędnych częstotliwościach. W zakładach Kruppa w Essen błąd w obliczeniach konstruktorów spowodował, że wszystkie działa kalibru 712 milimetrów miały niesprawny mechanizm odpalający. W Krakowie, w Polsce, w fabryce umundurowania, tkanina wyjściowa nie została poddana procesowi chemicznej impregnacji i dwieście tysięcy mundurów chwyciło ogień i płonęło jak pochodnie. W Turynie, we Włoszech, gdzie Niemcy zarządzali fabryką samolotów, wprowadzono konstrukcję, która wywoływała zmęczenie metalu już po dwudziestu godzinach lotu; całe eksadry samolotów dosłownie rozpadały się w powietrzu.

W końcu kwietnia 1944 operacja "Loch Torridon" skoncentrowała się na przybrzeżnych łodziach patrolowych w nadmorskich strefach Normandii. Opracowano plan podmiiany harmonogramu patroli przekazywanego niemieckiemu personelowi morskemu z bazy w Pointę de Barfleur. Brygadier Teague zaniósł wybuchowy raport do Najwyższego Dowództwa Sił Alianckich i wręczył go osobiście Dwightowi Eisenhowerowi.

Na okres pierwszych jedenastu dni czerwca zostanie zawieszona patrolowanie wód przybrzeżnych Normandii w godzinach poprzedzających świt. Taki jest zamiar czasowy. Powtarzam: od 1 do 11 czerwca.

Najwyższy dowódca zareagował stosownie do otrzymanej informacji: — A niech mnie diabli...!

Uruchomiono operację "Overlord" i armie sprzymierzonych dokonały inwazji. Jednocześnie w Lizbonie negocjowano z Badoglio i Grandim główne punkty współdziałania Włochów.

Na ten jeden wyjazd Victora Teague się zgodził. Major zasłużył sobie na to.

W małym pokoju w Lizbonie znużony Badoglio stanął twarzą w twarz z Victorem.

— A więc ultimatum przynosi nam syn Fontini-Cristiego. Musi pan czuć z tego powodu pewną satysfakcję.

— Nie — odparł Victor z prostotą. — Tylko pogardę.

26 lipca 1944

Wilczy Szaniec, Prusy Wschodnie (Wyjątki z zapisu przesłuchań prowadzonych przez gestapo w związku z próbą zabójstwa Adolfa Hitlera w Kwaterze Naczelnego Dowództwa w Wilczym Szańcu. Dokument usunięto i zniszczono.) *...Pomocnicy zdrajcy, generała Clausa von Stauffenberga, załamali się. Opisali rozgałęziony spisek, obejmujący takich generałów jak Olbricht, von Falkenhausen, Hopner, a także prawdopodobnie Kluge i Rommel. Tak szeroko zakrojonego spisku nie dałoby się zorganizować bez pomocy wroga. Nie korzystano jednak z żadnego z normalnych kanałów łączności. Użyto sieci nieznanых kurierów, a w toku przesłuchań wyłynął kryptonim, o którym nikt nigdy do tej pory nie słyszał. Jest to słowo szkockiego pochodzenia, nazwa okręgu lub wioski: Loch Torridon... Schwytaliśmy...*

Alec Teague stał w swym gabinecie przed mapą ścienną. Fontine siedział przygnębiony na krześle przy biurku Teague'a po drugiej stronie pokoju i nie spuszczał wzroku z brygadiera.

— Zagraliśmy *va banque* — powiedział Teague — i przegraliśmy. Nie da się bez końca wygrywać. Twój problem polega na tym, że los ci za bardzo sprzyjał, nie nauczyłeś się przegrywać. — Usunął z mapy trzy szpilki i wrócił za biurko. Usiadł powoli i przetarł oczy. — "Loch Torridon" była niezwykle skuteczną operacją. Mamy wszelkie powody do dumy.

Fontine drgnął.

— Była? Czas przeszedł?

— Tak. Ofensywa alianckich wojsk lądowych w kierunku Renu nabierze ostatecznego impetu około pierwszego października. Naczelne Dowództwo nie życzy sobie żadnych komplikacji; spodziewają się masowych dezercji ze strony wroga. My jesteśmy taką komplikacją, może nawet szkodliwą. Najbliższe dwa miesiące będą ostatnim stadium operacji

“Loch Torridon”. Z końcem września zostanie definitywnie zakończona.

Kiedy Teague składał to oświadczenie, Victor nie spuszczał z niego wzroku. Jakaś cząstka starego żołnierza umarła wraz z wypowiedzeniem ostatnich słów. Przykro było na niego patrzeć. Operacja “Loch Torridon” była szczytowym punktem jego wojskowej kariery; wyżej już nie zajdzie, a nie można też wykluczyć, że przy podjęciu decyzji o zakończeniu sporą rolę odegrały zawiści. Niemniej jednak decyzje takie zapadły i były nieodwołalne. Teague nie miał zamiaru z nimi walczyć — to akurat było pewne. Teague był żołnierzem.

Fontine analizował własne myśli. W pierwszej chwili nie poczuł ani ulgi, ani przygnębienia; raczej rodzaj zawieszenia, jakby nagle wstrzymano bieg czasu. Potem powoli nasunęła mu się przykra refleksja: co teraz? Jaki teraz znajdę cel w życiu? Co będę robił?

Ale była to refleksja chwilowa, ba nagle te mgliste niepokoje zastąpił inny strach. Obsesja, która nigdy nie zostawiła go na długo w spokoju, wróciła z całą ostrością. Podniósł się z krzesła i stanął przed biurkiem Aleca.

— W takim razie nadeszła jeszcze jedna operacja, którą mamy zmontować “z precyzją «Loch Torridon»”. Jak sam to ująłeś.

— I zostanie zmontowana. Dałem na to słowo. Teraz Niemcy nie wytrzymają nawet rok. Ich generałowie przysłali już do nas pierwszych emisariuszy, by wybadać warunki ewentualnego poddania się. Jeszcze sześć, osiem miesięcy i wojna się skończy. Wtedy przystąpimy do operacji “Saloniki”. Z całą precyzją “Loch Torridon”.

Minęło dwanaście tygodni, nim sporządzono bilans i ściągnięto ludzi z powrotem do Anglii. Operacja "Loch Torridon" została zakończona; pozostały po niej tylko dwadzieścia dwie szafki dokumentów. Zamknięto je na klucz, zaplombowano i złożono w podziemiach Wywiadu Wojskowego.

Fontine wrócił do odludnej posiadłości w Szkocji. Do Jane i bliźniaków, Andrew i Adriana, nazwanych tak na cześć angielskiego świętego i jednego z kilku możliwych do przyjęcia rzymskich cesarzy. Póki co nie mieli w sobie ani krzty świętości czy dostojności majestatu; skończyli właśnie dwa i pół roku i rozpierała ich energia stosowna do tego wieku.

Victor przez całe swoje dorosłe życie był otoczony dziećmi swych braci, ale to były jego własne dzieci. Już to wystarczyło. Ci dwaj chłopcy sami musieli kontynuować ród Fontini-Cristich. Jane nie mogła mieć więcej dzieci — co do tego wszyscy lekarze byli - zgodni. Obrażenia, jakich doznała podczas porodu w Oxfordshire, były zbyt rozległe.

To dziwne. Po czterech latach szalonej aktywności i napięcia, nagle, z dnia na dzień, popadł w zupełną bierność. Tamtych pięciu miesięcy w czterdziestym drugim, kiedy nie ruszał się z Dunblane, nie można było uznać za okres spokoju. Proces powrotu Jane do zdrowia był powolny i nie pozbawiony ryzyka, a on z obsesją maniaka budował wymyślny system zabezpieczeń posiadłości. W tamtym okresie napięcie, w jakim żył, nie zelżało ani na moment. Teraz zupełnie zniknęło. Gwałtowny przeskok z jednej skrajności w drugą był nie do zniesienia. Równie nie do zniesienia jak oczekiwanie początku operacji "Saloniki". Bezczynność dręczyła go w najwyższym stopniu; nie potrafił siedzieć z założonymi rękami. Pomimo obecności Jane i dzieci Dunblane stało mu się więzieniem. Po drugiej stronie kanału La Manche, w głębi Europy, nad Morzem Śródziemnym byli ludzie, których ciągnęło do niego równie mocno, jak jego ciągnęło do nich. Ale do momentu uruchomienia mechanizmu, który miał ich ze sobą zetknąć, nic nie można było zrobić.

Victor wiedział, że Teague nie cofnie danego mu słowa, wiedział jednak też, że go nie zmieni. Dopiero zakończenie wojny miało być sygnałem do wcielenia w życie planu, który doprowadzi do spotkania z ludźmi z Salonik. Nie wcześniej. Każde nowe zwycięstwo, każde zajęcie nowych terenów na obszarze Niemiec przyprawiało Victora o żywsze bicie serca. Wojna była wygrana; nie skończyła się jeszcze, ale była już wygrana. Należało odszukać ludzi rozrzuconych po świecie, poskładać w całość wszystkie fragmenty, podjąć decyzje, by przygotować się odpowiednio na nadchodzące lata. Dla niego, dla Jane wszystko zależało od

tych sił poszukujących urny, którą wywieziono z Grecji przed pięciu laty — o świcie dziewiątego grudnia.

Bezczynność stawała się dla niego piekłem.

W czasie oczekiwania powziął niezłomną decyzję — po wojnie nie wróci do Campo di Fiori. Kiedy myślał o swym domu i patrzył na żonę, widział inne żony masakrowane przy jaskrawej iluminacji. Kiedy patrzył na swoich synów, widział inne dzieci, bezbronne, przerażone, podziurawione jak rzeszoto seriami z pistoletów maszynowych. Te bolesne wspomnienia nadał były zbyt żywe. Nie mógł wrócić do miejsca kaźni ani do nikogo i niczego, co miało z nią jakikolwiek związek. Rozpoczną nowe życie gdzie indziej. Zakłady Fontini-Cristi zostaną mu zwrócone. Sąd Reparatywny w Rzymie powiadomił o tym Londyn.

A on przesłał kanałami szóstką odpowiedź. Fabryki, zakłady przemysłowe, cała ziemia i wszystkie nieruchomości — poza Campo di Fiori — miały zostać sprzedane temu, kto zaoferuje najwyższą cenę. Co do Campo di Fiori wyda odrębne dyspozycje.

Była noc dziesiątego marca. Dzieci spały po przeciwnej stronie hallu. Ostatnie zimowe podmuchy szarpały oknami ich sypialni. Victor i Jane leżeli pod ciepłą kołdrą, żar węgla na kominku rzucał na sufit pomarańczowe odblaski. Rozmawiali cicho, tak jak to zawsze robili pod koniec dnia.

— Barclays wszystkim się zajmie — powiedział Victor. — To będzie naprawdę bardzo prosta aukcja. Postawiłem dolną granicę tylko dla całości; jak sobie to wszystko podzielą, to już ich sprawa.

— Są jacyś chętni? — spytała Jane patrząc na niego, wsparta na łokciu.

Fontine roześmiał się cicho.

— Całe stada. Głównie w Szwajcarii i głównie Amerykanie. Na powojennej odbudowie można będzie zbić fortuny. Ci, którzy wejdą w posiadanie bazy produkcyjnej, będą górą.

— Mówisz jak ekonomista.

— Mam nadzieje. Mój ojciec byłby strasznie rozczarowany, gdyby było inaczej. — Umilkł.

Jane przesunęła ręką po jego czole, odgarniając mu na bok włosy.

— Co się stało?

— Zamyśliłem się. Wkrótce wszystko się skończy. Najpierw wojna, potem "Saloniki"; to też się skończy, ufam Alecowi. Postawi na swoim, choćby miał zaszantażować wszystkich dyplomatów z Foreign Office. Zmusimy tych fanatyków do pogodzenia się z faktem, że ja nic nie wiem o tej ich diabelskiej przesyłce.

— Zdawało mi się, że ta przesyłka dotyczyła raczej spraw boskich.

— To niepojęte. — Victor potrząsnął głową. — Jaki Bóg mógłby do tego dopuścić?

— Poddaję się, kochanie.

Fontine uniósł się na poduszce. Spojrzał w okna. Niesione wiatrem płatki marcowego śniegu wirowały bezgłośnie za ciemnymi taflami szkła. Przeniósł wzrok z powrotem na żonę.

— Nie mogę wrócić do Włoch.

— Wiem. Już mi to mówiłeś. Rozumiem cię.

— Ale nie chcę też zostać tutaj, w Anglii. Tu zawsze będę Fontini-Cristim. Potomkiem wymordowanego rodu. Pospołu kimś rzeczywistym i legendą, mitem.

— Lecz przecież jesteś Fontini-Cristim.

Victor spojrzał na Jane w nikłym odblasku żaru z kominka.

— Nie. Od pięciu lat nazywam się Fontine. Szczerze mówiąc, przyzwyczailem się do tego. Co o tym sądzisz?

— Niewiele traci w tłumaczeniu — odparła Jane, znów się uśmiechając. — Może tylko arystokratyczny splendor.

— Częściowo właśnie o to mi chodzi — wszedł jej niemal w słowo. — Andrew i Adrian nie powinni być obciążeni takimi bzdurami. Czasy się zmieniły; tamte dni już nigdy nie wrócą.

— Pewnie nie. Trochę smutno, że tak bezpowrotnie minęły, ale może to i lepiej. — Jane zamrugła nagle i spojrzała na Victora pytająco. — Jeśli nie Włochy i nie Anglia, to co?

— Ameryka. Czy zamieszkałabyś w Ameryce? Nie przestawała patrzeć na niego badawczo.

— Oczywiście. To by było wspaniale... Tak, tak będzie najlepiej. Dla nas wszystkich.

— A nazwisko? Tak naprawdę nie masz chyba nic przeciwko temu, co?

Jane roześmiała się, muskając dłonią jego policzek.

— To nie ma żadnego znaczenia. Wysłałam za mąż za człowieka, a nie za nazwisko.

— Tylko ty się liczysz — powiedział, przyciągając ją do siebie.

Harold Latham wysiadł z okratowanej mosiężnymi prętami klatki starej windy i spojrzał na strzałki i numery wymalowane na ścianie. Od trzech lat operował na terenie Birmy; dużo wody upłynęło w Tamizie od czasu, kiedy ostatni raz przemierzał korytarze londyńskiej siedziby szóstki.

Obciągnął marynarkę nowego garnituru; był teraz cywilem i musiał to sobie nieustannie przypominać. Już wkrótce pojawią się tysiące takich cywilów — nowych cywilów. Rzesza Niemiecka runęła. Postawił pięć funtów na to, że oficjalne ogłoszenie kapitulacji nastąpi przed

pierwszym maja. Do tego terminu pozostały jeszcze trzy dni, ale nie miał najmniejszego zamiaru przejmować się tymi pięcioma funtami. Nareszcie koniec i tylko to się liczyło.

Ruszył korytarzem w kierunku gabinetu Stone'a. Pocziwy stary, biedny stary, wściekły Geoff Stone. Jabłko dla swego Gruszki. Miał, kurwa, prawdziwego pecha, że rozwalili mu tę rękę przez jakiegoś upartego dęciaka. I to zaraz na samym początku.

Choć z drugiej strony mogło mu to uratować życie. Cała kupa agentów o dwóch sprawnych rękach nigdy nie wróciła. W pewnym sensie Stone miał piekielne szczęście. Tak jak i on. Nosił w brzuchu i plecach kilka kawałków metalu, ale powiedzieli, że jeśli będzie uważał, ma szansę dożyć późnej starości. Praktycznie takie same jak każdy inny. I jeszcze zwolnili go przed terminem.

Jabłko i Gruszka przeżyli. Udało im się! Pieska jego niebieska, to by trzeba uczcić co najmniej miesięcznym pijaństwem!

Próbował dodzwonić się do Stone'a, ale nigdy nie udało mu się go zastać. Telefonował bez przerwy całe dwa dni, do domu i do biura, ale numer nie odpowiadał. Zostawianie informacji nie miało najmniejszego sensu; jego własne plany były jedną wielką niewiadomą, nie miał pojęcia, jak długo pozostanie w Londynie.

Lepiej to było tak załatwić — po prostu wmaszerować i *zaządać* wyjaśnień, czemuż to Jabłuszko tak mitrężyło z wygraniam tej wojny.

Drzwi okazały się zamknięte na klucz. Zapukał, nikt nie odpowiedział. A żeby to szlag trafił! Na portierni poinformowano go, że Stone wpisał się przy wejściu, czy też raczej nie wypisał się przy wyjściu ani wczoraj, ani przedwczoraj wieczorem, co ostatnio nie było niczym niezwykłym. Kanapy biurowe spełniały rolę łóżek. Wszystkie służby wywiadowcze pracowały dwadzieścia cztery godziny na dobę, przeglądały akta, niszczyły dokumenty o kompromitującej treści, ratując pewnie przy okazji życie tysiącom ludzi. Kiedy zgiełk bitewny zamiera, ci, którzy przeżyli, przede wszystkim okazują zwykłe swą niechęć informatorom.

Zapukał mocniej. Cisza.

A jednak przez wąską poziomą szparę pod drzwiami przeświecało światło. Może Stone wyskoczył gdzieś na chwilę. Do WC albo do baru.

Nagle spojrzenie Lathama padło przypadkiem na krągły cylinder zamka. Było w nim coś nienormalnego, dziwnego. Niewielka rysa na prawo od dziurki od klucza, tuż nad nią odrobina czegoś matowo szarego, jakby przywarła do metalu. Latham przyjrzał się dokładniej: wyjął zapałkę i potarł ją, niemal bojąc się zrobić to, do czego się właśnie zabierał.

Podsunał płomień dokładnie pod okruszek szarej substancji. Stopił się natychmiast i odpadł — lut.

Był to mało znany, ale wypróbowany sposób, ulubiony sposób Stone'a. Jabłko stosował go wiele razy przy tych okazjach, kiedy pracowali razem. Po chwili namysłu Latham doszedł do wniosku, że nie przypomina sobie, żeby stosował go ktoś jeszcze.

Trzeba nadtopić koniec cienkiego drucika cyny do lutowania i wepchnąć płynny metal do zamka razem z kluczem. Blokowało to zębatki zamka, ale nie przeszkadzało w ponownym włożeniu klucza.

Tyle tylko, że żaden klucz nie mógł już tego zamka otworzyć. W normalnej sytuacji pozwalało to zamkniętemu w środku spokojnie wymknąć się z pułapki, dawało odrobinę potrzebnego czasu bez wzbudzania nagłych podejrzeń. Absolutnie normalnie wyglądający zamek po prostu się zaciął; zamki przy drzwiach są na ogół dość stare. W takiej sytuacji nie wyważa się drzwi; idzie się po ślusarza.

Więc Jabłko potrzebował czasu? Podejrzewał pułapkę?

Z całą pewnością coś tu było nie tak.

Dobry Jezu! Niczego nie dotykać! Wezwać lekarza! — zawołał Teague wpadając do pokoju przez wyjęte z zawiasów drzwi. — I nikomu ani słowa!

— On nie żyje — powiedział cicho Latham zza pleców brygadiera.

— Przecież widzę — odparł sucho Teague. — Chcę wiedzieć od jak dawna.

— Kto to jest? — spytał Latham spoglądając na leżącego na podłodze mężczyznę. Ciało było bez ubrania; pozostawiono tylko bielizniane kalesonki i buty. W górnej części nagiej klatki piersiowej, dokładnie pośrodku, widniała pojedyncza, gładka rana postrzałowa; strużki krwi całkowicie zakrzepły.

— Pułkownik Aubrey Birch. Oficer z tajnego archiwum. — Teague odwrócił się do dwóch żołnierzy trzymających straż przed drzwiami. Trzeci pobiegł na pierwsze piętro po dyżurnego lekarza MI-6. — Wstawcie te drzwi z powrotem — polecił. — Nie wpuszczać nikogo. Nikomu ani słowa. Proszę za mną, Latham.

Wsiadli do windy zjeżdżającej do podziemi. Latham zorientował się, że Teague jest nie tylko wstrząśnięty, ale także wystraszony.

— Co tu się według pana stało, sir?

— Dwa dni temu wręczyłem mu pozew rozwodowy. Mógłby mnie za to zabić.

Latham zamilkł na chwilę. Potem ze wzrokiem wbitym wprost przed siebie, nie patrząc na Teague'a rzekł: — Przeszedłem już do cywila, więc to panu powiem. To było świństwo, cholerne świństwo. Stone był jednym z najlepszych pańskich ludzi.

— Pański zarzut został przyjęty do wiadomości — odparł chłodno brygadier. — Pan był tym, którego nazywali Gruszka, prawda?

— Tak.

Teague spojrział spod oka na zwolnionego agenta wywiadu; światełko na tablicy wskazywało, że znajdują się już na poziomie podziemi.

— Widzi pan, panie Gruszka, jabłuszko skwaśniało. Zaczęło się psuć. Teraz muszę się dowiedzieć, jak głęboko postąpiła ta zgnilizna.

Drzwi windy rozsunęły się. Wysiedli i skręcili w prawo ku stalowej ścianie zamykającej korytarz. Pośrodku ściany znajdowały się grube stalowe drzwi tak szczelnie wpasowane, że zlewały się z nią niemal w jedno. W górnej części miały szybkę z kuloodpornego szkła, po lewej czarny przycisk z wąską, uszczelnioną gumą szpara pod spodem. Umieszczona nad przyciskiem metalowa plakietka głosiła:

OBSZAR ŚCISŁEJ KONTROLI

Wszystkim nieupoważnionym wstęp wzbroniony.

Proszę nacisnąć dzwonek i wsunąć upoważnienie
w otwór hermetycznego podajnika.

Teague stanął przed szybą, nacisnął dzwonek i powiedział stanowczym tonem: — Hasło Hiacynt. Ani chwili zwłoki; proszę dokonać wzrokowego potwierdzenia. Tu brygadier Teague. Towarzyszy mi niejaki Harold Latham, wprowadzany osobiście przeze mnie.

Coś zawarczało, stalowe drzwi cofnęły się w głąb, po czym zostały już ręcznie odsunięte na bok. Oficer po ich drugiej stronie zaszalutował.

— Dzień dobry, panie brygadierze. Nikt nie ogłosił nam tu na dole "Hiacynta".

Teague odpowiedział mu skinieniem głowy.

— Ogłaszam go osobiście, majorze. Do otrzymania przez nas dalszych rozkazów nie wolno niczego nikomu wydać. Co księga dyżurów powiada na temat pułkownika Bircha?

Oficer odwrócił się do metalowego biurka, przytwierdzonego do metalowej ściany.

— Proszę bardzo, sir. Pułkownik Birch podpisał wyjście przedwczoraj o dziewiętnastej. Ma dyżur jutro od siódmej rano, sir.

— Rozumiem. Czy wychodził sam, czy z kimś? Major spojrział ponownie do księgi dyżurów.

— Chyba z kimś, sir. Z kapitanem Stone'em, sir. Kapitan Stone podał dokładnie taką samą godzinę wyjścia.

— Dziękuję. Będę z panem Lathamem w bunkrze numer siedem. Czy może mi pan dać klucze oraz kombinację?

— Oczywiście.

Wnętrze stalowego bunkra zajmowały dwadzieścia dwie pancerne szafy dokumentów. Teague zatrzymał się przy czwartej szafie, stojącej pod przeciwległą ścianą, dokładnie na wprost drzwi. Spojrzał na kartkę z numerami, którą trzymał w ręku, i zaczął nastawiać szyfrowy zamek umieszczony w górnym prawym rogu szafy. Kiedy skończył, podał kartkę Lathamowi.

— To nam zaoszczędzi czasu — powiedział szorstko. — Niech pan znajdzie szafę z aktami Brevourta. B-r-e-v-o-u-r-t. Niech pan je wyjmie.

Latham wziął kartkę, wrócił do ściany po lewej stronie drzwi i znalazł odpowiednią szafę.

Zamek odskoczył. Teague sięgnął do środka i wyciągnął drugą szufladę. Zaczął szybko wertować teczkę z aktami.

Nagle przerwał, wrócił do początku i zaczął je przekładać jeszcze raz, bardzo powoli, chcąc się upewnić, że niczego nie przeoczył.

Nie przeoczył. Teczka z aktami Victora Fontine'a zniknęła.

Zasunął z powrotem szufladę i wyprostował się. Spojrzał przez ramię na Lathama, który klęczał na podłodze obok najniższej szuflady swojej szafy z otwartą teczką w ręku. Wpatrywał się w nią z wyrazem osłupienia na twarzy.

— Prosiłem, żeby pan ją znalazł, a nie czytał — powiedział brygadier lodowatym głosem.

— Tu nie ma nic do czytania — odparł Latham cicho, wyjmując z teczki jedną jedyną kartkę papieru. — Tylko to... Co wyście, dranie, najlepszego zrobili?

Kartka papieru była fotostatem. Miała szeroką czarną obwódkę z miejscem na dole na dwie potwierdzające pieczęcie. Obaj doskonale wiedzieli, co to jest.

Nakaz egzekucji. Oficjalne zezwolenie na dokonanie morderstwa.

— Kto jest obiektem? — spytał Teague monotonnym głosem, nie ruszając się od swej szafy.

— Vittorio Fontini-Cristi.

— Kto aprobował?

— Pieczęć Foreign Office, podpis Brevourta.

— Kto jeszcze?! Do tego potrzeba dwóch podpisów!

— Premier.

— A wykonawcą jest kapitan Stone...

Latham skinął głową, choć to, co powiedział Teague, nie było pytaniem.

— Tak.

Teague zaczerpnął głęboko powietrza, zamykając oczy. Po chwili otworzył je i rzekł:

— Jak dobrze znał pan Stone'a? Metody jego działania?

— Pracowaliśmy razem przez osiemnaście miesięcy. Byliśmy dla siebie jak bracia.

— Bracia? W takim razie przypomnę panu, panie Latham, że pomimo pańskiego wystąpienia ze służby przysięga o zachowaniu tajemnicy państwowej nadal pana obowiązuje.

Teague mówił do słuchawki, precyzyjnie dobierając słowa; jego głos ciął powietrze niczym świst bicia.

— Od samego początku był pana człowiekiem. Od dnia, w którym umieściliśmy go w Loch Torridon. Te jego nie kończące się przesłuchania, ten bezlik pytań, nazwisko Luboka w naszych aktach, pułapki. Donoszono panu o każdym najmniejszym ruchu Fontine'a.

— Nie będę się tłumaczył — odparł Anthony Brevourt na drugim końcu linii. — Z powodów, które doskonale pan zna. "Saloniki" miały i nadal mają najwyższy priorytet Foreign Office.

— Ja żądam wyjaśnienia tego nakazu egzekucji! Nigdy nie przeszedł przez nas, nigdy nie został nam zgłoszony...

— I nie miał nigdy zostać — przerwał mu Brevourt. — Ten nakaz był tylko naszym zabezpieczeniem. Pan może sobie wierzyć we własną nieśmiertelność, ale my nie musimy. Nie chodzi nawet o śmierć podczas bombardowania, jest pan głównym strategiem tajnych operacji, potencjalnym celem dla niejednego zabójcy. Gdyby pan zginął, ten nakaz dawał Stone'owi natychmiastowy dostęp do informacji o miejscu pobytu Fontini-Cristiego.

— To Stone pana do tego namówił?

W słuchawce zapadła krótk cisza, po czym ambasador odparł: — Tak, kilka lat temu.

— Czy Stone powiedział panu także, że nienawidzi Fontiniego?

— Nie przepadał za nim; nie on jeden.

— Powiadam "nienawidził"! Niemal patologicznie.

— Skoro pan o tym wiedział, to dlaczego nie zastąpił go pan kimś innym?

— Bo skurwysyn panował nad sobą! Dopóki miał do tego powody. Teraz już nie musi tego robić.

— Nie rozumiem...

— Jest pan skończonym głupcem, Brevourt! Stone zostawił nam fotostat, oryginał zatrzymał sobie. Jesteście zupełnie bezradni i on chce, żebyście o tym wiedzieli.

— O czym pan mówi?!

— O tym, że Stone zniknął bez wieści z oficjalnym dokumentem, który nakazuje mu zabić Fontine'a. Unieważnienie go teraz nie ma najmniejszego sensu. Nie miałyby sensu już dwa lata temu! On ma ten dokument i jest zawodowcem. Wykona to zlecenie i umieści nakaz w takim miejscu, skąd nikt nie będzie w stanie go wydostać. Czy rząd brytyjski — czy pan albo

mnister spraw zagranicznych, czy sam Churchill będzie w stanie usprawiedliwić tę egzekucję? Czy którykolwiek z was odważy się wspomnieć o niej choćby słowem?

— To było zabezpieczenie na wszelki wypadek — odparł szybko z naciskiem Brevourt. — Tylko i wyłącznie.

— Najlepsze z możliwych — przyznał szorstko Teague. — Uzasadnione dość wstrząsająco, żeby ominąć całą biurokrację. Wystarczająco dramatyczne, by zburzyć biurokratyczne mury. Jakbym słyszał Stone'a przeprowadzającego swą argumentację.

— Stone'a trzeba odnaleźć. Trzeba go powstrzymać. — W słuchawce słychać było ciężki oddech Brevourta.

— A więc na tej płaszczyźnie doszliśmy do porozumienia — odparł ze znużeniem brygadier.

— Co ma pan zamiar zrobić?

— Na początek powiadomić o wszystkim Fontine'a.

— Czy to rozsądne?

— Przede wszystkim uczciwe.

— Oczekujemy informowania nas o wszystkim na bieżąco. Jeśli zajdzie potrzeba, co godzinę.

Teague spojrział mimowolnie na zegar na przeciwległej ścianie gabinetu. Była dziewiąta czterdzieści pięć; przez okna, z których usunięto zaciemniające story, wpadało światło księżyca.

— Obawiam się, że to niemożliwe.

— Co?!

— Panu chodzi wyłącznie o urnę wywiezioną z Grecji pięć lat temu. Mnie o życie Victora Fontine'a i jego rodziny.

— Czy nie przyszło panu do głowy — powiedział Brevourt, przeciągając poszczególne słowa — że jedno nierozzerwalnie łączy się z drugim?

— Pańskie domniemanie zostało przyjęte do wiadomości — odparł Teague i odłożył słuchawkę. Odchylił się na oparcie fotela. Teraz czekał go telefon do Fontine'a z ostrzeżeniem.

Rozległo się pukanie do drzwi.

— Wejść.

W progu stanął Harold Latham, a z nim jeden z najlepszych oficerów śledczych MI-6, były ekspert dochodzeniowy Scotland Yardu. Mężczyzna był w średnim wieku i trzymał w ręku szarą kopertę.

Kilka tygodni temu Gruszka nie wszedłby do gabinetu Teague'a z papierosem w

zębach. Teraz to zrobił i znaczyło to dla niego wiele. "A jednak — pomyślał Teague — wrogość Lathama jakby osłabła". Gruszka był przede wszystkim zawodowcem. Przejście do cywila nie mogło tego zmienić.

— Znaleźliście coś? — spytał Teague.

— Bazgroły — odparł Latham. — Mogą coś znaczyć, mogą nie mieć najmniejszego sensu. Ten pana człowiek to niezwykle bystrzak, potrafi wytrzasnąć coś z niczego.

— Wiedział, gdzie mnie skierować — powiedział ekspert. — Znał dobrze nawyki interesującej na osoby.

— Co znaleźliśmy?

— Tu na miejscu nic — jego gabinet jest czysty. Nic poza aktami spraw, teczkami przeznaczonymi do pieca, wszystko zgodnie z przepisami. A jego mieszkanie to coś wręcz niesamowitego. Facet nie pominął najdrobniejszego szczegółu. Ale ułożenie wieszaków w szafie, ubrań w komodzie, przyborów toaletowych — wszystko wskazywało na to, że przygotowywał się do wyjazdu już od jakiegoś czasu.

— Rozumiem. A te bazgroły?

— Stone miał pewien nieprzyjemny nawyk — odezwał się Gruszka. Tkwiący w nim profesjonalista domagał się uznania. — Kiedy kładł się do łóżka i przed zaśnięciem jeszcze o czymś rozmyślał, zawsze coś bazgrolił, tak zupełnie machinalnie — słowa, nawiasy, figury geometryczne, strzałki, nazwiska. Ale przed zaśnięciem wyrывał kartki i je palił. Na półeczce pod nocnym stolikiem znaleźliśmy notatnik. Oczywiście nie było w nim ani słowa, ale ten wasz człowiek wiedział, jak się do tego zabrać.

— Na kartce były odciski, sir. To nic trudnego, wyciągnęliśmy je pod spektrografem. — Oficer wręczył Teague'owi ponad biurkiem tekturową teczkę. — Oto rezultat.

Teague rozłożył teczkę i przesunął spojrzeniem po spektogramie. Tak jak opisał to Gruszka, widniały na nim cyfry, nawiasy, strzałki, słowa. Rozsypana łamigłówka, zagmatwany diagram splątanych esów-floresów.

I nagle z tego chaotycznego gąszczy wyłoniło się nazwisko.

Donatti.

Człowiek z pasmem białych włosów. Oprawca z Campo di Fiori. Jeden z najpotężniejszych kardynałów Kurii.

Operacja "Saloniki" rozpoczęła się.

(juilammo Donatti.

Na dźwięk tego nazwiska jakaś klapka w umyśle Fontine'a odskoczyła usuwając blokadę. Kluczem było nazwisko, teraz zamek został otwarty, wspomnienie uwolnione.

Był jeszcze dzieckiem, miał nie więcej niż dziewięć, dziesięć lat. Zapadł wieczór, bracia szykowali się do łóżek. Zszedł na dół już w piżamie po jakąś książkę, kiedy nagle usłyszał krzyki dobiegające z gabinetu ojca.

Drzwi były lekko uchylone, zaciekawione dziecko podeszło do nich. To, co ujrzało, było takim szokiem dla jego wrażliwości, że zamarło w bezruchu jak zahipnotyzowane. Przed ojcowskim biurkiem stał jakiś ksiądz i waląc pięścią w masywny blat ryczał na Savarone'a, z twarzą ściągniętą grymasem wściekłości, z oczami ciskającymi błyskawice gniewu.

To, że ktoś mógł zachować się tak w stosunku do jego ojca, nawet — a może zwłaszcza — ksiądz, tak wystraszyło dziecko, że mimowolnie głośno zachłysnęło się powietrzem.

Na ten odgłos ksiądz odwrócił się na pięcie, piorunując dziecko spojrzeniem. Wtedy właśnie Victor zobaczył biały kosmyk w kruczoczarnych włosach. Oskoczył od drzwi i uciekł pędem na górę.

Następnego ranka Savarone wziął syna na bok i wyjaśnił mu zajście; ojciec nigdy nie pozostawiał spraw bez wytłumaczenia. Czas zatarł powód tamtej burzliwej kłótni, ale Fontine przypomniał sobie, że ojciec nazwał księdza Guillamo Donattim, człowiekiem przynoszącym hańbę Watykanowi. Kimś, kto rządził dzięki trzymaniu innych w niewiedzy i wymuszaniu posłuchu strachem. Te słowa dziecko zapamiętało.

Guillamo Donatti, podżegacz Kurii.

— Stone działa teraz na własną rękę — powiedział Teague do słuchawki w Londynie, żeby skierować uwagę Fontine'a z powrotem na wydarzenia rozgrywające się obecnie. — Chce dostać ciebie i taką cenę, jaką zdoła za ciebie wytargować. Szukaliśmy go nie tam, gdzie trzeba; teraz już wpadliśmy na jego trop. Użył dokumentów Bircha i odleciał wojskowym samolotem z Lakenheath. Do Rzymu.

— Do kardynała — sprostował Fontine. — Nie ma zamiaru ryzykować negocjacji na odległość.

— Właśnie. Potem wróci po ciebie. Będziemy na niego czekać.

— Nie — odparł przez telefon Victor. — Trzeba to rozegrać inaczej. Nie będziemy czekać — sami ruszymy za nimi.

— Czy ja wiem... — W głosie Teague'a słyszał było wyraźnie powątpiewanie.

— Mamy pewność, że Stone jest w Rzymie. Będzie się starał nie pokazywać; prawdopodobnie zatrzyma się u jakiegoś informatora. Oni przywykli do ukrywania ludzi.

— Albo u Donattiego.

— Wątpię. Będzie się upierał przy spotkaniu na neutralnym gruncie. Donatti jest niebezpieczny, nieobliczalny. Stone doskonale zdaje sobie z tego sprawę.

— Słuchaj, nic mnie nie obchodzi, co ty sądzisz na ten temat. Ja nie mogę...

— A czy możesz rozpuścić plotkę z wiarygodnego źródła? — przerwał mu Fontine.

— Jaką plotkę?

— Że mam zamiar zrobić to, czego wszyscy się po mnie spodziewają — powrócić do Campo di Fiori. Z własnych, nie znanych nikomu powodów.

— Odmawiam kategorycznie! Mowy nie ma!

— Na miłość boską! — krzyknął Victor. — Nie mogę się ukrywać przez resztę życia. Nie mogę żyć w ciągłym strachu, że za każdym razem, kiedy moja żona albo dzieci opuszczają dom, czeka na nich jakiś Stone albo Donatti z plutonem egzekucyjnym. Obiecałeś mi, że doprowadzisz do spotkania. Chcę tego teraz!

Na linii z Londynu zapadła cisza.

— Nadal jeszcze pozostaje zakon Ksenopy — przerwał ją w końcu Teague.

— Jedno prowadzi do drugiego. Czy to nie ty kierowałeś się zawsze tą przesłanką? Zakon zostanie zmuszony, by uznać to, co jest, a nie to, co według nich być powinno. Donatti i Stone będą tego dowodem. Nie da się wyciągnąć innych wniosków.

— Mamy swoich ludzi w Rzymie, niewielu...

— Wcale nie potrzeba nam wielu. Właśnie bardzo niewielu. Mój pobyt we Włoszech nie może być łączony z Oddziałem Szóstym. Parawanem będzie Sąd Reparatywny. Rząd włoski chce zachować kontrolę nad naszymi fabrykami i majątkami. Sąd co tydzień podbija stawkę; nie chcą Amerykanów.

— Sąd Reparatywny — powtórzył Teague, wyraźnie zapisując to sobie.

— Jest taki jeden stary człowiek — ciągnął Fontine — nazywa się Barzini. Guido Barzini. Mieszkał kiedyś w Campo di Fiori, zajmował się stajniami. Mógłby nas wprowadzić w sytuację. Spróbuj go odszukać w okręgu mediolańskim. Jeśli jeszcze żyje, na pewno znajdziecie go przez *partigiani*.

— Barzini, Guido — powtórzył Teague. — Będę chciał mieć odpowiedni współczynnik bezpieczeństwa.

T- Ja też, Alec, ale jak najniższy. Chodzi przecież o to, żeby wyleźli z nor, a nie zakopali się głębiej pod ziemię.

— Załóżmy, że chwycą przynętę. Co wtedy zrobisz?

— Zmuszę ich do wysłuchania mnie. Po prostu.

— Wątpię, żeby okazało się to takie proste — powiedział Teague.

— To ich zabiję — odparł Victor.

Wieści rozniosły się lotem błyskawicy. *Padrone* żyje, wrócił. W małym hoteliku kilka

przecznic od Duomo ktoś widział go na własne oczy. Fontini-Cristi w Mediolanie. Wiadomość o tym dotarła nawet do Rzymu.

Rozległo się pukanie do drzwi pokoju hotelowego. Barzini. To był moment, na który Victor tak czekał i przed którym tak się wzdragał. Wspomnienie jaskrawego światła i zagłady mimowolnie stanęło mu przed oczami. Siłą oddalił je od siebie i podszedł do drzwi.

W korytarzu stał stary stajenny. Jego muskularne niegdyś ciało było teraz wychudłe i przygarbione, ginęło w czarnych fałdach zgrzebnego, taniego płaszcza. Twarz pokryła mu sieć zmarszczek; oczy miał zaczerwienione i łzawiące. Ręce, które przydusiły do ziemi wijącego i wrywającego się Victora, palce, które zacisnęły się na jego twarzy i uratowały mu życie, były kościste i zdeformowane. I trzęsły się.

Ku smutkowi i zakłopotaniu Fontine'a Barzini padł na kolana i wychudłymi ramionami objął go pod nogi.

— A więc to prawda! Żyje pan!

Fontine podniósł go z klęczek i uściskał. Bez słowa poprowadził starca do pokoju, na kanapę. Barzini posunął się ponad swój wiek, było jasne, że jest ciężko chory. Victor zaproponował mu coś do jedzenia; Barzini poprosił o herbatę i brandy. Kelnerzy szybko dostarczyli jedno i drugie, a potem Fontini usłyszał sprawozdanie z najistotniejszych wydarzeń w Campo di Fiori od czasu tamtej nocnej masakry.

Przez wiele miesięcy po mordzie dokonany przez Niemców oddziały faszystowskie trzymały Campo di Fiori pod ścisłą strażą. Służbie pozwolono zabrać swoje rzeczy i odejść; pokojówka, która była świadkiem egzekucji, została zamordowana jeszcze tej samej nocy. Nikomu nie pozwolono pozostać w Campo di Fiori — poza jedynym Barzinim, który już na pierwszy rzut oka był niespełna rozumu.

— To nie było trudne. *Fascisti* zawsze uważali wszystkich oprócz siebie za wariatów. Tylko w ten sposób mogli rankiem spojrzeć sobie w oczy.

Funkcja stajennego i dozorca umożliwiała Barziniemu obserwowanie tego, co się dzieje w Campo di Fiori. Najbardziej zaskakujący byli księża. Okazało się bowiem, że do odciętej od świata posiadłości księża mieli dostęp; zjawiali się w niej w grupkach nie większych niż trzech, czterech naraz, ale takich grupek było wiele. Z początku Guido sądził, że przysyła ich Ojciec Święty, by modlili się za dusze rodziny Fontini-Cristich. Ale księża wysłani w pobożnej misji nie zachowują się tak jak tamci. Zajęli się najpierw domem, potem przybudówkami i wreszcie stajniami, przetrząsając je z niesłychaną precyzją. Oznakowali wszystko, rozebrali na części meble, opukali ściany w poszukiwaniu pustych miejsc, usunęli każdy kawałek boazerii; zerwali podłogi — nie ze złością, lecz tak, jak zrobiliby to wprawni stolarze: zdjęli je i ułożyli z

powrotem. Cały teren posiadłości przetrząsnęto, jakby to było pole złotonośne.

— Pytałem kilku młodych ojców, czego szukają. Wydaje mi się, że sami nie bardzo wiedzieli. Odpowiadali niezmiennie: “wielkich pak, staruszk. Skrzyni ze stali i *żelaza*”, i wtedy zorientowałem się, że jeden z nich, starszy od pozostałych, przychodzi codziennie. Cały czas nadzorował pracę innych.

— Sześćdziesiąt kilka lat — powiedział Victor cicho — z pasmem zupełnie białych włosów nad czołem?

— Tak! To ten! Skąd pan wie?

— Można się było tego spodziewać. Jak długo trwały poszukiwania?

— Prawie dwa lata. To było coś niewiarygodnego. A potem nagle je przerwali.

Według Barziniego wszelka działalność zamarła, poza działalnością Niemców. Korpus oficerski Wehrmachtu przywłaszczył sobie Campo di Fiori, przekształcając posiadłość w ekskluzywny ośrodek wypoczynkowy dla wyższych dowódców.

— Czy zrobiłeś tak, jak powiedział ci ten Anglik z Rzymu, stary przyjacielu? — Fontine nalał Baraniemu jeszcze jeden kieliszek brandy; drzenie rąk częściowo ustało.

— Tak, *padrone*. Przez ostatnie dwa dni łąziłem po rynkach Laveno, Yarese i Legnano. Wybrałem kilku największych plotkarzy i wszystkim powtarzałem to samo: “Dzisiaj będę się widział z *padrone*! *Padrone* wrócił! Jadę do Mediolanu, żeby się z nim spotkać, ale nikomu ani słowa!” Dowiedzą się, synu Fontini--Cristich. — Barzini uśmiechnął się.

— Czy ktoś cię pytał, dlaczego nalegałem, żebyś przyjechał do Mediolanu?

— Prawie wszyscy. Mówiłem im tylko, że chce pan ze mną porozmawiać w cztery oczy. I że czuję się tym zaszczycony. Bo naprawdę się czuję.

— To powinno wystarczyć. — Victor podniósł słuchawkę i podał numer telefonistce hotelowej centralki. Czekał na połączenie, zwrócił się do Barziniego: — Kiedy będzie po wszystkim, chciałbym zabrać się ze sobą. Do Anglii, a potem do Ameryki. Ożeniłem się, stary przyjacielu. Pani ci się spodoba. Mam synów, dwóch. Bliźniaków.

Barziniemu zalśniły oczy.

— Ma pan synów? Bogu najwyższemu niech będą dzięki... Numer nie odpowiadał. Fontine zdenerwował się. Przecież ten facet z szóstki miał kategorycznie przykazane siedzieć przy telefonie! Umieszczono go w połowie drogi między Yarese a Campo di Fiori.

Był łącznikiem ze wszystkimi pozostałymi, rozstawionymi na drogach ze Stresy, Lugano i Morcote; stanowił centrum łączności. Gdzie on się, u diabła, podział?

Odłożył słuchawkę i wyjął z kieszeni portfel. W ukrytej przegródce miał jeszcze jeden numer. Rzymski. Podał go telefonistce.

— Jak to nikt nie odpowiada? — spytał precyzyjną angielszczyzną głos z Rzymu.

— Czy można to wyrazić jakoś jaśniej?! — warknął do słuchawki Fontine. — Nikt nie odpowiada! Kiedy ostatni raz pan z nim rozmawiał?

— Mniej więcej godzinę temu. Wszystko szło zgodnie z planem. Był w kontakcie radiowym ze wszystkimi samochodami. Oczywiście dostał pan wiadomość?

— Jaką wiadomość?

W słuchawce zalegała cisza.

— Nie podoba mi się to wszystko, Fontine.

— Jaką wiadomość?!

— Powiedział, że mogli go namierzyć, ale żebyśmy się nie martwili. Że skontaktuje się z panem w hotelu po pańskim przyjeździe. Sam zauważył tamten samochód. Było to na drodze biegnącej wzdłuż głównej bramy wjazdowej do Campo di Fiori. Nie skontaktował się z panem?

Victor z trudem opanował się, żeby nie krzyknąć.

— Nie skontaktował się ze mną. Nie było dla mnie żadnych wiadomości. Jaki samochód?

— Zielony fiat. Numer rejestracyjny z Savony w Zatoce Genueskiej. Jeden z rysopisów odpowiadał pewnemu Korsykaninowi, którego mają w kartotekach policyjnych. Przemysłowikowi, który według Londynu pracował kiedyś dla nas. Pozostali to naszym zdaniem także Korsykanie. No i on.

— Wnioskuje, że ma pan na myśli...

— Tak. Czwartym był Stone.

Stone chwycił przynętę. Jabłko wrócił do Celle Ligure, by dobrać sobie ludzi spośród swoich Korsykanów. I profesjonalista Stone zdjął łącznika w Yarese.

“Likwidować kurierów. Paralizować łączność” — “Loch Tor-ridon”.

— Dziękuję — powiedział Fontine do swego rozmówcy.

— *Zaraz, zaraz*, Fontine! — odezwał się pospiesznie głos z Rzymu. — Niech pan się nie waży nic robić! Niech pan się nie rusza stamtąd, gdzie pan jest!

Victor odłożył słuchawkę bez słowa odpowiedzi i wrócił do Barziniego.

— Potrzebuję kilku ludzi. Zaufanych, takich, którzy nie cofną się przed ryzykiem.

Barzini spuścił wzrok; stary człowiek był wyraźnie zmieszany.

— Czasy się zmieniły, *padrone*.

— *Partigiani?* — spytał Fontine.

— W większości komuniści. Mają teraz na głowie swoje własne sprawy. Ulotki,

zebrania. Oni... — Barzini urwał nagle. — Chwileczkę. Jest takich dwóch, którzy nie zapomnieli. Ukrywali się w górach; nosiłem im jedzenie, wiadomości ich rodzinom. Im można zaufać.

— Będą nam musieli wystarczyć — powiedział Victor, ruszając do drzwi sypialni. — Idę się przebrać. Możesz się z nimi jakoś skontaktować?

— Mam numer telefonu — odparł Barzini.

— Zadzwoń do nich. Powiedz im, żeby czekali na mnie w Campo di Fiori. Pewnie w posiadłości są jacyś strażnicy?

— Teraz tylko nocny dozorca. Z Laveno. I ja. Fomitne zatrzymał się i odwrócił do Barziniego.

— Czy ci twoi ludzie znają północną drogę przez stajnie?

— Tak.

— To dobrze. Powiedz im, żeby wyjechali zaraz i czekali na mnie za stajniami, przy ścieżce do konnej jazdy. Jest tam chyba nadal, prawda?

— Tak jak była. Co pan ma zamiar zrobić, *padrone*? Odpowiadając, Victor uzmysłowił sobie, że powtarza słowa wypowiedziane przez siebie pięć dni temu przez telefon do Teague'a.

— To, czego wszyscy się po mnie spodziewają. — Odwrócił się i wszedł do sypialni.

“Nauki «Loch Torridon» przydają się na każdym kroku” — pomyślał Victor, stojąc przed recepcją hotelu z rękami na marmurowym blacie i obserwując, jak nocny recepcjonista wykonuje jego zlecenie. Głosem na tyle donośnym, by zwrócić na siebie uwagę, zażądał wynajęcia samochodu. Było to trudne zadanie, zwłaszcza o tej porze; nawet w ciągu dnia ciężko było o jakiś pojazd, a tym bardziej w nocy. Ale dysponując odpowiednią gotówką można go było zdobyć. Rozmowę z recepcjonistą na ten temat poprowadził również na tyle nieprzyjemnym tonem, że musiało to wzbudzić czujność każdego obserwatora. Tak jak musiał ją wzbudzić jego strój: ciemnoszare spodnie, buty z cholewkami, ciemna kurtka myśliwska. To nie był sezon polowań.

W hallu hotelowym było tylko kilku spóźnionych gości. Jacyś handlowcy zmierzający niepewnym krokiem do swoich pokoiów po długich, zakrapianych negocjacjach, jakieś małżeństwo kłócące się o zachowanie jej czy jego, zdenerwowany, bogaty młodzik meldujący się na jedną noc z prostytutką, czekającą dyskretnie w fotelu.

1 śniady brunet z ogorzałą twarzą, człowieka morza, zatopiony w lekturze jakiegoś czasopisma, na pozór nieświadom rozgrywającej się przy recepcji sceny. “Korsykanin” — pomyślał Victor.

Ten właśnie człowiek zanieśie wiadomość innym Korsykanom. I pewnemu Anglikowi nazwiskiem Stone.

Była to kwestia zwykłej koordynacji ciągu nadchodzących wydarzeń. Kiedy wynajęty samochód będzie wyjeżdżał sprzed hotelu, należało sprawdzić, czy gdzieś na ulicy, najpewniej w ciemności z dala od latarni, stoi zielony fiat gotów dyskretnie podczepić się z tyłu. Gdyby się okazało, że fiata nie ma, zawsze można było wynaleźć jakiś powód, by odroczyć wyjazd do momentu, aż się pojawi.

Nie musiał niczego odraczać. Fiat stał w połowie następnego ciągu kamienic. Kapitan Geoffrey Stone był pewny siebie — pojechał pierwszy przed samochodem Fontine'a na zachód w kierunku drogi wylotowej na Yarese. I Campo di Fiori.

Barzini jechał z przodu obok Victora. Brandy zrobiła swoje. Głowa co chwila opadała staruszkowi na piersi.

— Śpij — powiedział Victor. — To kawał drogi, a kiedy zajedziemy na miejsce, chciałbym, żebyś był wypoczęty.

Skreślił przez otwartą bramę w długą, wijącą się drogę dojazdową do Campo di Fiori.

Choć zebrał się mocno w sobie, widok domu przeszył mu pierś ostrym bólem, w skroniach zaczęło mu walić jak młotem. Zbliżali się do miejsca kaźni. Obrazy i odgłosy agonii powróciły, wiedział jednak, że nie może dopuścić, by nim całkowicie owładnęły. "Rozproszenie uwagi bywa bardzo niebezpieczne" — "Loch Torridon".

Wysiłkiem woli naprężył mięśnie żołądka w twardy węzeł i zatrzymał samochód.

Barzini nie spał, obserwował go spod oka. Kiedy w masywnych dębowych drzwiach u szczytu marmurowych schodów pojawił się nocny dozorca, próbując w świetle latarki dojrzeć, co to za samochód i kogo przywiózł, wysiadł i powiedział na cały głos: — Przywiozłem potomka Fontini-Cristich. On jest panem tego domu.

Dozorca przesunął snop światła na Victora, który także wysiadł z samochodu.

— To wielki zaszczyt, *padrone* — powiedział tonem pełnym szacunku i nie pozbawionym strachu.

— Możesz wracać do domu, do Laveno — odparł Fontine. — Jeśli nie masz nic przeciwko temu, jedź przez stajnie. Pewnie i tak tamtędy zwykle jeździsz. To krótsza droga.

— O wiele krótsza, proszę pana. Dziękuję, proszę pana.

— Przy stajniach może czekać na mnie dwóch przyjaciół. Nie przestrasz się, prosiłem ich, żeby wjechali przez północną bramę. Gdybyś ich zobaczył, powiedz, że zaraz tam przyjdę.

— Oczywiście, *padrone*. — Dozorca skinął głową i zszedł szybko po marmurowych schodach na podjazd. W cieniu koło kępy krzewów stał rower. Mężczyzna wsiadł i popedałował w ciemność w stronę stajni.

— A teraz szybko — powiedział Victor, zwracając się do Barzinego. — Powiedz mi, czy telefony są tam, gdzie były? Czy nadal jest wewnętrzne połączenie ze stajniami?

— Tak. Z gabinetu pańskiego ojca i z hallu.

— To dobrze. Wejdz do domu i zapal wszystkie żyrandole w hallu i w jadalni. Potem idź do gabinetu, ale nie włączaj tam światła. Stań przy oknie. Kiedy spotkam się z twoimi przyjaciółmi, zadzwonię do ciebie ze stajni i powiem ci, co masz robić. Korsykanie zjawia się tu już wkrótce. Na pewno pieszo. Wypatruj ręcznych latarek. Powiesz mi, co widzisz.

— Dobrze. *Padrone*?

— Tak?

— Nie mam broni. Teraz nie wolno jej mieć.

— Weź moją. — Victor sięgnął za pasek i wyciągnął smith & wesson. — Ale nie sądzę, żeby ci była potrzebna. Nie strzelaj, chyba żeby chodziło o życie.

Trzydzieści sekund później przez witraże okien nad głównym wejściem zabłyśły światła wielkiego hallu. Victor pobiegł wzdłuż ściany domu i przystanął czekając za jego

węglem. Zapaliły się żyrandole w jadalni. Cała północna część budynku jarzyła się światłem, cała część południowa tonęła w ciemnościach.

Na drodze w dalszym ciągu nie było znaku życia; żadnych świateł z latarni, żadnych ogników zapalek. Tak właśnie być powinno; Stone był profesjonalistą. Kiedy się zjawi, zrobi to z największą ostrożnością.

No i dobrze. On także zachowa najwyższą ostrożność.

Pobiegł ścieżką do stajni, przychyłony do ziemi i czujny na każdy nienaturalny odgłos. Stone mógł zdecydować się wejść na teren posiadłości północną bramą, choć wydawało się to mało prawdopodobne. Palił się przecież do wykonania swego zadania; powinien wkroczyć spiesznie, tuż za swą zwierzyną i odciąć jej drogi odwrotu.

— *Partigiani!* Tu Fontini-Cristi. — Victor podszedł do ścieżki do konnej jazdy biegnącej za stajniami. Z wnętrza budynku dobiegało z rzadka poparskiwanie tych kilku koni, które tu jeszcze zostały, starych, wymęczonych szkap.

— Proszę pana! — Szept rozległ się pomiędzy drzewami po prawej stronie; Fontini zrobił kilka kroków w jego kierunku. Nagle z przeciwnej, lewej strony wystrzelił snop światła latarki. I inny głos rzucił ostro: — Nie ruszać się! Nie odwracać!

Poczuł na plecach rękę stojącego za nim mężczyzny, trzymającą go pewnym chwytem. Latarka wysunięta ponad jego ramieniem oświetliła mu twarz, zupełnie go oślepiając.

— To on — orzekł głos w ciemności.

Latarkę cofnięto, Fontine zamrugał i przetarł oczy, próbując pozbyć się migocącego w nich nadal uporczywie światła. Z ciemności przed nim wyłonił się *partigiano*. Był wysoki, niemal tak wysoki jak Victor, miał na sobie znoszoną amerykańską kurtkę wojskową. Dołączył do niego ten, który stał za plecami Victora. Był znacznie niższy od swego towarzysza i potężnie zbudowany.

— Po co kazał pan nam tu przyjść? — spytał wyższy partyzant. — Barzini jest już stary i w głowie mu się mąci. Zgodziliśmy się pana pilnować, ostrzec — ale nic więcej. Robimy to, bo wiele Barziniemu zawdzięczamy. I przez wzgląd na stare czasy — Fontini-Cristi walczyli przeciwko faszystom.

— Dziękuję.

— Czego chcą ci Korsykanie? I ten Anglik? — spytał drugi mężczyzna.

— Czegoś, co według nich mam, a czego ja nie mam. — Victor urwał. Ze stajni dobiegło stłumione, dychawiczne parsknięcie, po którym nastąpiła seria tupnięć kopytami. Partyzanci także to usłyszeli; latarka natychmiast zgasła.

Trzask złamanego patyczka. Kamyk przemieszczony pod naciskiem stopy. Ktoś

nadchodził ku nim, posuwając się tą samą ścieżką, którą wybrał Fontinie. Partyzanci rozdzielili się. Krępy ruszył do przodu i zniknął w gęstym poszyciu lasu. Jego przyjaciel zrobił to samo po przeciwnej stronie. Victor dał krok w prawo i przykucnął obok ścieżki.

Cisza. Szuranie butów o wyschniętą ziemię przybliżało się. Nagle na tle czerni leśnej nocy zamajaczyła cała postać, ledwie o centymetry przed Victorem.

Wszystko rozegrało się błyskawicznie. Z ciemności wystrzelił potężny snop światła z latarki bijący pomiędzy drzewa po przeciwnej stronie ścieżki i w tej samej chwili rozległ się niemy wystrzał z pistoletu, wygłuszony tłumikiem.

Victor skoczył przed siebie, zarzucił nieznajomemu lewą ręką chwyt przez gardło, a prawą sięgnął do przodu, próbując wyrwać mu broń, zmuszając go do opuszczenia jej w dół. Kiedy mężczyzna wygiął się do tyłu, Victor wbił mu kolano w krzyż. Usłyszał świst wypuszczonego powietrza i z całych sił szarpnął do siebie naprężony kark. Rozległ się przyprowadzający o mdłości trzask, i to był koniec. Latarka potoczyła się po ścieżce.

Wysoki partyzant wybiegł pomiędzy drzew z pistoletem w rękę i zmiażdżył latarkę nogą. Obaj z Victorem rzucili się w krzaki poszycia, w milczeniu potwierdzającym obawę, że ich sprzymierzeniec nie żyje.

Żył. Kula drasnęła go tylko w ramię. Leżał w szoku z szeroko otwartymi ustami, toczył wkoło nieprzytomnym spojrzeniem i głośno dyszał. Fontine ukląkł przy nim, oderwał mu rękaw koszuli, żeby zbadać ranę. Jego przyjaciel zachował pozycję stojącą z bronią skierowaną na ścieżkę.

— Matko Boska! Dlaczegoś nie strzelał, ty głupcze? — Ranny *partigiano* skrzywił się z bólu. — Jeszcze sekunda i byłby mnie zabił.

— Nie miałem broni — odparł cicho Victor, ocierając z krwi ciało wokół rany.

— Nawet noża?

— Nawet. — Fontini obwiązał ranę i zacisnął węzeł. *Partigiano* wpatrywał się w niego z niedowierzaniem.

— Odważny z pana facet — powiedział. — Mógł pan zaczekać w ukryciu. Mój kolega ma broń.

— No dobra, niech pan wstaje. Gdzieś tutaj jest jeszcze dwóch Korsykanów. Trzeba ich zdjąć. Ale bez strzelaniny. — Victor schylił się i podniósł broń zabitego. W magazynku pozostały cztery kule i miała tłumik — jeden z najlepszych, jakie produkowano. Odwołał skinieniem wysokiego partyzanta na pobocze ścieżki i powiedział: — Chciałbym was prosić o przysługę. Możecie odmówić — ja to zrozumieję.

— O co chodzi?

— Ci dwaj Korsykanie są gdzieś tam. Jeden pewnie pilnuje głównej drogi, drugi może być gdzieś z tyłu domu, w ogrodzie — trudno powiedzieć. Anglik będzie się trzymał w ukryciu, blisko domu. Jestem pewien, że Korsykanie mnie nie zabiją. Będą obserwowali każdy mój ruch, ale nie strzelą.

— Ten — odezwał się ranny partyzant, wskazując na zabitego — nie zawahał się pociągnąć za cyngiel.

— Oni wiedzą, jak wyglądam. Zobaczył, że to nie ja.

Plan był zupełnie prosty. Victor miał posłużyć za przynętę — podejść otwarcie do kolistego podjazdu i skręcić do ogrodu na tyłach domu. Partyzanci mieli iść za nim, kryjąc się między drzewami. Jeśli Fontine nie mylił się, powinni wypatrzeć Korsykanina i go schwytać. Albo zabić bez hałasu. To nie miało znaczenia — ci Korsykanie bez skrupułów mordowali Włochów.

Potem wszystko należało powtórzyć, tym razem na głównej alei dojazdowej. Partyzanci mieli przemknąć się chyłkiem na przełaj, z dala od krawędzi skarpy, i dołączyć do Victora w miejscu, gdzie aleja rozwidlała się w podjazd, pół kilometra dalej. Gdzieś pomiędzy tym rozwidleniem a bramą wjazdową powinien być ulokowany trzeci Korsykanin.

Takie rozmieszczenie strażników wydawało się logiczne, a Stone, cokolwiek by o nim powiedzieć, był człowiekiem niezwykle logicznie myślącym. I skrupulatnym. Po prostu nie mógł nie odciąć dróg odwrotu.

— Nie musicie tego dla mnie robić — powiedział Victor. — Zapłacę hojnie, ale rozumiem, jeśli...

— Zatrzymaj pan sobie swoje pieniądze — przerwał mu ranny, spojrzawszy najpierw na swego towarzysza. — Pan nie musiał robić tego, co pan zrobił dla mnie przed chwilą.

— W stajni jest telefon. Muszę porozmawiać z Barzinim. Potem wyjdę na drogę.

Przypuszczenia zostały potwierdzone. Stone obstawił obie drogi i ogród. Trzej Korsykanie zostali zdjęci, tracąc życie od partyzanckich noży.

Spotkali się z powrotem przy stajniach. Fontine był pewien, że Stone obserwował go ze skarpy. Zwierzyna spacerowała po miejscu kaźni; powrót był bolesny. "Loch Torridon" nauczył ich obu przewidywania reakcji wroga. To była broń.

— Gdzie macie swój samochód? — spytał Victor.

— Przed północną bramą — odparł wyższy.

— Bardzo wam dziękuję. Zawieź przyjaciela do lekarza. Barzini będzie wiedział, gdzie mam przesłać bardziej konkretne wyrazy wdzięczności.

— Anglika zostawia pan dla siebie?

— Nie będzie z nim żadnego kłopotu. Ten człowiek nie ma jednej ręki, a teraz nie ma i swoich Korsykanów. Barzini i ja wiemy, co mamy robić. Jedźcie do lekarza.

— Do widzenia, proszę pana — powiedział wysoki. — Uregulowaliśmy nasze długi. Wobec Barziniego. A może i wobec waszej rodziny. Fontini-Cristi byli dobrzy dla tej ziemi.

— Jeszcze raz dziękuję.

Partyzanci skinęli głowami i zniknęli spieszenie w ciemności zalegającej drogę ku północnej bramie. Fontine wrócił ścieżką i wszedł bocznym wejściem do stajni. Przeszedł wzdłuż boksów, obok koni i małej sypialni Barziniego i wszedł do magazynku uprzęży. Znalazł jakąś drewnianą skrzynkę i napełnił ją wędzidłami, munsztukami i oprawnymi w ramki, zakurzonymi dyplomami pochwalnymi ze ścian. Podszedł do telefonu przy drzwiach i nacisnął znajdujący się pod nim przycisk.

— Wszystko w porządku, stary przyjacielu?

— Dzięki Bogu.

— Co z Anglikiem?

— Czeka po drugiej stronie podjazdu, w wysokiej trawie. Na skarpie. W tamtym samym miejscu, gdzie... — Barzini urwał.

— Rozumiem. Wychodzę ze stajni. Wiesz, co masz robić. Pamiętaj, żeby przy drzwiach mówić powoli i wyraźnie. Ten Anglik od lat nie mówił po włosku.

— Starzy ludzie mówią głośniejszy, niż trzeba — odparł Barzini z humorem. — Ponieważ sami źle słyszymy, myślimy, że wszyscy są przygłusi.

Fontine odwiesił słuchawkę i sprawdził pistolet pozostawiony mu przez partyzantów, ten, który należał do zabitego Korsykanina. Odkręcił tłumik, włożył broń do kieszeni. Wziął skrzynkę pod pachę i opuścił stajnię.

Przeszedł wolno drogą do podjazdu naprzeciwko skarpy. W plamie światła padającego z okien, tuż przed marmurowymi schodami przystanął, by dać ręką chwilę odpocząć. Sugerował w ten sposób, że skrzynka jest cięższa, niż mogłaby na to wskazywać jej wielkość.

Wszedł po schodach do wielkich dębowych drzwi. Tam zrobił najbardziej naturalną rzecz, jaka mu przyszła do głowy: kopnął kilka razy w ich prawe skrzydło.

Kilka sekund później Barzini je otworzył. Ich rozmowa była prosta, zwyczajna. Barzini mówił wyraźnie.

— Na pewno niczego panu nie potrzeba, *padrone*? Może przynieść panu herbaty albo kawy?

— Nie, dziękuję, stary przyjacielu. Idź się przespać. Rano czeka nas mnóstwo roboty.

— Doskonale. Konie wcześniej dziś dostaną obroku. — Barzini wyminął Victora na

schodach, zszedł na kolisty podjazd i skręcił w lewo, ku stajniom.

Fontine wszedł do wielkiego hallu. Wszystko było dokładnie tak jak kiedyś. Niemcy potrafili docenić piękno tego domu i go nie zeszpecili. Skręcił do pogrążonego w ciemności południowego skrzydła, przeciął na ukos ogromny salon i zbliżył się do drzwi gabinetu swego ojca. Przemierzając powoli te znajome wnętrza czuł ból udreki szarpiącej za serce i zatykającej dech w piersiach.

Wszedł do gabinetu Savarone, jego sanktuarium. Instynktownie skręcił po ciemku w prawo — ogromne biurko stało tam gdzie zawsze. Postawił na nim skrzynię i włączył lampę z zielonym abażurem, którą doskonale pamiętał. Stała na swoim miejscu. Nic się nie zmieniło.

Usiadł w fotelu ojca i wyjął z kieszeni pistolet. Położył go na biurku za drewnianą skrzynią, tak by był niewidoczny z przodu.

Zaczął się oczekiwanie. Już po raz drugi jego życie znalazło się w rękach Barziniego. Nie potrafił sobie wyobrazić pewniejszego sejfu. Bo Barzini wcale nie pójdzie do stajni. Przejdzie kawałek drogi ścieżką, po czym skręci w las i wróci obrzeżami do ogrodu na tyłach domu. Dostanie się do środka przez jedne z drzwi prowadzących na patio i zaczeka na Anglika.

Stone znajdzie się w potrzasku.

Minuty ciągnęły się niemiłosiernie. Machinalnie otworzył szufladę biurka ojca. Znalazł w niej blankiety listowe Wehrmachtu. Zaczął metodycznie rozkładać je, kartka po kartce, na oddzielne kupki, ustawiając pasjansa wielkimi, pustymi kartami.

Czekał.

Z początku niczego nie usłyszał, poczuł natomiast niespodziewanie czyjąś obecność. Nie było mowy o pomyłce, powietrze między nim a tym kimś było po prostu naładowane. Potem ciszę przeszyło skrzyknięcie podłogi, a po nim odległy odgłos dwóch kroków, nie tajonych, śmiałych. Fontine sięgnął po broń.

Nagle z kompletnych ciemności zalegających kraniec gabinetu wyleciało coś jasnego i poszybowało przez półmrok w pobliżu lampy ku Victorowi. Wprost w niego! Fontine szarpnął się do tyłu na ten widok, wpatrując z przerażeniem w ciągnący się warkocz strużek krwi. Usłyszał szorstkie plaśnięcie ciała o drewno i makabryczny przemiot uderzył w blat biurka i potoczył się przez płamę światła lampy.

Fala najwyższej odrazy przyprawiła go o skurcz żołądka.

Przedmiotem tym była ręka. Ludzka ręka odcięta brutalnie tuż powyżej nadgarstka. Palce były stare, pomarszczone i rozczapierzone jak szpony w spastycznym kurczu ścięgien zastygłych w chwili barbarzyńskiej amputacji.

Była to ręka Guido Barziniego. Rzucona przez maniaka, który utracił swą własną na

nabrzeżu portowym w Celle Ligure.

Victor poderwał się z fotela, powstrzymując z trudem wzbierające mdłości, obmacując na oślep biurko, by chwycić pistolet.

— Nie dotykaj tego! Dotkniesz i jesteś trup! — usłyszał rzucone ostrym tonem po angielsku słowa. Stone przycałił się w ciemności pod przeciwległą ścianą gabinetu, za krzesłem z wysokim oparciem.

Victor cofnął rękę.

— Zabiłeś go — powiedział próbując zmusić się do myślenia, do walki o życie.

— Znajdą go w lesie. Czy to jednak nie dziwne, że i ja tam właśnie go znalazłem?

Fontine stał bez ruchu, starając się ochłonać po doznanym szoku, opanować emocje.

— A czy to nie jeszcze dziwniejsze — powiedział cicho — że nie znaleźli go tam twoi Korsykanie?

W oczach Stone'a błysnęło zrozumienie; ledwie iskierka, ale jednak.

— Twój spacer. Tak się właśnie zastanawiałem... — Anglik pokiwał głową. — Tak, mogłeś to zrobić. Mogłeś ich zdjąć.

— Nie ja. Zrobili to inni.

— Przykro mi, Fontini, ale to się nie trzyma kupy.

— Skąd ta pewność?

— Bo gdyby byli jacyś inni, to nie wzięłybyś do tej ostatniej roboty starego. To by była głupota. Zadufany z ciebie skurwysyn, ale niegłupi. Jesteśmy sami, to zupełnie pewne. Tylko ty, ja i ta skrzynia. Chryste! Ale musiała być zadołowana! Tylu ludzi jej szukało.

— To znaczy, że dobiłeś targu z Donattim?

— Tak mu się zdaje. Czy to nie dziwne? Odebrałeś mi absolutnie wszystko. Wyrwałem się z przedmieść Liverpoolu i ciężką harówką dobiłem pozycji, a ty na tamtym pieprzonym nabrzeżu pięć lat temu w jednej chwili to przekreśliłeś. Teraz odbiję to sobie, i to z nawiązką. Mogę zorganizować aukcję, o jakiej świat nie słyszał.

— A co na niej wystawisz? Stare nagrody myśliwskie? Wyblakłe dyplomy uznania?

Stone odciągnął z trzaskiem kurek rewolweru. Uderzył czarna rękawicą w oparcie krzesła, oczy zalśniły mu w ciemności.

— Tylko bez żartów!

— To nie żart. Zapomniałeś już, że nie jestem głupi? W żadnym wypadku nie możesz sobie pozwolić na to, żeby pociągnąć za ten cyngiel. Masz tylko jedną szansę dostarczenia zawartości tamtej urny. A jeśli jej nie dostarczysz, to z łatwością można wystawić następny nakaz egzekucji. Te potężne osobistości, które wynajęły cię pięć lat temu, nie lubią

kłopotliwych spekulacji.

— Zamknij się! Dość tego! — Stone uniósł w górę przywodzącą na myśl szpony czarną rękawicę i z wściekłością rąbnął nią w krzesło. — Mnie nie nabierzesz, bydlaku, na takie numery. Sam je stosowałem, kiedy ty jeszcze w ogóle nie słyszałeś o "Loch Torridon".

— W "Loch Torridon" chodziło o popełnianie błędów. Fałszywą kalkulację! Antyzarządzanie — taka była jej przesłanka, pamiętasz? — Fontini cofnął się o krok, odpychając krzesło nogą i rozkładając jednocześnie ręce w geście pełnej bezradności. — Chodź. Sam zobacz. Nie zabijesz mnie przecież, nim się przekonasz, ile kula może cię kosztować.

— Cofnij się! Jeszcze! — Stone wyszedł zza krzesła, niewładną prawą rękę wyciągnął przed siebie niby sterzącą lancę. W lewej trzymał rewolwer z odwiedzionym kurkiem; najłżejsze muśnięcie spustu i iglica pryśnie do przodu, detonując splotkę.

Victor zrobił, co mu kazano, nie spuszczać wzroku z pistoletu. Musiał się nadarzyć jakiś sposobny dla niego moment; musiał, bo inaczej koniec.

Anglik zbliżył się do biurka, posuwając się krok za krokiem, ruchem człowieka zionącego nienawiścią i maksymalnie czujnego, gotowego zabić za najdrobniejszą próbę podważenia jego przewagi. Oderwał wzrok od Fontine'a i przesunął spojrzeniem po blacie biurka, po odciętej, zmasakrowanej ręce Barziniego i drewnianej skrzynce. Jego oczy znieruchomiały na stercie wypełniających ją śmieci.

— Nie! — wyszeptał. — Nie!

To był ten moment — wzrok Stone'a zdradzał pełnię szoku po dokonaniu odkrycia. Taki moment mógł się nie powtórzyć.

Victor skoczył przed siebie przez blat biurka, próbując dosięgnąć długimi rękami broni: jej lufa odchyliła się w bok tylko na jedno uderzenie serca, ale to było wszystko, na co mógł liczyć.

Huk wystrzału był ogłuszający, ale chwyt Fontine'a zbił broń w dół. Tylko o centymetry, ale to wystarczyło. Kula strzaskała blat, który eksplodował kłębami drzazg. Victor nie puścił nadgarstka Stone'a; wykręcał go ze wszystkich sił, czując i jednocześnie nie czując gradu ciosów twardej rękawicy na swej twarzy i szyi. Stone poderwał w górę prawe kolano, przeorując Victorowi krocze i żołądek, nie puszczać rewolweru. Wył przy tym przeraźliwie i dygotał jak w paroksyzmie szału. Nie dawało się, nie sposób było pokonać go samą siłą.

Victor zrobił jedyną rzecz, jaka mu pozostała. Na ułamek chwili zamarł w bezruchu, po czym szarpnął rękę Stone'a ku sobie, jakby chciał wbić sobie rewolwer we własny brzuch. Kiedy lufa broni miała dotknąć materiału jego kurtki, nagle okręcił się wokół siebie wraz z ręką

Stone'a, odwracając rewolwer o sto osiemdziesiąt stopni i całym ciałem podbijając w górę.

Rewolwer wypalił. Na jedną sekundę Fontine przestał cokolwiek wiedzieć, całkowicie oślepiony, i czuł tylko lodowaty chłód w poparzonym wystrzałem ciele. Przez tę jedną sekundę był pewien, że zginął.

Aż poczuł, że ciało Geoffreya Stone'a *zaczyna* się osuwać na podłogę, ciągnąc go za sobą.

Otworzył oczy. Kula weszła w ciało Stone'a poniżej szczęki i poruszając się po torze skierowanym pod kątem ku górze, przeszła na wylot przez czaszkę, odrywając od niej górną część głowy.

Tuż obok krwawej masy tkanek leżała odcięta dłoń Guido Barziniego.

Odszukał w lesie ciało Barziniego i zaniósł je do stajni. Położył okaleczone zwłoki na łóżku i przykrył prześcieradłem. Stał nad nimi — nigdy później nie potrafił powiedzieć jak długo — próbując zrozumieć ból, strach i miłość.

Campo di Fiori pogrążone było w absolutnej ciszy. Kryło przed Victorem swą tajemnicę, by nigdy jej nie ujawnić. Tajemnicę przesyłki z Salonik, do której Savarone nigdy go nie dopuścił. I syn Savarone postanowił przestać zaprzętać sobie nią głowę. Niech inni próbują ją sobie rozwiązywać, jeśli mają na to ochotę. Niech Teague zajmie się resztą. On miał dość.

Przeszedł północną drogą na podjazd przed domem i wsiadł do wynajętego samochodu. Światło. Pomarańczowe promienie letniego słońca zalały włoski krajobraz. Victor obrzucił ostatnim spojrzeniem dom swego dzieciństwa i przekręcił kluczyk w stacyjce.

Drzewa przemykały do tyłu, ich korony zlewały się w rozmazane pasma zieleni, pomarańcu, żółci i bieli. Spojrzał na licznik — ponad osiemdziesiąt. Osiemdziesiąt cztery kilometry na godzinę na krętej alei dojazdowej biegnącej przez las. Zdawał sobie sprawę, że powinien zmniejszyć szybkość. To było ryzykowne, wręcz niebezpieczne. A jednak stopa nie chciała słuchać nakazów rozsądku.

O Boże! Wyrwać się stąd jak najprędzej!

Tuż przed bramą droga przechodziła w długą, ostrą serpentynę. Kiedyś, przed laty, istniał zwyczaj naciskania klaksonu, kiedy się do niej dojeżdżało. Teraz nie było powodu, by to robić; jednocześnie doznał ulgi, czując, że jego stopa zwalnia jednak nacisk na pedał gazu. Instynkt zachował nietknięty. Mimo to wziął zakręt z szybkością pięćdziesięciu kilometrów na godzinę, wychodząc z niego na ostatni odcinek przed bramą z piskiem opon. Na prostym odcinku automatycznie przyspieszył. Przemknął między słupami bramy, skręci i do Yarese. A potem do Mediolanu.

A potem do Londynu!

Nie bardzo wiedział, kiedy to dostrzegł. Nie to — ich. Myślami bujał daleko, nie odrywał wzroku od drogi wprost przed maską samochodu. Wiedział tylko, że nagle wdepnął na hamulec z taką siłą, że poleciał na kierownicę, a głową uderzył niemal w przednią szybę. Rozległ się pisk opon, spod kół wzbiły się tumany kurzu; samochód postawiło w poprzek drogi i maszyna przejechała bocznym ślizgiem przez bramę, stając zaledwie o metry od dwóch czarnych limuzyn, które znalazły się tam nagle nie wiadomo skąd i zablokowały przejazd.

Odrzuciło go na oparcie fotela; cały samochód dygotał od nagłego, brutalnego osadzenia w miejscu. Był tak oszołomiony, że dobrą chwilę trwało, nim wyszedł z szoku po unikniętym o włos zaledwie zderzeniu. Zamrugął oczami, szybko odzyskał ostrość widzenia. Na widok tego, co zobaczył, wściekłość ustąpiła miejsca kompletnemu zaskoczeniu.

Przed dwoma limuzynami stało pięciu mężczyzn w czarnych garniturach i białych koloratkach. Wpatrywali się w niego z kamiennym wyrazem twarzy. Po chwili otworzyły się tylne drzwiczki auta po prawej stronie i wysiadł z niego szósty mężczyzna. Ubrany był w czarną sutannę i miał ponad sześćdziesiąt lat.

I kosmyk białych włosów nad czołem.

Donatti miał oczy fanatyka, mówił napiętym, urywanym głosem człowieka nawiedzonego. Poruszał się wolnymi, płynnymi ruchami, nie dopuszczając, by uwaga jego audytorium choć na chwilę osłabła. Wydawał się zarazem teatralny i złowieszczy. Było to starannie wypracowane wrażenie, udoskonalane systematycznie w ciągu wielu lat. Donatti był orłem żywiącym się wróblami. Uznał, że stoi poza osądem wszelkiej moralności — sam stanowił zasady własnej.

Na jego widok Fontine stracił panowanie nad sobą. Myśl o tym, że ów człowiek mógłby postawić stopę na terenie Campo di Fiori, wydała mu się bluźnierstwem nie do zniesienia. Rzucił się na nikczemnika, zatracając pod wpływem wspomnienia rozsądek, instynkt przetrwania, wręcz zdrowe zmysły.

Pozostali tylko na to czekali. Zaszli go z obu stron, tak jak limuzyny zajęły mu z obu stron drogę, i odcięli odwrót. Pochwycili go, wykręcili mu ręce wysoko na plecy; jakaś dłoń O potężnych palcach zdusiła mu gardło, odginając głowę do tyłu w przeszywający bólem łuk, pozbawiający go mowy, ale nie słuchu ani wzroku.

— Samochód — rzucił cicho Donatti.

Dwaj księża nie przytrzymujący Fontine'a pospieszyli do wynajętego auta i zaczęli je przeszukiwać. Victor słyszał odgłosy otwierania drzwiczek, bagażnika i maski, zdzierania obić i roztrzaskiwania metalu, w miarę jak rozbierano samochód na kawałeczki. Plądrowanie trwało niemal kwadrans. Przez cały czas Fontine i kardynał mierzyli się wzrokiem. Dostojnik z Kurii oderwał od niego wzrok dopiero pod sam koniec, kiedy obaj poszukujący odeszli od samochodu i powiedzieli jednocześnie: — Nic nie ma, eminencjo.

Donatti dał sygnał temu, który potężną ręką trzymał Victora za gardło. Chwył żelź; Fontine przełknął kilka razy ślinę. Ręce miał w dalszym ciągu sztywno wykręcone do tyłu. Dostojnik przemówił: — Heretycy z Konstantyny dobrze wybrali — apostołów z Campo di Fiori. Wrogów Chrystusa.

— Zwierzę! Rzeźnik! — Victor wydobył z siebie tylko szept; mięśnie szyi i tchawicy miał mocno uszkodzone. — To ty wymordowałeś moją rodzinę! Widziałem cię!

— Tak. Domyśliłem się, że musiałeś widzieć. — Przyciszony głos ociekał jadem. — Sam osobiście oddałbym tamte strzały, gdyby to było potrzebne. Toteż uważając tak masz najzupełniejszą rację. Ujmując rzecz w kategoriach teologicznych, to ja wykonałem tę egzekucję. — Donatti otworzył szeroko oczy. — Gdzie jest skrzynia z Salonik?

— Nie wiem.

— Powiesz mi to, heretyku. Uwierz memu słowu. Nie masz innego wyjścia.

— Trzymacie mnie wbrew mojej woli! Zapewne w imię Boga — powiedział chłodno Victor.

— W imię zachowania najświętszej naszej matki, Kościoła! Żadne ludzkie prawa przy tym się nie liczą. Gdzie jest przesyłka z Salonik?

Wzrok, ostry ton przywołały wspomnienia sprzed lat, wspomnienia malca stojącego w drzwiach gabinetu.

— Jeśli ta informacja jest dla was tak ważna, to dlaczego zamordowaliście mojego ojca? Tylko on jeden to wiedział...

— Łżesz! To kłamstwo!!! — Donatti zreflektował się i zacisnął drżące wargi.

Fontini zrozumiał. Trafił w czułe miejsce. Popełniono błąd o niesłychanej doniosłości i Donatti nie był w stanie spojrzeć tej prawdzie w oczy.

— Dobrze wiesz, że to prawda i nie możesz jej znieść. Dlaczego? Dlaczego go zabiliście?

Dostojnik zniżył głos.

— Wrogowie Chrystusa nas zwiedli. Heretycy z Ksenopy karmili nas kłamstwami. — Jeszcze raz jego głos przeszedł niespodziewanie w ryk. — Savarone Fontini-Cristi był przekazicielem tych kłamstw!

— A jakież to kłamstwa mógł on wam przekazywać? Przecież wyście nigdy mu nie wierzyli, nawet wtedy, kiedy mówił prawdę!

Donatti znów zadrżał.

— Z Salonik wysłano dwa pociągi — powiedział ledwie dosłyszalnym głosem. — W odstępie trzech dni. O pierwszym nic nie wiedzieliśmy; drugi przejeżdżał w Monfalcone i dopilnowaliśmy, żeby nie dotarł do Savarone. Nie wiedzieliśmy wtedy, że on nawiązał już kontakt z pierwszym pociągiem. Teraz ty powiesz nam to, co chcemy wiedzieć. Co musimy wiedzieć.

— Nie mogę wam dać tego, czego nie posiadam. Donatti spojrzął na księży i rzucił jedno słowo: — Już.

Victor nigdy nie potrafił powiedzieć, jak długo to trwało, bo czas przestał istnieć — był tylko ból. Zaciągnęli go przez bramę na teren Campo di Fiori i zawlekli do lasu. Tam zabrali się do tortur. Zaczęli od nagich stóp; połamali mu po kolei wszystkie palce, wykręcali kostki, aż rozległ się suchy trzask. Potem przyszła kolej na łydki i kolana: zmiażdżono je, wyłamano, wyrwano ze stawów. Dalej krocze i brzuch — O Boże! Tak bardzo chciał umrzeć! — i przez

cały czas wisiała nad nim niewyraźna poprzez łyzy bólu twarz dostojnika z pasmem białych włosów nad czołem.

— Mów! Mów, wrogu Chrystusowy!

Wyszarpnięto mu ręce ze stawów, wygięto nadgarstki do wewnątrz, aż pękły wszystkie naczynia krwionośne i skóra podeszła sinym płynem. Kilka razy pograżał się w błogosławionej nicości, lecz natychmiast wrywały go z niej przywracające przytomność uderzenia w twarz.

— Mów, mów! — Słowa te dudniły mu w uszach niczym uderzenia tysięcznych młotów, pobrzmiwały ogłuszano echem. — Mów, mów, wrogu Chrystusowy!

I znów nicość. I mrocznymi tunelami czucia doświadczył rytmu fal, powietrza i zawieszenia. Szybowania, w którym jakimś zakamarkiem swego mózgu rozpoznał zbliżanie się śmierci.

Rozległ się jeszcze jeden trzask, ale Victor już nic nie czuł. Tracił przytomność.

A jednak skądś z daleka, z bardzo daleka dobiegły go wypowiedane monotonnym głosem słowa.

— *In nomine Patris, et Filii, et Spiritus Sancti. Amen. Dominus vobiscum...*

Ostatnie namaszczenie.

Zostawiono go, żeby umarł.

I znów to samo szybowanie. Fale i powietrze. I głosy, niewyraźne, zbyt odległe, żeby mógł naprawdę je słyszeć. I dotknięcia. Czuł czyjeś dotknięcia, a każde z nich przesywało mu całe ciało błyskawicami bólu. A jednak nie były to dotknięcia tortury; odległe głosy nie były głosami oprawców.

W końcu rozmazane obrazy nabrały ostrości. Znajdował się w białym pokoju. W oddali lśniły butle z zawieszoną w powietrzu kaskadą rurek.

A nad sobą ujrzał pochyloną twarz. Twarz, o której wiedział, że nie ujrzy jej już nigdy więcej. Ta resztką umysłu, jaka mu jeszcze pozostała, płatała mu jakiś straszliwy figiel.

Twarz płakała; po jej policzkach spływały łzy.

— Najdroższy — szepnęła jego żona, Jane. — Moje kochanie.

O Boże, co oni z tobą zrobili?

Jej piękna twarz była tuż obok jego twarzy. Dotykała jej. I nie czuł już żadnego bólu.

Został znaleziony przez zaniepokojonych agentów MI-6. Księża zanieśli go do samochodu, zawieźli na podjazd przed domem i zostawili, żeby umarł w Campo di Fiori. Tego, że nie umarł, nie potrafił wyjaśnić żaden lekarz. Powinien był umrzeć. Jego powrót do zdrowia miał trwać miesiące, a może i lata. I nigdy nie mógł być całkowity. Ale przy odpowiednio troskliwej opiece powinien odzyskać władzę w rękach i nogach; odzyskać zdolność do

wykonywania pracy, co samo w sobie graniczyło z cudem.

Przed upływem ósmego tygodnia był w stanie usiąść. Sfinalizował swoje sprawy w rzymskim Sądzie Reparacyjnym. Majątki ziemskie, fabryki i inne nieruchomości zostały sprzedane za sumę siedemdziesięciu pięciu milionów funtów szterlingów. Tak jak to sobie obiecał, transakcja nie obejmowała Campo di Fiori.

Co do Campo di Fiori wydał osobne rozporządzenia, nad których wykonaniem czuwał zaufany adwokat z Mediolanu. Ta posiadłość także miała zostać sprzedana, ale Victor nie chciał nigdy poznać nazwiska jej nabywcy. Postawił także dwa inne warunki: nabywca nie mógł mieć nic wspólnego z faszystami i żadnych najmniejszych związków z jakąkolwiek instytucją religijną jakiegokolwiek wyznania.

W dziewiątym tygodniu na polecenie swego rządu przyleciał do niego z Londynu pewien Anglik.

Sir Anthony Brevourt stanął w nogach łóżka Fontine'a z zaciśniętymi ustami, a oprócz współczucia, które malowało się w jego oczach, przezierająca z nich nieugiętość.

— Wie pan zapewne, że Donatti nie żyje. Rzucił się z kolumnady na placu Świętego Piotra. Nikt po nim nie płacze, a już najmniej Kuria.

— Tak, słyszałem o tym. Skończył jak szaleniec.

— Pięciu księży, którzy wtedy z nim byli, ukarano. Trzech ekskomunikowano, postawiono przed sądem i skazano na bardzo długie wyroki więzienia. Dwóch pozostałych zesłano dożywotnio do Transwału. To, czego się dopuścili niby w imieniu Kościoła, przeraziło ludzi stojących na jego czele.

— Wydaje mi się, że zbyt wiele kościołów dopuszcza do swych szeregów fanatyków, a potem spogląda z zaskoczeniem czy zdumieniem na to, co zrobiono "w ich imieniu". To nie dotyczy tylko Rzymu. Blichtr urzędu zasłania czasami jego prawdziwe cele, nieprawdaż? Dotyczy to i rządów. Żądam odpowiedzi na moje pytania!

Brevourt zamrugał kilka razy oczami w reakcji na wybuch Fontine'a, po czym odparł spieszenie, jakby machinalnie: — Gotów jestem udzielić wszystkich odpowiedzi, jakich udzielić potrafię. Polecono mi niczego przed panem nie tać.

— Po pierwsze — Stone. Nakaz egzekucji już mi wyjaśniono. Powstrzymam się od wypowiedzi na ten temat. Chcę znać resztę. Całą resztę.

— Było dokładnie tak, jak panu powiedziano. Nie uwierzyłem panu. Od pierwszego naszego spotkania po pana przyjeździe do Londynu byłem przekonany, że postanowił pan nie ujawniać niczego na temat pociągu z Salonik. Podejrzywałem, że chce pan załatwić tę sprawę po swojemu, na własnych warunkach. Nie mogliśmy do tego dopuścić.

— A zatem Stone donosił o moich krokach?

— Absolutnie o każdym. Wyjeżdżał pan jedenaście razy na drugą stronę kanału La Manche i raz do Lizbony. Z pomocą Stone'a cały czas mieliśmy pana na oku. Na wypadek gdyby pana schwytano, gotowi byliśmy petraktować z wrogiem o wymianę pana na kogoś innego.

— A gdybym został zabity?

— Z początku było to skalkulowane ryzyko, które przesłaniała nam groźba pana ucieczki, nawiązania z kimś kontaktu w sprawie "Salonik". A w czerwcu czterdziestego drugiego, po Oxfordshire, Teague zgodził się nie wysłać pana już więcej na kontynent.

— Co się wydarzyło w Oxfordshire? Ten mnich — jeśli to rzeczywiście był mnich — który naprowadził samoloty, był Grekiem. Ksenopitą. Pańscy pierwsi klienci, jak mi się zdaje.

Brevourt zacisnął wargi i wziął głęboki oddech. Miał czynić wyznania, które były dla niego zarówno bolesne, jak i krępujące.

— Znów Stone. Niemcy przez dwa lata próbowali zlokalizować obóz w Oxfordshire. Stone postarał się, aby do Berlina dotarł przeciek z dokładnymi współrzędnymi, a jednocześnie zawarł własne porozumienie z Grekami. Przekonał ich, że jest sposób, żeby pana załamać. Warto było spróbować; załamani ludzie zaczynają mówić. "Saloniki" nic go nie obchodziły, ale nalot mógł posłużyć za narzędzie realizacji jego głównego celu. Umieścił na terenie obozu fanatycznego mnicha i skoordynował przygotowania do nalotu.

— Na miłość boską, dlaczego?

— Żeby zabić pańską żonę. Przypuszczał, że gdyby zginęła albo została ciężko ranna, zniechęciłby pan wszystko co brytyjskie, porzucił MI-6. I miał rację. Omal pan tego nie zrobił, pamięta pan? On pana nienawdził; obwiniał o zrujnowanie jego błyskotliwej kariery. Jeśli się nie mylę, tamtej nocy robił wszystko, żeby zatrzymać pana w Londynie.

Victor przypomniał sobie ową straszną noc. Stone, metodyczny psychopata, obliczył wszystko co do minuty, przewidział, z jaką szybkością będzie jechał samochodem. Fontine sięgnął po papierosy leżące na stoliku obok łóżka.

— Ostatnie pytanie. I niech pan nie próbuje kłamać. Co było w tej przesyłce z Salonik?

Brevourt odwrócił się, podszedł do szpitalnego okna i zamilkł na dłuższą chwilę.

— Pergaminy, pisma z zamierzchłej przeszłości, które, ujawnione, mogą pogрузić w chaosie prawie cały religijny świat. Zwłaszcza cały świat chrześcijański uległby zupełnemu rozbiciu. Zaczęłoby się wzajemne rzucanie oskarżeń i zaprzeczeń, rządy musiałyby się opowiedzieć po którejś ze stron. A przede wszystkim, gdyby te dokumenty wpadły w ręce wroga, stałyby się bronią ideologiczną o niewyobrażalnej sile rażenia.

— Czy możliwe, że jakiegokolwiek dokumenty mogły coś takiego sprawić?

— Te, tak — odparł Brevourt odwracając się od okna. — Czy słyszał pan kiedyś o *Filioque*!

Victor zaczerpnął z trudem powietrza. Jego myśli pobiegły z powrotem ku bezstronnym naukom dzieciństwa.

— To część nicejskiego wyznania wiary.

— Z roku 381. Na wielu soborach wprowadzano do tekstu wyznania subtelne zmiany. *Filioque* jest późniejszym dodatkiem, który raz na zawsze ustalił, że Jezus Chrystus jest współistotny Bogu. Kanon ten jest odrzucany przez kościoły wschodnie jako wprowadzający w błąd. Bo dla kościołów wschodnich, zwłaszcza tych jego odłamów, które przyjęły nauki kapłana Ariusza, Chrystus jako syn Boży był nauczycielem; jego boskość nie mogła się równać boskości Boga Ojca. W owych czasach nie dopuszczali nawet myśli, by jakakolwiek tego typu równość mogła w ogóle istnieć. Kiedy po raz pierwszy zaproponowano użycie zwrotu *Filioque*, patriarchat Konstantyny domyślił się, co naprawdę on wnosił — doktrynalny podział faworyzujący Rzym. Teologiczny symbol stanowiący pretekst do wprowadzania podziałów i podboju nowych terytoriów. I mieli zupełną rację. Święte Cesarstwo Rzymskie stało się mocarstwem na skalę światową — w świecie, jaki wówczas znano. Jego wpływy sięgały krańców owego świata na podstawie tej jednej przesłanki, boskości Chrystusa: podbój w imię Chrystusa. — Brevourt przerwał, jakby szukając odpowiednich słów. Podszedł z powrotem do łóżka Victora.

— Czy to znaczy, że dokumenty, które zawiera ta urna — powiedział Victor — dowodzą błędności *Filioque*? Jeśli tak, to godzą w fundament, na jakim zbudowany został cały Kościół rzymski i wszystkie jego późniejsze chrześcijańskie odłamy.

— Tak, właśnie tak — odparł cicho Brevourt. — Zbiorczo nazywa się je negacjami... negacjami *Filioque*. Znajdują się wśród nich porozumienia zawarte w szóstym wieku przez dynastów i cesarów aż w Hiszpanii — gdzie powstała koncepcja *Filioque* — w celach uważanych przez wiele osób za czysto polityczne. Dopatrują się one w nich, jak to określają, "teologicznej korupcji". Ale gdyby to było wszystko, świat mógłby się z tymi dokumentami pogodzić. Syn Boży... Nauczyciel... współistotność... To są czysto teologiczne rozróżnienia, temat do dysput dla erudyty Pisma świętego. Niestety wśród tych dokumentów jest coś jeszcze. W swych usilnych dążeniach do obalenia *Filioque* patriarchat rozesłał swych kapłanów, by przeszukali miejsca święte, spotkali się z aramejskimi uczonymi, wydobyli na światło dzienne wszystko to, co miało jakiegokolwiek związek z Jezusem. Wysłancy patriarchatu znaleźli więcej, niż szukali. Z dawien dawna krążyły pogłoski o pewnych zwojach spisanych na

przełomie naszej ery. Kapłani wpadli na ich ślad, kilka z nich odnaleźli i przekazali do Konstantyny. Powiada się, że jeden z tych aramejskich zwojów wysuwa bardzo głębokie i równie konkretne wątpliwości co do osoby znanej pod imieniem Jezus. Miałoby podobno z niego wynikać, że taki człowiek mógł w ogóle nigdy nie istnieć.

I ransatlantycki statek pasażerski skierował się na otwarte wody kanału La Manche. Fontine stał przy balustradzie i obserwował rysujące się na tle nieba dachy Southampton. Jane stała obok, objąwszy go jedną ręką delikatnie w pasie, a drugą nakrywając jego dłoń, którą wspierał się o balustradę. Kule z dużymi metalowymi klamrami, które opasywały przedramiona, stały u lewego boku Victora, pobłyskując w słońcu lśniącymi klamrami nierdzewnej stali. Sam je sobie zaprojektował. Skoro, jak orzekli lekarze, będzie musiał korzystać z kuł jeszcze przez rok albo i dłużej, to trzeba było, do cholery, udoskonalić istniejący produkt.

Ich dwaj synowie, Andrew i Adrian, przebywali pod opieką niańki z Dunblane, jednej z tych osób, które zdecydowały się popłynąć z rodziną do Ameryki.

Włochy, Campo di Fiori, pociąg z Salonik — wszystko to należało już do przeszłości. Feralne pergaminy z archiwów zakonu Ksenopy spoczywały gdzieś na ogromnym obszarze Alp włoskich. Ukryte przed światem na wieki, a może nawet na zawsze.

Tak było lepiej. Świat przeżył właśnie okres zniszczeń i zwątpień. Rozsądek żądał spokoju, choćby tylko na jakiś czas i choćby tylko powierzchownego. Nie była to pora na odkrywanie urny z Salonik.

Przyszłość rozpoczęła się promieniami popołudniowego słońca odbijającymi się w wodach kanału La Manche. Victor pochylił się ku żonie i przytulił twarz do jej policzka. Żadne nie odezwało się słowem; Jane w milczeniu trzymała go za rękę.

Na pokładzie wybuchło jakieś zamieszanie. Trzydzieści metrów w kierunku rufy bliźniaki wdały się w kłótnię. Andrew był wściekły na swego brata. Nastąpiła wymiana dziecinnych ciosów. Fontine uśmiechnął się.

Och, dzieci.

CZEŚĆ DRUGA

ROZDZIAŁ 1

I

Czerwiec 1973

Mężczyźni.

“To już zupełnie dorośli mężczyźni — pomyślał Victor Fontine, obserwując swoich synów krążących osobno między gośćmi w jaskrawym słońcu. — A ponadto bliźniacy”.

Czuł, że to ważne, choć nie widział potrzeby dłużej się nad tym rozwodzić. Już chyba od lat nikt nie mówił o nich “bliźniacy”. Poza Jane i nim samym, oczywiście. Bracia — tak; ale bliźniacy. Dziwne, jak bardzo to słowo wyszło z użycia.

Być może przy okazji przyjęcia na chwilę odgrzebie się je z zapomnienia. Jane ucieszyłaby się z tego. Dla niej zawsze pozostali jej bliźniakami.

Popołudniowe przyjęcie w domu na North Shore na Long Island wydano właśnie dla nich — z okazji ich urodzin. Trawniki i ogrody z tyłu domu nad przystanią i brzegiem morza zamieniono w ogromną *fetę champetre* na świeżym powietrzu, jak to nazwała Jane. “Piknik dla dorosłych. Nikt ich już dzisiaj nie urządza. A my tak!” Niewielka orkiestra grała na południowym krańcu tarasu dostarczając muzycznego podkładu dla niezliczonych rozmów. Długie stoły uginające się pod ciężarem przekąsek ustawiono na wielkiej połaci wypięszonego trawnika. Dwa bary umieszczone z obu boków prostokątnego bufetu miały ogromne powodzenie. *Fetę champetre*. Victor nigdy przedtem nie słyszał tego określenia. Nigdy przez całe trzydzieści cztery lata ich małżeństwa.

Jak te lata przeleciały! Zupełnie jakby trzy ich dziesiątki wtłoczono w kapsułę czasu i wystrzelono w niebo z niewiarygodną prędkością po to tylko, by kapsuła ta wylądowała, została otwarta, a jej zawartość przejrzana przez uczestników doświadczenia, którzy po prostu byli tylko trochę starsi.

Andrew i Adrian znaleźli się znów blisko siebie. Andy gawędził z Kempsonami przy stole zastawionymi górami kanapek. Adrian stał koło baru, pogrążony w rozmowie z kilkoma młodymi ludźmi, których ubiór dawał jedynie mgliste wyobrażenie o płci danej osoby. Pasowało do Andrew to, że dotrzymywał towarzystwa Kempsonom. Paul Kempson był prezesem Center Electronics, miał dobre notowania w Pentagonie. Podobnie, rzecz jasna, jak Andrew. Adrian natomiast został bez wątpienia osaczony przez studentów skorych do zasypania pytaniami tego prokuratora, co to nie owijał *rzeczy* w bawełnę.

Victor spostrzegł z pewną satysfakcją, że bliźniacy górowali wzrostem nad tymi, wśród

których stali. Nic w tym dziwnego — ani on, ani Jane nie należeli do osób niskich. Byli do siebie dosyć podobni, choć nie jak dwie krople wody. Andrew był niemal blondynem; Adrian miał włosy ciemne, kasztanowe. Obaj mieli wyraziste rysy twarzy, łączące w sobie rysy jego i Jane, ale każdego cechowała niepowtarzalna indywidualność. Za to oczy mieli takie same. Intensywnie błękitne, o świdrującym spojrzeniu — oczy Jane.

Czasami, w bardzo jasnym słońcu lub głębokim cieniu, można ich było ze sobą pomylić. Ale tylko w takich sytuacjach. Żaden nie cierpiał z tego powodu. Obaj cenili sobie niezależność.

Jasnowłosy Andrew poświęcił się bez reszty zawodowej karierze wojskowej. Wpływy Victora zapewniły mu kongresową nominację do West Point, gdzie Andrew wyraźnie się wybijał. Odbył dwie służby frontowe w Wietnamie, choć gardził sposobem, w jaki prowadzono tę wojnę. "Wygrać albo się wynieść" brzmiało jego credo, ale nikt go nie słuchał, a Andrew nie był pewien, czy sprawiało mu to jakąś różnicę. Ta wojna była po prostu skazana na przegranie. Sajgońska korupcja osiągnęła niebywałe rozmiary, z niczym nieporównywalne.

Ale Victor doskonale rozumiał to, że jego syn nie miał wcale zamiaru kłaść własnego gniazda. Andrew wierzył. Głęboko, z pełnym zaangażowaniem, niezachwianie. Potęgą Ameryki opiera się na potędze zbrojnej. Kiedy wyczerpią się już argumenty słowne, pozostaje tylko siła, jaką się dysponuje. Trzeba jej używać mądrze, lecz trzeba używać.

Natomiast ciemnowłosy Adrian uważał, że nie ma takiej granicy, za którą argumentacja słowa by się skończyła, i nie uznawał żadnego wytłumaczenia dla zbrojnej konfrontacji. Adrian, prawnik, był na swój sposób takim samym zapaleńcem jak brat, choć jego styl bycia mógłby temu zaprzeczać. Nosił się niedbale, nonszalancki, ale tylko pozornie. Przeciwnicy Adriana na procesach baczili pilnie, by jego poczucie humoru i pozorna bez troska nie uspiły ich czujności. Bo Adrian niby bez troski, lecz zawsze jak napełniej zaangażowany, był rekinem sal sądowych. Przynajmniej dotychczas, kiedy pracował w prokuraturze w Bostonie. Teraz przeniósł się już do Waszyngtonu.

Adrian poszedł z liceum do Princeton, po czym skończył prawo na Harvardzie, biorąc po drodze rok urlopu, by powłóczyć się, zapuścić brodę, grać na gitarze i sypiać z wieloma chętnymi dziewczynami od San Francisco po Bleecker Street. Przez ten rok Victor i Jane wstrzymywali wspólnie oddech, choć nie zawsze udawało im się postrzymać języki.

Ale życie na szlaku, prowincjonalna zaściankowość kilku komun szybko mu się przejadły. Adrian potrafił zaakceptować bezcelową egzystencję bez żadnego wyzwania nie bardziej niż Victor niemal trzydzieści lat wcześniej, po zakończeniu wojny w Europie.

W tym momencie rozmyślania Fontine'a zostały przerwane. Do jego fotela przeciskali

się, zręcznie lawirując przez tłum, Kempsonowie. Nie musiał wstawać na ich powitanie — nikt nigdy tego od niego nie oczekiwał — ale irytowało go, że nie może tego zrobić bez pomocy.

— Fantastyczny chłopak! — wykrzyknął Paul Kempson. — Ten ma poukładane w głowie, o tak! Powiedziałem mu, że jeśli kiedykolwiek zdecyduje się zrzucić mundur, to w Center Electronics zawsze znajdzie się dla niego miejsce.

— A ja mu powiedziałam, że powinien był go dzisiaj włożyć — wtrąciła pogodnie jego żona. — Wygląda w mundurze po prostu zabójczo.

— Na pewno nie czułby się w nim najlepiej — odparł Fontaine, wcale nie taki tego pewny. — Nikt nie lubi, żeby mu przypominać o wojnie na urodzinowym przyjęciu.

— Na jak długo przyjechał do domu? — spytał Kempson.

— Do domu? Tutaj? Tylko na kilka dni. Stancjonuje teraz w Wirginii. Przy Pentagonie.

— Twój drugi chłopak też jest w Waszyngtonie, prawda? Chyba czytałem o tym jakąś wzmiankę w gazetach.

— Czytałeś nie "chyba", tylko na pewno — uśmiechnął się Victor.

— W takim razie są razem — powiedziała Alice Kempson. — To sympatyczne.

Orkiestra skończyła jeden utwór i zaczęła grać następny. Młodsze pary wyległy na taras; przyjęcie rozkręcało się. Kempsonowie z uśmiechem na twarzach popłynęli dalej w tłum coraz to pozdrawiając kogoś skinieniem głowy. Victor zamyślił się na chwilę nad uwagą Alice Kempson.

"...są razem, to sympatyczne". Ale Andrew i Adrian wcale nie byli razem. Pracowali w odległości dwudziestu minut od siebie, ale żyli zupełnie odrębnym życiem. Czasami, według Fontine'a, aż nadto. Nie zaśmiewali się już wspólnie jak dawniej. Gdy osiągnęli wiek męski, coś musiało między nimi zajść. Fontine zastanawiał się, co takiego?

Jane ze sto razy usłyszała, że przyjęcie jest ogromnie udane, nieprawdaż. Bez znaku zapytania. Dzięki Bogu, pogoda nie zawiodła. Co prawda firma organizująca przyjęcia zaklinała się, że w razie potrzeby zdołają rozstawić namioty w niecałą godzinę, ale koło południa słońce świeciło już zupełnie jasno, niosąc zapowiedź pięknego dnia.

Ale nie wieczoru. Daleko nad horyzontem morza, u wybrzeży Connecticut niebo zszarzało. Prognoza pogody mówiła o przelotnych burzach nocą przechodzących miejscowo w przybierające na sile opady ciągłe, choć Bóg jeden raczy wiedzieć, co to miało znaczyć. Dlaczego nie mogli po prostu powiedzieć, czy będzie padało, czy nie?

Od drugiej do szóstej. Dobra pora na *niedzielną fetę champetre*. Jane śmiała się z Victora, że nie zna tego określenia. Takie pretensjonalne i wiktoriańskie. Jakże zabawne było

go użyć — tak nedorzecznie wyglądało na zaproszeniach. Jane uśmiechnęła się, tłumiąc chęć roześmiania się w głos. Chyba naprawdę powinna dać spokój takim głupstwom. Była na nie już o wiele za stara.

Z tłumy po drugiej stronie trawnika uśmiechał się do niej Adrian. Czyżby czytał w jej myślach? Jej ciemnowłosa Adrian odziedziczył po niej nieco zwariowane angielskie poczucie humoru.

Kończył dziś trzydzieści jeden lat. Kończyli trzydzieści jeden lat. Kiedy te lata przeleciały? Wydawało się, że ledwie kilka miesięcy temu przyплыли do Nowego Jorku tamtym statkiem i natychmiast wpadli w wir ożywionej działalności, w czasie której Victor poruszał się samolotami po Stanach i Europie, z zapamiętaniem budując przyszłość.

I udało mu się. Fontine Ltd stało się jedną z najbardziej poszukiwanych firm consultingowych w całej Ameryce, oferując pełną fachowość obsługi wszystkim tym, którzy pragnęli wziąć udział w odbudowie Europy. Nazwisko Fontine stanowiło dla konkretnego przedsięwzięcia dodatkowy plus, dając pewność doskonałej znajomości rynku.

Victor zaangażował się bez reszty, nie tylko dla zaspokojenia ambicji czy z wrodzonej potrzeby działania, ale także z innego powodu. Jane знаła ten powód. W wirze pracy zapomniał o bólu. Liczne operacje przedłużyły jej mężowi życie, ale wobec bólu okazały się niemal zupełnie bezradne.

Spojrzała na Victora siedzącego po przeciwnej stronie trawnika na swym drewnianym krześle z prostym oparciem, z połyskującą w słońcu metalową laską u boku. Był taki dumny z siebie, kiedy dwie kule zostały zastąpione jedną laską umożliwiającą chodzenie, tak że nie od razu zauważano jego kalectwo.

— Dzień dobry, pani Fontine — odezwał się tuż przy niej młody człowiek o bardzo długich włosach. — Co za fantastyczne przyjęcie! Dzięki, że pozwoliła mi pani przyprowadzić przyjaciół. Bardzo chcieli poznać Adriana.

Młodym człowiekiem był Michael Reilly. Państwo Reilly byli ich najbliższymi sąsiadami na plaży, ich dom stał niecały kilometr dalej nad brzegiem morza. Michael studiował prawo na uniwersytecie Columbia.

— To mu powinno pochwlebiać.

— Ale on naprawdę jest wspaniały! Doprowadził do końca tę sprawę antytrustową przeciwko Tesco, kiedy nawet sąd federalny uważał, że trudno im będzie cokolwiek dowieść. Wszyscy wiedzieli, że to firma Centaura, ale trzeba było Adriana, żeby dobrać się im do skóry.

— Nie poruszaj tego tematu w rozmowie z panem Kempsonem.

— Spokojna głowa, widziałem się z nim w klubie i kazał mi się ostrzyć. Do diabła,

zupełnie jak mój ojciec!

— Widzę, że z ojcem wygrałeś. Michael wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— Jest wściekły jak zraniony byk, ale nie może pisnąć słówka. Zaliczyłem sesję z wyróżnieniem! Zawarliśmy umowę.

— Brawo. Dopilnuj, żeby jej nie złamał.

Młody Reilly roześmiał się, pochylił i pocałował Jane w policzek.

— Pani jest fantastyczna! — Znow uśmiechnął się od ucha do ucha i odszedł, przywołany skinieniem przez jakąś dziewczynę stojącą na krawędzi patio.

“Młodzi mnie lubią” — pomyślała Jane. Miło było móc to stwierdzić w czasach, gdy młodzi tak mało *rzeczy* lubili i aprobowali. Lubili ją pomimo to, że nie godziła się na pobażanie młodym. Starym też nie. Włosy przyprószyła jej, wielki Boże, niemal całkowicie siwizna, na twarzy miała zmarszczki, tyle ile trzeba, i nie było mowy o usunięciu tej tu czy podciągnięciu tej tam, jak to robiło tyle jej przyjaciółek. Dziękowała swojej gwiazdzie, że udało jej się zachować figurę. Zważywszy wszystkie okoliczności, nie najgorszą jak na sześćdziesiątkę... cholera, z hakiem!

— Przepraszam panią, pani Fontine. — To była służąca, przysłała od strony domu wariatów, w jaki zamieniła się kuchnia.

— Słucham, Grace. Jakież kłopoty?

— Nie, proszę pani. Tylko przy drzwiach czeka jakiś pan. Pytał o panią lub pana Fontine.

— Poproś go dalej. Niech przyłączy się do nas.

— Powiedział, że wolałby nie. To cudzoziemiec. Ksiądz. Pomyślałam, że pan Fontine nie chciałby przy tylu ludziach...

— Oczywiście, dobrze zrobiłaś — przerwała jej Jane, rozumiejąc przed czym chciała uchronić Victora. Victor nie przepadał za demonstrowaniem gościom, w jaki sposób zmuszony jest chodzić. — Wyjdę do niego.

Ksiądz stał w hallu, miał zbyt obszerną sutannę i starczą twarz, chudą i wymizerowaną. Sprawiał wrażenie skrępowanego, wręcz wystraszonego.

— To ja jestem panią Fontine — odezwała się Jane lodowatym tonem; nie była w stanie nad tym zapanować.

— Tak, poznaję panią, *signora* — odparł niezdarnie ksiądz, trzymając w ręce dużą, poplamioną kopertę. — Widziałem panią na zdjęciach. Nie chciałem przeszkadzać. Tyle tu samochodów.

— O co chodzi?

— Przyjechałem z Rzymu, *signora*. Przywiozłem list *dopadrone*. Czy dopilnuje pani, żeby go dostał? — spytał wyciągając ku niej rękę z kopertą. — Bardzo panią proszę.

Andrew obserwował brata stojącego w otoczeniu studentów, ubranych w te ich jednolite wdzianka z dzinsu i sztruksu, z wisiorkami na szyjach. Adrian nigdy nie zmądrzeje; jego audytorium to same śmieci. Sami pozerzy. Andrew, żołnierza irytowały nie tyle frymuśne stroje i szopy skołtunionych włosów — to były zaledwie symptomy. Irytował go fałsz wszelkich powierzchownych oznak nonkonformizmu. Ci ludzie byli w większości nie do zniesienia — antagonis-tycznie nastawione typy, folgujące myślowemu niechlujstwu.

Rozprawiali z takim przekonaniem, z takim znanstwem o “ruchach rewolucyjnych” i “kontrrewolucyjnych”, jakby sami byli ich uczestnikami, zwrotniczymi kolein myśli politycznej. Ten świat... Trzeci Świat. I na tym polegał największy kawał, bo nawet jeden na dziesięć tysięcy nie miał pojęcia o tym, jak się robi rewolucję. Brak im było i niezbędnego zaangażowania, i odwagi, i oleju we łbie.

Nieudacznicy, ciskający plastikowymi torebkami z gównem, kiedy nikt nie zwracał uwagi na ich bredzenie. Po prostu degenera-ci — o Chryste, jak on nie cierpiał degeneratów! Ale Adrian tego nie rozumiał, doszukiwał się wartości tam, gdzie ich wcale nie było. Adrian był głupcem. Siedem lat temu odkrył, jak wielkim głupcem jest Adrian. Adrian był nieudacznikiem w najgorszym sensie tego słowa, bo miał wszelkie powody, żeby nim nie być.

Napotkał spojrzenie brata stojącego przy barze; odwrócił wzrok w inną stronę. Adrian śmiertelnie go nudził, a jego widok rozprawiającego z takim ożywieniem przed tym szczególnym audytorium napawał go odrazą.

Nie zawsze tak było. Dziesięć lat temu, kiedy skończył West Point, nie czuł aż tak silnej niechęci. Nie miał wysokiego mniemania 'o Adrianie i jego kolekcji nieudaczników, ale nienawiści nie odczuwał. Przy tym sposób, w jaki ekipa Johnsona zaczęła prowadzić sprawy w południowo-wschodniej Azji, tłumaczył ich stosunek zawarty w słowach: “Wynoście się!” Należało to rozumieć: “Zmiećcie Hanoi z powierzchni ziemi. Albo się wynoście”.

Bez końca tłumaczył swoje stanowisko. Tym degeneratom i Adrianowi. Ale nikt nie chciał tego wysłuchiwać z ust żołnierza. Nazywali go żołnierzykiem. Kulołębkiem. Szybkostrzałem. Bom-bardupkiem.

Nie chodziło o przezwiska. Każdy, kto wytrzymał w West Point i w Sajgonie, umiał sobie z tym poradzić. W ostatecznym obrachunku chodziło o ich głupotę. Nie tylko *zrażali* do siebie wszystkich, którzy się liczyli, ale wrogo ich do siebie nastawiali, rozwścieczali, wreszcie wprawiali w zakłopotanie. A to już była najwyższa głupota. Nawet tych, którzy się z nimi zgadzali, zmuszali do zajęcia przeciwnych pozycji.

Siedem lat temu w San Francisco Andrew próbował otworzyć bratu oczy, przekonać go, że to co robi, jest złe i głupie — i bardzo niebezpieczne dla niego, żołnierza.

Wrócił właśnie z dwuipółrocznej służby w Delcie Mekongu, gdzie wystawiono mu jedną z najlepszych opinii w całej armii. Jego kompania miała najwyższy wskaźnik zadanych przeciwnikowi strat w ludziach w całym batalionie; sam Andrew był dwa razy odznaczony, a gdy otrzymywał belki kapitana, ledwie miesiąc był porucznikiem. Był cennym nabytkiem dla sił zbrojnych: młody, błyskotliwy strateg wojskowy z niezwykle zamożnej i wpływowej rodziny. Stała przed nim otworem kariera na sam szczyt, tam gdzie było jego miejsce. Odwołano go z przeznaczeniem do innych *zadań*, co w języku Pentagonu miało znaczyć: "To nasz człowiek. Upatrzyliśmy go sobie. Bogaty, pewny — materiał do szefostwa połączonych sztabów. Jeszcze trochę zaprawy w walce — w kilku wybranych obszarach, kilka krótkich lat — i skierowanie do Akademii Wojennej".

Pentagonowi nigdy nie szkodziło faworyzować takich jak on, zwłaszcza wtedy, gdy cechy kandydata to uzasadniały. Armia bardzo potrzebowała ludzi z potężnych rodzin, a trafiali jej się niezmiernie rzadko.

A jednak tamtego dnia siedem lat temu, gdy wysiadł w Kalifornii z samolotu, czekali na niego agenci Wywiadu Wojskowego — G-2, nie bacząc na fawory Pentagonu ani potrzeby armii. Zabrali go do jakiegoś biura i pokazali mu gazetę sprzed dwóch miesięcy. Na drugiej stronie był artykuł o buncie w koszarach garnizonu w San Francisco. Artykuł był ilustrowany zdjęciami z zamieszek, jedno przedstawiało grupę cywilów biorących udział w marszu poparcia dla zbuntowanych rekrutów. Pewną twarz obwiedzione czerwonym ołówkiem.

Adrian. Wydawało się to niemożliwe, ale to był on. Nie miał w ogóle prawa tam być; był właśnie na ostatnim roku studiów — w Bostonie. Ale zamiast w Bostonie był w San Francisco i ukrywał trzech skazanych dezertersów, którym udało się zbiec. Tak powiedzieli faceci z G-2. Jego brat bliźniak pracował dla wroga! No bo, do cholery, tak właśnie było i to właśnie robił! Pentagon nie uzna tego za wspaniały żart. Jezu! Jego własny brat! Bliźniak!

Toteż agenci przywieźli go samolotem na północ i tam, już bez munduru, dotąd włączyli się ulicami Haight-Ashbury, aż znalazł Adriana.

— To nie mężczyźni, to zagubione dzieciaki — tłumaczył mu brat w ustronnym barze. — Nikt ich nawet nie poinformował o przysługujących im zgodnie z prawem możliwościach; załatwiono ich w trybie przyspieszonym.

— Złożyli taką samą przysięgę jak wszyscy inni. Nie można i robić wyjątków! — odparł Andrew.

1 — Och, daj spokój! Dwóch z nich w ogóle nie wiedziało, co ta j przysięga

oznacza, a trzeci naprawdę zmienił zdanie. Ale nikt nie chce słuchać. Prokuratura wojskowa ma zamiar zrobić z tego pokazówkę, a obrona woli jej w tym nie przeszkadzać.

— Czasami trzeba zrobić pokazówkę — twardo obstawał przy swoim.

— Prawo powiada, że przysługuje im kompetentny obrońca, a nie kumpel prokuratora od sączenia butelki w koszarach, który chce tylko dobrze wypaść.

— Adrian! — przerwał mu. — Człowieku, obudź się! Tam trwa wojna! Na prawdziwe kule! Za takich bydlaków jak ci płacą inni! Często życiem!

! — Jeśli zostawi się ich tutaj, to nie.

l — A właśnie że tak! Bo inni *zaczynają* się zastanawiać, dlaczego to ich nie zostawiono tutaj, tylko wysłano tam!

— Może wreszcie powinni.

— Na miłość boską, chodzi ci o prawa człowieka, tak? — zirytowała się Andrew.

— Dobrze by było, żebyś wreszcie w to uwierzył.

— No dobrze, a ten biedny skurwysyn na patrolu na ryżowisku nie ma żadnych praw?! Może on też nie wiedział, w co się pakuje; może poszedł do wojska po prostu dlatego, że tak nakazywało prawo. Może on też zmienił zdanie. Tylko że on nie ma czasu o tym myśleć, bo za wszelką cenę próbuje utrzymać się przy życiu. Jeśli się zagubi, rozklei, to zginie!

— Nie da się dotrzeć do każdego; to jedno z niedopatrzeń prawa, wbudowana w system możliwość jego nadużycia. Ale robimy, co możemy.

Siedem lat temu Adrian nie chciał mu podać żadnych informacji. Odmówił ujawnienia miejsca, gdzie ukrywają się dezerterzy. Toteż pożegnał się z nim w zacisznym barze, po czym przystanął w jakimś ciemnym zaułku i zaczął czekać, aż brat wyjdzie na ulicę. Przez trzy godziny chodził za nim ulicami pełnymi hipów ćpających LSD. Był ekspertem w odnajdywaniu patroli zagubionych w dżungli; San Francisco stanowiło tylko nieco inny rodzaj dżungli.

Pięć przecznic od nadbrzeża jego brat spotkał się z jednym z dezerterów. Chłopak był czarny, chudy, wysoki i nie ogolony, i odpowiadał fotografii, którą miał w kieszeni Andrew. Adrian dał dezerterowi pieniądze. Teraz wystarczyło po prostu iść za czarnym do dzielnicy portowej, do obskurnej kamienicy stanowiącej tak samo dobrą kryjówkę jak wiele podobnych miejsc w tej okolicy.

Zadzwoił do żandarmerii wojskowej. Dziesięć minut później trzech dezerterzy zostali wywleczeni z rudery, by spędzić osiem lat w wojskowym więzieniu.

Nieudacznicy przystąpili do działania. Zebrali się w tłum, skandowali epitety, kołysali się w rytm tych ich dziecinnych, niedorzecznych piosenek. I ciskali plastikowymi torebkami ekskrementów.

Tamtej nocy jego brat podszedł do niego w tym tłumie i przez długą chwilę po prostu na niego patrzył. W końcu powiedział: — Sprowadziłeś mnie z powrotem na właściwą drogę. Dzięki. Po czym odszedł szybko do barykady niedoszłych rewolucjonistów.

Andrew został wyrwany ze wspomnień przez Ala Winstona, uprzednio Weinsteina, konstruktora w pewnej firmie zajmującej się produkcją napędów raketowych. Al zawołał go po imieniu i przeciskał się przez tłum w jego kierunku. Winston był zaangażowany w dostawy dla lotnictwa i mieszkał w Hampton Roads. Andrew nie lubił Winstona-Weinsteina. Jego widok za każdym razem przywodził mu na myśl innego Żyda i zmuszał do porównań. Żyd, którego przywodził mu na myśl, został przeniesiony do Pentagonu po czterech latach spędzonych pod ciężkim ostrzałem w najgorszej części Delty. Kapitan Martin Greene to była twarda sztuka, wspaniały żołnierz, nie to co rozlazły Winston-Weinstein z Hamp-tons. I Greene nie ciągnął lewych zysków z przekraczania kosztów; zamiast tego przyglądał się im pilnie, notując skrupulatnie każdy taki wypadek. Martin Greene był jednym z nich. Jednym z członków Korpusu Oko.

— Wszystkiego najlepszego, majorze — powiedział Winston, unosząc swoją szklaneczkę.

— Dziękuję, Al. Jak leci?

— Leciałoby znacznie lepiej, gdybym mógł coś sprzedać także i wam, chłopcy. Nie mam żadnego wsparcia w wojskach lądowych. — Winston wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— Ale świetnie dajesz sobie radę w powietrzu. Czytałem gdzieś, że załapałeś nie na kontrakt Grummana.

— Co to za pieniądze! Mam taką jedną laserową gładzarkę, którą można by zaadaptować do potrzeb ciężkiej artylerii. Ale najtrudniej zrobić początek.

Andrew pomyślał, że można by posłać Winstona-Weinsteina do Martina Greene'a . Zanim Greene by z nim skończył, Al Winston żałowałby, że kiedykolwiek w życiu słyszał w ogóle o Pentagonie.

— Zobaczę, co się da zrobić. Ja nie jestem w kwatermistrzostwie...

— Ale słuchają cię, Andy...

— Ty ani na chwilę nie przestajesz pracować, Al.

— Mam wielki dom, wielkie rachunki i rozpuszczone bachory. — Winston znów wyszczerzył zęby w uśmiechu, po czym spoważniał na chwilę, odpowiednio długą, by móc przejść do sedna sprawy. — Szepnij za mną słówko. Zrewanżuję się.

— Jak? — spytał Andrew i wzrokiem pobiegł ku jachtowi i żaglówkom kołyszącym się na wodzie w przystani. — Finansowo?

Uśmiech powrócił na twarz Winstona, tym razem nieco nerwowy i zakłopotany.

— Nie chciałem cię urazić — powiedział cicho.

Andrew spojrzał na Żyda, myśląc znów o kapitanie Greenie i różnicy między nimi.

— Nie uraziłeś — powiedział i zostawił Winstona samego. Chryste! *Zaraz* po degeneratach nienawidził korupcji. Nie, to nieprawda. *Zaraz* po degeneratach nienawidził tych, którzy dawali się korumpować. Wszędzie ich było pełno. Siedzieli w salach konferencyjnych, grali w golfa na polach wypoczynkowych Evans-tone i Grosse Pointę. Frymarczyli swymi szlifami oficerskimi!

Pułkownicy, generałowie, komandorzy^ admirałowie. Cały pieprzony wojskowy establishment roił się od złodziei nowego rodzaju. Ludzi, którzy puszczały oczko, uśmiechali się i składali swe podpisy na zaleceniach komitetów, aprobatach dostaw, kontraktach, na przekroczeniach limitów. Bo dano im jasno do zrozumienia, że dzisiejszy generał to jutrzejszy "konsultant" lub "przedstawiciel Waszyngtonu".

Chryste, jak łatwo było nienawidzić! Nieudaczników, korupcji, łapówkarzy — tych, co dają i tych, co biorą...

To był właśnie powód sformowania Korpusu Oko. Bardzo małej grupki oficerów, którym ostatecznie obmierzła apatia, korupcja i rozkład szerzące się we wszystkich formacjach sił zbrojnych. Korpus Oko był na nie odpowiedzią, lekarstwem, które miało uleczyć chorobę. Bo Korpus Oko zbierał informacje od Sajgonu po Waszyngton. Jego członkowie zestawiali wszystko w całość: nazwiska, daty, koneksje, nielegalne zyski.

I do diabła z tak zwanymi kanałami służbowymi, szczebel po szczeblu w górę drabiny dowodzenia. Do inspektora generalnego. Do sekretarza obrony. Bo kto mógłby poręczyć za dowództwo? Za samego inspektora generalnego? Kto przy zdrowych zmysłach mógłby poręczyć za cywilów?

Nikt, komu ufali. Toteż zdecydowali zabrać się do tego sami. Każdy generał, każdy, kto tolerował jakąkolwiek formę wypaczeń, miał zostać zdemaskowany i postawiony twarzą w twarz ze swoimi przestępstwami.

Korpus Oko. Do tego właśnie się sprowadzał. Garstka najlepszych młodych oficerów frontowych, którzy pewnego dnia wkroczą do Pentagonu i przejmą władzę. I nikt nie ośmieli się stanąć im na drodze. Dowody zebrane przez Korpus Oko zawisną nad głowami grubych ryb jak granaty. Granaty, które eksplodują, jeśli grube ryby nie usuną się i nie zostawią foteli dla ludzi z Korpusu Oko. Pentagon będzie ich. Przywrócić mu znaczenie. I siłę.

Adrian Fontine stał oparty o bar i przysłuchiwał się zaciętej dyskusji młodych studentów, czując, że brat im się przygląda. Spojrzał w jego stronę. Nim Andrew przeniósł

wzrok na podchodzącego i pozdrawiającego go uniesieniem szklaneczki Ala Winstona, Adrian ujrzał w jego oczach tę samą co zwykle ledwie zawoalowaną pogardę.

“Andrew zaczyna zbyt otwarcie się z nią obnosić — pomyślał Adrian. — Utracił część swego słynnego opanowania; ostatnio za łatwo różne rzeczy go drażniły”.

Wielki Boże, jak bardzo ich drogi się rozeszły! A kiedyś byli sobie tak bliscy. Bliźnięta... bracia, bliźniacy, przyjaciele. Bliźniacy zawsze najlepsi! I gdzieś po drodze, kiedy mieli po kilkanaście lat, w szkole średniej, wszystko to zaczęło się zmieniać. Andrew zaczął uważać się za najlepszego z najlepszych, gdy tymczasem Adrian wcale nie był pewien, czy jest choćby taki sobie. Andrew ani przez chwilę nie wątpił w swe zdolności, Adrian nie był pewien, czyje w ogóle posiada.

Teraz już był. Okropne lata chwiejności miał za sobą; pokonał etap niepewności i znalazł swą własną drogę. Zawdzięczał to w znacznej mierze tak bardzo pewnemu swego bratu żołnierzowi.

I dzisiaj, na wspólnym przyjęciu urodzinowym, musiał stanąć twarzą w twarz z bratem i zadać mu kilka bardzo drażliwych pytań. Pytań, które sięgały samego źródła siły brata, tajemnicy strzeżonej jak źrenicy oka.

Oka? Zupełnie niechcący trafił w sedno.

Korpus Oko — tak brzmiała nazwa organizacji, na której trop ostatnio wpadli. Nazwisko brata figurowało na liście członków. Ośmiu mamiących się wzajem “wybrańców”, którzy taili dowody przestępstw dla własnych celów. Grupki oficerów, którzy wmówili sobie, że będą rządzić Pentagonem metodą — bo do tego się to sprowadzało — ordynarnego szantażu. Sytuacja mogłaby być komiczna, gdyby nie to, że te dowody istniały naprawdę, znajdowały się w posiadaniu Korpusu Oko. Pentagon nie należał do instytucji, którymi nie można by manipulować poprzez zastraszenie. Korpus Oko mógł się okazać niebezpieczny; należało jak najprędzej się go pozbyć.

Zdecydowali, że takie rozwiązanie im wystarczy. Wręczą pozew sądowy in blanco prawnikom z armii i pozwolą im załatwić całą sprawę po cichu. Pod warunkiem, że ją naprawdę załatwią, a nie zatuszują. Może rzeczywiście nie pora teraz na demoralizujące procesy i duże wyroki. Krąg winnych był tak szeroki, a ich motywy tak bardzo zawikłane. Ale przy jednym warunku obstawali niewzruszenie: pozbawcie “wybrańców” mundurów, oczyśćcie swój wojskowy dom.

Jezu, co za ironia! W San Francisco to Andrew brutalnie dochodził wojskowego prawa. Teraz, siedem lat później, on, Adrian, walczył o jego respektowanie. Miał nadzieję, że mniej brutalnie, choć przestępstwo nie było wcale mniej konkretne — działanie na szkodę wymiaru

sprawiedliwości.

Tyle się zmieniło. Jeszcze dziewięć miesięcy temu był zastępcą prokuratora w Bostonie, szczęśliwym z powodu tego, co robi, pracował na opinię, która mogła go zaprowadzić niemalże wszędzie. Zdobywał ją sam, własną pracą. Nie dostawał jej w prezencie tylko dlatego, że jest Adrianem Fontine'em, synem Victora Fontine'a, bratem wychwalanego pod niebiosa majora Andrew Fontine'a z West Point, nieskalanego wojownika.

I wtedy, w początkach października, zadzwonił do niego jakiś człowiek zapraszając go późnym popołudniem na drinka do baru Copely. Nazywał się James Nevins i był czarny; był także prokuratorem i pracował w Departamencie Sprawiedliwości w Waszyngtonie. Nevins był rzecznikiem grupki nękanych, zniechęconych prawników rządowych, którzy nie mogli znieść taktyki najbardziej upolitycznionego departamentu ze wszystkich, jakie pamiętano. Zwrot "dzwoni Biały Dom" oznaczał po prostu jakąś następną manipulację. Prawnicy byli zaniepokojeni, i to poważnie. Te manipulacje groziły krajowi widmem państwa policyjnego.

Potrzebowali wsparcia. Z zewnątrz. Kogoś, komu mogliby przekazać informacje. Kogoś, kto potrafiłby je zestawić i oszacować, kto mógłby zorganizować i opłacić centrum dowodzenia, gdzie mogliby się prywatnie spotykać i dyskutować czynione postępy.

Szczerze mówiąc, kogoś, kto nie byłby podatny na żadne naciski. Z przyczyn, które wydawały się zupełnie oczywiste, niejaki Adrian Fontine doskonale się do tego nadawał. Czy się zgadzał?

Adrian nie miał ochoty opuszczać Bostonu. Miał tu robotę, miał dziewczynę. Trochę zwariowaną, wspaniałą dziewczynę, którą uwielbiał, Barbarę Pierson, magistra nauk humanistycznych, doktora filozofii, docenta w katedrze antropologii Uniwersytetu Harvarda. Dziewczyna skora do gardłowego śmiechu, o kasztanowych włosach i orzechowych oczach. Byli wówczas ze sobą od półtora roku; niełatwo było ją opuścić. Ale Barbara spakowała go i wysłała w drogę, bo wiedziała, że musi jechać.

Dokładnie tak samo jak musiał wyjechać siedem, osiem lat wcześniej. Wtedy także musiał opuścić Boston. Popadł w depresję. Był bogatym synem potężnego ojca; bliźniaczym bratem człowieka, którym armia popisywała się w rozkazach dziennych, jako jednym z najzdolniejszych młodych ludzi w siłach zbrojnych. Co zostało dla niego? Kim był on, Adrian? Toteż uciekł przed pompatycznością tamtego życia, żeby zobaczyć, co uda mu się znaleźć dla siebie, wyłącznie dla siebie. To był jego osobisty kryzys; nie umiałby nikomu go wyjaśnić. I wylądował w San Francisco, gdzie toczyła się walka, zmagania, które potrafił zrozumieć, w których mógł pomóc. Aż zjawił się nieskalany wojak i wszystko zniszczył.

Adrian uśmiechnął się na wspomnienie ranka po tamtej strasznej nocy w San Francisco.

Spłł się do nieprzytomności i kiedy obudził się w domu pewnego radcy prawnego w Cape Mendocino, miał potwornego kaca, rzygał.

— Jeśli jesteś tym, za kogo się podajesz, to mozesz działać więcej niż ktokolwiek z nas — powiedział mu tamtego ranka adwokat w Cape Mendocino. — Do diabła, mój stary był zwykłym dozorcą.

Przez siedem lat, które upłynęły od tamtego dnia, Adrian póbował; wiedział jednak, że to dopiero początek.

— To konstytucyjna niejasność! Prawda, Adrianie?

— Słucham? Przepraszam, nie słyszałem, co powiedziałaś. — Studenci przy barze kłócili się między sobą; teraz oczy wszystkich spoczęły na nim.

— Wolność prasy kontra przedprocesowe nastawianie opinii publicznej — powiedziała jąkając się z przejęcia młoda dziewczyna.

— To rzeczywiście niejednoznacznie zdefiniowany obszar — odparł Adrian. — Każdy przypadek należy rozpatrywać z osobna.

Młodzi ludzie spodziewali się po nim czegoś więcej, toteż powrócili do wrzeszczenia na siebie.

Obszar niejednoznacznie zdefiniowany. Jeszcze kilka tygodni temu sajgoński Korpus Oko także należał do tego obszaru. Do Waszyngtonu przeciekły wieści, że pewna grupka młodych wiekiem oficerów systematycznie nęka rekrutów zatrudnionych w porcie i magazynach, żądając kopii manifestów załadunkowych i wykazów miejsc przeznaczenia. Wkrótce potem, podczas jednego z licznych prowadzonych bez zbytniego entuzjazmu procesów antytrustowych w Departamencie Sprawiedliwości, strona pozwana oświadczyła, że przedłożone dokumenty zostały skradzione z jej biura w Sajgonie, stanowiąc w ten sposób dowody pozyskania drogą sprzeczną z prawem. Sprawa została umorzona.

Prawnicy z departamentu zastanawiali się, czy istnieje jakiś związek pomiędzy dziwną grupą oficerów przetrząsających niebo i ziemię w poszukiwaniu manifestów załadunkowych a korporacjami realizującymi kontrakty Pentagonu. Czyżby ci wojskowi posunęli się aż do tego? To posądzenie wystarczyło, żeby wysłać do Sajgonu Jima Nevinsa.

Ciemnoskóry prokurator znalazł to, czego szukał. W magazynie na terenie składów wojskowych w Tan Son Nhut. Jakiś oficer nielegalnie kopiował informacje dotyczące dostaw uzbrojenia, noszące charakter danych ściśle tajnych. Gdy zagrożono mu wniesieniem oskarżenia, oficer załamał się i ujawnił Korpus Oko w całej jego okazałości. Składał się z ośmiu oficerów; zatrzymany znał nazwiska siedmiu. O ósmym wiedział tylko, że pracuje w Waszyngtonie. Listę tych, którzy zostali zidentyfikowani, otwierał Andrew Fontine. “Korpus

Oko. Sympatyczni faceci — pomyślał Adrian. — Tylko tego jeszcze kraj potrzebował, komandosów ratujących ojczyznę".

Siedem lat wcześniej, w San Francisco, Andrew nie ostrzegł go, nim rozpoczął akcję, do Haight-Ashbury zjechały z wyciem syren radiowozy wojskowe. Adrian postanowił wykazać więcej zrozumienia. Da mu pięć dni. Nie będzie syren, zamieszek... ani ośmioletniego wyroku w wojskowym więzieniu. Ale sławny major Andrew Fontine rozstanie się z mundurem.

I choć do zakończenia roboty w Waszyngtonie było jeszcze daleko, Adrian wróci na jakiś czas do Bostonu. Do Barbary.

Był zmęczony. I chory na myśl o tym, co go czeka za mniej więcej godzinę. Czuł prawdziwy ból, wszak cokolwiek by o nim powiedzieć, Andrew był jego bratem.

Wyszli już ostatni goście. Orkiestra pakowała instrumenty, ludzie z firmy organizującej przyjęcia sprząтали trawniki. Niebo ciemniało coraz bardziej, zarówno z powodu zwałów groźnych chmur sunących znad morza, jak i zapadającego zmierzchu.

Adrian przeciął trawnik i zszedł po wykładanych płytami schodach do przystani. Andrew czekał już tam na niego, tak jak mu polecił.

— Sto lat, mecenasie — powiedział, kiedy Adrian stanął w drzwiach hangaru. Stał z założonymi rękami, oparty o ścianę za pochylnią dla jachtu i palił papierosa.

— Nawzajem — odparł Adrian, przystając na krawędzi pochylni. — Nocujesz dzisiaj?

— A ty? — spytał Andrew.

— Pomyślałem sobie, że może powinienem. Staruszek wygląda kiepsko.

— W takim razie ja nie będę nocował — odparł uprzejmie wojskowy.

Adrian zamilkł. Wiedział, że Andrew oczekuje od niego wyjaśnień, nie był jednak pewien, od czego powinien zacząć i zamiast tego rozejrzał się po hangarze.

— Nieźle się tu czasem bawiliśmy.

— Zebrało ci się na wspominki? Czy po to kazałeś mi przyjść?

— Nie... Chciałbym, żeby tylko o to chodziło.

Andrew pstryknięciem palców posłał niedopałek do wody.

— Słyszałem, że przeniosłeś się z Bostonu do Waszyngtonu.

— Tak. Na jakiś czas. Ciągle mi się zdaje, że musimy się na siebie natknąć.

— Mocno wątpię — odparł z uśmiechem major. — Poruszamy się w zupełnie innych kręgach. Pracujesz w jakiejś firmie waszyngtońskiej?

— Nie. Można by chyba powiedzieć, że jestem doradcą.

— To najlepsza fucha w Waszyngtonie. — W głosie brata zadźwięczała nuta cichej pogardy. — Komu doradzasz?

— Pewnej grupie mocno rozdrażnionych ludzi.

— Och, jakiejś organizacji konsumentów! Czy to nie sympatyczne? — Zabrzmiało to obraźliwie. — Brawo!

Adrian spojrział swemu bratu prosto w oczy; Andrew nie spuścił wzroku.

— Nie traktuj mnie z góry, Andy. W twojej sytuacji nie bardzo możesz sobie na to pozwolić. Wpadłeś w niezłe tarapaty. Nie przyszedłem tutaj, żeby ci pomóc. Tego nie mogę zrobić. Przyszedłem, żeby cię ostrzec.

— O czym ty, do diabła, mówisz? — spytał półgłosem major.

— Jeden z naszych ludzi zdobył zeznanie pewnego oficera w Sajgonie. Mamy kompletne oświadczenie dotyczące działalności grupy ośmiu osób, nazywających siebie Korpusem Oko.

Andrew drgnął gwałtownie, twarz mu się ściągnęła, rozczapierzonymi, zakrzywionymi palcami wczepił się w ścianę za plecami i zastygł w bezruchu. Niemal skamieniał. Ledwie słyszalnym szeptem, wyrzucając z siebie każde słowo oddzielnie spytał: — Co — to — znaczy — "my"?

— Już wkrótce się tego dowiesz. Przeczytasz w pozwie.

— Pozwie?

— Tak. Departament Sprawiedliwości, pewien specjalistyczny wydział... Nie podam ci konkretnych osób, ale mogę ci powiedzieć, że twoje nazwisko figuruje na pierwszym miejscu listy członków Korpusu Oko. Wiemy, że jest was ośmiu; siedmiu zostało zidentyfikowanych, ósmy pracuje w Pentagonie. W kwatermistrzostwie. Znajdziemy go.

Andrew nadal stał w tej samej pozycji pod ścianą; wszystko w nim pozostało zupełnie nieruchome, poza mięśniami szczęki, które pulsowały powoli, bez chwili przerwy. Nadal mówił cicho, cedząc słowa.

— Co wyście zrobili? Co wyście, dranie, zrobili?

— Przeszkodziłszy wam — odparł z prostotą Adrian.

— Co wiecie? Co wam powiedziano?

— Prawdę. Nie mamy powodów, by w to wątpić.

— Żeby wystawić pozew, trzeba dowodów!

— Trzeba mieć sprawę, którą da się udowodnić. To mamy.

— Jedno zeznanie! To nic nie jest!

— Będziemy mieli następne. Ale co to dla ciebie za różnica? I tak jesteście skończeni. Andrew zapanował nad swym głosem.

— Oficerowie wciąż się skarżą — powiedział sucho. — Wzdłuż i wszerz stref

codziennie się na coś skarżą...

— Ale nie w taki sposób. Granica między skargami a szantażem nie jest wcale taka nieuchwytna. Jest precyzyjnie określona, bardzo wyraźna. Przekroczyliście ją.

— A kogo to niby szantażowaliśmy? — wszedł mu niemal w słowo Andrew. — Nikogo!

— Prowadziliście kartotekę, ukrywaliście materiał dowodowy w celach, które są zupełnie jasne. To jest w zeznaniu.

— Nie ma żadnej kartoteki!

— Och, daj spokój, wiemy, że gdzieś jest — powiedział ze znużeniem w głosie Andrew. — Ale jeszcze raz powtarzam: co to kogo obchodzi. I tak jesteście skończeni.

Andrew drgnął. Oderwał się od ściany i stanął pod nią sztywno wyprostowany.

— Posłuchaj mnie — powiedział cicho z ogromnym napięciem w głosie. — Ty nie wiesz, co robisz. Mówisz, że jesteś doradcą grupy rozdrażnionych. Obaj wiemy, co to oznacza — nazywamy się Fontine. Komu potrzeba jeszcze czegoś, kiedy ma nas?

— Ja tego tak nie widzę — przerwał mu Adrian.

— To prawda! — krzyknął wojskowy. Po czym znów zniżył głos. — Nie musisz przeliterować tego, czym się zajmujesz, zrobiły to bostońskie gazety. Demaskujesz grube ryby, kapitały kontrolne, jak to nazywasz. Jesteś w tym dobry. A jak ci się zdaje, co ja robię? Do diabła, my też ich demaskujemy. Jeśli zlikwidujesz Korpus Oko, zniszczysz najlepszych młodych oficerów w całej armii, ludzi, którzy chcą wymieść śmieci! Nie rób tego, Adri! Przyłącz się do nas! Ja mówię poważnie.

— Przyłączyć się... — powtórzył Adrian z niedowierzaniem. A potem dodał cicho: — Zupełnie zwariowałaś. Skąd ci przyszło do głowy, że coś takiego mogłoby być w ogóle możliwe?

Andrew odstąpił krok od ściany, nie spuszczać wzroku.

— Stąd, że obaj chcemy tego samego.

— Nie, mylisz się.

— Na miłość boską, pomyśl przez chwilę! "Kapitały kontrolne". Często używasz tego określenia. Czytałem twoją mowę końcową w procesie przeciw Tesco. Powtarzałeś to bez przerwy.

— Trafiało w sedno. Jedna firma posiadająca wiele innych, narzucająca jednolitą politykę rynkową tam, gdzie powinna panować konkurencja. Do czego zmierzasz?

— Używasz tego terminu w znaczeniu negatywnym, bo tak się na to zapatrujesz. W porządku, ja to kupuję. Ale uważam, że można na to spojrzeć z innej strony. Mogą być i

pozytywne kapitały kontrolne. Jak w naszym przypadku. My dwaj sami niczego nie potrzebujemy. Nam chodzi o dobro tego kraju i mamy ogromne możliwości działania. Jesteśmy w stanie coś zrobić. I ja to robię. Na miłość boską, nie przeszkadzaj mi w tym!

Adrian odwrócił się od brata i ruszył powoli, bez celu, wzdłuż wilgotnych desek pomostu w hangarze ku wielkiej bramie prowadzącej na otwarte wody. Woda uderzała o pale.

— Szermujesz pięknymi słowami, Andy. Zawsze łatwo ci to przychodziło, zawsze byłeś pewien siebie i tego, co mówiłeś. Ale nic z tego nie będzie. — Odwrócił się i spojrzał na brata stojącego po drugiej stronie pochylni. — Mówisz, że my niczego nie potrzebujemy. Ja myślę, że owszem, że obaj czegoś potrzebujemy, chcemy. Ale to, czego ty chcesz, mnie *przeraża*, bo wiem, co ty uważasz za najlepsze. Szczerze mówiąc, włos mi się jeży ze strachu na myśl o twoich "najlepszych oficerach" kontrolujących rdzeń tego kraju, mam ochotę biec do biblioteki, żeby jeszcze raz przeczytać konstytucję.

— To eleganckie pieprzenie! Przecież ich nie znasz!

— Ale znam ich metody, twoje też. Jeśli poprawi ci to nastrój, to powiem, że wtedy w San Francisco nie mówiłeś tak zupełnie od rzeczy. Nie podobało mi się to, ale muszę to przyznać. — Adrian podszedł z powrotem do pochylni. — Ale teraz mówisz od rzeczy i dlatego cię ostrzegam. Ratuj się na tyle, na ile możesz — to ci jestem winien. Wycofaj się. Wycofaj się jak najbardziej honorowo.

— Nie możecie mnie do tego zmusić — syknął jadowicie Andrew. — Przebieg służby mam wzorowy. A kimże, u diabła, jesteś ty? Jedno idiotyczne zeznanie utyskującego oficera ze strefy frontowej. Pieprzenie w bambus!

— Powiem ci wyraźnie! — Adrian przystanął przy drzwiach do hangaru i podniósł głos. — Za pięć dni, dokładnie rzecz biorąc w najbliższy piątek, szef kancelarii Sądu Wojskowego otrzyma pozew in blanco. Będzie miał weekend na wynegocjowanie sposobu załatwienia tej sprawy. Może ją załatwić na różne sposoby, ale jest jeden nieodwołalny warunek: macie zdjąć mundur. Wszyscy.

Wojskowy targnął się w przód, po czym zatrzymał ze stopą na krawędzi pochylni, jakby miał zamiar skoczyć na drugą stronę i rzucić się na wroga. Wziął się w karby; wyglądał tak, jakby zalewały go, przebiegały na wskroś na przemian fale nudności i wściekłości.

— Mógłbym cię... zabić — wyszeptał. — Uosabiasz wszystko, czym gardzę.

— Tak sądzę — odparł Adrian, zamykając na chwilę oczy i przecierając je ze zmęczenia. — Lepiej jedź już na lotnisko — ciągnął dalej, teraz już patrząc na brata. — Masz kupę *rzeczy* do zrobienia. Proponuję, żebyś zaczął od tych tak zwanych dowodów, które gdzieś tam zadołowałeś. Z tego co wiemy, zbierałeś je prawie całe trzy lata. Przekaż je odpowiednim

władzom.

Z niema wściekłością Andrew obszedł wielkimi krokami pochylnię, minął Adriana i wypadł na schody z przystani. Wbiegł na górę po dwa stopnie naraz.

Adrian podszedł szybko do drzwi i zawołał za nim na cały głos, zatrzymując brata na krawędzi trawnika.

— Andy!

Żołnierz stanął jak wryty. Ale nie odwrócił się ani nie odezwał. Więc prawnik ciągnął dalej: — Podziwiam twoją siłę, zawsze podziwiałem. Tak jak podziwiałem siłę ojca. Masz w sobie coś z niego, ale nie wszystko. Coś gdzieś przeoczyłeś, więc spróbujmy się zrozumieć. Ty uosabiasz wszystko to, co uważam za groźne. To chyba *znaczy*, że uosabiasz wszystko to, czym jak z kolei gardzę.

— Zrozumieliśmy się — odparł Andrew pozbawionym wyrazu głosem i ruszył szybkim krokiem przez trawnik w kierunku domu.

Orkiestra i firma organizująca przyjęcia zwinęły się. Andrew pojechał na lotnisko La Guardia. Miał stamtąd o dziewiątej samolot do Waszyngtonu.

Adrian pozostał na plaży sam jeszcze prawie pół godziny po odejściu brata. W końcu powlókł się do domu zamienić kilka słów z rodzicami. Powiedział im, że miał zamiar zanocować, ale doszedł do wniosku, że powinien jednak wyjechać. Musi wrócić do Waszyngtonu.

— Trzeba było jechać z Andrew — powiedziała Jane przy drzwiach wyjściowych.

— Tak, trzeba było — odparł cicho Adrian. — Nie pomyślałem. — Pożegnał się.

Kiedy wyszedł, Jane wróciła na taras z listem, który otrzymała od księdza. Podała go mężowi nie potrafiąc ukryć niepokoju.

— Przyniósł to jakiś człowiek. Prawie trzy godziny temu. Ksiądz. Powiedział, że jest z Rzymu.

Victor podniósł wzrok na żonę. W jego spojrzeniu nie było komentarza i już to samo w sobie stanowiło komentarz.

— Dlaczego tak długo czekałaś?

— Dlatego, że były urodziny twoich synów.

— Stali się sobie obcy — odparł Fontine, biorąc od niej kopertę. — Obaj są naszymi dziećmi, ale bardzo się od siebie oddalili.

— Nie będzie tak wiecznie. To przez tę wojnę.

— Obyś miała rację — powiedział Victor otwierając kopertę i wyjmując z niej list. Kilka stron, zapisanych drobnym, lecz wyraźnym pismem. — Czy znamy kogoś, kto nazywa się Aldobrini?

— Jak?

— Guido Aldobrini. Taki jest podpis. — Fontine pokazał jej ostatnią stronę.

— Chyba nie — odparła Jane, siadając w najbliższym fotelu i przesuważąc spojrzeniem po groźnie wyglądających chmurach. — Widzisz coś przy tym świetle? Robi się coraz ciemniej.

— Jeszcze dość jasno. — Victor ułożył kartki po kolei i zaczął czytać.

Signor Fontini-Cristi, nie zna mnie Pan, choć zetknęliśmy się wiele lat temu. Za tamto spotkanie zapłaciłem niemal całym życiem. Spędziłem dwadzieścia pięć lat w Transwalu, pokutując pobożnie za hańbiący czyn. Ja sam nie tknąłem Pana wówczas, ale patrzyłem i nie

wołałem o zmiłowanie, co było rzeczą odrażającą i bezbożną.

Tak, jestem jednym z kleryków, którzy zjawili się tamtego dnia O świcie z kardynałem Donattim w Campo di Fiori po to, by, jak wierzyliśmy, ratować Kościół Chrystusowy na ziemi. Kardynał przekonał nas, że do naszych czynów dla zachowania Kościoła Bożego nie odnoszą się żadne prawa boskie ani ludzkie, żadne nakazy miłosierdzia. Całe nasze scholastyczne wykształcenie i wszystkie śluby posłuszeństwa — nie tylko względem zwierzchników, lecz także wobec najwyższego władztwa sumienia — wypaczyła potęga wpływu Donattiego. Spędziłem dwadzieścia pięć lat próbując pojąć, jak to się stało, ale to inna historia, nie mająca tu nic do rzeczy. Żeby to zrozumieć, trzeba było znać kardynała.

Zakończyłem działalność duszpasterską. Choroby afrykańskiej dżungli ściągnęły ze mnie swój haracz, ale dzięki Kościołowi nie obawiam się śmierci. Bo dałem z siebie wszystko, co potrafiłem dać. Zostałem oczyszczony i oczekuję wyroku Najwyższego.

Nim jednak stanę przed Jego obliczem, muszę podzielić się z Panem pewną informacją, albowiem zachowanie jej teraz dla siebie byłoby nie mniejszym grzechem niż tamten, za który odbyłem pokutę.

Dzieło Donattiego zostało podjęte. Z więzienia został zwolniony pewien człowiek, jeden z owych trzech pozbawionych święceń kapłańskich księży, których za napaść na Pana sądził i skazał sąd świecki. Jak Pan być może wie, jeden odebrał sobie życie, drugi zmarł w więzieniu z przyczyn naturalnych. Ten trzeci żyje nadal i z powodów przekraczających moje zdolności pojmwania ponownie poświęcił się poszukiwaniom dokumentów z Salonik. Powiadam, przekraczających moje zdolności pojmwania, ponieważ kardynał Donatti został zdyskredytowany w najwyższych kręgach Watykanu. Greckie dokumenty nie są w stanie zaszkodzić Matce naszej Świętej, Kościołowi. Dokument pisany ręką śmiertelnika nie może zaprzeczyć boskiemu objawieniu.

Ten pozbawiony święceń ksiądz nazywa się Enrici Gaetamo i ma zwyczaj nosić koloratkę odebraną mu zarządzeniem Stolicy Apostolskiej. Odnoszę wrażenie, że lata, które spędził w zakładach karnych, w żaden sposób nie oświeciły jego duszy i nie sprowadziły go na miłosierną drogę Chrystusa. Wręcz przeciwnie, powiedziano mi, że to wcielony Donatti. Ktoś, przed kim należy się mieć na baczności.

Człowiek ten szuka obecnie, niezwykle pieczołowicie, wszystkich najdrobniejszych szczegółów dotyczących pociągu, który wyjechał z Salonik trzydzieści trzy lata temu. W swych podróżach trafił na stację w Edessie, przemierzył całe Bałkany, szlakiem kolejowym na północ od Monfalcone dotarł w regiony alpejskie. Szuka wszystkich, którzy znali syna rodu Fontini-Cristi. To człowiek opętany. I wyznaje zasadę Donattiego: żadne prawo boskie czy

ludzkie nie może mu przeszkodzić w tej „wyprawie w imię Pana”, jak to ujmuje. Tak jak nikomu nie ujawnia celu wyprawy. Ale ja wiem, co jest tym celem, a teraz także i Pan to wie. A ja wkrótce opuszczę ten ziemski padół.

Gaetano zamieszkał w małym domku myśliwskim wśród wzgórz w okolicy Yarese. Jestem pewien, że bliskość tego miejsca od Campo di Fiori nie uchodzi Pana uwagi.

To wszystko, co mogę Panu powiedzieć — to wszystko, co wiem. Tego, że będzie próbował dotrzeć do Pana, jestem najzupełniej pewien. O to, by się Pan strzegł i pozostał bezpieczny w rękach Boga, będę się modlił.

W smutku i bóleści nad moją przeszłością pozostają Guido Aldobrini Znad morza dobiegło dudnienie grzmotu. Fontine wolałyby, żeby jego symbolika nie była tak prymitywnie czytelna. Chmury nadciągnęły już nad ich głowy, słońce zaszło i zaczynał padać deszcz. Był wdzięczny za to chwilowe odwrócenie uwagi. Spojrzał na Jane. Wpatrywała się w niego bez słowa; w jakiś dziwny sposób udzielił się jej jego głęboki niepokój.

— Wejdz do domu — powiedział cicho. — Ja zaraz przyjdę.

— Ten list...?

— Oczywiście — odparł na jej niedopowiedziane pytanie, wkładając kartki z powrotem do koperty i wręczając je żonie. — Masz, przeczytaj.

— Zupełnie przemokniesz. Zaraz zacznie się prawdziwa ulewa.

— To mnie odświeży; wiesz, że bardzo lubię deszcz. — Uśmiechnął się do niej. — Może byś pomogła mi przepiąć klamrę, kiedy będziemy rozmawiali.

Stała nad nim jeszcze chwilę, czuł na sobie jej spojrzenie. Ale jak zawsze zostawiła go samego, skoro sobie tego życzył.

To własne myśli przenikały go chłodem, nie deszcz. List od Aldobriniego to nie pierwszy raz, kiedy pociąg z Salonik znów dał o sobie znać. Nie wspomniał o tym Jane, bo nie było to nic konkretnego, tylko seria mgliście niepokojących, na pozór nic nie znaczących wydarzeń.

Przed trzema miesiącami wyjechał do Harkness na jeszcze jeden tydzień korekcyjnych zabiegów chirurgicznych. Kilka dni po operacji odwiedził go ktoś, czyj wygląd go wystraszył — jakiś prałat z kurii arcybiskupiej Nowego Jorku. Przedstawił się jako Land. Powrócił do Stanów po wielu latach spędzonych w Rzymie i chciał się spotkać z Victorem z powodu informacji, na jakie natknął się w archiwach watykańskich.

Duchowny okazał wielką troskę o jego zdrowie; Victora uderzyło jednak to, że doskonale orientował się w jego stanie, wiedział na ten temat znacznie więcej niż zwykły i przypadkowy odwiedzający.

To było bardzo dziwne pół godziny. Duchowny wyjaśnił, że bardzo interesuje się historią. Natknął się na dokumenty ujawniające istotne kwestie, które doprowadziły do zerwania między *padroni* pomocy a Stolicą Apostolską. Kiedy Victor powróci do zdrowia, może będą mogli porozmawiać o przeszłości. Historycznej przeszłości. Zakończył swe pożegnania bezpośrednim nawiązaniem do napaści na Victora w Campo di Fiori. Powiedział, że ból i cierpienie zadane przez jednego maniaka w purpurze nie mogły obciążać całego Kościoła. Mniej więcej pięć tygodni później miał miejsce następny incydent. Victor w swym waszyngtońskim biurze przygotowywał się do zeznań przed komisją Kongresu, która badała ulgi podatkowe, z jakich korzystają armatorzy amerykańscy pływający pod flagą Paragwaju, kiedy zabrzęczał intercom.

— Panie Fontine, przyszedł pan Theodore Dakakos. Mówi, że w celu złożenia wyrazów szacunku.

Dakakos był młodym greckim potentatem żeglugowym, zuchwale rywalizującym z Onassisem i Niarchosem, i znacznie bardziej lubianym. Fontine polecił sekretarce, by go wprowadziła.

Dakakos był potężnym mężczyzną o szczerej, otwartej twarzy, która bardziej pasowałaby do gracza w drużynie amerykańskiego futbolu niż do żeglugowego potentata. Miał około czterdziestki, po angielsku mówił pedantycznie, językiem wzorowego studenta.

Przyleciał do Waszyngtonu przyjrzeć się przesłuchaniu, może czegoś się przy tej okazji nauczyć, jak wyjaśnił z uśmiechem. Victor roześmiał się; nieposzlakowanej reputacji Greka dorównywała tylko jego niesłychana smykałka do interesów, o której krążyły już legendy. Fontine powiedział mu to.

— Miałem mnóstwo szczęścia. Dobroczynność pewnego życzliwego, choć niemal zupełnie odciętego od świata bractwa zakonnego umożliwiła mi w bardzo młodym wieku odebranie odpowiedniego wykształcenia.

— Rzeczywiście może pan mówić o szczęściu.

— Moja rodzina nie należała do zamożnych, ale podobno oddała wielkie zasługi ich Kościołowi. Zasługi do dziś dla mnie niepojęte.

Młody grecki magnat mówił coś między wierszami, ale Victor nie zrozumiał, o co mu chodziło.

— A zatem zrządzienia wdzięczności są równie niezbadane jak wyroki boskie — powiedział z uśmiechem. — Cieszy się pan wspaniałą reputacją. Przynosi pan chlubę tym, którzy panu pomogli.

— Theodore to moje pierwsze mię, panie Fontine. Moje pełne nazwisko brzmi

Theodore Annaksas Dakakos. Przez lata szkoły znany byłem jako Annaksas Młodszy. Czy to coś panu mówi?

— Co ma mi coś mówić?

— Czy mówi panu coś imię Annaksas?

— Na przestrzeni lat prowadziłem interesy z setkami pańskich rodaków, dosłownie.

Nie wydaje mi się jednak, żebym kiedykolwiek natkał się na kogoś o imieniu Annaksas.

Greki zamilkł na dłuższą chwilę, po czym powiedział cicho: — Wierzę panu. Wkrótce potem wyszedł.

Trzecie zdarzenie było najdziwniejsze ze wszystkich; wyzwoliło wspomnienie brutalnej przemocy tak gwałtownie, że Victorowi zabrakło tchu w piersiach. Miało miejsce zaledwie przed dziesięciu dniami w Los Angeles. Zatrzymał się w hotelu Beverly Hills, by wziąć udział w spotkaniu dwóch firm zajmujących odmienne stanowiska i próbujących pogodzić nawzajem swoje interesy. Victora wezwano, by ratował, co się da, lecz zadanie okazało się niewykonalne.

I dlatego właśnie korzystał z popołudniowego słońca, zamiast siedzieć w hotelu i wysłuchiwać peror prawników usiłujących odpracować wypłacone im już zaliczki. Pił campari przy stoliku obok basenu, zdumiony mnogością przystojnych mężczyzn i kobiet, którzy najwyraźniej nie musieli zarabiać na życie pracą.

— *Guten Tag, mein Herr.*

Zwróciła się do niego kobieta około pięćdziesiątki, w wieku tak świetnie maskowanym przez zamożne kobiety kosmetycznymi zabiegami. Była średniego wzrostu, dość proporcjonalna, miała jasne włosy z pasemkami. Ubrana była w białe pumpy i błękitną bluzę. Oczy przesłaniały jej wielkie słoneczne okulary w srebrnej oprawce. Po niemiecku mówiła z pełną swobodą, nie był to dla niej język wyuczony. Wstając niezdarnie, odpowiedział jej swoją niemieczyzną, akademicką, mniej naturalną.

— Dzień dobry. Czy my się znamy? Przepraszam, ale zupełnie nie mogę sobie przypomnieć.

— Proszę, niech pan usiądzie. To sprawia panu wiele trudności, wiem o tym.

— Wie pani? A zatem jednak musieliśmy się spotkać. Kobieta zajęła krzesło naprzeciwko niego. Przeszła na angielski.

— Owszem. Ale wtedy nie miał pan takich kłopotów. Był pan żołnierzem.

— Podczas wojny?

— Był taki samolot z Monachium do Mulheim, na którego pokładzie leciała kurwa z obozu eskortowana przez trzy świnię z Wehrmachtu. Próbuję sobie wmówić, że świnię większe

od niej.

— Wielki Boże! — zachłysnął się ze zdumienia Fontine. — Była pani niemal dzieckiem. Co się z panią działo potem?

Opowiedziała mu pokrótce. Została zabrana przez partyzantów z francuskiej Resistance do obozu przejściowego na południowy zachód od Montbeliard. Przez kilka miesięcy cierpiała katusze, o których lepiej nie wspominać, w trakcie odzwyczajania się od narkotyków. Wiele razy próbowała popełnić samobójstwo, ale ludzie z Resistance mieli co do niej inne plany. Postawili na to, że kiedy wyzwoli się spod wpływu narkotyków, jej wspomnienia wystarczą, żeby stała się bardzo pożytecznym agentem podziemia. Już wtedy była twarda; tyle widzieli na własne oczy.

— Oczywiście mieli rację — powiedziała tamta kobieta przed dziesięciu dniami przy stoliku w patio hotelu Beverly Hills. — Pilnowali mnie dzień i noc, mężczyźni i kobiety. Z mężczyznami było sympatyczniej — Francuzi nigdy nie tracą czasu.

— Wyszła pani cało z wojny — powiedział Fontine, nie podejmując tego wątku.

— Z całym workiem medali. *Croix de guerre. Legion d'honneur.*

Legion de resistance.

— I została pani wielką gwiazdą filmową, a ja jestem na tyle głupi, że pani nie poznałem. — Victor uśmiechnął się łagodnie.

— Niezupełnie. Choć prawdę mówiąc, niejedną raz łączono mnie z wieloma wybitnymi postaciami przemysłu filmowego.

— Obawiam się, że nie bardzo rozumiem.

— Zostałam — i choć to może zabrzmie nieskromnie, powiem, że nadal nią jestem — najbardziej wziętą *madame* w całej południowej Francji. Sam festiwal w Cannes daje dochód absolutnie wystarczający na przyzwoite życie. — Teraz z kolei ona się uśmiechnęła. Fontine pomyślał, że to był dobry uśmiech, szczery, pełen życia.

— Bardzo się cieszę, że tak się pani powiodło. Mam w sobie jeszcze dość z Włocha, by uważać pani profesję za nie przynoszącą ujmy.

— Wiedziałam, że tak będzie. Przyjechałam tutaj na poszukiwanie nowych talentów. Z największą przyjemnością spełnię każde pana życzenie. Tam w basenie jest kilka moich dziewcząt.

— Nie, dziękuję. Bardzo to uprzejmie z pani strony, ale jak sama pani zauważyła, nie jestem już tym samym człowiekiem co kiedyś.

— Uważam, że jest pan wspaniały — odparła z prostotą. — Zawsze tak uważałam. — Uśmiechnęła się do Victora. — Muszę już iść. Poznałam pana i chciałam z panem rozmawiać,

to wszystko. — Wstała od stolika i wyciągnęła rękę. — Niech pan nie wstaje. ^v Uścisk jej ręki był mocny i pewny.

— To dla mnie przyjemność móc znów panią zobaczyć — powiedział Victor. — I ulga.

Patrzyła mu prosto w oczy przez dłuższą chwilę, po czym powiedziała cicho: — Kilka miesięcy temu byłam z Zurychu. Trop wiódł ode mnie przez pewnego faceta, niejakiego Luboka, do pana. On był Czechem, mówią, że to pedał. To ten, który był wtedy z nami w samolocie, prawda?

— Tak. Niezwykle odważny człowiek, należy dodać. Może i pedał, ale bohater. — Victor był tak zaskoczony, że odpowiedział odruchowo, bez chwili zastanowienia. Już lata całe nie myślał o Luboku.

— Tak, pamiętam. Wszystkim nam uratował życie. Złamali go. — Puściła jego rękę.

— Złamali go? Jak to? Mój Boże, ten człowiek, jeżeli jeszcze żyje, jest w moim wieku albo starszy. Musi mieć z siedemdziesiąt lat, a może i więcej. Kogo mogą obchodzić tacy starcy? O czym pani mówi?

— O pewnym człowieku nazwiskiem Vittorio Fontini-Cristi, synu Savarone.

— Mówi pani głupstwa. Nonsensy, które rozumiem, ale które w żaden sposób nie mogą dotyczyć pani ani Luboka.

— Nic więcej nie wiem. Ani też nic mnie to nie obchodzi. W Zurychu przyszedł do mnie do hotelu jakiś człowiek i zadawał pytania na pański temat. Naturalnie nie potrafiłam na nie odpowiedzieć. Dla mnie był pan tylko agentem wywiadu aliantów, który uratował życie pewnej kurwie. Ale ten człowiek wiedział o Antonie Luboku.

— Kto to był?

— Jakiś ksiądz. To wszystko, co wiem. Do widzenia, mój kapitanie. — Odwróciła się i odeszła, machając ręką i uśmiechając się do kilku dziewcząt, które taplały się w basenie i śmiały nieco zbyt ostentacyjnie.

Ksiądz. W Zurychu.

“Szuka wszystkich, którzy znali syna rodu Fontini-Cristich”.

Teraz zrozumiał tamto enigmatyczne spotkanie nad brzegiem basenu w Los Angeles. Pozbawiony święceń kapłańskich ksiądz został zwolniony po niemal trzydziestu latach z więzienia i wznowił polowanie na dokumenty z Konstantyny.

“Dzieło Donattiego zostało na nowo podjęte. Ten człowiek szuka obecnie, niezwykle pieczołowicie, wszystkich najdrobniejszych szczegółów... w swych podróżach trafił na stację w Edessie, przemierzył całe Bałkany... dotarł w regiony alepejskie na północ od Monfalcone.

Szuka wszystkich, którzy znali syna rodu Fontini-Cristich”.

Tysiące kilometrów dalej, w Nowym Jorku, inny ksiądz odwiedza go w szpitalu i wspomina o bestialskim czynie, związanym z tymi dokumentami. Zaginionymi przed trzydziestu laty i nadal poszukiwanymi.

A w Waszyngtonie wchodzi do pewnego gabinetu młody potentat przemysłowy i bez żadnej przyczyny powiada, że jego rodzina służyła Kościołowi na sposób, którego on nie pojmuje.

“dobroczynność... pewnego życzliwego, choć niemal zupełnie odciętego od świata bractwa zakonnego... umożliwiła mi...” Zakon Ksenopy! Nagle stało się to zupełnie jasne.

Nic tu nie było zwykłym zbiegiem okoliczności.

A więc znów. Pociąg z Salonik, który na trzydzieści lat pogrążył się w uśpieniu, znów obudził się do życia. Nie wolno dopuścić, by znów popędził przed siebie, wyzwalając nienawiść. Trzeba go było opanować, nim fanatycy przekształcą poszukiwania w świętą wojnę, tak jak to zrobili przed trzydziestu laty. Victor wiedział, że choć tyle jest winien swemu ojcu, matce, swym najdroższym zamordowanym w jaskrawych światłach Campo di Fiori; a i tym, którzy zginęli w Oxfordshire. Omamionemu młodemu mnichowi o imieniu Pet-ridas, który odebrał sobie życie na skalistym zboczu w Loch Torridon, człowiekowi nazwiskiem Teague, agentowi podziemia Lubokowi, staremu Guido Barziniemu, który uratował go przed samym sobą.

Nie wolno dopuścić, by gwałt i przemoc powróciły.

Deszcz zaczął padać mocniej, gęściej, zacinał płachtami niesionymi przez wiatr. Fontine przytrzymał się oparcia stojącego obok krzesła z kutego żelaza i wstał z wysiłkiem, pomagając sobie kulą przypiętą metalową klamrą do przedramienia.

Staął na tarasie i powiódł wzrokiem po morzu. Wiatr i deszcz przejaśniły mu umysł. Wiedział, co musi zrobić, dokąd się udać.

Na wzgórzu w okolicy Yarese.

Do Campo di Fiori.

Ciężkie auto podjechało do bramy Campo di Fiori. Victor nie mógł oderwać wzroku od okna, czuł bolesny skurcz w plecach. Oczy rejestrowały, pamięć odtwarzała obrazy.

Na spłachetku ziemi, tuż za tą bramą, jego całe życie uległo zmianie, w straszliwych cierpieniach. Próbował zapanować nad wspomnieniami, ale nie był w stanie ich oddalić. Widok, który rozciągał się przed jego oczami, wyparły obrazy wspomnień — czarne garnitury i białe koloratki.

Samochód potoczył się przez bramę. Victor wstrzymał oddech. Przyleciał z Paryża do Mediolanu możliwie dyskretnie. W Mediolanie wynajął zwykły jednoosobowy pokój w hotelu Albergo Milana, gdzie zarejestrował się po prostu jako V. Fontine z Nowego Jorku.

Upływ lat zrobił swoje. Nie napotykał uniesionych brwi, zaciekawionych spojrzeń; nazwisko nie budziło zdziwienia. Trzydzieści lat temu pojawienie się w Mediolanie Fontine'a czy Fon-tiniego wywołałoby przeróżne komentarze. Ale teraz już nie.

Przed wyjazdem z Nowego Jorku zasięgnął tylko jednej informacji, gdyż próby dowiedzenia się czegoś więcej mogłyby obudzić czyjąś czujność. Sprawdził, kto został właścicielem Campo di Fiori. Sprzedaży dokonano dwadzieścia siedem lat temu; od tamtej pory posiadłość nie zmieniła właściciela. A jednak jego nazwisko nie robiło w Mediolanie żadnego wrażenia. Nikt go nigdy nie słyszał.

Baricours, Pere et Fils. Francusko-szwajcarska firma z Grenoble, tak zanotowano w dokumentach przeniesienia własności. Ale w Grenoble nie istniała żadna firma Baricours, Pere et Fils. Adwokat, który przeprowadzał sprzedaż, nie mógł podać żadnych szczegółów. Umarł w 1951 roku.

Samochód przejechał obok skarpy i wtoczył się na kolisty podjazd przed głównym wejściem do domu. Do bólu w plecach dołączyło uczucie ostrego klucia pod powiekami. Kiedy znalazł się na terenie kaźni, poczuł gwałtowne walenie w skroniach.

Złączył ręce i wbił palce we własne ciało. Ból okazał się pomocny; zdołał wyrzeć przez okno samochodu i zobaczyć to, co znajdowało się tam teraz, nie przed trzydziestu laty.

To, co ujrzał, przywodziło na myśl mauzoleum. Wymarłe, lecz zadbane. Wszystko pozostało tak jak dawniej, ale nie było przeznaczone dla żywych. Nawet w pomarańczowych promieniach zachodzącego słońca było coś martwego — ornamentacja majestatu, lecz majestatu śmierci.

— Czy nie ma tu jakichś dozorców albo odźwiernych przy bramie? — spytał kierowcy.

Szofer odwrócił się w fotelu.

— Dziś nie, *padrone* — odparł. — Nie ma żadnych wartowników ani prałatów z Kurii.

Fontine zachwiał się raptownie na siedzeniu — jego metalowa laska straciła oparcie.

Spojrzał szeroko otwartymi oczami na kierowcę.

— Zwabiono mnie w pułapkę.

— Obserwowano. Oczekiwano. Ale to nie jest pułapka. Wewnątrz czeka na pana pewien człowiek.

— Jeden?

— Tak.

— Czy nie nazywa się Enrici Gaetamo?

— Już panu mówiłem, że nie ma tu dziś nikogo z Kurii. Proszę, niech pan wejdzie. Czy pomóc?

— Nie, dam sobie radę. — Victor wysiadł powoli z samochodu. Każdy ruch był zmaganiem się ze sobą, ale klucie w oczach ustępowało, ból w plecach powoli cichł. Zaczynał rozumieć. Jego myśli ponownie nabierały ostrości. Przyjechał do Campo di Fiori po odpowiedzi. Na konfrontację. Ale nie spodziewał się, że odbędzie się to w taki sposób.

Wszedł po szerokich marmurowych schodach i stanął przed dębowymi drzwiami domu swego dzieciństwa. Zatrzymał się, czekając na to, co wydawało mu się nieuniknione — przyływ fali przytłaczającego smutku. Ale nic takiego nie nastąpiło, bo nie było tutaj nawet tchnienia życia.

Zza pleców dobiegł go warkot zapalnego silnika. Obejrzał się przez ramię. Kierowca wszedł w zakręt, przejechał obok skarpy i wypadł na drogę prowadzącą do głównej bramy. Kimkolwiek był ten człowiek, wyraźnie spieszyło mu się, żeby *znaleźć* się jak najdalej od tego miejsca.

Patrząc w ślad za nim, Victor usłyszał metaliczny zgrzyt zamka. Odwrócił się z powrotem do dębowych drzwi. Drzwi otworzyły się.

Nie był w stanie ukryć szoku. Ale też wcale nie miał zamiaru zadawać sobie trudu, żeby to zrobić. Zadygotał z gniewu.

Drzwi otworzył mu ksiądz! W czarnej sutannie. Był stary, drobny i zasuszony. Gdyby nie to, Fontine mógłby go uderzyć.

Zamiast tego spojrzał ostro na starca i powiedział ściszym głosem: — Obecność księdza w tym domu jest dla mnie czymś niezmiernie bolesnym.

— Przykro mi, że takie jest pańskie odczucie — odparł starzec po włosku, lecz z wyraźnym obcym akcentem. Głos miał cienki, ale nie słychać w nim było drżenia. —

Czciliśmy *padrone* rodu Fontini-Cristich. Powierzyliśmy mu nasz najcenniejszy skarb.

Ich spojrzenia się spotkały; żaden nie spuścił wzroku, ale Victor poczuł, że przepełniający go gniew ustępuje z wolna miejsca niedowierzaniu.

— Pan jest Grekiem — szepnął ledwie słyszalnie.

— Owszem, ale to nie ma żadnego znaczenia. Jestem mnichem z Konstantyny. Proszę, niech pan wejdzie. — Stary zakonnik cofnął się o krok, by przepuścić Victora. — Nie musi się pan spieszyć — dodał miękko. — Niech pan spokojnie sobie wszystko obejrzy. Niewiele się tu zmieniło; zrobiliśmy fotografie i dokładny inwentarz wyposażenia wszystkich pokoiów. Zachowaliśmy wszystko dokładnie tak, jak było.

Mauzoleum.

— To samo zrobili Niemcy. — Fontine wszedł do olbrzymiego hallu. — To dziwne, że ktoś, kto zadał sobie tyle trudu, by wejść w posiadanie Campo di Fiori, nie chce tu teraz niczego zmieniać.

— Nie przeszlifowuje się wspianą klejnotu ani nie przema-lowuje obrazów mistrzów pędzla. Nie ma w tym nic dziwnego.

Victor nie odpowiedział. Chwycił tylko mocniej swą laskę i ruszył z trudem ku schodom. Zatrzymał się przed łukowato sklepionym przejściem prowadzącym do wielkiego salonu po lewej stronie. Rzeczywiście wszystko pozostało dokładnie tak, jak było. Obrazy, półokrągłe konsole pod masywnymi ścianami, rżnięte zabytkowe lustra nad nimi, wschodnie dywany zaścielające woskowane posadzki, szerokie schody, ich lśniąca poręcz.

Spojrzał przez północny wykusz w stronę jadalni. Zmierzch kładł się cieniami na ogromnym politurowanym stole, teraz nagim i pustym, przy którym niegdyś zasiadała cała rodzina. Miał ich przed oczami, słyszał gwar ich rozmów i śmiechu. Kłótnie i dowcipy, nie kończące się dyskusje. Obiady były ważnym wydarzeniem w Campo di Fiori.

Postacie zastygły w bezruchu, głosy umilkły. Pora odwrócić wzrok.

Obejrzał się przez ramię. Mnich wskazał ręką na południową arkadę.

— Może przejdziemy do gabinetu pańskiego ojca?

Victor ruszył przodem do salonu. Jego spojrzenie zupełnie bezwiednie — bo nie miał ochoty wywoływać wspomnień — padło na rozstawione wokół meble, tak bardzo znajome. Każde krzesło, każda lampa, kinkiet i stół, wszystkie obicia ścienne były dokładnie takie, jak pamiętał.

Nabrał powietrza w płuca i zamknął na chwilę oczy. To była makabra. Zwiedzał muzeum, które niegdyś stanowiło tętniący życiem element jego egzystencji. Na swój sposób był to najokrutniej szy rodzaj udreki.

Ruszył dalej i minąwszy otwarte drzwi znalazł się w gabinecie Savarone. Ten pokój nigdy nie należał do niego, choć tu właśnie omal nie zakończył życia. Przez te drzwi rzucono z mroku odciętą, zakrwawioną rękę.

Jeśli coś go zaskoczyło, to lampa na biurku, rzucająca spod zielonego klosza światło w dół, na podłogę. Dokładnie tak samo, jak niemal trzydzieści lat wcześniej. Pamiętał doskonale, bo właśnie światło tej lampy padało na roztrzaskaną czaszkę Geoffreya Stone'a.

— Może zechce pan usiąść? — zaproponował mnich.

— Za chwilę.

— A czy ja mogę?

— Słucham?

— Czy mogę usiąść za biurkiem pańskiego ojca? — spytał mnich. — Obserwowałem pańskie spojrzenie.

— To pański dom, pańskie biurko. Ja tu jestem tylko gościem.

— Ale nie obcym.

— Najwyraźniej. Czy rozmawiam z przedstawicielem firmy Baricours, Pere et Fils? Stary, zasuszony mnich skinął w milczeniu głową. Obszedł powoli biurko, podciągnął fotel i powoli osunął nań swe wychudłe ciało.

— Niech pan nie wini za to tego adwokata z Mediolanu. On nie mógł wiedzieć. Firma Baricours spełniała jego warunki, dopilnowaliśmy tego. Baricours to zakon Ksenopy.

— I mój wróg — powiedział cicho Victor. — W 1942 roku MI-6 miał swój obóz w Oxfordshire. Próbowaliście zabić moją żonę. Zginęło wielu niewinnych ludzi.

— Te decyzje zapadły poza starszymi zakonu. Ekstremiści postawili na swoim; my nie byliśmy w stanie im przeszkodzić. Nie spodziewam się, żeby przyjął pan to wytłumaczenie.

— Nie przyjmuję. Skąd pan wiedział, że jestem we Włoszech?

— Nie jesteśmy już tym, czym byliśmy kiedyś, ale nadal mamy różne kontakty. Jeden z nich ma konkretne zadanie nie spuszczać pana z oka. Niech pan nie pyta, kto to jest; nie powiem panu tego. Po co pan wrócił? Po co po trzydziestu latach wrócił pan do Campo di Fiori?

— *Znaleźć* niejakiego Gaetamo — odparł Fontine. — Enrici Gaetamo.

— Gaetamo mieszka wśród wzgórz koło Yarese — odparł mnich.

— I nadal szuka pociągu z Salonik. Przejechał całą drogę z Edessy, przez Bałkany i całe Włochy, aż w rejony alpejskie. A dlaczego wy pozostaliście tutaj przez te wszystkie lata?

— Bo klucz znajduje się gdzieś tutaj — odparł mnich. — Zawarliśmy układ. W październiku 1939 roku przyjechałem do Campo di Fiori. To ja nakłoniłem Savarone

Fontini-Cristi do ułożenia się z nami, ja wysłałem oddanego mnicha tamtym pociągiem, który prowadził jego brat, maszynista. I to ja zażądałem ich śmierci w imię Najwyższego.

Victor zawisł wzrokiem na twarzy mnicha. Światło padające z lampy oświetlało bladą, napiętą skórę i smutne, martwe oczy. Fontine przypomniał sobie swego gościa, który odwiedził go w biurze w Waszyngtonie.

— Spotkałem pewnego Greka, który powiedział mi, że jego rodzina służyła Kościołowi na sposób dla niego niepojęty. Czy brat tamtego mnicha, maszynista, miał na imię Annaksas?

Stary zakonnik poderwał raptownie głowę; jego oczy ożywiły się na moment.

— Gdzie pan usłyszał to imię?

Fontine odwrócił spojrzenie; jego wzrok padł na obraz wiszący na ścianie, pod wizerunkiem Madonny. Scena z polowania, przedstawiająca myśliwych ze strzelbami wypłaszających ptactwo z zarośli. W górze unosiły się inne ptaki.

— Informacja za informację — powiedział cicho. — Dlaczego mój ojciec zgodził się pracować dla waszego zakonu?

— Pan sam zna odpowiedź. Jemu chodziło tylko o jedno — O utrzymanie jedności świata chrześcijańskiego. Poza pokonaniem faszystów nic nie miało dla niego znaczenia.

— Po co w ogóle urna została wywieziona z Grecji?

— Niemcy zerowali na pokonanych, los nasz był więc z góry przesądzony. Takie informacje uzyskaliśmy z Polski i Czechosłowacji. Naziści okradali muzea, wdzierali się do kościołów i klasztorów. Nie mogliśmy ryzykować zatrzymania jej u siebie. Pański ojciec sporządził plan przenosin. Genialny. Donatti został wywieziony w pole.

— Użyciem drugiego pociągu — dodał Victor. — O identycznym zestawie i identycznej marszrucie. Wysłanym trzy dni później.

— Tak. Wieści o tym drugim pociągu przesłaliśmy Donattiemu za pośrednictwem Niemców, którzy nie mieli pojęcia o znaczeniu urny. Szukali skarbów: obrazów, rzeźb, dzieł sztuki — a nie nikomu nie znanych pism, które, jak ich poinformowano, mają wartość wyłącznie dla wąskiego grona uczonych. Ale Donatti, fanatyk, nie potrafił im się oprzeć — o istnieniu dowodów na obalenie *Filioque* krążyły plotki od całych dziesięcioleci. Musiał je zdobyć — ksenopita urwał, jakby to wspomnienie było dlań szczególnie bolesne. — Interesy kardynała i Niemców okazały się zbieżne. Berlin żądał pozbawienia wszelkich wpływów Savarone Fontini-Cristiego, a Donatti chciał nie dopuścić do odebrania przez niego przesyłki z tego pociągu. Za wszelką cenę.

— A dlaczego Donatti miał w ogóle związek z tą sprawą?

— Znowu pański ojciec. Wiedział, że naziści mają w Watykanie potężnego przyjaciela.

Chciał zdemaskować prawdziwe oblicze Donattiego. Jediną drogą, którą kardynał mógłby się dowiedzieć o tym drugim pociągu, było uzyskanie informacji bezpośrednio od Niemców. Pański ojciec chciał to wykorzystać. To była jedyna zapłata, jakiej Fontini-Cristi od nas zażądał. Jak się okazało, zapłata ta ściągnęła do Campo di Fiori pluton egzekucyjny.

Victor wciąż jeszcze słyszał głos ojca docierający do niego spoza otchłani dziesięcioleci: "Rządzi utrzymując w ciemności i strachem wymusza posłuch... hańba dla Watykanu". Savarone znał swego wroga, ale nie wiedział, jak daleko może on posunąć swą zbrodniczą działalność.

Gorset na plecach Fontine'a zaczął mu się wpijać w ciało. Za długo już stał. Ujął laskę i podszedł do krzesła przed biurkiem. Usiadł.

— Czy pan wie, co przewożono tym pociągiem? — spytał łagodnie stary mnich.

— Tak. Brevourt mi powiedział.

— Brevourt wcale nie wiedział. Ujawniono mu tylko część prawdy. Nie całą. Co on panu powiedział?

Victora ogarnął nagły niepokój. Jeszcze raz zajrzał badawczo w mnichowi w oczy.

— Mówił o negacjach *Filioque*, pismach podważających boskość Chrystusa, z których najgroźniejszym miał być pewien zwój aramejski wręcz podający w wątpliwość istnienie Chrystusa.

— Nigdy nie chodziło o *Filioque*. Ani o ten aramejski zwój. Urna zawierała, nadal zawiera, wyznanie spisane znacznie wcześniej niż wszystkie pozostałe dokumenty. — Ksenopita odwrócił wzrok. Uniósł dłonie, przesunął kościstymi palcami po bladej skórze policzków. — Negacje *Filioque* to starożytne dokumenty, mogące poruszyć tylko wąskie grono uczonych specjalistów. Jeden z nich, ten zwój aramejski, stwarzał możliwość pewnych dowolności interpretacyjnych, tak jak stwarzały je zwoje znad Morza Martwego badane po piętnastu wiekach. Niemniej trzydzieści lat temu w kulminacyjnym punkcie moralnej wojny ujawnienie treści tego zwoju mogłoby pociągnąć za sobą katastrofalne skutki. Brevourtowi to wystarczyło.

Fontine wpatrywał się w niego jak zahipnotyzowany.

— Co jest w tym wyznaniu? Nigdy nie słyszałem, żeby ktokolwiek o nim wspominał.

Mnich podniósł spojrzenie z powrotem na Victora. W krótkiej chwili milczenia, jaka zapadła, nim zdobył się na odpowiedź, przekazał wzrokiem całą udrękę wahań przed podjęciem natychmiastowej decyzji.

— Wszystko. Zostało zapisane na pergaminie wyniesionym z rzymskiego więzienia w roku 67. Znamy tę datę dokładnie, ponieważ dokument mówi o śmierci Chrystusa stosując

kalendaryz hebrajski, precyzując, że nastąpiła ona w wieku lat trzydziestu czterech. Zbiega się to z wynikami badań antropologicznych. Pergamin został zapisany przez człowieka, który bezustannie wędrował; mówi o Getsemani i Kafarnaum, Genezarecie i Koryncie, Foncie, Galacji i Kapadocji. Piszącym nie mógł być nikt inny, jak tylko Szymon z Betsaidy, któremu Chrystus nadał imię Piotra. To, co zawiera ten pergamin, przekracza wszelkie wyobrażenie. On musi zostać odnaleziony.

Mnich urwał i zawisł wzrokiem na twarzy Victora.

— I zniszczony? — spytał cicho Fontine.

— Zniszczony — przytaknął mnich — ale absolutnie nie z powodów, które może pan mieć na myśli. Bo niczego on nie zmienia, a jednak zmienia wszystko. Złożona przeze mnie przysięga nie pozwala mi powiedzieć panu nic więcej. Jesteśmy starymi ludźmi; nie zostało nam już wiele czasu. Jeśli jest pan w stanie nam pomóc, to po prostu musi pan to zrobić. Ten pergamin może zmienić bieg historii. Powinien był zostać zniszczony wieki temu, ale pycha odniosła triumf. Jego ujawnienie pogrążyłoby znaczną część świata w ogromnych cierpieniach. Nikt nie może usprawiedliwić zadania takiego bólu.

— Powiedział pan, że niczego on nie zmienia — powtórzył słowa mnicha Victor — a jednak zmienia wszystko. Jedno wyklucza drugie — to stwierdzenie nie ma sensu.

— Wyznanie spisane na tym pergaminie ma sens. W całej swej boleści. Nie mogę powiedzieć nic więcej.

Fontine wytrzymał spojrzenie mnicha.

— Czy mój ojciec wiedział o istnieniu tego pergaminu? Czy też powiedzieliście mu tylko to, co Brevourtowi?

— Wiedział — odparł ksenopita. — Negacje *Filioque* są jak wasze amerykańskie zasady odpowiedzialności konstytucyjnej najwyższych władz — stanowią materiał dla kanonicznych dysput. Nawet ten najgroźniejszy, jak to pan ujął, aramejski zwój zostałby poddany drobiazgowym analizom lingwistycznym pod kątem okresu jego powstania. Fontini-Cristi doskonale by to zrozumiał — Brevourt nie. Ale wyznanie spisane na tym pergaminie nie podlega żadnej dyskusji. To był ów groźny, koronny argument na rzecz zaangażowania Fontini-Cristiego w tę sprawę, a on zrozumiał jego doniosłość i się zgodził.

— Wyznanie spisane na pergaminie wyniesionym z rzymskiego więzienia — rzekł cicho Victor. Sprawa była jasna. — A więc do tego sprowadza się znaczenie urny.

— Do tego.

Victor pozwolił minąć chwili. Pochylił się do przodu z ręką opartą na metalowej lasce.

— Powiedział pan, że klucz znajduje się tutaj. Skąd ta pewność? Donatti przeszukał

całą posiadłość: opukał wszystkie ściany i podłogi, przetrząsnął każdy centymetr ziemi. Wy przebywacie tutaj od dwudziestu siedmiu lat i nadal nic. Co jeszcze was tu trzyma?

— Słowa pańskiego ojca, wypowiedziane tutaj, w tym pokoju.

— Jakie słowa?

— Że wskazówka będzie tutaj, w Campo di Fiori. Wryta na wieki. Tak właśnie dokładnie powiedział: "wryta na wieki". I że jego syn ją zrozumie. Bo stanowi część jego dzieciństwa. Ale okazało się, że jego syn nic nie wie. W końcu to do nas dotarło.

r ontine nie zgodził się zanocować w domu; postanowił odpocząć w stajniach, na tym samym łóżku, na którym całe życie wcześniej złożył ciało martwego Guido Barziniego.

Chciał być sam, potrzebował odosobnienia, a przede wszystkim wyrwania się z tego domu, spośród martwych reliktyw przeszłości. Musiał zacząć myśleć, powrócić wspomnieniami do tamtego horroru i rozdrapywać je dotąd, aż znajdzie brakujące ogniwo. Bo teraz wszystko zaczęło się układać w logiczną całość. Do kompletnego obrazu brakowało tylko jednego jedyne go elementu.

"Część jego dzieciństwa". Nie, na razie nie tam powinien szukać, jeszcze nie teraz. Nie od tego powinien zacząć; na to jeszcze nadejdzie pora. Trzeba zacząć od tego, co sam wie, sam widział, słyszał na własne uszy.

Dotarł do stajni, przeszedł przez puste pomieszczenia, obok opustoszałych boksów. Teraz nie było tu elektryczności; mnich dał mu latarkę. Pokoik Barziniego wyglądał dokładnie tak samo jak kiedyś. Nagi, bez ozdób — wąskie łóżko, zniszczony fotel, prosty kuferek na nieliczne rzeczy osobiste.

Magazynek uprząży także zupełnie się nie zmienił od czasu, kiedy widział go po raz ostatni. Wędzidła i rzemienna uprząż na ścianach. Usiadł z sapnięciem bólu na małej, drewnianej, wklęsłej ławie i wyłączył latarkę. Przez okna wpadało do środka światło księżyca. Odetchnął głęboko i zmusił się do powrotu pamięcią do tamtej straszliwej nocy.

Uszy wypełnił mu rozdzierający grzechot serii z pistoletów, wstrząsające wspomnienie odżyło z całą mocą. Ujrzał kłęby wirującego dymu, ciała najdroższych wyprężone w kolejnych fazach śmierci, skąpane w oślepiającym świetle reflektorów.

"Champoluc to rzeka! Zurych to rzeka!" Słowa wykrzyczane z całych sił, powtórzone dwa, trzy razy! Słowa wykrzyczane do niego, lecz skierowane wyżej, ponad miejsce, w którym się znajdował, wykrzyczane przez ojca w chwili, gdy piersi i brzuch rozrywały mu serie z karabinów.

"Champoluc to rzeka!" Uniósł głowę? Czy tak? Głowa, oczy! Oczy! Na ułamek sekundy przed wykrzyczeniem tych słów ojciec skierował oczy nie na skarpe, nie na niego!

Patrzył w prawo, w poprzek podjazdu. Savarone patrzył na samochody, do wnętrza trzeciego samochodu!

Savarone dostrzegł Guillamo Donattiego! Rozpoznał go w ciemnościach zalegających wewnątrz wozu. W chwili śmierci wiedział, kto jest jego oprawcą.

I wydał z siebie ryk wściekłości. Krzyczał w górę, do swego . syna, ale i poza niego. W górę i poza i... co to takiego było? Co takiego zrobił jego ojciec w ostatniej chwili przed śmiercią? To było owo brakujące ogniwo, ten ostatni element całości.

O Boże! Jakaś część jego ciała. Głowa, ramiona, ręce. Co to takiego było?

Całe ciało! Wielki Boże — ułożenie całego ciała w chwili śmierci! Głowy, ramion, rąk. W lewo! Ale nie w kierunku domu, oświetlonych pokojów tak zdradziecko napadniętych, lecz gdzieś dalej! Poza dom!

“Champoluc to rzeka!” Za domem!

W lesie Campo di Fiori!

Rzeka! Szeroki górski strumień przepływający przez las. Ich własna “rzeka”!

Stanowiła część jego dzieciństwa. Rzeka jego dzieciństwa płynęła czterysta metrów od ogrodów Campo di Fiori.

Pot wystąpił Victorowi na twarz; jego oddech stał się urywany, ręce zaczęły mu drżeć. Przytrzymał się w ciemności brzegu drewnianej ławy; był krańcowo wyczerpany, ale zupełnie pewien. Wszystko stało się nagle absolutnie jasne.

Rzeka nie znajdowała się w Champoluc ani z Zurychu. Płynęła parę minut drogi stąd. Krótki spacer leśną ścieżką wydeptaną przez kilka pokoleń dzieci.

Wyryte na wieki.

Część jego dzieciństwa.

Przywołał z pamięci obraz lasu, przecinającego go strumienia, skał... skał... skał! Wielkich głazów okalających koryto strumienia w najgłębszym miejscu. Największy z nich służył do nurkowania, skoków do wody i wydrapywania inicjałów, dziecinnych wiadomości, pisanych do siebie tajemnym szyfrem przez najmłodszych braci!

Wyryte na wieki! Jego dzieciństwo!

Czy to na tej właśnie skale Savarone zdecydował się wyryć swą wiadomość?

Nagle wszystko stało się takie jasne. Takie logiczne.

Oczywiście, że tak.

Nocne niebo zaczynało z wolna szarzeć, ale przez grubą zasłonę chmur nie przebił się ani jeden promień letniego włoskiego słońca. Zanosiło się na deszcz i zimny, porywisty północny wiatr od gór.

Victor przeszedł drogą ze stajni do ogrodu. Było jeszcze za ciemno, żeby odróżnić kolory, ale też alejki nie miały już jak dawniej obwódki z kwiatów — tyle zdołał zobaczyć.

Z trudem odnalazł ścieżkę. Udało mu się to dopiero po dokładnym przyjrzeniu się nie koszonej trawie i odszukaniu śladów przeszłości w świetle latarki trzymanej tuż przy ziemi. Kiedy penetrował fragment lasu bezpośrednio za ogrodem, w pamięci odżyły znajome widoki; wykoślawiona oliwka o grubych gałęziach, kępa białych brzoź, przesłoniętych teraz buczyną i usychającym świerczkiem.

Jeśli pamięć mu dopisywała, strumień płynął nie więcej niż sto metrów dalej, na ukos po prawej stronie. Minał brzozy i wysokie sosny; gigantyczne chwasty tworzyły ścianę macek, miękką, lecz nieprzyjemną w dotyku.

Przystanął. Jego uszu dobiegł łopot ptasich skrzydeł, trzask łamanej gałązki. Odwrócił się, próbując przebić wzrokiem czarne plamy roślinności.

Cisza.

Chwilę później zmałona odgłosem poruszeń jakiegoś zwierzątka. Pewnie spłoszył zająca. To dziwne, jak oczywiste wydawało mu się, że to zając. Otoczenie wyzwoliło wspomnienia już dawno zatarte — jako chłopiec zastawiał w tym lesie wnyki na zające.

Teraz czuł już w powietrzu zapach wody. Zawsze potrafił ją wyczuć, kiedy zbliżał się do tego strumienia, wyczuć ją jeszcze zanim usłyszał jej szmer. Zarośla nad samym brzegiem były gęste, niemal nie do przejścia. Strumień nasączając ziemię karmił setki tysięcy korzeni, umożliwiał rozpasany, niepohamowany wzrost. Żeby dostać się do strumienia, musiał poodginać wiele gałęzi i przecisnąć się przez gąszcz krzewów.

Lewa stopa uwięzła mu w płataninie płożącego się po ziemi pnącza. Cofnął się o krok, przeniósł ciężar ciała na prawą nogę i, gdy próbował się uwolnić za pomocą laski, stracił równowagę. Laska wymysknęła mu się z ręki i wirując w powietrzu zniknęła w ciemności. Chciał chwycić się jakiejś gałęzi, żeby osłabić upadek, ale ta trzasnęła, odłamując się u podstawy. Klęcząc na jednym kolanie, podparł się nią i dźwignął na nogi. Laska przepadła bezpowrotnie — nigdzie nie było jej widać. Zaciskając kij kurczowo w rękę, przecisnął się przez gęstwinię nad brzeg wody.

W pierwszej chwili strumień wydał mu się węższy niż dawniej. Dopiero po chwili uzmysłowił sobie, że to ta szarówka przedświt i wybujały las po obu stronach sprawiają takie wrażenie. Trzy dziesiątki lat zaniedbania pozwoliło lasowi wtargnąć do wody.

Największy głaz znajdował się po prawej ręce, nieco w górę strumienia, nie więcej niż sześć metrów, ale ściana zarośli była tak gęsta, że równie dobrze mogło to być pół kilometra. Zaczął przeciskać się w jego stronę, schylając się i prostując, rozsuwając i odginając gałęzie, każdym ruchem zmagając się z własnym ciałem i nieustępliwą roślinnością. Dwa razy rąbnął na ziemię, potykając się o jakieś sterczące przedmioty, zbyt wysokie, cienkie i wąskie, by mogły być kamieniami. Poświecił latarką pod nogi — przeszkodami, o które się potykał, były żelazne żerdzie, zżarte przez rdzę, przywodzące na myśl szczątki zatopionego dawno galeonu.

Dotarł do podstawy wielkiego głazu, którego *znaczna* część wrzynała się w wodę. Spojrzał w dół, oświetlając latarką linię dzielącą ziemię i nurt strumienia, i uzmysłowił sobie, że wiek uczynił go ostrożnym. Wysokość brzegu do poziomu wody wynosiła mniej niż dwa metry, ale jemu wydawało się to urwiskiem. Krok po kroku zsunął się bokiem do wody, grubym kijem w lewym ręku sondując głębokość.

Woda była zimna — jak pamiętał, zawsze taka była — sięgała mu do ud, omywała go z chlupotem aż do pasa, tuż poniżej gorsetu, przesywając ciało dreszczem. Wstrząsnął się, przeklinając swój wiek.

Ale był na miejscu. Tylko to się liczyło.

Skierował latarkę na wielki głaz. Znajdował się teraz tuż przy brzegu strumienia. Musiał usystematyzować jakoś poszukiwania. Zbyt wiele cennych minut mógłby zmarnować na dwu- lub trzykrotne przeszukiwanie tych samych miejsc, nie pamiętając, że już je badał. Nie oszukiwał się — nie miał pewności, jak długo będzie w stanie znieść zimno.

Sięgnął w górę i zadrapał końcem kija wystający ponad wodę głaz. Porastający go mech dał się bez trudu usunąć. Powierzchnia kamienia uplastyczniona ostrym, białym światłem latarki wyglądała jak usiana tysiącami maleńkich kraterów i rozpadlin.

Na widok pierwszych oznak ludzkiej działalności poczuł szybsze bicie serca. Były niewyraźne, ledwie widoczne, ale jednak były. Znaki pozostawione przez niego samego ponad pół wieku temu. Opadające ukośnie w dół linie wydrapane głęboko w kamieniu przy okazji jakiejś dawno zapomnianej dziecięcej zabawy.

“V” było najważniejszą literą; dołożył starań, żeby jego inicjał pozostał czytelny, toteż dobrze się zachował. Potem następowało “b”, a dalej coś, co mogło być jakąś liczbą. Potem “t” znów w towarzystwie czegoś, co było pewnie ciągiem cyfr. Nie miał najmniejszego pojęcia, co by to mogło oznaczać.

Oderwał mech powyżej i poniżej wyłobień. Wyłoniło się spod niego jeszcze kilka innych ledwie widocznych znaków, spośród których kilka zdawało się mieć jakiś sens. Były to głównie inicjały, tu i tam niewprawne rysunki drzew, strzałek i podzielonych na ćwiartki kół tak chętnie rysowanych przez dzieci.

Wyteżając wzrok w świetle latarki, zdrapywał mech, przecierał palcami i obmacywał delikatnie coraz większą powierzchnię głazu. Zrobił kijem dwie pionowe linie, by zaznaczyć miejsca, które już przeszukał, i wszedł głębiej w wodę. Lecz już wkrótce chłód dał mu się tak bardzo we znaki, że wypełził na brzeg, żeby choć na trochę się ogrzać. Ręce, ramiona i nogi trzęsły mu się z zimna i starości. Przez dłuższą chwilę klęczał w podmokłych zaroślach, obserwując, jak para jego oddechu rozplywa się w powietrzu.

Wrócił do wody, do miejsca, w którym przerwał poszukiwania. Warstwa mchu była tu znacznie grubsza; znalazł pod nią jeszcze kilka znaków podobnych do tamtego pierwszego zestawu bliżej brzegu. Kilka "V", "b" i "t" z szeregiem niemal zupełnie nieczytelnych liczb.

Spoza otchłani czasu zaświtało mu nagle coś niewyraźnie, tak niewyraźnie, jak niewyraźne były wyryte tu litery i liczby. I nagle ogarnęła go pewność, że słusznie znalazł się w tym strumieniu, przy tym gładzie.

Burrone! Traccia! Wydawałoby się zatarte już w pamięci, nagle wszystko stanęło mu na powrót przed oczami. "Wąwóz", "szlak". Zawsze wydrapywał — utrwał w kamieniu — każdą wyprawę w góry!

"Część jego dzieciństwa".

Wielki Boże, i to jaka część! Każdego lata Savarone zbierał swych synów i wyprawiał się z nimi na północ na kilkudniową wspinaczkę, Nic ryzykownego, raczej wędrówka i spanie pod namiotem. Dla każdego z nich było to największe wakacyjne przeżycie. Potem dawał każdemu mapę, żeby wiedzieli, gdzie byli; a Vittorio, najstarszy z nich, utrwał to doniosłe wydarzenie, rył szlak i datę wyprawy na gładzie w strumieniu, w ich "rzece".

Nazwali ten gład Argonautą. A zapiski wyryte na Argonaucie miały być trwałą kroniką ich górskich odysei. Wypraw w góry ich dzieciństwa. W góry.

Pociąg z Salonik pojechał w góry. Urna znajdowała się gdzieś w górach!

Oparł się mocniej na kiju i wznowił poszukiwania. Stał teraz tuż przy powierzchni głazu. Woda podeszła mu do piersi, chłodząc dojmująco stalowy gorset pod ubraniem. Im dalej się posuwał, tym bardziej był tego pewien — miał rację tu przychodząc. Niewyraźne rysy — zarosłe blizny ni to linii prostych, ni to zygzaków — stawały się coraz liczniejsze. Kadłub Argonauty pokrywało *graffiti* opisujące dawno zapomniane wyprawy.

Lodowata woda wywołała bolesny skurcz u nasady kręgosłupa; kij wypadł mu z rąk.

Plasnął ręką w wodę, żeby go złapać, i udało mu się, ale przy tym wysiłku musiał zmienić oparcie nóg. Upadł — właściwie osunął się — na głaz i aby ponownie wyprostować się, wbił dla złapania równowagi kij w muł u jego podstawy.

I zastygł w bezruchu, wpatrując się w coś, co ukazało mu się w wodzie centymetry zaledwie od oczu. Była to krótka, prosta, pozioma linia wyrżnięta głęboko w skale. Wykuta dłutem!

Zaparł się najlepiej, jak tylko mógł, przełożył kij do prawej ręki, zaciskając go między kciukiem a latarką, i przycisnął palce do powierzchni kamienia.

Powiodł nimi wzdłuż linii. Zaginała się pod ostrym kątem w głąb wody; w dół i na ukos, i urywała się.

“7”. To była siódemka.

Niepodobna do żadnych innych rozmytych hieroglifów na powierzchni skały. Nie był to znak wydrapany niewprawnymi, dziecięcymi rękami. Wykonano go z wielką precyzją. Cyfra nie miała więcej niż pięć centymetrów wysokości, ale wryto ją na głębokość co najmniej półtora centymetra.

Jest! Znalazł! Wryte na wieki! Wiadomość wyrżnięta w skale, wykuta w kamieniu!

Przybliżył latarkę i ostrożnie przesunął drżącymi palcami po powierzchni wokół “7”. Boże, czy to to? Czy to ta chwila? Pomimo zimna i wilgoci krew uderzyła mu do głowy, serce zabiło mocniej. Miał ochotę krzyczeć — ale najpierw musiał się upewnić.

W połowie wysokości siódemki, około dwóch i pół centymetra w prawo natrafił na poziomą kreskę. Potem pojedyncza pionowa linia — “1”, a za nią następna kreska, krótsza, zagięta w prawo... i zakończona linią biegnącą w górę i w dół — “4”. To była czwórka.

Siedem — myślnik — jeden — cztery. Bardziej pod powierzchnią wody niż ponad nią.

Za czwórką biegła następna pozioma kreska. Myślnik. Za nią — “Z”... Ale niezupełnie “Z”. Kąty nie były ostre, lecz lekko zaokrąglone.

“2”.

Siedem — myślnik — jeden — cztery — myślnik — dwa...

Tu następował ostatni znak, ale nie była nim cyfra ani litera. Był to ciąg czterech krótkich, prostych linii połączonych ze sobą. Pudełko... kwadrat. Idealny geometryczny kwadrat.

Ależ oczywiście, że to była cyfra! Zero! O “u” .

Siedem — myślnik — jeden — cztery — myślnik — dwa — zero.

Co to miało znaczyć? Czy podeszły wiek sprawił, że Savarone zostawił wiadomość, która nie znaczyła nic dla nikogo poza nim samym? Czy wszystko było tak błyskotliwie

logiczne i tylko sama wiadomość pozbawiona była jakiegokolwiek sensu? Bo ona nic nie znaczyła.

7—14 — 20... Data? Czy to była data?

Wielki Boże! 7 — 14. Czternasty lipca! Jego urodziny!

Dzień zdobycia Bastylii. Przez całe życie wszystkich to bawiło, że któryś z Fontini-Cristich urodził się w dniu obchodzonym jako rocznica wybuchu Rewolucji Francuskiej.

Czternasty lipca... dwa — zero... 20. 1920.

To był klucz zostawiony przez Savarone. Co się stało 14 lipca 1920 roku? Co takiego mogło się wtedy wydarzyć, że ojciec uznał to za aż tak ważne dla swego pierworodnego? Coś, co wyróżniało tę datę, coś, co czyniło tamte urodziny ważniejszymi niż pozostałe.

Fala bólu — druga z wielu licznych, które miały jeszcze nastąpić — przeszła mu ciało, znów biorąc początek u nasady kręgosłupa. Gorset mroził jak lodowaty pancerz; chłód wody przeniknął przez skórę, dotarł już do ścięgien i tkanki mięśniowej.

Z wyczuciem chirurga obmacał palcami obszar wokół wykutych cyfr. Nie znalazł nic poza tą datą; cała powierzchnia dokoła była gładka i nie naruszona. Przełożył kij do lewej ręki i wbił go w podwodny muł. Z najwyższym trudem, krok za krokiem, dobrnął bokiem z powrotem do skarpy, aż poziom wody obniżył mu się do połowy uda. Przystanął dla zaczerpnięcia oddechu. Fale bólu przeszły go z coraz większą częstotliwością; wyrządził swemu ciału więcej szkód, niż przypuszczał. Czuł, że lada chwila ogarną go konwulsje; zacisnął z całych sił mięśnie szczęk i gardła. Musiał wydostać się z wody i położyć. Próbując rozpaczliwie chwycić pnącze zwieszające się nad strumieniem ze skarpy, upadł na kolana w wodę. Latarka wymknęła mu się z ręki i potoczyła w splątane paprocie, strzelając snopem światła w gęstwinę drzew. Chwycił pęk grubych, wystających z ziemi korzeni i za ich pomocą wyciągnął się na brzeg, pomagając sobie od tyłu wbitym w błoto kijem.

I nagle paraliżujący szok odebrał mu zdolność wszelkiego ruchu.

Ponad nim, w ciemności zlegającej skarpe nad strumieniem, zamajaczyła sylwetka mężczyzny. Potężnego mężczyzny, ubranego na czarno i bez ruchu wpatrującego się w niego z góry. Wokół szyi, kontrastując ze smolście czarnym ubraniem biegł pasek bieli. Koloratka. Jego twarz — o ile mógł dostrzec w mroku lasu — nie zdradzała żadnego wyrazu. Ale w oczach, które się w niego wpatrywały, płonął ogień nienawiści.

Nieznajomy przerwał milczenie. Cedził powoli słowa, słowa zionące nienawiścią.

— A więc wróg Chrystusowy powrócił.

— Ty jesteś Gaetamo — powiedział Fontine.

— Pewien człowiek zjawił się samochodem w moich górach, żeby obserwować mój domek. Znałem ten samochód, znałem tego człowieka. To sługa tego heretyka z Ksenopy. Mnicha pędzącego żywot w Campo di Fiori. Przyjechał, żeby pokrzyżować mi plany.

— Ale nie udało mu się.

— Nie — pozbawiony święceń ksiądz nie rozwodził się nad tym dłużej. — A więc tutaj się to znajdowało. Tyle lat poszukiwań, a odpowiedź leżała w zasięgu ręki. — Jego niski głos zdawał się bujać w powietrzu, dobiegł nie wiadomo skąd, cichł raptownie zawieszony w połowie stwierdzenia. — Co on tam zostawił? Nazwę? Czego? Banku? Budynku w zakładach w Mediolanie? Pomyśleliśmy i o nich; rozebraliśmy je na części.

— Bez względu na to, co zostawił, nic to dla ciebie nie znaczy. Ani dla mnie.

— Kłamiesz — odparł Gaetano cicho, mrożąc jednostajnym głosem. Popatrzył w prawo, potem powiódł wzrokiem w przeciwną stronę; przywołał wspomnienia. — Opalikowaliśmy każdy centymetr tego lasu. Przeciągnęliśmy żółte sznurki od jednego palika do drugiego, zaznaczając po kolei każdy zbadany sektor. Myśleliśmy o wypaleniu go, wycięciu... ale baliśmy się zniszczyć to, czego szukaliśmy. Przegrodziliśmy strumień i przesondowali cały muł na dnie — Niemcy dali nam odpowiednie narzędzia. Ale bez skutku. Te wielkie głazy pokrywały nic nie znaczące bazgroły, a wśród nich znajdowała się data siedemnastych urodzin pewnego zarozumiałego smarkacza, któremu pycha kazała uwiecznić ją w kamieniu. I nic poza tym.

Victor zeszywniał. Gaetano wymówił słowa zaklęcia. Jedno krótkie zdanie ekskomunikowanego księdza otworzyło zamknięte drzwi!

Zarozumiały smarkacz, który wykuł w kamieniu datę swych Siedemnastych urodzin. Lecz przecież to nie on ją wykuł. Donatti odnalazł klucz, ale wcale się tego nie domyślił. Tok nasuwającego się rozumowania był taki prosty, taki nieskomplikowany — siedemnastolatek uwiecznił pamiętną datę na znajomym głazie. Jakże to logiczne, jakże nie zwracające uwagi. I jakie jasne.

Jasne jak wspomnienie, które nagle odżyło w pamięci Victora. Większość wspomnienia.

7 — 14 — 20. Jego siedemnaste urodziny. Przypomniał je sobie, bo takich urodzin nie miał nigdy w życiu. Wielki Boże, Savarone był wręcz niesamowity! "Część jego dzieciństwa!" To właśnie na siedemnaste urodziny dostał od ojca prezent, który marzył mu się tak bardzo, śnił o nim po nocach, błagał o niego: wyprawę w góry bez młodszych braci. Z prawdziwą wspinaczką — dużo wyżej niż do tych samych co zwykle obozowisk w dolnych partiach gór, które jemu przynajmniej zupełnie już obrzydły.

Na siedemnaste urodziny dostał od ojca prawdziwy plecak alpejski, jakich używali doświadczeni alpiniści. Oczywiście ojciec nie miał zamiaru zabierać go na Jungfrau; *szczerze* mówiąc, nie dokonali w czasie tej wyprawy żadnego niezwykłego wyczynu. Ale ta pierwsza wyprawa tylko z ojcem była krokiem milowym na drodze do osiągnięcia wieku męskiego. Ten plecak i ta wspinaczka były symbolem czegoś bardzo ważnego — dowodziły, że ojciec zaczyna go uważać za dorosłego mężczyznę.

A jednak zupełnie wyleciało mu to z pamięci, nawet teraz nie był tego zupełnie pewien — tyle było innych wypraw w innych latach. Czy na tę pierwszą wyprawę pojechali do Champoluc? Musiało tak być, ale jak dokładnie biegła trasa? Tego już, niestety, nie pamiętał.

— ...zakończysz życie w tym strumieniu.

Gaetamo coś powiedział, ale Fontine tego nie usłyszał: dotarła do niego tylko groźba zawarta w jego słowach. Ten szaleniec był ostatnim człowiekiem — ostatnim duchownym — któremu można byłoby cokolwiek powiedzieć.

— Tak jak mówiłeś, znalazłem tylko bezsensowne napisy, dziecinne bazgroły.

— Znalazłeś to, co z mocy prawa należy do Chrystusa! — Te słowa smagały las jak cięcie biczem. Gaetamo przykłęknął na jedno kolano przybliżając swe potężne bary i głowę do Victora, świdrując go szeroko otwartymi, płonącymi oczami. — Znalazłeś miecz archanioła piekieł! Koniec z kłamstwami! Mów, co znalazłeś!

— Nic.

— Kłamiesz! Po coś tu przyszedł? Po co taki staruch jak ty tapla się w wodzie i błocie? Co było w tym strumieniu? Na tej skale?

Victor spojrzał w groteskowe oczy.

— Po co tu przyszedłem? — powtórzył z twarzą ściągniętą bólem, napinając szyję i odginając do tyłu bolące plecy. — Jestem już stary. Nachodzi mnie wiele wspomnień. Wmówiłem sobie, że odpowiedź może znajdować się właśnie tu. Kiedy byliśmy dziećmi, zostawialiśmy sobie tutaj nazwajem wiadomości. Sam widziałeś.

Dziecięce rysunki, bazgroły, znaki wryte uderzeniami kamienia O kamień. Myślałem, że może... Ale nic nie znalazłem. Jeśli nawet coś tu kiedyś było, to teraz już tego nie ma.

— Badałeś dokładnie głaz i nagle przestałeś! Chciałeś odejść!

— Spójrz na mnie! Jak ci się zdaje, czy długo mogę pozostawać w tej wodzie?

Gaetamo pokręcił z wolna głową.

— Obserwowałem cię. Zachowywałeś się jak człowiek, który znalazł to, czego szukał...

— Widziałeś to, co chciałeś widzieć. A nie to, co było naprawdę. W tym momencie

Victorowi pośliznęła się noga; kij, na którym się wspierał, wbił się w muł, grzęznąc coraz głębiej. Gaetamo wyciągał rękę i chwycił Victora za włosy. Pociągnął brutalnie i wywlekł Fontine'a na brzeg, targając go za głowę i odginając mu szyję na boki. Gwałtowne wykrzywienie ciała było nie do zniesienia. Victor poczuł, że przeszywa go rozdzierający ból. W górze widział szeroko otwarte, obłąkane oczy. Wydawały się w mdłym świetle oczami nie starzejącego się mężczyzny w sutannie, lecz oczami młodego fanatyka sprzed trzydziestu lat.

Gaetamo dostrzegł spojrzenie Victora i zrozumiał.

— Myśleliśmy wtedy, że już nie żyjesz. Wydawało się po prostu niemożliwe, żebyś przeżył. To, że jednak ci się udało, ostatecznie przekonało jego eminencję, że naprawdę jesteś z piekła rodem!... Dobrze, żeś to sobie przypomniał. Bo teraz podejmę to, co zaczęliśmy trzydzieści lat temu. I każdy trzask pękającej kości będzie dla ciebie szansą — tak jak wtedy — by powiedzieć mi, co znalazłeś. Tylko nie próbuj kłamać. Ból ustanie dopiero wówczas, gdy usłyszę prawdę.

Gaetamo pochylił się nad Victorem. *Zaczai* mu wykręcać głowę, właczając twarz w kamienistą skarpe, rozcinając skórę, wyduszając mu powietrze z gardła.

Victor próbował poderwać głowę do góry. Ksiądz walnął go z całej siły czołem o zgrubiały korzeń. Krew trysnęła z rany, zalewając Victorowi oczy, oślepiając go. przyprawiając o wściekłość. Uniósł prawą rękę starając się złapać Gaetamo za nadgarstek. Były ksiądz chwycił jego dłoń i gwałtownym szarpnięciem wygiął ją na zewnątrz, łamiąc mu palce. Wyciągnął Fontine'a wyżej na brzeg, bez końca wykręcając mu głowę i szyję, sprawiając, że przy każdym ruchu gorset wrzynał się Victorowi w ciało.

— To się nie skończy, dopóki nie powiesz prawdy!

— Bydlę! Bydlę Donattiego! — Victor targnął się w bok, a Gaetamo odparował potężnym ciosem pięści w klatkę piersiową. Uderzenie było paraliżujące, ból przekraczający wszelką wytrzymałość.

Kij. Kij! Fontine przetoczył się w lewo, z lewą ręką pod sobą, nadal zaciskając w niej kurczowo odłamana gałąź, tak jak zaciska się coś w dłoni w chwili potwornego bólu. Gaetamo wymacał gorset, pociągnął zań, szarpiąc nim w tę i z powrotem, aż stał zaczęła rozcinać ciało, w które się wpiła.

Victor centymetr po centymetrze podciągnął długi kij w górę, przyciskając go do skarpy. Sięgnął mu do piersi; poczuł na niej dotknięcie drewna. Jego koniec był ostro zakończony. Gdyby tylko udało mu się znaleźć choćby małą lukę między sobą a przygniatającym go potworem, szczelinę wystarczającą, by wbić go w górę w kierunku twarzy, szyi.

Taki moment nadszedł. Gaetamo uniósł się na chwilę na jedno kolano — to wystarczyło.

Fontine pchnął kij w górę, wkładając w to pchnięcie ostatnie resztki sił, jakie udało mu się przywołać na pomoc, wbijając go w zawieszony nad nim osłupiałe ciało. Usłyszał krzyk szoku, przeraźliwy wrzask, który przepełnił echem cały las.

I w tej samej chwili szary mrok rozdarł huk. Ktoś strzelił z potężnego pistoletu. Las rozbrzmiał jazgotem ptaków i zwierząt, a ciało Gaetamo zważyło się wprost na Victora. I po chwili stoczyło na bok.

Kij utkwił Gaetamo w gardle. Poniżej, w górnej części piersi ziała wielka dziura, otoczona miazgą postrzępionego ciała ociekającego krwią; wydarła ją kula z broni, z której wypalono z ciemności.

— Niechaj Bóg mi wybaczy — powiedział z mroku ksenopita.

Victor poczuł, że zapada się w czarną pustkę; zaczął zsuwać się z powrotem do wody, ale podtrzymały go drżące ręce. Jego ostatnią myślą, przedziwnie pogodną, była myśl o synach. Bliźniętach. Te ręce mogłyby należeć do jego synów, próbujących ratować mu życie. Tylko ręce jego synów nie drżały.

ROZDZIAŁ 2

I

Major Andrew Fontine siedział sztywno za swoim biurkiem, wsłuchując się w poranne odgłosy. Była za pięć ósma, biura zaczynały się wypełniać. Harmider w korytarzach przybierał na sile, a potem ucichł. Pentagon rozpoczął kolejny dzień pracy.

Miał pięć dni do namysłu. Nie, nie do namysłu! — do działania. Nie bardzo było nad czym się namyślać; trzeba było natychmiast ruszać i brać się do roboty. Położyć kres temu, co rozpętał Adrian i jego “rozdrażnieni obywatele”.

Korpus Oko był najbardziej praworządną tajną jednostką w całej armii. Robił dokładnie to, co w swym własnym mniemaniu robili pacyfiści, ale bez obalania systemu, bez ujawniania słabości. Zachować siłę i złudzenie siły. To było najważniejsze. Próbowali innej metody. Psiakrew. Korpus Oko nie narodził się w Georgetown przy kieliszku brandy i cygarach, pod zdjęciami Pentagonu wiszącymi na ścianach. Narodził się w chacie w Delcie Mekongu. Po tym, jak Andrew wrócił z Sajgonu i opowiedział swym trzem podwładnym oficerom o tym, co się wydarzyło w dowództwie.

Pojechał do Sajgonu ze słusznymi skargami z linii frontu, z dowodami korupcji w formacjach zaopatrzenia. Każdego tygodnia z terenu Delt wyciekał sprzęt wartości setek tysięcy dolarów, porzucony przez oddziały wietnamskich wojsk rządowych na pierwszą oznakę zbliżania się wroga, a następnie kierowany na czarny rynek. Dowódcy tych oddziałów inkasowali swoją dolę i zamieniali ją na narkotyki, rozprawdane potem przez sieć wietnamskich pośreników z Hue i Da-Nang. Na działaniach wojennych w południowo-wschodniej Azji różni ludzie zbijali grube miliony i wyglądało na to, że nikt nie wie, jak sobie z tym poradzić.

Toteż zawiózł dowody do Sajgonu, prosto na biurko naczelnego dowództwa. I co zrobiono? Podziękowano mu i powiedziano, że sprawa zostanie zbadana. A co tu było badać? Dowody, których im dostarczył, wystarczały, żeby wytoczyć co najmniej kilkanaście procesów.

A jakiś generał zaprosił go na drinka.

— Posłuchajcie, Fontine. Lepiej przymknąć oko na odrobinę korupcji, niż wysadzać w powietrze cały skład amunicji. Ci ludzie są złodziejami z natury, nam nie uda się tego zmienić.

— Można byłoby ukarać kilku dla przykładu, panie generale.

— Na miłość boską! I tak mamy już dość problemów w samych Stanach. Rozgłos,

jakiego by to nabrało, byłby wodą na młyn antimilitarystów. Ma pan taką świetną opinię; niech jej pan sobie nie zaszarga.

Właśnie wtedy się zaczęło — narodził się Korpus Oko. Jego nazwa mówiła sama za siebie — był to oddział obserwujących i notujących. Z biegiem miesięcy ich czwórka rozrosła się do piątki, a potem siódemki. Ostatnio dodali do swego grona ósmego — kapitana Martina Greene'a z Pentagonu. Korpus Oko zrodził się z oburzenia i odrazy. Armia dowodziły zwykłe skurwiele, trzęsące portkami, żeby przypadkiem kogoś nie urazić. Czyż dowódcami wojskowymi najpotężniejszego mocarstwa na ziemi powinni być ludzie takiego kalibru?

Gdzieś po drodze nastąpiło coś jeszcze. W miarę tego, jak przybywało akt i wewnętrznych wrogów opatrzonych etykietką, jaka im się należała, członkowie Korpusu Oko uzmysłowili sobie rzecz oczywistą: to oni byli prawowitymi dziedzicami! Oni byli nieprzekupni, oni stanowili elitę.

Skoro drogą służbową się nie dało, załatwią to po swojemu. Rozbudują archiwum, *założą* kartotekę każdemu nie nadającemu się na swoje stanowisko, każdemu, kto nie wypełnia obowiązków służbowych, wszystkim łapownikom — wielkim i małym. Siła była po stronie tych, którzy mogli stawić czoło tym wykolejeńcom i zmusić ich do czołgania się u swych stóp. Zmusić ich, by robili dokładnie to, czego silni i nieprzekupni sobie życzyli.

Korpus Oko był już o krok od osiągnięcia swego celu. Niemal trzy lata strawione na notowaniu brudów. Chryste! Połudftiowo--wschodnia Azja była pod tym względem niezrównana. Już wkrótce dokonają przewrotu — wmaszerują wprost do Pentagonu i przejmą go w swoje ręce. To właśnie ludzie tacy jak oni posiadali odpowiednie zdolności, wykształcenie i zaangażowanie, by kierować niezwykle złożonym kompleksem stanowiącym o wojskowej potędze kraju. To nie było złudzenie — naprawdę stanowili elitę.

Było to dla niego zupełnie logiczne. Ojciec na pewno potrafiłby to zrozumieć, gdyby kiedyś mógł z nim porozmawiać na ten temat. I pewnego dnia może to zrobi. Od kiedy sięgał pamięcią, miał poczucie znaczenia, wpływów, doniosłości swej pozycji. I władzy — tak, właśnie władzy. To nie jest hańbiące słowo! Władza należała się tym, którzy potrafili ją sprawować; należała się im z urodzenia.

A teraz Adrian chciał to wszystko zniszczyć! Och nie, ten rozrabiaka niczego nie zniszczy. Nie uda mu się rozgromić Korpusu Oko.

“...można to załatwić na różne sposoby”. Tak powiedział Adrian w hangarze!

Słusznie! Można to załatwić, ale na pewno nie w taki sposób, jaki miał na myśli Adrian i jego zaniepokojeni obywatele. Przedtem mnóstwo jeszcze się wydarzy.

Pięć dni. Adriana wyszkolono w rozważaniu wariantów, praktycznych, fizycznie

istniejących alternatyw, a nie słów, abstrakcyjnych pojęć i "stanowisk". Armia nieźle się namorduje, próbując dopaść go za pięć dni od dzisiaj, jeśli znajdzie się szesnaście tysięcy kilometrów stąd w strefie działań wojennych, biorąc udział w operacjach okrytych parasolem ściślejszej tajemnicy. Miał dość kontaktów, żeby tego dokonać — dostać się tam i zbudować ten parasol.

W Sajgonie był jakiś mięczak, który ich zdradził. Zdradził Korpus Oko. Już tylko to — dowiedzieć się, kto to był, a mógł nim być któryś z tamtej szóstki — stanowiło wystarczający powód, żeby wyjechać. I znaleźć go... A potem podjąć odpowiednią decyzję.

Kiedy już go odszuka — i podejmie decyzję — reszta będzie niezwykle prosta. Powiadomi o wszystkim pozostałych członków Koprusu Oko. Ustalą wersję wydarzeń, dokładnie wszystko uzgodnią.

Nawet w wojsku trzeba mieć dowody. A nie było sposobu, żeby ktoś mógł te dowody zdobyć.

Tu, w Waszyngtonie, ósmy członek Korpusu Oko sam da sobie radę. Kapitan Martin Greene był twardszy niż hartowana stal. I bardzo sprytny. Odeprze każdy atak. W jego rodzinie wszyscy należeli do Irgun, organizacji najtwardszych bojowników w całej żydowskiej historii. Jeśli szychy z Waszyngtonu zaczną robić wokół niego raban, kapitan Greene w jednej chwili pryśnie do Izraela, a żydowska armia tylko na tym zyska.

Andrew spojrział na zegarek. Kilka minut po ósmej, pora skontaktować się z Martinem Greene'em. Minionej nocy nie mógł ryzykować. Adrian i jego cywile próbowali *znaleźć* nieznanego oficera pracującego w Pentagonie. Miejskim telefonom nie można było ufać. A z Martym musiał się porozumieć, i to natychmiast; nie mógł czekać do wyznaczonego wcześniej spotkania. Wszak jeszcze przed wieczorem znajdzie się na pokładzie samolotu do Sajgonu.

Uzgodnili, że nikt nigdy nie może ich widzieć razem. Gdyby spotkali się przypadkiem na jakiejś naradzie czy koktajlu, obaj mieli udawać, że widzą się po raz pierwszy. Było niesłychanie ważne, żeby nikt w żaden sposób nie mógł ich ze sobą łączyć. Kiedy już się spotykali, to zawsze w ustronnych miejscach i według ustalonego z góry harmonogramu. Podczas tych spotkań zestawiali wszystkie kompromitujące informacje, jakie im obu udało się w ciągu tygodnia wyszperać, i wysyłali je pod adresem pewnej skrytki pocztowej w Baltimore. Wrogów Korpusu Oko katalogowano wszędzie.

W nagłych przypadkach albo wtedy, gdy jeden z nich potrzebował natychmiast rady drugiego, przesyłali sobie informację za pomocą "pomyłkowego" telefonu łączonego przez wewnętrzną centralę Pentagonu. Był to sygnał, że należy wymyślić jakąś wymówkę, żeby wyjść z biura i udać się do pewnego baru na przedmieściach Waszyngtonu. Andrew

zatelefonował "pomyłkowo" przed dwoma godzinami.

Bar był mroczny, o tanim pretensjonalnym wystroju, a z łóż pod ścianą doskonale widać było wejście. Andrew usiadł w jednej z nich i zaczął bawić się zamówioną szklaneczką burbona, nie mając nań najmniejszej ochoty. Nieustannie spoglądał na wejście znajdujące się piętnaście metrów od niego. Za każdym razem, kiedy otwierały się drzwi, poranne słońce wdzierało się na chwilę do wnętrza, rażąc nieprzyjemnie w panującym tu półmroku. Greene spóźnił się, a to było zupełnie do niego niepodobne.

Drzwi otworzyły się po raz któryś z rzędu i w plamie jaskrawego światła zarysowała się sylwetka krępego, muskularnego mężczyzny o potężnych, szerokich barach. To był Marty; bez munduru, w rozpiętej pod szyją białej koszuli i chyba kraciastych spodniach. Skinął głową barmanowi i ruszył ku tylnej ścianie baru. "Wszystko w nim emanuje siłą — pomyślał Andrew. — Od potężnie umięśnionych nóg po szopę płomiennie rudych włosów, przyciętych na rekruckiego jeża".

— Przepraszam, że to tak długo trwało — powiedział Greene wślizgując się na siedzenie naprzeciwko Andrew. — Wpadłem do domu, żeby się przebrać. I wyszedłem tylnym wyjściem.

— Miałeś jakiś szczególny powód?

— Może tak, a może nie. Wczoraj w nocy, kiedy wyprowadzałem samochód z garażu, wydawało mi się, że ktoś się do mnie przyczepił. Ciemnozielona elektra. Zawróciłem i pojechałem w przeciwną stronę, ona też. Wróciłem do domu.

— O której to było?

— Jakaś ósma trzydzieści, za piętnaście dziewiąta.

— To by się zgadzało. Dlatego właśnie dziś do ciebie dzwoniłem. Spodziewają się, że skontaktuję się z kimś z twojej sekcji i natychmiast zorganizuję spotkanie. Pewnie kazali śledzić jeszcze kilka innych osób.

— Jacy "oni"?

— Jednym z nich jest mój brat.

— Twój brat?!

— Jest prawnikiem. Pracuje w...

— Doskonale wiem, kim jest twój brat — przerwał mu Greene — i gdzie pracuje.

Działają z subtelnością słonia w składzie porcelany.

— Nigdy mi o tym nie wspominałeś. Dlaczego?

— Nie było powodu. Taka tam banda zapaleńców z Departamentu Sprawiedliwości. Zorganizował ich pewien czarny, niejaki Nevins. Ani na chwilę nie spuszcza ich z oka; węższą

wokół kontraktów zbrojeniowych bardziej, niżbyśmy chcieli. Ale z nami nigdy nie mieli nic wspólnego.

— Teraz już mają. Dlatego właśnie dzwoniłem do ciebie. Któryś z naszej szóstki w Wietnamie sypnął. Mają jego zeznanie. I listę. Ośmiu oficerów, z czego siedmiu z imienia i nazwiska.

Oczy Greene'a zwężyły się w wąskie szparki. Wycedził cicho przez zęby: — O czym ty, u diabła, mówisz?

Andrew opowiedział mu całą historię. Kiedy skończył, potężne ciało Greene'a nie poruszyło się nawet na milimetr.

— Ten czarny skurwysyn Nevins dwa tygodnie temu poleciał do Sajgonu — powiedział. — W sprawie, która nie miała nic wspólnego z nami.

— Okazało się, że jednak miała — odparł Andrew.

— Kto ma to zeznanie? Czy sporządzono jakieś kopie?

— Nie wiem.

— Dlaczego zwlekają z przekazaniem pozwu?

— Tego też nie wiem.

— Musi być jakiś powód! Na miłość boską, dlaczego go o to nie zapytałeś?

— Spokojnie, Marty. To był dla mnie szok...

— Każdego z nas szkolono, jak reagować na szok — przerwał mu lodowato Greene. —

Czy możesz się tego dowiedzieć?

Andrew upił burbona ze swej szklaneczki. Takiego Marty'ego jeszcze nie widział.

— Nie mogę zadzwonić do brata. Nawet gdybym to zrobił, nie powiedziałby mi.

— Miła rodzinka. Życie sobie, braciszku, długo i niech wam się dobrze powodzi.

Może ja bardziej się przydam. Mamy swoich ludzi w Sprawiedliwości; pion zaopatrzenia musi się asekurować. Zrobię, co będę mógł. Gdzie w Sajgonie znajdują się nasze akta? To jest sedno sprawy.

— One nie znajdują się w Sajgonie, tylko w Phan Thiet, nad morzem. Na ściśle wydzielonym terenie składów i tylko ja jeden wiem, gdzie dokładnie. Kilka szafek wśród tysiąca skrzyń G-2.

— Bardzo sprytnie. — Greene skinął z aprobatą głową.

— Pierwsza rzecz — sprawdzę, czy jeszcze tam są. Wylatuję dziś po południu.

Niespodziewana inspekcja.

— Świetnie. — Greene ponownie skinął głową. — Znajdziesz go?

— Tak.

— Sprawdź Barstowa. To szczywana sztuka, ma za dużo odznaczeń.

— Nie znasz go.

— Wiem, w jaki sposób działa — odparł Greene.

Andrew poczuł się dotknięty, jego brat użył podobnego określenia w odniesieniu do Korpusu Oko.

— To facet świetny w polu i...

— Odwaga — przerwał mu kapitan Greene — nie ma tu nic do *rzeczy*. Przede wszystkim sprawdź Barstowa.

— Dobrze. — Uwagi kapitana dotknęły go do żywego. Musiał jakoś odzyskać pozycję. — A co z Baltimore? Nie daje mi to spokoju.

Listy wysłane do Baltimore odbierał dwudziestoletni siostrzeniec Greene'a.

— On jest bez zarzutu. Wolałby się zabić. Byłem tam w ostatnią sobotę i niedzielę. Musiałbym coś zauważyć.

— Jesteś pewien?

— Nie ma o czym mówić. Chcę się tylko dowiedzieć czegoś więcej o tym cholernym zeznaniu. Kiedy dopadniesz Barstowa, dopilnuj, żeby ci słowo w słowo powtórzył to, co zeznał. Pewnie dali mu kopię; sprawdź, czy ma wojskowego adwokata.

Major znów pociągnął ze szklaneczki, unikając spojrzenia zwięzonych oczu Greene'a. Nie podobał mu się ton jego głosu — brzmiał w nim wyraźny brak subordynacji. Kapitan właściwie wydawał rozkazy. Ale w końcowym obrachunku dobrze było mieć kogoś takiego przy sobie w kryzysowej sytuacji.

— Czego możesz się dowiedzieć w Sprawiedliwości?

— Więcej, niż temu czarnemu skurwysynowi mogłoby przyjść do głowy. Mamy fundusze na opłacenie tych niby politycznie niezależnych, którzy maczają palce w kontraktach zbrojeniowych. Co nas obchodzi, kto zarobi kilka dodatkowych dolarów — my chcemy mieć sprzęt. Byłbyś zdumiony, jak szybko nisko opłacanym rządowym prawnikom wchodzą w krew urlopy na Karaibach. — Greene uśmiechnął się i rozsiadł wygodniej. — Myślę, że damy sobie z tym radę. Ten pozew nie będzie wart funta kłaków, jeżeli nie znajdą naszych archiwów. Oficerowie liniowi zawsze trzaskają dziobem, to żadna nowina.

— Tak właśnie powiedziałem bratu.

— Nie mogę rozgryźć faceta — powiedział Greene. Pochylił się do przodu i dodał: — Bez względu na to, co zrobisz w Wietnamie, dobrze sobie wszystko przemyśl. Gdybyś miał dać się ponieść emocji, lepiej zbieraj tylko fakty i załatw to na odległość.

— Wydaje mi się, że w działaniu na tamtym terenie mam więcej doświadczenia niż

ty. — Andrew zapalił papierosa; pomimo narastającej irytacji ręce mu nie drżały i sprawiło mu to satysfakcję.

— Pewnie tak — odparł swobodnie Greene. — A teraz ja mam coś dla ciebie. Uważałem, że to może poczekać do naszego następnego spokania, ale skoro już się widzimy, nie ma sensu tego odkładać.

— Co takiego?

— W ubiegły piątek przyszła do nas interpelacja z Kongresu.

Od niejakiego Sandora. Taki tam politykier z Komisji Służb Zbrojnych. Dotyczyło ciebie, więc ją wyciągnąłem.

— Czego chcieli?

— Niczego specjalnego. Twój plan rotacji. Na jak długo jesteś w Waszyngtonie. Podłożyłem rutynową odpowiedź. Jesteś materiałem na najwyższe szczeble dowództwa, kandydatem do Akademii Wojennej. Wylądowałeś tu na stałe.

— Zastanawiam się...

— Jeszcze nie skończyłem — przerwał mu Greene. — Zadzwoń do sekretarza tego Sandora z zapytaniem, dlaczego pan kongresmen tak się tobą interesuje. Facet poszperał w dokumentach i odparł, że prośba o zebranie tych informacji pochodzi od przyjaciela pana Sandora, niejakiego Dakakosa. Theodora Dakakosa.

— Co to za jeden?

— Grecki armator, kalibru twojej rodziny. Facet ma miliony.

— Dakakos? Nigdy o nim nie słyszałem.

— Ci Grecy są zupełnie niesamowici. Może chce ci sprawić jakiś prezent. Jakiś jachcik albo mały własny batalion.

Fontine wzruszył ramionami.

— Dakakos? Jacht sam mogę sobie kupić. Wolałbym batalion.

— To też można kupić — powiedział Greene, wysuwając się zza stolika w łoży. — Owocnej podróży. Zadzwoń po powrocie.

— A co ty masz zamiar zrobić?

— Dowiedzieć się wszystkiego, co się da, o tym czarnym skurwysynie Nevinsie.

Greene odszedł szybkim krokiem wzdłuż pozostałych łóż ku wyjściu. Andrew miał odczekać pięć minut i dopiero wtedy opuścić bar. Musiał pojechać do swego mieszkania i z powrotem. Samolot odlatywał o pierwszej trzydzieści.

Dakakos? Theodore Dakakos.

Kto to jest Theodore Dakakos?

Adrian wstał z łóżka powolutku, postawił na podłodze najpierw jedną nogę, potem drugą, jak najciszej, żeby nie obudzić Barbary. Spała, ale sen miała niespokojny.

Było dopiero wpół do dziesiątej wieczorem. Odebrał ją z lotniska tuż po piątej. Odwołała swe czwartkowe i piątkowe seminaria, zbyt podniecona, żeby wykładać bujającym w obłokach studentom szkoły letniej.

Otrzymała stypendium asystentki antropologa Sorkisa Kher-tepiana z Uniwersytetu Chicago. Kher-tepian był właśnie w trakcie analizy zabytków kultury materialnej znalezionych na terenach budowy tamy asuańskiej. Barbara nie posiadała się z radości; musiała przylecieć i opowiedzieć o wszystkim Adrianowi. Zawsze tryskała energią, kiedy jej życie zawodowe układało się pomyślnie, była typem naukowca wiecznie zafascynowanego swą pracą.

To dziwne. Oboje z Barbarą podjęli się wykonywania zawodu w odruchu buntu. Jego bunt zrodził się na pełnych narkomanów ulicach San Francisco. Barbary w domu rodzinnym. Dla jej wspaniałej matki nie było miejsca w żadnych z college'ów środkowego zachodu właśnie dlatego, że była matką. Kobieta, dla której nie było miejsca w gronie samodzielnych pracowników nauki na żadnym uniwersytecie. A jednak z biegiem czasu Adrian i Barbara znaleźli w swej pracy inne wartości, a potrzeba buntu nie była już tak istotna.

To był jeden z łączących ich więzów.

Przeszedł na palcach przez pokój i usiadł w fotelu. Jego wzrok padł na neseser leżący na szafce w sypialni. Nigdy nie zostawiał go na noc w salonie; Jim Nevins przestrzegał go przed lekceważeniem środków ostrożności. W takich sprawach Nevins czasami miewał paranoicznego hopla.

I on też wybrał sobie zawód pod wpływem gotującego się w nim gniewu. Ten właśnie gniew często pomagał mu wytrwać. Bo nie była to tylko frustracja Murzyna, próbującego pokonać bariery wznoszone przez sceptycznie nastawiony biały establishment, ale także wściekłość prawnika, który widział cały ogrom bezprawia w mieście, gdzie prawa były stanowione.

Ale nic nie mogło rozwścieczyć Nevinsa bardziej niż wykrycie Korpusu Oko. Myśl o wojskowych tających dowody korupcji na wielką skalę, dla osiągnięcia własnych celów, wydawała się czarnemu prawnikowi groźniejsza niż cokolwiek innego.

Kiedy na liście Korpusu odnaleziono nazwisko majora Fontine[^], Nevins zaproponował Adrianowi, żeby wycofał się z tej sprawy. Adrian był jednym z jego najbliższych przyjaciół, a Nevins nie chciał, by coś stanęło mu na przeszkodzie w wymierzeniu sprawiedliwości członkom Korpusu Oko.

A bracia to bracia. Nawet biali bracia.

— Jesteś taki poważny. I taki nagi. — Barbara odgarnęła z twarzy jasnokasztanowe włosy i ułożyła się na boku, przytulając policzek do poduszki.

— Obudziłem cię? Przepraszam.

— Wielkie nieba, nie. Drzemałam tylko.

— Mała poprawka. Chrapałaś tak, że słyhać cię było chyba na Kapitolu.

— Kłamstwa płyną z twoich ust prawnika... Która to godzina?

— Za dwadzieścia dziesiąta — odparł, spoglądając na zegarek. Barbara usiadła i przeciągnęła się. Prześcieradło zsunęło jej się do pasa, piękne, pełne piersi rozsunęły się na boki, powolnym nabrzmiewaniem i drganiem sutek przykuwały jego spojrzenie i wprawiały w podniecenie. Spozrzegła jego wzrok, uśmiechnęła się i opierając o wezgłowie, zakryła na powrót prześcieradłem.

— Porozmawiajmy — powiedziała pojednawczo. — Mamy całe trzy dni, żeby się kochać do upadłego. Kiedy będziesz wychodził w ciągu dnia polować na niedźwiedzie, wyfiokuję się jak konkubina. Satisfakcja murowana.

— Powinnaś oddać się temu wszystkiemu, czym się zajmują damy. Wylegiwać się godzinami w salonie Elizabeth Arden, taplać w wannach mleczka, zjadać czekoladki do dzinu. Jesteś zmęczoną dziewczynką.

— Dajmy spokój zmęczonej dziewczynce — powiedziała Barbara, uśmiechając się. — Trajkotała o sobie całą noc — no, prawie całą. Co słyhać tutaj? Może nie wolno ci o tym mówić? Jim Nevins na pewno uważa, że to mieszkanie jest na podsłuchu.

Adrian roześmiał się i założył nogę na nogę. Sięgnął po paczkę papierosów leżącą obok zapalniczki na podręcznym stoliku.

— Jim ma coraz większego bzika na punkcie konspiracji. Obecnie nie zostawia już w biurze akt prowadzonych spraw. Wszystkie ważne paczki trzyma we własnej teczce, która jest największą podręczną walizą, jaką kiedykolwiek widziałas. — Adrian zachichotał.

— Dlaczego?

— Pilnuje, żeby nikt nie zrobił żadnych kopii. Dobrze wie, że gdyby ci z góry wiedzieli, do czego już zdążył dojść, odsunęliby go od połowy spraw.

— To zdumiewające.

— Raczej przygnębiające.

Rozległ się dzwonek telefonu. Adrian wstał szybko z fotela i podszedł do nocnego stolika przy łóżku.

To była jego matka. Nie potrafiła ukryć zdenerwowania.

— Otrzymałam wiadomość od waszego ojca.

— Jak to “otrzymałaś” wiadomość od ojca?

— W ubiegły poniedziałek poleciał do Paryża. Potem pojechał do Mediolanu...

— Do Mediolanu? A po co?!

— Sam wam to powie. Chce, żebyście ty i Andrew przyjechali tutaj w niedzielę.

— Zaraz, chwileczkę — zaprotestował Adrian, gorączkowo zastanawiając się, co ma jej odpowiedzieć. — Chyba nie będę mógł przyjechać.

— Po prostu musisz.

— Ty tego nie rozumiesz, a ja nie bardzo mogę ci to teraz wytłumaczyć. Ale Andy na pewno nie będzie chciał się ze mną widzieć. A i ja wcale nie jestem pewien, czy chciałbym widzieć się z nim. Nie jestem nawet pewien, czy w zaistniałych okolicznościach powinienem to zrobić.

— O czym ty mówisz? — W głosie matki zadźwięczał nagły chłód. — Coś ty takiego zrobił?

Adrian zawahał się, nim odpowiedział.

— Stoimy po przeciwnych stronach w pewnej... spornej kwestii.

— Mniejsza o to! Sporne kwestie nie mają tu najmniejszego znaczenia. Ojciec was potrzebuje. — Zaczynała tracić panowanie nad sobą. — Miał jakiś wypadek! Coś mu się stało! Ledwie mógł mówić!

W słuchawce rozległo się kilka trzasków, po czym dobiegł z niej zaaferowany głos hotelowej telefonistki.

— Przepraszam, że panu przerywam, panie Fontine, ale jest do pana bardzo pilny telefon.

— O Boże — szepnęła jego matka na linii z Nowego Jorku. — Victor...

— Jeśli to ma jakiś związek z ojcem, natychmiast do ciebie zadzwonę. Obiecuję — powiedział szybko Adrian. — No dobrze, niech pani łączy ten...

Tylko tyle zdążył powiedzieć. W słuchawce rozległ się rozhis-teryzowany kobiecy krzyk i łkanie, że nie sposób było coś zrozumieć.

— Adrian! O Boże, Adrian! On nie żyje! Zabili go! Zabili go! Adrian!!!

Krzyki ze słuchawki wypełniły cały pokój. Ich przerażający sens wstrząsnął Adrianem jak nic jeszcze dotąd w życiu... Śmierć. Otarł się o śmierć, która dotyczyła jego osobiście.

Kobietą przy telefonie była Carol Nevins, żona Jima.

— Zaraz tam będę! Zadzwon do mojej matki — polecił Barbarze, ubierając się w biegu. — Pod numer w North Shore. Powiedz jej, że to nie tata.

— A kto?

— Nevins.

— O Boże!

Wybiegł na korytarz i popędził do windy. Nie zdejmował palca z przycisku; te windy chodziły tak wolno — za wolno! Pognał do zapasowych drzwi, otworzył je z takim impetem, że trzasnęły o ścianę, i kilkoma susami pokonał schody prowadzące do głównego hallu. Rzucił się sprintem do oszklonych drzwi wyjścia.

— Przepraszam! Proszę mnie przepuścić, przepraszam! Znalazłszy się na chodniku, pobiegł w prawo, gdzie świeciło się światełko wolnej taksówki. Rzucił adres mieszkania Nevinsa.

Co się stało? Na miłość boską, co takiego się stało? Co Carol chciała powiedzieć? Jak to “zabili go”? Kto go zabił? Jezu! Czy on naprawdę nie żyje?! T

Jim Nevins nie żyje?! Korupcja, zgoda. Łapówki, jasne. Oszustwa, nic nowego. Ale nie morderstwo!

Przy New Hampshire stanęli na światłach. Adrian myślał, że oszaleje. Jeszcze tylko dwie przecznice!

Taksówka skoczyła do przodu natychmiast, gdy tylko światło zaczęły mrugać. Kierowca przyspieszył, po czym nagle w połowie drogi do następnej przecznicy gwałtownie wyhamował. Ulicę blokował korek; gdzieś w przodzie błyskały światła, wszystkie samochody stały.

Adrian wyskoczył z taksówki i zaczął przeciskać się między autami najszybciej, jak się dało. Ustawione w poprzek Florida Avenue radiowozy policyjne blokowały wlot ulicy. Służba drogowa dęła w gwizdki, wymachując odblaskowymi pomarańczowymi rękawicami i kierując ruch uliczny na zachód.

Wcisnął się między samochody blokady; Stojący kilka metrów od niego po obu stronach dwaj policjanci krzyknęli nań równocześnie.

— Halo, panie, tędy nie wolno przechodzić!

— Wracaj, chłopie, tu nie ma przejścia!

Ale on musiał przejść, po prostu musiał! Dał nura pomiędzy dwa radiowozy i pognał co sił w nogach ku światłom wirującym obok sterty poskręcane metalu i rozbitego szkła, w której natychmiast rozpoznał samochód Jima Nevinsa. A raczej to, co z niego zostało.

Tylne drzwi karetki pogotowia były szeroko otwarte; dwaj sanitariusze wnosili do niej z rozbitego samochodu nosze, na których leżało ciało — przypięte pasami, całkowicie zakryte białym szpitalnym kocem. Obok siedł trzeci mężczyzna z czarną torbą lekarską.

Adrian podszedł bliżej, odpychając na bok policjanta, który ręką zagrażał mu drogę.

— Proszę mnie przepuścić — powiedział stanowczo, ale głos mu zadrżał.

— Przykro mi, proszę pana, ale nie mogę...

— Jestem prokuratorem! A ten człowiek jest chyba moim przyjacielem.

Lekarz dosłyszał desperację bijącą z jego słów i gestem nakazał policjantowi, żeby go przepuścił. Adrian sięgnął do koca; w tej samej chwili lekarz chwycił go za rękę.

— Czy pański przyjaciel był Murzynem?

— Tak.

— Miał papiery na nazwisko Nevins?

— Tak.

— Nie żyje; może mi pan wierzyć na słowo. Radzę panu nie zaglądać.

— Pan nie rozumie. Ja muszę go zobaczyć.

Adrian odchylił koc. Żołądek podszedł mu do gardła. Był jednocześnie przerażony i zahipnotyzowany tym, co zobaczył. Nevins nie miał połowy twarzy, widać było więcej kości i krwi niż ciała. Miejsce, gdzie powinno być gardło, wyglądało jeszcze gorzej; brakowało mu ponad połowy szyi.

— O Jezu! O Boże!

Lekarz znów nakrył ciało kocem i polecił sanitariuszom wnieść je do karetki. Był to młody człowiek o długich blond włosach i chłopięcej twarzy.

— Niech pan lepiej usiądzie — poradził Adrianowi. — Próbowałem to panu powiedzieć. No, chodźmy, odprowadzę pana do samochodu!

— Nie, nie, dziękuję. — Adrian opanował mdłości. Starał się równo i głęboko oddychać. Jakie rzadkie było to powietrze! — Jak to się stało?

— Nie znamy jeszcze szczegółów. Czy pan naprawdę jest prokuratorem?

— Tak. To był mój przyjaciel. Jak to było?

— Wygląda na to, że skręcił w lewo na podjazd przed domem i w połowie drogi wpadł na niego z pełną szybkością jakiś ogromny holownik.

— Holownik?

— Ciężarówka do holowania, taka z ogromną stalową kratownicą z przodu. Zapieprzała, jakby była na autostradzie.

— Gdzie jest teraz?

— Nie wiadomo. Zatrzymała się na kilka chwil, rycząc klaksonem jak wszyscy diabli, po czym prysnęła. Naoczny świadek twierdzi, że była wynajęta. Na boku miała reklamę przedsiębiorstwa wynajmu ciężarówek. Dałbym sobie głowę uciąć, że policja ogłosiła już alarm dla wszystkich patroli.

Nagle Adrian przypomniał sobie coś, zaskoczony, że w takiej chwili mogło mu to w ogóle przyjść do głowy. Chwycił lekarza za rękaw.

— Czy może mnie pan przeprowadzić przez kordon do jego samochodu? To bardzo ważne.

— Jestem lekarzem, a nie gliną.

— Bardzo pana proszę. Nie może pan choć spróbować? Młody lekarz wciągnął powietrze przez zęby, po czym skinął głową.

— Okay, przeprowadzę pana. Ale nie wpakuj mnie pan w coś.

— Chcę tylko coś zobaczyć. Powiedział pan, że świadek widział, jak ciężarówka się zatrzymuje.

— I bez tego wiem, że się zatrzymała — powiedział enigmatycznie doktor. — Chodźmy.

Podeszli do wraka samochodu. Był wgnieciony z lewej strony, miał wybite szyby, wszystkie metalowe części były w strzępach. Bak na benzynę spryskano pianą; białe kuleczki wpadły przez puste otwory okienne i zasypały całe wnętrze.

— Halo, doktorku, co pan tam robi? — Głos policjanta pobrzmiwał zmęczeniem i złością.

— No, mały, wracaj! Pan też! — zawołał jego kolega. Lekarz podniósł do góry czarną torbę.

— Oględziny. Nie dyskutuj ze mną, dzwoń na posterunek.

— Co?

— Jakie znowu oględziny?

— Przedsekcyjne, na miłość boską! — Popchnął Adriana do przodu. — Bierz, laborant, te próbki i spadamy. Lecę z nóg. — Adrian zajrzał do samochodu. — Widzisz tam co? — spytał lekarz z naciskiem w głosie.

Widział. Teczka Nevinsa zniknęła. Wrócili przez kordon policji do karetki.

— No jak, zobaczył pan to, o co panu chodziło? — spytał młody lekarz.

— Tak — odparł Adrian tępo, nie bardzo pewien, czy odzyskał już zdolność jasnego myślenia. — Zobaczyłem, że nie ma tam , czegoś, co powinno być.

— Okay. Dobra. Teraz powiem panu, dlaczego pana przeprowadziłem.

— Słucham?

— Widział pan swego przyjaciela; jego żonie nie pozwoliłbym go obejrzeć. Twarz i szyję rozwały mu kawałki szkła i metalu.

— Tak... Wiem, widziałem. — Adrian poczuł, że znów zalewa go fala nudności.

— Ale noc jest dość ciepła. Według mnie okno po stronie kierowcy było opuszczone. Nie mógłbym przysiąc, bo z samochodu została miazga, ale pański przyjaciel mógł dostać krótką serię z pistoletu maszynowego.

Adrian podniósł wzrok. W głowie coś mu zaskoczyło; palącym wspomnieniem zabrzmiały mu w uszach słowa wypowiedziane przez brata siedem lat temu w San Francisco. "Tam się toczy wojna... na prawdziwe kule!" Wśród papierów w teczce Nevinsa znajdowało się zeznanie złożone przez pewnego oficera z Sajgonu. Akt oskarżenia przeciwko Korpusowi Oko.

A on dał swemu bratu pięć dni.

Boże! Co też najlepszego uczynił!

Pojechał taksówką do komisariatu. Dokumenty potwierdzające, że jest prokuratorem, umożliwiły mu krótką rozmowę z dyżurnym sierżantem.

— Jeśli ktoś tu brzydko pogrywał, to dojdziemy do tego — powiedział sierżant, spoglądając na Adriana z niesmakiem, jaki policjanci rezerwowali dla prawników żerujących na wypadkach.

— Był moim przyjacielem i mam powody, by przypuszczać, że tak właśnie było. Znaleźliście ciężarówkę?

— Nie. Wiemy, że nie wyjechała na żadną z autostrad. Policja stanowa ma na nią oko.

— Była wynajęta.

— To też wiemy. Sprawdzamy wszystkie firmy wynajmu ciężarówek. Może pojechałby pan do domu, co?

Adrian pochylił się nad biurkiem sierżanta, opierając się rękami o jego krawędź.

— Coś mi się zdaje, że nie traktuje mnie pan zbyt poważnie.

— Panie, my tu co godzinę dostajemy dziesiątki zgłoszeń o śmiertelnych wypadkach. Do cholery, czego pan chciał? Żebyśmy zawiesił wszystko inne na kołku i rzucił, kurwa, cały pluton w pogoń za tą jedną ciężarówką, która zbiegła z miejsca wypadku?

— Powiem panu, czego chcę, sierżancie. Chcę dostać szczegółowy raport patologa na temat urazów czaszki, jakie odniósł zmarły. Jasne?

— O czym pan mówi? — odparł lekceważąco sierżant. — Jakie znowu urazy czaszki...

— Chcę wiedzieć, w jaki sposób ten człowiek został tak zmasakrowany.

“Przesyłka z Salonik zebrała już swoje ostatnie żniwo” — myślał Victor, leżąc we własnym łóżku w promieniach porannego słońca wpadających przez okna od strony morza do domu na North Shore. Wszystko wskazywało na to, że już nikt więcej nie straci życia z jej powodu. Enrici Gaetamo był ostatnią ofiarą, i śmierć ta nie niosła ze sobą smutku.

Jemu samemu zostało już bardzo niewiele czasu. Mógł to wyczytać ze wzroku Jane, ze spojrzeń lekarzy. Można było się tego spodziewać. Zbyt często odraczano mu ten wyrok.

Podyktował wszystko, co pamiętał z tamtego lipcowego dnia, kiedy to dopiero wkraczał w życie, które miało się teraz ku końcowi. Przeszukał wszystkie zakamarki pamięci, odmawiając przyjmowania narkotyków, które stępiłyby ból, ponieważ jednocześnie stępiłyby mu także pamięć.

Urna musiała zostać odnaleziona, a jej zawartość oceniona przez odpowiednich ludzi. Należało za wszelką cenę zapobiec — choćby nie wiem jak mała była tego szansa — przypadkowemu jej odkryciu, bezmyślnemu ujawnieniu. Obarczy tym zadaniem synów. Rozwiązanie sprawy przesyłki z Salonik należało teraz do nich. Jego bliźniaków. Oni dokonają tego, co jemu się nie udało — odnajdą urnę.

Ale w tej łamigłówce brakowało jeszcze pewnego elementu. Musi go zdobyć przed rozmową z synami. Co wiedział Rzym? Jak wiele na temat przesyłki z Salonik zdołał dowiedzieć się Watykan? Z tego właśnie powodu zaprosił do siebie dziś rano pewnego człowieka. Księdza Landa, prałata nowojorskiej archidiecezji, który odwiedził go w szpitalu kilka miesięcy temu.

Fontine usłyszał odgłos kroków przed drzwiami sypialni i przyciszone głosy Jane i gościa. Ksiądz przybył na jego zaproszenie.

Ciężkie drzwi uchylły się bezszelestnie. Jane wpuściła księdza, po czym wyszła na korytarz, zamykając je za sobą. Duchowny przystanął w progu i spojrzał przez pokój na Victora. W ręku trzymał książkę w skórzanej oprawie.

— Dziękuję za przyjęcie — powiedział Victor.

Ksiądz uśmiechnął się. Wskazał palcem na trzymaną w ręku książkę.

— “Podbój przez miłosierdzie. W imię Boga”. Historia rodu Fontini-Cristich. Pomyślałem, że pan się z tego ucieszy, panie Fontine. Znalazłem to w jakiejś księgarni w Rzymie wiele lat temu.

Położył książkę na nocnym stoliku. Wymienili uścisk dłoni; Victor uzmysłowił sobie,

że taksują się nazwajem spojrzeniem.

Land nie przekroczył pięćdziesiątki. Był średniego wzrostu, szeroki w klatce piersiowej i ramionach. Miał ostre angielskie rysy twarzy i orzechowe oczy patrzące spod krzaczastych brwi, o ton ciemniejszych od krótko ostrzyżonych siwiejących włosów. Była to miła twarz o inteligentnym spojrzeniu.

— Obawiam się, że to zwykły panegiryk. Wedle wątpliwej wartości obyczaju panującego na przełomie wieków. Już od bardzo dawna jej nie wznawiano. Napisana włoskim...

— Północnym dialektem, który wyszedł już z użycia — wszedł mu w słowo Land. — Coś w rodzaju odpowiednika dworskiej angielszczyzny z czasów królowej Victorii. Coś pomiędzy "jejmością" a zwykłą "panią".

— Ma pan nade mną przewagę. Moja wiedza o języku nie jest nawet w przybliżeniu tak erudycyjna.

— Wystarczyła do prowadzenia operacji "Loch Torridon".

— Tak, to prawda. Proszę usiąść, *monsignore*. — Victor wskazał gestem krzesło obok łóżka. Prałat usiadł. Zmierzyli się spojrzeniami. Fontine przerwał milczenie.

— Kilka miesięcy temu odwiedził mnie pan w szpitalu. Dlaczego?

— Chciałem poznać człowieka, którego życie tak dokładnie przestudiowałem. Czy mogę mówić szczerze?

— Nie przyszedłby pan tu dzisiaj, gdyby nie miał pan tego zamiaru.

— Powiedziano mi wówczas, że może pan umrzeć. W swej zarozumiałości miałem nadzieję, że pozwoli mi pan udzielić sobie ostatniego namaszczenia.

— Jest pan rzeczywiście szczerzy. I rzeczywiście okazał pan zarozumiałość.

— Zdołałem to sobie uświadomić. Dlatego też więcej pana nie nachodziłem. Jest pan niezwykle uprzejmy, panie Fontine, ale nie potrafił pan ukryć swych uczuć.

Victor obrzucił badawczym spojrzeniem twarz księdza. Znalazł w niej ten sam smutek, co wtedy w szpitalu.

— Dlaczego studiował pan moje życie? Czy Watykan nadal prowadzi dochodzenie? Czy działalność Donattiego nie została potępiona?

— Watykan nigdy nie ustaje w studiach. Badaniach. Prowadzi je nieustannie. A Donattiego nie tylko potępiono. Ekskomunikowano go. Jego szczątkom odmówiono katolickiego pochówku, złożenia w poświęconej ziemi.

— Odpowiedział pan na dwa ostatnie pytania. Nie na pierwsze. Dlaczego pan tak się mną interesował?

Prałat założył nogę na nogę i objął splecionymi dłońmi kolano.

— Zajmuję się historią polityczną i społeczną. Co innymi słowy oznacza, że badam sprzeczności w stosunkach Kościoła z otoczeniem w określonych przedziałach czasowych. — Land uśmiechnął się, w jego oczach pojawiła się zaduma. — Pierwotnie celem tej działalności było wykazywanie słuszności stanowiska Kościoła i błędności stanowisk tych, którzy mu się przeciwstawiali. Ale tej słuszności nie zawsze dawało się dowieść. A już z pewnością nie tam, gdzie na jaw wydobyto sądy błędne lub budzące wątpliwość z moralnego punktu widzenia. — Uśmiech zniknął z twarzy Landa; przyznanie się do winy było zupełnie jasne.

— Rozstrzelanie rodziny Fontini-Cristich wynikało z błędnej oceny? Czy niedostatku moralności?

— Bardzo pana proszę — powiedział szybko ksiądz, cicho, ale dobitnie. — Tak pan, jak i ja wiemy, jak nazywać ten czyn. To było zwykłe morderstwo. Nie dające się wytłumaczyć i niewybaczalne.

Victor ponownie ujrzał smutek w jego oczach.

— Przyjmuję to, co pan powiedział. Nie rozumiem tego, ale przyjmuję. Tak więc stałem się przedmiotem pańskich polityczno-socjologicznych studiów?

— Wśród wielu innych zagadnień tamtych lat. Jestem pewien, że nie trzeba dokładnie ich panu przedstawiać. Choć dokonano wówczas wiele dobrego, wydarzyło się też wiele rzeczy niewybaczalnych. Sprawa pana i pańskiej rodziny należy do tej właśnie kategorii.

— Zainteresował się pan moją osobą?

— Stał się pan moją obsesją. — Land znów się uśmiechnął, tym razem nieporadnie. — Niech pan pamięta, że jestem Amerykaninem. Studiowałem w Rzymie, a nazwisko Victor Fontine było mi dobrze znane. Czytałem o pańskiej działalności w powojennej Europie; pisano o tym we wszystkich gazetach. Zdawałem sobie sprawę z pańskich wpływów, w sektorze publicznym i w prywatnym. Może pan sobie wyobrazić moje zdumienie, kiedy przy okazji studiów nad tym okresem dowiedziałem się, że Vittorio Fontini-Cristi i Victor Fontine to jedna i ta sama osoba.

— Czy wasze watykańskie archiwa zawierały wiele informacji?

— O Fontini-Cristich, tak. — Land wskazał głową oprawny w skórę wolumen, który położył na nocnym stoliku. — Obawiam się jednak, że podobnie jak ta książka nieco stroniczych. Naturalnie znacznie mniej pochlebnych. Ale o panu praktycznie nic. Odnotowano pańskie istnienie: pierwszy męski potomek Sa-varone, obecnie obywatel amerykański znany jako Victor Fontine. I nic więcej. Akta kończyły się nagle informacją, że wszyscy pozostali członkowie rodziny Fontini-Cristich zostali rozstrzelani przez Niemców.

Zakończenie było mocno niekompletne. Brakowało nawet daty.

— Im mniej o tym na piśmie, tym lepiej.

— Właśnie. Toteż przestudiowałem archiwa Sądu Reparacyjnego. Były znacznie bardziej kompletne. Początkowa ciekawość zmieniła się w szok. Wniósł pan do sądu oskarżenie. Oskarżenie, według mnie, niewiarygodne i nie do przyjęcia, gdyż obejmujące Kościół. I wymienił pan z nazwiska jednego z najwyższych dostojników Kurii, Guillamo Donattiego. To było owe brakujące ogniwo. Wszystko, czego mi było potrzeba.

— Czy chce mi pan powiedzieć, że w żadnych aktach rodu Fontini-Cristich w ogóle nie figurowało nazwisko Donattiego?

— Teraz już figuruje. Wtedy nie. Wyglądało na to, że archiwiści nie byli się w stanie przełamać, by pisemnie potwierdzić jego udział. Wszystkie papiery Donattiego zostały opieczętowane, tak jak to się zwykle robi w przypadku osób ekskomunikowanych. Po jego śmierci znaleziono je wśród należących do jego sekretarza...

— Ojca Enrici Gaetamo, pozbawionego święceń kapłańskich — wtrącił się Fontine.

Land zamilkł na chwilę.

— Tak. Gaetamo. Otrzymałem pozwolenie na zerwanie pieczęci. Przeczytałem obłąkańczy bełkot szaleńca, który sam za życia się kanonizował. — Prałat ponownie przerwał, błędząc wzrokiem po pokoju. — To, co tam znalazłem, zawiodło mnie do Anglii. Do człowieka nazwiskiem Teague. Spotkałem się z nim tylko raz, w jego wiejskim domu. Padał deszcz, a on bezustannie wstawał, by dorzucić do ognia. Nigdy w życiu nie spotkałem nikogo, kto by tak nieustannie spoglądał na zegarek. A przecież był już na emeryturze i nie spieszyło mu się.

Victor uśmiechnął się.

— Okropnie irytujący nawyk to jego ciągle spoglądanie na zegarek. Wiele razy mu to mówiłem.

— Tak, byliście dobrymi przyjaciółmi, szybko to do mnie dotarło. Pan wie, że zbudzał pan w nim niesłychany podziw.

— Podziw? Ja? W Alecu? Nie wierzę. Traktował mnie nadto bezpośrednio.

— Powiedział, że nigdy się panu do tego nie przyznał, ale tak właśnie było. Mówił, że przy panu czuł się tak, jakby się do niczego nie nadawał.

— Trudno by to było wywnioskować z jego zachowania.

— Powiedział mi też wiele innych rzeczy. Niemal wszystko o rozstrzelaniu pańskiej rodziny w Campo di Fiori, o pańskiej ucieczce przez Celle Ligure, o Loch Torridon, Oxfordshire, pańskiej żonie, synach. I o Donattim, jak ukrywał przed panem jego nazwisko.

— Nie miał wyboru. Gdyby mi je zdradził, ucierpiałaby na tym operacja “Loch

Torridon".

Land rozplótł dłonie i zdjął nogę z kolana. Wydawało się, że ma trudności ze znalezieniem odpowiednich słów.

— Wtedy właśnie po raz pierwszy usłyszałem o pociągu z Salonik. Victor podniósł gwałtownie wzrok; do tej pory wpatrywał się w dłonie księdza.

— To nielogiczne. Przecież czytał pan zapiski Donattiego.

— I dopiero wtedy stały się one dla mnie jasne. Obłąkańczy bełkot, oderwane zdania, na pozór bezsensowne wzmianki o odległych miejscach i terminach... To wszystko nagle nabrało sensu. Nawet w najbardziej prywatnych notatkach Donatti nie napisał niczego wprost; jego strach był zbyt wielki... Wszystko zostało sprowadzone do tego pociągu. I tego, co przewoził, cokolwiek to było.

— Pan nie wie, co ten pociąg wiózł?

— Z czasem się dowiedziałem. Dowiedziałbym się szybciej, ale Brevourt odmówił spotkania się ze mną. Kilka miesięcy potem umarł. Udałem się do więzienia, gdzie przebywał Gaetamo. Opluł mnie przez metalową siatkę, szarpiąc ją gołymi rękami, aż pociekła z nich krew. Ale wtedy znałem już źródło. Wiedziałem o Konstan-tynie. Patriarchacie. Uzyskałem audiencję u jednego ze Starszych. Był już niezwykle sędziwy i udzielił odpowiedzi na moje pytanie. Pociąg z Salonik wiózł dowody na obalenie *Filioqm*.

— I to wszystko? *Monsignore* Land uśmiechnął się.

— Z teologicznego punktu widzenia to wystarczy. Dla tego starca i jego odpowiedników w Rzymie dokumenty te ucieleśniały triumf i kataklizm.

— A nie przedstawiają tego? — spytał Victor, obserwując bacznie gościa, koncentrując się na niezachwianym spojrzeniu orzechowych oczu.

— Nie. Kościół nie jest już Kościołem minionych wieków, nie jest nawet Kościołem minionych pokoleń. Najprościej ujmując sprawę, nie zdołałby przetrwać, gdyby tak było. Są w nim starzy ludzie trzymający się kurczowo tego, co według nich nie podlega żadnej dyskusji... na ogół jest to wszystko, co im pozostało; i nie ma powodu, by odzierać ich z tych przekonań. Łaskawie, mandaty czasu się zmieniają; nic nie pozostaje tak, jak było. Z każdym rokiem, w miarę jak opuszcza nas stara gwardia, Kościół coraz szybciej wkracza w dziedzinę społecznej odpowiedzialności. Jest w jego władzy czynić niezwykle dobro, dysponuje wszystkim, co potrzeba — zarówno w kategoriach duchowych, jak i czysto pragmatycznych — by ulżyć ogromnym cierpieniom. Mówię o tym z pewną znajomością rzeczy, sam bowiem należę do tego ruchu. Mamy zwolenników w każdej diecezji na całej kuli ziemskiej. To nasza przyszłość. Teraz idziemy ze światem.

Victor odwrócił wzrok. Ksiądz skończył; nakreślił obraz sił działających na rzecz dobra w przygnębiająco niedoskonałym świecie. Victor ponownie spojrzął na Landa.

— A zatem nie wie pan dokładnie, co takiego zawierają dokumenty z Salonik?

— Jakie to ma znaczenie? W najgorszym wypadku przyczynek do teologicznej dysputy. Doktrynalne niejednoznaczności. Istniał pewien człowiek i nazywał się Jezus z Nazaretu... albo jak chcieli Esseńczycy Archanioł Światłości... i mówił z głębi serca. Jego słowa dotrwały do naszych czasów, historycznie poświadczone przez aramejskich uczonych i biblistów, zarówno chrześcijańskich, jak i niechrześcijańskich. Co za różnica, czy będziemy go nazywać cieślą, prorokiem czy też Synem Bożym? Ważne jest to, że głosił prawdę taką, jaką ją widział, jaka została mu objawiona. Liczy się tylko jego szczerłość, jeśli pan woli, a ta nie podlega dyskusji.

Victorowi zabrakło tchu w piersiach. Jego myśli skierowały się znów ku Campo di Fiori, ku staremu mnichowi od ksenopitów, który mówił o pergaminie wyniesionym z rzymskiego więzienia.

“To, co zawiera ten pergamin, przekracza wszelkie wyobrażenia... musi zostać odnaleziony... i zniszczony... bo niczego nie zmienia, a jednak zmienia wszystko...”
Zniszczony.

“Ważne jest to, że głosił prawdę, jaką ją widział, jaka została mu objawiona. Liczy się tylko jego szczerłość, a ta nie podlega dyskusji”.

A może jednak?

Czy ten uczony ksiądz, ten dobry człowiek siedzący naprzeciw niego, zdoła spojrzeć w oczy temu, czemu trzeba będzie spojrzeć? Czy zwracanie się do niego z tą prośbą było uczciwe?

“Niczego nie zmienia, a jednak zmienia wszystko”.

Cokolwiek ta sprzeczność miała znaczyć, trzeba wyjątkowych ludzi, by wiedzieli, jak w tej sytuacji postąpić. Sporządzi dla swych synów ich listę.

Ksiądz prałat Land był pierwszym kandydatem.

C/ztery potężne wirujące nad głową łopatki wyhamowały z wolna i znieruchomiały. Lotnik z obsługi otworzył luk i szarpnął dźwignię, która wyrzuciła spod podwozia schodki. Major Andrew Fontine stanął w promieniach porannego słońca i zszedł po metalowych stopniach na lądowisko helikopterów w bazie Powietrznych Sił Zbrojnych “Kobra” w Phan-Thiet.

Miał dokumenty dające mu prawo pierwszeństwa w korzystaniu ze środków transportu oraz dostęp do ściśle chronionych składów .*• na nabrzeżu. Weźmie jeden z oficerskich dziupów

i natychmiast pojedzie do portu. Obejrzeć szafę na dokumenty stojącą w magazynie numer cztery. Znajdowały się w niej archiwa Korpusu Oko; i miały w niej nadal pozostać, w najbezpieczniejszym miejscu w całej Azji Południowo-Wschodniej, musiał tylko sprawdzić, czy nikt się do nich nie dostał. Potem czekały go jeszcze dwa etapy podróży: na północ, do Da Nang, a potem znów na południe, obok Sajgonu, w głąb Delt. Do Can Tho.

W Can Tho stacjonował kapitan Jerome Barstow. Marty Greene miał rację — to Barstow sypnął Korpus Oko. Pozostali byli co do tego zgodni — Barstow zachowywał się jak ktoś, kto dał się złamać. Widziano go w Sajgonie w towarzystwie wojskowego prawnika, niejakiego Tarkingtona. Nietrudno było zrozumieć, co się działo; Barstow przygotował się do obrony, a to znaczyło, że będzie zeznawał. Barstow nie wiedział, gdzie znajdują się kartoteki Korpusu Oko, ale je widział. Co tam widział! Psiakrew, sam przygotował dwadzieścia czy trzydzieści teczek. *Zeznanie* Barstowa oznaczałoby koniec Korpusu Oko. Nie mogli do tego dopuścić.

Radca prawny jednostki, Tarkington, przebywał w Da Nang. Nie wiedział o tym, że czeka go spotkanie z jeszcze jednym członkiem Korpusu Oko. Miało to być jego ostatnie spotkanie w życiu. W jakimś ciemnym zaułku, z nożem w brzuchu, w koszuli splamionej whisky, pijany.

A potem w głąb Delt. Do zdrajcy Barstowa. Barstowa zastrzeli. Przeszedł przez rozpalone słońcem betonowe lądowisko ku hali przylotów. Czekał tu na niego jakiś podpułkownik. W pierwszej chwili Andrew poczuł przyptyw paniki — “Czy coś się stało? Pięć dni jeszcze nie upłynęło!” W następnym momencie dostrzegł jednak uśmiech na twarzy pułkownika, nieco protekcyjny, ale przyjazny.

— Major Fontine? — Przywitaniu towarzyszyło podanie ręki; od majora Fontine nie oczekiwano salutowania.

— Tak jest, sir. — Uścisk dłoni był krótki.

— Telegram z Waszyngtonu, prosto z sekretariatu armii. Ma pan wracać do domu, najszybciej jak to możliwe. Przykro mi, że na mnie spada obowiązek poinformowania pana o tym, ale chodzi o pańskiego ojca.

— Mojego ojca? Umarł?

— To tylko kwestia czasu. Ma pan priorytet na pierwszy środek transportu, jaki startuje z Tan Son Nhut. — Pułkownik wręczył mu obrzeżoną na czerwono kopertę z biegnącym przez całą górę nadrukiem “Kwatera Naczelnego Dowództwa, Sajgon”. Była to koperta z rodzaju tych zarezerwowanych dla łączników Białego Domu i kurierów szefostwa połączonych sztabów.

— Mój ojciec choruje od wielu lat — odparł powoli Fontine. — To nie jest nic niespodziewanego. Mam tu jeszcze zajęcia na cały dzień. Będę w Tan Son Nhut jutro wieczorem.

— Jak pan sobie życzy. Najważniejsze, że pana znaleźliśmy. I że wiadomość do pana dotarła.

— Dotarła — potwierdził Andrew.

Adrian słuchał z budki telefonicznej głosu sierżanta. Sierżant kłamał; a co jeszcze bardziej prawdopodobne, ktoś nakłamał jemu. Raport patologa z sekcji zwłok Nevinsa Jamesa, Murzyna płci męskiej, ofiary wypadku drogowego, którego sprawca zbiegł, nie stwierdził żadnych urazów czaski, szyi ani górnych partii klatki piersiowej, których przyczyną nie byłby impet zderzenia.

— Proszę mi przesłać raport i zdjęcie rentgenowskie — powiedział Adrian szorstko. — Macie mój adres.

— Do raportu patologa nie dołączono żadnych zdjęć rentgenowskich — odparł machinalnie policjant.

— To je zróbcie i dołączcie — odparł Adrian, odwieszając słuchawkę.

Kłamią. Wszyscy kłamią i robią uniki.

A najbardziej on sam; okłamywał siebie, uwierzył w to kłamstwo i próbował przekonać do niego innych. Stał przed grupą ciężko wystraszonych młodych prawników z Departamentu Sprawiedliwości i powiedział im, że w tej sytuacji przesłanie pozwu w sprawie Korpusu Oko należy odroczyć. Muszą przegrupować dowody, zdobyć drugie zeznanie; wysyłanie do szefa sztabu jedynie listy nazwisk nie miało żadnego sensu.

Właśnie że miało! To był odpowiedni moment, by stawić czoło wojskowym i zażądać natychmiastowego śledztwa. Zamordowano człowieka; ktoś usunął z miejsca zbrodni dowody, które ten człowiek miał przy sobie. Dowody stawiające w stan oskarżenia Korpus Oko! A oto nazwiska! A tu treść tamtego zeznania!

Więc bierzcie się do roboty!

Ale nie mógł tego zrobić. Listę otwierało nazwisko jego brata.

Przesłać pozew znaczyło oskarżyć swego własnego brata o morderstwo. Innego wniosku nie dało się wyciągnąć. Andrew był jego bratem, bratem bliźniakiem, i Adrian nie potrafił nazwać go mordercą.

Wyszedł z budki telefonicznej i ruszył powoli z powrotem do hotelu. Andrew był w drodze powrotnej z Sajgonu. Wyleciał z kraju w poniedziałek; nie trzeba "było wielkiej wyobraźni, żeby zrozumieć po co. Jego brat nie był głupi; budował sobie obronę w miejscu

popęlnionych przestępstw. Przestępstw, które obejmowały działalność spiskową, ukrywanie dowodów i utrudnianie działania wymiarowi sprawiedliwości. Motywy: złożone i w swej istocie nie tak jednoznacznie naganne, lecz mimo to w dalszym ciągu przestępcze. Ale nie morderstwo nocą na waszyngtońskiej ulicy! O Chryste! Nawet teraz się okłamywał! Czy też, by być bardziej miłosiernym — nie chciał spojrzeć w twarz pewnemu przypuszczeniu. No, wypowiedz je! Dopuść tę myśl! Przypuszczenie.

W Waszyngtonie znajdował się ósmy członek Korpusu Oko. Ktokolwiek to był, właśnie on zamordował Nevinsa. A zabójca Nevinsa nie dokonałby swego czynu, gdyby nie informacja, jaką jeden brat przekazał drugiemu w hangarze na Long Island.

Kiedy samolot wylądował, Andrew dowiedział się, że pozew nie został doręczony. Korpus Oko pozostanie nietknięty jeszcze przez jakiś czas, zachowa swobodę manewru i działania.

Ale było coś, co mogło go powstrzymać. Powstrzymać i tchnąć nową energią w grupę wystraszonych prawników, którzy zastanawiali się, czy to, co przytrafiło się Nevinsowi, nie może się przytrafić im. Ci ludzie byli prawnikami, nie komandosami.

Adrian spojrzył w oczy swemu bratu i jeśli ujrzył w nich śmierć Nevinsa, to ją pomści. Jeśli to wojak wydał nakaz egzekucji, to wojak zostanie zniszczony.

Czy też znów się okłamywał? Czy zdobyłby się na to, by nazwać swego brata mordercą? Naprawdę umiałby to zrobić?

Czego, u diabła, chciał ojciec? Jakże to teraz mogło mieć znaczenie?

Fotele ustawiono po przeciwnych stronach łóżka. Wydawało mu się, że tak będzie najlepiej. W ten sposób mógł dzielić swą uwagę pomiędzy obu synów; różnili się od siebie, ich reakcje także będą różne. Jane wołała stać. Poprosił ją o rzecz straszną — opowiedzenie synom historii pociągu z Salonik. Ze wszystkimi szczegółami, niczego nie opuszczając. Trzeba było, by uzmysłowili sobie, że urna jest w stanie poruszyć najpotężniejszych ludzi, instytucje, nawet całe rządy. Tak jak poruszyła je trzydzieści lat temu.

On sam nie zdołałby już opowiedzieć tej historii. Umierał; zachował dostateczną przytomność umysłu, by zdawać sobie z tego sprawę. Po prostu musiał zostawić sobie resztki energii na to, by móc odpowiedzieć na ich pytania; musiał zebrać ostatki sił, by przekazać ciężącą na nim odpowiedzialność synom. Bo teraz oni przejmowali zobowiązanie rodu Fontini-Cristich.

Weszli do pokoju ze swą matką. Tacy wysocy, tacy podobni do siebie, a tak różni. Jeden w mundurze, drugi w pozbawionej wszelkiego charakteru tweedowej marynarce i flanelowych spodniach. Jasnowłosey Andrew był zły. Widać to było po jego twarzy, po nieustannym napinaniu mięśni szczęk, stanowczo zaciśniętych ustach, nieokreślonym, chmurnym spojrzeniu oczu.

Natomiast Adrian wydawał się niepewny siebie. Jego błękitne oczy patrzyły pytająco, usta miał rozchylone. Patrząc z góry na ojca przeczesał dłonią ciemne włosy, a jego twarz wyrażała pospołu i współczucie, i zdumienie.

Victor wskazał im fotele. Bracia obrzucili się przelotnymi spojrzeniami; nie sposób powiedzieć, co wyrażały. To, co ich tak od siebie oddaliło, musiało zostać wymazane. Wymagała tego ich nowa powinność. Usiedli, trzymając w rękach kserokopie jego wspomnień o dniu czternastym lipca 1920 roku. Poleciał Jane, by każdy z nich otrzymał swój komplet; mieli je przeczytać przed przyjściem do niego. Nie wolno było tracić ani chwili na wyjaśnienie, które mogli sami uzyskać już wcześniej. Nie miał już na to dość sił.

— Nie będziemy tracić słów na sentymenty. Wysłuchaliście opowieści matki, przeczytaliście to, co napisałem. Macie na pewno pytania.

— Załóżmy, że tę urnę da się wogóle odnaleźć — odezwał się Andrew — i że nam się to uda... Co dalej?

— Przygotuję listę nazwisk. Pięciu czy sześciu osób, nie więcej. Warn samym niełatwo byłoby na to wpaść. Przekażcie urnę tym ludziom.

— Co mają z nią zrobić? — nalegał Andrew.

— To będzie zależało od zawartości. Albo ujawnią ją, albo zniszczą lub ponownie ukryją.

— Czy rzeczywiście mamy prawo wyboru? — odezwał się cicho Adrian. Drzemiący w nim prawnik poczuł się zaniepokojony. — Nie wydaje mi się. Ta urna nie jest naszą własnością; jej zawartość powinna zostać ujawniona powszechnie.

— I wywołać powszechny chaos? Trzeba przewidzieć konsekwencje.

— Czy ktoś jeszcze zna klucz? — spytał Andrew. — Trasę wycieczki, jaką odbył czternastego lipca 1920 roku?

— Nie. Nic by to zresztą dla niego nie znaczyło. Zostało już bardzo niewiele osób, które wiedzą, co pociąg naprawdę przewoził. Kilku starców w Patriarchacie, z których jeden przebywa w Campo di Fiori i nie zostało mu już wiele czasu.

— I mamy nikomu nie powiedzieć ani słowa — ciągnął major. — Poza nami nikt nie może o tym wiedzieć.

— Nikt. Są ludzie, którzy za tę informację oddaliby połowę arsenałów zbrojeniowych tego świata.

— Ja nie.

— To znaczy, że nie myślisz. Jestem pewien, że matka wam to wyjaśniła. Poza negacjami *Filioque*, wśród których znajduje się ten aramejski zwój, urna zawiera pewien pergamin z wyznaniem mogącym zmienić całą historię religii. Jeśli myślisz, że rządy, całe narody przyglądałyby się temu bez zainteresowania, to grubo się mylisz.

Andrew umilkł. Adrian spojrzał na niego, po czym przeniósł wzrok na Victora.

— Ile czasu twoim zdaniem to zajmie? Odnalezienie tej... tej urny? — spytał.

— Przypuszczam, że koło miesiąca. Będziecie musieli skompletować sprzęt, znaleźć alpejskich przewodników i trochę potrenować — sądzę, że tydzień ćwiczeń wystarczy.

Adrian uniósł odrobinę kserokopiarkę wspomnień.

— Na ile oceniasz obszar, który trzeba przeszukać?

— Trudno powiedzieć; wiele będzie zależało od tego, co tam zastaniecie, jak bardzo wszystko się zmieniło. Ale jeśli pamięć mi dopisuje, nie jest to więcej niż dziesięć, dwanaście kilometrów kwadratowych.

— Dziesięć, dwanaście kilometrów! To nie wchodzi w grę — powiedział stanowczo Andrew, nie podnosząc jednak głosu. — Przykro mi, ale to szaleństwo. To by mogło potrwać lata. Rozmawiamy o Alpach. Jedna dziura w ziemi, pudło nie większe od trumny, mogące znajdować się dosłownie wszędzie na każdej z kilkunastu gór.

— Pasujących tu zakątków nie ma tak wiele. Jedna z trzech czy może czterech przełęczy, podejrzewam, że leżących wysoko w górach, gdzie nigdy nie pozwolono nam się wspiąć.

— Sporządziłem szczegółowe plany sytuacyjne w kilkudziesięciu akcjach bojowych — powiedział powoli Andrew, tak uprzejmie, że zakrawało to na protekcjonalność. — Upraszczasz niesłuchanie trudny problem.

— Nie sędzę. Myślę, że jest dokładnie tak, jak powiedziałem Adrianowi. Wszystko będzie zależało od tego, co tani zastaniecie. Wasz dziadek był niezwykle skrupulatnym człowiekiem. Zawsze brał pod uwagę wszystkie aspekty sytuacji i większość ewentualności. — Victor przerwał i poprawił się na poduszkach. — Savarone był starym człowiekiem; toczyła się wojna i nikt nie wiedział o tym lepiej niż on. W Campo di Fiori nie mógł zostawić niczego, co ktoś postronny mógłby rozszyfrować, ale nie wierzę, żeby nie zostawił czegoś już bezpośrednio na miejscu. Jakiegoś znaku, wiadomości — w ogóle czegoś. Taki już był.

— Gdzie mielibyśmy szukać? — spytał Adrian, rzucając przelotne spojrzenie na brata, siedzącego w skórzanym fotelu naprzeciwko niego. Major wpatrywał się w trzymane w ręku kartki.

— Wypisałem wam wszystkie możliwości — odparł Victor. — W wiosce Champoluc mieszkała rodzina przewodników górskich.

Rodzina Goldonich. Ojciec, a przed nim jego ojciec, zawsze korzystali z ich usług. A na północ od wioski stało schronisko. Od pokoleń prowadzone przez rodzinę Capomontich. Nigdy nie zdarzyło się, żebyśmy zjechali do Champoluc i nie zatrzymali się u nich. To byli ludzie najbliżsi mojemu ojcu. Jeśli w ogóle zostawił jakąś wiadomość, to musiał ją zostawić u nich.

— To było ponad pięćdziesiąt lat temu — zaprotestował cicho Andrew.

— Więzy rodzinne u górali są bardzo silne. Dwa pokolenia nie stanowią szczególnej przepaści w czasie. Jeśli Savarone zostawił informację, na pewno była przekazywana z ojca na najstarsze dziecko. Pamiętajcie: dziecko, syna lub córkę. — Uśmiechnął się słabo do nich. — Co jeszcze przychodzi wam na myśl? Pytania mogą odblokować dalsze wspomnienia.

Pytania posypały się jedno za drugim, ale nie odblokowały już niczego. Victor wielokrotnie sięgał do zakamarków swej pamięci. I nic.

Aż wreszcie Jane na coś wpadła. Słuchając jej słów, Victor uśmiechnął się. Jego błękitnooka Angielka Jane była fantastyczna, gdy szło o szczegóły.

— Napisałeś, że tory kolejowe wijące się przez góry na południe od Zermattu i schodzące do Champoluc mają po drodze kilka przystanków. Małych polanek pomiędzy stacjami zrobionych dla wygody alpinistów i narciarzy.

— Tak. Jeszcze przed wojną. Dziś pojazdy dużo lepiej dają sobie radę na śniegu.

— Wydaje się logiczne, że pociąg wiozący urnę, którą opisałeś jako ciężką i nieporęczną, musiał się zatrzymać właśnie na jednej z tych polanek. Zęby ułatwić przeniesienie jej na inny pojazd.

— Zgoda. Do czego zmierzasz?

— Otóż między Zermattem a Champoluc istnieje, czy też istniała, jakaś określona liczba tych polanek. Ile według ciebie?

— Całkiem sporo. Co najmniej dziewięć lub dziesięć.

— No tak, to niewiele by dało. Przepraszam.

— Pierwszy przystanek na północ od Champoluc nazywał się chyba Szczyt Orła. Następny Czatownia Kruka, potem Kondor... — Victor urwał nagle. Ptaki. Nazwy ptaków. Pewne wspomnienie zostało odblokowane, ale nie było to wspomnienie sprzed trzydziestu lat, lecz sprzed kilku zaledwie dni. Z Campo di Fiori. — Obraz — powiedział cicho.

— Jaki obraz? — spytał Adrian.

— Pod Madonną. W gabinecie mego ojca. Scena z polowania, z ptakami.

— I każda polanka przy torach — wszedł mu niemal w słowo Andrew pochylając się w fotelu — ma czy też miała w swej nazwie jakiegoś ptaka? Jakie ptaki przedstawiał ten obraz?

— Nie pamiętam. Było dość ciemno, mnie chodziło tylko o chwilę, by móc spokojnie pomyśleć. Nie zwracałem specjalnej uwagi na ten obraz.

— Czy ten obraz należał do twego ojca? — spytał Adrian.

— Nie jestem pewien.

— Czy możesz tam zadzwonić? — powiedział major tonem nie tyle pytającym, co rozkazującym.

— Nie. Campo di Fiori jest grobowcem pozbawionym łączności ze światem. Ma tylko skrytkę w Mediolanie i to na nazwisko Baricours, Pere et Fils.

— Mama mówiła nam, że mieszka tam jakiś stary mnich. Jak on tam żyje? — Major nie dawał za wygraną.

— Nie przyszło mi do głowy go o to zapytać — odparł ojciec. — Był tam jakiś człowiek, kierowca, który wyjechał po mnie do Mediolanu. Wywnioskowałem, że to jego łącznik ze światem. Spędziłem na rozmowie z tym starcem niemal całą noc, ale nie bardzo obchodziło mnie to, jak on żyje. Traktowałem go nadal jak wroga. I on to wiedział.

Andrew spojrział na swego brata.

— Zatrzymamy się w Campo di Fiori — powiedział krótko. Adrian skinął głową i odwrócił się znów do Victora.

— W żaden sposób nie uda mi się ciebie przekonać, żebyś zwrócił się z tym do kogoś innego? Do odpowiedzialnych badaczy?

— Nie — odparł po prostu Victor. — Później nadejdzie pora badaczy. Przedtem nikomu ani słowa. Zakarbujcie sobie w pamięci, z czym macie do czynienia. Zawartość urny może wstrząsnąć cywilizowanym światem, jak jeszcze nic w całej jego historii. Wyznanie spisane na tym pergaminie jest bronią o potwornej sile rażenia — żebyście nie mieli co do tego najmniejszych wątpliwości. Na tym etapie odpowiedzialnością nie można obarczać żadnego komitetu. Ryzyko jest zbyt duże.

— Rozumiem — powiedział Adrian, odchylając się w fotelu i spoglądając na kartki. — Wspominasz tu o jakimś Annaksasie, ale nie jest to dla mnie zbyt jasne. Piszesz: “ojciec Annaksasa był maszynistą tamtego pociągu, zabitym przez mnicha z Ksenopy”. Kto to jest Annaksas?

— To na wypadek, gdyby te kartki wpadły w niepowołane ręce. Nie chciałem, żeby ktoś zorientował się, o kogo chodzi. Annaksas to Theodore Dakakos.

Rozległ się trzask. Andrew trzymał w ręku drewniany ołówek. Złamał go na pół. Ojciec i brat spojrzeli na niego. Andrew wymamrotał jego słowo: — Przepraszam.

— Gdzieś słyszałem to nazwisko — podjął Andrian. — Ale nie mogę sobie przypomnieć gdzie.

— To Grek. Niezwykle przedsiębiorczy armator. Mnich, który jechał tamtym pociągiem, był bratem jego ojca, jego stryjcem. Brat zabił brata. Na rozkaz starszyny ksenopitów zabrali ze sobą do grobu informację o miejscu ukrycia urny.

— Dakakos wie o tym? — spytał cicho major.

— Tak. Nie bardzo wiem, jaką rolę on w tym wszystkim odgrywa. Wiem tylko, że szuka odpowiedzi. I urny.

— Czy można mu zaufać? — spytał Adrian.

— Nie. Tam, gdzie w grę wchodzi przesyłka z Salonik, nie wolno ufać absolutnie nikomu. — Victor zaczerpnął głęboko powietrza. Coraz trudniej było mu mówić; zaczynało mu brakować oddechu, siły go opuszczały.

— Wszystko w porządku? — Jane podeszła szybko, przed fotelem Adriana, do łóżka męża. Pochyliła się nad nim i przyłożyła mu dłoń do policzka.

— W porządku — odparł, uśmiechając się do niej. Po czym przeniósł wzrok po kolei na synów, zaglądając każdemu głęboko w oczy.

— Nie przychodzi mi wcale łatwo prosić was o to, o co was proszę. Macie własne życie, swoje zainteresowania. Macie pieniądze. — Victor uniósł szybko rękę. — Spieszę

dodać, że one wam się należą. Ja otrzymałem dużo, nie ma powodu, dla którego wy mielibyście otrzymać mniej. Pod tym względem jesteście uprzywilejowaną rodziną. Ale ten przywilej nakłada obowiązki na tych, którzy z niego korzystają. Sytuacje, kiedy jakaś niespodziewana sprawa wielkiej wagi zażąda od was odłożenia na bok swych praw osobistych, są nieuchronne. Proszę was, byście przyjęli do wiadomości, że taka sytuacja właśnie zaistniała, a sprawa jest wagi największej. Wasze drogi rozeszły się. Podejrzewam, że staliście się oponentami i w sferze filozofii, i polityki. Nic w tym złego, ale te różnice są nieistotne w obliczu stojącego przed wami zadania. Jesteście braćmi, wnukami Savarone Fontini-Cristiego i musicie zrobić to, czego jego syn zrobić nie może. Przed przywilejem nie ma ucieczki. Nie próbujcie jej szukać.

Umilkł, zupełnie wyczerpany. Tylko tyle był w stanie powiedzieć. Każdy oddech przeszywał go bólem.

— Przez te wszystkie lata nigdy, nawet słowem nie wspomniałeś... — Adrian znów spojrzał na niego z podziwem i smutkiem. — Mój Boże, jak ty się musiałeś czuć.

— Miałem dwa wyjścia — odparł Victor ledwie słyszalnie. — Działać lub umrzeć jako życiowy kastrat. To nie był trudny wybór.

— Trzeba było ich zabić — powiedział cicho Andrew.

Przystanęli na dworze, na podjeździe przed domem na North Shore. Andrew oparł się o maskę wynajętego lincolna continental z rękami założonymi na piersi nienagannie wyprasowanego munduru. Mosiężne guziki i szlify błyszcząły w popołudniowym słońcu.

— On umiera — powiedział.

— Wiem — odparł Adrian. — I on także o tym wie.

— To, czego od nas chce, łatwiej będzie wykonać mnie niż tobie. — Andrew spojrzał w okna sypialni na pierwszym piętrze.

— Co to ma znaczyć?

— Jestem człowiekiem praktycznym, ty nie. Lepiej nam pójdzie, jeśli będziemy pracować razem niż osobno.

— Zaskakujesz mnie. Przyznanie, że mogę się na coś przydać, musi ranić twoją miłość własną.

— *Ego* nie wpływa na podejmowanie decyzji operacyjnych. Liczy się wyłącznie cel. — Andrew mówił tonem przyjacielskiej rozmowy. — Jeśli podzielimy między siebie wszystkie ewentualne kryjówki, zaoszczędzimy połowę czasu. Jego zapiski są zbiorem różnych oderwanych wspomnień, błędzi pamięcią po wielu miejscach. Wskazówki dotyczące terenu wyraźnie mu się płaczą. Mam w tej dziedzinie pewne doświadczenie. — Andrew odepchnął się plecami od samochodu i stanął wyprostowany. — Chyba będziemy się

musieli cofnąć, Adrian. Siedem lat. Przed San Francisco. Zdołasz to zrobić?

Adrian popatrzył badawczo na swego brata.

— Tylko ty możesz na to odpowiedzieć. I proszę cię, nie kłam. Nigdy nie byłeś w tym dobry, przynajmniej ze mną.

— Tak jak i ty ze mną.

Spojrzeli sobie prosto w oczy; żaden nie spuścił wzroku.

— W środę wieczorem został zabity pewien człowiek. W Waszyngtonie.

— Byłem w Sajgonie. Wiesz o tym. Kto taki?

— Pewien Murzyn, prawnik, z Departamentu Sprawiedliwości. Nazywał się...

— Nevins — dokończył, wchodząc mu w słowo brat.

— Wielki Boże! A więc wiedziałeś!

— Kto to jest Nevins, tak. O tym, że został zabity, nie. Dlaczego miałbym wiedzieć?

— Korpus Oko! To on zdobył zeznanie z sprawie Korpusu Oko! Miał je przy sobie! Zostało zabrane z jego samochodu!

— Czyś ty zupełnie zidiociał? — Wojskowy mówił powoli, bez nacisku. — Możesz sobie nas nie lubić, ale nie uważaj nas za głupców. Obiekt taki jak on, choćby tylko minimalnie z nami związany, ściągnąłby nam na kark agentów IG, i to całe setki. Istnieją lepsze sposoby. Zabijanie jest narzędziem, ale nie stosuje się go przeciwko sobie samemu.

Adrian wpatrywał się w brata, próbując przeniknąć jego myśli. W końcu przerwał milczenie, cicho, głosem niewiele donośniejszym od szeptu.

— To chyba najbardziej bezduszna rzecz, jaką usłyszałem w życiu.

— Niby co?

— "Zabijanie jest narzędziem". Naprawdę tak myślisz?

— Oczywiście. Bo tak jest. Czy odpowiedziałem na twoje pytanie?

— Tak — odparł cicho Adrian. — Cofniemy się do... przed San Francisco. Na pewien czas. Powinieneś o tym wiedzieć — tylko do zakończenia tej sprawy.

— Doskonale... Ty musisz przed wyjazdem wyprowadzić różne sprawy, i ja też. Powiedzmy za tydzień od jutra.

— Zgoda. Od jutra za tydzień.

— Będę chciał złapać samolot do Waszyngtonu, ten o szóstej. Zabierzesz się ze mną?

— Nie. Jestem umówiony z kimś w mieście. Wezmę któryś z domowych samochodów.

— To zabawne — powiedział Andrew, potrząsając z wolną głową, jakby to, co miał zamiar powiedzieć, wcale nie było zabawne. — Nigdy nie zapytałem cię o twój numer telefonu ani adres.

— Mieszkam w Disctict Towers. Przy Nebrasce.

— District Towers. Dobra, za tydzień od jutra. — Andrew sięgnął do klamki. — A tak nawiasem, co się stało z tym pozwem?

— Wiesz, co się z nim stało. Nie został doręczony. Major uśmiechnął się i wsiadł do samochodu.

— I tak nic byście z jego pomocą nie wskórali.

Usiedli w wystawionym na chodnik ogródku kawiarni St. Moritz przy Central Park South. Mieli słabość do takich miejsc. Wybierali sobie jakiegoś przechodnia i natychmiast wymyślali mu biografię. Teraz niczego nie wymyślali. Adrian uznał, że zakaz jego ojca mówienia komukolwiek o pociągu z Salonik nie dotyczy Barbary. Jego decyzja opierała się na głębokim przekonaniu, że gdyby zamienili się rolami, ona także by mu o tym powiedziała. Nie miał zamiaru opuszczać kraju na pięć czy dziesięć tygodni bez żadnego wyjaśnienia. Barbara zasługiwała na lepsze traktowanie.

— Teraz wiesz już wszystko. Dokumenty kościelne datujące się sprzed półtora tysiąca lat, jakiś aramejski zwój, który ogłupił połowę brytyjskiego rządu w samym środku wojny, i wyznanie spisane na pergaminie — tym razem dwa tysiące lat temu! — a zawierające Bóg jeden raczy wiedzieć co... Przez tę urnę dokonano tylu aktów gwałtu i przemocy, że wolę o tym nie myśleć. Jeśli to, co mówi mój ojciec, jest prawdą, dokumenty, zwój, a przede wszystkim pergamin mogłyby zmienić znaczną część historii.

Barbara odchyliła się na oparcie krzesła, mierząc go spojrzeniem swych orzechowych oczu. Przyglądała mu się dłuższą chwilę, nim odparła: — Wydaje mi się to niezwykle mało prawdopodobne. Codziennie odkrywa się jakieś stare dokumenty. I w żaden sposób nie zmienia to historii.

— Czy słyszałaś kiedyś o tak zwanym *Filioque*?

— Oczywiście. Zostało włączone do nicejskiego wyznania wiary.

To była pierwsza kwestia wprowadzająca rozdział między Kościołem Wschodnim i Zachodnim. Spór trwał setki lat i doprowadził do schizmy Focjusza w... IX wieku. Chyba. Która z kolei doprowadziła do schizmy w roku 1054. Ostateczną jej przyczyną stała się kwestia nieomylności papieża.

— Skąd ty to wszystko, u diabła, wiesz? Barbara roześmiała się.

— To moja działka. Zapomniałeś już? Przynajmniej aspekty behawioralne.

— Mówisz, że w IX wieku. Mój ojciec powiedział, że półtora tysiąca lat...

— Historia wczesnochrześcijańska jest dość zagmatwana, dość swobodnie operuje datami. Od pierwszego do siódmego wieku było tyle soborów, tyle przeciągania liny, tyle debat

nad tą doktryną czy tamtym prawem, że niemal nie sposób się w tym połapać. Czy te dokumenty dotyczą właśnie *Filioque*? Czy to mają być negacje?

Szklanka Adriana znieruchomiła w połowie drogi do ust.

— Tak. Tak właśnie mówił ojciec, użył nawet dokładnie tego sformułowania. Negacje *Filioque*.

— One nie istnieją.

— Co?!

— Zostały zniszczone — zdaje się, że z całym uroczystym ceremoniałem — w Stambule, w meczecie Hagia Sophia na samym początku drugiej wojny światowej. Są na to dokumenty... świadkowie, jeśli dobrze sobie przypominam. Nawet zwęglone resztki, których autentyczność potwierdziła analiza spektrochemiczna.

Adrian wytrzeszczył na nią oczy. Coś mu tu nie pasowało. Wszystko było zbyt proste.

— Skąd masz taką informację?

— Skąd? Chodzi ci o to, skąd konkretnie?

— Tak.

Barbara pochyliła się do przodu, bawiąc się w zamyśleniu szklanką. Czoło pokryły jej zmarszczki.

— To nie moja działka, ale oczywiście mogę się dowiedzieć. To było ładne kilka lat temu. Doskonale jednak pamiętam, że dla wielu ludzi był to niemały szok.

— Zrób to dla mnie — powiedział szybko Adrian. — Natychmiast po powrocie dowiedz się wszystkiego, co możesz, o tym spaleniu. To nie ma żadnego sensu! Ojciec musiałby coś o tym wiedzieć.

— Nie bardzo rozumiem dlaczego. To sprawa interesująca wyłącznie ściśle grono uczonych.

— Mimo to nie ma w tym żadnego sensu...

— Skoro mowa o Bostonie — przerwała mu. — Biuro zleceń odebrało dla mnie dwa telefony od kogoś, kto próbował się z tobą skontaktować. Od niejakiego Dakakosa.

— Dakakosa?!

— Tak, Theodora Dakakosa. Powiedział, że to pilna sprawa.

— Co mu powiedziałaś?

— Że przekażę wiadomość. Zapisałam numer jego telefonu. Nie chciałam zwałać ci go na głowę. Akurat najbardziej były ci potrzebne histeryczne telefony z Waszyngtonu. I bez tego miałaś kilka koszmarnych dni.

— On nie jest z Waszyngtonu.

— Ale stamtąd dzwonił.

Adrian podniósł wzrok znad stolika i spojrzął ponad miniaturowy żywoplot w skrzynkach okalający ogródek kawiarni. Zobaczył to, czego szukał — budkę telefoniczną.

— Zaraz wrócę.

Podszedł do budki i zadzwonił do District Towers w Waszyngtonie.

— Z recepcją, proszę.

— Tak, panie Fontine. Mieliśmy kilka telefonów od niejakiego pana Dakakosa. Nawet w tej chwili jego sekretarz czeka w hallu na pański powrót.

Adrian zaczął szybko myśleć. Przypomniały mu się słowa ojca, kiedy spytał, czy można ufać Dakakosowi. "Tam, gdzie w grę wchodzi przesyłka z Salonik, nie można ufać absolutnie nikomu".

— Niech pan posłucha. Proszę powiedzieć temu w hallu, że właśnie otrzymał pan wiadomość ode mnie, nie będzie mnie przez kilka dni. Nie mam ochoty widzieć się z tym Dakakosem.

— Oczywiście, panie Fontine.

Adrian odwiesił słuchawkę. Jego paszport znajdował się w Waszyngtonie. W jego pokoju. Będzie musiał wejść przez garaż. Ale nie dzisiaj; to by było za wcześnie. Poczekaj do jutra. Przenocuje w Nowym Jorku... Ojciec. Ojciec powinien dowiedzieć się o Dakakosie. Zadzwonił do domu na North Shore.

W głosie Jane słychać było ogromne napięcie.

— Jest u niego lekarz. Dzięki Bogu pozwolił sobie coś zaaplikować. Nie myślę, żeby dłużej to wytrzymał. Miał taki atak...

— Zadzwonię jutro...

Wyszedł z budki i przycisnął się między spacerowiczami z powrotem do kawiarni, do stolika.

— Co się stało? — spytała z niepokojem Barbara.

— Skontaktuj się ze swym biurem zleceń w Bostonie. Każ im zadzwonić do Dakakosa i powiedzieć mu, że się rozminęliśmy. Ja musiałem polecieć do... a niech tam, do Chicago. Służbowo. Taką wiadomość zostawiłem ci tutaj w hotelu.

— Coś mi się zdaje, że rzeczywiście bardzo ci *zależy*, żeby się z nim nie spotkać, prawda?

— Muszę go unikać. Chcę go skierować na fałszywy trop. Pewnie próbował skontaktować się z moim bratem.

Ścieżka w parku Rock Creek. To był pomysł Martina Greene'a, jego wybór. Greene

miał przez telefon dziwny głos, mówił jakby wyzywająco Jakby miał wszystko gdzieś.

Ale to, co gryzło Greene'a, zniknie, nim Andrew zdąży mu do końca wszystko opowiedzieć. Wielki Boże, i jak jeszcze! W ciągu jednego popołudnia Korpus Oko dokonał ogromnego kroku naprzód! Przekraczającego ich najśmielsze marzenia! Jeśli to, co ojciec mówił o urnie — do czego gotowi są posunąć się potężni ludzie, całe rządy, żeby wejść w jej posiadanie — było choćby tylko w połowie prawdą, Korpus Oko chwycił Pana Boga za nogi. Byli nietykalni.

Ojciec powiedział, że przygotuje listę. No cóż, nie musi tego robić — taka lista już istniała. Siedmiu członków Korpusu Oko pokieruje losem urny. A on siedmioma członkami Korpusu Oko.

Chryste, to niewiarygodne! Ale ciąg wypadków nie kłamał; nie kłamał jego ojciec. Każdy, kto wszedłby w posiadanie tych dokumentów, pergaminu z jakiegoś tam rzymskiego więzienia, mógł stawiać niesłychane żądania. Wszędzie! Rzecz usunięta z zapisów historii, ukrywana przed światem z niewiarygodnego strachu. Nie wolno było dopuścić do jej ujawnienia. No cóż, strach to też narzędzie. Równie skuteczne jak zabijanie. Często skuteczniejsze.

“Zakatbujcie sobie, że wartość tej urny może wstrząsnąć całym cywilizowanym światem jak jeszcze nic do tej pory...” Decyzje niepospolitych ludzi — w czasie pokoju i wojny — potwierdzały opinię jego ojca. A teraz inni niepospolici ludzie, kierowani przez jednego niezwykle człowieka, odnajdą tę urnę i wpłyną na kształt ostatniej ćwierci dwudziestego wieku. Trzeba było zacząć myśleć w kategoriach globalnych, pojęciami przekraczającymi zdolność podejmowania zwykłych ludzi. Jego wykształcenie, spuścizna — wszystko nabierało nowej ostrości. Był gotów przyjąć brzemię ogromnej odpowiedzialności. Został do tego świetnie przygotowany i teraz dzięki urnie ukrytej we włoskich Alpach mógł ją przyjąć.

Adriana należało wykluczyć z gry. Nie na stałe; brat był słaby, niezdecydowany — żaden rywal. Wystarczy go trochę opóźnić. Odwiedzi mieszkanie brata i to właśnie zrobi.

Ruszył ścieżką parku Rock Creek. Spacerowicze nieliczni; nie było to miejsce nadające się na nocne przechadzki. Gdzież ten Greene? Powinien już na niego czekać; ze swego mieszkania ma tu znacznie bliżej niż Andrew z lotniska. A Greene kazał mu się pospieszyć.

Zszedł na trawnik i zapalił papierosa. Sterczenie w świetle parkowych latarni nie miało sensu. Zobacz Martina, kiedy ten będzie nadchodził ścieżką.

— Fontine!

Andrew drgnął gwałtownie i szybko się odwrócił. Dwadzieścia metrów od niego przy pniu drzewa stał Martin Greene. Był po cywilnemu, w ręku trzymał duży neseser.

— Marty? Co, u diabła...

— Chodź tutaj — rozkazał krótko kapitan. Andrew podszedł szybko do kępy drzew.

— Co się stało?

— A stało się. Szlag wszystko trafił. Wydzwaniałem do ciebie od wczoraj rano.

— Byłem w Nowym Jorku. O czym ty mówisz?

— Pięć osób wylądowało w najściślej strzeżonym więzieniu w Sajgonie. Chcesz zgadywać co to za jedni?

— Co?! Pozew nie został dostarczony! Sam to sprawdziłeś! Ja też sprawdziłem!

— Nikt nie potrzebował pozwu! IG wypełził z nor. Uderzyli na nas ze wszystkich stron. Liczę na to, że mam dwanaście godzin, zanim połapią się, że to ja jestem tym ósmym w kwatermistrzostwie. A ciebie już namierzili.

— Zaraz, zaraz! Chwileczkę! Chyba zwariowałeś! Pozew został wycofany!

— Tylko ja jeden na tym korzystam. Mam nadzieję, że nigdy nie wspomniłeś o mnie z nazwiska nikomu w Sajgonie?

— Oczywiście, że nie. Tyle tylko, że mamy swego człowieka w Pentagonie.

— To wystarczy; powiążą to sobie.

— Jak?

— Na tuzin różnych sposobów. Wzięcie pod lupę i porównanie czasu moich wyjść z twoimi to pierwsze, co mi przychodzi do głowy. Coś tam się musiało wydarzyć; coś przyspieszyło cały interes. — Uciekł spojrzeniem w bok.

Andrew wyrównał oddech, nie spuszczać wzroku z kapitana.

— Nie, nie tam — powiedział cicho. — Tutaj, w zeszłą środę w nocy.

Greene poderwał głowę.

— A niby co takiego miało się wydarzyć w zeszłą środę w nocy?

— Ten Murzyn, Nevins. Kazałeś go załatwić, ty głupi skurwysynu! Mój brat oskarżył o to mnie! Oskarżył nas! Uwierzył, że to nie my, bo ja sam w to wierzyłem. To wydawało się zbyt głupie! — Wojskowy zniżył głos do pełnego napięcia szeptu. Była to jedyna rzecz, jaką mógł zrobić, by opanować się i nie rzucić na wpatrującego się weń mężczyznę.

Martin odparł chłodno z pewnością siebie: — Trafiłeś w dziesiątkę, choć strzelałeś nie do tej tarczy. Kazałem go załatwić, to prawda, i zdobyłem teczkę tego skurwysyna z zeznaniem przeciwko nam. Ale kontrakt został zawarty tak określonymi drogami, że ludzie, którzy go wykonali, nie mają cienia pojęcia o moim istnieniu. Żeby uaktualnić twoje wiadomości, zostali właśnie dziś rano złapani. W zachodniej Wirginii. Znalezione przy nich "praną" forszę, która zaprowadzi do pewnej firmy zamieszanej w oszustwa finansowe. A my

z tą firmą nie mamy nic wspólnego... Nie, Fontine, to nie moja wina. Cokolwiek się stało, musiało to być w Sajgonie. Myślę, że to ty spieprzyłeś robotę.

Andrew potrząsnął głową.

— To niemożliwe. Załatwiłem...

— Proszę cię, bez dodatkowych komplikacji. Nie chcę tego wiedzieć, bo mam już to wszystko gdzieś. Mam walizkę u Dullesa i bilet w jedną stronę do Tel Awiwu. Ale wyświadczę ci jeszcze ostatnią przysługę. Kiedy się wszystko zawaliło, zadzwoniłem do kumpli z Inspektoratu. Miałem u nich dług wdzięczności. To zeznanie Barstowa, którym się tak przejmowaliśmy, wcale nie było gwoździem programu.

— Jak to?

— Pamiętasz tę interpelację z Kongresu? Tego Greka, o którym nigdy nie słyszałeś...

— Dakakosa?!

— Właśnie. Theodora Dakakosa. Tam, w IG, nazywają to sondą Dakakosa. Nikt nie wie, jak to zrobił, ale to on właśnie zdobył wszystkie informacje na temat Korpusu Oko, jakie można było zdobyć. I jedną po drugiej podrzucił je wszystkie IG.

“Theodore Dakakos — pomyślał Andrew. — Theodore Annak-sas Dakakos — syn greckiego maszynisty zamordowanego trzydzieści lat temu na dworcu towarowym w Mediolanie przez pewnego mnicha, który był jego bratem”. Niepospolici ludzie posuwali się do niepospolitych czynów, by wejść w posiadane urny. Poczul, że ogarnia go spokój.

— Dzięki, żeś mi to powiedział. Greene podniósł w górę walizkę.

— Przy okazji, wpadłem na chwilę do Baltimore.

— Kartoteki z Baltimore są jednymi z najlepszych — odparł Fontine.

— Tam, gdzie się wybieram, możemy szybko potrzebować trochę artylerii. To powinno załatwić tę sprawę.

— Bardzo prawdopodobne.

Greene zawahał się, po czym spytał cicho: — Chcesz się ze mną zabrać? Mogę cię ukryć. Tu może cię czekać coś znacznie gorszego.

— Czeka mnie coś znacznie lepszego.

— Przestań się oszukiwać, Fontine! Skorzystaj z tej swojej osławionej forsy i pryskaj stąd najszybciej, jak możesz! Kup sobie azyl. Tu jesteś skończony.

— Mylisz się. Właśnie zaczynam.

Czerwcową burza jeszcze bardziej ograniczyła i tak nikły ruch panujący w południe na ulicach Waszyngtonu. Była to jedna z tych nie słabnących ani na chwilę ulew, które zmuszają przechodniów do przemykania się od podcienia drzwi pod markizy sklepowe i znów do następnego podcienia. Wycieraczki bełtały jedynie strugi wody zalewające całą szybę, skutecznie utrudniając widoczność.

Adrian siedział na tylnym siedzeniu taksówki, dzieląc myśli między trzy osoby: Barbarę, Dakakosa i swego brata.

Barbara była w Bostonie, teraz już pewnie w bibliotecznych archiwach szuka informacji, niezwykłych informacji o zniszczeniu negacji *Filioque*. Jeśli urna rzeczywiście zawierała kiedyś te starożytne dokumenty, a ich zniszczenie okaże się udowodnione ponad wszelką wątpliwość... Czy oznaczałoby to, że urnę odnaleziono? A równa się B, a B równa się C. Więc A równa się C. Ale czy na pewno?

Theodore Dakakos, niezmordowany Annaksas, szukając go, przetrząsa pewnie wszystkie hotele i firmy prawnicze Chicago. Nie było powodu, dla którego nie miałby tego robić, służbowa podróż do Chicago była czymś jak najbardziej naturalnym.

Takie odwrócenie uwagi Dakakosa w zupełności Adrianowi wystarczyło, żeby mógł wpaść do swego mieszkania, zabrać paszport i zadzwonić do brata. Obaj zdołają wydostać się z Waszyngtonu, unikając Dakakosa. Należało bowiem zakładać, że Dakakos próbuje im przeszkodzić. Co by znaczyło, że Dakakos-Annaksas jakoś dowiedział się o tym, co zaplanował ich ojciec. Stary człowiek wraca z Włoch, lekarze nie rokują mu długiego życia. Wzywa do siebie synów.

Jeden z tych synów był trzecim obiektem troski Adriana. Gdzie on się podziewa? W nocy dzwonił wielokrotnie do jego mieszkania w Wirginii. Nie dawało mu spokoju — a przyznanie się do tego nie było wcale łatwe — uczucie, że Andrew był znacznie lepiej przygotowany do radzenia sobie z takimi jak Dakakos niż on. Aktywność była życiem brata, a nie rozważania teoretyczne — specjalność Adriana.

— Wjazd do garażu — powiedział taksówkarz. — Jesteśmy na miejscu.

Adrian wybiegł do District Towers. Rozglądał się przez chwilę, nim zorientował się, gdzie są windy. Ruszając w ich kierunku, sięgnął do kieszeni po klucz z plastikową plaketką; nigdy nie zostawiał go w recepcji.

— Dzień dobry, panie Fontine. Siemanko.

To był chłopak z obsługi garażu. Adrian mgliście przypomniał sobie jego twarz. Dwudziestoletni naciągacz o ziemistej cerze i oczach łasicy.

— Dzień dobry — odparł Adrian, naciskając guzik windy.

— Dzięki jeszcze raz. To bardzo miło z pana strony. Wie pan, co chcę powiedzieć. Chcę powiedzieć, że równy z pana gość.

— Nie ma sprawy — powiedział z zakłopotaniem Adrian, denerwując się, że winda nie przyjeżdża.

— Wie pan — chłopak puścił do niego oko — wygląda pan o wiele lepiej niż wczoraj w nocy. Prawdziwa baba tajfun, co?

— Słucham?

Chłopak uśmiechnął się. Nie, nie uśmiechnął, wykrzywił gębę w lubieżnym grymasie.

— Też taką jedną podebrałem. Supersztuka. Tak jak pan powiedział.

— Słucham? Pan mnie widział wczoraj w nocy?

— Och, niech pan da spokój. Przecież nie może pan nie pamiętać. Choć trzeba przyznać, że był pan niekiepsko podcięty.

Andrew! Andrew umiał to zrobić, jeśli chciał. Przygarbią! się, wkładał kapelusz, przeciągał słowa. Parodiował go dziesiątki razy.

— Proszę mi powiedzieć, bo trochę mi się to wszystko płacze. O której właściwie wróciłem?

— Jezu! Ale był pan naprany. Koło ósmej, nie pamięta pan? Dał mi pan... — Urwał nagle; natura naciągacza kazała mu się powstrzymać przed ujawnieniem tego szczegółu.

Drzwi windy rozsunęły się. Adrian wszedł do środka. A więc Andrew chciał się z nim zobaczyć, kiedy on próbował dodzwonić się do niego do Wirginii. Czy dowiedział się o Dakakosie? Czy wyjechał już z miasta? A może był w tej chwili na górze, w jego mieszkaniu? Ta myśl też go zaniepokoiła, ale jednocześnie perspektywa spotkania z bratem niosła pewną ulgę. Andrew będzie wiedział, co robić.

Przeszedł korytarzem do drzwi swego mieszkania, otworzył je kluczem i wszedł do środka. W tym samym momencie usłyszał za plecami odgłos kroków. Odwrócił się na pięcie i ujrzał w drzwiach sypialni jakiegoś oficera; nie brata, jakiegoś pułkownika.

— Kim pan, do cholery, jest?

Oficer nie odpowiedział od razu. Stał bez ruchu, mierząc Adriana wściekłym spojrzeniem. Kiedy się wreszcie odezwał, cedził lodowato słowa.

— Rzeczywiście jesteście do siebie podobni. Gdyby włożył pan mundur, trochę się wyprostował, mógłby pan uchodzić za niego. Chcę tylko wiedzieć, gdzie on jest!

— Jak pan się tu dostał? Kto pana wpuścił?

— Nie odpowiada się pytaniem na pytanie. Najpierw niech pan odpowie na moje.

— Najpierw to ja panu powiem, że to jest włamanie. — Adrian podszedł szybko do telefonu, przechodząc przed nosem oficera. — Jeśli nie ma pan nakazu z cywilnego sądu, to pomaszkuje pan prosto do cywilnego aresztu.

Pułkownik odpiął guzik marynarki munduru i wyjął rewolwer. Odbezpieczył go z trzaskiem i wycelował.

Adrian zastygł bez ruchu zupełnie oszołomiony, ze słuchawką w lewej ręce, z prawą zawieszoną nad tarczą telefonu. Wyraz twarzy oficera nie uległ zmianie.

— Proszę posłuchać — powiedział cicho pułkownik. — Mógłbym przestrzelić panu oba kolana tylko za to, że jest pan do niego taki podobny. Rozumie pan? Jestem jednak cywilizowanym człowiekiem, prawnikiem tak jak pan; ale tam, gdzie chodzi o dobro majora Fontine'a z Korpusu Oko, wszystkie zasady biorą w łeb. Stanę na głowie, ale dopadnę tego skurwysyna. Czy to do pana dociera?

Adrian odłożył z wolna słuchawkę.

— Pan jest maniakiem.

— Pestka w porównaniu z nim. No więc, niech pan mówi, gdzie on jest.

— Nie wiem.

— Nie wierzę.

— Zaraz, zaraz! — Adrian był tak zszokowany, że nie miał pewności, czy się nie przesłyszał. Teraz uzmysłowił sobie, że nie. — Co pan wie o Korpusie Oko?

— Dużo więcej, niżbyście, dranie, chcieli. Naprawdę sądziliście, że wam się to uda?

— Pan się grubo myli! Wiedziałby pan o tym, gdyby cokolwiek pan o mnie słyszał! W sprawie Korpusu Oko ja i pan stoimy po tej samej stronie. No więc, na miłość boską, co pan na niego ma?

— Zabił dwóch ludzi. Kapitana, niejakiego Barstowa, i wojskowego radcę prawnego, Tarkingtona. Oba zabójstwa upozorowano na *kai-sai*— skutek libacji i orgii z prostytutkami. Ale to nieprawda. W przypadku Tarkingtona był to kompletny brak rozeznania. On w ogóle nie pił.

— O Chryste!

— Aż sajońskiego biura Tarkingtona zabrano pewne dokumenty. Tym razem z pełnym rozeznaniem. Nie wiedzieli tylko, że mamy ich kompletną kopię.

— Kto to jest "my?" — Inspektorat Generalny. — Pułkownik nie opuścił rewolweru; odpowiadał płasko przeciągając słowa, akcentem południowego zachodu. — No więc

pozwoleń, żeby cień wąpliwości przemówił na pańską korzyść. Już pan wie, dlaczego chcę go mieć, więc gdzie on jest? Ja też nazywam się Tarkington. Ja piję, nie mam wyszukanych manier i chcę dostać w swe ręce tego skurwysyna, który zabił mego brata!

Adrian poczuł, że powietrze uchodzi mu z płuc.

— Tak mi przykro...

— Teraz już pan wie, dlaczego wyciągnąłem rewolwer i dlaczego go użyję. No więc?! Dokąd wyjechał? Jak?

Potrwało chwilę, zanim Adrian zorientował się, o co chodzi.

— Dokąd? Jak? Ja w ogóle nie wiedziałem, że on wyjechał. Skąd ta pewność?

— Wie, że go poszukujemy. Wiemy, że dostał cynk; dziś rano rozszyfrowaliśmy ich ostatniego współnika. Pewien kapitan z Pentagonu, niejaki Greene. Z kwatermistrzostwa. Nie muszę chyba dodawać, że on też zniknął. Do tej pory dotarł już pewnie na drugi koniec świata.

“...na drugi koniec świata...” Te słowa zaczęły docierać do Adriana, stopniowo pojmował ich znaczenie. Na drugi koniec świata. Włochy. Campo di Fiori. Obraz na ścianie i wspomnienia sprzed pół wieku. Urna z Konstantyny!

— Sprawdziliście lotniska?

— On ma zwykły paszport wojskowy. Wszyscy wojskowi...

— O Boże! — Adrian rzucił się w kierunku sypialni.

— Stać! — Pułkownik chwycił go za ramie.

— Niech mnie pan puści! — Strząsnął z ramienia cudzą rękę i pobiegł do sypialni, do sekretarzyka.

Wyciągnął prawą górną szufladę. Sięgając mu pod ramieniem pułkownik zasunął ją, przytrzymując mu dłoń w nadgarstku.

— Weź pan tylko coś, co mi się nie spodoba, i jesteś pan martwy. — Oficer puścił szufladę.

Fontine czuł ból w nadgarstku i widział rosnącą opuchliznę. Ale nie był w stanie o tym myśleć. Otworzył duży skórzany portfel. Paszport zniknął. A z nim międzynarodowe prawo jazdy i książeczka czekowa konta w Banque Geneve z kodem cyfrowym i zdjęciem na wkładce.

Odwrócił się i przeszedł w milczeniu przez pokój. Rzucił skórzany portfel na łóżko i podszedł do okna. Łało coraz bardziej, po szybach spływały kaskady wody.

Andrew go wykiwał. Ruszył na poszukiwanie urny sam. Wcale nie chciał pomocy, ani teraz, ani nigdy przedtem. Urna miała mu posłużyć z ostateczną bronią. W jego rękach — śmiercionośną.

Adrian uzmysłowił sobie, że cała ironia polegała na tym, iż ten wojskowy stojący za

jego plecami mógłby się okazać bardzo pomocny. On bez trudu zdołałby pokonać biurokratyczne bariery, dostarczyć natychmiast jakiegoś środka transportu... Ale żaden wojskowy nie mógł się dowiedzieć o pociągu z Salonik.

“Są ludzie, którzy oddaliby połowę arsenałów za tę informację”. Słowa jego ojca.

— Oto pański dowód, pułkowniku — powiedział cicho.

— Chyba tak.

Adrian odwrócił się i spojrzał mu w oczy.

— Niech pan mi powie, jak brat bratu, jak zdołaliście wytropić Korpus Oko?

Pułkownik schował rewolwer.

— Dzięki niejakiemu Dakakosowi.

— Dakakosowi?

— Tak, to taki Grek. Zna go pan?

— Nie, nie znam.

— Z początku napływały tylko pojedyncze informacje. Prosto do mojego departamentu, adresowane osobiście do mnie. Kiedy Barstow pękł i złożył zeznanie w Sajgonie, Dakakos znów wziął sprawę w swoje ręce. Przesłał wiadomość mojemu bratu, żeby skontaktował się z Barstowem. Korpus Oko *znalazł* się pod obserwacją tu i tam...

— Pod obserwacją dwóch braci, którzy mogli w każdej chwili złapać za słuchawkę i załatwić wszystko między sobą — wszedł mu w słowo Adrian. — Bez żadnych biurokratycznych przeszkód.

— No właśnie. Tak to wyglądało. Nie wiemy dlaczego, ale temu Dakakosowi wyraźnie zależało na rozbiciu Korpusu Oko.

— Bardzo wyraźnie — przyznał Adrian, podziwiając precyzję działania Dakakosa.

— Wczoraj postawił kropkę nad “i”. Kazał śledzić Fontine'a podczas jego wyjazdu do Phan Thiet. Dotarli za nim do składu na nabrzeżu. Mamy już archiwum Korpusu Oko, mamy wszelkie potrzebne dowody...

Przerwał mu dzwonek telefon. Adrian z takim skupieniem słuchał tego, co mówił pułkownik, że wydawało się, iż nie usłyszał. Telefon zadzwonił jeszcze raz.

— Mogę odebrać? — spytał Adrian.

— Nawet pan musi. — Spojrzenie Tarkingtona znów stało się zimne jak lód. — Będę stał tuż obok.

To była Barbara, dzwoniła z Bostonu.

— Jestem w archiwum. Mam informacje na temat tego ceremonialnego spalenia w 1941 roku, podczas którego zniszczono...

— Poczekaj chwilę. — Adrian odwrócił się do pułkownika, trzymając słuchawkę z połowie odległości między nimi. Zastanawiał się, czy zdoła zapanować nad głosem na tyle, by zabrzmiał naturalnie. — Jeśli pan chce, może pan podejść do telefonu w sąsiednim pokoju. Chodzi o wyniki pewnych badań, które zleciłem przeprowadzić.

Fortel się powiódł. Tarkington wzruszył ramionami i podszedł do okna.

— No już — rzucił z powrotem do słuchawki.

Barbara mówiła tonem eksperta przerzucającego wzrokiem raport z doskonale znanej mu dziedziny, wybijając głosem najistotniejsze fakty. — Dziewiątego stycznia 1941 roku o godzinie jedenastej wieczorem w meczecie Hagia Sophia w Stambule odbyło się zgromadzenie Starszych i odprawiono uroczystość przekazania. Według relacji świadków, przekazanie stanowiących świętość materiałów niebiosom odbyło się... Tutaj ktoś odwalił fuszerkę. Same opisy. Powinno się podać dokładne cytaty i wierne tłumaczenie. Ale tak czy inaczej, potwierdza się fakt spalenia dokumentów i podaje listę laboratoriów w Stambule i Atenach, które zbadały wiek i materiał spalonych szczątków i potwierdziły ich autentyczność. Tak więc masz swój dowód, niewierny Tomaszu.

— A co z tymi świadkami? Z tym brakiem cytatów?

— Chyba za bardzo się czepiasz. Choć ja mogłabym jeszcze bardziej. Raport powinien zawierać potwierdzenie podpisów uwierzytelniających i numery klisz graficznych, ale to wszystko takie czysto akademickie ozdóbki. Najważniejsze, że ma pieczęć archiwalną; tego się nie da kupić. Nikt nie przystawi jej dla żartu. Oznacza ona, że ktoś stojący poza wszelkim podejrzeniem był naocznym świadkiem spalenia i je potwierdził. Fundacja Annaksasa dostała to, za co zapłaciła. Pieczęć jest dowodem.

— Jaka fundacja?

— Annaksasa. Annaksas to firma, która sfinansowała wszystkie prace badawcze i opracowanie tego raportu.

— Dzięki. Zadzwoń do ciebie później. — Odłożył słuchawkę. Tarkington stał przy oknie, wpatrzony w deszcz. Musiał jak najszybciej pozbyć się tego człowieka; powinien natychmiast zabrać się za poszukiwanie urny!

W jednym Barbara miała absolutną rację. Dakakos-Annaksas otrzymał to, za co zapłacił — fałszywy raport dla archiwów. Wiedział, dokąd musi jechać. Do Campo di Fiori.

Dakakos.

Dakakos, Dakakos, Dakakos!

To nazwisko paliło go żywym ogniem, kiedy z wysokości dziewięciu tysięcy metrów obserwował przesuwaną się w dole wybrzeże Włoch. Theodore Annaksas Dakakos zniszczył

Korpus Oko wyłącznie po to, żeby zniszczyć jego, Andrew, wyeliminować go z poszukiwań urny ukrytej wysoko w Alpach. Co skłoniło go do podjęcia tej decyzji? Jak tego dokonał? Trzeba było jak najwięcej dowiedzieć się o samym człowieku. To niestychanie ważne. Im lepiej znasz swego wroga, tym łatwiej go pokonać. Przy obrocie, jaki przybrała cała sprawa, Dakakos był jedyną przeszkodą na drodze do urny. Jedynym rywalem.

Był w Rzymie pewien człowiek, który mógłby się okazać pomocny. Bankier, który pojawiał się coraz częściej w Sajgonie, hurtownik na wielką skalę, kupujący całe nabrzeża. Wysyłał potem zawartość ich magazynów do Neapolu i rozprawdzał kradzione towary po całych Włoszech. Korpus Oko przyszpilił go i wykorzystał; facet dostarczył nazwiska, prowadzące wprost do Waszyngtonu.

Taki człowiek musiał sporo wiedzieć o Dakakosie.

Z głośników samolotu Air Canada popłynęła zapowiedź, że za piętnaście minut zaczną podchodzić do lądowania na rzymskim lotnisku Leonarda da Vinci.

Fontine wyjął paszport. Kupił go w Quebecu. Paszport Adriana przeprowadził go przez granicę kandadyjską, wiedział jednak, że potem stanie się zupełnie bezwartościowy. Waszyngton przekaże nazwisko Fontine do wszystkich dworców lotniczych całej półkuli.

Jak na ironię o drugiej rano w Montrealu nawiązał kontakt z kilkoma amerykańskimi dezertarami. Moraliści na wygnaniu potrzebowali pieniędzy. Morałów nie da się głosić bez brzęczącej gotówki. Jakiś intelektualista o długich tłustych włosach i w wojskowej kurtce polowej zaprowadził go do mieszkania cuchnącego haszyszem. Za dziesięć tysięcy dolarów w ciągu jednej godziny załatwił paszport.

Adrian został tak daleko, że nigdy go nie dogoni.

Adrianem mógł przestać zawracać sobie głowę. Jeśli Dakakos chciał przeszkodzić jednemu z nich, to bez wątpienia chciał przeszkodzić także i drugiemu. Dla wojskowego Grek nie był żadnym przeciwnikiem, tak jak prawnik nie był żadnym przeciwnikiem dla Greka. A jeśli nawet Dakakos nie zatrzyma Adriana, to brak paszportu opóźni go wystarczająco. Brat przestał się liczyć, wypadł z gry.

Samolot dotknął ziemi, a Andrew natychmiast odpiął pasy. Chciał wysiąść z samolotu jako jeden z pierwszych. Spieszyło mu się do telefonu.

Via Yeneto była mocno zatłoczona falą wieczornych spacerowiczów, niemal wszystkie stoliki na chodniku pod markizami Cafe de Paris były zajęte. Bankier zdobył jednak jakoś stolik obok drzwi dla kelnerów, gdzie koncentrował się cały ruch. Był to mężczyzna w średnim wieku, chudy i nieskazitelnie ubrany, i ostrożny. Nikt nie zdołałby podsłuchać tego, o czym się mówiło przy tym stoliku.

Przywitali się wyłącznie dla zachowania formy. Bankierowi wyraźnie zależało na tym, żeby mieć to spotkanie jak najszybciej za sobą.

— Nie będę pytał, co pan robi w Rzymie. Bez adresu i tego swego znakomitego mundury. — Włoch mówił szybko i monotonicznie, nie podkreślając głosem żadnego słowa i tym samym akcentując wszystkie. — Uszanowałem pańskie żądanie, aby nie zasięgać żadnych informacji. Nie było to potrzebne. Jest pan człowiekiem ściganym.

— Skąd pan to wie?

Chudy Włoch zamilkł na chwilę, rozciągając wąskie usta w nikłym uśmiechu.

— Właśnie mi to pan powiedział.

— Ostrzegam pana...

— Och, niechże pan da spokój. Przylatuje pan nie zapowiedziany, powiada, że spotka się wyłącznie w tłumie. Już od tego człowiek ma ochotę wyjechać na Malte, żeby przypadkiem się na pana nie natkać. A poza tym, ma pan to wypisane na twarzy. Jest pan spięty.

Bankier miał w gruncie rzeczy rację. Rzeczywiście był spięty. Powinien lepiej wejść w swoją rolę, swobodniej.

— Jest pan bystry, ale o tym przekonaliśmy się już przecież w Sajgonie.

— Nigdy w życiu nie widziałem pana na oczy — odparł Włoch przywołując kelnera. — Campari...

— To niech się panu nie wydaje. Dwaj Włosi zamawiający campari na Via Veneto nie zwracają na siebie uwagi. A mnie dokładnie o to właśnie chodzi. O czym chciał pan ze mną rozmawiać?

Bankier uniósł w górę brwi.

— Jeśli przez Dakakosa rozumie pan Theo Dakakosa, to rzeczywiście jest on Grekiem.

— Zna go pan?

— A kto w świecie finansów go nie zna? Pan ma sprawę do Dakakosa?

— Może. Jest armatorem, prawda?

— Między innymi. Prowadzi bardzo rozległe interesy. Do tego jest dość młody i posiada ogromne wpływy. Nawet pułkownicy w Atenach myślą dwa razy, nim wydadzą zarządzenie sprzeczne z jego interesami. Jego starsi konkurenci mają się przed nim na baczności. Brak doświadczenia nadrabia energią. To byk.

— Ma jakieś przekonania polityczne? Włoch ponownie uniósł brwi.

— Oczywiście, te, które służą jego interesom.

— A co konkretnie sprowadza go do Azji Południowo-Wschodniej? Dla kogo poza

Sajgonem pracuje?

— Dakakos nie pracuje dla nikogo poza sobą samym. — Wrócił kelner z drinkami. — Przywoził dostawy pośredników do Yientiane. Do północnego Laosu i Kambodży. Jak pan wie, są to wszystko operacje kierowane przez wywiad. Jak słyszałem, wycofał się już z tego.

“No tak — pomyślał Fontine, odsuwając od siebie szklanę campari. — Korpus Oko wytropił korupcję w armii, a Dakakos wytropił Korpus Oko”.

— Zadał sobie mnóstwo trudu, żeby nieźle namieszać.

— I udało mu się... Widzę, że mu się udało. Annaksas Młodszy zwykle stawia na swoim. W tej dziedzinie cechuje go niezwykły upór. O powodzenie jego działań można się z góry zakładać. — Włoch uniósł delikatnie szklanę.

— Jak go pan poznał?

— Annaksas. Annaksas Młodszy, syn Annaksasa Siłacza. Zatrąca to Tebami, nieprawdaż? Grecy nieustannie popisują się swymi rodowodami, choćby zupełnie nieznaczącymi. To dość pretensjonalne.

— Często się powołuje na ten swój rodowód?

— On sam nie. Ale jego jacht nosi nazwę “Annaxas”, tak jak i kilka samolotów — “Annaxas 1”, “Annaxas 2”... Wprowadził to imię do nazw kilku firm. Ma na tym punkcie obsesję. Theodore Annaksas Dakakos. Pierworodny syn biednej rodziny, wychowany przez jakieś bractwo monastyczne z północy kraju. Okoliczności temu towarzyszące są dość niejasne. Dakakos nie zachęca do ich wyjaśniania. — Włoch wypił zawartość swojej szklanki.

— To interesujące.

— Czyżbym powiedział panu coś, o czym pan nie wiedział?

— Może — odparł swobodnie Fontine. — To nie takie ważne.

— Przez co chce pan powiedzieć, że to bardzo ważne. — Włoch ułożył w uśmiech swe bezkrwiste, wąskie usta. — Chyba pan wie, że Dakakos jest we Włoszech.

Fontine ukrył swe zaskoczenie.

— Naprawdę?

— A więc jednak ma pan do niego sprawę. Czy coś jeszcze?

— Nie, to wszystko.

Bankier wstał z krzesła i szybko wmieszał się w tłum przechodniów na Via Veneto.

Andrew pozostał przy stoliku. A więc Dakakos był we Włoszech. Ciekawe, kiedy się spotkają. Bardzo mu zależało na tym spotkaniu; niemal tak bardzo jak na odnalezieniu urny.

Chciał zabić Theodora Annaksasa Dakakosa. Człowiek, który zniszczył Korpus Oko, nie zasługiwał na to, aby żyć.

Wstając od stolika poczuł w kieszeni plik kartek papieru. Ze wspomnieniami ojca z wydarzeń sprzed pół wieku.

Adrian przełożył do lewej ręki walizkę z miękkiej skóry, przepuszczając przodem falę pasażerów spieszących szerokim korytarzem do sali przylotów londyńskiego lotniska Heathrow. Nie chciał się znaleźć na początku kolejki do odprawy paszportowej. Wolał stanąć gdzieś w środku albo nawet na samym końcu. Da mu to więcej czasu, by się dobrze rozejrzeć i nie będzie tym tak bardzo zwracał na siebie uwagi.

Pułkownik Tarkington nie był głupcem. Wiadomość o tym, że niejaki Adrian Fontine czeka w biurze emigracyjnym w Rockefeller Center na wydanie duplikatu paszportu, musiała dotrzeć na jego biurko w ciągu kilku minut. Było zupełnie prawdopodobne, że jakiś agent IG zaczął go śledzić, zanim wyszedł z tego budynku. Jeśli nawet nie, było to tylko kwestią czasu. I właśnie dlatego postanowił lecieć do Londynu, a nie do Rzymu.

Jutro zacznie wyścig amatora z profesjonalistami. Jego pierwszym posunięciem musiało być zniknięcie, tylko nie bardzo jeszcze wiedział, jak to zrobić. Z drugiej strony wydawało się to proste; jeden człowiek wśród milionów — cóż to trudnego. Ale zaraz rozważa podpowiadała, że trzeba będzie przekraczać granice państwowe, a to oznacza konieczność posiadania odpowiednich dokumentów; że trzeba jeść i spać, a to oznaczało konieczność korzystania z miejsc — hoteli, sklepów, restauracji — które można obserwować, obstawić.

To wcale nie było proste, zwłaszcza jeśli ten konkretny człowiek nie miał doświadczenia. Nie znał nikogo, kto by działał w świecie przestępczym; nie wiedziałby zupełnie, jak się zachować, gdyby kogoś takiego poznał. Mocno wątpił, czy mógłby po prostu podejść i powiedzieć: "Chciałbym kupić fałszywy paszport", albo: "Niech mnie pan przerzuci nielegalnie do Włoch" czy choćby: "Nie podam panu mego nazwiska, ale zapłacę za pewne usługi". Takie zuchwałe teksty padały w kryminałach. Normalni ludzie nie robili takich rzeczy; ich nieporadność zostałaby wyśmiana. Ale zawodowcy — tacy jak ci, z którymi przyszło mu się zmierzyć — nie byli normalnymi ludźmi. Robienie takich rzeczy przychodziło im z ogromną łatwością.

Zobaczył kolejki do odprawy paszportowej. Było ich sześć; wybrał najdłuższą. Już podchodząc uzmysłowił sobie jednak, że postępuje jak amator. To prawda, będzie miał więcej czasu na to, żeby się rozejrzeć, ale i vice versa — tamci będą mieli więcej czasu, żeby rozejrzeć się za nim.

— Pański zawód? — spytał urzędnik.

— Prawnik.

- Przyjechał pan w interesach?
- Poniekąd. Także w celach rozrywkowych.
- Przewidywana długość pobytu?
- Nie wiem dokładnie. Nie dłużej niż tydzień.
- Czy ma pan rezerwację hotelu?
- Nie. Zatrzymam się pewnie w Savoyu.

Urzędnik oderwał wzrok od paszportu i spojrzał na Adriana. Trudno powiedzieć, czy to nazwa Savoyu zrobiła na nim wrażenie, czy nie przypadł mu do gustu ton, jakim Adrian z nim rozmawiał. Czy też nazwisko A. Fontine znajdowało się na liście ukrytej w szufladzie i chciał przyjrzeć się twarzy noszącego je osobnika.

Jakikolwiek był to powód, uśmiechnął się mechanicznie, ostemplował kartki nowiutkiego paszportu i podał go Adrianowi.

- Przyjemnego pobytu w Wielkiej Brytanii, panie Fontine.
- Dziękuję.

W Savoyu znaleźli mu pokój od strony dziedzińca, obiecując przenieść go do apartamentu w oknach wychodzącymi na Tamizę natychmiast, gdy tylko coś się zwolni. Zgodził się, zapowiadając, że zamierza pozostać w Anglii może i miesiąc i będzie sporo podróżował, ale choć większość czasu spędzi poza Londynem, chciałby mieć apartament do dyspozycji na cały pobyt.

Najbardziej zaskoczyła go łatwość, z jaką wypowiadał te kłamstwa. Płynęły mu z ust swobodnie, rzeczowo jak u człowieka interesu. Był to drobiazg, jednak fakt, że zdołał spisać się tak dobrze, dodał mu pewności siebie. Najważniejsze, że nie przegapił nadarzającej się sposobności. Dostrzegł ją i udało mu się ją wykorzystać.

Usiadł na łóżku zarzuconym rozkładami lotów i różnych linii lotniczych. Znalazł to, czego szukał. SAS odlatywało z Paryża do Sztokholmu o dziesiątej trzydzieści rano, a Air Afrique z Paryża do Rzymu o dziesiątej piętnaście. SAS z lotniska de Gaulle'a, Air Afrique z Orly.

Piętnaście minut między lotami, odlot przed przylotem, z sąsiadujących lotnisk. Zaczął snuć rozważania — na razie niemal czysto akademickie — czy będzie w stanie wymyślić odpowiednią sztuczkę, odpowiednio wszystko zorganizować i wcielić w życie.

Trzeba będzie wziąć po uwagę najdziwniejsze rzeczy, wszystko, co stanowiło elementy... "garnirunku", tak to się chyba nazywa. Tego wszystkiego, czym zwróci na siebie uwagę na zatłoczonym, hałaśliwym lotnisku. Wziął kartkę hotelowej papeterii z nadrukiem "Savoy" i zapisał: trzy walizki — mocno wyróżniające się pośród innych, płaszcz — rzucający

się w oczy, okulary, kapelusz — z szerokim rondem, mała przyklejana bródka.

Ostatnia pozycja — przyklejana broda — wywołała na jego twarzy uśmiech zakłopotania. Nie był pewien, czy przypadkiem nie ponosi go fantazja. Chyba zwariował. Za kogo się właściwie uważał? I do czego niby się zabierał? Przesunął odruchowo ołówek na lewą stronę kartki, gotów wykreślić tę pozycję. Ale w ostatniej chwili powstrzymał się. Nie zwariował. To był element tej zuchwałości, której musiał nabrać, tej nienormalności, z którą musiał się oswoić. Oderwał ołówek od ostatniej linijki i bez namysłu dopisał: Andrew.

Gdzie mógł się w tej chwili znajdować? Czy dotarł już do Włoch? Czy udało mu się przejechać pół świata i nie zostać odnalezionym? Czy jego brat będzie czekał w Campo di Fiori?

I gdyby rzeczywiście czekał, co mieliby sobie do powiedzenia?

O tym nie pomyślał; nie chciał o tym myśleć. Jak przed mową końcową wobec wrogo nastawionej ławy przysięgłych, nie był w stanie zrobić próby słów. Mógł tylko uszeregować w głowie fakty i zaufać swemu intelektowi. Ale co się mówiło do brata bliźniaka, który okazał się mordercą? Co tu w ogóle można było powiedzieć?

“Zaskarbujcie sobie w pamięci, że zawartość tej urny może wstrząsnąć całym cywilizowanym światem jak jeszcze nic w całej jego historii”...

Musiał powstrzymać brata. Po prostu musiał.

Spojrzał na zegarek. Pierwsza w nocy. Dobrze się złożyło, że w ciągu kilku ostatnich dni tak mało spał. Dzięki temu teraz będzie mógł usnąć. A musiał odpocząć; nazajutrz czekało go mnóstwo roboty. W Paryżu.

Podszedł do recepcjonisty w hotelu Pont Royal i podał mu klucz do swego pokoju. Nie był w Luwrze od pięciu lat; byłoby grzechem nie naprawić tego teraz, kiedy *znalazł* się o krok. Recepcjonista przyznał mu uprzejmie rację, ale Adrian dostrzegł w jego oczach błysk maskowanej ciekawości. Potwierdzenie tego, co podejrzewał; śledzono go, wypytywano o niego.

Wyszedł na zalaną jaskrawym słońcem rue de Baç. Skinął z uśmiechem portierowi i pokręcił głową w odpowiedzi na jego propozycję przywołania taksówki.

— Wybieram się do Luwru. Dziękuję bardzo, ale przejdę się na piechotę.

Na brzegu chodnika zapalił papierosa, przekrzywiając lekko głowę, jakby dla osłony przed wiatrem, i przebiegł wzrokiem wielkie okna hotelu. Pomimo odbłasku słońca w szybach dostrzegł wewnątrz recepcjonistę rozmawiającego z jakimś człowiekiem w jasnobrązowym prochowcu. Głowy by za to nie dał, ale był niemal pewien, że widział już ten płaszcz przed dwiema godzinami na lotnisku.

Ruszył wolno rue de Bać w kierunku Sekwany i mostu Pont Royale.

W Luwrze było tłoczno jak zwykle. Tłum turystów mieszał się z wycieczkami studentów i uczniów. Adrian ruszył ku klatce schodowej, na której króluje Nike z Samotraki. Na pierwszym podeście, gdzie stoi rzeźba i gdzie schody rozwidlają się na dwie strony, skręcił w prawo i nie zatrzymując się wszedł na pierwsze piętro do galerii mistrzów dziewiętnastego wieku. Dołączył do jakiejś grupy niemieckich turystów.

Niemcy przeszli zwartym szykiem do następnego obrazu. Adrian znalazł się teraz w samym środku grupy. Trzymając głowę poniżej poziomu najwyższego z Niemców, spojrzał przez ramię między obwisłymi cielskami i pozbawionymi wyrazu twarzami. Zobaczył to, czego zarówno bał się, jak i chciał zobaczyć.

Jasnobrazowy prochowiec.

Mężczyzna stał piętnaście metrów od niego, udawał, że czyta przewodnik muzealny i porównuje jego treść z jakimś wiszącym przed nim Ingresem. Ale nie czytał i niczego nie porównywał. Rozbieganym spojrzeniem bezustannie lustrował grupę niemieckich turystów.

Grupa skręciła w boczny korytarz. Adrian znalazł się przy samej ścianie. Sypiąc przeprosinami, rozsunał znajdujących się przed nim, aż minął przewodniczkę i wydostał się z grupy. Przeszedł szybko prawą stroną ogromnej sali i skręcił w lewo do jakiegoś skąpo oświetlonego pokoiku. Małe punktowe reflektorki rzucały z ciemnego sufitu pojedyncze snopy światła na kilkanaście marmurowych rzeźb.

Uzmysłowił sobie nagle, że gdyby człowiek w prochowcu wszedł do tego pokoju, nie miałby którędy przed nim uciec.

Z drugiej jednak strony, gdyby ten facet wszedł tutaj, też nie miałby jak z tego wybrnąć. Zastanawiał się, który z nich ma więcej do stracenia. Nie potrafił na to odpowiedzieć, toteż stanął w najgłębszym cieniu w najdalszym rogu pokoju, poza plamami światła z reflektorów, i czekał.

Zobaczył grupę swoich Niemców przechodzących korytarzem obok wejścia do jego salki. Kilka sekund później mignęła mu plama rozmazanego brązu — facet biegł, dosłownie biegł.

Adrian podszedł do drzwi, odczekał, aż Niemcy skręcą w lewo w kolejny poprzeczny korytarz, sam skręcił w prawo i szybkim krokiem ruszył w kierunku wielkiej sali i schodów.

Schody były jeszcze bardziej zatłoczone niż przedtem. Właśnie schodził tłumek uczennic w mundurkach. Tuż za nimi nerwowo dreptał mężczyzna w brązowym prochowcu, z irytacją próbując je wyprzedzić i zbiec na dół.

Nagle Adrian zrozumiał, o co chodzi. Facet go zgubił i postanowił czekać przy wyjściu.

Jedynie, co mu pozostało, było zupełnie oczywiste — dopaść drzwi, przed nim.

Adrian przyspieszył, za wszelką cenę starając się sprawiać wrażenie człowieka, któremu wcale się nie spieszy — powiedzmy kogoś, kto stara się nie spóźnić na umówiony lunch.

Przy schodach przed głównym wejściem wysiadało z taksówki czworo Japończyków. Jakieś starsze małżeństwo, na pierwszy rzut oka Anglików, skrzyło na chodniku w kierunku taksówki. Adrian rzucił się biegiem, wyprzedził Anglików i dopadł taksówki pierwszy.

— *Depechez-vous s'il vous plait, Tres important.*

Kierowca uśmiechnął się i zapuścił silnik. Adrian odwrócił się na siedzeniu i spojrzął przez tylną szybę. Człowiek w brązowym płaszczu stał na schodach, rozglądając się na obie strony zdezorientowany i wściekły.

— Orły — poleciał Adrian. — Terminal Air Afrique. Terminal był zatłoczony, wiło się w nim kilka kolejek, ale ta, w której stanął, była dość krótka. I nigdzie ani śladu jasnobrażowego płaszcza. Wydawało się, że w ogóle nikt nie zwraca na niego najmniejszej uwagi.

Ciemnoskóra dziewczyna w uniformie Air Afrique uśmiechnęła się do niego.

— Chciałbym kupić bilet do Rzymu na wasz jutrzejszy lot o dziesiątej piętnaście rano. Nazywam się Llewellyn. Dwa "l" na początku, dwa na końcu i "y". Pierwsza klasa i jeśli to możliwe, chciałbym już teraz dowiedzieć się, które dokładnie to będzie miejsce. Rano zjawię się w ogromnym pośpiechu, ale proszę trzymać rezerwację do końca. Zapłacę gotówką.

Wyszedł przez automatyczne otwierane drzwi terminalu i zatrzymał następną taksówkę.

— Lotnisko de Gaulle'a. Terminal SAS-u.

Kolejka była dłuższa, posuwała się wolniej, a zza rzędu plastikowych krzeseł przyglądał mu się jakiś człowiek. Na Orły nikt mu się tak nie przyglądał. Zastanawiał się, czy rzeczywiście? Miał nadzieję, że tak.

— Powrotny do Sztokholmu — rzucił wyniośle do chłopaka w uniformie SAS-u za ladą. — Macie jutro lot o dziesiątej trzydzieści. Właśnie o ten mi chodzi.

Chłopak podniósł wzrok znad formularzy.

— Sprawdzę, czym dysponujemy, proszę pana — odparł z tłumioną irytacją i wyraźnym skandynawskim akcentem. — Kiedy miałby nastąpić powrót?

— Jeszcze nie wiem, więc niech go pan zostawi "open". Nie interesują mnie zniżki. Nazywam się Fontine.

Pięć minut później bilety zostały wystawione, opłata uiszczona.

— Proszę przybyć na godzinę przed odlotem, proszę pana — powiedział pracownik SAS-u, któremu niecierpliwość Adriana wyraźnie dopiekała do żywego.

— Oczywiście. Jeszcze jedno. Mam pewien mały kłopot. Otóż w swym bagażu przewożę pewne bardzo cenne i niezwykle delikatne przedmioty. Chciałbym...

— Nie możemy przyjąć odpowiedzialności za takie rzeczy — przerwał mu sprzedający.

— Niech pan nie robi z siebie głupca. Doskonale wiem, że nie możecie. Chcę tylko mieć pewność, że macie nalepki z napisem "nie rzucać" po szwedzku, norwesku czy po jakimś tam tam gadacie. Moje walizki bardzo łatwo rozpoznać...

Opuszczając lotnisko de Gaulle'a miał absolutną pewność, że zraził do siebie zupełnie sympatycznego chłopaka, który na pewno poskarżył się na niego kolegom. Wsiadł do taksówki.

— Proszę do hotelu Pont Royale. Przy rue de Bać.

Vrypatrzył go przy stoliku przed małą kawiarenką na rue Durmont. Był Amerykaninem, pił białe wino i wyglądał na studenta, który długo będzie sączył tej jeden kieliszek z uwagi na cenę. Jego wiek nie stanowił żadnego problemu, natomiast wydawał się odpowiedniego wzrostu. Adrian podszedł do niego.

— Cześć!

— Cześć — odparł młody człowiek.

— Czy mogę się przysiąść? Postawić panu drinka?

— Dlaczego nie. Adrian usiadł.

— Studiuje pan na Sorbonie?

— Nie. L'Ecole des Beaux Artes. Jestem prawdziwym malarzem realistą. Narysuję panu portret za trzydzieści franków. No jak?

— Nie, dzięki. Ale zapłacę panu znacznie więcej, jeśli zrobi pan dla mnie co innego.

Student popatrzył na niego podejrzliwie, z niesmakiem.

— Nie szmugluję niczego i dla nikogo. Niech pan to sobie wbije do głowy. Jestem bardzo praworządnym facetem.

— Ja także. Ja jestem nawet prawnikiem. Konkretnie prokuratorem. Mam legitymację, którą mogę to panu udowodnić.

— Z tego, co pan mówił, wcale na to nie wyglądało.

— Niech mnie pan wysłucha do końca. Co to może pana kosztować? Pięć minut przy lampce przyzwoitego wina?

O dziesiątej rano Adrian wysiadł z limuzyny przed szklanymi drzwiami SAS-u w hali odlotów lotniska de Gaulle'a. Miał na sobie długi, rozkloszowany edwardiański płaszcz ze

śnieżnobiałego materiału; wyglądał jak palant, ale nie sposób było nie zwrócić na niego uwagi. Na głowie miał równie białą fedorę z szerokim rondem, nasunętą na oko a la Barrymore, rzucającą cień na całą twarz. Pod kapeluszem wielkie ciemne okulary przesłaniały mu znacznie więcej niż tylko same oczy, a wokół szyi i pod podbródkiem wzdymała mu się błękitna jedwabna apaszka.

Szofer w liberii podszedł do bagażnika limuzyny, otworzył go i przywołał bagażowych, by obsłużyli jego niesłychanie ważnego pasażera. Trzy ogromne walizy z białej skóry zostały załadowane na wózek przy wtórze gderania Adriana na ich brutalne traktowanie.

Przeszedł wyniosłym krokiem przez elektronicznie otwierane drzwi i skierował się do stanowiska SAS-u.

— Po prostu konam! — rzucił ostro tonem zdradzającym potwornego kaca. — I dlatego byłbym wdzięczny za brak utrudnień. Chcę, żeby mój bagaż załadowano na samym końcu. Proszę go przetrzymać za ladą do momentu ostatniego wezwania do odprawy bagażowej. Wszędzie to dla mnie robią. Dżentelmen, który był tu wczoraj, zapewnił mnie, że nie będzie z tym żadnych kłopotów.

Pracownik SAS-u patrzył na niego osłupiałym wzrokiem. Adrian rzucił na ladę swój bilet.

— Stanowisko czterdzieści dwa, proszę pana — powiedział urzędnik oddając mu go z powrotem. — Odprawa paszportowa zaczyna się o dziesiątej.

— Zaczekam tam — odparł Adrian, wskazując rząd plastikowych krzeseł w poczekalni SAS-u. — Proszę dopilnować tego, co mówiłem o bagażu. Gdzie jest toaleta?

Za dwadzieścia dziesiąta w drzwiach terminalu stanął wysoki, szczupły mężczyzna w spodniach koloru khaki, kowbojskich butach i amerykańskiej wojskowej kurtce polowej. Miał niewielką, jednak rzucającą się w oczy bródkę, a na głowie ogromny australijski kapelusz z szeroki rondem. Prosto od wejścia skierował się do toalety.

Za osiemnaście dziesiąta Adrian wstał w plastikowego krzesła i przecisnął się przez zatłoczony terminal. Pchnął drzwi z napisem *Hommes* i wszedł do środka.

W ciasnej kabinie toalety nastąpiła szybka, choć utrudniona zamiana ubrań.

— To wszystko mi dziwnie pachnie, stary. Przysięgasz, że w tym zwariowanym płaszczu nic nie ma?

— Nawet kurzu — jest na to za nowy. Proszę, to bilety, niech pan idzie do wejścia numer czterdzieści dwa. Może pan wyrzucić do śmieci kwitki na bagaż, nic mnie to nie obchodzi. Chyba że chciałby pan zatrzymać walizki. Są piekielnie drogie. I czyste.

— I nikt mnie nie zamknie w Sztokholmie? Gwarantuje pan?

— Jeśli będzie pan posługiwał się swoim własnym paszportem i nie będzie podawał się za mnie, to gwarantuję. Dałem panu tylko swoje bilety, to wszystko. Ma pan na dowód moje pisemne potwierdzenie. Daję panu słowo, że nikt nie będzie się pana czepiał. Nie wie pan, gdzie jestem i nikt nie ma nakazu sądowego. Nie ma nic.

— Pan jest zupełny wariat. Ale opłacił pan moje czesne w szkole za kilka lat z góry i zostanie mi jeszcze na zupełnie znośne życie. Pan jest dobry wariat.

— Miejmy nadzieję, że wystarczająco dobry. Niech mi pan potrzyima lusterko. — Adrian przycisnął bródkę do skóry. Przykleiła się niemal natychmiast. Obejrzał rezultat i zadowolony nałożył kapelusz, zsuwając go z jednej strony głęboko na ucho. — Okay, idziemy. Wygląda pan jak trzeba.

Za jedenaście dziesiąta mężczyzna w obszernym białym płaszczu, takim samym kapeluszu, niebieskiej apasce i słonecznych okularach przeszedł szybkim krokiem obok stanowiska SAS-u do wejścia numer czterdzieści dwa.

Trzydzieści sekund później jakiś brodaty młody człowiek — najwyraźniej Amerykanin — w brudnej kurtce wojskowej, spodniach koloru khaki, kowbojskich butach i australijskim kapeluszu wymknął się dyskretnie przez uchylone drzwi toalety, skręcił natychmiast w lewo w największy tłum i powoli przesunął się ku wyjściu. Znalazłszy się na chodniku przed terminalem, rzucił się biegiem do czekającej taksówki, wskoczył do środka i odkleił brodę.

— Nazywam się Llewellyn! — zawołał do chłopaka z Air Afriqae, stojącego przy pulpicie przy wyjściu dla odlatujących. — Przepraszam, że tak późno. Czy jeszcze zdążyłem?

Sympatyczny Murzyn uśmiechnął się i odparł z francuskim akcentem: — Tylko, tylko, *monsieur*. Właśnie wywoływaliśmy pana po raz ostatni. Ma pan jakiś ręczny bagaż?

— Nic.

Dwadzieścia trzy po dziesiątej, z ośmiominutowym opóźnieniem samolot Air Afriqae do Rzymu zaczął kołować na pas startowy numer siedem. O dziesiątej dwadzieścia osiem był już w powietrzu. Tylko trzynaście minut po czasie.

Mężczyzna przedstawiający się jako Llewellyn usiadł przy oknie i położył swój australijski kapelusz na sąsiednim, wolnym fotelu pierwszej klasy. Poczł na podbródku twardniejące krople kleju i starł je wierzchem dłoni w niemym zdumieniu.

Udało się. Zniknął.

Człowiek w jasnobrązowym płaszczu wsiadł do samolotu do Sztokholmu o dziesiątej dwadzieścia dziewięć. Odlot opóźnił się. Przechodząc do klasy turystycznej minął modnie ubranego pasażera w długim płaszczu i odpowiednim do niego białym kapeluszu. Pomyślał sobie, że facet, którego śledzi, to jakiś palant. Musiało mu zupełnie odbić, żeby się tak

odpieprzyć.

O dziesiątej pięćdziesiąt samolot do Sztokholmu był już w powietrzu. Z dwudziestominutowym opóźnieniem, nic niezwykłego. Mężczyzna w klasie turystycznej zdjął prochowiec i usiadł w przedniej części kabiny po przekątnej od obiektu swej obserwacji. Po rozsunięciu zasłony — co właśnie nastąpiło — mógł cały czas mieć śledzonego na oku.

Po dwunastu minutach lotu pilot zezwolił na odpięcie pasów. Modnie ubrany obiekt z pierwszej klasy wstał z fotela przy przejściu i zdjął biały płaszcz i taki sarn kapelusz.

Mężczyzna siedzący po przekątnej w klasie turystycznej poderwał się w swym fotelu z wyrazem osłupienia na twarzy.

— O kurwa — wymamrotał.

Andrew spojrział przez przednią szybę na drogowskaz,[^] który wyrósł właśnie w mętym świetle reflektorów samochodu. Świtało już, ale wszędzie stały jeszcze pasma mgły.

MEDIOLAN —5 KM

Jechał całą noc najszybszym samochodem, jaki udało mu się wynająć w Rzymie. Podróż nocą minimalizowała ryzyko, że ktoś mógłby go śledzić. Na długich odcinkach ciemnej drogi światła reflektorów z daleka by go o tym ostrzegły.

Choć nie sadził, żeby go śledzono. W parku Rock Creek Greene powiedział, że mają go na oku. Żyd nie wiedział jednak, że gdyby 1G aż tak bardzo spieszyło się go schwytać, to mogliby go zdjąć już na lotnisku. Pentagon doskonale przecież wiedział, gdzie był. Z Sajgonu sprowadził go telefonogram z sekretariatu obrony.

A zatem hasło do jego zatrzymania nie zostało jeszcze wydane. To, że jego wydanie było kwestią dni, a może nawet godzin, nie miało żadnego znaczenia — oczywiście, że zostanie wydane. Ale Andrew był synem Victora Fontine. Pentagon dobrze się zastanowi, nim wystawi oficjalny nakaz aresztowania. Armia nie wysuwa pochopnie oskarżeń pod adresem Kennedych, Rockefellerów czy Fontine'ów. Pentagon będzie nalegał, aby przewieźć wszystkich członków Korpusu Oko do Stanów i uzyskać od nich zeznania potwierdzające. Pentagon niczego nie zostawi przypadkowi, nie zaryzykuje żadnych błędów ani pomyłek.

Co oznaczało, że Andrew ma czas na to, żeby się wymknąć. Bo nim armia będzie gotowa działać, on znajdzie się już w górach i zabierze za poszukiwanie urny, która zmieni wszystkie podstawowe zasady gry, jak jeszcze nic nigdy dotąd ich nie zmieniło.

Przycisnął mocniej gaz. Potrzebował snu. Każdy profesjonalista dobrze wie, nawet w chwilach najwyższego napięcia, kiedy ciało łaknie snu, a oczy zaczynają odczuwać istnienie powiek. Postanowił *znaleźć* mały pensjonat albo wiejski zajazd i przespać większą część dnia. Późnym popołudniem pojedzie do Campo di Fiori i znajdzie obraz na ścianie. Pierwszy drogowskaz do urny ukrytej wysoko w górach.

JVlinął nie zwalniając rozsypujące się kamienne słupy bramy i przejechał jeszcze parę kilometrów. Pozwolił się wyprzedzić dwóm samochodom, przyglądając się bacznie kierowcom — nie zwracali na niego żadnej uwagi. Zawrócił i przejechał obok bramy po raz drugi. Nie sposób było powiedzieć, co tam za nią czekało, czy posiadłość miała jakieś zabezpieczenie — system alarmowy, może psy. Jediną *rzeczą*, jaką zdołał zobaczyć, była kręta, wyłożona kamiennymi płytami aleja znikająca w lesie.

Warkot samochodowego silnika na tej drodze sam w sobie musiał stanowić sygnał alarmowy. Nie mógł tego ryzykować, nie miał zamiaru obwieszczać swego przybycia do Campo di Fiori. Zwolnił, zjechał na pobocze i skręcił w przydrożny las, zagłębiając się między drzewa najdalej, jak się dało.

Pięć minut później podszedł do bramy. Z nawyku sprawdził, czy nie ma tu jakichś przewodów lub fotokomórek. Nie było, toteż minął bramę i ruszył aleją wijącą się przez las porastający teren posiadłości.

Trzymał się skraju, korzystając z osłony drzew i leśnego poszycia, dopóki nie ujrzał przed sobą domu. Wyglądał dokładnie tak, jak opisał go ojciec — bardziej martwy niż żywy.

Okna były zupełnie ciemne, wewnątrz nie paliły się żadne światła. A powinny. Dom stał w ocienionym miejscu. Mieszkający samotnie starzec potrzebował światła — starzy ludzie nie dowierzają oczom. Czy to znaczy, że mnich umarł?

Nagle nie wiadomo skąd dobiegł czyjś głos, piskliwy i płaczący. A potem szuranie kroków, od strony drogi za północnym zakolem podjazdu, drogi, która wedle słów jego ojca prowadziła do stajen. Fontine padł na ziemię, wtulił się w wysoką trawę i zastygł w bezruchu. Uniósł ostrożnie głowę na kilka centymetrów. Czekał i obserwował.

Po chwili ujrzał starego mnicha. Ubrany był w czarny habit i niósł wiklinowy koszyk. Mówił coś bardzo głośno, ale Andrew nie mógł dostrzec do kogo. Nie rozumiał też co. Nagle mnich zatrzymał się, odwrócił i odezwał jeszcze raz.

Tym razem ktoś mu odpowiedział. Szybko, autorytatywnie, w języku, który Andrew nie natychmiast poznał. Zobaczył też wreszcie drugiego z rozmawiających i z miejsca ocenił go jak przeciwnika. Mężczyzna był potężnie zbudowany, szerokie muskularne bary mocno wypychały kurtkę z wielbłądziej wełny, spod której wystawały świetnie skrojone spodnie. Ostatnie promienie zachodzącego słońca oświetliły obu mężczyzn. Nie najlepiej — światło padało im z za pleców — ale wystarczająco, żeby zobaczyć ich twarze.

Andrew skoncentrował się na młodszym, potężnie zbudowanym towarzyszu mnicha. Miał dużą twarz, szeroko osadzone oczy ocienione jasnymi brwiami, a nad opalonym czołem czuprynę krótko przyciętych, spłowiałych od słońca włosów. Czterdzieści kilka lat, na pewno nie więcej. I ten sposób, w jaki chodził. Niespieszny chód człowieka zdolnego poruszać się błyskawicznie, który woli jednak się z tym nie zdradzać. Fontine dowodził takimi ludźmi.

Stary mnich podszedł wprost do marmurowych schodów, przełożył koszyk do lewej ręki, a prawą zebrał fałdy habitu. Przystanął na najwyższym stopniu i ponownie odwrócił się do młodszego mężczyzny. Mówił teraz spokojniej, jakby pogodził się z jego obecnością czy też z tym, co tamten mówił, albo z jednym i drugim. Mówił też wolniej i tym razem Fontine bez

trudu rozpoznał, w jakim języku. Po grecku.

Przysłuchując się słowom mnicha doszedł do jeszcze jednego, równie oczywistego wniosku. Tym drugim, potężnie zbudowanym mężczyzną musiał być Theodore Annaksas Dakakos! "To byk".

Mnich przeszedł przez szeroki marmurowy ganek ku drzwiom wejściowym. Dakakos wspinał się po schodach i ruszył za nim. Obaj mężczyźni weszli do środka.

Fontine przeleżał w trawie na skraju podjazdu jeszcze kilka minut. Musiał chwilę pomyśleć. Co sprowadzało Dakakosa do Campo di Fiori? Co Dakakos miał wspólnego z tym domem?

A kiedy już postawił sobie to pytanie, odpowiedź wydała mu się zupełnie oczywista. Samotnik Dakakos był tu zakulisową siłą. Rozmowa, która miała przed chwilą miejsce na podjeździe, nie była rozmową między obcymi.

Musiał zatem koniecznie ustalić, czy Dakakos przyjechał do Campo di Fiori sam. Czy też zabrał ze sobą ochronę, uzbrojoną obstawę? W domu nie było nikogo, w żadnym oknie nie paliło się światło, z wnętrza nie dobiegał żaden odgłos. A zatem pozostały stajnie.

Andrew wyczołgał się tyłem w mokrą trawę, aż krzaki leśnego poszycia przesłoniły mu kontury domu. Za jakąś kępą krzewów podniósł się z ziemi i wyjął z kieszeni małą berettę. Wdrapał się na skarpę ponad podjazdem i wyliczył sobie kąt, pod jakim biegła droga do stajni po drugiej stronie. Jeśli ludzie Dakakosa znajdowali się w stajniach, to wyeliminowanie ich nie nastreczy żadnych kłopotów. Bez strzelaniny — to było niezwykle istotne. Rewolwer, który trzymał w ręku, miał posłużyć wyłącznie za straszak — ludzie załamywali się na sam jego widok.

Przypadł do ziemi i przebrnął na czworakach przez skarpe ku drodze do stajni. Przedwieczorny wiatr przyginał lekko wierzchołki traw i gałęzie drzew. Instynktownie podchwycił rytm ich falowania. Ujrawszy przed sobą dachy stajen, zszedł bezszelestnie z pochyłości i stanął na drodze.

Przed bramą stajni zobaczył stalowoszare maserati z kołami oblepionymi błotem. Żadnych głosów, żadnych oznak życia, tylko cichy szum otaczającego lasu. Andrew ukląkł, podniósł garść ziemi i cisnął ją dwadzieścia metrów przed siebie, ponad drogą, w okna stajni.

Nikt się nie pojawił. Fontine powtórzył to samo jeszcze raz, biorąc więcej ziemi zmieszanej z małymi kamykami. Grzechot o szyby był znacznie głośniejszy, niemożliwe, żeby nikt nie usłyszał.

Nic. Nikogo.

Zachowując wszelkie środki ostrożności, podszedł drogą do samochodu. Zatrzymał się

kilka kroków od niego. Nawierzchnia drogi była utwardzona, ale nadal nieco wilgotna po wcześniejszym deszczu.

Maserati stało przodem na północ. Nie dostrzegł przed sobą żadnych śladów butów od strony pasażera. Zaszedł z drugiej strony samochodu. Przy drzwiczkach kierowcy wyraźnie odcisnęły się ślady męskich butów. Dakakos przyjechał sam.

Nie było chwili do stracenia. Należało jak najszybciej zabrać obraz wiszący na ścianie gabinetu i ruszać na wyprawę do Cham-poluc. A w napotkaniu Dakakosa w Campo di Fiori było coś z ironii w wielkim stylu. Donosiciel zakończy swe życie tam, gdzie zrodziła się jego obsesja. Andrew winien był to Korpusowi Oko.

Teraz widać już było światła w wielkim domu, ale tylko w oknach na lewo od głównego wejścia. Przypadł do ściany budynku i schylając się pod parapetami przemknął do okna, z którego padało najjaśniejsze światło. Przysunął ostrożnie twarz do framugi i zajrzał do środka.

Pokój był bardzo duży. Z kanapami, fotelami, krzesłami i kominkiem. Oświetlały go dwie lampy. Jedna obok najdalszej kanapy, druga z prawej strony jednego z foteli. Dakakos stał obok kominka, gestykulując powoli przemyślanymi ruchami rąk. Mnich siedział w fotelu, tyłem do Fontine'a, niemal zupełnie niewidoczny. Rozmawiali przyciszonym głosem, nie sposób było usłyszeć, o czym mówią. Tak jak nie sposób było ustalić, czy Grek posiadał broń. Należało założyć, że tak.

Andrew wyrwał obluzowaną cegłę ze skraju podjazdu i wrócił do okna. Wyprostował się, trzymając w prawej ręce berettę, w lewej zaciskając cegłę. Dakakos podszedł do siedzącego w fotelu mnicha. Prosił go o coś usilnie, a może coś wyjaśniał, absolutnie tym zaabsorbowany.

To był ten moment.

Oślaniając oczy rewolwerem, Fontine wyciągnął lewą rękę za siebie, po czym wyrzucił ją łukiem do przodu i cisnął cegłą w sam środek okna. Szkło i odłamki drewna rozprysły się na wszystkie strony. Jeszcze nim zdążyły opaść na ziemię, Andrew idąc za ciosem wybił berettą resztki szyb, wsunął broń przez dziurę w oknie i ryknął pełnym głosem: — Jeden ruch i obaj jesteście martwi! Dakakos zastygł w bezruchu.

— To ty? — wyszeptał. — Przecież ciebie zdjęli!

Głowa opadła bezwładnie na piersi, brzydkie, głębokie rany na twarzy rozoranej uderzeniami lufy pistoletu krwawiły obficie. "Temu człowiekowi nic tak się nie należy, jak bolesna śmierć" — pomyślał Fontine.

— Na miłość boską, niech pan ma litość! — zawołał mnich z sąsiedniego fotela, w którym siedział związany i bezradny.

— Milczeć! — ryknął Fontine, nie spuszczając wzroku z Dakakosa. — Dlaczegoś to

zrobił? Po coś przyjechał do Campo di Fiori?

Greki podniósł na niego zapuchnięte oczy. Dyszał urywanie.

— Powiedzieli, że zostałeś zdjęty. Mieli wszystko, czego potrzebowali. — Mówił tak cicho, że ledwie go było słychać, w równej mierze do stojącego nad nim, co sam do siebie.

— Pomylili się — odparł Andrew. — Zakłócenia na łączach.

— Pomylili się — odparł Andrew. — Zakłócenia na łączach. Chyba nie myślałeś, że przyślą ci telegram z przeprosinami, co? Co dokładnie ci powiedzieli? Ze mnie aresztowali?

Dakakos nic nie odpowiedział. Zamrugnął oczami, próbując strzepnąć z powiek strużki krwi spływającej mu z poranionego czoła. Fontine'owi zabrzmiały w uszach słowa dowódców z Pentagonu: "Nigdy niczego nie przyznawaj. Nigdy niczego nie tłumacz. Realizuj cel, resztą nie zaprzataj sobie głowy".

— Zresztą mniejsza z tym — wycedził lodowato przez zęby. — Powiedz mi tylko, co robisz w Campo di Fiori.

Greki spojrział na niego błędnym wzrokiem. Poruszył wargami.

— Jesteś łajno. Ale damy sobie z tobą radę!

— Jacy "my"?

Dakakos napiął szyję, wysuwając głowę do przodu, i splunął mu w twarz. Fontine uderzył go na odlew w szczękę lufą rewolweru. Głowa opadła Grekowi na piersi.

— Niech pan przestanie! — zawołał mnich. — Ja panu powiem. Jest taki ksiądz, nazywa się Land. Dakakos i Land współpracują ze sobą.

— Kto taki? — Fontine odwrócił się szybko do mnicha.

— To wszystko, co wiem! Tylko to, jak się nazywa. Od lat pozostają ze sobą w kontakcie.

— Co to za człowiek? Kim on jest?

— Nie wiem. Dakakos nie chciał mi tego powiedzieć.

— Czy on na niego czeka? Czy ten ksiądz ma tu przyjechać? Wyraz twarzy mnicha uległ nagłej zmianie. Powieki mu zatrzepotały, usta zaczęły drżeć.

Andrew zrozumiał. Dakakos czekał na kogoś, ale nie na księdza o nazwisku Land. Podniósł broń i wsunął lufę w usta na wpół nieprzytomnego Greka.

— No dobra, ojczulku, masz dwie sekundy, żeby mi powiedzieć na kogo. Na kogo ten skurwysyn czeka?

— Na tego drugiego...

— Jakiego drugiego?!

Mnich popatrzył na niego bez słowa. Fontine poczuł pustkę w żołądku. Wyjął pistolet z

ust Dakakosa.

Adrian.

Adrian był w drodze do Campo di Fiori! Wydostał się jakoś ze Stanów i wszedł w znowę z Dakakosem!

Obraz! Trzeba natychmiast sprawdzić, czy obraz wisi jeszcze na swoim miejscu! Odwrócił się...

Cios był zupełnie obezwładniający. Dakakos rozerwał przewód od lampy, którym miał związane ręce, i skoczył przed siebie. Jedną pięścią zadał mu cios w nerkę, a drugą dłonią chwycił za lufę beretty, wykręcając mu rękę z taką siłą, że omal nie złamał jej w łokciu.

Andrew odparował atak obrotem wokół własnej osi i padając na ziemię, poturlał się w bok pod impetem ciosu Dakakosa. Grek wskoczył na niego, miażdżąc go niby potworny młot. Zaczął tłuc zaciśniętą dłonią Fontine'a podłogę, aż broń wypaliła, posyłając pocisk w drewnianą futrynę drzwi. Andrew zgiął błyskawicznie nogę, uderzając Dakakosa kolaniem od dołu w krocze, miażdżąc mu jądra, póki Grek nie poderwał się w górę z twarzą wykrzywioną potwornym bólem.

Fontine jeszcze raz przeturlał się w bok, uwalniając z uchwytu lewą rękę, wbił rozczapierzone palce w wiszącą nad nim zakrwawioną twarz i zaczął szarpać rozorane lufą żywe ciało. Ale Dakakos nie ustępował, nie dawał za wygraną — wyciągał ręce, by chwycić Fontine'a za gardło.

To był ten moment! Andrew wyprężył się łukiem do przodu i zatopił zęby w ramieniu Dakakosa, gryząc z całej siły, głęboko jak wściekły pies, czując ciepłą krew spływającą mu do gardła. Grek szarpnął ramieniem — cofając rękę — i to był ten ułamek chwili, którego potrzebował Fontine. Raz jeszcze rąbnął Dakakosa kolaniem w krocze, po czym wśliznął się całym ciałem pod niego, waląc go lewą pięścią w dołek pod pachą i naciskając przebiegający tam nerw z całą siłą, na jaką go jeszcze było stać.

Greki poderwał się w prawo, kopnięciem spychając z siebie potężne ciało Andrew i oswobadzając prawą rękę.

Z szybkością jakiej nabrał w czasie setek akcji bojowych w dżungli, zerwał się na czworaka, przykucnął, wycelował z beretty i plunął kulami w pierś donosiciela, który omal go nie zabił.

Dakakos padł martwy. Nie było już żadnego Annaksasa.

Andrew podniósł się chwiejnie z podłogi. Ociekał krwią, ledwie się trzymał na nogach. Spojrzał na mnicha z Ksenopy siedzącego w swoim fotelu. Starzec miał oczy zamknięte, jego wargi poruszały się w bezgłośniejszej modlitwie.

W magazynku beretty pozostał jeszcze jeden pocisk. Andrew uniósł rewolwer i pociągnął za spust.

Adrian wziął z osłupieniem telegram podany mu przez recepcjonistkę. Podeszedł do drzwi wejściowych hotelu, przystanął i otworzył kopertę.

*Pan Adrian Fontine,
Hotel Excelsior,
Rzym, Wiochy.*

Drogi Panie Fontine, Musimy się niezwłocznie naradzić, pod żadnym pozorem bowiem nie może Pan działać w pojedynkę. Musi mi Pan zaufać. Z mojej strony nic Panu nie grozi. Rozumiem Pańskie obawy i stąd też nie będzie żadnych pośredników, nie wyślę do Pana żadnego z moich ludzi. Będę czekał na Pana sam i sami, tylko we dwóch, podejmiemy odpowiednie decyzje. Proszę to sprawdzić u źródła.

Theodore Dakakos

Dakakos go wytropił! Grek czekał na spotkanie. Ale gdzie? Jak?

Adrian doskonale zdawał sobie sprawę, że po przejściu odprawy paszportowej na lotnisku w Rzymie ci, którzy go szukali, natychmiast dowiedzą się o jego przyjeździe do Włoch. Dlatego właśnie wprowadził następny punkt do swego planu. Ale żeby Dakakos otwarcie się z nim skontaktował, wydawało się czymś zupełnie niezwykłym. Wyglądało to tak, jakby Grek zakładał, że pracują razem — wspólnie. Lecz przecież to właśnie Dakakos zniszczył jego brata, konsekwentnie i bezlitośnie, z niezwykłą pomysłowością zdobywając dowody wyrotowej działalności Korpusu Oko tam, gdzie nie udało się to połączonym siłom Inspektoratu Generalnego i Departamentu Sprawiedliwości.

Obaj synowie Victora Fontine — wnukowie Savarone Fontini- -Cristiego — poszukiwali urny. Dlaczego Dakakos miałby przeszkadzać w tym jednemu z nich, a drugiemu nie?

Odpowiedź mogła być tylko jedna. Właśnie próbował to zrobić. Marchewka przed nosem osła — propozycja bezpieczeństwa i współpracy, którą należało tłumaczyć jako próbę podporządkowania i ograniczenia swobody ruchów.

“Będę czekał na Pana sam i sami, tylko we dwóch, podejmiemy odpowiednie decyzje. Proszę sprawdzić u źródła”...

Czy Dakakos był w drodze do Campo di Fiori? Jak to możliwe? I jakie źródło miał na

myśli? Pułkownika z IG, niejakiego Tarkin-gtona, z którym nawiązał kontakty, aby zamknąć w potrzasku Korpus Oko? Jakie inne źródło mogli mieć wspólne?

— Pan Fontine? — To był kierownik hotelu. Zostawił za sobą otwarte drzwi do swego biura. Musiał wyjść z niego w pośpiechu.

— Słucham?

— Próbowałem oczywiście zadzwonić do pana do pokoju. Ale pana nie zastałem. — Uśmiechnął się nerwowo.

— Zgadza się — odparł Adrian. — O co chodzi?

— Zawsze mamy na względzie przede wszystkim dobro naszych gości. — Włoch znów się uśmiechnął. Mogło to człowieka doprowadzić do szału.

— Bardzo pana proszę. Spieszę się.

— Przed chwilą otrzymaliśmy telefon z ambasady amerykańskiej. Powiedzieli, że dzwonią do wszystkich hoteli w całym Rzymie. Poszukują pana.

— Co pan im odpowiedział?

— Zawsze mamy na względzie...

— Co pan odpowiedział?!

— Że pan już się wymeldował. Bo przecież pan już się wymeldował. Gdyby jednak chciał pan skorzystać z mego telefonu...

— Nie, dziękuję — odparł Adrian, ruszając do wyjścia. Przystanął jednak i odwrócił się z powrotem do kierownika. — Proszę zadzwonić do ambasady. Niech pan ich poinformuje, dokąd pojechałem. W recepcji wiedzą.

To była druga część jego rzymskiego planu. Kiedy go wymyślił, uświadomił sobie, że stanowi on tylko replikę tego, co zrobił w Paryżu. Jeszcze przed końcem dnia zawodowiec, który go śledził, pozna miejsce pobytu Adriana. Komputery, odprawy paszportowe i współpraca międzynarodowa stwarzały błyskawiczny obieg informacji. Musiał to załatwić tak, żeby wszyscy myśleli, że wybiera się gdzieś, gdzie wcale się nie wybierał.

Rzym najlepiej się do tego nadawał. Gdyby poleciał do Mediolanu, ludzie z IG zaczęliby wertować archiwa i odgrzebaliby z zapomnienia nazwę "Campo di Fiori". Nie mógł do tego dopuścić.

Poprosił w recepcji hotelu Excelsior, by naszkicowano mu trasę wycieczki na południe. Do Neapolu, Salerno i Policastro, drogami, które poprowadzą go na wschód przez Kalabrię na wybrzeże Adriatyku. Na lotnisku wynajął samochód.

A teraz do nagonki przyłączył się Theodore Dakakos. Dakakos, bardziej niebezpieczny i dysponujący szybszym obiegiem informacji niż Wywiad Wojskowy Stanów Zjednoczonych.

Adrian wiedział, O co chodziło armii Stanów Zjednoczonych — o mordercę z Korpusu Oko. Ale Dakakosowi chodziło o urnę. To była znacznie większa stawka.

Włączył się w melodramatyczny ruch uliczny Wiecznego Miasta i pojechał z powrotem na lotnisko Leonarda da Vinci. Zwrócił wynajęty samochód i kupił bilet lotniczy do Mediolanu. Ustawił się w kolejce do stanowiska odlotów Itavii, z opuszczoną nisko głową, przygarbiony, próbując się rozpląnąć w ochronnym gąszczu tłumów. W pewnej chwili ktoś popchnął go do przodu i wtedy — nie wiadomo dlaczego — przypomniały mu się słowa pewnego wybitnego prawnika.

“Możesz biec ze stadem, pośrodku stada, ale jeśli chcesz czegoś dokonać, przeciskaj się do brzegu i odłącz się od niego”. Darrow.

Z Mediolanu zadzwonił do ojca. Wymyślił jakieś kłamstwo o bracie — wszystko jedno jakie, teraz nie miał głowy się nad tym zastanawiać. Ale musi dowiedzieć się czegoś więcej o Dakakosie.

Dakakos zaczynał go osaczać.

•Siedział na łóżku w mediolańskim Hotel di Piemonte, dokładnie tak samo, jak siedział na łóżku w londyńskim Savoyu, i wpatrywał się w rozłożone przed sobą kartki papieru. Ale tym razem nie były to rozkłady lotów różnych linii lotniczych. Miał przed sobą kserokopie wspomnień ojca sprzed pięćdziesięciu lat. Czytał je jeszcze raz — nie po to, by dowiedzieć się czegoś nowego — znał je niemal na pamięć — ale dlatego, że czytanie odraczało moment, kiedy będzie musiał podnieść słuchawkę. Zastanawiał się, na ile dokładnie przestudiował te notatki jego brat, z ich niepewnymi opisami i oderwanymi, często niejasnymi refleksjami. Andrew przeanalizował je pewnie z dociekliwością oficera przed akcją bojową. Notatki zawierały nazwiska. Goldonich, Capomontich, Lefraca. Nazwiska ludzi, do których trzeba było dotrzeć.

Dłużej nie mógł już tego odwlekać. Złożył kartki, schował je do kieszeni kurtki i sięgnął po słuchawkę.

Dziesięć minut później centrala hotelowa połączyła się z nim ponownie. Usłyszał w słuchawce sygnał telefonu dzwoniącego w domu na North Shore, osiem tysięcy kilometrów od Mediolanu. Odebrała matka i kiedy mu to powiedziała, zrobiła to z prostotą, bez wszelkich żalobnych ozdobników. Byłyby nie na miejscu, jej żałoba była zbyt osobista.

— Twój ojciec umarł dziś w nocy.

Żadne nie odezwało się przez dłuższą chwilę. Tym milczeniem wyrażali sobie miłość. Tak jakby się do siebie przytulili.

— Natychmiast wracam do domu.

— Nie, nie wracaj. On by sobie tego nie życzył. Wiesz, co masz robić.

Znów zapadło milczenie.

— Tak — odparł w końcu.

— Adrian?

— Słucham?

— Mam ci do powiedzenia dwie *rzeczy*. Ale wolałabym tego teraz nie roztrząsać.

Możesz to zrozumieć?

— Chyba tak — odparł Adrian po chwili namysłu.

— Odwiedził nas pewien pułkownik. Niejaki Tarkington. Był na tyle miły, że rozmawiał tylko ze mną. Powiedział mi o twoim bracie.

— Tak mi przykro.

— Przywieź go do domu. On potrzebuje pomocy. Wszelkiej pomocy, jakiej jesteśmy mu w stanie udzielić.

— Zrobię, co będę mógł.

— Tak łatwo spojrzeć wstecz i powiedzieć: “Tak, teraz zdaję sobie z tego sprawę. Teraz to widzę”. Zawsze był zapatrzony w potęgę, nigdy nie rozumiał jej złożoności ani tego, że jej istota tkwi we współczuciu.

— Mieliśmy tego nie roztrząsać — przypomniał jej syn.

— Tak, nie chcę rozstrząsać... O Boże, Adrian, jestem taka przerażona!

— Mamo, proszę cię!

Jane zaczerpnęła głęboko powietrza, przewód telefoniczny przeniósł ten odgłos na odległość ośmiu tysięcy kilometrów.

— Jeszcze druga sprawa. Był tu Dakakos. Rozmawiał z twoim ojcem. Z nami obojgiem. Musisz mu ufać. Takie było życzenie twego ojca. Był o tym głęboko przekonany. Ja też jestem o tym przekonana.

“Proszę sprawdzić u swojego źródła”.

— Przysłał mi telegram. Napisał, że będzie na mnie czekał.

— W Campo di Fiori — uzupełniła Jane.

— Czy mówił coś o moim bracie?

— Że według niego może mieć kłopoty z podjęciem poszukiwań. Nie rozwodził się nad tym. Mówił wyłącznie o tobie, wielokrotnie powtarzał twoje imię.

— Na pewno nie chcesz, żebym wrócił do domu?

— Na pewno. W niczym mi tu nie możesz pomóc. On by sobie tego nie życzył. — Umilkła na chwilę. — Adrian, powiedz swojemu bratu, że ojciec nigdy się o tym nie

dowiedział. Umarł przekonany, że obaj jego bliźniacy są takimi ludźmi, za jakich ich uważał.

— Powiem mu. Niedługo znów zadzwonię. Pożegnali się cicho i odłożyli słuchawki.

Ojciec nie żyje. Pustka była wręcz straszna. Siedział obok telefonu, czując, że po czole spływają mu strużki potu, choć w pokoju było zupełnie chłodno. Wstał z łóżka. Czekalo go mnóstwo roboty, nie miał chwili czasu do stracenia. Dakakos był w drodze do Campo di Fiori. Tak jak i morderca z Korpusu Oko, ale Dakakos o tym nie wiedział.

Usiadł przy biurku i zabrał się do pisania. Dokładnie tak jak w swym bostońskim mieszkaniu, gdy przygotowywał sobie notatki do przesłuchania, które miał poprowadzić następnego dnia.

Tym razem jednak notatki te miały mu się przydać nie następnego dnia, a już tego samego wieczoru. I choć długo rozmyślał, były bardzo skąpe.

Latrzywał samochód przed rozwidleniem szosy, wyjął mapę i przysunął ją do światelka nad lusterkiem. Rozwidlenie było na mapie zaznaczone. Aż do miasteczka Laveno nie było żadnych innych dróg. Ojciec mówił, że po lewej stronie zobaczy wielką bramę z kamienia. To będzie główny wjazd do Campo di Fiori.

Zapuścił silnik i wyrażając w ciemnościach wzrok, wypatrywał w ścianie lasu po lewej mignięcia kamiennych słupów. Znalazł je po sześciu kilometrach. Zatrzymał auto naprzeciwko wielkich, kruszących się kamiennych filarów i wysunął przez okno latarkę. Poza bramą ujrzał opisywaną przez ojca wijącą się alejkę zakręcającą pod ostrym kątem i znikającą w lesie.

Skręcił w lewo i wjechał między słupy bramy. Poczul nagłą suchość w ustach, serce zaczęło mu walić w piersiach pobrzmiwając rytmem swego pulsu w gardle. To był strach przed bliskim spotkaniem z nieznanym. Chciał jak najszybciej stawić temu nieznanemu czoło, nim strach zupełnie nim zawładnie. Docisnął pedał gazu.

Nigdzie nie paliło się ani jedno światło.

Ogromny biały dom stał pogrążony w pełnej grozy ciszy, niesamowity, roztaczając w ciemnościach majestat śmierci. Adrian zatrzymał samochód z lewej strony podjazdu, na wprost marmurowych schodów, wyłączył silnik i, z ociąganiem się, światła. Wysiadł, wyjął w kieszeni nieprzemakalnego płaszcza latarkę i ruszył przez spękane płyty podjazdu ku schodom.

Zamglony księżyc oświetlił na chwilę makabryczną scenę i natychmiast zniknął. Niebo było zachmurzone, ale nie zanosilo się na deszcz. Chmury ciągnęły ze wszystkich stron, ale sunęły zbyt wysoko i przemykały zbyt prędko. Powietrze było suche, nie zmacone nawet jednym tchnieniem wiatru.

Dotarłszy do schodów, zapalił latarkę, żeby spojrzeć na zegarek. Jedenasta trzydzieści. Dakakosa nie było. Nie było też brata. I jeden, i drugi musiałyby usłyszeć nadjeżdżający

samochód; ani jeden, ani drugi nie mógł o tej godzinie być już w łóżku. Pozostał zatem sędziwy mnich. Stary człowiek mieszkający na wsi mógł o tej porze już spać.

— Halo! — zawołał głośno. — Proszę pana! Nazywam się Adrian Fontine i chciałbym z panem porozmawiać!

Cisza.

Ale i coś jeszcze. Szmer jakiegoś ruchu. Ledwie słyszalny tupot, cichutkie drapanie i seria stłumionych, niemal uchwytnych dla ucha popiskiwań. Przeczucił latarkę w kierunku miejsca, z którego dochodziły. W roztańczonej plamie światła przemknęły niewyraźne sylwetki szczurów — trzech, czterech, pięciu — pierzchających z parapetu otwartego okna.

Zatrzymał snop światła latarki na oknie. Nie było otwarte — zostało wybite. Teraz widział wyraźnie spękane odłamki szyb. Powoli, z nagłą obawą, podszedł bliżej.

Nogi zapadły mu się w miękką ziemię, poczuł pod butami chrzęst tłuczonego szkła. Stanął przed oknem i uniósł latarkę.

Mimowolnie zachłysnął się powietrzem i wstrzymał oddech, gdy w świetle latarki błysnęły nagle dwie pary zwierzęcych oczu. Oślepione poderwały się w górę, wystraszone, lecz i rozwścieczone, i z upiornym, stłumionym piskiem umknęły w ciemność innej części domu. Rozległ się głośny brzęk — jakieś oszalałe ze strachu zwierzę musiało wpaść na niezbyt stabilny przedmiot ze szkła lub porcelany.

Adrian wypuścił powietrze z płuc i wzdrygnął się. Nozdrza wypełnił mu przeraźliwy smród, odrażający fetor, od którego oczy zaszczyły mu łzami, a żołądek podjechał do gardła. Krztusząc się i wstrzymując oddech przekroczył parapet. Zaciśnął otwartą dłońią nos i usta, by odciąć dopływ potwornego odoru, i omiótł światłem latarki ogromny pokój.

Szok był paralizujący. Widok, jaki przedstawiały sobą zwłoki dwóch mężczyzn, jedno w habicie, przywiązane do fotela, drugie półnagie, leżące na podłodze, był potworny. Ubrania rozszarpane zębami zwierząt, ciała rozprute zwierzęcymi szczękami, zaschnięta krew zwilżona zwierzęcym moczem i śliną.

Adrian poczuł, że kręci mu się w głowie. Z ust trysnęła mu struga wymiocin. Zatonął się w lewo; światło wyłoniło z ciemności jakieś przejście. Rzucił się w tym kierunku, rozpaczliwie chwytając oddech, powietrze, które można byłoby zaczerpnąć do płuc.

Znalazł się w gabinecie Savarone Fontini-Cristiego, człowieka, którego nigdy nie znał, lecz którego nienawidził teraz z całej mocy. Swego dziadka, który wyzwolił łańcuch mordów i podejrzeń, niosących dalszą śmierć i jeszcze większą nienawiść.

I po co to wszystko?! Po co?!

Ty przekłety...!!!

Zaczął krzyczeć nieopanowanie, chwycił za wysokie oparcie jakiegoś krzesła i rąbnął nim o podłogę, aż rozpadło się na kawałki.

I nagle w ciszy, jaka po tym zapadła, uświadomił sobie, co musi zrobić. Stanął w bezruchu i oświetlił latarką ścianę za biurkiem. Na prawo, jak to zapamiętał, poniżej Madonny.

Ramka wisiała na swoim miejscu, szkło było rozbite.

Obraz zniknął.

Osunął się na kolana, drżąc nieopanowanie. Oczy wezbrały mu łzami, zaniósł się szlochem.

— O Boże! — wyszeptał przez łzy bólu nie do zniesienia. — O, mój bracie!

ROZDZIAŁ 3

I

Andrew zjechał land roverem na pobocze alpejskiej drogi i nalał sobie do zakrętki termosu parującej, gorącej kawy. Miał bardzo dobry czas. Według mapy Michelina znajdował się szesnaście kilometrów od wioski Champoluc. Był ranek; promienie wczesnego słońca strzelały w górę spoza otaczających gór. Za krótką chwilę wjedzie do Champoluc i kupi potrzebny sprzęt.

Adrian został daleko w tyle. Andrew wiedział, że może sobie pozwolić na zwolnienie tempa i spokojne przemyślenie sprawy. A poza tym, jego brat pchał się w sytuację, która go sparaliżuje. Natknie się na ciała w Campo di Fiori i wpadnie w panikę. Nie będzie w stanie jasno myśleć, będzie się wahał przed podjęciem decyzji. Nie będzie wiedział, co robić. Adriana nie uczono obcować ze śmiercią zadawaną przemocą; spotykał ją tylko na dystans. Z wojskowymi było inaczej — z nim samym było inaczej. Fizyczne starcie — nawet przelew krwi — upajało zmysły, przepępniało uczuciem ogromnego uniesienia. Czuł się w szczytowej formie, nabierał absolutnej pewności siebie, przeświadczony o słuszności swych posunięć.

Urnę mógł już uważać za swoją. Teraz pora się zastanowić. Rozważyć każde słowo, każdą wskazówkę. Wyjął kserokopie wspomnień ojca i rozłożył je przed sobą tak, by oświetliły je wpadające przez przednią szybę promienie porannego słońca.

... W wiosce Champoluc żyła rodzina Goldonich. Według aktualnych rejestrów z Zermattu mieszkają tam nadal, rozproszeni po całej okolicy. Obecnie głową rodziny jest niejaki Alfreda Goldoni. Mieszka w domu swego ojca — a przed nim swego dziadka — na kilku hektarach ziemi u podnóża gór na zachodnim skraju wsi. Od pokoleń rodzina Goldonich dostarczała najbardziej doświadczonych przewodników w całych Alpach Włoskich. Savarone często korzystał z ich usług, a co więcej, byli dla niego "przyjaciółmi z północy", którego to określenia używał na odróżnienie ludzi żyjących z ziemi od tych trudniących się handlem. Tym pierwszym okazywał zaufanie znacznie szybciej niż drugim. Jest możliwe, że zostawił jakąś informację u ojca Alfreda Goldoniego. Ustalono by zapewne, że po jego śmierci ma ona przejść na najstarsze pozostające przy życiu dziecko — syna lub córkę — jak jest to we zwyczaju u włoskich Szwajcarów. Stąd też, gdyby Alfreda nie okazał się jego najstarszym dzieckiem, szukajcie starszej siostry.

Na północ, w głębi gór, wydaje mi się, że między polanami Krahen Ausblick a Greier Gipfel — znajduje się niewielkie schronisko prowadzone przez rodzinę Capomontich. Ono

także, według informacji uzyskanych w Zermacie (nie zasięgałem żadnych informacji w samym Champoluc, żeby nie budzić niczyich podejrzeń) nadal istnieje. Zdaje się, że zostało nieco rozbudowane. Zarządza nimi obecnie Natan Lefrac, który wszedł do rodziny przez małżeństwo z jedną z Capomontich. Przypominam sobie tego człowieka. Oczywiście był wówczas młodym chłopcem — rok czy dwa młodszym ode mnie — synem kupca, który prowadził interesy z Capomontimi. Zostaliśmy nawet dość bliskimi przyjaciółmi. Pamiętam dokładnie, że był oczkiem w głowie Capomontich, którzy żywili nadzieję, że ożeni się z ich córką. Najwidoczniej tak właśnie się stało.

W czasach mojego dzieciństwa i wczesnej młodości nigdy nie zdarzyło się, abyśmy wybrali się do Champoluc i nie zatrzymywali u Capomontich. Majaczą mi w pamięci gorące powitania, śmiech, ogień buzujący w kominkach i uczucie, że było nam tam bardzo dobrze. Byli to ludzie prości — w znaczeniu: bezceremonialni — niezwykle wylewni i otwarci. Savarone miał do nich szczególną słabość. Jeśliby miał jakieś tajemnice do powierzenia komuś w Champoluc, starzy Capomonti byłiby dla niego najpewniejszą ostoją gwarantującą jej absolutne dochowanie...

Andrew odłożył kartki i wziął do ręki mapę Michalina. Jeszcze raz prześledził wążutką kreseczkę linii kolejowej do Zermattu, czując powracający niepokój. Z wielu polanek, o których wspomniał jego ojciec, pozostały tylko cztery. I żadna nie miała w swej nazwie sokoła.

Bo scena z polowania w gabinecie w Campo di Fiori nie wyglądała tak, jak to się wydawało jego ojcu. Nie były to ptaki wypłazane z krzaków. Przedstawiała natomiast myśliwych stojących wśród zarośniętych pól, patrzących i mierzących z broni przed siebie, przed którymi gdzieś daleko buja leniwie pod niebem kilka sokołów. Artysta wyrażał w ten sposób daremność wysiłku myśliwych.

Ojciec mówił, że polanki nosiły nazwy Szczyt Orła, Czatownia Kondora i Przełęcz Kruka. Musiała być i taka, która w swej nazwie miała sokoła. Ale nawet jeśli tak było, to dziś już nie istniała. Od tamtych czasów minęło pół wieku; zarośnięte polanki przy torach pod alpejskimi przełęczami, oddalone od siebie całe kilometry, nie stanowiły żadnych punktów orientacyjnych. Kto mógł pamiętać dokładne położenie przystanków kolejowych dla drezyn trzydzieści lat po zalaniu torów asfaltem? Odłożył mapę i wrócił do odbitek wspomnień. Klucz do wszystkiego musiał tkwić w spisanych tu słowach.

Zatrzymaliśmy się w wiosce na późny obiad czy też podwieczorek — nie pamiętam już tego — i Savarone wyszedł z restauracji na pocztę, żeby sprawdzić, czy nie ma dla niego jakichś wiadomości — to pamiętam dokładnie. Kiedy wrócił, był mocno zdenerwowany, a ja zacząłem się obawiać, że nasza wyprawa w góry zakończy się, jeszcze nim się rozpoczęła. Ale

podczas posiłku otrzymał następną wiadomość, po której uspokoił się i odprężył. Nie było już mowy o powrocie do Campo di Fiori. Chwila grozy, jaką przeżył nie mogący się doczekać wyprawy siedemnastolatek, minęła.

Po drodze z restauracji wstąpiliśmy do sklepu prowadzonego przez handlarza, którego nazwisko brzmiało i pisało się z niemiecka, nie było włoskie ani francuskie. Mój ojciec zdecydował się zamówić prowiant i wyposażenie właśnie u niego, ponieważ było mu go żal. Handlarz nie był lubiany przez okolicznych mieszkańców; był Żydem, a dla Samrone, który zawzięcie walczył z carskimi pogromami, a wszystkie umowy z Rothschildami zawierał na słowo i podanie ręki, myślenie takimi kategoriami było nie do przyjęcia. Mający mi w pamięci, że tego wieczoru w sklepie miało miejsce jakieś nieprzyjemne zajście. Nie przypominam sobie dokładnie, o co chodziło, tyle tylko, że było to coś niezwykle poważnego, co wywalowało cichy, ale wyraźny gniew mojego ojca. Gniew pełen smutku — znów jeśli pamięć mi dopisuje. Mam niejasne wrażenie, że szczegóły tego zajścia zatajono przede mną, lecz dziś po tylu latach jest to tylko wrażenie i może być fałszywe.

Opuściliśmy sklep i konną furmanką dojechaliśmy do gospodarstwa Goldonich. Pamiętam, że chwalilem się swoim nowym plecakiem alpejskim z pasami, młotkiem, klinami i kutymi, podwójnymi klamrami do lin. Byłem z niego niestęchanie dumny, przekonany, że oznacza wkroczenie przeze mnie w wiek męski. Znów odnoszę mgliste wrażenie, że podczas pobytu u Goldonich atmosferę zakłócało zafrasowanie dorosłych, choć starali się go nie okazywać. Nie potrafię powiedzieć, dlaczego to wrażenie zachowało się we mnie po tylu latach, skłonny jednak jestem uważać, że to skutek trudności, z jaką przychodziło mi zwrócenie uwagi mężczyzn na mój nowy plecak. Stary Goldoni, jego brat czy bracia, a z pewnością jego najstarsi synowie wydawali się czymś zaprzątnięci. Umówiliśmy się, że jeden z synów Goldoniego przyjedzie po nas następnego dnia i poprowadzi w góry. Po kilku godzinach spędzonych w domu Goldonich wnowiliśmy naszą podróż furmanką do schroniska Capomontich. Pamiętam dokładnie, że kiedy wychodziliśmy, było już ciemno, a jako że było to latem, musiało być po wpoi do ósmej czy nawet ósma...

“Jakie tu mamy fakty — pomyślał Andrew. — Mężczyzna z synem przybyli do wioski, zjedli coś, dokonali zakupów u nielu-bianego Żyda, udali się do domu przewodników, których chcieli nająć, i tam rozpieszczony dzieciak poczuł się urażony, bo nie okazano należytego zainteresowania jego nowemu sprzętowi do górskiej wspinaczki. Istotna informacja zawarta w tym wszystkim sprowadza się do nazwiska Goldoni”.

Dopił kawę, zakręcił termos. Słońce stało już wyżej, pora była ruszać. Ogarnęło go znane uniesienie. Wszystkie lata szkolenia, zdobywania doświadczenia i podejmowania

decyzji w trakcie akcji bojowych przygotowały go do wydarzeń następnych kilku dni. Gdzieś w tych górach spoczywała ukryta urna i on ją znajdzie!

Wyrówna z nawiązką rachunek za Korpus Oko.

Przekręcił kluczyk w stacyjce i włączył silnik. Musi kupić odpowiednie ubranie, sprzęt i broń. I zobaczyć się z kimś o nazwisku Goldoni. Czy z mężczyzną, czy kobietą — to się okaże już wkrótce.

Adrian usiadł po ciemku za kierownicą stojącego samochodu i wytarł usta chusteczką. Nie był w stanie usunąć z gardła obrzydliwego smaku wymiocin, tak jak nie był w stanie usunąć sprzed swoich oczu obrazu rozszarpanych ciał leżących wewnątrz domu. Ani odoru śmierci ze swych nozdrzy.

Po twarzy spływał mu pot będący efektem napięcia, jakiego nigdy jeszcze nie doświadczył, strachu, jakiego dotąd nie zaznał.

Poczuł nawrót mdłości; zdusił je serią szybkich głębokich oddechów. Musiał choć trochę dojść do siebie, by zacząć funkcjonować. Nie mógł wszak przesiedzieć do rana po ciemku w zaparkowanym samochodzie. Pokonać szok i odzyskać zdolność myślenia.

Odruchowo wyciągnął z kieszeni kartki ze wspomnieniami ojca i włączył lampę oświetlającą wnętrze wozu. Słowa stały się jego ucieczką — był analitykiem słów, ich odcieni, subtelnych interpretacji, prostoty i złożoności ich znaczenia. Był ekspertem w operowaniu słowem, nie mniejszym niż jego brat w operowaniu śmiercią.

Rozdzielił kartki i zabrał się do czytania, powoli i metodycznie. Ojciec z synem przyjechali do wioski Champoluc; natychmiast odnieśli wrażenie, że atmosferę zakłócają jakieś niesnaski, może coś więcej niż niesnaski. "Kiedy wrócił, był mocno zdenerwowany... Obawiałem się o naszą wyprawę". Sklep Żyda, gniew. "Nie przypominam sobie dokładnie, o co chodziło... coś poważnego, co wywołało gniew ojca", i smutek. "Gniew pełen smutku — znów jeśli pamięć mi dopisuje". Potem gniew i smutek ustępują miejsca niejasnemu uczuciu przygnębienia i zakłopotania. Syn nie zdołał zwrócić na siebie uwagi tych, na których mu zależało. "Stary Goldoni, jego brat czy bracia, a z pewnością jego najstarsi synowie zdawali się czymś zaprzątnięci". Ich uwagę przykuwało coś innego — owe niesnaski? Byli zagniewani? Zasmuceni? A dalej te niejasne obrazy wypiera z kolei wspomnienie ciepła doznanego w pewnym schronisku na północ od wioski, "wspaniałego powitania dokładnie takiego samego jak wiele innych poprzednich powitań". A jednak już wkrótce tę chwilę pogodnego spokoju zmaćniło ponownie uczucie niejasnego niepokoju i troski.

Ze schroniska Capomontich niewiele pamiętam oprócz wspaniałego powitania, dokładnie takiego samego jak wiele innych poprzednich powitań. Jedno, co wyraźnie utkwiło

mi w pamięci, to że po raz pierwszy w górach dostałem osobny pokój, nie musiałem go już dzielić z młodszymi braćmi. To był ważny moment przelomowy i poczułem się bardzo dorosły. Zjedliśmy następny posiłek, po którym ojciec wypił ze starym Capomontim sporo whisky. Pamiętam to dokładnie, ponieważ kiedy położyłem się do łóżka, rozmyślając o czekającej nas następnego dnia wspinaczce, słyszałem podniesione, wojowniczo nastawione głosy i zacząłem się zastanawiać, czy ten hałas nie obudzi pozostałych gości. W tamtych czasach było to bardzo małe schronisko i poza nami nocowały w nim może jeszcze trzy, cztery osoby. Ten mój niepokój był czymś niezwykłym, ponieważ nigdy nie widziałem mojego ojca pijanego. Do dzisiaj nie wiem, czy rzeczywiście był pijany, ale hałasowali tego wieczoru bardzo. Młodemu, siedemnastoletniemu chłopakowi, który właśnie miał otrzymać urodzinowy prezent swego życia — prawdziwą górską wspinaczkę w Champoluc — myśl, że rankiem jego ojciec będzie słaby i zły, długo nie dawała usnąć.

Jednakże wcale tak nie było. Przewodnik od Goldonich stawił się z naszym prowiantem o umówionym czasie, zjadł z nami śniadanie i wyruszyliśmy w góry.

Któryś z synów Capomontiego — a może miody Lefrac — podwiózł nas furmanką kilka kilometrów na północ. Pożegnaliśmy się z nim i umówiliśmy, że przyjedzie po nas w to samo miejsce późnym popołudniem następnego dnia. Całe dwa dni w górach z dorosłymi! Z noclegiem! Nie posiadałem się z radości, bo wiedziałem, że obóz na noc rozbijemy na większej wysokości, niż byłoby to możliwe, gdyby wlekli się z nami moi młodsi bracia.

Adrian odłożył kartki ze wspomnieniami na fotel obok. Pozostałe akapity opisywały niezbyt wyraźnie pamiętane góry, szlaki i widoki, które zdawały się na siebie nakładać. Rozpoczęła się wyprawa w góry.

Istotna informacja mogła tkwić także w tych oderwanych opisach. Mogły się z nich wyłonić jakieś konkretne punkty orientacyjne, mogły się ułożyć w jakiś sensowny wzór. Ale które punkty? Jaki wzór?

O Boże! Obraz ze ściany. Andrew miał ten obraz!

Zdusił w sobie przyływ nagłej paniki. Obraz z gabinetu Savarone mógł uściślić położenie polanki, ale co z tego? Od tamtych dni minęło pół wieku. Pięćdziesiąt śnieżnych i lodowatych zim, wiosennych i letnich roztopów, naturalnego wzrostu roślinności i naturalnej erozji.

Obraz ze ściany gabinetu mógł być wskazówką, być może nawet najważniejszą, ale Adrian miał przecucie, że muszą istnieć jeszcze inne wskazówki, nie mniej istotne. Zawarte w treści testamentu jego ojca, we wspomnieniach, które przetrwały mimo pięćdziesięciu lat burzliwego życia.

Coś się jednak wydarzyło przed półwiekiem, coś, co nie miało nic wspólnego z wyprawą ojca i syna na górską wspinaczkę.

Zaczął przychodzić do siebie. Odzyskiwał zdolność myślenia i zaczynał z niej korzystać. Szok i przerażenie jeszcze nie ustąpiły, ale przebijał się przez nie, odzyskując powoli zdrowe zmysły.

“Zaskarbujcie sobie w pamięci, że zawartość tej urny może wstrząsnąć całym cywilizowanym światem jak jeszcze nic w całej jego historii”.

Musiał do niej dotrzeć, musiał ją odnaleźć. Musiał ubiec mordercę z Korpusu Oko.

Andrew zaparkował land rover przy płocie ogradzającym pola. Zabudowania Goldonich stały po lewej stronie, pozostało do nich dwieście metrów drogą; pola należały do ich gospodarstwa. Jakiś człowiek jechał na rozdygotanym traktorze wzdłuż skib zaoranej ziemi i wykręcając się na siedzeniu zupełnie do tyłu obserwował pracę pługa. W okolicy nie było żadnego innego domu, nie widać było żadnych innych ludzi. Andrew zdecydował się zatrzymać i porozmawiać z traktorzystą.

Było kilka minut po piątej po południu. Cały dzień upłynął mu na wałęsaniu się po Champoluc, kupowaniu ubrań i prowiantu i kompletowaniu sprzętu do wspinaczki, włącznie z najlepszym alpejskim plecakiem, jaki udało mu się *znaleźć*, załadowanym przedmiotami z listy wyposażenia zalecanego do zabrania w góry. I z jednym przedmiotem, którego nikt nie zalecał. Rewolwerem magnum, kalibru 357. Dokonał swych zakupów w sklepie, o którym wspominał jego ojciec, dziś znacznie rozbudowanym. Nazwisko brzmiało Leinkraus. Do framugi drzwi wejściowych przybita była mezusa. Sprzedawca wyjaśnił, że firma Leinkraus sprzedaje najlepszy sprzęt górski w całych włoskich Alpach od roku 1913. Obecnie miała swe oddziały w Gstaad i w Lucernie nad Jeziorem Czterech Kantonów.

Wysiadł z samochodu, podszedł do płotu i zamachał ręką, by zwrócić na siebie uwagę traktorzysty. Był to niski, krępy włoski Szwajcar, ze zmierzwioną czupryną ciemnych włosów nad ciemnymi brwiami i o wyrazistych, ostrych rysach twarzy charakterystycznych dla mieszkańców północnych regionów basenu Morza Śródziemnego. Był co najmniej dziesięć lat starszy od Fontine'a; w jego oczach czaiła się nieufność, jakby nie przywykł do widoku nieznanym. — Czy mówi pan po angielsku? — spytał Andrew.

— *Znośnie, signore* — odparł mężczyzna.

— Szukam Alfreda Goldoniego. Skierowano mnie tutaj.

— Dobrze pana skierowano — odparł włoski Szwajcar lepszą niż znośna angielszczyzną. — Alfredo Goldoni jest moim wujkiem. Ja obrabiam jego pola. On sam nie może pracować. — Urwał, nie udzielając żadnych dalszych wyjaśnień.

— Gdzie mogę go znaleźć?

— Tam gdzie zawsze. W pokoju z tyłu domu. Moja ciotka zaprowadzi pana do niego. On lubi, kiedy go ktoś odwiedza.

— Dziękuję — powiedział Andrew i zawrócił do samochodu.

— Pan jest Amerykaninem?

— Nie, Kanadyjczykiem — odparł Andrew, maskując nadal swoją tożsamość co najmniej dla tuzina powodów. Wsiadł do samochodu i spojrział na traktorzystę przez opuszczone okienko. — Mówimy podobnym akcentem.

— Wyglądacie podobnie, ubieracie się podobnie — rzekł cicho mężczyzna, przesuając spojrzeniem po futrzanym oblamowaniu alpejskiej kurtki. — Pańska kurtka ma nie więcej niż kilka dni.

— W przeciwieństwie do pańskiej angielszczyzny — zaripos-tował Fontine, włączając silnik.

Żona Goldoniego była wychudłą kobietą o wyglądzie ascetki. Proste włosy ściągnęła mocno z tyłu w ciasny węzeł, jakby się umartwiała. Poprowadziła gościa przez kilka schludnych, skąpo umeblowanych izb do pokoju na tyłach domu. W pustej futrynie nie było drzwi, próg usunięto i zrównano z poziomem podłogi. Fontine wszedł do środka i natychmiast zorientował się, że znajduje się w sypialni. Alfredo Goldoni siedział na wózku inwalidzkim przy oknie z widokiem na pola u podnóża gór.

Nie miał nóg. Kikuty masywnych niegdyś kończyn niknęły w fałdach spodni, których nogawki spięte były dużymi agrafkami. Reszta jego ciała, tak jak i twarz, była potężna i niezgrabna. Wiek i kalectwo wycisnęły na nim swe piętno.

Stary Goldoni powitał go ze sztucznym ożywieniem kaleki obawiającego się, by nie urazić gościa, wdzięcznego za każdą odmianę w monotonii życia.

Po przedstawieniu się, wyjaśnieniu, jak został tu skierowany, po opisanu drogi z miasteczka i przyjęciu kieliszka wina podanego przez posępną żonę, Fontine usiadł na krześle naprzeciwko beznogie-go mężczyzny. Kikuty amputowanych nóg znalazły się na wyciągnięciu ręki; przez myśl kilkakrotnie przebiegło mu określenie "groteskowe". Andrew nie lubił brzydoty. I nie miał zamiaru tego w sobie przewycięzać.

— Czy nazwisko Fontine nic panu nie mówi?

— Nie. Wydaje mi się francuskie. Ale pan jest Amerykaninem.

— A nazwisko Fontini-Cristi?

Wyraz oczu Goldoniego uległ gwałtownej zmianie. Dawno zapomniany niepokój został rozbudzony.

— Tak, oczywiście, znam to nazwisko — odparł kaleka, powoli odmierzając słowa. Głos także mu się zmienił. — Fontine, Fontini-Cristi. A więc włoskie nazwisko zmieniło się we francuskie, a jego posiadacz jest Amerykaninem. Tyle lat upłynęło od tamtej pory. Pan należy do rodziny Fontini-Cristich?

— Tak. Savarone był moim dziadkiem.

— Wielki *padrone* północnych prowincji. Pamiętam go. Oczywiście niezbyt dobrze. Przeszedł przyjeżdżać do Champoluc chyba pod koniec lat dwudziestych.

— Goldoni byli jego przewodnikami. Ojciec i synowie.

— Nie tylko jego. Wszyscy korzystali z naszych usług.

— Czy był pan kiedyś przewodnikiem mojego dziadka?

— Możliwe. Chodziłem w góry już w bardzo młodym wieku.

— Nie pamięta pan?

— W swoim życiu poprowadziłem w Alpy tysiące...

— Powiedział pan przed chwilą, że go pan pamięta.

— Niezbyt dobrze. I znacznie lepiej samo nazwisko niż osobę. Czego pan sobie życzy?

— Informacji. O wyprawie w góry, którą mój dziadek odbył z moim ojcem pięćdziesiąt lat temu.

— Pan żartuje?

— Ani mi to w głowie. Mój ojciec, Victor... Vittorio Fontini--Cristi przysłał mnie po tę informację z Ameryki. W niezwykle niedogodnym dla mnie momencie. Mam mało czasu, potrzebna mi jest zatem pańska pomoc.

— Zawsze chętnie służę, ale tym razem zupełnie nie wiem, jak miałbym to zrobić. Wyprawa sprzed pięćdziesięciu lat! Kto mógłby to pamiętać?

— Ten, kto ich poprowadził. Ich przewodnik. Według mojego ojca był nim jeden z synów Goldoniego. Chodzi o czternasty lipca 1920 roku.

Fontine nie był pewien — może groteskowy kaleka po prostu zdusił ostry ból w masywnych kikutach albo poruszył beznogim tułowiem w chwili namysłu — ale Goldoni zareagował. Na datę. Zareagował na tę datę. I natychmiast zatuszował to potokiem słów.

— Czternasty lipca 1920. Dwa pokolenia temu. Niemożliwe. Musi pan mieć przecież jakieś bardziej — jak to się mówi? — szczegółowe informacje, coś więcej niż datę.

— Wiem, że przewodnikiem był jeden z Goldonich.

— Nie ja. Nie miałem wtedy jeszcze piętnastu lat. Zacząłem chodzić w góry młodo, ale nie tak młodo. Nie jako *prima guida*.

Andrew przetrzymał Goldoniego wzrokiem. Kaleka poczuł się wyraźnie nieswojo; nie spodobała mu się ta wymiana spojrzeń i odwrócił oczy. Fontine pochylił się ku niemu.

— A jednak coś tam pan pamięta, prawda? — spytał cicho, niezdolny zapanować nad oziębłością głosu.

— Nie, panie Fontini-Cristi. Nic.

— Kilka sekund temu podałem panu datę — czternasty lipca 1920 roku. Ta data coś

panu powiedziała.

— Tyle tylko, że to dla mnie zbyt dawno, żebym mógł nawet próbować coś sobie przypomnieć.

— Powinienem być panu powiedzieć, że jestem oficerem. Przesłuchiwałem setki ludzi. Tylko bardzo niewielu udało się mnie okpić.

— Gdzieżbym śmiał, proszę pana. I po co miałbym to robić? Bardzo chciałbym panu pomóc.

Andrew nie spuszczał z niego wzroku.

— W tamtych czasach przy torach kolejowych na południe od Zermattu istniały niewielkie polanki — przystanki.

— Kilka z nich istnieje do dzisiaj. Oczywiście niewiele. Dziś nie są nikomu potrzebne.

— Niech mi pan powie... Wszystkie miały w nazwie jakiegoś ptaka...

— Niektóre — przerwał Goldoni. — Kilka, nie wszystkie.

— Czy była jakaś z sokołem? Na przykład sokole coś tam?

— Z sokołem? Dlaczego pan pyta? — Potężny kaleka podniósł wzrok na Fontine'a, tym razem patrząc pewnie, prosto w oczy.

— Proszę po prostu odpowiedzieć. Czy istniała polanka z sokołem w nazwie?

Goldoni milczał przez dłuższą chwilę, w końcu odparł: — Nie, nie było takiej polanki. Andrew odchylił się na oparcie krzesła.

— Czy pan jest najstarszym synem swego ojca?

— Nie. Na tę wyprawę przed pięćdziesięciu laty musiano bez wątpienia wynająć kogoś z moich braci.

Fontine zaczął rozumieć. Alfredo Goldoni dostał w spadku ten dom, ponieważ stracił nogi.

— Gdzie mogę znaleźć pańskich braci? Chciałbym z nimi porozmawiać.

— Jeszcze raz powtórzę — chyba pan żartuje, proszę pana. Moi bracia nie żyją. Wszyscy o tym wiedzą. Moi bracia, stryj, dwóch kuzynów. Wszyscy zginęli. W Champoluc nie ma już przewodników z rodziny Goldonich.

Andrew poczuł, że zasycha mu w gardle. Powoli przyswoił sobie usłyszaną informację i wziął głęboki oddech. Skrócenie drogi do urny przekreśliło to jedno proste zdanie.

— Trudno mi w to uwierzyć — powiedział oschle. — Wszyscy nie żyją? Zginęli? Kto ich zabił?

— Lawina. W sześćdziesiątym ósmym zasypała całą wioskę. Koło Yaltournanche. Wysłano ekipy ratunkowe aż z Zermattu i Chatillon. Poprowadzili je Goldoni. Trzy państwa

przyznały nam najwyższe odznaczenia. Pozostałym nie na wiele się zdały. Mnie przynoszą niewielką rentę. Utraciłem nogi na skutek odmrożenia. — Poklepał się po kikutach potężnych niegdyś kończyn.

— I nie ma pan żadnych informacji na temat tamtej wyprawy czternastego lipca 1920 roku?

— Jakże mógłbym coś sobie przypomnieć nie mając konkretnych szczegółów?

— Mam wspomnienia z tej wyprawy. Spisane przez mojego ojca. — Fontine wyjął z kieszeni kartki kserokopii.

— To świetnie! Dlaczego od razu mi pan tego nie powiedział? Niech mi pan to przeczyta.

Andrew uczynił to. Opisy były oderwane od siebie, przywołane z pamięci obrazy wzajemnie sobie przeczyły, brakowało ciągłości czasowej, punkty orientacyjne wyraźnie mylono.

Goldoni słuchał; od czasu do czasu przymykał podpuchnięte, okolone siecią zmarszczek oczy i przechylał głowę na bok, jakby przywoływał z pamięci obrazy własnych wspomnień. Kiedy Fontine skończył, pokręcił powoli głową.

— Bardzo mi przykro, proszę pana. To, co pan przeczytał.

może się odnosić do każdego z dwudziestu czy trzydziestu różnych szlaków. *Znaczna* część opisanych tu *rzeczy* nie istnieje w ogóle w całym naszym regionie. Proszę mi wybaczyć, ale wydaje mi się, że pański ojciec miał na myśli jakiś szlak leżący na zachód, w Yalais. Bardzo łatwo o taką pomyłkę.

— Nic w tym opisie nie brzmi dla pana znajomo?

— Odwrotnie, wszystko. I nic. Fragmenty pasują do wielu miejsc rozrzuconych na przestrzeni setek kilometrów kwadratowych. Przykro mi. To niemożliwe.

Andrew nie bardzo wiedział, co myśleć. Nadal czuł przez skórę, że Goldoni kłamie. Pozostał jeszcze jeden punkt zaczepienia przed przyparciem go do muru. Jeśli i z tego nic nie wyniknie, wróci tu i zastosuje wobec kaleki inną taktykę.

“Gdyby Alfredo nie okazał się jego najstarszym dzieckiem, szukajcie starszej siostry”.

— Czy pan jest najstarszym dzieckiem swego ojca?

— Nie. Przedemną urodziły mu się dwie córki. Jedna z nich jeszcze żyje.

— Gdzie mieszka?

— W Champoluc. Przy via Sestina. Jej syn obrabia moje pola.

— Jak się nazywa? Po mężu.

— Capomonti.

— Capomonti? To nazwisko rodziny, która prowadziła tamto schronisko.

— Tak, proszę pana. Weszła do niej drogą małżeństwa. Fontine wstał z krzesła, wsuwając złożone kartki do kieszeni.

Podszedł do drzwi i odwrócił się.

— Może się zdarzyć, że tu wrócę.

— Miło mi będzie znów pana zobaczyć.

Fontine wsiadł do samochodu i włączył silnik. Na polu za płotem siostrzeniec Goldoniego siedział bez ruchu na traktorze i obserwował go. Traktor pyrkotał na jałowym buiegu. Znów odezwało się owo przecucie. Wyraz twarzy siostrzeńca zdawał się mówić: “Spływaj stąd, byle szybko. Muszę biec do domu, dowiedzieć się, czego chciałeś”.

Zwolnił ręczny hamulec i nacisnął gaz. Land rover skoczył do przodu. Wykonał ostry nawrót i pomknął z powrotem do wioski.

Nagle jego wzrok przykuło coś najzwyklejszego, najnormalniejszego w świecie. Zaklął na cały głos. Było to coś tak zwyczajnego, że zupełnie nie zwrócił na to uwagi.

Wzdłuż drogi stał rząd słupów telefonicznych.

Nie było sensu szukać starej kobiety w domu przy Via Sestina; na pewno jej nie zastanie. Do głowy przyszedł mu inny plan. Miał znacznie większe szansę powodzenia.

Kobieto! — krzyknął Goldoni. — Szybko! Pomóż mi! Telefon! Żona weszła spieszenie do pokoju i chwyciła za rączki wózka.

— Może ja zadzwonię? — zaproponowała, pchając go do telefonu.

— Nie. Sam to zrobię. — Wykręcił numer. — Lefrac? Słyszysz mnie? Zjawił się. Po tylu latach. Fontini-Cristi. Ale nie zna słów. Szuka polanki z sokołem w nazwie. Nie mówi nic więcej, a to za mało. Nie podoba mi się. Muszę natychmiast jechać do mojej siostry. Zbierz resztę. Spotkamy się za godzinę... Nie tutaj! W schronisku.

Andrew przypadł do ziemi i wtulił się w brudę na polu po przeciwnej stronie drogi od zabudowań Goldoniego. Nastawił lornetkę i przesunął ją systematycznie od drzwi do okien. Słońce chowało się już za szczyty gór na zachodzie, powoli zapadał zmrok. W domu zapalano światła, w oknach widać było biegające w tę i z powrotem cienie, sugerujące ożywioną krzątanie.

Jakiś samochód podjechał tyłem na podwórze po prawej stronie domu. Zatrzymał się; wysiadł z niego siostrzeniec Goldoniego. Podbiegł do drzwi wejściowych, które natychmiast się otworzyły.

Goldoni siedział w wózku inwalidzkim, wychudła żona stała za jego plecami. Siostrzeniec zastąpił ją i zaczął pchać beznogiego wuja przez trawnik w stronę samochodu,

którego silnik cały czas pracował na jałowym biegu.

Goldoni ścisnął coś w obu rękach. Andrew przesunął lornetkę i nastawił ją dokładnie na ten przedmiot.

Była to duża książka, chyba coś więcej niż książka. Jakby ciężki foliał dużego formatu. Jakiś duży rejestr.

Żona przytrzymała otwarte drzwiczki samochodu, a siostrzeniec chwycił kalekę pod ramiona i przerzucił groteskowy kadłub na siedzenie obok kierowcy. Goldoni usadził się w fotelu, kręcąc się i wiercąc, żona zapięła na nim pas bezpieczeństwa.

Przez opuszczone okienko samochodu Andrew wyraźnie widział beznogiego inwalidę, byłego przewodnika alpejskiego. Znowu skupił się na wielkim rejestrze, który Goldoni przyciskał kurczowo do piersi, niemal rozpaczliwie, jakby był to przedmiot niesłychanej wartości, którego ani na chwilę nie śmiał wypuścić z rąk. I wtedy dostrzegł, że Goldoni trzyma w ramionach coś jeszcze, coś znacznie bardziej znajomego. Między wielką księgą i potężną pierśią Szwajcara sterczał błyszczący metalowy walec. Była to lufa krótkiej, potężnej strzelby, modelu, który koczował z toczącymi nieustannie wojny rodzinami z południa Włoch. Z Sycylii. Nazywała się *lupo* — wilk. Była niecelna przy odległości powyżej dwudziestu metrów, ale z bliska mogła odrzucić człowieka na trzy metry.

Goldoni strzegł trzymanej w ramionach księgi za pomocą broni znacznie potężniejszej niż rewolwer magnum kalibru 357 spoczywający w jego plecaku. Andrew przesunął na chwilę lornetkę na siostrzeńca i dostrzegł dodatek w jego stroju. Za paskiem spodni tkwił pistolet, którego duża kolba wskazywała na znaczny kaliber.

Obaj mężczyźni pilnie strzegli wielkiej księgi. Nikt nie zdołałby się do niej nawet zbliżyć. Co to mogło...

Chryste Panie! W nagłym przebłysku świadomości Fontine pojał, czym jest ta księga. To rejestr! Rejestr wypraw w góry! To nie mogło być nic innego! Nie przyszło mu do głowy — ani jego ojcu, Victorowi — zapytać, czy coś takiego prowadzono. Zwłaszcza biorąc pod uwagę liczbę lat minionych od tamtej pory. Po prostu wydawało się, że to nie może wchodzić w rachubę. Wielki Boże, przecież to było pół wieku temu!

Ale według dziadka i ojca rodzina Goldonich od pokoleń cieszyła się opinią najlepszych przewodników w całych Alpach. Tacy profesjonaliści, jeśli chcieli utrzymać tę rodzinną reputację, musieli prowadzić rejestry — to było coś absolutnie naturalnego. Rejestry minionych wypraw w góry, sięgające dziesiątek lat wstecz!

Goldoni kłamał, informacja, którą chciał uzyskać jego gość, znajdowała się w jego domu. Tylko Goldoni nie chciał mu jej udzielić.

Andrew obserwował wszystko bacznie dalej. Siostrzeniec złożył wózek, otworzył bagażnik samochodu, wrzucił wózek do środka i podbiegł do drzwiczek od strony kierowcy. Wskoczył za kierownicę, a żona Goldoniego zatrzasnęła drzwiczki po stronie męża.

Samochód wyskoczył z podwórza na drogę i skręcił na północ, w kierunku Champoluc. Żona Goldoniego wróciła do domu. Andrew pozostał rozciągnięty płasno w trawie i chowając powoli lornetkę do futerału, zaczął rozważać możliwe warianty działania. Mógł pobiec do ukrytego land rovera i pognać za Goldonim — tylko po co? Z jakim ryzykiem by się to wiązało? Stary przewodnik był tylko na wpół mężczyzną, ale *lupo* w jego ręce z nawiązką rekompensowało brak nóg. A i gburowaty siostrzeniec nie zawahałby się pewnie użyć pistoletu.

Jeśli księga trzymana przez Goldoniego była tym, co podejrzewał, to w pośpiechu przewożono ją w inne, bezpieczne miejsce. Nie po to, żeby zniszczyć, lecz po to, by ją ukryć. Nie niszczy się zapisów o niemożliwej do oszacowania wartości.

Musiał się jednak upewnić, że jego domniemania są słuszne.

Zabawne. Nie spodziewał się, że Goldoni wyjedzie z domu — oczekiwał, że to inni przyjdą do niego. Wyjazd oznaczał panikę. Człowiek bez nóg nie opuszcza domu, nie *naraża*, się na niewygodę i upokorzenia świata zewnętrznego, jeśli naprawdę nie musi.

Podjął decyzję. Okoliczności były optymalne — żona Goldoniego została w domu sama. Najpierw upewni się, czy księga była tym, za co ją uważał, a potem dowie się, dokąd pojechał Goldoni.

A kiedy będzie już wiedział jedno i drugie, podjęcie decyzji — jechać czy czekać — będzie już proste.

Wstał z trawy — dalsze marnowanie czasu nie miało żadnego sensu. Ruszył w kierunku domu.

— Nie ma nikogo, proszę pana — powiedziała zaskoczona kobieta, a w jej oczach błysnęła iskierka strachu. — Mąż wyjechał z siostrzeńcem do wsi. Pograć w karty.

Andrew odepchnął ją bez słowa i przeszedł wprost do sypialni Goldoniego. Nie znalazł w niej nic poza starymi czasopismami i nieaktualnymi włoskimi gazetami. *Zajrzał* do szafy w ścianie; to, co ujrzał, było jednocześnie brzydkie i żalosne. Spodnie o podwiniętych nogawkach wiszące na wieszakach, z agrafkami spinającymi fałdy materiału. I tam nie było żadnych książek, żadnych dużych foliałów jak ten, który stary przewodnik zaciskał tak kurczowo w ramionach.

Wrócił do frontowego pokoju. Posepna, wystraszona żona stała przy telefonie i stukiała w widełki kościstymi palcami, krótkimi, coraz szybszymi dźwiękami zdradzającymi

narastającą panikę.

— Linia jest przerwana — powiedział bez ogródek, podchodząc do niej.

— Nie — szepnęła kobieta. — Czego pan chce? Ja nic nie mam! My nic nie mamy!

— Myślę, że macie — powiedział Fontine, przypierając kobietę do ściany i przysuwając twarz tuż do jej twarzy. — Pani mąż mnie okłamał. Powiedział, że nic nie wie, ale wyjechał stąd w ogromnym pośpiechu, wywożąc z sobą jakąś wielką księgę. To był dziennik, prawda?! Stary dziennik, zawierający opis wyprawy w góry sprzed pięćdziesięciu lat. Dziennik! Chcę zobaczyć resztę dzienników!

— Nie wiem, o czym pan mówi, proszę pana! My nic nie mamy! Żyjemy z renty!

— Milcz! Natychmiast pokaż mi te rejestry!

— *Per favore...*

— Ty głupia babo! — Złapał pęk prostych siwych włosów, pociągnął do siebie, po czym nagłym, brutalnym ruchem szarpnął do tyłu, tłukąc głową kobiety o ścianę. — Nie mam czasu! Twój mąż mnie okłamał! Pokaż mi natychmiast, gdzie są te książki! No już! — Znów chwycił ją za włosy i jeszcze raz uderzył jej głową o ścianę. Po pomarszczonej szyi kobiety spłynęła strużka krwi, tracące przytomność oczy wezbrały łzami.

Uświadomił sobie, że posunął się za daleko. Teraz pozostał mu już wariant bojowy — nie po raz pierwszy. W Wietnamie nie brakowało nieskorych do współpracy wieśniaków. Odsunął kobietę od ściany.

— Rozumiesz, co do ciebie mówię? — spytał monotonnym głosem. — Zapalę ci przed oczami zapałkę. Wiesz, co zrobię potem? Pytam cię po raz ostatni. Gdzie są te dzienniki?

Żona Goldoniego osunęła się na ziemię, dygocąc od niepohamowanego szlochu. Fontine przytrzymał ją za materiał sukienki. Drżącą ręką wskazała drzwi w prawej ścianie pokoju.

Andrew powłókł ją za sobą po podłodze. Wyjął beretę, kopnięciem otworzył drzwi. Odkoczyły z takim impetem, że trzasnęły o ścianę. Wewnątrz nie było nikogo.

— Wyłącznik światła. Gdzie jest wyłącznik?

Uniosła głowę i dysząc urywanie przez otwarte usta, przesunęła oczy w lewo.

— *Lampada, lampada* — wyszeptwała.

Wciągnął ją do małego pokoju, puścił i znalazł lampę. Kobieta zwinęła się w kłębek na podłodze, wstrząsana konwulsyjnym szlochem. Światło odbiło się w szklanych drzwiczkach biblioteczki stojącej pod przeciwległą ścianą. Miała pięć półek, na każdej z nich stał rząd ksiąg. Podeszedł szybko, chwycił za gałkę środkowej półki i spróbował podnieść szklane drzwiczki. Były zamknięte na klucz. Spróbował pozostałych — wszystkie okazały się zamknięte.

Kolbą beretty wybił szyby dwóch z nich. Lampa dawała światło przyćmione, lecz wystarczające. Wyblakłe, pisane ręcznie litery i numery na brązowych grzbietach ksiąg widać było zupełnie wyraźnie.

Każdy rok podzielono na dwa okresy sześciomiesięczne, opisane w tomach różniących się grubością. Wszystkie księgi były ręcznej roboty. Spojrzał na lewą stronę górnej półki. Nie wybił szybki w jej drzwiczkach i odbłask światła utrudniał mu odczytanie napisów na książkach. Stłukł ją więc teraz, usuwając resztki szyby kilkoma uderzeniami stalowej lufy.

Pierwszy tom nosił datę 1907. Pod spodem nie podano miesięcy — system podziału na półroczne okresy musiał się wykształcić dopiero później.

Przesunął lufą po grzbietach ksiąg do roku 1920.

Styczeń — czerwiec stał na swoim miejscu.

Lipca — grudnia brakowało. W jego miejsce, dla uzupełnienia luki, wsunięto pospiesznie tom z datą 1967.

Alfredo Goldoni, beznogi kaleka, ubiegł go. Usunął klucz z zamkniętych drzwi, które kryły tajemnicę wyprawy w góry sprzed pięćdziesięciu lat, i uciekł. Fontine odwrócił się do żony Goldoniego. Podniosła się z podłogi na kolana, podpierając cienkimi rękami rottrzęsione wychudłe ciało.

Nie powinien mieć trudności w uzyskaniu informacji, którą musiał uzyskać.

— Wstawaj — rzucił krótko.

Naniósł pozbawione życia ciało przez pole do lasu. Nadal nie było widać księżycy, w powietrzu czuło się natomiast zapach nadciągającego deszczu. Niebo zasnuły szczelnie smoliście czarne chmury, przez które nie przeświecała nawet jedna gwiazda. Snop światła latarki podrygiwał w górę i w dół w rytm jego kroków.

Czas. Teraz liczył się wyłącznie czas.

I szok zaskoczenia. Tego potrzebował. Wedle słów zabitej Alfredo Goldoni pojechał do schroniska Capomontich. Wszyscy tam pojechali. *Consiglieri* Fontini-Cristich zebrali się na naradę. W Champoluc pojawił się obcy i nie znał właściwych słów.

Adrian wrócił do Mediolanu, ale nie do hotelu, tylko trzymając się drogowskazów na autostradzie pojechał prosto na lotnisko, nie bardzo jeszcze wiedząc, jak się zabrać do rzeczy, ale pewien, że mu się uda. Musiał dostać się do Champoluc. Morderca grasował na wolności i tym mordercą był jego brat.

Gdzieś na terenie ogromnego kompleksu mediolańskiego lotniska musiał być i pilot, i samolot. Albo ktoś, kto wiedział, gdzie ich szukać bez względu na cenę.

Jechał najszybciej, jak się dało, opuściwszy w dół wszystkie szyby, by wiatr mógł swobodnie smagać wnętrze samochodu. Pomagało mu to panować nad sobą, pomagało nie myśleć, bo myśli były zbyt bolesne.

— Jest taki mały, prywatny pas tuż obok Champoluc używany przez bogaczy wybierających się w góry — powiedział nie ogolony pilot, zbudzony i wezwany na lotnisko przez suto nagrodzonego pracownika nocnej zmiany w stanowisku Alitalii. — Ale o tej porze jest nieczynny.

— Umiałby pan na nim wylądować?

— To niedaleko, ale teren fatalny.

— Umiałby pan czy nie?

— Starczy mi paliwa na powrót, gdyby się to okazało niemożliwe. Ale o tym ja zadecyduję, nie pan. I nie zobaczy pan z powrotem ani lira. Jasne?

— Mniejsza o liry.

Pilot odwrócił się do pracownika Alitalii i wręcz apodyktycznym tonem, najwyraźniej, by wyrzucić wrażenie na człowieku, który miał zabulić za ten lot, zażądał: — Daj mi pogodę. Zermatt, podejście od południa, kurs 280 stopni na 295 po wyjściu z Mediolanu. Chcę mieć fronty radarowe.

Pracownik Alitalii wzruszył ramionami i westchnął.

— Zapłacę — powiedział krótko Adrian. Pracownik chwycił słuchawkę czerwonego telefonu.

— *Operazioni* — rzucił do niej z gorliwością.

.Lądowanie w Champoluc nie okazało się wcale aż tak ryzykowne, jak to pilot chciał wmówić Adrianowi. Pas rzeczywiście nie był czynny — nie było łączności radiowej, nie było wieży, która by naprowadziła samolot — ale na całej długości dokładnie oznakowany światłkami, na wschodnim i zachodnim krańcu płonącymi na czerwono.

Adrian podszedł przez pas ku jedynej budowli, w której paliło się światło. Była to półkolista metalowa muszla, długości jakichś piętnastu metrów i wysokości siedmiu i pół w szczytowym punkcie. Hangar małego prywatnego samolotu. Drzwi do hangaru otworzyły się, na ziemię padła plama jaśniejszego światła, a we framudze zarysowała się sylwetka mężczyzny w roboczym kombinezonie. Mężczyzna przygarbił się, próbując przebić wzrokiem ciemności na zewnątrz, po czym wyprostował i stłumił ziewnięcie.

— Mówi pan po angielsku? — spytał Fontine.

Człowiek w kombinezonie mówił. Opornie mu to szło i z błędami, ale dało się go zrozumieć. I informacje, jakie Adrian z niego wyciągnął, były mniej więcej takie, jakich się spodziewał. Dochodziła czwarta rano i w całym Champoluc wszystko było zamknięte na głucho. Co to za idiotyzm, żeby przylatywać tutaj o takiej porze? Może trzeba zadzwonić na policję.

Fontine wyjął z kieszeni kilka banknotów o dużych nominałach i przesunął rękę tak, by znalazły się w smudze światła padającego od drzwi. Rozzłoszczony dozorca nie mógł oderwać wzroku od pieniędzy. Adrian podejrzewał, że było to więcej, niż wynosiła jego miesięczna pensja.

— Przyjechałem z bardzo daleka, żeby kogoś znaleźć. Nie zrobiłem nic złego poza wynajęciem samolotu, który przywiózł mnie tutaj z Mediolanu. Policja zupełnie się mną nie interesuje, ja natomiast muszę znaleźć człowieka, którego szukam. Potrzebny mi jest samochód i kilka informacji.

— Pan nie jest przestępcą? Przylecieć o takiej godzinie...

— Nie jestem przestępcą — przerwał mu Adrian, tłumiąc zniecierpliwienie i starając się mówić jak najspokojniej. — Jestem prawnikiem. A... *awocato* — dodał.

— *Awocato*? — w głosie dozorca zabrzmiał wyraźny respekt.

— Muszę znaleźć dom Alfreda Goldoniego. Takie nazwisko mi podano. — Tego, co nie ma nóg?

— O tym nie wiedziałem.

Samochód okazał się starym fiatem o podartej tapicerce i popękanych bocznych szybach. Wedle dozorca gospodarstwo Goldonich znajdowało się dziesięć, piętnaście kilometrów za miasteczkiem przy zachodniej drodze. Narysował Adrianowi schematyczny plan dojazdu, według którego nie można było nie trafić.

W świetle reflektorów ukazało się ogrodzenie ze słupów z przybitymi na górze poprzeczkami, a nieco dalej zarys zabudowań i domu. Z okien domu sączyło się nikłe światło, padające mętną poświatą na kaskady gałęzi sosen rosnących przy drodze przed starym

budynkiem. Adrian zdjął nogę z gazu, zastanawiając się, czy nie powinien się zatrzymać i przejść resztę drogi pieszo. Światła w oknach wiejskiego domu za kwadrans piąta rano były dla niego zupełnym zaskoczeniem.

Spostrzegł słupy telefoniczne. Czy dozorca z lotniska zadzwonił do Goldoniego i uprzedził go o wizycie niespodziewanego gościa? Czy też może rolnicy w Champoluc zwykle wstawali o tak wczesnej godzinie?

Zdecydował, że lepiej będzie nie podchodzić do domu pieszo. Jeśli Goldoni otrzymał telefon od dozorca albo rodzina zaczynała właśnie dzień pracy, to nadjeżdżający samochód nie powinien ich tak wystraszyć, jak samotny mężczyzna wyłaniający się cichaczem z mroku nocy.

Skręcił w szeroką, nie utwardzoną ścieżkę między sosnami. Nie było żadnego innego podjazdu dla samochodów. Ustawił samochód równolegle do domu. Ścieżka ciągnęła się dalej w głąb zabudowań i kończyła przy stodole. W smugach reflektorów zobaczył przez otwarte wrota maszyny rolnicze stojące w jej wnętrzu. Wysiadł z auta, przeszedł koło oświetlonych okien od frontu, w których wisiały zaciągnięte firanki, i podszedł do drzwi wejściowych. Były to drzwi, jakie zdarzają się w wiejskich domach — szerokie i masywne, podzielone w połowie wysokości na dwie części, by można było wpuścić do środka świeże letnie powietrze, nie wpuszczając przy tym gospodarczych zwierząt. Pośrodku wisiała ciężka, mosiężna, zaśnieżona kołatka. Zapukał.

Nic. Żadnej odpowiedzi, żadnego odgłosu ruchów wewnątrz domu. Zastukał jeszcze raz, mocniej, z dłuższymi przerwami między ostrymi, metalicznymi stuknięciami.

Zza drzwi dobiegł jakiś odgłos. Niewyraźny, krótki. Szelest ubrania albo papieru. Ręka skrobiąca po materiale?

— Proszę pana! — zawołał uprzejmie. — Nazywam się Fontine. Pan znał mojego ojca i jego ojca. Z Mediolanu. Z Campo di Fiori. Chciałbym z panem porozmawiać. Bardzo pana proszę! Nie przychodzę w złych zamiarach.

Tym razem tylko absolutna cisza. Nic.

Cofnął się na porośniętą trawą ziemię i podszedł do okna, w którym paliło się światło. Przycisnął twarz do szyby, próbując zajrzeć do środka przez zaciągnięte białe firanki. Były tak gęsto zmarszczone, że praktycznie nic nie było widać. Grube szkło alpejskiego okna dodatkowo zniekształcało niewyraźne kontury wnętrza.

Nagle coś zobaczył i przez moment — gdy wzrok przyzwyczał się do rozmytego obrazu — wydawało mu się, że po raz drugi tej nocy utracił rozum.

W tylnym lewym rogu pokoju ujrzał beznogiego mężczyznę wijącego się na podłodze w urywanych, jakby konwulsyjnych ruchach. Zdeformowane ciało potężnie zbudowane od

pasa w górę było ubrane w coś w rodzaju koszuli sięgającej masywnych kikutów nóg, które nikły w fałdach białych bieliźnianych spodenek. "Ten, co nie ma nóg".

Alfredo Goldoni. Na oczach Adriana Goldoni wcisnął się w ciemny kąt pokoju. Trzymał coś w ramionach tak kurczowo, jakby to było koło ratunkowe na wzburzonym morzu. Strzelbę, strzelbę o grubej, krótkiej lufie. Co to miało znaczyć?

— Goldoni! Proszę pana! — zawołał z za okna. — Chcę tylko porozmawiać. Jeśli dozorca tu dzwonił, musiał to panu powiedzieć. Huk był zupełnie ogłuszający. Szkło rozprysło się na wszystkie strony, jego odłamki naszpikowały płaszcz i marynarkę Adriana, który w ostatnim ułamku sekundy dostrzegł ruch unoszonej czarnej lufy i zdążył się uchylić, zasłaniając twarz. Ostre odłamki grubego szkła wbiły mu się w rękę jak setki igiełek lodu. Gdyby nie gruby sweter, który kupił w Mediolanie, ręka zmieniałaby się w krwawą masę. A i tak ramię i szyja nieco krwawiły.

Nad głową, przez strzaskane szyby w oknach i kłęby dymu, usłyszał metaliczny trzask — Goldoni powtórnie załadował strzelbę.

Usiadł opierając się plecami o fundament domu, obmacywał lewą rękę i usunął całe szkło, które udało mu się wymacać palcami. Na szyi czuł strużki spływającej krwi.

Siedział tak dłuższą chwilę, dysząc ciężko i opatrując rany, po czym jeszcze raz zawołał. Goldoni nie był w stanie pokonać odległości między ciemnym kątem pokoju a oknem. Byli jak dwaj więźniowie, z których jeden pała żądzą zamordowania drugiego, lecz ogranicza go nieprzekraczalna, choć niewidoczna ściana.

— Niech pan posłucha! Nie wiem, co panu powiedziano, ale to nieprawda! Nie jestem pańskim wrogiem!

— Zwierzę! — ryknął z głębi pokoju Goldoni. — Nie ujdiesz mi z życiem!

— Na miłość boską, dlaczego? Przecież nie chcę panu zrobić żadnej krzywdy!

— Jesteś Fontini-Cristi! Morderca kobiet! Porywacz dzieci! *Maligno! Animale!*

Spóźnił się. O Jezu Chryste! A więc jednak się spóźnił. Morderca zdążył do Champoluc przed nim!

I nadal grasował. Pozostała jeszcze jedna szansa.

— Mówię po raz ostatni, Goldoni — odezwał się, tym razem nie podnosząc głosu. — Rzeczywiście jestem Fontini-Cristim, ale nie tym, którego śmierci tak pan pożąda. Nie jestem zabójcą kobiet, nie porwałem żadnego dziecka. Znam człowieka, o którym pan mówi, ale to nie ja. Jaśniej i prościej nie potrafię tego wyjaśnić. A teraz stanę na wprost tego okna. Nie mam broni — nigdy jej nie miałem. Jeśli mi pan nie wierzy, to chyba będzie pan musiał strzelić. Nie mam czasu na dalsze dyskusje. I myślę, że pan także go nie ma. Ani pan, ani nikt z pańskiej

rodziny.

Podparł się krwawiącą ręką i wstał chwiejnie z ziemi. Podeszedł powoli i stanął na wprost roztrzaskanego okna.

\Vejdź z rękami wyciągniętymi przed siebie! — zawołał Alfredo Goldoni. — Zatrzymasz się albo choć na chwilę zawahasz i jesteś trup! Fontine wyłonił się z ciemności zalegającej nie oświetlony tylny pokój. Beznogi kaleka pokazał mu, przez które okno ma wejść do środka; nie chciał ryzykować manipulacji, jakich wymagało od niego otwarcie drzwi wejściowych. Kiedy Adrian się ukazał, Goldoni odciągnął kurek strzelby, gotów w każdej chwili strzelić.

— Ten sam i jakby nie ten sam — powiedział szeptem.

— To mój brat — odparł cicho Adrian. — Muszę go powstrzymać.

Goldoni wpatrywał się w niego w milczeniu. W końcu, nie odrywając oczu od twarzy Adriana, spuścił kurek i położył strzelbę obok siebie w kącie pokoju.

— Niech mi pan pomoże wsiąść na wózek — powiedział. Adrian usiadł przed beznogim mężczyzną, rozebrany do pasa, odwrócony od niego plecami. Szwajcar usunął wszystkie odłamki szkła, przemywając rany jakimś roztworem na spirytusie, który piekł, ale okazał się skuteczny — krwawienie ustało.

— W górach krew jest bardzo cenna. Nasi rodacy z północy nazywają ten płyn *leimen*. Jest skuteczniejszy niż wszystkie zasypki. Wątpię, czy jakikolwiek lekarz by to pochwalił, ale to sprawdzony środek. Może się pan już ubrać.

— Dziękuję. — Fontine wstał i włożył koszulę. Do tej pory wymienili tylko kilka krótkich koniecznych uwag. Praktycznie myślący tubylec kazał Adrianowi zdjąć ubranie tam, gdzie trafiły go odłamki szkła. Ranny, nie opatrzony człowiek nikomu nie mógł się na nic przydać. Ale rola wiejskiego lekarza w niczym nie osłabiła jego gniewu ani bólu.

— To człowiek z piekła — powiedział kaleka, kiedy Fontine zapinał koszulę.

— On jest chory, choć zdaję sobie sprawę, że to nic dla pana nie zmienia. Poszukuje pewnego przedmiotu. Urny, ukrytej gdzieś wysoko w górach. Ukrytej wiele lat temu, jeszcze przed wojną, przez mojego dziadka.

— Wiemy. Wiedzieliśmy, że któregoś dnia ktoś tu się zjawi. Ale to wszystko, co wiemy. Nie wiemy, gdzie dokładnie została ukryta.

Adrian nie wierzył kalece, ale swego jeszcze nie był pewien.

— Powiedział pan, że on jest mordercą kobiet. Kogo zabił?

— Moją żonę. Zniknęła.

— Zniknęła? To skąd pan wie, że nie żyje?

— Bo on kłamał. Powiedział, że próbowała uciec drogą, że dogonił ją, złapał i trzyma w ukryciu w wiosce.

— To niemożliwe.

— Niemożliwe. Tak jak ja nie mogę chodzić, proszę pana, tak moja żona nie może biegać. Ma żylaki. Żeby poruszać się po domu, wkłada grube buty. O, te tutaj!

Adrian spojrział w kierunku wskazanym przez Goldoniego. Obok krzesła stała równiutko ustawiona para ciężkich, brzydkich butów.

— Człowiek potrafi zdobyć się na czyny niewiarygodne, wtedy...

— Na podłodze jest krew — przerwał mu Goldoni drżącym głosem, wskazując na otwarte drzwi do jakiegoś pomieszczenia. — Człowiek, który nazywa siebie żołnierzem, nie miał ran. Niech pan idzie i sam zobaczy!

Fontine zbliżył się do otwartych drzwi i wszedł do małego pokoiku. Oszklona biblioteczka miała wybite szybki, wszędzie wałały się ostre odłamki szkła. Sięgnął do środka i wyjął jeden z tomów stojących na półkach za roztrzaskanymi drzwiczkami. Otworzył go. Na jego stronicach czytelnym odręcznym pismem zanotowano wszystkie szczegóły kolejnych wypraw w góry. Daty sięgały wstecz poza rok 1920. I na podłodze koło drzwi była krew.

Spóźnił się.

Wrócił szybko do pokoju od frontu.

— Niech mi pan wszystko opowie. Najszybciej, jak pan potrafi, Wszystko.

Brat Adriana działał niezwykle metodycznie. Obezwładnił przeciwników, zastraszył, wprowadził w panikę, uczynił bezradnymi. Major z Korpusu Oko dokonał inwazji na schronisko Capomontich. Przeprowadził ją błyskawicznie, bez jednego zbędnego posunięcia. W pokojach na piętrze znalazł Lefraca i członków rodzin Capomontich i Goldonich odbywających zwołaną naprędce naradę.

Drzwi pokoju odskoczyły z trzaskiem i wpadł przez nie recepcjonista z dołu, pchnięty z taką siłą, że przewrócił się na podłogę. Wojskowy wtargnął do środka krok za nim i nim ktokolwiek zdążył zorientować się, co się dzieje, zamknął za sobą drzwi i wymierzył do zebranych z rewolweru.

Następnie postawił żądania. Po pierwsze, stary dziennik z opisem wyprawy w góry sprzed pięćdziesięciu lat. Wraz z mapami. Tymi szczegółowymi, używanymi przez alpinistów w rejonie Champoluc. Po drugie, przewodnik na wyprawę w góry — syn albo osiemnastoletni wnuk Lefraca. Po trzecie, wnuczka Lefraca jako druga zakładniczka. Jej ojciec stracił głowę i rzucił się na uzbrojonego żołnierza, ale ten był profesjonalistą i jednym strzałem zmusił go do uległości.

Stary Lefrac musiał otworzyć drzwi i zawołać służącą. Do pokoju przyniesiono odpowiednią odzież, dzieci trzymane na muszce rewolweru włożyły ją. Wtedy właśnie ów człowiek z piekła rodem powiedział Goldoniu, że uwięził jego żonę. Goldoni miał wrócić do siebie, odesłać kierowcę — siostrzeńca — i pozostać w domu sam. Gdyby po drodze spróbował zawiadomić policję, miał już nigdy nie ujrzeć żony.

— Po co? — spytał Adrian szybko. — Po co to zrobił? Dlaczego chciał, żeby pan tu wrócił i został sam?

— Porozdzielał nas. Moja siostra z synem wróciła do swego domu przy Via Sestina; Lefrac i jego syn zostali w schronisku. Razem byłoby nam rażniej. Osobno jesteśmy zastraszeni, bezradni. Niełatwo zapomnieć o broni przyłożonej do głowy dziecka. On wie, że rozdzieleni nie zrobimy nic, będziemy tylko czekać.

— Wielki Boże — powiedział Adrian, przymykając oczy.

— Zna się na swoim rzemiośle, ten żołnierz — dodał cicho Goldoni, głosem zionącym nienawiścią.

Fontine spojrział na niego. “Biegłem ze stadem — pośrodku stada — lecz dotarłem do jego brzegu i odłączę się”.

— Dlaczego pan do mnie strzelał? Jeśli brał mnie pan za niego, jak mógł pan tak ryzykować? Nie wiedząc, co zrobił.

— Zobaczyłem pańską twarz przyciśniętą do szyby. Chciałem pana oślepić, nie zabić. Trup nie mógłby mi powiedzieć, dokąd zabrał moją żonę. Lub co zrobił z jej ciałem. Ani gdzie są dzieci. Ja dobrze strzelam; mierzyłem kilka centymetrów nad pana głowę.

Fontine podszedł do krzesła, na które rzucił swoją kurtkę, i wyjął kopię wspomnień swego ojca sprzed pięćdziesięciu lat.

— Musiał pan przeczytać zapiski z tego dziennika. Pamięta pan, co w nich było?

— Nie może pan go ścigać. On nie cofnie się przed morderstwem.

— Pamięta pan?!

— To była dwudniowa wyprawa szlakiem, który krzyżuje się z wieloma innymi! On może być dosłownie wszędzie! Próbuje zawęzić teren poszukiwań. Posuwa się na oślep. Jeśli pana zobaczy, zabije dzieci.

— Nie zobaczy mnie. Nie zobaczy mnie pod warunkiem, że ja tam dotrę pierwszy! Nie zobaczy mnie, jeśli to ja będę czekał na niego! — Adrian rozłożył kartki papieru.

— On już mi to czytał. Tu nie ma nic, co mogłoby panu pomóc.

— To niemożliwe! Musi być!

— Myli się pan — odparł Goldoni i Adrian tym razem nie miał wątpliwości, że stary

przewodnik nie kłamie. — Próbowałem mu to wytłumaczyć, ale on nie chciał słuchać. *Padrone*, wasz dziadek, zostawił dyspozycje, ale nie przewidział niespodziewanej śmierci i ludzkich ułomności.

Fontine oderwał wzrok od kartek. W oczach starego człowieka ujrzał bezradność. Morderca ruszył w góry, a on był całkowicie bezradny. Jedna śmierć bez wątpienia pociągnie za sobą następne, tak jak z pewnością spotkała jego żonę.

— Jakie dyspozycje? — spytał cicho Adrian.

— Powiem panu. Pan nie jest taki jak pana brat. Przez trzydzieści pięć lat zachowywaliśmy tę tajemnicę między sobą. Lefrac, Capomonti i my, Goldoni. I jeszcze jeden człowiek — spoza naszej rodziny — którego śmierć zaskoczyła tak nagle, że nie zdążył zostawić własnych dyspozycji.

— Kto to był?

— Pewien handlarz, niejaki Leinkraus. Nie znaliśmy go zbyt dobrze.

— Niech więc pan mówi.

— Przez wszystkie te lata czekaliśmy na kogoś o nazwisku Fontini-Cristi — zaczął beznogi kaleka.

Człowiek, na którego czekali Lefrac, Goldoni i Capomonti, miał być spokojny, przyjaźnie nastawiony, powinien szukać żelaznej skrzyni ukrytej w górach. Musiał opisać wspinaczkę, w której wziął udział ojciec z synem tyle to a tyle lat wcześniej i wiedzieć, że była opisana w dziennikach Goldonich — jak wiedział o tym każdy, kto korzystał z usług przewodników z tej rodziny. Tamta wyprawa trwała dwa dni, trasa prowadziła przez pokaźny obszar, toteż człowiek ten miał wymienić nazwę pewnej konkretnej zarośniętej polanki przy torach kolejowych, znanej jako Kaprys Myśliwego. Polankę zostawiono swemu losowi ponad czterdzieści lat temu, na długo przed tym, nim ukryto urnę, ale w czasach, kiedy ojciec z synem wyprawili się do Champoluc, latem 1920 roku, jeszcze istniała.

— Myślałem, że wszystkie te polanki nosiły...

— Ptasię imiona?

— Właśnie.

— Większość, ale nie wszystkie. Brat pytał, czy istniała polanka z sokołem w nazwie. W górach w rejonie Champoluc nie ma sokołów.

— Obraz ze ściany — powiedział Adrian, bardziej do siebie niż do starego przewodnika.

— Słucham?

— Mój ojciec zapamiętał pewien obraz z Campo di Fiori, scenę myśliwską. Uważał, że

ten obraz może mieć jakieś znaczenie.

— Wojskowy nic o tym nie mówił. Ani też nie wyjaśnił, do czego mu te informacje, tyle tylko, że musi je mieć. Nie wspomniał ani słowem o tym, czego szuka. Ani o dziennikach. Ani o tym, dlaczego ta polanka jest taka ważna. Zachowywał się konspiracyjnie. I z całą pewnością nie przybył w przyjaznych zamiarach. Żołnierz, który grozi beznogiemu kalece, to fałszywy dowódca. Nie ufałem mu.

Wszystko to, co zrobił, było sprzeczne z obrazem rodziny Fontini-Cristich, jaki ci ludzie sobie zapamiętali. Jakże łatwo mógłby osiągnąć cel, gdyby rozmawiał otwarcie, gdyby przybył “w przyjaznych zamiarach”. Ale on tego nie potrafił — on zawsze był bowiem na wojnie.

— W takim razie urnę ukryto gdzieś w okolicy owej zapomnianej polanki, Kaprysu Myśliwego.

— Zapewne. Istnieje kilka starych szlaków na wschód, które zaczynały się przy torach i prowadziły w wyższe partie gór. Ale o który z tych szlaków chodzi, o jaki szczyt? Nie wiemy.

— W dzienniku powinien być opis.

— Ten opis ma sens tylko dla kogoś, kto wie, gdzie patrzeć. On nie wie.

Adrian zaczął rozważać to, co usłyszał. Jego brat przebył pół świata wymykając się sieci agentów wywiadu najpotężniejszego mocarstwa na ziemi.

— Pan go chyba nie docenia.

— On nie jest stąd. Nie jest góralem.

— Nie jest — mruknął cicho Fontine. — Ale jest czym innym. Za czym się będzie rozglądał? Na tym się musimy teraz skupić.

— Za jakimś niedostępnym terenem. Z dala od zwykłych szlaków. Miejscem, do którego dotarcie, z tego czy innego powodu, jest niezwykle trudne. Jest całe mnóstwo takich miejsc. Te góry są ich pełne.

— Ale przed chwilą sam pan powiedział, że on ogranicza... liczbę wariantów.

— Słucham?

— Nie, nic. Myślałem tylko... zresztą mniejsza o to. Widzi pan, on wie, za czym się nie rozglądać. Wie, że urna była bardzo ciężka, że musiała zostać przewieziona jakimś środkiem transportu. Staje do poszukiwań wiedząc więcej niż to, co zawierają dzienniki.

— Nie wiedzieliśmy o tym.

— On wie o tym doskonale.

— Po ciemku niewiele mu z tego przyjdzie.

— Niech pan spojrzy za okno — powiedział Adrian. Na dworze szarzało pierwsze

światło brzasku. — Niech mi pan opowie o tamtym człowieku. Tym handlarzu.

— Leinkrausie?

— Tak. Jaki był jego związek z tą sprawą?

— Nikt nie zna odpowiedzi na to pytanie. Nawet Francesca tego nie wie.

— Francesca?

— Moja siostra. Po śmierci moich braci ona jest najstarszym członkiem rodziny. Ona otrzymała kopertę...

— Kopertę? Jaką kopertę?

— Z instrukcjami pańskiego dziadka.

“Dlatego też, gdyby Alfredo okazał się nie najstarszy, szukajcie starszej siostry, jak to jest we zwyczaju u włoskich Szwajcarów”.

Adrian rozłożył kartki testamentu ojca. Jeśli takie okruchy prawdy zachował w swej pamięci z taką precyzją przez tyle lat, to należało przwiązywać większą wagę do jego na pozór oderwanych wspomnień.

— Moja siostra mieszka w Champoluc od czasu wyjścia za mąż za Capomontiego. Znała rodzinę Leinkrausów lepiej niż ktokolwiek z nas. Stary Leinkraus umarł w swoim sklepie. W czasie pożaru. Mówiło się, że może to nie był wypadek.

— Nie rozumiem.

— Leinkrausowie byli Żydami.

— Ach tak. Niech pan mówi dalej. — Adrian przełożył kilka kartek.

“Handlarz nie był lubiany... był Żydem i dla człowieka, który zawzięcie walczył z... taki sposób myślenia był nie do przyjęcia”.

Goldoni podjął opowieść. Na człowieka, który miał się zjawić w Champoluc i mówić o żelaznej skrzyni, dawno zapomnianej wyprawie w góry i starej polance przy torach kolejowych, czekała koperta złożona w depozycie u najstarszego członka rodziny Goldonich.

— Musi pan mnie zrozumieć — przerwał sam sobie kaleka. — Teraz wszyscy jesteśmy jedną rodziną, Capomonti i Goldoni.

Minęło tyle lat i gdy nikt się nie zjawiał, zaczęliśmy o tym między sobą rozmawiać.

— Nie nadążam za panem.

— Koperta kierowała tego, kto się zjawi w Champoluc, do starego Capomontiego...

Adrian przełożył kartki z powrotem. “Gdyby miał jakieś tajemnice do pozostawienia w Champoluc, stary Capomonti byłby dla niego najpewniejszą ostoją, gwarancją ich dochowania”.

— Przed śmiercią stary Capomonti wezwał zięcia, Lefraca, i przekazał mu to, co

wiedział.

— A więc Lefrac wie, gdzie jest urna!

— To było tylko jedno słowo. Nazwisko Leinkraus. Fontine poderwał się w krzesło. Zastygł bez ruchu na brzegu, nie bardzo wiedząc, co właściwie go tak poruszyło. A jednak coś zaczęło mu świtać. Jak podczas długiego, trudnego przesłuchania w centrum jego uwagi znalazły się oderwane zdania i poszczególne słowa nie mające na pozór żadnego znaczenia, a które teraz nagle go nabrały.

Słowa. Trzymaj się słów, tak jak Andrew trzymał się gwałtu i przemocy.

Przebiegł szybko wzrokiem kartki wspomnień ojca, przerzucając je jedna za drugą, aż znalazł to, czego szukał.

“Majaczy mi w pamięci jakieś nieprzyjemne zajście... nie przypominam sobie dokładnie, o co chodziło... coś poważnego, co wywołało gniew mojego ojca... gniew pełen smutku... niejasne wrażenie, że szczegóły zatajono przede mną”.

Zatajono. Gniew. Smutek.

“...wywołało gniew mojego ojca”.

— Goldoni, niech pan słucha uważnie. Musi pan się cofnąć pamięcią. Daleko. Był jakiś wypadek. Nieprzyjemny, smutny, budzący gniew. Ten wypadek miał coś wspólnego z rodziną Leinkrausów.

— Nie.

Adrian urwał. Beznogi Goldoni nie pozwolił mu nawet dokończyć.

— Co nie? — spytał cicho.

— Już panu mówiłem. Prawie w ogóle ich nie znałem. W całym życiu zamieniłem z nimi może kilka słów.

— Dlatego że byli Żydami? Takie tu w tamtych czasach panowały zwyczaje na północną modłę?

— Nie rozumiem.

— Mam wrażenie, że jednak pan rozumie — odparł Adrian patrząc mu prosto w oczy. Stary przewodnik umknął wzrokiem w bok. — Mógł pan ich nie znać, może nawet w ogóle — ciągnął dalej cicho. — Ale po raz pierwszy pan kłamie. Dlaczego?

— Nie kłamie. Oni nie byli przyjaciółmi Goldonich.

— Ani Capomontich?

— Ani Capomontich!

— Nie lubiliście ich?

— Nie znaliśmy ich! Trzymali się z dala od innych. Osiedlili się tu następni Żydzi i jak

to Żydzi, żyli we własnym gronie. To wszystko.

— Chyba nie wszystko. — Adrian czuł, że jest o krok od rozwiązania zagadki, uzyskania informacji, z której znaczenia sam Goldoni niekoniecznie musiał sobie zdawać sprawę. — Coś się wydarzyło w lipcu 1920 roku. Co to było?

— Nie pamiętam — powiedział Goldoni z ciężkim westchnieniem.

— Czternastego lipca 1920 roku! Co się wtedy wydarzyło? Goldoni zacisnął potężne szczęki, jego oddech stał się krótszy.

Masywne kikuty, które niegdyś były nogami, drgnęły niespokojnie na wózku inwalidzkim.

— To nie ma żadnego znaczenia — mruknął ledwie dosłyszalnym szeptem.

— Pozwoli pan, że ja to ocenię — powiedział Adrian.

— Czasy się zmieniły. Tyle się zmieniło w ciągu jednego życia — powiedział stary przewodnik łamiącym się głosem. — Wszyscy czuli to samo.

— Czternastego lipca 1920!!! — krzyknął Adrian, przyciskając do muru swego świadka.

— Mówię panu, że to nie ma żadnego znaczenia!

— Mów pan, do jasnej cholery! — Adrian zerwał się z krzesła. Uderzenie starego bezradnego kaleki nie wchodziło w rachubę. I wtedy usłyszał ciche słowa.

— Pobito pewnego Żyda. Młodego Żyda, który wszedł do szkoły parafialnej... Pobito go. Trzy dni później umarł.

A więc stary przewodnik wydusił to wreszcie z siebie. Ale jeszcze nie wszystko. Fontine cofnął się o krok od jego wózka.

— Syna Leinkrausa? — spytał.

— Tak.

— W szkole parafialnej?

— Nie mógł pójść do szkoły państwowej. Tylko tam mógł się uczyć. Księża go przyjęli.

Fontine usiadł powoli, nie spuszczając wzroku z Goldoniego.

— To jeszcze nie wszystko, prawda? Kto go pobił?

— Czterech chłopców z wioski. Nie wiedzieli, co robią. Wszyscy tak uważali.

— Pewnie, bo to najłatwiej. Nieświadome dzieci, które trzeba chronić. A cóż w końcu znaczyło życie jednego Żyda?

Oczy Alfreda Goldoniego wypełniły się łzami.

— Właśnie.

— Pan był jednym z tych chłopców, prawda? Goldoni bez słowa skinął głową.

— Chyba wiem, co potem nastąpiło — ciągnął Adrian. — Leinkrausowi zagrożono, że to samo może spotkać jego żonę, inne dzieci. Nie pisał słowa, o niczym nie doniósł. Pewien młody Żyd po prostu umarł, to wszystko.

— To było tyle lat temu — szepnął Goldoni przez łzy spływające mu po twarzy. — Dziś nikt już tak nie myśli. A my musieliśmy żyć z tym, cośmy zrobili. Im bliżej śmierci, tym mi z tym ciężej. A grób o krok.

Adrian zachłysnął się powietrzem, jakby słowa Goldoniego ugodziły go prosto w pierś. “A grób o krok”... Grób. Wielki Boże! Czy to to?! Miał ochotę zerwać się z krzesła i wykrzyknąć pełnym głosem swe pytania, aż beznogi przewodnik wszystko sobie przypomni. Wszystko! Dokładnie! Lecz przecież nie mógł tego zrobić.

— Co było potem? — spytał cicho, dociekliwie. — Co zrobił Leinkraus?

— Co zrobił? — Goldoni wzruszył powoli ramionami gestem pełnym smutku. — A cóż mógł zrobić. Siedział cicho.

— Czy urządził pogrzeb? Pochował swego syna?

— Jeśli odbył się jakiś pogrzeb, to my nic o tym nie wiedzieliśmy.

— Przecież jego syn musiał zostać pochowany. Żaden chrześcijański cmentarz nie przyjąłby Żyda. Czy był tu jakiś cmentarz żydowski?

— Nie, wtedy jeszcze nie było. Teraz już jest.

— Ale wtedy? Co było wtedy? Gdzie został pochowany? Gdzie został pochowany zamordowany syn Leinkrausa?

Goldoni drgnął, jakby został uderzony w twarz.

— Mówiono, że ojciec i bracia, mężczyźni z rodziny, zabrali ciało zmarłego w góry. Żeby uchronić zwłoki chłopca przed dalszym zbezczeszczeniem.

Adrian wstał w krzesła. Oto była odpowiedź.

Grób Żyda. Urna z Salonik.

Savarone Fontini-Cristi odnalazł w wiejskiej tragedii pewną wieczną prawdę. I wykorzystał ją. W końcowym rozrachunku nie pozwalając świątobliwym mężom zapomnieć.

raul Leinkraus dobiegał pięćdziesiątki, był kupcem tak jak jego dziadek, ale kupcem z innych czasów. Niewiele potrafił powiedzieć o swym dziadku, którego prawie w ogóle nie pamiętał, ani o okresie poniżeń i strachu, których sam nigdy nie zaznał. Ale był człowiekiem bystrym, uosobieniem prężnego rozwoju firmy, który był jego dziełem. Szybko pojął wagę i słuszność powodów, które sprowadziły do niego Adriana.

Leinkraus zabrał go do biblioteki, z dała od żony i dzieci, i zdjął z półki rodzinną Torę.

Całą wewnętrzną stronę tylnej okładki pokrywał jakiś rysunek. Była to bardzo dokładna mapa z zaznaczoną drogą do grobu pierworodnego syna Reuvena Leinkrausa pochowanego w górach siedemnastego lipca 1920 roku.

Adrian odrysował ją w najdrobniejszych szczegółach, po czym porównał kopię z oryginałem. Była wierna. Miał swoją ostatnią przepustkę. Dokąd go miała zaprowadzić, wiedział dokładnie. Do czego — tego wiedzieć nie mógł.

Zwrócił się do Leinkrausa z ostatnią prośbą. Telefon do Londynu, za który, oczywiście, zapłaci.

— Pański dziadek poniósł wszystkie opłaty, jakie ten dom może przyjąć. Proszę dzwonić.

— Proszę nie wychodzić, chciałem, żeby pan słyszał, o czym będę rozmawiał.

Połączył się z Savoyem w Londynie. Prośba nie była skomplikowana. Chciał, aby po otwarciu ambasady amerykańskiej recepcja przekazała wiadomość dla pułkownika Tarkingtona z Inspektoratu Generalnego Armii. Gdyby nie było go w Londynie, ambasada będzie wiedziała, jak się z nim skontaktować.

Pułkownik Tarkington miał zostać skierowany do niejakiego Paula Leinkrausa mieszkającego w Champoluc, w Alpach Włoskich. Wiadomość miała zostać podpisana — Adrian Fontine.

Wyruszał w góry w pościg, ale nie miał złudzeń. W ostatecznym rozrachunku nie był rywalem dla żołnierza. Jego gest może się okazać właśnie tym — daremnym gestem. I bardzo możliwe, że samobójczym. To także rozumiał.

Świat doskonale poradzi sobie bez niego. Nie był żadną osobistością, choć lubił myśleć, że posiada pewne uzdolnienia. Ale nie był pewien, jak świat sobie poradzi, jeśli Andrew opuści Champoluc z zawartością żelaznej skrzyni przywiezionej tu ponad trzydzieści lat temu pociągiem z Salonik.

Gdyby tylko jeden z braci zszedł z gór, i okazał się nim morderca z Korpusu Oko, ktoś musiał go schwytać.

Po odłożeniu słuchawki, Adrian spojrzął na Paula Leinkrausa.

— Kiedy pułkownik Tarkington skontaktuje się z panem, proszę mu dokładnie opowiedzieć wszystko, co zdarzyło się tu dziś rano.

Skinął głową Leinkrausowi, który odprowadził go do samych drzwi, otworzył drzwiczki fiata i wskoczył do środka. Zauważył, że na skutek podniecenia wysiadając zostawił kluczyk w stacyjce. Była to nieostrożność, jakiej żaden żołnierz nigdy by nie popełnił.

Pod wpływem tej konstatacji pochylił się w prawo i otworzył drzwiczki schowka pod

tablicą rozdzielczą. Wsunął rękę do środka i wyjął ciężki czarny pistolet z wymiennym magazynkiem. Mechanizm ładowania objaśnił mu Alfredo Goldoni.

Włączył silnik i opuścił szybę, gdyż nagle wydało mu się, że nie ma czym oddychać. Chwytał powietrze szybkimi, urywanymi haustami, serce podeszło mu do gardła. I wtedy naszło go wspomnienie.

Strzelał z pistoletu tylko raz w życiu. Przed wielu laty, w czasie jakiegoś obozu w New Hampshire, kiedy wychowawcy zabrali ich na strzelnicę miejscowego posterunku policji. Jego brat stał obok niego i zaśmiewali się wspólnie, radośnie podniecone dzieci.

Gdzie się podział ten śmiech?

Gdzie się podział tamten brat?

Ruszył obsadzoną drzewami ulicą, po czym skręcił w lewo, na drogę prowadzącą na północ, w góry. Wysoko na niebie tarcza wczesnego słońca skryła się za zasłonę gęstniejących chmur.

Niebo było gniewne.

Dziewczyna krzyknęła przeraźliwie i pośliznęła się na skale; jej brat odwrócił się błyskawicznie i chwycił ją za rękę, ratując przed upadkiem. Uskok miał nie więcej niż sześć metrów i Andrew pomyślał, że może powinien rozerwać im ręce i pozwolić jej spaść. Gdyby złamała nogę czy skrzyła ją w kostce, nie zdołałby nigdzie dotrzeć, a już z całą pewnością nie udałoby jej się wrócić szlakami do płaskiego miejsca i biegnącej dołem drogi. Mieli teraz do niej już dwadzieścia kilometrów. Cały początkowy odcinek trasy pokonali jeszcze tej nocy.

Andrew mógł sobie darować przeszukiwanie terenów leżących wokół tego początkowego odcinka wyprawy sprzed pięćdziesięciu lat. Ktoś inny prowadzący te poszukiwania nie mógłby tego zrobić — on tak. On potrafił czytać mapy tak, jak większość ludzi czyta proste książki. Z ich symboli, barw i cyferek potrafił odtworzyć sobie przed oczami teren z dokładnością aparatu fotograficznego. Nikt w całej armii nie mógł się z nim równać. Był mistrzem w posługiwaniu się wszystkim co realne — od ludzi i maszyn do map.

Szczegółowa mapa rejonu Champoluc używana przez alpinistów pokazywała, że linia kolejowa z Zermattu zakręcała ostro na zachód wokół krzywizny gór. Dopiero na osiem kilometrów przed stacją w Champoluc zaczynała znów biec prosto. Tereny bezpośrednio na wschód do końcowego, płaskiego odcinka torów były przez cały rok intensywnie uczęszczane przez alpinistów. Tamtędy właśnie biegły pierwsze szlaki opisane w dzienniku Goldoniego. Nikt, kto chciałby ukryć coś cennego, nie mógł ich brać pod uwagę.

Natomiast nieco dalej na północ, u początku szerokiego zakola torów, było kilka starych polanek dających początek licznym szlakom wyraźnie opisanym na kartkach, które wydarł z dziennika Goldoniego, a odnoszących się do czternastego i piętnastego lipca 1920 roku. Każdy z tych szlaków mógł być właśnie tym, którego poszukiwali. Kiedy obejrzy je w świetle dziennym i przeanalizuje wszystkie możliwości, zdecyduje, którym podążać dalej.

Selekcję tę przeprowadzi na podstawie faktów. Po pierwsze: wielkość i ciężar urny wymagały użycia do jej transportu maszyn lub zwierząt. Po drugie: pociąg z Salonik odbył podróż w grudniu, a więc w okresie, gdy panuje tu dominujący mróz i przełęcz górskie zasypane są śniegiem. Po trzecie: wiosenne i letnie roztopy, w czasie których masy pędzącej wody powodują silną erozję gleby, wymagały, aby urnę ukryć w wyższych partiach lub na wyniosłości terenu otoczonej dla bezpieczeństwa litą skałą. Po czwarte: miejsce to musi leżeć z dala od uczęszczanych terenów, znacznie powyżej typowych tras, musi do niego prowadzić jakaś boczna ścieżka, możliwa do przebycia przez zwierzę czy pojazd. Po piąte: ścieżka ta musi

brać swój początek z takiego miejsca torów, gdzie pociąg mógł się zatrzymać, a więc na odcinku biegnącym w obie strony płasko i prosto. Po szóste: ta konkretna polanka, porzucona lub nadal używana, musi łączyć się z którymś z krzyżujących się szlaków opisanych w dzienniku Goldoniego. Prześledzenie połączeń każdego z tych szlaków z torami i możliwości pokonania go — przy mrozie i śniegu przez zwierzę lub pojazd — powinno dalej redukować liczbę wchodzących w grę ścieżek tak, aż pozostanie tylko jedna — ta prowadząca do kryjówki.

Miał czas. Gdyby zaszła potrzeba, mógł ciągnąć poszukiwania nawet wiele dni. W plecaku niósł zapasy żywności na cały tydzień. Ten ogryzek człowieka, Goldoni, ta Capomonti, ten Lefrac i cała jego rodzina, wszyscy byli zbyt przestraszeni, żeby cokolwiek zrobić. Zabezpieczył się fantastycznie. W każdej walce to, co pozostaje poza zasięgiem wzroku, działa zawsze znacznie skuteczniej niż to, co się widzi na własne oczy. Powiedział wystraszonemu Szwajcarom, że ma w Champoluc współpracowników, którzy będą baczenie ich obserwować i przekażą mu wiadomość w góry, gdyby ktokolwiek skontaktował się z policją. Nawiązywanie łączności to dla żołnierzy chleb powszedni. A skutkiem nawiązania łączności byłoby rozstrzelanie zakładników.

Obecność Korpusu Oko była grą jego fantazji. Korpusu Oko takiego, jakim był niegdyś — sprawnego, silnego, zdolnego do błyskawicznych operacji.

Pewnego dnia stworzy nowy Korpus Oko, silniejszy, sprawniejszy, bez żadnych słabych punktów. Odnajdzie urnę z Salonik, wyniesie dokumenty z gór, wezwie świątobliwych mężów i popatrzy sobie na wyraz ich twarzy, kiedy będzie im opisywał rychły, nieunikniony, totalny upadek reprezentowanych przez nich instytucji.

“...Zawartość tej urny może wstrząsnąć całym cywilizowanym światem jak jeszcze nie w jego historii”...

To krzepiące. Nie mogła się znaleźć w lepszych rękach.

Znajdowali się teraz na płaskim terenie, nie więcej niż półtora kilometra od pierwszego wzniesienia na zachodzie. Dziewczyna osunęła się na kolana, zanosząc łkaniem. Jej brat spojrzał na niego wzrokiem, w którym malowała się nienawiść, strach i błaganie. Andrew miał zamiar zabić oboje, ale jeszcze nie teraz. Zakładników należy się pozbywać dopiero wtedy, kiedy spełnią zadanie.

Tylko głupcy zabijali bez zastanowienia. Śmierć to tylko narzędzie, jeden ze środków do celu. Nic więcej.

Adrian skręcił z drogi w bok i pojechał na przełaj przez pole. Usłyszał, jak podwozie zgrzyta po kamieniach. Dalej nie mógł jechać, dotarł do pierwszego z kilku schodkowanych wzgórz prowadzących do pierwszego tarasu z planu Leinkrausa. Znajdował się teraz niemal

czternaście kilometrów na północ od Champoluc. Grób leżał dokładnie osiem kilometrów od pierwszej z górskich platform stanowiących punkty orientacyjne na drodze do miejsca pochówku.

Wysiadł z samochodu i ruszył pieszo przez łąkę porośniętą wysoką trawą. Podniósł wzrok. Znajdujące się przed nim wzgórze wyrastało z ziemi raptownie, wyrzuczone ponad jej powierzchnię nagłym kaprysem natury, pokryte raczej skałami niż roślinnością. Nigdzie nie można było dostrzec wyraźnej ścieżki prowadzącej na szczyt. Ukląkł i z całych sił zasznurował buty na grubych gumowych podszewkach. Pistolet w kieszeni płaszcza mocno mu ciążył.

Przymknął na moment oczy. Nie wolno myśleć! O Boże, pozwól nie myśleć!

Teraz musiał skupić się wyłącznie na ruchu. Wstał z kolana i rozpoczął wspinaczkę.

Przebiegające pierwsze dwie polanki przy torach opadły. Nie było mowy, żeby jakiegokolwiek zwierzę czy pojazd mogły pokonać trasę od linii kolejowej z Zermattu do wschodnich zboczy. Pozostały jeszcze dwie. Na starej mapie rejonów Champoluc nosiły nazwy Kaprys Myśliwego i Wieżycy Wróbla. Ani śladu sokoła. A jednak musi to być jedna z nich!

Andrew spojrział na swoich zakładników. Brat i siostra siedzieli obok siebie na ziemi i rozmawiali cichym, wystraszonego szeptem, rzucając mu co chwila nerwowe spojrzenia. W tych spojrzeniach nie było już nienawiści, pozostały tylko strach i błaganie, pomyślał, że jest w nich coś odrażającego i po chwili uzmysłowił sobie co. Po drugiej stronie świata, w dżunglach Azji Południowo-Wschodniej ludzie w ich wieku walczyli, żyli z bronią przerzuconą przez plecy mundurów, które wyglądały jak piżamy. Tamci byli jego wrogami, ale dla tych wrogów czuł szacunek.

W stosunku do tych dzieciaków nie odczuwał nic takiego. W ich twarzach nie było nawet śladu siły. Tylko strach, a strach był dla majora z Korpusu Oko czymś szczególnie odrażającym.

— Wstawać! — Nie mógł się powstrzymać. Widok rozpieszczonych, słabych szczeniaków bez cienia godności na twarzy zmusił go do gniewnego krzyku.

Chryste, jak on nie cierpiał mięczaków!

Ich brak nie będzie żadną stratą.

Adrian zerknął z przełęczy na pozostawioną w tyle platformę, dziękując w duchu staremu Goldoniemu za parę rękawic, które ten mu podarował. Nawet gdyby było zupełnie ciepło, gołe ręce i palce zmieniłyby się w otwarte rany. Nie dlatego, by trasa była wyjątkowo trudna. Komuś nawykłemu do wysiłku choćby minimalnego w górach musiała wydać się łatwa. Ale Adrian w górach bywał tylko na nartach, kiedy to całą wspinaczkę wykonywały za niego

wyciągi i kolejki linowe. Teraz korzystał z rzadko używanych grup mięśni, nie miał też zbytniego zaufania do swego zmysłu równowagi.

Najtrudniejsze było ostatnie kilkaset metrów. Szlak z planu Leinkrausa miał punkty orientacyjne — szare skały u podnóża skarpy jakiegoś łupka krystalicznego, o którym każdy alpinista wiedział, że należało go omijać z daleka, gdyż łatwo pęka. Skarpa przechodziła w urwisko, wznoszące się na trzydzieści metrów, z wyraźnie *zaznaczoną* krawędzią. Na lewo od krystalicznej ściany pojawiła się nagle gęstwa alpejskich drzew wyrastających pionowo ze zbocza. Zbity las otoczony ze wszystkich stron skałami. Na planie Leinkrausa szlak biegł w odległości dziesięciu kroków od skarpy i prowadził na szczyt zalesionego zbocza, stanowiącego drugą platformę — metę drugiego odcinka wspinaczki.

Ale nigdzie nie można go było znaleźć. Ścieżka po prostu zniknęła, nieużywana i poprzrastana roślinnością. A jednak ponad wierzchołkami drzew szczyt był widoczny.

Zapuścił się w gęste alpejskie poszycie i zaczął się pięć, metr za metrem, w górę stromizny, przedzierać przez splątane krzaki i gałęzie sosen o igłach z łatwością przebijających skórę.

Na szczycie usiadł, dysząc ciężko i masując obolałe od nieustannego wysiłku ramiona. Oceniał, że odległość od pierwszego tarasu musi wynosić co najmniej pięć kilometrów. Pokonanie ich zajęło mu trzy godziny. Półtora kilometra na godzinę, przez skały i miniaturowe wąwozy, lodowate strumienie i wciąż w górę nie kończących się zboczy. Tylko pięć kilometrów. Jeśli tak, to pozostały mu jeszcze trzy, może mniej. Spojrzał w niebo. Cały ranek się chmurzyło. Nic nie zapowiadało zmian w ciągu dnia. Niebo nad głową wyglądało tak jak niebo nad North Shore przed sztormem.

Kiedyś wypływali wspólnie w sztormową pogodę. Cieszyli się jak dzieci, gdy udało im się ją okpić, gdy pewni swych żeglarskich umiejętności stawili czoło ulewom i wiatrom.

Nie, nie wolno było o tym myśleć. Wstał i spojrzał na swoją kopię planu Leinkrausa, przerysowanego z wewnętrznej strony okładki rodzinnej Tory.

Na planie wszystko wydawało się jasne, w terenie, który się tu rozciągał — znacznie mniej. Widział cel, trzeci taras wznoszący się samotnie na północnym wschodzie ponad morzem świerków alpejskich, ale grzbiet, na którym się znajdował, skręcał w prawo, na wschód, i prowadził do podnóża następnej góry, w bok od jakiegokolwiek bezpośredniej linii łączącej go z trzecim tarasem. Przeszedł wokół skalną półką poza granicę ciemnego lasu, którym się tu wspinał. Zbocze poniżej było stromym urwiskiem, a skały u jego podnóża wyrastały jak spieniona kamienna rzeka. Według planu ścieżka powinna biec tą skalną półką z jednego lasu do następnego. Nie zaznaczono na nim żadnych przecinających ją urwisk.

Od czasu kiedy ostatni członek rodziny Leinkrausów odbył wyprawę do grobu, musiały nastąpić jakieś geologiczne zmiany. Nagły kaprys natury — wstrząs czy lawina — zniszczył fragment szlaku.

Mimo to widział następny taras. Dziеляcy go od niego teren wydawał się nie do przejścia, ale kiedy go już pokona, zdoła z pewnością wypatrzyć krętą ścieżkę na wyższych partiach przeciwległego zbocza wiodących już bezpośrednio do tarasu. Trudno było przypuszczać, żeby i tam teren uległ jakimś poważniejszym zmianom. Zjechał w dół urwiska do rzeki kamienia i starając się za wszelką cenę nie dopuścić, by noga ześliznęła mu się w którąś z setek miniaturowych rozpadlin, *zaczał* niezdarnie piąć się w kierunku świerkowego lasu.

Trzecia polanka była tą, o którą chodziło! Kaprys Myśliwego! Miejsce dawno porzucone, ale niegdyś idealne do odebrania urny z pociągu. Ścieżka z gór do linii kolejowej z Zermattu była do przebycia, teren wokół torów płaski i łatwo dostępny. Z początku nie był tego taki pewien. Tory przy polance biegły co prawda w obie strony płasko, ale tylko na krótkim odcinku, przechodząc natychmiast w zakręt. I wtedy przypomniał sobie, co powiedział ojciec. Skład z Salonik był krótki — parowóz i cztery wagony. Taki skład dałoby się z łatwością podciągnąć do zakrętu i ustawić w linii prostej. Bez względu na to, w którym wagonie znajdowała się urna, można ją było bez trudu wyładować.

O tym, że znalazł się blisko celu, ostatecznie przekonało go niespodziewane odkrycie. Po zachodniej stronie torów dostrzegł niewątpliwe ślady dawno zapomnianej drogi. Przecinka w lesie rysowała się zupełnie wyraźnie, porastające ją teraz drzewa były niższe od otaczających, posycie mocniej przyciśnięte do ziemi. Oczywiście dziś nie była to droga, nawet nie ścieżka, ale kiedyś tak.

— Lefrac! — krzyknął na osiemnastolatka. — Co jest tam? — Wskazał na północny zachód, gdzie przecinka zaczynała opadać w dół.

— Wioska. Jakies osiem, dziewięć kilometrów stąd.

— Ta linia kolejowa przez nią nie przechodzi?

— Nie, proszę pana. To wioska na terenach rolniczych, poniżej gór.

— Jakie drogi do niej dochodzą?

— Główna z Zurychu i...

— Dobra, starczy. — Przerwał chłopakowi z dwóch powodów. Po pierwsze, usłyszał już to co trzeba, a po drugie, sześć metrów od niego dziewczyna podniosła się z ziemi i przesuwała ukradkiem w stronę lasu po wschodniej stronie torów.

Fontine wyjął pistolet i pociągnął dwa razy za spust. Huk wystrzałów zadudnił echem

między ścianami lasu; kule wzbily fontanny ziemi po obu stronach dziecka. Dziewczynka przerażona krzyknęła. Jej brat rzucił się na niego ze łzami wściekłości w oczach; Fontine uchylił się i rąbnął chłopca lufą pistoletu w bok głowy.

Syn Lefraca upadł na ziemię. Ciszę zapomnianej polanki przy torach zmaćił szloch bezsilnej wściekłości.

— Jesteście więcej warci, niż przypuszczałem — powiedział chłodno Andrew, podnosząc wzrok i zwracając się do dziewczyny. — Pomóż mu, nic mu nie będzie. Wracamy.

“Daj pojmanym nadzieję” — upomniał sam siebie. Im byli młodszy i mniej doświadczony, tym więcej jej potrzebowali. Nadzieja łagodziła strach, który miał fatalny wpływ na szybkość posuwania się do przodu. Strach to też tylko narzędzie, tak samo jak śmierć. Należało sprawnie nim się posługiwać.

Po raz drugi prześledził szlak biegnący od linii kolejowej z Zermattu. Teraz był już zupełnie pewien. Nie znalazł nic, co uniemożliwiłoby zwierzęciu czy pojazdowi mechanicznemu jego pokonanie. Pozbawiony przeszkód, biegł w większości po twardym gruncie. A co najważniejsze, prowadził przez teren wznoszący się bezpośrednio ku wschodnim zboczom i łączył się ze szlakami opisanymi na wyblakłych stronach starego dziennika. Ziemię pokrywał puszysty śnieg i wiele warstw szronu. Z każdym krokiem instynkt żołnierza coraz głośniejsze podpowiadał mu, że zbliża się do strefy wroga. Tak to właśnie traktował.

Dotarli do pierwszego krzyżującego się szlaku, opisanego przez przewodnika z rodziny Goldonich pod datą “14 lipca 1920, rankiem”. Po prawej stronie ścieżka zakręcała ostro w dół i nikała w jakimś lesie, zbitej ścianie ciemnej zieleni ozdobionej koronkowym białym dachem. Z tej odległości zupełnie nieprzeniknionej.

Górski las potencjalnie mógł stanowić kryjówkę. Dla niedzielnego alpinisty mało kuszący, a dla doświadczonego mało ciekawy. Jednakże był to las i ziemia — nie skała, czyli coś nie do przyjęcia. Urnę musiała chronić lita skała.

Po lewej szlak piął się w górę, wijąc się zakosami ku zboczom niewielkiego wzniesienia. Sam szlak był szeroki, biegł po kamieniach, z obu stron okalała go roślinność. Nieco dalej z prawej strony ścieżki wznosiły się ostro ogromne głazy, tworzące urwisty nawis ciężkich skał. Lecz nadal pozostawało dość miejsca dla zwierzęcia czy pojazdu; ciągłość połączenia z linią kolejową z Zermattu nie została przerwana.

— Ruszać się! — krzyknął, wskazując ręką w lewo. Dzieci Lefraca spojrzały po sobie. Droga do Champoluc — droga powrotna do domu — biegła w prawo. Dziewczyna chwyciła brata za rękę. Fontine podszedł o krok, rozerwał uchwyt i popchnął dziewczynę przed siebie.

— Proszę pana! — krzyknął chłopiec, wchodząc między nich i unosząc złożone na płask, chłopięce dłonie w stronę Fontine'a, jakby chciał tą tarczą — jakże łatwą do sforsowania — zasłonić siostrę. — Niech pan tego nie robi — wyjąkał cichym, łamiącym się z wściekłości głosem, rzucając wyzwanie własnemu strachowi.

— Idziemy — rozkazał stanowczym głosem. Nie miał czasu na dyskusje z dziećmi.

— Słyszysz pan?!

— Słyszę. Idziemy!

U zachodniego krańca wzniesienia wiodący w górę szlak nagle zwężał się i wciskał w łukowato sklepiony korytarz, ogromną naturalną arkadę ze skalnych bloków, wychodzącą na wprost na wzgórze o zboczu z jednej ściany litej skały. Geologicznie uformowana arkada była nie tylko konsekwentnym przedłużeniem szlaku. Ściana skalna, do której prowadziła, musiała stanowić nieodpartą pokusę dla każdego początkującego alpinisty. Można ją było zdobyć bez wielkiego wysiłku, ale swą szerokością i wysokością budziła grozę na tyle, by stanowić dobrą zaprawę przed wspinaczką w wyższe partie gór. Idealna dla rozentuzjasmowanego siedemnastolatka pod czujnym okiem przewodnika i ojca.

Ale skalny korytarz był rzeczywiście wąski, jego podłoga zbyt gładka, zwłaszcza przy dużych opadach śniegu. Jakieś zwierzę, muł czy koń, mogło się tędy precyzyjnie przesuwać, ale ryzyko, że któreś z kopyt mu się przy tym obsunie, było bardzo duże.

O tym, żeby mogła przejechać tędy jakaś maszyna, nie było nawet mowy.

Andrew odwrócił się i jeszcze raz dokładnie przejrzał podejście, które właśnie pokonali. Nie dostrzegł żadnych innych ścieżek, ale trzydzieści metrów wcześniej, po lewej stronie, fragment terenu był dość płaski i porośnięty niskimi krzakami alpejskiej roślinności. Ciągnął się do niewielkiej skalnej ściany sięgającej szczytu wzniesienia. Ta ściana, niewielkie urwisko, nie miała więcej niż sześć metrów wysokości i była niemal przesłonięta zaroślami i gałęziami skręconych drzew wyrastających ze szczelin w skale. Teren pod nią był płaski. Wszędzie dokoła piętrzyły się naturalne przeszkody, ale tam, w tym jednym miejscu ich nie było.

— Idźcie tam! — rozkazał młodym Lefracom zarówno po to, by mieć ich na oku, jak i dla uzyskania właściwych proporcji tego miejsca. — Na ten płaski teren między skałami! Rozsuńcie krzaki i wejdźcie najdalej, jak możecie!

Zszedł ze ścieżki i przesunął wzrokiem po szczycie wzniesienia. Też był płaski lub przynajmniej sprawiał takie wrażenie. I jeszcze coś, co być może dawało się zauważyć wyłącznie z tego miejsca, w którym właśnie stanął. Ten szczyt miał... wyraźny kształt. Jego krawędź, choć poszarpana, tworzyła niemal doskonałe półkole. Jeśli ta linia zataczała swój łuk także i dalej, to ten szczyt był czymś w rodzaju małej ustronnej platformy na niewielkim,

nieistotnym wzniesieniu, górującym jednak nad wszystkimi niższymi alpejskimi wzgórzami.

Ocenił wysokość syna Lefraca na około metra siedemdziesięciu.

— Podnieście ręce! — krzyknął.

Wyciągnięte nad głową dłonie chłopca sięgały tuż poniżej połowy wysokości urwiska.

A jeśli do transportu użyto nie zwierząt, ale jakiegoś pojazdu mechanicznego? Maszyny o potężnych kołach i podwoziu, pługa lub traktora? To by było logiczne. Ani na szlaku od torów kolejowych z Zermattu, ani na szlaku z dziennika Gołdoniego nie było takiego miejsca, którego taka maszyna nie mogłaby pokonać. A pługi i traktory wyposażone były w wyciągarki...

— Proszę pana, proszę pana! — To była dziewczyna. Jej krzyk zdradzał dziwne podniecenie, mieszaninę nadziei i desperacji. — Jeśli tego pan szuka, to niech pan nas już puści!

Andrew pędem wrócił na ścieżkę i podbiegł do młodych Lefraców. Przecisnął się szybko przez splątane krzaki do samej skalnej ściany.

— Tam! — krzyknęła ponownie dziewczyna.

W puszystym śniegu okrywającym ziemię, ledwie widoczna przez gałęzie niższych zarośli, leżała stara drabina. Drewno zbutwiało, w kilku miejscach napęczniałe szczelble wyskoczyły z gniazd, ale poza tym była nietknięta. Nie nadawała się już do użytku, ale nie na skutek działania człowieka. Leżała w tych krzakach lata, może nawet dziesięciolecia, wystawiona jedynie na działanie przyrody i czasu.

Fontine ukląkł, dotknął jej, spróbował oderwać ją od ziemi, patrząc, jak kruszy mu się w rękach. *Znalazł narzędzie, z którego ktoś korzystał w miejscu, gdzie żadną miarą nie powinien tego czynić. Teraz już wiedział, że niecałe pięć metrów nad nim...*

Nad nim! *Zdażył jeszcze poderwać głowę, by zobaczyć jakiś niewyraźny przedmiot spadający wprost na niego. Poczul potworne uderzenie. Głowę przeszyły mu błyskawice bólu, po których na jedną chwilę opadła go zupełna ciemność pulsująca dudnieniem setki młotów. Upadł do przodu, ze wszystkich sił próbując otrząsnąć się ze skutków ciosu i odzyskać widzenie.*

— *Fuggi! Presto! In la traccia!* — Chłopiec.

— *Non senza voi! Tu fuggi anche!* — Dziewczyna.

Syn Lefraca *znalazł na ziemi duży kamień. I nienawiść stłumiła w nim strach. Zacisnąwszy prymitywną broń w rękę, uderzył nią z całej siły w głowę żołnierza.*

Światło powracało. Fontine zaczął się podnosić i w tej samej chwili zobaczył rozmazaną dłoń z zacisniętym w niej kamieniem spadającą z rozmachem w dół.

— Ty gnojku! Ty skurwysynu!

Syn Lefraca wypuścił z ręki kamień, rzucając nim w żołnierza, na oślepa, w próbie zadania ostatniego ciosu, i wybiegł spomiędzy oszronionych krzaków na ścieżkę, w ślad za swą siostrą.

Andrew poczuł, że wzbiera w nim fala najwyższej furii. Zdarzyło mu się to może z dziesięć razy w życiu i zawsze w najgorętszym ogniu walki, kiedy wróg zdobywał przewagę, a on nic nie mógł na to poradzić.

Wyczołgał się zza krzaków za krawędź ścieżki i spojrzał w dół. Młodzi Lefracowie pędzili co tchu w piersiach śliskim, krętym szlakiem. Sięgnął pod kurtkę do umocowanej na piersi kabury. Berettę miał w kieszeni. Ale beretta się do tego nie nadawała, była za mało celna. Wyciągnął magnum kalibru 357, kupione w sklepie Leinkrausa w Champoluc. Zakładnicy znajdowali się około czter- dziesiętu metrów od niego. Chłopak chwycił dziewczynę za rękę. Biegli tuż obok siebie, ich sylwetki nakładały się jedna na drugą.

Andrew nacisnął spust osiem razy z rzędu. Oboje upadli, wijąc się na kamieniach. Dobiegły go ich krzyki. W ciągu kilku sekund ucichły i przeszły pojękiwania, gwałtowne konwulsyjne ruchy zmieniły się w słabe, chwiejne drgania. Umrą, choć nie tak od razu. Ale nigdzie dalej już nie pójdą.

Przeczołgał się z powrotem przez zarośla w płaski ślepy zaułek i zdjął z ramion plecak, zsuwając pasy powoli, starając się jak najmniej poruszać krwawiącą głowę. Otworzył plecak, wyjął brezentową apteczkę pierwszej pomocy. Powinien opatrzyć rozciętą skórę i ruszać dalej. Na miłość boską, dalej!

Nie miał już zakładników. Mógłby sobie wmówić, że to nieważne, ale wiedział, że tak nie jest. Zakładnicy byli dla niego przepustką na opuszczenie gór. Tam na dole czekają. Czekają na niego. Jeśli zjawi się sam... to tak, jakby już nie żył! Zabiją go i zabiorą urnę.

Była jeszcze inna droga. Ten mały Lefrac sam mu to powiedział!

Zapomniana droga prowadząca na zachód od zapomnianej polanki zwanej niegdyś Kaprysem Myśliwego! W dół do wioski, przez którą biegła główna droga z Zurychu!

Ale nie zejdzie do tej wioski i drogi prowadzącej do Zurychu, dopóki zawartość urny nie znajdzie się w jego posiadaniu. A cały wrodzony instynkt podpowiadał mu, że właśnie ją *znalazł*.

Jeszcze ostatnie pięć metrów.

Odwinął linę przyzcpioną na zewnątrz plecaka i rozpiął kotwiczkę. Jej zęby zaskoczyły z trzaskiem na miejsce. Podniósł się z ziemi. W skroniach mu dudniło, szczypało go od środka dezynfekującego, ale krwawienie z ran ustało. Znów widział wszystko wyraźnie.

Cofnął się o krok i zarzucił kotwiczkę na krawędź ściany. Zaczepiła się. Szarpnął za linę.

Skała rozłupała się. Odłamki poleciały w dół, a za nimi stoczyło się kilka większych kawałków wapienia. Uskoczył w bok przed spadającą kotwiczką. Wbiła się w ziemię okrytą cienką warstwą śniegu.

Zaklął i jeszcze raz wyrzucił kotwiczkę w górę, wielkim łukiem ponad krawędzią ściany, tak by padła jak najdalej na płaską powierzchnię platformy na szczycie. Pociągnął za linę kilkoma szybkimi szarpnięciami. Kotwiczka trzymała. Szarpnął mocniej — trzymała nadal.

Lina była gotowa — mógł się wspinać. Schylił się, chwycił pasy plecaka i przerzucił je przez ramiona, nie zawracając sobie głowy zapinaniem klamer na piersiach. Po raz ostatni pociągnął za linę — rezultat w pełni go zadowolił. Wyskoczył w górę najwyżej, jak potrafił, chwycił linę i przekładając jedną rękę nad drugą zaczął się szybko piąć, wyciągniętymi do przodu nogami asekurując całe rozkołysane ciało przed uderzeniem w skałę. Przełożył lewą nogę przez poszarpaną krawędź ściany, odpychając się jednocześnie ręką od jakiegoś występu, dzięki czemu wprowadził ciało w poziomy obrót, który przetoczył go przez krawędź na powierzchnię platformy. Zerwał się, szukając wzrokiem miejsca zaczepienia kotwiczki.

I zastygł w bezruchu, osłupiały na widok tego, co ujrzał w odległości trzech metrów przed sobą, pośrodku kamiennej platformy. Czerwieniła się tam rdzą wkuta w skałę metalowa gwiazda: Gwiazda Dawida.

Kotwiczka owinęła się wokół niej i zaczepiła o żelazo.

Miał przed sobą grób.

Usłyszał echo dudniące wśród gór, jakby to były ostre trzaski grzmotów, wielokrotne uderzenia piorunów, które raz za razem przebijały dach lasu nad jego głową i rozłupywały w drzazgi setki drzew wokół niego. Ale nie były to ani grzmoty, ani uderzenia piorunów — to były strzały z broni palnej.

Pomimo mrozu po twarzy Adriana spływały strugi potu i pomimo zalegającego las mroku przed oczami miał natrętne obrazy. Jego brat znów zabijał. Major z Korpusu Oko sprawnie uprawiał swój śmiercionośny proceder. Krzyki towarzyszące strzałom były ledwie słyszalne, stłumione zasłoną lasu, lecz mimo to zupełnie wyraźne.

Dlaczego? Na miłość boską, dlaczego?!

Nie wolno mu myśleć. Nie o tym. Nie teraz. Wolno mu myśleć tylko o jednym — o ruchu. Podjął już kilka prób wydostania się z ciemnego labiryntu, za każdym razem dając sobie dziesięć minut na ujrzanie prześwitu. Dwa razy przedłużył ten czas, bo wzrok płatał mu figle,

lecz i wówczas brnął tylko dalej w leśną ciemność, ciemność bez końca.

Odchodził od zmysłów i to gwałtownie. Znalazł się w mrocznym labiryncie, skąd nie było wyjścia. Grube słupy pni, nie kończące się kłujące ramiona konarów i połamane gałęzie cięły go w twarz i raniły mu nogi. Od jak dawna kręci się w kółko? Nie sposób było powiedzieć. Wszystko jakby już widział. To drzewo! Tę kępę gałęzi musiał obejść niecałe pięć minut temu! Latarka nie była mu pomocna. Miejsca, które oświetlała, wydawały się tak podobne do siebie, że nie potrafił ich odróżnić. Zbłądził w samym środku zbocza porośniętego alpejskim lasem nie do przebycia. Przyroda dokonała zmian szlaku Leinkrausa w ciągu tych dziesięcioleci, jakie upłynęły od czasu ostatniej pielgrzymki rodziny do grobu zmarłego. Obszar letniego topnienia śniegów wydłużył się, łatwy niegdyś do przebycia las nasiąkł wilgocią, nawodniona gleba stała się doskonałym miejscem dla niepohamowanego wzrostu roślinności.

Ale świadomość tego była równie mało przydatna jak i zniekształcone obrazy wydobywane z mroku światłem latarki. Pierwotny odgłos strzałów dobiegł stamtąd. Niewiele miał do stracenia poza resztkami tchu i zdrowych zmysłów. *Zaczął* biec, wciąż słysząc w uszach echo strzałów, które rozległy się ledwie przed kilkoma sekundami.

Im szybciej biegł, tym bardziej wydawało mu się, że udaje mu się zachować linię prostą. Wyrąbował sobie ścieżkę rękami, odginając, łamiąc i odłupując wszystko, co mu stanęło na drodze.

I ujrzał prześwit. Osunął się na kolana, zupełnie bez tchu, nie więcej niż dziesięć metrów od brzegu lasu. Ponad zasłoną gęstych drzew wznosiła się usiana plamami śniegu ściana szarej skały. Wyrastała ponad najwyższe gałęzie, niknąc mu w górze z oczu. Dotarł do trzeciego tarasu.

Tak jak jego brat. Morderca z Korpusu Oko dokonał tego, co stary Goldoni uważał za niemożliwe — wykorzystał dawno zapomniany opis sprzed pół wieku, drobiazgowo to rozpracował i przystosował do prowadzonych obecnie poszukiwań. Był czas, kiedy Adrian byłby z brata dumny. Ten czas jednak minął. Teraz pozostała tylko konieczność powstrzymania go.

Do tej pory próbował o tym nie myśleć, niespokojny, czy zdoła pogodzić się z koniecznością, gdy w końcu ta chwila nastanie. Chwila nie znanej dotąd udręki. Teraz się z nią pogodził. Na chłodno, dziwnie nieporuszony, choć pełen wypranego z emocji smutku. Była to jedyna niezaprzeczalnie logiczna reakcja na horror i chaos.

Zabije swego brata. Albo brat zabije jego.

Podniósł się z ziemi, wyszedł powoli z lasu i odnalazł skalistą ścieżkę *zaznaczoną na*

planie Leinkrausa. Wiła się wokół góry szerokimi zakolami, zmniejszającymi kąt podejścia, zakręcając na całej długości zgodnie z ruchem wskazówek zegara aż do szczytu lub niemalże do szczytu, bo przed samym tarasem zbocze góry przechodziło w pionową skalną ścianę, która, jeśli Paul Leinkraus dobrze pamiętał, była dość wysoka. Odwiedził grób tylko dwa razy — w pierwszym i drugim roku wojny — kiedy był jeszcze bardzo młody. Ściana mogła się okazać nie tak wysoka, jak mu się wydawało, bo były to wspomnienia chłopięce. Ale to, że musieli używać drabiny, by się na nią wdrapać — pamiętał dokładnie.

Leinkraus wyznał, że podniosłość i powaga ostatniej posługi wobec zmarłego kłóciły się z witalnością rozpierającą młodego chłopca. Istniała jeszcze inna droga do platformy na szczycie wzgórza, przez starszych nie brana pod uwagę, ale dokładnie spenetrowana przez wyrostka, który nie okazywał należytego poszanowania dla praktyk religijnych. Znajdowała się na końcu znikającej na pozór ścieżki, spory kawałek za ogromną naturalną arkadą, stanowiącą kontynuację górskiego szlaku. Tworzył ją ciąg poszarpanych głazów sterczących wzdłuż zwężającej się grani, trzeba było tylko sprawnych nóg i gotowości podjęcia ryzyka. Ojciec i starsi bracia ostro go złajali za to, że wspiał się właśnie tamtędy. Upadek byłby groźny. Niekoniecznie śmiertelny, ale urwisko w dole było dość głębokie, żeby złamać rękę czy nogę.

“Złamanie ręki czy nogi teraz — pomyślał Adrian — skończyłoby się śmiercią. Unieruchomiony człowiek stanowi łatwy cel”.

Ruszył w górę ścieżką wijącą się między sterczącymi tu i ówdzie skałami, przychyłony do ziemi, by wykorzystać je jako osłonę. Taras wznosił się sto czy sto dwadzieścia metrów ponad ścieżką, w odległości długości boiska do piłki nożnej. Zaczął prószyć drobny śnieg, kładąc się następną warstwą na cienkiej warstwie bieli pokrywającej już większość skał. Nogi nieustannie mu się ślizgały; utrzymywał równowagę chwytając się gałęzi krzaków i występów nierównych skał.

Dotarłszy do połowy stromizny, wcisnął się tyłem we wklęsłą kamienną rynnę, by nie będąc widzianym złapać chwilę oddechu. Słyszał odgłosy dobiegające znad głowy, tarcie metalu o metal czy też kamienia o kamień. Wskoczył z wgłębienia w skałę i rzucił się pod górę najszybciej, jak się dało, pokonał kolejne cztery zakręty ścieżki, tylko raz padając na ziemię, by dać płucom kilka haustów łączywie chwytanego powietrza, a obolałym nogom szansę odpoczynku.

Wyciągnął z kieszeni plan Leinkrausa i odliczył zakręty ścieżki. Doszedł do wniosku, że osiem ma za sobą. Tak czy inaczej do arkady zaznaczonej na mapie odwróconym “U” pozostało mu nie więcej niż trzydzieści metrów. Uniósł głowę, czując na twarzy mrowienie zimna od wtulenia jej na chwilę w poduszkę ze śniegu i lodu. Przed nim ciągnął się prosty

odcinek szlaku, okolony po obu stronach szarymi, poskręcanyimi krzakami. Według planu za tym odcinkiem były jeszcze dwa ostre zakręty i skalny łuk. Wepchnął plan do kieszeni, trafiając przy tym dłonią na stal broni. Podciągnął pod siebie nogi, przykucnął i rzucił się biegiem dalej.

Najpierw zobaczył dziewczynę. Leżała w krzakach obok ścieżki z nogami sztywno wyciągniętymi, z szeroko otwartymi oczami wpatrzonymi w zachmurzone niebo. Ponad każdym kolanem ziała dziura od kuli, ubranie wokół ran przesiąkło krwią. Trzecia kula trafiła ją powyżej prawej piersi, tuż poniżej obojczyka. Po białej alpejskiej kurtce spływał strumień zakrzepłej krwi.

Żyła, ale znajdowała się takim szoku, że nie mrużyła oczu przed drobinami padającego śniegu. Jej wargi poruszały się, drżały, z kącików ust spływały srużki wody z topniejącego śniegu. Adrian pochylił się nad nią.

Na widok jego twarzy zamrugnęła gwałtownie oczami, które raptem odzyskały ostrość widzenia. Poderwała konwulsyjnie głowę i zanosła się kaszlem, który stłumił próbę krzyku. Delikatnie położył jej na ustach dłoń w rękawiczce, drugą ręką podtrzymując jej głowę.

— Nie jestem nim — szepnął.

W tejże chwili poruszyły się gałęzie krzaku rosnącego tuż nad nimi. Adrian poderwał się na równe nogi, puszczając dziewczynę najdelikatniej, jak się dało, i odskoczył do tyłu. Po śniegu pełzła powoli ręka — to, co z tej ręki zostało. Masa skrwawionego ciała o strzaskanych palcach, wyzierająca spod strzępów rękawicy. Fontine przełazi na czworakach przez dziewczynę i poczołgał się w gąszcz sękatych krzewów, wyłamując przed sobą splecione gałęzie. Chłopiec leżał na brzuchu na posłaniu z dzikiej górskiej trawy. Przez plecy biegła mu ukośnie prosta linia czterech ran postrzałowych, dokładnie w poprzek kręgosłupa.

Adrian przekręcił delikatnie chłopca na bok, tuląc jego głowę do piersi. I znów musiał stłumić szok delikatnym położeniem dłoni na ustach. Ich spojrzenia się zetknęły i w ciągu sekund intencje Adriana zostały odczytane — nie był mordercą. To, że chłopiec mógł w ogóle mówić, zakrawało na cud. Przybierający na sile wiatr całkowicie zagłuszył jego szept, ale Adrian go słyszał.

— *Mia sorella.*

— Nie rozumiem.

— Siostra?

— Jest ranna. Ty też. Zrobię wszystko, co będę mógł.

— *Pacco.* Plecak. On ma plecak. *Medicina.*

— Nic nie mów. Oszczędzaj siły. Plecak?

— *Si!*

“Alpejski plecak nie stanowi zwykłej płataniny pasów i skórzanych pokrowców. To arcydzieło sztuki rzemieślniczej”. Słowa jego ojca.

Chłopiec nie przestawał mówić. Wiedział, że umiera.

— Tam ucieczka. Tory z Zermattu. Wioska. Niedaleko, *signore*. Na północ, niedaleko. Chcieliśmy uciec.

— Ciii... Nic już nie mów. Położę cię koło siostry. Musicie się nawzajem ogrzewać.

Na wpół zaniósł, na wpół zawłókł go po trawie do siostry. Takie dzieci —jego brat był mordercą dzieci. Zdjął płaszcz nieprzemakalny i marynarkę, porwał podszewkę marynarki na paski, by przewiązać rany dziewczyny. Chłopcu niewiele mógł już pomóc, unikał jego wzroku. Przykrył ich płaszczem, przytulił do siebie.

Zatknął ciężki pistolet za pasek pod gruby czarny sweter, wyczołgał się ze schronienia krzaków i pognął ścieżką w górę, do kamiennej arkady. Czuł szczypanie w oczach, ale jego oddech odzyskał miarowość, ból nóg zniknął.

Teraz było już jeden na jednego. Tak jak powinno być.

Huk stał się głośniejszy, przywodził na myśl wściekłe walenie jakimś wielkim młotem. Dobiegał prosto znad jego głowy, znad ściany litej skały, która wystrzelała w górę, okalając od północy niewielki, wyraźnie zarysowany taras. Ziemia u jego stóp była mocno udeptana, śnieg zmieszany z ziemią, odciski butów i połamane gałęzie krzewów tworzyły pod skalnym nawisem półkole. Odłamki skał zdradzały sposób, z jakiego skorzystano, by wejść na górę — zarzucono przez krawędź w górze linę z kotwiczką, przy czym pierwsza czy pierwsze próby skończyły się niepowodzeniem.

W oszronionych, szarych krzakach leżała zbutwiała drabina o wielu wyłamanych szczeblach. Paul Leinkraus dobrze pamiętał. Miała co najmniej sześć metrów, postawiona musiała sięgać nieco powyżej brzegu skalnej ściany, pod którą Adrian właśnie przypadł do ziemi.

“Powierzchnię terenu, na którym znajduje się grób, stanowi właściwie łupek. Pęka łatwo pod uderzeniem kilofa odsłaniając położoną pod spodem ziemię. Trumnę dziecka zakopano w ziemi i pokryto ją cienką warstwą betonu”. Słowa Paula Leinkrausa.

Tam w górze jego brat przebił się przez warstwę betonu opisaną przez Leinkrausa. Walenie ustało; rozległ się brzęk metalowego narzędzia odrzuconego na bok, na jakąś twardą powierzchnię. Duże kawałki betonu posypały się w dół, odrzucane niecierpliwymi kopnięciami nóg, dołączając do odłamków skał walających się po ziemi i wśród krzaków. Adrian poderwał się błyskawicznie i rozpląszczył na ścianie miniaturowego urwiska. Dać się zobaczyć oznaczało dać się zabić.

Deszcz pokruszonego betonu ustał. Adrian zadrzał. Wiedział, że musi działać. Mróz przenikał jego czarny sweter, oddech tworzył mu przed twarzą kłęby pary. Przelotny prószący śnieg przestawał padać. Przez chmury przedarł się promień słońca, ale nie niósł ze sobą ciepła.

Przesuwał się krok za krokiem wokół pionowej ściany do miejsca, gdzie dalszą drogę zagroził mu sterczący wielki głaz, sięgający aż do szczytu góry. Próbując go obejść, stąpnał na porośniętą krzakami, zasypaną śniegiem ziemię.

W tej samej chwili ziemia ustąpiła pod jego nogą. Adrian odskoczył w tył i zastygł w bezruchu obok głazu, skamieniały z przerażenia. Wiatr poniósł w górę odgłos osypujących się kamieni. Usłyszał nad głową kroki — stanowcze, szybkie — i wstrzymał oddech, żeby z nosa ani ust nie wydobyła mu się ni odrobina pary. Odgłos kroków urwał się jak nożem uciął, zapanowała absolutna cisza, zakłócana tylko poszumem wiatru. I po chwili kroki słyhać było

ponownie, lecz już nie tak zdecydowane, wolniejsze. Andrew uspokoił swe obawy.

Adrian spojrział w dół przed siebie. Dotarł do samego końca ścieżki Paula Leinkrausa, teraz była już tylko góra. W dole, poza krawędzią osuwiska i dzikiej trawy otwierał się skalny uskok, szeroka, rozległa szczelina, której pustka oddzielała teren szczytu od wąskiej półki ziemnej po przeciwnej stronie wiodącej ku wyższym rejonom. Przepaść była znacznie głębsza, iż pamiętał to Paul Leinkraus — do uścielających jej dno poszarpanych skał było niemal dziesięć metrów. Starsi bracia i ojciec skarcili chłopca, ale nie przedstawili zbyt realistycznie ryzyka, jakie mu groziło, żeby go nie przerazić i nie wzbudzić w nim strachu przed górami.

Adrian stanął przodem do skały i przywarłszy do szorstkiej powierzchni, centymetr po centymetrze, za każdym razem starannie próbując grunt przed sobą, zaczął przesuwać się dalej, przyciskając pierś i nogi do głazu, czepiając się każdej nierówności, jaką udało się namacać. Po drugiej stronie głazu ciągnęła się wąska półka z bezkształtnie uformowanych skał, prowadząca pod ostrym kątem w górę aż do płaskiej powierzchni tarasu na szczycie.

Nie był pewien, czy uda mu się po niej wspiąć. Mały chłopiec mógł ją pokonać nie ocierając się bezpośrednio ciałem o podstawę sterczącego głazu. Poza tym ciężar chłopca i ciężar dorosłego mężczyzny nie jest taki sam. Adriana mogłaby nie utrzymać.

Odległość od środka głazu — gdzie właśnie się znajdował — do pierwszej skały stromej półki wynosiła z półtora metra. Adrian miał ponad metr osiemdziesiąt. Gdyby udało mu się paść pod odpowiednim kątem, z wyciągniętymi rękami, miał spore szanse, żeby jej dosięgnąć. Byłyby jeszcze większe, gdyby zdołał zmniejszyć tę odległość.

Mięśnie nóg omdlewały mu z bólu. Czuł, że lada chwila chwyci go kurcz w stopach. Napięte do ostatnich granic mięśnie łydek rozsadały skórę, ścięgna poniżej pracowały niemal ponad wytrzymałość. Ż trudem odpędził myśl o bólu i niebezpieczeństwie, koncentrując się wyłącznie na odległości, o którą się przesunie wokół potężnego głazu.

Przesunął się mniej więcej pół metra, gdy poczuł, że ziemia pod nim *zaczyna* ustępować — z wolna, maleńkimi, hipnotyzującymi drgnięciami. W następnej chwili usłyszał, dosłownie, trzask odłupującej się skały i zamarznętej ziemi. W ostatnim ułamku sekundy wyrzucił ręce przed siebie. Półka runęła w dół i na moment Adrian zawisł w powietrzu. Ręce miotają mu się rozpaczliwie gdzieś nad głową, podmuch wiatru smagał go w twarz niby liść zawieszony w powietrzu.

Natrafił prawą ręką na poszarpaną skałę gdzieś przed sobą. Zacisnął kurczowo dłoń wokół ostrego występu skały, wyginając się instynktownie w łuk, by osłabić impet uderzenia.

Huśtał się jak pajac na sznurku na swej własnej ręce, machając nogami w powietrzu. Musiał się podciągnąć. Natychmiast! Nie było ułamka sekundy do stracenia. Nie było czasu, by

ochłonać.

Ruszaj się!

Wczepił się palcami wolnej ręki w nierówną powierzchnię skały. Wymachiwał obłąkańczo nogami, póki nie natrafił prawym butem na maleńki występ, który zdołał utrzymać jego ciężar. To wystarczyło. Jak ogarnięty paniką pajak wdrapał się na ścianę poszarpanej skały, wciskając całe ciało w podnóże wewnętrznej powierzchni.

Z góry nie można go było dostrzec, ale można go było usłyszeć. Odgłos odrywającej się półki sprowadził drugiego z Fontine'ów na brzeg lasu. Słońce świeciło mu zza prawego ramienia, rzucając jego cień na drugą stronę przepaści, na ośnieżoną skałę. Adrian jeszcze raz wstrzymał oddech. Miał lożę we własnym teatrze cieni, wystawiającym swą sztukę w oślepiającym teraz alpejskim słońcu. Ruchy brata były nie tylko zupełnie wyraźne, ale wielokrotnie wyolbrzymione. Andrew trzymał w lewej ręce jakiś przedmiot — składaną alpejską łopatkę.

Prawą rękę miał zgiętą w łokciu — cień przedramienia zlewał się z cieniem korpusu. Nie trzeba było zbyt wyobraźni, by domyślić się, że trzymał w niej broń. Adrian sięgnął prawą ręką do paska spodni. Pistolet nadal za nim tkwił. Dotknięcie go przyniosło mu ulgę.

Cień przesunął się wzdłuż nawisu nad jego głową — trzy kroki w lewo, cztery w prawo. Pochylił się, znów wyprostował, tym razem trzymając w prawej ręce inny przedmiot. Rzucił nim w dół. Spora bryła betonu świsnęła nie więcej niż pół metra od twarzy Adriana i roztrzaskała się o ostre skały na dnie rozpadliny. Podczas jej spadania wojskowy stał bez ruchu, jakby odliczał sekundy, mierząc według nich głębokość szczeliny. Kiedy przebrzmiał ostatni grzmot toczących się odłamków skał i betonu, odszedł od krawędzi. Jego cień zniknął, zastąpiły go jaskrawe odbłaski słońca.

Adrian leżał w swojej wnęce z twarzą zlaną potem, nie zwracając uwagi na niewygodę pozycji. Nierówne kamienie nad głową zakreślały i pięły się stromo w górę, niby prymitywne spiralne schody w jakiejś starożytnej latarni morskiej. Podejście musiało mieć około siedmiu i pół metra długości, choć trudno to było oszacować, bo wyżej nic już nie było poza niebem i oślepiającym słońcem. Nie mógł wykonać najmniejszego ruchu, dopóki z góry nie dobiegnie go jakiś odgłos świadczący o tym, że żołnierz znów zabrał się do roboty, znów kopie.

Usłyszał go. Głośny trzask rozłupywanego kamienia i... zgrzyt metalu o metal!

Andrew odnalazł urnę!

Adrian wyczołgał się ze swej kryjówki i posuwając się dłoń za dłonią, stopa za stopą, w absolutnej ciszy wspiał się w górę poszarpanych skalnych schodów. Krawędź tarasu znajdowała się teraz wprost nad jego głową. Pod nim ciągnęła się już nie skalna szczelina, lecz

pionowa przepaść może dwustumetrowa, opadająca aż do jakiejś krętej górskiej przełęczy. Od jej krawędzi dzieliło go nie więcej niż dwadzieścia centymetrów. Wiatr wiał teraz równo, ze stałą mocą, z niskim, głębokim poświstem.

Sięgnął ręką po pistolet za paskiem, wyciągnął go i pouczony przez Goldoniego sprawdził bezpiecznik. Znajdował się w górnym położeniu — zabezpieczenia.

Przetawił go równolegle do spustu i wysunął głowę ponad krawędź tarasu.

Był to owal o długości dziesięciu metrów i szerokości jakichś sześciu. Żołnierz klęczał pośrodku, tuż obok kupki ziemi zasypanej odłamkami rozbitej betonowej płyty. Za tym kopcem, przesłonięta częściowo szerokimi barami żołnierza stała prosta drewniana trumna z metalowymi okryciami. Zachowała się w znakomitym stanie.

Nie było żadnej urny! Ziemia, odłamki betonu i trumna. Urny nie było!

“O mój Boże — pomyślał Adrian. — Pomyliliśmy się. Obaj się pomyliliśmy!” To niemożliwe. To po prostu niemożliwe. Gdyby urny nie było, morderca z Korpusu Oko wpadłby w szal. Wystarczająco dobrze znał brata, by być tego pewnym. Tymczasem Andrew wcale nie był wściekły. Klęczał wpatrując się w grób, z głową pochyloną jakby w zamyśleniu. I Adrian zrozumiał, że urna znajdowała się niżej, nadal w ziemi. Została zakopana pod trumną, która stanowiła jej ostatnią osłonę.

Żołnierz wstał i podszedł do plecaka opartego o trumnę. Odpiął jakiś pasek i wyciągnął krótki, zaostzony żelazny drag. Wrócił do grobu, z rozmachem ukląkł na jego brzegu i sięgnął do wnętrza ręką uzbrojoną w drag. Kilka sekund później rzucił drag na ziemię, a wyjął z kieszeni pistolet. Szybkim, lecz precyzyjnym ruchem wycelował w dół do wnętrza grobu.

Rozległy się trzy eksplozje. Adrian błyskawicznie schylił głowę pod krawędź tarasu. Poczul w powietrzu kwaśny zapach prochu, ujrzał nad głową niesione przez wiatr smugi dymu.

I wtedy rozległy się słowa, a całe ciało Adriana stężało z przerażenia, jakiego nigdy w życiu nie był w stanie sobie wyobrazić. W szoku absolutnej pewności, że w następnej chwili zostanie zabity.

— Wsuń głowę, Lefrac — padł cichy rozkaz, rzucony lodowato monotonnym głosem. — Tak będzie szybciej. Nic nie poczujesz. Nie usłyszysz nawet huku.

Adrian podniósł się ze swej wąskiej perci, czując w głowie absolutną pustkę, przekroczywszy już próg strachu. Wiedział tylko, że w następnej chwili po prostu zginie.

Ale Andrew spodziewał się kogoś zupełnie innego. Teraz z kolei morderca z Korpusu Oko doznał szoku. Był on tak nagły, tak absolutny, że wytrzeszczył oczy z niedowierzania, dłoń mu zadrżała, a broń drgnęła. Mimowolnie cofnął się o krok, krew odpłynęła mu z twarzy i z rozdziawionych ust wyrwał się szept: — To ty?!

Bez chwili namysłu, na oślep, Adrian chwycił ze skalnej półki ciężki włoski pistolet i strzelił do oszołomionej postaci. Nacisnął spust drugi raz, trzeci. Pistolet się zaciął. Odłamki i dym z magazynka osmały mu rękę, zapiekły w oczy. Ale trafił. Morderca z Korpusu Oko zatoczył się do tyłu, chwycił za brzuch, lewa noga zaczęła się pod nim uginać.

Ale nadal miał w ręku rewolwer. Rozległ się huk wystrzału w powietrzu tuż nad głową Adriana. Skoczył na padającego brata, tłukąc go zablokowanym pistoletem w okolice twarzy. Wyrzucił przed siebie prawą rękę, chwycił za rozgrzaną stal broni przeciwnika i rąbnął nią o twardą powierzchnię tarasu. Jego własna broń dosięgła celu. Łuk pomiędzy oczami brata pękł rozdarty, krew spływała mu w kąciaki oczu, zamazując widoczność. Pistolet Andrewa wyleciał szerokim łukiem z jego dłoni. Adrian odskoczył.

Wycelował i nacisnął spust z całą siłą, na jaką go było stać. Pistolet nie działał, nie chciał strzelać! Major podniósł się z kolan, przecierając oczy i wydając pomruk wściekłości. Adrian potężnym kopnięciem trafił mordercę z Korpusu Oko w skroń. Głowa odskoczyła wojskowemu do tyłu, ale nogi skierował w przód, wijąc się, wierzgając, wbijając Adrianowi w kolana. Potworny ból zachwiał Adrianem i zatoczył w bok.

Nie mógł ustać na nogach. Przeturlał się w prawo, widząc, jak major podnosi się z ziemi, nadal trąc zakrwawione oczy. Andrew poderwał się, wyciągnął ręce rozczapierzone jak sztywne szpony ku szyi wroga i rzucił się na niego. Adrian przetoczył się jeszcze raz, wpadając ciałem na trumnę. Andrew nie panował nad sobą. W szale wściekłości stracił równowagę i upadł, zahaczając ręką o stertę ziemi i odłamków betonowej płyty. W powietrze wystrzelił gejzer ziemi, śniegu i kamienia.

Adrian dał susa nad otwartym grobem — po drugiej stronie leżał żelazny łom. Major rzucił się w ślad za nim; poderwał się w górę, rycząc przeraźliwie i składając ręce nad głową w potężny młot — niby monstrualny ptak skrzeczący nad łupem. Adrian zacisnął palce na sztabie i dźgnął nią spadającego nań z góry napastnika.

Końcówka sztaby zgłębiła się w policzku żołnierza, co go oszołomiło. Z jego ciała znów trysnęła krew.

Adrian gubiąc sztabę odpełził na bok jak mógł najszybciej, nogi mu omdlewały z bólu i ze zmęczenia. Przed sobą na płaskiej kamiennej powierzchni ujrzał pistolet majora. Rzucił się na broń. Palcami oplótł rękojeść... uniósł...

Żelazny pręt przeciął ze świstem powietrze, rozerwał mu skórę na lewym ramieniu, na wpół oddzierając rękaw czarnego swetra. Od impetu uderzenia zatoczył się w tył, na brzeg skalnego urwiska. W przyptywie paniki wywołanej bólem sięgnął prawą ręką, tą z bronią, do lewego ramienia, krzyżując ją na piersi. I robiąc to uzmysłowił sobie, że to właśnie tego ułamka

sekundy potrzebował żołnierz. Runęła na niego ściana ziemi i kamieni, przestrzeń między nim a mordercą z Korpusu Oko wypełnił gruz. Dostał odłamkami betonowej płyty, ostre kawałki zasypały mu twarz, oczy. Przestał cokolwiek widzieć.

Strzelił. Dłoń mu gwałtownie podskoczyła, wibracja wygięła palce.

Próbował podnieść się z ziemi. Na szyi poczuł cios ciężkiego buciora. Padając do tyłu, chwycił za nogę i zawisł plecami nad krawędzią skalnej ściany. Przeturlał się w lewo, nie puszczając nogi, aż poczuł, że lufą natrafił na ciało.

Pociągnął za spust i świat przesłoniły mu strzepy żywego mięsa, odłamki kości i fontanny krwi. Eksplozja wyrzuciła żołnierza w powietrze, zmieniając jego prawą nogę w masę przesiąkniętych czerwienią szmat. Adrian zebrał się w sobie, żeby odpełznąć na bok, ale czuł się bezsilny, bez odrobiny powietrza w płucach. Uniósł się na jednej ręce i spojrzał na brata.

Andrew kiwał się w przód i w tył, z jego ust ociekających śliną i krwią dobywały się gardłowe dźwięki. Podparłszy się rękami, dźwignął ciało z ziemi i na wpół klęcząc wpatrywał się obłąkanym wzrokiem w to, co zostało z jego nogi. Po chwili przeniósł spojrzenie na sprawcę. I nagle zaczął krzyczeć.

— Pomóż mi! Nie możesz dać mi umrzeć! Nie masz prawa! Przynies mi plecak!

Zaniósł się kaszlem,, przytrzymując jedną ręką roztrzaskaną nogę, a drugą, roztrzęsioną, wskazując na alpejski plecak oparty o trumnę. Broczył krwią, całe ubranie było nią przesiąknięte. Wewnętrzne uszkodzenia postępowały coraz szybciej — umierał.

— Nie mam prawa pozwolić ci umrzeć — powiedział Adrian słabym głosem, chwytając łapczywie powietrze. — Czy zdajesz sobie sprawę z tego, coś sam zrobił? Ilu ludzi zabiłeś?

— Zabijanie to narzędzie! — krzyknął żołnierz. — Wyłącznie narzędzie!

— A kto decyduje, kiedy z owego narzędzia skorzystać? Ty?

— Tak! I tacy jak ja! Wiemy, kim jesteśmy, wiemy, co możemy działać. Ludzie tacy jak ty... wy nie macie... Na miłość boską, pomóż mi!

— Ty ustalasz zasady. Wszyscy pozostali mają się podporządkować.

— Tak! Bo nam na tym zależy! Całej reszcie, nikomu na niczym nie *zależy*. Wszyscy wolą, żeby ktoś inny ustalił im zasady. Temu nie możesz zaprzeczyć!

— Właśnie zaprzeczam — odparł cicho Adrian.

— To *znaczy*, że się okłamujesz! Albo jesteś głupi. O Chryste... — Głos mu się załamał, chwycił go następny atak kaszlu. Przycisnął ręce do brzucha i znów popatrzył na swoją nogę, po czym przeniósł spojrzenie na kopiec ziemi. Oderwał od niego wzrok i spojrzawszy na Adriana powiedział: — Tu. Na wyciągnięcie ręki.

Zaczął czołgać się do otwartego grobu. Adrian podniósł się powoli z ziemi, zahipnotyzowany okropnym widokiem. Resztki litości podpowiadały mu, żeby pociągnąć za spust, przerwać to życie, które dobiegało już niemal kresu. Z miejsca, gdzie stał, widział zakopaną w ziemi urnę z Salonik. Zbutwiałe listwy zostały oderwane, ukazując znajdujące się pod spodem żelazo. Strzały z rewolweru odłupały z wieka strużyny metalu, obok leżał zwój liny. Tu i tam widać było kawałki grubej tektury z wyblakłymi znakami przypominającymi krucyfiks okolony wieńcem cierni.

A więc znaleźli ją.

— Czy nic nie rozumiesz? — Szept żołnierza był ledwie słyszalny. — Oto ona. Odpowiedź. Odpowiedź!

— Na co?

— Na wszystko... — Na kilka sekund Andrew stracił panowanie nad mięśniami swych oczu. Uciekły mu w głąb czaszki, źrenice zniknęły na chwilę pod górnymi powiekami. Jego głos nabrał tonów rozzłoszczonego dziecka. Wyciągnął prawą rękę w głąb grobu. — Mam ją. Nie możesz mi przeszkodzić! Teraz już nie! Teraz możesz mi tylko pomóc. Pozwolę ci sobie pomóc. Zawsze ci na to pozwalałem, pamiętasz? Czy pamiętasz, jak zawsze pozwalałem, żebyś mi pomagał?! — Ostatnie pytanie rozległo się przeraźliwym krzykiem.

— Zawsze ty o tym decydowałeś, Andy. Decydowałeś, kiedy pozwolisz mi sobie pomóc — powiedział Adrian cicho, próbując zrozumieć dziecinne bredzenie, zahipnotyzowany padającymi słowami.

— Oczywiście, że ja. To musiała być moja decyzja. Moja i Victora. Adrian przypomniał sobie nagle słowa matki. "Zawsze widział tylko skutki posiadania siły, nigdy nie rozumiał wszystkich komplikacji, współczucia"...

Prawnicza natura Adriana dopominała się wyjaśnień.

— Co powinniśmy z tą urną zrobić? Teraz, kiedy już ją znaleźliśmy, co powinniśmy z nią...

— Wykorzystać! — krzyknął znów Andrew, rzucając kawałkiem skały w krawędź grobu. — Wykorzystać! Wykorzystać! Ustawić wszystko jak trzeba! Powiemy im, że jak nie, to wszystko rozwalimy w gruzy!

— A gdyby się okazało, że to niemożliwe? Że to wszystko nie ma znaczenia? Że w urnie nic nie ma?

— No to co? Powiemy im, że jest! Ty nie wiesz, jak się do tego zabrać. Powiemy im to, co będziemy chcieli! Będą się płaszczyć przed nami... będą skamlać...

— Tego właśnie chcesz? Żeby się płaszczyli? Żeby skamlali?

— Tak! To mięczaki!

— A ty nie jesteś mięczak.

— Pewnie, że nie! Dowiodłem tego! Nieraz! Ciągłe i ciągle od nowa! — Głowa wygięła mu się łukiem do tyłu, po czym konwulsyjnie opadła w dół. — Tobie się wydaje, że widzisz coś, czego ja nie widzę. To nieprawda! Ja to wszystko widzę, ale to nie ma żadnego znaczenia! To się nie liczy! To, co ty uważasz za takie... cholernie ważne... to-się-nie-liczy! — Andrew wyskandował te słowa krzykiem dziecięcego uporu.

— To znaczy co, Andy? Co ja według ciebie uważam za takie cholernie ważne?

— Ludzi! To co myślą! To nie ma znaczenia, to się nie liczy. Victor dobrze o tym wie.

— Mylisz się, tak bardzo się mylisz — przerwał mu cicho Adrian. — Victor nie żyje, Andy. Umarł dwa dni temu.

Wzrok Andrew częściowo odzyskał ostrość widzenia. W jego oczach pojawił się wyraz ogromnej ulgi.

— A więc teraz wszystko jest tylko moje! Dopnę swego! — Znow chwycił go atak kaszlu, oczy mu się rozbiegły. — Zmuszę ich, żeby zrozumieli. Że nic nie *znaczą*. Nigdy nic nie znaczyli...

— Tylko ty.

— Tak! We mnie nie ma wahania! W tobie jest! Ty nigdy nie możesz się zdecydować!

— Jesteś bardzo stanowczy, Andy.

— Tak, jestem stanowczy. To bardzo ważne.

— A ludzie się nie liczą, więc naturalnie nie wolno im ufać.

— Co, do diabła, chcesz przez to powiedzieć? — Major wyprężył pierś w przypiływie bólu, wygiął głowę do tyłu, po czym rzucił nią gwałtownie przed siebie zanosząc się kaszlem. Z ust trysnęły mu strugi płwocin i krwi.

— Że się boisz! — krzyknął Adrian. — Że zawsze się bałeś! Żyjesz w śmiertelnym strachu, że ktoś się tego domyśli! W twoim pancerzu jest wielka ryna, ty... degeneracie!

Z gardła wojskowego dobył się potworny, zduszony dźwięk. Był zarazem chrapliwy i zupełnie czysty, skrzyżowanie ryku najwyższej wściekłości i szlochu.

— To kłamstwo! Ty i te twoje cholerne słowa...

I nagle słowa umilkły jak nożem uciał. W oślepiającym alpejskim słońcu działa się rzecz niewiarygodna, a Adrian zdołał tylko pojąć, że albo natychmiast coś zrobi, albo zginie. Ręka brata, która do tej pory zwisała nad wnętrzem grobu, wyprysnęła nagle ponad jego krawędź. Andrew trzymał w niej linę. Uniósł się chwiejnie z ziemi, kręcąc nad głową liną szybkiego młynka. Na jej końcu pobłyskiwała kotwiczka, której trzy zęby cięły ze świstem

powietrze.

Adrian uskoczył w lewo, strzelając z ogromnego pistoletu do obłąkanego mordercy z Korpusu Oko.

Pierś wojskowego rozerwało. Lina trzymana żelaznym uściskiem zatoczyła jeszcze jeden krąg, z kotwiczką wirującą na jej końcu jak oszalały, zepsuty żyroskop, i owinęła się wokół szyi. Ciało Andrew wystrzeliło ponad krawędź skalnej ściany i runęło w dół. Rozległo się nieludzkie wycie, którego echo przepełniło góry krzykiem najwyższego przerażenia.

W następnej chwili lina naprężyła się z nagłym szarpnięciem, drgając w cienkiej warstwie zgniecionego śniegu.

Z grobu dobiegł odgłos rozdieranego metalu. Adrian odwrócił błyskawicznie głowę w kierunku, skąd dochodził dźwięk. Lina była przywiązana do stalowej taśmy opasującej urnę. Taśma pękła. Urnę można było otworzyć.

Ale Adrian nie podszedł do niej. Chwiejnym krokiem dowlókł się na brzeg tarasu i wyrzwał poza krawędź skalnego urwiska.

W dole wisiało ciało majora, zaczepione na kotwiczce wbitej w szyję. Jeden z zębów kotwiczki przebił mu gardło i wystawał ostrym końcem z rozwartych ust.

Zapakował trzy stalowe, hermetyczne pojemniki z urny do wielkiego alpejskiego plecaka. Nie potrafił odczytać starożytnych napisów wrytych w metalu. Nie było mu to potrzebne — wiedział, co każdy z nich zawiera. Żaden nie był duży. Jeden był płaski, grubszy niż pozostałe. Wewnątrz niego znajdowały się dokumenty opracowane przed piętnastoma wiekami przez uczonych z Konstantyny, materiały dotyczące tego, co uważali za teologiczną niekonsekwencję — wyniesienia świętego człowieka do pozycji współistnego Bogu. Pożywka dla dysput innych uczonych. Drugi pojemnik był krótki, cylindryczny. Zawierał ów aramejski zwój, który tak wystraszył potężnych tego świata przed trzydziestu laty, że prowadzenie najkrwawszej wojny w dziejach ludzkości uznali za sprawę drugorzędą wobec konieczności wejścia w jego posiadanie. Ale to trzeci z pojemników, cienki, szerokości około dwudziestu centymetrów, długości dwudziestu pięciu, mieścił w sobie najbardziej niezwykły dokument — wyznanie spisane na pergaminie wyniesionym z rzymskiego więzienia przed prawie dwoma tysiącami lat. Do zawartości tego właśnie pojemnika — czarnego, skorodowanego zabytku starożytności — sprowadzała się istota znaczenia urny z Salonik.

Wszystkie dokumenty były negacjami; już samo wyznanie spisane na rzymskim pergaminie mogło pogrążyć świat w tragedii nie do wyobrażenia. Ale nie jemu było o tym rozstrzygać. A może?

Wepchnął plastikowe buteleczki z lekami do kieszeni, położył plecak na ziemi,

przewiesił się przez krawędź skalnego urwiska — tuż obok zwłok żołnierza — i zeskoczył na leżącą poniżej półkę. *Zarzucił* na ramiona pasy ciężkiego plecaka i ruszył ścieżką w dół.

Chłopiec umarł. Dziewczyna powinna przeżyć. Razem zdołają jakoś wydostać się z tych gór, tego Adrian był zupełnie pewien.

Ruszyli powoli — odpoczywając co kilka kroków — szlakiem wiodącym do linii kolejowej z Zermattu. Podtrzymywał dziewczynę ramieniem.

Obejrzał się przez ramię na górską ścieżkę. Daleko, na tle białej ściany skalnej wisi ciało bliźniaczego brata. Niełatwo je było dostrzec — tylko wtedy, gdy się wiedziało, gdzie patrzeć — ale było je widać.

Czy Andrew był ostatnią ofiarą urny z Salonik? Czy dokumenty, które kryła, warte były tyłu ludzkich istnień? Tyłu mordów i gwałtów zadanych na przestrzeni tylu lat? Nie znał odpowiedzi.

Wiedział tylko, że dokonywane w imię świętych idei, obłąkańcze czyny zbyt często poczytywano za zasługę. Święte wojny są barbarzyństwem, zawsze nim będą. A on zabił brata w tej nie świętej, lecz piekielnej wojnie.

Zawartość plecaka ciążyła mu potwornym brzemieniem. Miał ochotę wyciągnąć metalowe pojemniki i cisnąć je w najgłębszą górską przepaść. Rozbić, by pierwszy dotyk świeżego powietrza rozsypał je w nicość, by alpejskie wichry rozwiały je na cztery strony świata.

Ale wiedział, że tego nie zrobi. Cena, jaką za nie zapłacił, była zbyt wysoka.

— Chodźmy — powiedział do dziewczyny, zakładając sobie delikatnie jej rękę na szyję. Uśmiechnął się na widok wystraszonej miny dziecka. — Damy sobie radę.

EPILOG

Adrian stał przy oknie wychodzącym na pogrążonym w ciemności Central Park. Znajdował się w niewielkim pokoiku służbowym w Metropolitan Museum. Trzymał przy uchu słuchawkę telefonu i rozmawiał z Waszyngtonem, z pułkownikiem Tarkingtonem. Pod przeciwległą ścianą pokoju siedział ksiądz z archidiecezji nowojorskiej, *monsignore* Land. Było tuż po północy. Oficerowi w Waszyngtonie przekazano zastrzeżony numer muzeum. Powiedziano mu, że pan Fontine czeka na jego telefon bez względu na porę.

Pułkownik poinformował Adriana, że oficjalne dokumenty dotyczące wydarzeń związanych z działalnością i likwidacją Korpusu Oko zostaną opublikowane przez Pentagon w odpowiednim czasie. Władze pragnęły uniknąć skandalu, jaki wywołałyby oskarżenia o korupcję i ujawnienie rebelii w szeregach sił zbrojnych. Nie leżało to w interesie bezpieczeństwa narodowego.

— Etap pierwszy — zasłona dymna.

— Coś w tym rodzaju.

— Ma pan zamiar tym się zadowolić? — spytał cicho Adrian.

— To pańska rodzina — odparł pułkownik. — Pański brat.

— I pański. Ja bym to jakoś przeżył. Pana na to nie stać? Nie stać na to Waszyngtonu? Na drugim końcu linii zapadła cisza.

— Ja mam już to, o co mi chodziło — odparł w końcu pułkownik. — A Waszyngtonu może rzeczywiście na to nie stać. To nieodpowiedni moment.

— Nigdy nie jest odpowiedni.

— Niech mi pan nie prawi morałów. Nikt panu nie zabrania ^fzwołać konferencji prasowej.

Teraz z kolei Adrian zamilkł na chwilę.

— Czy gdybym to zrobił — zapytał — mógłbym żądać oficjalnej dokumentacji? Czy też pojawiłaby się natychmiast teczka z aktami pewnego...

— ...pewnego młodego człowieka — wszedł mu w słowo pułkownik — którego biegli psychiatrzy uznali za osobę o silnych zaburzeniach emocjonalnych, który jeździł po całym kraju i przemieszkiwał w hipisowskich komunach; w San Francisco wspomagał i podburzał trzech skazanych przez sąd dezertarów. Niech pan się nie łudzi, Fontine. Mam to na biurku.

— Tak właśnie myślałem. Szybko się uczę. Jak już się do czegoś weźmiecie, to

gruntownie, prawda? Który z braci okazał się wariatem?

— Och, jest tu tego więcej. Wykorzystywanie wpływów rodzinnych, by wymigać się od służby wojskowej; dawniejsza przynależność do ekstremistycznych organizacji — oni dzisiaj podkładają dynamit. Ostatnio pańskie dziwne zachowanie w Waszyngtonie, powiązania z czarnym prawnikiem, zabitym w podejrzanych okolicznościach, a podejrzanym o współudział w prowadzeniu działalności przestępczej. I jeszcze dużo, dużo więcej. A to tylko pańska teczka.

— Co?!

— Stare prawdy, udokumentowane, wywleczone na światło dzienne. Ojciec, który zbił majątek na interesach prowadzonych z całym światem, w tym z rządami uważanymi przez wielu za niezbyt nam przyjazne. Człowiek, który współpracował blisko z komunistami, którego pierwsza żona zginęła wiele lat temu w niejasnych okolicznościach w Monte Carlo. To obraz, który wzburza, rodzi pytania. Czy rodzinę Fontine'ów stać na jego opublikowanie?

— Niedobrze mi się robi, kiedy pana słucham.

— Mnie samemu robi się niedobrze.

— No to dlaczego to wszystko?

— Bo trzeba było podjąć decyzję, przy której to, od czego nam się robi niedobrze, nie ma najmniejszego znaczenia! — Pułkownik podniósł ze złości głos, po czym opanował się. — Wielu z tych złotoustych bufonów z góry nie lubię, ale wiem, albo mi się tak wydaje, że nie jest to odpowiednia pora na rozmowy o Korpusie Oko.

— A więc ciągle to samo. Nie mówi pan jak tamten człowiek, z którym rozmawiałem w hotelu.

— Może już nie jestem tamtym człowiekiem. Mam tylko nadzieje, przez wzgląd na pańskie święte oburzenie, że nigdy się pan nie znajdzie w sytuacji takiej jak moja.

Adrian spojrzał na księdza siedzącego po przeciwnej stronie pokoju. Land wpatrywał się w słabo oświetloną białą ścianę, w jakiś nieokreślony punkt w przestrzeni. A jednak oczy wyraźnie zdradzały — oczy, zawsze oczy — trawiącą go desperację. Prałat był bardzo silnym człowiekiem, ale teraz się bał.

— Mam nadzieję, że nigdy nie znajdę — odpowiedział pułkownikowi Adrian.

— Fontine?

— Słucham?

— Może skoczylibyśmy kiedyś razem na drinka?

— Jasne, koniecznie. — Odłożył słuchawkę.

“Czyżby wszystko zależało wyłącznie od niego? — zastanawiał się Adrian. —

Wszystko? Czy istnieje w ogóle odpowiednia pora na ujawnienie prawdy?" Jedną z odpowiedzi otrzyma już wkrótce. Z pomocą pułkownika udało mu się wywieźć dokumenty z urny z Włoch; tyle pułkownik był mu winien i nie zadawał pytań. *Zaplata* było ciało wiszące na skalnej ścianie w górach koło Champoluc. Brat za brata. Dług został spłacony.

Barbara Pierson wiedziała, co zrobić z dokumentami. Skontaktowała się ze swym przyjacielem, kustoszem działu zabytków kultury materialnej Metropolitan Museum. Uczonym, który całe życie poświęcił badaniom nad przeszłością i widział zbyt wiele zabytków starożytności, by wdawać się w przedwczesne osądy.

Barbara przyleciała z Bostonu; była teraz w laboratorium ze swym uczonym przyjacielem. Od piątej trzydzieści. Siedem godzin. Z dokumentami z Konstantyny.

Ale teraz chodziło o ten jeden. Pergamin wyniesiony z rzymskiego więzienia przed dwoma tysiącami lat. Ten pergamin był wszystkim.

Adrian odwrócił się od okna i podszedł do księdza. Dwa tygodnie temu, czując nadchodzącą śmierć, ojciec sporządził listę osób, którym należało przekazać urnę. Nazwisko Landa znajdowało się na tej liście. Kiedy Adrian się z nim skontaktował, Land *zaczął* mówić o rzeczach, o których nigdy nie mówił jego ojcu.

— Niech mi pan opowie o Annaksasie — powiedział, siadając naprzeciwko księdza.

Duchowny oderwał wzrok od ściany i drgnął wystraszony. "Nie dźwiękiem imienia — pomyślał Fontine — lecz nagłym wyrwaniem z rozmyślań". Jego wielkie, przenikliwe szare oczy patrzyły na Adriana spod ciemnych brwi przez chwilę nieprzytomnie. Land zamrugał, jakby przypominając sobie, gdzie się znajduje.

— O Theodorze Dakakosie? Cóż mam panu powiedzieć? Poznaliśmy się w Stambule. Ja podążałem tropem pewnych dowodów, o których wiedziałem, że są fałszywe. Chodziło o uroczyste całopalenie negacji *Filiogue*. Dakakos dowiedział się, że tam jestem i przyleciał z Aten, żeby spotkać się ze wścibskim księdzem z archiwów Watykanu. Zaczęliśmy rozmawiać obaj mocno zaintrygowani. Ja tym, dlaczego magnat przemysłowy interesuje się nieznanymi starożytnymi pismami teologicznymi. On, dlaczego watykański badacz tropi, czy też dlaczego pozwolono mu tropić dokumenty, których treść trudno uznać za zbieżną z interesami rzymskiego Kościoła. Okazał się bardzo zręczny. Przez całą noc obaj próbowaliśmy się nawzajem pociągnąć za język, obu nas to w końcu zupełnie wyczerpało. Obaj sądziliśmy, że już się znamy, że polubiliśmy się.

— Ale o czym rozmawialiście?

— Zaczęliśmy mówić o pociągu z Salonik. Nie pamiętam, który z nas pierwszy o nim wspomniał.

— On wiedział o tym pociągu?

— Co najmniej tyle co ja, a może nawet więcej. Maszynista, który prowadził ten pociąg, był jego ojcem, a jedynym pasażerem mnich ksenopita, jego stryj. Obaj zaginęli bez wieści. W trakcie poszukiwań uzyskał częściową odpowiedź na pytanie, co się z nimi stało. Mediolańskie archiwa policyjne zawierały doniesienie z grudnia 1939 roku, mówiące o dwóch zabitych w greckim pociągu stojącym na stacji towarowej. Morderstwo i samobójstwo. *Żaden* nie miał dokumentów. Annaksas chciał się dowiedzieć dlaczego.

— Co go zaprowadziło do Mediolanu?

— Ponad dwadzieścia lat stawiania pytań. Miał dość powodów, by je zadawać. Był świadkiem obłądu własnej matki. Popadła w obłąd, bo kościół nie chciał udzielić jej żadnej odpowiedzi.

— Jej kościół?

— Ramię tego kościoła, jeśli pan woli. Zakon Ksenopy.

— To znaczy, że wiedziała o pociągu.

— Miała się nigdy nie dowiedzieć, i wierzono, że nie wie. Ale mężczyźni mówią swoim żonom o rzeczach, o których nie powiedzieliby nikomu innemu. Przed wyjściem z domu tamtej nocy w grudniu 1939 roku Annaksas powiedział żonie, że wcale nie jedzie do Koryntu, tak jak wszyscy sądzili. Że Bóg spojrzy na nich przychylnym okiem, bo zamiast tego wybierają się ze swym bratem Petridasem w bardzo daleką podróż. Podróż na chwałę Pana.

Ksiądz przesunął w palcach krzyż wiszący na tasiemce pod koloratką. Nie zrobił tego delikatnie, w tym geście czał się gniew.

— Z której nigdy nie powrócił — dodał cicho Adrian. — A i szwagra już nie było, nie dało się do niego zwrócić, bo i on nie żył.

— Tak. Chyba obaj potrafimy sobie wyobrazić reakcję tej kobiety — dobrej, prostej, kochającej kobiety, zostawionej z szóstką dzieci.

— Dostała pomieszania zmysłów.

Land puścił krzyż, umykając wzrokiem z powrotem na ścianę.

— W geście miłosierdzia ksenopici przyjęli obłąkaną do siebie. Podjęto następną decyzję. Umarła w ciągu miesiąca.

Fontine powoli wyprostował się w krześle.

— Zabili ją. — To nie było pytanie.

Land znów spojrzał mu w oczy. W jego wzroku malowało się teraz coś na kształt błagania.

— Rozważyli konsekwencje zachowania jej przy życiu. Nie chodziło o *Filiogue*, ale o

pergamin, którego istnienia nikt z nas w Rzymie nawet nie podejrzewał. Ja po raz pierwszy usłyszałem o nim dziś wieczorem. Ileż to wyjaśnia!

Adrian wstał z krzesła i podszedł z powrotem do okna. Nie był jeszcze gotów do rozmowy o tym pergaminie. Świątobliwi mężowie nie mieli już prawa prowadzenia dochodzeń. Prawnicza natura Adriana potępiła księży. Prawo jest dla wszystkich.

Na dole w Central Park jakiś mężczyzna szedł kiepsko oświetloną ścieżką z dwoma wielkimi labradorami szarpiącymi się na napiętych smyczach. Adrian też szarpał się na takiej smyczy, ale Land nie mógł się o tym dowiedzieć. Odwrócił się od okna.

— Dakakos ułożył to sobie w całość, prawda? — spytał.

— Tak — odparł Land, godząc się z tym, że Adrian nie pozwala się prowadzić. — To było jego dziedzictwo. Ślubował, że *l* dowie się wszystkiego. Uzgodniliśmy, że wymienimy się informacjami, ale ja okazałem się bardziej szczerzy niż on. W naszej rozmowie wypłynęło nazwisko Fontini-Cristi, ale na temat pergaminu nie padło nawet słowo. Resztę, jak przypuszczam, już pan wie. Adriana zaskoczyły słowa księdza.

— Niech pan niczego nie przypuszcza. Niech pan mówi. Land drgnął. Nie spodziewał się takiej reprimendy.

— Przepraszam. Myślałem, że pan wie. Dakakos wziął na siebie odpowiedzialność za Campo di Fiori. Przez całe lata płacił podatki — dość znaczne — odstręczał kupców, przedsiębiorców budowlanych, zapewniał ochronę i pokrywał koszty utrzy...

— *Z co z zakonem Ksenopy?*

— Praktycznie już nie istnieje. Pozostał maleńki klasztor na północ od Salonik. Kilku mnichów starszków na okrojonym gospodarstwie rolnym, bez grosza przy duszy. Dakakosowi został jeden jedyny łącznik — mnich u schyłku życia z Campo di Fiori. Wyciągnął ze starca wszystko, co ten wiedział. W ostatecznym rozrachunku okazało się, że miał rację. Gaetamo został zwolniony z więzienia, drugi ksiądz, Aldobrini, wrócił z zesłania do Afryki wykończony przez malarię i wreszcie w Campo di Fiori zjawił się pański ojciec. W miejscu rozstrzelania całej rodziny. Koszmarne poszukiwana rozpoczęły się od nowa.

— Dakakos postanowił przeszkodzić mojemu bratu — powiedział z namysłem Adrian. — Zadał sobie mnóstwo trudu, żeby go osaczyć, ujawnić Korpus Oko.

— Za wszelką cenę nie chciał pozwolić, by urna wpadła w jego ręce. Stary mnich musiał powiedzieć Dakakosowi, że Victor Fontine wie o istnieniu pergaminu. Dakakos pojął, że wasz ojciec nie skorzysta z pomocy władz przy odnalezieniu urny, że użyje do tego synów. Nie miał innego wyjścia. Zważywszy konsekwencje, musiało się to odbyć w ten właśnie sposób. Dakakos przyjrzał się dokładnie wam obu. Prawdę mówiąc, na jego polecenie przez

całe lata byliście śledzeni. To, czego się dowiedział o jednym z synów Victora Fontine, stanowiło dla niego prawdziwy szok. Nie wolno było dopuścić, by pański brat dopiął swego. Należało go zniszczyć. Natomiast uznał, że pan jest człowiekiem, z którym mógłby współpracować, gdyby do tego doszło.

Ksiądz umilkł. Wziął głęboki oddech, jeszcze raz zaciskając palce na złotym krzyżu wiszącym mu na piersi. Pewnie przypomniało mu się coś bolesnego. Adrian doskonale go rozumiał; doznawał tego samego uczucia w górach koło Champoluc.

— Co Dakakos miał zamiar zrobić ze skrzynią po jej znalezieniu?

Przenikliwe spojrzenie Landa spoczęło na Adrianie.

— Nie wiem. Był człowiekiem współczującym. Poznał udrękę dociekań odpowiedzi na bardzo bolesne pytania. To mogło mieć wpływ na jego sąd. Z drugiej strony był wyznawcą prawdy. Przypuszczam, że rozważyłby konsekwencje jej ujawnienia. W niczym więcej nie mogę panu pomóc.

— Często używa pan tego zwrotu, prawda? “Rozważać konsekwencje”.

— Jeśli pana dotknąłem, przepraszam.

— Owszem, dotknął pan.

— W takim razie proszę o wybaczenie, ale muszę pana jeszcze raz urazić. Prosiłem, żeby pozwolił pan mi tu przyjść, ale zmieniłem zdanie. Właśnie wychodzę. — Ksiądz wstał z krzesła. — Nie mogę tu zostać. Spróbuję ująć to jak najprościej...

— Ujmując to jak najprościej — przerwał mu szorstko Adrian — nic mnie to nie obchodzi.

— A więc jest pan górą — odparł szybko Land. — Bo widzi pan, mnie obchodzi to, jak to pan odbiera. — Nie dał sobie przerwać; zrobił krok do przodu. — Czy panu się zdaje, że złożenie ślubów usuwa wątpliwości? Że siedem tysięcy lat międzyludzkiej komunikacji jest dla nas niczym? Dla nas wszystkich, bez względu na to, jakie szaty liturgiczne przywdziejemy? Do ilu bogów, proroków i świętych modlono się na przestrzeni wieków? Czy ich liczba umniejsza ludzką pobożność? Według mnie nie, każdy przyjmuje to, co jest w stanie zaakceptować, wynosząc własną wiarę ponad przekonania innych. Te moje wątpliwości podpowiadają mi, że za kilka tysięcy lat uczeni badający pozostałości po nas mogą uznać naszą wiarę — naszą pobożność — za wyjątkowo dziwną, gdyż nasze największe świętości dla nich będą zapewne tylko mitem. Tak jak pozostałości innych religii. Mój intelekt jest w stanie to pojąć. Ale dziś, teraz, tutaj, nie ma dla mnie odwrotu. Lepiej mieć wiarę, niż jej nie mieć. Ja w to wierzę. Jestem o tym przekonany.

Adrian powtórzył słowa, że dokument pisany ręką śmiertelnika nie może zaprzeczyć

boskiemu objawieniu.

— To dość dobrze oddaje sprawę, przystaję na to — powiedział po prostu Land. — W końcowym rozrachunku nauki Tomasza z Akwinu triumfują. Mógłbym dodać, że nie są one niczyją wyłączną własnością. Tam gdzie rozum nie sięga, gdzie napotyka najdalsze granice, wiara staje się rozumem. Mam tę wiarę. Ale jako śmiertelnik jestem istotą słabą. Brak mi wytrzymałości, by wystawiać się na dalsze próby. Muszę wycofać się w pielesze swego zaangażowania, wiedząc, że lepiej mi z nim niż bez niego. — Duchowny podał mu rękę. — Do widzenia, Adrianie.

Fontine spojrział na wyciągniętą dłoń i uścisnął ją.

— Pan chyba rozumie, że właśnie arogancja tego waszego "zaangażowania", tych waszych wierzeń tak mnie niepokoi. Nie potrafię tego powiedzieć inaczej.

— Rozumiem i przyjmuję pański sprzeciw do wiadomości. Ta arogancja jest pierwszym z grzechów, które prowadzą do duchowej śmierci. I jeszcze coś, co najczęściej uchodzi uwadze — pycha. Pewnego dnia mogą one zabić nas wszystkich. A wtedy, mój młody przyjacielu, nie będzie już nic.

Land odwrócił się i podszedł do drzwi małej salki. Otworzył je prawą ręką, w lewą wciąż zaciskał złoty krzyż. Trudno było nie zrozumieć tego gestu. To był gest obronny. Jeszcze raz spojrział na Adriana, po czym wyszedł z pokoju, zamykając za sobą drzwi.

Fontine zapalił papierosa i natychmiast rozgniół go w popielniczce. Czuł niesmak w ustach od przepalenia i braku snu. Zamiast tego podszedł więc do maszynki do parzenia kawy i nalał sobie kubek.

Godzinę wcześniej Land, dotykając na próbę metalowej krawędzi gorącej płytki, sparzył się w palec. Adrianowi przebiegło przez myśl, że prałat należał do ludzi, którzy sprawdzali znacznie więcej *rzeczy* w życiu. A jednak na ostateczny sprawdzian nie potrafił się zdobyć. Na swój sposób było to uczciwe.

Znacznie bardziej niż zachowanie Adriana w stosunku do matki. Nie okłamał Jane; nie miałyby to sensu, kłamstwo natychmiast zostałoby rozpoznane. Ale też nie powiedział jej prawdy. Postąpił znacznie okrutniej — unikał jej. Nie był jeszcze gotów spojrzeć jej w oczy.

Usłyszał kroki w korytarzu. Odstawił kubek z kawą i przeszedł na środek pokoju. Drzwi otworzyły się, przytrzymane przez naukowca, któremu okulary w rogowej oprawie jakoś dziwnie powiększały twarz, i stanęła w nich Barbara. Jej orzechowe oczy, na ogół rozbawione i pogodne, patrzyły przenikliwie, z zawodowym zaabsorbowaniem.

— Doktor Shire skończył — powiedziała. — Dasz nam kawę?

— Jasne. — Adrian wrócił do stolika i nalał dwa kubki. Uczony usiadł w krześle, z

którego ledwie kilka minut temu wstał Land.

— Dla mnie bez mleka — powiedział Shire, kładąc na kolanach pojedynczą kartkę papieru. — Pański przyjaciel wyszedł?

— Tak.

— Czy on wiedział? — spytał stary uczoney, biorąc od Adriana kubek z kawą.

— Wiedział, powiedziałem mu. Podjął decyzję. Wyszedł.

— Rozumiem go — powiedział Shire, mrużąc przed parą unoszącą się z kawy oczy przysłonięte silnymi szklami. — Usiądźcie, proszę, oboje.

Barbara wzięła kawę, ale nie usiadła. Spojrzeli z uczonym po sobie, po czym podeszła do okna, podczas gdy Adrian zajął miejsce naprzeciwko starego naukowca.

— Czy to autentyk? — spytał Fontine. — Sądzę, że to najważniejsze pytanie?

— Autentyk? Póź względem użytego materiału, pisowni, języka, wieku... owszem, zakładam, że badania dałyby wynik pozytywny. Analizy chemiczne i przyzmatyczne zajmą sporo czasu, ale widziałem setki dokumentów z tego okresu — pod tymi względami jest to autentyk. A co do jego treści... Został napisany przez na wpół obłąkanego człowieka szukającego się na śmierć. Niezwykle okrutną i bolesną. Tu oceny musi dokonać kto inny, jeśli w ogóle będzie to robił. — Shire odstawił kubek na stół, rzucając wzrokiem na Adriana, i wziął do ręki kartkę z kolan. Fontine nie odezwał się ani słowem. Uczony ciągnął dalej: — Zgodnie z treścią pergaminu, więzień, który miał postradać życie na arenie następnego dnia po południu, wyrzekł się imienia Piotra, nadanego mu przez buntownika imieniem Jezus. Stwierdził, że nie jest go godzien. Chciał zginąć pod imieniem Szymona z Betsaidy, pod którym się urodził. Trawiło go poczucie winy, twierdził, że zdradził swego zbawcę... Bo człowiekiem, którego ukrzyżowano na Kalwarii, nie był Jezus z Nazaretu.

Uczony przerwał, jego ostatnie słowa zawisły w powietrzu jak urwane w połowie zdanie.

— O mój Boże! — Adrian zerwał się z krzesła i spojrzał na Barbarę stojącą przy oknie. Popatrzyła na niego bez słowa komentarsza. Adrian odwrócił się do Shire'a. — Czy to zostało jasno powiedziane?

— Tak. Ten człowiek przeżywał prawdziwe katusze. Pisze, że trzech uczniów Chrystusa działało na własną rękę, wbrew Jego życzeniom. Z pomocą żołnierzy Piłata, których przekupili, wykradli z lochów nieprzytomnego Jezusa, przebierając go w ubiór cieśli, i zastąpili go skazańcem podobnym doń z postury i rysów twarzy. Przy hysterii tłumów następnego dnia całun i krew płynąca spod cierni wystarczyły do zamaskowania rysów twarzy człowieka wiszącego na krzyżu. Postąpiono tak wbrew wyraźnym życzeniom tego, którego nazywali

Mesjaszem...

— “Niczego nie zmienia, a jednak zmienia wszystko” — przerwał mu cicho Adrian, przypominając sobie słowa.

— Został wykradziony wbrew własnej woli. Jego życzeniem było umrzeć. Pergamin stwierdza to wyraźnie.

— Ale nie umarł, przeżył.

— Tak.

— Nie został ukrzyżowany.

— Nie. Jeśli zawierzyć słowom człowieka, który spisał ten dokument — biorąc pod uwagę okoliczności, w jakich go spisał. Powiedziałbym, że na krawędzi obłądu. Nie mógłbym go zaakceptować na tej tylko podstawie, że faktycznie jest zabytkiem o znamionach autentyczności.

— To już jest ocena.

— Rozważania prawdopodobieństwa — sprostował Shire. — Autor dokumentu popada w egzaltowane modły i lament. Jego myśli w jednej chwili są jasne i klarowne, w drugiej niezrozumiałe. Szaleniec czy samobiczujący się asceta? Symulant czy skruszony grzesznik? Kto? Niestety fakt, że dokument liczy dwa tysiące lat, przydaje mu wiarygodności, którą w mniej niezwykłych okolicznościach można by kwestionować. Proszę pamiętać, że to są czasy Nerona i prześladowań chrześcijan, szaleństwa społecznego, politycznego i teologicznego. Aby przeżyć, ludzie chwyтали się przeróżnych forteli. Kim naprawdę był ten człowiek?

— Dokument mówi to jasno. Szymonem z Betsaidy.

— Na potwierdzenie mamy tylko jego własne słowa. Nie istnieją żadne zapiski świadczące o tym, by Szymon Piotr poniósł śmierć wraz z pierwszymi męczennikami chrześcijańskimi. Taki fakt musiałby bez wątpienia znaleźć odbicie w legendzie, a jednak w studiach biblijnych nie ma o tym wzmianki. Jeśli rzeczywiście tak się stało i umknęło to uwagi badaczy, byłoby to szokującym przeoczeniem, nieprawdą?

Uczony zdjął okulary i przetarł grube szkła rogiem laboratoryjnego fartucha.

— Co pan chce przez to powiedzieć? — spytał Adrian.

Shire włożył z powrotem okulary, powiększające jego zamyślane, pełne smutku oczy.

— Przypuśćmy, że jakiś mieszkaniec Rzymu, oczekujący najokrutniejszego rodzaju śmierci, wymyśla historię uderzającą w zniechęcony symbol parweniuszowskiej, niebezpiecznej religii, i robi to bardzo wiarygodnie. Taki człowiek mógłby znaleźć łaskę w oczach pretorów, konsulów, a nawet samego cesarza. Wie pan, wielu tego próbowało. W ten czy

inny sposób. Zachowały się szczątki całej masy takich "wyznań". I teraz oto dostajemy do rąk jedno z nich, tym razem kompletne. Z jakiego powodu ma być ono bardziej wiarygodne niż tamte? Tylko dlatego, że jest kompletne? Chwytnie się rozmaitych podstępów dla zachowania życia jest w historii czymś powszednim.

Adrian przyglądał się uważnie uczonemu. W jego słowach dźwięczał dziwny niepokój.

— To, co ja myślę, nie ma żadnego znaczenia — odparł Shire, unikając spojrzenia Adriana.

Zapadło milczenie. Wymowniejsze niż słowa.

— Pan w to wierzy, prawda? Shire zwlekał z odpowiedzią.

— To zupełnie niezwykły dokument — odparł w końcu.

— Czy wyjaśnia, co się stało z cieślą?

— Tak — odparł Shire, patrząc Adrianowi prosto w oczy. — . Trzy dni później odebrał sobie życie.

— Odebrał sobie życie?! To wbrew wszystkiemu...

— Owszem — przerwał mu cicho uczony. — Jest tu zgodność płynąca z czynnika czasu. Trzy dni. Zgodność i sprzeczność. Jak to wyważyć? Wyznanie mówi dalej, że wyklął On tych, którzy postąpili wbrew Jego woli, lecz przed samym końcem wzywał swego Boga, by im wybaczył.

— To też trzeba uznać za zgodność.

— A czegoż innego by się pan spodziewał, panie Fontine? Pomysłowość dla zachowania życia.

"Niczego nie zmienia, a jednak zmienia wszystko".

— W jakim stanie znajduje się pergamin?

— Jest znakomicie zakonserwowany. Nasycony chyba jakimś roztworem tłuszczu zwierzęcego i pokryty warstwą ciężkiego szkła skalnego.

— A pozostałe dokumenty?

— Nie przyglądałem im się, tyle tylko, żeby zobaczyć, który z nich jest tym pergaminem. Te, które, jak przypuszczam, śledzą wprowadzenie kanonu *Filioque* z punktu widzenia jego przeciwników, są w znacznie gorszym stanie. Zwój aramejski jest oczywiście metalowy i odczytanie go będzie wymagało wiele czasu i zabiegów.

— Czy to jest dosłowne tłumaczenie zeznania? — spytał Adrian siadając i wskazując palcem na kartkę, którą trzymał w ręku uczony.

— W zasadzie tak. Nie wygładziłem go. Nie przedstawiałbym go w tej formie na żadnym forum naukowym.

— Czy mogę je zatrzymać?

— Może pan zatrzymać wszystko. — Shire wyciągnął rękę. Adrian wziął od niego tłumaczenie. — Pergamin, resztę dokumentów. Są pańskie.

— To nie należy do mnie.

— Wiem.

— Dlaczego więc mi je pan oddaje? Sądziłbym raczej, że będzie je pan za wszelką cenę chciał zatrzymać. Zbadać. Zaskoczyć nimi świat.

Uczony zdjął grube szkła. Oczy oplatała mu siatka zmarszczek zmęczenia.

— Dostarczył mi pan bardzo dziwnego odkrycia — powiedział stłumionym głosem. — I dość przerażającego. Jestem za stary, żeby wziąć to na swoje barki.

— Nie rozumiem.

— Proszę się zastanowić. Kwestionuje ono śmierć, nie życie. Ale ta śmierć stanowiła symbol. Jeśli poda pan w wątpliwość ów symbol, ryzykuje pan zwątpieniem we wszystko, co ten symbol z biegiem czasu zaczął oznaczać. Nie jestem pewien, czy mam do tego prawo?

Adrian milczał przez chwilę.

— Cena prawdy jest zbyt wysoka? Czy to chce pan powiedzieć?

— Jeśli to jest prawda. Ale jak powiadam, ten dokument nosi straszliwe piętno autentyczności. Ludzie akceptują różne rzeczy, tylko dlatego, że one istnieją. Homer tworzył fikcję, ale wiele wieków po nim ludzie odtwarzają szlaki morskich wypraw jego bohaterów w poszukiwaniu jaskiń zamieszkałych przez jednookich gigantów. Froissart pisze kroniki wydarzeń, które nigdy nie miały miejsca, i zostaje okrzyknięty prawdziwym historykiem. Proszę pana o rozważenie konsekwencji.

Adrian wstał z krzesła i podszedł bez celu do ściany. Do tego samego miejsca, w które wpatrywał się uporczywie Land; płaskiego, słabo oświetlonego kawałka ściany, pokrytego białą farbą. Nic.

— Czy może pan to wszystko zatrzymać tutaj przez jakiś czas?

— Można to zmagazynować w sejfie w podziemiach laboratorium. Mogę panu przysłać pokwitowanie.

Fontine odwrócił się.

— W podziemiach?

— Tak, w podziemiach.

— Mogłem je zostawić pod ziemią zupełnie gdzie indziej.

— Może trzeba było. Jak długo, panie Fontine?

— Co jak długo?

— Jak długo miałyby tu zostać?

— Tydzień, miesiąc, wiek. Nie wiem.

Stał przy oknie hotelowym wychodzącym na panoramę Manhattanu. Nowy Jork udawał, że śpi, ale niezliczone światła ulic w dole zadawały temu kłam.

Rozmawiali od wielu godzin, sam już nie wiedział od ilu. Właściwie to on mówił; Barbara tylko słuchała, delikatnie nakłaniając go, by wyrzucił z siebie wszystko.

Tyle jeszcze musiał zrobić, przez tyle przejść, nim znów będzie sobą.

Nagle rozległ się dzwonek telefonu. Ten dźwięk nie wiedzieć czemu wydał mu się przerażający. Odwrócił się na pięcie, czując ogarniającą go panikę i mając świadomość, że widać to po jego oczach.

Barbara wstała z krzesła i z pełnym opanowaniem podeszła do niego. Ujęła jego twarz w dłonie. Panika ustąpiła.

— Nie chcę z nikim rozmawiać. Nie teraz.

— To nie rozmawiaj. Powiedz temu, kto dzwoni, żeby zatelefonował rano.

To było takie proste. Mówić prawdę.

Dzwonek rozległ się ponownie. Adrian podszedł do nocnego stolika przy łóżku i podniósł słuchawkę, pewien swych zamiarów, zwojejsi siły.

— Adrian? Na miłość boską! Przekopaliśmy za tobą cały Nowy Jork. Dopiero jakiś pułkownik Tarkington dał nam numer tego hotelu.

Dzwonił jeden z prawników z Departamentu Sprawiedliwości, przyjęty do pracy przez Nevinsa.

— O co chodzi?

— Stało się! Wszystko, nad czym pracowaliśmy, zaczyna grać! Jakby kto bombę podłożył pod całe to miasto! W Białym Domu panika! Jesteśmy w kontakcie z senacką komisją sprawiedliwości. Potrzebujemy specjalnego prokuratora. Nie da się załatwić tego inaczej.

— Macie konkretne dowody?

— Więcej. Świadców, zeznania. Złodzieje próbują się maskować. Wracamy do roboty, Fontine. Jesteś z nami? Teraz możemy naprawdę coś zrobić!

Adrian tylko chwilę się zastanawiał, nim odpowiedział: — Tak, jestem z wami.

Najważniejsze było coś zrobić. Jedne walki ciągnąć dalej. Inne uznać za zakończone. Cała mądrość w tym, żeby wiedzieć które.